

STEPHEN BAXTER

# PIERŚCIEŃ



OLŚNIEWAJĄCĄ SPACE OPERA Z CYKLU XEELEE

**Stephen Baxter**

**Pierścień**  
*(Ring)*

*Tłumaczył: Paweł Korombel*

*Dla mojego kuzyna Thomasa Baxtera*

# **CZEŚĆ PIERWSZA**

## **ZDARZENIE. UKŁAD**

# Rozdział 1

Już w chwili urodzenia wiedziała, że coś jest nie tak, jak być powinno.

Nad nią majaczyła twarz: szeroka, gładka, uśmiechnięta. Policzki mokre od łez, wielkie błyszczące oczy.

– Lieserl. Och, Lieserl...

*Więc tak mam na imię, Lieserl* – pomyślała.

Badala twarz, oceniała zmarszczki wokół oczu, zaokrąglone w uśmiechu usta, mocno zarysowany nos. To była inteligentna, żywa twarz. *To dobry człowiek* – pomyślała. *Dobry gatunkowo egzemplarz.*

Dobry gatunkowo egzemplarz...?!

Niesamowite. Ona sama była niesamowita. Poraził ją wybuch rodzącej się samoświadomości. A przecież jeszcze nie powinna nawet umieć skupić wzroku...

Spróbowała dotknąć twarzy matki. Dłoń nadal okrywał płyn owodniowy – ale rosła! – kości wydłużały się i pogrubiały, wypełniając luźną skórę jak rękawiczkę.

Otworzyła wyschnięte usta. Dziaśła były obolałe od wyrzynających się zębów.

Silne ramiona wsunęły się między nią i prześcieradło; twarde dorosłe palce wbiły się w obolałe mięśnie pleców. Czuła obecność innych dorosłych, którzy ją otaczali, łóżka, na którym się urodziła, rozpoznawała zarysy pomieszczenia.

Matka uniosła ją do okna. Głowa Lieserl kiwała się bezwładnie na ramionach; rozrastające się mięśnie, nadal zbyt słabe, nie mogły udźwignąć ciężaru pęczniejącej czaszki. Koronki śliny zakrywały podbródek.

Potężne światło zalało jej oczy.

Krzyknęła przeraźliwie.

Matka przytuliła ją.

– To słońce, Lieserl. Słońce...!

Pierwsze dni były najgorsze.

Rodzice – niewiarygodnie wysokie, gigantyczne postacie – nosili ją przez jasno oświetlone pokoje, ogród zalany słońcem. Nauczyła się siadać. Mięśnie pleców rozwijały się, pulsowały, rosły. Klauni fikali przed nią koziołki na trawie, rechotali, poruszając wielkimi czerwonymi ustami, robili wszystko, aby odciągnąć jej uwagę od nie kończącego się bólu, a potem znikali, rozplywając się w chmurach pikseli.

Rosła w ekspresowym tempie, nieustannie karmiąc się informacjami; miliony wrażeń tłoczyły się w jej sensorium, miękkim ośrodku doznań zmysłowych.

Wydawało się, że nie ma końca pokojom w tej budowli, w tym domu. Powoli zaczęła rozumieć, że niektóre z nich to wirtualne – ekrany wyświetlające dowolną liczbę obrazów. Jednak w domu musiały być setki prawdziwych pokoi, gdyż ona – i jej rodzice – nie byli tu sami. Towarzyszyli im

inni ludzie. Początkowo trzymali się z daleka, nie pchali się przed oczy. Och, ich obecność sygnalizowały tylko przygotowane posiłki, dostarczane zabawki.

Trzeciego dnia rodzice zabrali ją na wycieczkę. Wtedy to po raz pierwszy oddaliła się od domu i jego otoczenia. Kiedy flitter unosił się w powietrze, Lieserl przyciskała nosek do rozgrzanych wypukłych okien.

Jej dom tworzyły sześciennie zabudowania, połączone korytarzami i otoczone ogrodem – trawą, drzewami. Dalej wiły się pętle estakad; kolejne domy, rozrzucone na rozjaśnionych pagórkach, przypominały dziecinne klocki.

Flitter wzbijał się wyżej i wyżej.

Trasa podróży zataczała łuk nad krajobrazem z krainy zabawek. Połąć niebieskiego morza otaczała ląd ze wszystkich stron. To była wyspa Skiros. Tak powiedziała Fillida – matka Lieserl. Morze nazywało się „Egejskie”. Dom był wielką konstrukcją. Widziała ogromne, brązowe półkule rozrzucone w sercu wyspy. Fillida powiedziała jej, że to kopuły z maskowanego węgla, kule suchego lodu wysokości setek metrów.

Flitter wreszcie osiadł na pasie murawy nad wybrzeżem. Matka uniosła Lieserl i postawiła ją na ostrej trawie przeciskającej się przez piasek.

Trzyosobowa rodzina złapała się za ręce i zeszła na plażę z niewielkiej wydmy. Lieserl niepewnie stąpała na długich nogach.

Słońce płonęło na niewiarygodnie błękitnym niebie. Lieserl miała wrażenie, że ogląda świat przez teleskop. Patrzyła na grupę bawiących się dzieci i dorosłych – byli daleko, w połowie odległości od horyzontu – i widziała ich na wyciągnięcie dłoni. Nadal chwiejne stopy Lieserl wbijały się w ziarnisty, mokry piach.

Znalazła małże. Odrywała je łopatką od zniszczonego pomostu i zafascynowana wpatrywała się w ociekające śluzem stopy. Czowała słony smak powietrza przenikającego nawet skórę.

Siedziała na piasku z rodzicami, czując, jak strój plażowy napina się na nieustannie rosnących kończynach. Grali w prostą grę, polegającą na suwaniu bierkami po wirtualnej planszy pełnej drabin i syczących smoków. Było mnóstwo śmiechu, udawanych narzekań i wystudiuowanych machinacji taty.

Wszystko docierało do niej ze zwielokrotnioną mocą. To był cudowny dzień, pełen światła i radości, intensywne doznań. Rodzice kochali ją – matka i ojciec tworzyli zgrany tandem, nieustannie dbający o jej dobre samopoczucie i rozrywkę.

Musieli wiedzieć, że jest inna, ale to chyba nie miało dla nich znaczenia.

Nie chciała być inna – nie chciała, żeby cokolwiek było nie tak, jak być powinno. Nie dopuszczała do siebie obaw i skupiała się na węzłach, drabinach i połyskujących w słońcu bierkach.

Co rano, budząc się, miała wrażenie, że łóżko jest dla niej za małe.

Uwielbiała ogród. Uwielbiała patrzeć na kwiaty wyciągające drobne, śliczne buzie do słońca, kiedy wielka świetlista tarcza ciepłiwie toczyła się po niebie. Ojciec powiedział jej, że światło słoneczne reguluje wzrost roślin. *Może ja też jestem jak kwiatki i przez to całe słońce rosnę za szybko* – pomyślała.

Dom był pełen zabawek: kolorowych klocków, układanek, lalek. Obracała je w wydłużających się, rosnących dłoniach. Szybko się nimi znudziła, ale jedno cacuszko nieodmiennie przykuwało jej uwagę: miasteczko w wodnej kuli. Mieszkały w nim miniludziki, zastygłe w pół kroku podczas

spaceru przez swój świat. Kiedy niezdarnie, jak to ona, potrzasała kulą, wzbijały się plastikowe śnieżynki, wirowały nad uwiecznionymi ulicami i dachami. Wpatrywała się w żywcem pogrzebanych mieszkańców, marząc o tym, aby stać się jednym z nich – zastygnąć w czasie jak oni, przestać, wreszcie przestać rosnać!

Piątego dnia zabrano ją do dużej nieregularnej sali pełnej słońca. Była w niej masa dzieci – dzieci jak ona! Siedziały na podłodze i malowały, bawiły się lalkami albo rozmawiały z zapalem z niesłychanie kolorowymi wirtualami roześmianymi ptakami, małutkimi klaunami.

Kiedy Lieserl weszła z matką, dzieci odwróciły okrągłe wesole buzie, przypominające cętki światła padającego przez listowie. Nigdy wcześniej nie była tak blisko dzieci. Czy one też były inne?

Jedna dziewczynka popatrzyła na nią ze złością i Lieserl przytuliła się do nóg matki. Ale znajoma ciepła dłoń poklepała ją po plecach.

– Idź. Śmiało.

Kiedy wpatrywała się w pochmurną twarz nieznajomej dziewczynki, jej problemy, jej zbyt dorosłe, nazbyt skomplikowane wątpliwości odsunęły się na dalszy plan. Nagle ważna – najważniejsza na świecie – stała się akceptacja tych dzieci. Och, żeby tylko się nie dowiedziały, że jest inna.

Zbliżył się jakiś dorosły: młody, chudy mężczyzna o nie wykształconych jeszcze rysach. Miał na sobie prześmiesznie pomarańczowy kombinezon, który świecił tak mocno, że aż nieznajomemu błyszczał podbródek. Uśmiechnął się do niej.

– Jesteś Lieserl, prawda? Nazywam się Paul. To miło, że do nas przysłaś. Prawda, dzieci?

Odpowiedziało mu chóralne, wyćwiczone, *Tak!*

– Chodź, znajdziemy coś dla ciebie – powiedział Paul. Poprowadził ją przez chmurę malców i znalazł jej wolny skrawek podłogi obok małego chłopczyka. Ten – rudzielec o zadziwiających niebieskich oczach – wpatrywał się w wirtualną lalkę, która ulegała nie kończącym się przemianom. Cyfra dwa rozpadała się na dwa płatki śniegu, dwa łabędzie, dwoje tańczących dzieci. Pojawiła się cyfra trzy, a po niej trzy niedźwiadki, trzy ryby tańczące w powietrzu, trzy torty. Chłopiec mamrotał, naśladowując cieniutki głos wirtuala:

– Dwa. Jeden. Dwa i jeden jest trzy.

Paul przedstawił ją chłopcu – Tommy’emu. Usiadła obok. Z ulgą przekonała się, iż Tommy jest tak zafascynowany swoim wirtuałem, że ledwo zdaje sobie sprawę z jej obecności – co dopiero z tego, że jest inna.

Leżał na brzuchu, wspierając podbródek na dłoniach. Lieserl niezdarnie naśladowała tę postawę. Liczbowy wirtual zakończył swój cykl.

– Pa, pa, Tommy! Do widzenia, Lieserl! – Znikł, przepadł.

Tommy odwrócił się. Nie oceniał jej, tylko popatrzył, podświadomie akceptując.

– Możemy obejrzeć to jeszcze raz? – spytała.

Ziewnął i zaczął dłubać w nosie.

– Nie. Zobaczmy coś innego. Jest jeden taki fantastyczny o wybuchu prekambryjskim...

– O czym...?

Machnął lekceważąco ręką.

– No, wiesz, o pokładzie Burgessa i tym wszystkim. A jak zobaczysz *Hallucigenię* pełzającą po karku...

Dzieci bawiły się, uczyły i spały. Później dziewczynka, która patrzyła nieprzyjaźnie na Lieserl –

Ginnie – zaczęła jej trochę dokuczać. Wyśmiewała się z Lieserl, z tego, że jej kościste przeguby sterczą z rękawków (tempo rośnięcia zmalało, ale każdego dnia ubrania nadal były na nią za małe). A potem – nieoczekiwanie, nie wiadomo czemu – rozwrzeszczała się, że Lieserl niby podeptała jej wirtuala. Kiedy przyszedł Paul, Lieserl zaczęła tłumaczyć, spokojnie i racjonalnie, że Ginnie na pewno się pomyliła; lecz Paul powiedział jej, aby nie wyrządzała takich przykrości innym dzieciom i że za karę będzie musiała siedzieć dziesięć minut sama, pozbawiona towarzystwa dzieci i stymulacji.

To wszystko było strasznie, druzgocąco nieuczciwe. To było najdłuższe dziesięć minut w życiu Lieserl. Wbijała rozwścieczone spojrzenie w Ginnie, urażona i bezradna.

Następnego dnia rozradowana oczekiwała na kolejną wspólną lekcję. Ruszyła z matką słonecznymi korytarzami. Dotarli do tamtego pokoju – był w nim Paul, uśmiechający się do niej nieco żałośnie, i Tommy, i Ginnie – ale Ginnie okazała się teraz dziecięca, nieufformowana... przynajmniej o głowę niższa.

Lieserl usiłowała przywołać tamtą cudowną wrogość, ale uczucie znikło, nim je wzbudziła. Ginnie była tylko smarkulą.

Lieserl poczuła się tak, jakby ją z czegoś okradzione.

Matka ścisnęła ją za rękę.

– Chodź. Poszukamy ci nowego pokoju do zabawy.

Każdy dzień był wyjątkowy. Każdy dzień spędzała w nowym miejscu, z nowymi ludźmi.

Słońce rozjaśniało świat. Rozjarzone punkty bez końca przemieszczały się po niebie: niskoorbitowe habitaty i komety cumujące przy stacjach paliwowych. Ludzie brodzili w morzu informacji, wirtualne biblioteki czekały w każdym punkcie świata na rozkaz wydawany w myślach. Żyło się w inteligentnym środowisku; było praktycznie niemożliwe, aby się zgubić, zrobić sobie krzywdę albo nawet się znudzić.

Dziewiątego dnia obejrzała się uważnie w wirtualnym lustrze.

Kazała wizerunkowi odwrócić się, chcąc ocenić układ czaszki, bieg linii włosów. Twarz zachowała jeszcze niedojrzałą miękkość rysów, ale Lieserl już wyrastała na kobietę, dzieciństwo ustępowało niczym odpływ. Zapowiadała się na podobieństwo Fillidy: wyrazisty nos, sarnie oczy, ale miała płowe włosy ojca, George'a.

Wyglądała na mniej więcej dziewięć lat. Tymczasem miała dziewięć dni!

Kazała wirtualowi zniknąć; rozprysnął się na milion twarzy małych jak muszki. Odfrunęły w przesycone słońcem powietrze.

Fillida i George okazali się świetnymi rodzicami. Pracowali jako fizycy w organizacji o nazwie Superet. Kiedy nie byli przy córce, ślęczeli nad dokumentacją techniczną, która spadała z powietrza niczym liście, badali skomplikowane wirtualne modele gwiazd, zbudowane jak cebula. Chociaż oddani swojej profesji bez wahania poświęcali Lieserl swój czas. Przebywała w świecie uśmiechów, sympatii i wsparcia.

Rodzice kochali ją bez zastrzeżeń. Ale to nie zawsze wystarczało.

Zacząła stawiać drażliwe, szczegółowe pytania. Na przykład: na czym polegał mechanizm jej szybkiego rozwoju? Z pewnością nie jadła więcej niż inne dzieci; co generowało niewiarygodny przyrost jej wagi i wzrostu?



Skąd miała tyle wiadomości? Od urodzenia dysponowała samoświadomością, podstawami mowy. Wirtualne klasowe, z którymi wchodziła w interakcje, były kapitalne i stale uczyły ją czegoś nowego, ale co rano budziła się z kolejnymi zasobami informacji, po wielokroć przekraczającymi to, czego dowiedziała się poprzedniego dnia. Co uczyło ją w macicy? Co uczyło ją teraz?

Dziwna rodzinka wykształciła proste, swojskie rytuały. Lieserl najbardziej lubiła grę w węże i drabiny. Spędzała przy niej każdy wieczór. George przyniósł do domu stary zestaw – prawdziwą kartonową planszę i drewniane bierki! Lieserl była już na to wszystko trochę za dorosła, ale uwielbiała towarzystwo rodziców, wyszukane żarty ojca, emocje współzawodnictwa, kształty wytartych bierek.

Fillida nauczyła ją, jak wykorzystać wirtualne do tworzenia własnych gier planszowych. Pierwsze produkty Lieserl, utworzone w jedenastym dniu życia, były prostymi, skromnymi zabawkami, nie różniącymi się od banalnych zestawów sklepowych. Ale wkrótce zaczęła eksperymentować. Narysowała wielką świetlną planszę o milionach kwadratów; zajmowała cały pokój i brodziło się w niej jak w stawie. Pola wibrowały blaskiem, wypełnione niesamowicie pozwijanymi węzami, ogromnymi drabinami – gdziekolwiek spojrzeć, detal balansował na detalu.

Następnego ranka pełna zapału wbiegła do pokoju, w którym stworzyła swoją planszę – i poczuła kubek zimnej wody. Efekty wczorajszej pracy okazały się blade, statyczne, wtórne; mimo wsparcia oprogramowania wirtualów nie wznosiła się ponad poziom dziecka.

Zmazała planszę, pozostawiając tylko bladą siatkę pól unoszącą się w powietrzu. Znów zabrała się do jej zapewniania – lecz tym razem ożywionymi półwęzami, półludźmi, rozsuwanymi drabinami o setkach kształtów. Opanowała dostęp do wirtualnych bibliotek, chłonęła sztukę i historię setek epok, żeby wzbogacić swoją planszę.

Oczywiście, gra na czymś takim była niemożliwa, ale to nie miało znaczenia. Plansza stała się celem samym w sobie, samowystarczalnym światem. Lieserl ograniczyła nieco kontakty z rodzicami, poświęcając długie godziny na przeszukiwanie bibliotek. Zrezygnowała z codziennych zajęć klasowych. Rodzice chyba nie przywiązywali do tego znaczenia; regularnie z nią rozmawiali, okazywali zaniepokojenie pomysłami Lieserl, ale szanowali jej wolę przebywania w samotności.

Zainteresowanie grą nie wygasło. Kolejnego dnia rozbudowała i skomplikowała zasady, podzieliła pola na kraje i imperia, arbitralnie wyznaczając granice ostrym światłem. Armie ludzików maszerowały drabinami w górę i w dół, łączyły się z legionami węzów, odgrywając w uproszczeniu przełomowe chwile ludzkości.

Przyglądała się tym symbolicznym wizerunkom, jak migocą i jarzą się na wirtualnej planszy; dyktowała wielotomowe kroniki wymyślonych krajów.

Pod wieczór jednak bardziej skupiła się na tekstach źródłowych, do których zaglądała, niż na własnej pracy. Poszła do łóżka, niecierpliwie wypatrując następnego dnia.

Obudziła się w ciemności, zwinięta w kłębek, ogarnięta bólem.

Wydała w myślach polecenie, by światło się zapaliło. Usiadła na łóżku.

Pościel była splamiona krwią. Lieserl zaczęła krzyczeć.

Fillida usiadła obok, tuląc jej głowę. Lieserl szukała u matki ciepła i oparcia, nie mogła opanować dreszczy.

– Chyba pora, żebyś zadała mi kilka pytań.

Lieserl pociągnęła nosem.

– Jakich pytań?

– Tych, które nosisz w sobie od chwili urodzenia. Fillida uśmiechnęła się. – Widzę je w twoich oczach, nawet w tej chwili. Biedactwo... dźwigać tyle świadomości. Współczuję ci, Lieserl.

Lieserl odsunęła się od matki. Nagle ogarnął ją chłód, poczucie własnej słabości.

– Kim jestem, Fillido?

– Jesteś moją córką. – Fillida położyła dłonie na ramionach Lieserl i przyciągnęła do siebie jej twarz; Lieserl czuła ciepło oddechu matki. Łagodne światło rozświetliło jasne włosy Fillidy, wydobywając siwiznę. – Nigdy o tym nie zapominaj. Jesteś człowiekiem jak ja. Ale... – Zawahała się.

– Ale co?

– Ale ty jesteś rozbudowywana sztucznie. W twoim ciele są nanoroboty. Wiesz co to jest nanorobot? Maszyna na poziomie molekularnym, która...

– Wiem, co to nanorobot! – warknęła Lieserl. – Wiem wszystko o desenektyzacji i nanorobotach. Nie jestem dzieckiem, mam.

– Oczywiście, że nie – potwierdziła z powagą Fillida. – Ale w twoim przypadku, kochanie, zaprogramowano nanoroboty nie, żeby odwrócić proces starzenia, ale żeby go przyspieszyć! Rozumiesz?

Nanoroboty roiły się w ciele Lieserl. Kładły wapno na jej kościach, stymulowały powstawanie nowych komórek, zmuszały ciało do rośnięcia jak jakiś niesamowity ludzki słonecznik – nawet wprowadzały wspomnienia, mechanicznie ładowały bity pamięci prosto do kory mózgowej.

Lieserl ogarnęła ochota, aby podrapać się, gdzie to tylko możliwe, wycisnąć z siebie tę infekcję sztucznych organizmów.

– Dlaczego?! Dlaczego pozwoliliście, żeby mi to zrobiono?

Fillida przygarnęła ją do siebie, ale Lieserl bez słowa oparła się matce. Fillida zanurzyła twarz we włosach Lieserl, miękki policzek matki wsparł się na ciemieniu córki.

– Jeszcze tylko parę dni, kochanie – powiedziała Fillida. – Tylko parę dni. To wszystko...

Policzki Fillidy pały, jakby lkała bez słów we włosy córki.

Lieserl powróciła do planszy ze smokami i drabinami. Spoglądała na to, co stworzyła, ciepło, ale i z nostalgicznym smutkiem; czuła dystans wobec tego drobiazgowo dopracowanego, nieco obsesyjnego dzieła.

Już z niego wyrosła.

Wkroczyła na środek rozmigotanej planszy i kazała szerokiemu na kilkadziesiąt centymetrów słońcu wynurzyć się z ciała. Światło załało planszę, roztrzaskało ją.

Nie była jedyną nastolatką, która tworzyła takie fantastyczne światy. Czytała o siostrach Bronte, ich samotnym życiu na plebanii w północnej Anglii i wspólnie tworzonym świecie królów, księżniczek i królestw. Czytała o historii skromnej gry w węże i drabiny. Pojawiła się w Indiach, jako pomoc do nauki zasad moralności, *Moksha-Patamu*. Było w niej dwanaście grzechów i cztery cnoty, a chodziło o osiągnięcie nirwany. Łatwiej się przegrywało niż odnosiło powodzenie... W dziewiętnastym wieku Anglicy zaadaptowali grę, aby za jej pomocą wyrabiać w dzieciach posłuszeństwo, zmienili też nazwę na *Kismet*. Lieserl wpatrywała się w klaustrofobiczne plansze, groźne węże. Trzydzieści węży i osiem drabin miało nauczyć dzieci, że jeśli będą grzeczne

i posłuszne, spotka je nagroda.

Po kilkudziesięciu latach gra straciła podtekst moralny. Lieserl znalazła obrazki z początku dwudziestego wieku, na których smutny malutki klaun heroicznie zdobywał drabiny i siekł węże.

Gra, wdzięczna i prosta, przeżyła dwadzieścia wieków i straciła na popularności od śmierci tamtego zapomnianego klauna. Lieserl wpatrywała się w niego, próbując zrozumieć, co fascynującego widzieli dawni gracze w luźnych spodniach, lasce, wąsiku.

Coraz bardziej ciekawiły ją liczby występujące w różnych wersjach gry. Stosunek dwanaście do czterech, obowiązujący w *Moksha-Patamu*, sprawiał, że wersja hinduska były o wiele trudniejsza niż *Kismet* opierający się na stosunku trzynaście do ośmiu ale o ile trudniejsza?

Wzięła się do rysowania nowych plansz. Ale miały abstrakcyjną formę – postacie wyprane z barw były ledwo szkicami. Spróbowała błyskawicznych gier symulacyjnych, przeanalizowała ich wyniki. Eksperymentowała ze stosunkiem węży do drabin, z ich rozmieszczeniem. Fillida poświęciła jej swój czas i zapoznała z nowymi cudami – kombinatoryką i teorią gier.

Piętnastego dnia miała po uszy samotności i wróciła na zajęcia. Kiedy okazało się, że inni chłoną wiedzę równie błyskawicznie jak ona, poczuła ożywczy przypływ energii.

Miała wrażenie, że świat otwiera się przed nią jak kwiat; świat pełen słonecznego światła, nie kończących się strumieni informacji i ludzi, których obecność działała na nią stymulujące.

Przeczytała o nanorobotach. Poznała tajemnicę TDS, terapii desenektyzacyjnej, dzięki której ludzie, praktycznie biorąc, osiągnęli nieśmiertelność.

Program komórek ciała zakładał ich samobójstwo.

Zostawione same sobie wytwarzały enzymy, które dzieliły DNA ich gospodarzy na zgrabne cząstki i bez hałasu je likwidowały. Samounicestwienie komórek strzegło przed nie kontrolowanym rozrostem – rakiem – i służyło kształtowaniu ciała; na przykład obumieranie niechcianych komórek płodu powodowało wykształcanie się palców rąk i nóg z amorficznych zawiązków.

Śmierć to stan bezczynności komórki. Ciało musi wysyłać chemiczne sygnały nakazujące komórkom pozostanie przy życiu. Mechanizm ten działa na zasadzie czuwaka maszynisty: jeśli komórki rozrastają się w sposób niekontrolowany – lub jeśli oddzielają się od macierzystego organu i wędrują po ciele – gubią znajome środowisko sygnałów chemicznych i muszą umrzeć.

Dysponując nanotechnologią, zmieniono ten proces i z łatwością powstrzymano proces starzenia się ludzi. Była to TDS, terapia desenektyzacyjna.

Równie łatwo i w ten sam sposób tworzono Lieserl.

Uczyła się o tym, bezwiednie drapiąc się po zamieszkanym przez nanoroboty, sztucznie rozrastającym się ramionach.

Wypatrywała hasła „Superet” w wirtualnych bibliotekach. Na próżno. Nie była ekspertem od szukania danych, ale miała wrażenie, że natrafiła na sztucznie stworzoną dziurę.

Ukrywano przed nią informacje o Superet.

Z Matthew, kolegą szkolnym, wybrała się na wycieczkę – po raz pierwszy bez rodziców. Polecieli flitterem na wybrzeże, na którym bawiła się jako dziecko przed dwunastoma dniami. Znalazła zniszczony pomost, siedlisko małży. Miejsce wydawało się pozbawione życia, czarodziejskiego uroku. Poczowała smutek i nostalgię za świeżymi, intensywnymi wrażeniami z dzieciństwa. Zadała sobie pytanie, dlaczego żaden dorosły nie opisał tego okropnego stopienia

wrażliwości. Może po prostu zapominali, że kiedyś byli inni.

Jednakże nowe doznania wynagrodziły stratę.

Miała silne, prężne ciało, a światło słońca rozlewało się na jej skórze jak ciepły olej. Biegała i pływała, rozkoszując się ostrym, ozonowym smakiem powietrza. Mocowali się na niby z Matthew, ścigali na brzegu morza, tarzali spleceni jak dzieci, ale pomyślała, że ich dziecinada jest podszyta czymś niedzielnym.

O zachodzie słońca flitter zabrał ich do domu. Postanowili, że spotkają się następnego dnia, może wybiorą się gdzie indziej. Matthew pocałował ją lekko w usta i rozstali się.

Tamtej nocy prawie nie spała. Leżała w ciemnym pokoju z obrazem Matthew przed oczami, czując słoną woń powietrza. W żyłach pulsowała wrząca krew, ciało rosło w nieskończoność.

Następnego dnia – szesnastego od chwili narodzin Lieserl szybko zerwała się z łóżka. Nigdy nie czuła się tak pełna życia; skóra płonęła jej od soli i słonecznego blasku; gorące napięcie przyprawiało ją o bolesny skurcz w dole brzucha.

Kiedy wybiegła przed dom, na lądowisku flittera czekał Matthew. Stał odwrócony plecami, słońce wiszące nisko podkreślało delikatne włoski na karku chłopca; wydawały się płonąć.

Odwrócił się.

Niepewnie wyciągnął ręce, chcąc ją objąć, ale opuścił je bezwolnie. Chyba nie wiedział, co powiedzieć; jego postawa uległa delikatnej zmianie, przygarbił się nieco; ogarnął go wstyd.

Była od niego wyższa. Starsza. Nagle dostrzegła dziecięcą krągłość jego twarzy, nieporadność zachowania. Myśl o tym, że ma go dotknąć – wcielając w życie gorączkowe marzenia ostatniej nocy – była absurdalna, niemożliwa do zrealizowania, niedojrzała.

Poczuła sztywnienie w karku; ogarnął ją lęk, że jeszcze chwila, a zacznie krzyczeć. Matthew oddalał się, jakby widziany na drugim końcu w uciekającym w nieskończoność tunelu.

Nieznuzone nanoroboty – zawzięta, nieodparta, technologiczna infekcja – znów odebrały jej część życia.

Jednak tym razem nie mogła tego znieść.

Fillida nigdy nie wyglądała tak staro. Kości twarzy zaostrzyły się, zmarszczki pogłębiły.

– Przykro mi – powiedziała. – Uwierz mi. Kiedy George i ja zgłosiliśmy się na ochotnika do przedsięwzięcia Superet, wiedzieliśmy, że czeka nas ból. Ale ani się nam śniło, że przybierze takie rozmiary. Nie mieliśmy wcześniej dzieci. Może gdyby było inaczej, potrafilibyśmy przewidzieć, co nas spotka.

– Jestem potworem... wynikiem absurdalnego eksperymentu! – zawołała Lieserl. – Mechanicznym tworem. Czemu zrobiliście mnie człowiekiem, nie jakimś pozbawionym inteligencji zwierzęciem? Czemu nie wirtuałem?

– Och, musiałas być człowiekiem. Na tyle, na ile...

– Jestem człowiekiem w kawałkach stwierdziła z goryczą Lieserl. – W odłamkach, które zabiera mi się, kiedy tylko się pojawiają. To nie jest człowieczeństwo, Fillido. To kpina z człowieczeństwa.

– Wiem. Przykro mi, kochanie. Chodź ze mną.

– Dokąd?

– Na dwór. Do ogrodu. Chcę ci coś pokazać.

Pełna podejrzliwości i wrogości pozwoliła matce ująć się za rękę, ale jej place pozostały martwe, zimne w ciepłym uścisku Fillidy.

Była pełnia przedpołudnia. Światło słońca zalało ogród, białe i żółte kwiaty wyciągały się ku niebu.

– Co mam zobaczyć?

Fillida z powagą wskazała w górę.

Lieserl odchyliła głowę, robiąc daszek z dłoni. Niebo było przepastną błękitną kopułą, skażoną jedynie wysokimi smugami kondensacyjnymi habitatów.

Fillida łagodnie odsunęła dłonie Lieserl i skierowała jej twarz ku słońcu jak kielich kwiatu, trzymając ją za podbródek.

Światło gwiazdy wypełniło jej głowę. Oszołomiona opuściła wzrok i wpatrywała się w Fillidę przez mgłę rozmytych pędzących plamek, powstałych na siatkówce.

– Słońce...?

– Lieserl, ty zostałaś... skonstruowana. Wiesz o tym. Żyjesz sto razy szybciej niż zwykły człowiek.

– Mój dzień to wasz rok.

– Tak, w przybliżeniu. Ale przyświeca temu cel. Usprawiedliwienie. Nie chodzi o naukowy eksperyment. Masz misję. – Wskazała na rozrzucone, przyjazne zabudowania tworzące dom. – Większość tutejszych ludzi, zwłaszcza dzieci, nic o tym nie wie. Mają zadania, cele... własne życie. Ale są tu dla ciebie. Lieserl, ten dom jest po to, żebyś nabrała ludzkich odruchów i doświadczeń. Twoje doświadczenia zaprojektowano – nawet ja i George zostaliśmy wyselekcjonowani. Chodziło o to, aby pierwszych kilka dni twojej egzystencji było tak ludzkich, jak to tylko możliwe,

– Pierwszych kilka dni? – Nagle wydało się jej, że niepoznawalna przyszłość wyrasta przed nią jak czarna, waląca się ściana; że nie kontroluje swojego życia, jakby znalazła się na nieogarnionej, niewidzialnej planszy do gry w węże i drabiny. Uniosła twarz ku słońcu, ku ciepłu. – Kim ja jestem?!

– Jesteś... sztucznym tworem, Lieserl. Za kilka tygodni twoja ludzka powłoka zestarzeje się. Zostaniesz przeniesiona w inną postać. Twoje ciało ulegnie...

– Zniszczeniu?

– Lieserl, to tak trudno wyrazić. Przeżyję tę chwilę, jakbyś umarła. Ale to nie będzie śmierć. To będzie metamorfoza. Posiadasz nowe zdolności – nawet twoja świadomość ulegnie rekonstrukcji. Lieserl, staniesz się najbardziej rozumną istotą w Układzie Słonecznym...

– Nie chcę tego. Chcę być sobą. Chcę być wolna, Fillido.

– Nie, Lieserl. Przykro mi, nie jesteś wolna; nigdy nie będziesz mogła być wolna. Masz zadanie.

– Jakie zadanie?

Fillida kolejny raz uniosła twarz ku słońcu.

– Słońce dało nam życie. Bez Słońca – bez innych gwiazd – nie przetrwalibyśmy. Jesteśmy twarde gatunkiem. Wierzmy, że możemy istnieć równie długo jak gwiazdy, dziesiątki miliardów lat. A może jeszcze dłużej... Jeśli nic nam nie przeszkodzi. Ale mieliśmy... wizje przyszłości. Bardzo odległej przyszłości. Niepokojące wizje. Ludzie zaczynają układać plany, które mają zapewnić im bezpieczeństwo. Pracują nad przedsięwzięciami, w wyniku których miliony lat życia naszego gatunku dadzą owoce... Ludzie tacy jak ci, którzy pracują dla Superet. A ty, Lieserl, jesteś jednym z tych przedsięwzięć.

– Nie rozumiem.

Fillida łagodnie ucisnęła jej rękę. Ten zwyczajny ludzki gest wydawał się nie na miejscu, a ogród – uludą, chimera, po tej rozmowie o megalatach i przyszłości gatunku.

– Lieserl, ze Słońcem jest coś nie tak. Musisz się dowiedzieć co. Słońce umiera, bo coś... albo ktoś je zabija. – Szeroko otwarte oczy Fillidy szukały zrozumienia. – Nie bój się. Moja droga, ty będziesz żyć wiecznie. Jeśli tylko zechcesz. I zobaczysz cuda, o jakich ja mogę tylko marzyć.

Lieserl wpatrywała się w wielkie, słabe oczy matki.

– Ale ty mi nie zazdrościsz, prawda, Fillido?

– Nie – odpowiedziała tamta ze spokojem.

## Rozdział 2

Louise Ye Armonk stała na pokładzie parowca *Wielka Brytania*. Ze swojego miejsca widziała całą świetność jednostki Brunela: wypolerowany pokład, luki, podniebne maszty, stalowy takielunek, przysadzisty komin na śródkręciu.

Za rozjaśnioną kopułą, która osłaniała stary statek, krawędź nieba Układu Słonecznego wydawała się ogromnym pustym pokojem.

Louise nadal czuła się nieco podchmielona – i nieco skwaszona – po orbitalnym przyjęciu, które opuściła chwilę wcześniej. Wysłała rozkaz nanorobotom krwiobiegu; przeszedł ją krótki dreszcz i szybko wytrzeźwiała.

Mark Bassett Friar Armonk Wu – eksmałżonek Louise – stał tuż obok. Opuścili *Wielką Północną*, kiedy przyjęcie rozkręciło się na dobre, i przybyli ciasną kapsułą tu, na Stację Sol. Mark miał na sobie jednoczęściowy kombinezon z jakiejś pastelowej tkaniny; kiedy odwrócił głowę, oceniając wzrokiem stary statek, widziała wyraźnie jego smukłą, szlachetnie zarysowaną szyję.

Louise cieszyła się z samotności. To dobrze, że żaden z przyszłych międzygwiazdnych kolonistów nie zdecydował się towarzyszyć im na tę daleko wysuniętą placówkę podczas ostatnich chwil pobytu, aby powspominać Ziemię – chociaż właśnie szacunek dla przeszłości sprawił, iż Louise sprowadziła w to miejsce stary parowiec.

Mark położył dłoń na jej ramieniu; poczuła ciepło promieniujące przez cienki materiał.

– Nie jesteś szczęśliwa, prawda? Nawet w takiej chwili, chwili twojego największego triumfu.

Spojrzała na niego pytająco, szukając sensu tych słów. Golił głowę tak dokładnie, że delikatne, pozornie wątle kości czaszki rysowały się pod ciemną skórą. Nos miał ostry, wargi cienkie, a niebieskie oczy – zwracające uwagę na czarnej twarzy – otaczała sieć zmarszczek. Raz jej się zwierzył, że zastanawia się nad liftingiem – banalnym zabiegiem uzupełniającym desenektyzację ale postawiła weto. Nie dlatego, że była przeciwna samemu zabiegowi, ale dlatego, że pozbawiłby tę elegancką twarz charakteru, patyny czasu.

– Nigdy nie mogłam przeniknąć twoich myśli – wyznała wreszcie. – Może dlatego nam nie wyszło.

Roześmiał się cicho. Jego głos nadal emanował nieprzepartym urokiem, kiedy powiedział:

– Och, daj spokój. Przetrzymaliśmy ze sobą dwadzieścia lat. To jednak szmat czasu.

– Przy średniej życia dwieście lat? – Potrząsnęła przecząco głową. – Słuchaj. Pytałeś, co czuję. Każdy, kto by ciebie... nas... nie znał, pomyślałby, że zależy ci na odpowiedzi. Skąd ta wesołość?

Cofnął rękę i niemal widziała, jak w jego głowie coś się zamyka.

– Bo zwykle jesteś niewychowaną, ponurą, pozbawioną wdzięku... ach, niech to Leta pochłonie.

– W każdym razie, masz rację – odezwała się po chwili obopólnego milczenia.

– Proszę?

– Nie jestem szczęśliwa. Chociaż nie potrafiłabym ci wyjaśnić dlaczego.

Uśmiechnął się. Wszechobecne światło kopuły *Brytanii* wygładziło mu zmarszczki wokół oczu.

– No cóż, jeśli choć raz mamy być wobec siebie szczerzy, to przyznaję, że troszeczkę się cieszę, widząc, jak cierpisz. Ale nadal jesteś mi bliska. Chodź, przejdźmy się.

Ujął ją pod ramię i ruszyli wzdłuż sterburty. Podeszwy butów mlaskały cicho, kiedy umieszczone na nich proste procesory sprawiały, że przylegały do powierzchni pokładu i uwalniały się od niej, dyskretnie wspomagając mikrogravitację Stacji Sol. Działały niemal bezbłędnie i Louise potknęła się zaledwie parę razy.

Statek chroniła kopuła z inteligentnego szkła, a za nią – za obszarem światła, które opływało parowiec – rozciągał się krajobraz Stacji Sol, zwieńczony niedalekim horyzontem. Była to kula kruchej skały i lodu o średnicy stu pięćdziesięciu kilometrów, przypominająca głowę wielkiej komety i ze śladowymi ilościami wodoru, helu oraz kilku węglowodorów. Kraterowy pejzaż wypełniały ażurowe, pajęczynowate kształty, rzeźby ze starożytnego lodu ukształtowane siłami natury. Niezmierna odległość od Słońca sprawiała, że ich formowanie ciągnęło się równie ospale jak gromadzenie pokładów geologicznych.

Stacja Sol była obiektem Kuipera. Wraz z niezliczonymi towarzyszami krążyła wokół Plutona, utrzymywana na orbicie oddziaływaniem pól grawitacyjnych wielkich planet.

Louise obejrzała się na *Wielką Brytanię*. Na tle groźnego pejzażu Stacji Sol nieruchomy statek Brunela w dalszym ciągu robił wrażenie ideału lekkości, wdzięku i elegancji. Pamiętała wyprawę na Ziemię, podczas której oglądała go w suchym doku. Tak jak wtedy zacisnęła powieki, usiłując wyobrazić sobie formę statku – platoński ideał obecny pod żelazną pokrywą, który biedny kochany Isambard starał się urzeczywistnić. Statek składał się z trzech tysięcy ton żelaza i drewna, ale jego wąskie kształty, ostre krzywizny i pieszczące oko detale sprawiały, że wydawał się rodem ze świata fantasy. Louise pomyślała o złożonych ozdobach, odzianych w zbroje postaciach wokół rufy i prostych, wzruszających symbolach wiktoriańskiego przemysłu, wyrzeźbionych na dziobie: zwój liny, koło zębate, ekierka, snopowiązałka. Jak takie delikatne dzieło rąk ludzkich zdołało oprzeć się atlantyckim sztormom...?

Odchyliła głowę i spojrzała na Słońce świecące jasno w gwiazdozbiornie Koziorożca, sześć i pół miliarda kilometrów dalej. Z pewnością nawet tak nieprzeciętny wizjoner jak stary Isambard nigdy nie wyobrażał sobie, że jego pierwszy wielki statek odbędzie ostatnią podróż po równie bezmiernym morzu.

Mark i Louise zeszli po stromych schodkach śródokręcia na pokład spacerowy i minęli rząd małych kabin, zmierzając ku grodzi maszynowni.

Mark musnął ścianę kabiny. Zmarszczył brwi, pocierając palce o siebie.

– Ta powierzchnia robi dziwne wrażenie... nie bardzo przypomina drewno.

– Jest zakonserwowana. Cienką warstwą inteligentnego plastiku, która ją chroni... Mark, tę cholerną łajbę zwodowano w tysiąc osiemset czterdziestym trzecim roku. To prawie dwa tysiące lat temu. Gdyby nie konserwacja, niewiele by z niej zostało. Zresztą myślałam, że cię to nie zainteresuje.

Pociągnął nosem.

– Niezbyt. Bardziej interesuje mnie to, dlaczego uparłaś się, aby tu zejść; ni stąd, ni zowąd w połowie tej całej fety z okazji zakończenia budowy statku.

– Próbuję uciec od wspomnień – westchnęła ciężko.

– Och, pewnie. – Odwrócił się do niej. Miękki blask starego drewna oświetlił jego twarz. – Opowiedz mi o sobie, Louise. Chwilowo ta częśćka mojej osoby, której na tobie zależy, uzyskuje przewagę nad drugą, która rozkoszuje się twoim cierpieniem.



Wzruszyła ramionami. Nie potrafiła ukryć goryczy w głosie, kiedy powiedziała:

– Sam mi o mnie opowiedz. Zawsze umiałeś zdiagnozować stan mojej głowy. Do granic wytrzymałości. Może ogarnęła mnie melancholia po zakończeniu pracy na *Północnej*. To niewykłuczone, nie sądzisz? Może przechodzę jakiś odpowiednik depresji po stosunku.

Parsknął.

– Szczerze mówiąc, w twoim wypadku była to depresja po, przed i w trakcie. Nie, nie wydaje mi się... A poza tym, twoja praca na *Północnej* nie jest jeszcze zakończona. Planujesz odlecieć razem ze statkiem. Nieprawdaż? Zamierzasz poświęcić dziesiątki lat czasu pokładowego na holowanie go do Tau Ceti.

Zjeżyła się.

– Jak się o tym dowiedziałeś? Nic dziwnego, że przez te wszystkie lata doprowadzałeś mnie do obłądu. Cholera, za bardzo się interesowałeś.

– Ale mam rację, prawda?

Dotarli do jadalni na *Brytanii*. To było spełnienie najbardziej fantastycznego marzenia wiktoriańskiego projektanta. Dwanaście biało-złotych kolumn o zdobionych kapitelach biegło przez jej środek, a kolejne dwa tuziny ozdobiły boki sali. Między kolumnami były przejścia do innych pomieszczeń, w tym sypialni, a łuki nadproży pozłożono i wypełniono wielkimi portretowymi medalionami. Ściany były zielono-żółte, ożywione błękitem, bielą i złotem; wszechobecne światło odbijało się od srebra i porcelany na trzech długich stołach.

Mark wszedł na dywan i przesunął dłonią po błyszczącym, wypolerowanym blacie.

– Powinnaś coś zrobić z tym inteligentnym plastikiem; te powierzchnie pod dotknięciem też powinny być takie jak kiedyś. To, co odbieramy dotykiem, stanowi o połowie urody rzeczy. Ale ty zawsze byłaś... pełna dystansu, no nie? Zadowolalaś się tym, co powierzchowne, wyglądem, kształtem. Zbliżenie, dotknięcie nigdy cię nie ciekawiło.

Nie odpowiedziała na ten zarzut.

– Wiesz, Brunel miał styl. Pracował razem z ojcem przy budowie tunelu pod Tamizą.

– Gdzie? – Mark urodził się na Stacji Cassini, na Tytanie.

– Pod Tamizą. To rzeka w Anglii... na Ziemi. Tunel był kilkakrotnie zalewany. Raz, kiedy wypompowywano wodę, Brunel wyprawił bankiet na pięćdziesiąt osób tuż pod pracującą ścianą. Sprowadził orkiestrę gwardzistów z Coldstream, żeby...

– Hm. To niezwykle ciekawe – stwierdził sucho Mark. Może należało coś zaserwować. Czemu nie? Żywność zakonserwowaną w tym twoim inteligentnym plastiku. Na przykład kawałki martwych zwierząt. Tak jak pochłaniał je sam wielki Brunel.

– Zawsze brakowało ci dobrego smaku, Mark.

– Nie sądzę, żeby twój nastrój miał jakikolwiek związek z ukończeniem budowy *Północnej*.

– W takim razie z czym?

Westchnął.

– Ależ oczywiście z tobą samą. Przez długi czas, kiedy byliśmy razem, wydawało mi się, że rozumiem motywy twojego postępowania. Zawsze będzie do zbudowania kolejny, wielki, piękny statek fazowy; kolejne ogromne przedsięwzięcie, w którym można będzie się zatracić. A ponieważ teraz wszyscy jesteśmy nieśmiertelni dzięki TDS-owi, myślałem, że ci to wystarczy.

– Ale się myliłam. Okazało się, że tak nie jest, że to tylko złudzenie.

Louise czuła głęboki dyskomfort; miała ochotę perorować, zagłębić się w ekranie książkowym,

utonąć w jakimś wirtualu – uciec dokądkolwiek przed jego słowami.

– Zawsze byłeś ode mnie mądrzejszy, Mark.

– Tak. Pod pewnymi względami.

– Powiedz, co masz do powiedzenia, i daj mi spokój.

– Ty pragniesz nieśmiertelności, Louise. Ale nie koszmarnej, dosłownej nieśmiertelności desenektywacyjnej – nie tylko oczyszczania ciała co kilka lat – ale tego rodzaju nieśmiertelności, którą osiągnęli twoi idole. – Zrobił nieokreślony gest. Na przykład Brunel. Dokonując czegoś wyjątkowego, cudownego. I boisz się, że nigdy ci się to nie uda, bez względu na to, ile statków gwiazdnych zbudujesz.

– Jesteś cholernie protekcyjny – powiedziała ostro. – *Północna* to wielkie osiągnięcie.

– Wiem. Nie zaprzeczam temu. – Uśmiechnął się, spoglądając na nią triumfalnie. – Ale mam rację, prawda?

Uszło z niej powietrze.

– Wiesz, że tak. Niech cię szlag trafi. – Przetarła oczy. – Cała rzecz w cieniu, jaki rzuca na nas przyszłość, Mark...

Półtora wieku wcześniej przyszłość dokonała inwazji na Układ Słoneczny.

To był wyłącznie błąd ludzkości; wszyscy zdawali sobie z tego sprawę. Zrealizowano Przedsięwzięcie Złącze – połączenie tunelem czasoprzestrzennym na półtora milenia w przyszłość. Szefem programu był inżynier Michael Poole.

W tym okresie Louise Ye Armonk zajmowała pewną pozycję na wybranym przez siebie polu inżynierii statków fazowych... przynajmniej na tyle pewną, na ile mogła liczyć smarkata pięćdziesięciolatka w społeczności coraz bardziej zdominowanej przez gigantów z niedawnej przeszłości, funkcjonujących znakomicie dzięki TDS-owi. Louise pracowała nawet krótko z samym Michaelem Poole'em.

Jaki cel przyświecał budowie łącza czasowego? Uzasadnieniem nie było końca: *Wyobrażacie sobie, jakie możliwości przyniesie zajrzenie w przyszłość?! Louise jednak wiedziała, że chodzi o coś więcej niż o samą radość z utworzenia takiego pomostu.*

Przedsięwzięcie Złącze pojawiło się pod koniec stuleci ekspansji ludzkości. Układ Słoneczny został spenetrowany najpierw przez statki fazowe, a później dzięki tunelom czasoprzestrzennym. Działała pierwsza stacja dostarczająca paliwo dla takich jednostek – Stacja Sol.

Teraz trudno było uzmysłwić sobie nastrój tamtych czasów. Pewność siebie, arogancję... Antropocentryczne teorie ewolucji kosmicznej rozděły się tak bardzo, że ledwo trzymały się (logicznej) kupy. Jedni wierzyli, że ludzkość jest sama we Wszechświecie, inni – że Wszechświat został zaprojektowany przez jakąś bliżej nieznaną agencję wyłącznie w tym celu, żeby stworzyć i podtrzymywać przy życiu ludzi. W miarę czasu ludzie zrobią wszystko, dotrą wszędzie, osiągną, co im się żywnie podoba.

Ale tunel czasoprzestrzenny Poole'a był pomostem do prawdziwej przyszłości.

Incydent, który nastąpił po otwarciu tunelu, był niejasny, chaotyczny, trudny do rozwikłania. Niewątpliwie była to wojna. Krótka, widowiskowa jak żadna batalia toczona w przestrzeni wokółsłonecznej przedtem ani potem, niemniej jednak wojna.

Ziemia przeszłości – po drugiej stronie czasowego mostu Poole'a, za półtora milenia – miała być pod okupacją gatunku kosmitów, o którym wiedzano tylko jedno: że nazywa się *qax*.

Powstańcy, garstka ludzi z okresu okupacji, byli ścigani w czasie tunelem Poole'a przez dwa ogromne okręty wojenne qaxów. Z pomocą Poole'a zniszczyli jednostki wroga. Następnie Poole udał się wprowadzonym okrętem do tunelu czasoprzestrzennego, mając zamiar zapieczętować go i uniemożliwić przyszłą inwazję. W trakcie realizacji zadania sam zagubił się w czasie. Powstańcy, uwięzieni w swojej przeszłości, uciekli z Układu Słonecznego porwanym statkiem o napędzie fazowym, wyraźnie zamierzając wykorzystać skutki rozszerzania czasu pod wpływem ciepła do zniszczenia pomostu czasowego prowadzącego do ich ery.

Oszołomiony Układ z wolna odzyskał równowagę.

Różne instytucje – jak Superet, Święty Kościół Światłości – nadal, po stu pięćdziesięciu latach, przeczesywały fragmentaryczne dane z incydentu tunelowego, usiłując znaleźć rozwiązanie nierozwiązywalnego, jak na przykład: co naprawdę stało się z Michaelem Poole'em?

Było wiadome, że ludzkość w końcu wyzwoli się spod okupacji qaxów i podejmie dalszą ekspansję – ale teraz ostrożniej – w głąb Wszechświata, zamieszkanego – jak się okaże – przez rywalizujące ze sobą gatunki...

We Wszechświecie byli przede wszystkim xeelee. I mówiło się, że zanim tunel prowadzący do przyszłości został ostatecznie zamknięty, otrzymano pewną informację z naprawdę dalekiej przyszłości – odległej o miliony lat i wybiegającej znacznie poza erę qaxów. Louise domyślała się, jak takie dane mogły napłynąć – na przykład ze strumienia cząstek wysokiej energii bijącego z otworu zapadającego się tunelu czasoprzestrzennego.

A plotka głosiła, że odległa przyszłość gotuje ludzkości naprawdę ponury los.

Louise i Mark stali na pokładzie dziobówki i spoglądali na Słońce.

*Wielka Północna*, statek gwiazdny Louise o napędzie fazowym, sunął spokojnie nad ich głowami, trzymając się swojej statecznej czterogodzinnej orbity nad płytką studnią grawitacyjną obiektu Kuipera. Długi na pięć kilometrów kręgosłup *Północnej*, zaopatrzony w sensory, wyglądał jak wyrzeźbiony w szkłe. Napęd fazowy umieszczono w bloku lodu ze Stacji Sol, nieregularnej masie u końca kręgosłupa. Szklana kopuła mieszkalna – mająca półtora kilometra szerokości – znajdowała się na przeciwległym końcu. Jaśniała zielononiebieskim światłem, jak tarcza Ziemi, tu, na obrzeżu Układu.

– Jest piękny – powiedział Mark. – Jak wirtual. Trudno uwierzyć, że jest prawdziwy. – Światło z czaszy *Brytanii* podświetlało twarz mężczyzny, tak że wyglądała niczym relief. – I wybrałaś mu odpowiednie imię: *Wielka Północna*. Oddalając się od Słońca, zawsze będzie podążał na północ, bez względu na kierunek.

Patrząc na rozmigotaną *Północną*, Louise wspominała wirtualne podróże po widmowym, jeszcze nie dokończonym statku, który ewoluował wokół niej, kiedy oprogramowanie projektujące reagowało na jej myślowe rozkazy. Brunel bez wątplenia rozkoszowałby się nowoczesną metodą budowy, która kolejny raz nadała gigantycznym wizjom realny kształt! A niektóre z poniechanych projektów były jeszcze bardziej eleganckie i zuchwałe niż finalny produkt, który, jak zawsze, okazał się kompromisem między wizją a budżetem.

...I w tym sęk. Efekt końcowy zawsze sprawiał zawód.

– Louise, nie powinnaś obawiać się przyszłości – powiedział Mark.

Natychmiast ogarnęła ją irytacja.

– Nie obawiam się przyszłości – odparła. – Na Letę, czy nawet tego nie potrafisz zrozumieć?!

Myślę o Michaelu Poole'u i tym cholernym incydencie ze złączem. Nie obawiam się przyszłości. Sęk w tym, że ją znam.

– Wszyscy ją znamy, Louise – stwierdził Mark takim tonem, jakby wystawiała jego cierpliwość na próbę. – I większość z nas nie pozwala, żeby wpływała na nasze...

– Czyżby? Popatrz na siebie, Mark. Na przykład, co z twoimi włosami – a raczej z ich brakiem?

Bezwiednie pogładził się po łysej czaszce.

– Każdy wie, że to współczesne upodobanie do łysiny wzięło się z naśladowania tamtych pomyślonych powstańców z przyszłości, Przyjaciół Wignera. Nie powiesz mi, że wiedza o tym, co nastąpi, nie wpłynęła na ciebie. Sama twoja powierzchowność świadczy... – kontynuowała, dopóki jej nie przerwał.

– Niech ci będzie – warknął. – Niech ci będzie, udowodniłaś, że masz rację. Nigdy nie wiesz, kiedy odpuścić, co? Ale, Louise, różnica polega na tym, że nie wszyscy mamy obsesję na punkcie przeszłości. Inaczej niż ty.

Odsunął się od niej; sztywny, wzburzony i urażony.

Zeszli do maszynowni. Ogromny świetlik rzucał wielobarwne światło. Cztery cylindry sterczały ukośnie z podłogi; tłoki, kończyny żelaznych gigantów, i szeroki łańcuch obiegający urządzenia napędowe były nieruchome.

Louise potarła podbródek i skupiła wzrok na maszynierii.

– Obsesja? Mark w przyszłości są xeelee, stworzenia dorównujące bogom, tak dalekie od nas, że może nigdy nie zrozumiemy, co jest ich celem; i nowa technologia, maszyny jak z krainy czarów. Oni mają silnik superprzestrzenny. Jej głos złagodniał. – Czy rozumiesz, co to znaczy? To znaczy, że teraz gdzieś we Wszechświecie ci cholerni xeelee rozbijają się rydwanami pędzącymi z nadświatelną szybkością, przy których moja biedna *Północna* to wózek zaprzęzony w szkapę. I wierzymy, że mają silnik wewnętrzukładowy, ich tak zwany napęd nieciągłości, który porusza czarne jak noc statki o skrzydłach w kształcie liści sykomory, długie na setki kilometrów... Nie przeczę, mój moduł napędu fazowego to piękna konstrukcja. Jestem z niego dumna. Ale w porównaniu z technologią xeelee, Mark, to... to silnik parowy, cholera! Przecież my używamy nawet lodu jako paliwa. Pomyśl! Jaki sens ma budowanie czegoś, co jest przestarzałe w momencie tworzenia?

Mark położył rękę na jej ramieniu. Jego dotyk był ciepły, pewny i – o co niewątpliwie chodziło – niepokojąco intymny.

– Więc to dlatego uciekasz.

– Trudno mi nazwać „ucieczką” ekspedycję kolonizacyjną na Tau Ceti.

– Oczywiście, że to ucieczka. Tu możesz coś osiągnąć, tu, mając do dyspozycji zasoby Układu Słonecznego. Do cholery, jesteś inżynierem. Co skonstruujesz na jakiejś planecie Tau Ceti? Może Prawdziwy silnik parowy.

– Ale... – Nadaremnie szukała słów, które nie brzmiałyby mazgajowate usprawiedliwienia. – Ale może to w szerszej perspektywie da niebagatelny efekt, większy niż budowa tuzina potężniejszych i lepszych *Północnych*. Rozumiesz?

– Nie bardzo. – Jego głos był pozbawiony emocji, zmęczony; być może Mark wytrzeźwiał.

Chwilę się nie odzywali; w ciszy słyhać było jedynie oddechy.

– Wybacz, Louise – odezwał się w końcu. – Wybacz, że takimi nastrojami psujemy chwilę twojego triumfu. Ale mam dość. Odnoszę wrażenie, że słuchałem tego rodzaju zwierzeń przez połowę życia.

Jak zwykle kiedy ogarniał go podobny nastrój, poczuła wyrzuty sumienia. Chciała uścisnąć dłoń, która nadal spoczywała na jej ramieniu.

– Mark...

Cofnął rękę.

– Wracam do kapsuły i na statek. Zamierzam się jeszcze trochę upić. Masz ochotę polecieć?

Zastanowiła się nad propozycją.

– Nie. Odeślij kapsułę z powrotem. Część tych kabin jest przygotowana, mogę...

Powietrze przed nimi rozjarzyło się. Cofnęła się i potknęła wytrącona z równowagi. Mark przysunął się do niej, nie odrywając wzroku od obrazu formującego się w powietrzu.

Wokół wirowały świetliste cząstki, wyraziste na tle starożytnej maszyneryi Brunela. Nagle zbiegły się w wizerunek ludzkiej głowy realistycznych rozmiarów: okrągłej, łysej, tryskającej radością. Usta rozwarły się w szerokim uśmiechu.

– Cześć, Louise. Przepraszam, że przeszkadzam.

– Witaj, Gillibrand. Czego chcesz, na Letę? Spodziewałam się, że o tej porze będziesz już nieprzytomny.

Sam Gillibrand, rzeński stu pięćdziesięciolatek, pracował jako główny asystent Louise.

– I byłem. Ale moje nanoroboty są połączone z pulpitem kontrolnym. Zaraz mnie otrzeźwiły, kiedy przyszła wiadomość. Niech je szlag trafi. – Ton głosu Gillibranda zaprzeczał jednak słowom. – A niech tam. Wystarczy, że powtórzę całą operację i...

– Wiadomość z pulpitu sterowniczego dowództwa? Co to za wiadomość, Sam?

Uśmiech zgasł. Gillibrand przybrał niepewną minę.

– Z magistratu. Nastąpiła zmiana planu lotu. – Gillibrand miał piskliwy głos z wyraźnym akcentem Amerykanina ze środkowych stanów, który nie za bardzo nadawał się do przekazywania dramatycznych wieści. Jednak Louise przeszedł dreszcz, kiedy jej asystent powiedział: – Nie lecimy na Tau Ceti.

## Rozdział 3

Stara kobieta wychyliła się z fotela obok Kevana Scholesa.

Powierzchnia Słońca, ledwo szesnaście tysięcy kilometrów poniżej przezroczystej kabiny *Jeźdźca Światła*, zasłaniała Wszechświat. Fotosfera tworzyła pejzaż upstrzony granulami takiej wielkości, że każda mogła połknąć Ziemię, a chromosfera – gruba na tysiąc pięćset kilometrów warstwa nad powierzchnią Słońca – układała się jak rzadka mgła.

Scholes nie mógł oderwać wzroku od swojej towarzyszki. Nawet wychylona nie garbiła się, jej plecy pozostały proste jak deska, dłonie – złożone grzecznie na podołku nad pasem bezpieczeństwa – były wychudzone i upstrzone plamami wątrobowymi. *Skóra zwisa jej jak luźna rękawiczka* – pomyślał. Nosiła prosty, srebrzystoszary dres ozdobiony tylko broszą w postaci stylizowanego węża owiniętego wokół złotej drabiny.

Mały statek mijał granulę fotosferyczną; Scholes przyglądał się jej bezmyślnie, kiedy rozwijała się w dole. Gorący wodór tryskał z jądra Słońca z szybkością ośmiuset metrów na sekundę, po czym rozkładał się na powierzchni fotosfery. Ten wytrysk gazu miał może półtora kilometra średnicy i *Jeździec Światła* mijał go w kilka minut. Kiedy Scholes wrócił spojrzeniem do granuli, zaczynała się już rozpadać, wodór tryskał z nietrwałego jądra. Czas istnienia indywidualnej granuli nie przekraczał średnio dziesięciu minut.

– Jakie to piękne – powiedziała stara kobieta, patrząc na pejzaż słoneczny. – I jakie skomplikowane, jakie zawile, niczym ogromna maszyna, niczym cały świat! – Odwróciła się, zaciskając mocno usta otoczone gęstą siateczką zmarszczek. – Mogłabym spędzić tu całe życie, obserwując ewolucję tej powierzchni.

Scholes ogarnął wzrokiem wzburzony pejzaż słoneczny. Fotosfera była ociężale poruszającą się masą, przypominającą powierzchnię gotującego się powoli gęstego płynu. Granule, indywidualne komórki konwekcyjne, zbijały się w luźne grona, supergranule, rozległe na tysiące kilometrów i otoczone cienkimi, falującymi ścianami zgęszczonego gazu. Na jego oczach jedna granula wybuchła, a jej zawartość nagle rozlała się po powierzchni Słońca; sąsiednie granule zostały odepchnięte, tak że na fotosferze powstała rozjaśniona płynna blizna, z wolna gojąca się w miarę nowych erupcji.

Scholes przyglądał się pilnie swojej towarzyszce. Słońce podświetlało jej twarz, pogłębiając zmarszczki i pogrubiając luźne fałdy skóry. Nabrała niemal demonicznego wyglądu – lub przypominała kogoś z dawno minionej przeszłości, za kim już nikt nie rozpacza. Milczała, odpowiadając mu spojrzeniem. Wpadało coś powiedzieć i wyczuł, że tym razem nie wykręci się żarcikami, którymi brylował na słonecznym habitacie.

Jej tym nie zaimponuje.

Z trudem zdobył się na uśmiech.

– Tak, jest piękne. Ale... – Spędził ostatnie pięć lat w odległości półtora miliona kilometrów od jaśniejszej powierzchni Słońca, lecz nadal nie przywykł do stałego towarzystwa gwiazdy. – Nie można zapomnieć, że jest tuż obok... Nawet kiedy siedzę na Tocie, za nieprzejrzystymi ścianami

i kiedy równie dobrze mógłbym być w każdym innym miejscu Układu. – Zawahał się, ogarnięty nagłym zażenowaniem; jej zimne, zażawione oczy przenikały go na wskroś. – Przepraszam. Nie wiem, jak to lepiej wytłumaczyć.

Czy na zniszczonej twarzy pokazał się cień uśmiechu?

– Nie musisz się tak kontrolować.

Kevan Scholes zgłosił się na ochotnika do tego zadania – prostego trzygodzinnego lotu orbitalnego z tajemniczą kobietą, która kilka dni wcześniej została przywieziona na Totha, habitat unoszący się swobodnie w środku budowanego interfejsu, bramy tunelu czasoprzestrzennego. Potraktował to jako coś poważniejszego niż wycieczkę krajoznawczą – chodziło mu o zebranie informacji o tej wiekowej kobiecie, a może o prawdziwym celu samego przedsięwzięcia podjętego przez Superet.

Poza tym traktował to jako wytchnienie w codziennych zajęciach. Doglądał składania krawędzi interfejsu, budowanej z materii egzotycznej. Kiedy tunel czasoprzestrzenny zostanie ukończony, jeden z pary czworościennych interfejsów pozostanie na ciasnej orbicie okołosłonecznej. Drugi, zabezpieczony antylodem i wypakowany ładunkiem sztucznej inteligencji, będzie zrzucony w samo Słońce.

Praca była dobrze opłacana, chociaż niełatwa; ale i nudna, rutynowa, nie dająca satysfakcji. Tak więc z radością przywitał tę przerwę... Jednakże nie spodziewał się, że ta wyjątkowa kobieta tak bardzo zbije go z pantafelku.

Kolejny raz spróbował nawiązać konwersację.

– Widzisz, tu wszyscy jesteśmy naukowcami albo inżynierami. Wrażliwość na niezwykle zjawiska nie jest warunkiem wstępnym otrzymania pracy w tym interesie, wręcz przeciwnie, to minus. Ale przecież Słońce jest niemal na dotknięcie ręki, tylko o półtora milion kilometrów – pięć sekund świetlnych! – a jego masa równa się masie Ziemi trzy razy. Nawet kiedy go nie widzisz, ono tam jest, prawie czuję jego napór.

Skinęła głową i ponownie odwróciła się do Słońca.

– To dlatego spekulacje na temat jego zniszczenia są tak wyjątkowo niepokojące. Oczywiście, teraz do pewnego stopnia jesteśmy w jego obrębie. Nieprawdaż?

– Chyba tak. Nie ma prostej definicji, gdzie Słońce się kończy; następuje tylko spadek jego gęstości, początkowo ostry, potem mniej dramatyczny, poza fotosferą... Pokażę ci.

Dotknął ekranu kontrolnego i kadłub przestał być przezroczysty, rozjarzył się, gasząc blask fotosfery. Pojawił się sztuczny obraz: granule barwy ciemnego szkarłatu i purpury nabrzmiwały jak pracujące podwodne wulkany.

– Rany – mruknęła. – Widok jak ze średniowiecznego piekła,

– Popatrz w górę – powiedział Scholes.

Zrobiła to i zabrakło jej oddechu.

Chromosfera była miękką bezkształtną mgłą otaczającą statek. A korona – zewnętrzna część atmosfery Słońca sięgająca daleko poza fotosferę – unosiła się jak gazowa katedra, teraz łatwo dostrzegalna, kiedy światło fotosfery uległo przyćmieniu. W tym gazie tworzyły się koronki i gęste strumienie. Miało się wrażenie, że jest się w środku ogromnej, powolnej eksplozji.

– Ileż tu kształtów! – powiedziała.

W napięciu wpatrywała się w górę szeroko otwartymi, nieruchomymi oczami. Scholes poczuł się niewyraźnie. Przywrócił przezroczystość kadłuba, korona znikła.

Plama słoneczna – niezmiernej wielkości rana o czarnym jądrze – majestatycznie rozłożyła się pod nimi.

– Wydaje się, że podróżujemy niezwykle powoli – stwierdziła kobieta.

Uśmiechnął się.

– Jesteśmy na swobodnej orbicie wokół Słońca. Tak naprawdę przesuwamy się z szybkością czterystu pięćdziesięciu kilometrów na sekundę.

Wytrzeszczyła oczy.

– Wiem, początkowo trudno się przyzwyczaić do tego ogromu – powiedział łagodnie. – To nie planeta. Promień Słońca jest równy odległości Ziemia – Księżyc...

Teraz byli dokładnie nad plamą; jej umbra, jądro, nadal wydawała się czarną raną na rozjaśnionym cieple Słońca, podczas gdy otaczający ją półcień tworzył szeroką siną opuchliznę. Scholes dojrzał, że to największa z małej, rozrzuconej rodziny plam; rozbryzg farby na fotosferze. Półcienie plam łączyła szara sieć.

Cały ten popielaty krajobraz przesuwał się pod nimi.

– To przypomina tunel – zauważyła Lieserl. – Wydaje mi się, że mogłabym zajrzeć do niego i zobaczyć samo serce Słońca.

– Obawiam się, że to iluzja. Plama jest ciemna tylko z racji kontrastu z otaczającymi regionami. Jeśliby wyciąć duży zespół plam i zawiesić w przestrzeni, byłaby jasna jak Księżyc w pełni, widziany z Ziemi.

– Niemniej jednak iluzja głębi jest uderzająca. Teraz asocjacja plam przesuwała się pod nimi, tworząc coraz to nowy obraz z racji szybko przekształcającej się perspektywy.

– Oczywiście wiesz, że wygląd Słońca zależy od naszego miejsca obserwacji – wyjaśnił niepewnie Scholes. – Kadłub statku jest prawie idealnie refleksyjny. Nadmiar ciepła jest odrzucany w przestrzeń za pomocą bardzo silnych laserów kadłubowych. *Jeździec* praktycznie chłodzi się sam. Statek widziany z zewnątrz świeci na tle fotosfery... – Scholes miał niemiłe wrażenie, że plecie trzy po trzy.

– Wydaje mi się, że co nieco rozumiem. – Wskazała delikatną szponiastą ręką na rozjaśnioną powierzchnię. – Ale te zarysy są oczywiście realne. Na przykład zespół plam.

– Tak. Tak, oczywiście.

*Na Letę* – pomyślał nagle. – *Czy ja nie traktuję jej z góry?*

Polecono mu pokazać widoki tej dziwnej staruszce, urządzić jej standardowy VIP-owski oblot Słońca. Ale nie miał o niej żadnych wiadomości – całkiem możliwe, że wiedziała o wiele więcej na temat tego, co opisywał, niż on sam.

Superet, Święty Kościół Światłości, był sławny ze swojej skrytości. Równie niejasny był program tunelu czasoprzestrzennego i rola, którą staruszka miała w nim odegrać... chociaż po tym jak traktowało ją kierownictwo od chwili przybycia w okolice Słońca, wszyscy byli świadomi, że jest zasadniczym elementem całej sprawy. Obchodzono się z nią jak z jajkiem.

Ale ile wiedziała?

Z uwagą wpatrywał się w jej ptasi profil. Być może nie byłaby tak drapieżnie groźna, gdyby nie siwe włosy ściągnięte w twardy koczek.

– Czy ten proces schładzania nie jest podstawą działania sondy czasoprzestrzennej? No, bo jak inaczej mogłaby zanurzyć się w Słońcu? – spytała.

– Tak, w tym rzecz – przytaknął z wahaniem. – Cały proces sprowadza się do tego, aby



odprowadzać nadmiar ciepła szybciej niż jest wchłaniane. Będziemy odprowadzać ciepło Słońca tunelem czasoprzestrzennym, chroniąc zespół sztucznej inteligencji; dokładniej mówiąc, planujemy wykorzystać tę energię jako zastępcze źródło paliwa dla Totha...

Poprawiła się na fotelu, sztywna i ostrożna, jakby bała się, że coś sobie złamie.

– Doktorze Scholes, proszę mi powiedzieć. Czy będziemy spadać swobodnie?

To go zaskoczyło. Spojrzał na nią.

– Podczas tego lotu, w *Jeźdźcu Światł*?

Patrzyła na niego spokojnie, czekała.

– Obecnie jesteśmy na orbicie Słońca, w takiej odległości, że potrzebujemy około trzech godzin na jedno okrążenie... Zrobimy pełne kółko. Potem wrócimy na Totha... Ale całą drogę pokonamy z niewielkim przyspieszeniem, tak że ledwo co poczujesz. Czemu pytasz? – Zawahał się. – Źle się czujesz?

– Nie. Ale nie ręczę za siebie, jeśli przyspieszenie przekroczy kilka g. Widzisz, nie jestem już taka twarda jak kiedyś. – Mówiła zaskakującym tonem, pełnym dezaprobaty pod własnym adresem, smutnym, może z nutką urazy, złości.

Skinął głową i odwrócił się. Zapomniał języka w gębie.

– O rany. – Niespodziewanie uśmiechnęła się, odsłaniając poźółkłe zęby. – Przepraszam, doktorze Scholes. Wiem, działałam nieco onieśmielająco, prawda?

– Nieco. – Uśmiechnął się trochę zbyt szeroko, żeby to mogło być szczere.

– Tak naprawdę, nie wiesz, co masz o mnie sądzić, no nie?

Rozłożył ręce.

– Szczerze mówiąc, sęk w tym, że nie znam twojego zakresu wiedzy. – Zawahał się. – Nie chciałbym się wymądrzać, ale...

– Nie podchodź tak do tego. – Niespodziewanie położyła mu rękę na dłoni; palce miała jak wyschnięte patyczki, ale ta ręka była zaskakująco ciepła, chociaż pomarszczona jak stara skórzana torebka. – Jesteś wspaniałym przewodnikiem. Zakładaj, że nie wiem niczego; traktuj mnie jak głupią turystkę. – Jej uśmiech przeszedł w coś innego, prawie w szelmowską minę, i nagle Scholes przestał mieć wrażenie, że obwozi gościa spoza Galaktyki. – Jak jakiegoś rozpróżnionego polityka, albo nawet szychę z Superet. Na przykład, opowiedz mi o plamach słonecznych.

Roześmiał się.

– W porządku... Żeby to zrozumieć, musisz poznać strukturę Słońca. Jest zbudowane jak matrioszka. W sercu ma potężny reaktor termojądrowy o średnicy trzystu tysięcy kilometrów. Ten rejon – jedna czwarta Słońca – odpowiada za prawie całą jego jasność, energię świetlną.

Dalej jest rzędząca plazma. Fotony – ładunki promieniowania emitowanego z jądra – przechodzą przez tę radiacyjną warstwę, wpadając co jakieś dwa centymetry na neutron lub elektron. Pojedynczy foton potrzebuje milionów lat na przebicie się poza Słońce.

Im dalej od jądra, tym bardziej spada gęstość, temperatura i ciśnienie, aż w końcu – w czterech piątach odległości od środka – elektrony łączą się z neutronami, tworząc atomy. Na tym poziomie atomy są zdolne absorbować energię, w przeciwieństwie do nagich neutronów plazmy.

Można powiedzieć, że fotony z trudem wyrwawszy się z płynnego jądra, uderzają o mur. Cała ich energia jest przechwytywana przez atomy. Gaz nad wspomnianym murem – jak ogrzewany garnek z wodą – reaguje, dokonując konwekcji. Gorąca materia unosi się w górę, chłodna materia opada w dół.

Sonda tunelowa i jej delikatny ładunek będą mogły dotrzeć na spód warstwy konwekcyjnej, pokonując jedną piątą odległości od jądra Słońca.

Skinęła głową.

– A fotosfera, którą widzimy, z jej granulami i supergranulami, to w gruncie rzeczy górna część warstwy konwekcyjnej. To jakby powierzchnia twojego garnka z gotującą się wodą.

– Tak. Właściwości materii w warstwie konwekcyjnej powodują powstanie plam słonecznych. Warstwa konwekcyjna jest mocno naładowana. Pole magnetyczne Słońca jest intensywne, a jego linie sił, każda o przekroju kilkuset metrów, blokują się w tej strefie.

Rotacja Słońca naciąga zablokowane linie, które napinają się pod powierzchnią jak gumki. Na skutek pęcherzy unoszącego się gazu linie sił splatają się w liny i wykręcają pod wpływem konwekcji. Supły lin piętrzą się, wytryskują na powierzchnię i rozprzestrzeniają się, tworząc plamy słoneczne i grupy plam.

Uśmiechnęła się, słuchając wykładu.

– Wiesz, czuję się, jakbym wracała do dzieciństwa. Intensywnie studiowałam heliofizykę. I nie tylko. Pamiętam, jak się tym zajmowałam. Ale... – Westchnęła. – Mam wrażenie, że coraz bardziej wszystko zapominam. Widzisz, doktorze Scholes, Słońce było moim przeznaczeniem. Wiedziałam o tym od dnia narodzin. Dawniej miałam o nim ogromną wiedzę. I niebawem dowiem się równie dużo – dodała niejasno. – Być może więcej niż jakakolwiek żyjąca istota.

Postanowił być z nią szczerzy.

– To niezbyt trzyma się kupy.

– Tak. Tak, pewnie niezbyt – powiedziała ostro. – Ale to bez znaczenia, doktorze Scholes. Masz proste zadanie: pokazać mi widoki, żebym poczuła Słońce z perspektywy człowieka.

Z perspektywy człowieka...?

Odwróciła się. Mimo że miała załzawione oczy, spoglądała nań przenikliwie, prosto w twarz.

– Ale twój niepokój nie jest wywołany moją ewentualną rolą tu, w tym środowisku. Prawda?

– No...

– Nie wiesz, co sądzić o tym, że jestem taka stara. – Znów się uśmiechnęła, celowo – tak mu się zdawało – pokazując groteskowe, pożółkłe zęby. – Widziałam, jak obserwujesz mnie kątem oka... Nie przejmuj się, Kevanie Scholesie, nie obrażam się. Od kiedy weszłam na tę twoją kosmiczną lodówkę, uprzejmie omijałeś temat mojego wieku.

Ogarnęła go złość i zniecierpliwienie.

– Kpisz sobie ze mnie.

– Ależ oczywiście – parsknęła. – Niemniej jednak mówię prawdę, czyż nie?

Pohamował gniew.

– Jakiej reakcji się spodziewałaś?

– Cóż... przynajmniej szczerości. Spodziewałam się co najmniej turpistycznej fascynacji, to jasne. – Uniosła dłonie i przyglądała się im, jakby były artefaktami niezależnymi od reszty ciała; obracała je, prostowała palce. – Jakie to potworne, że to, co teraz jest starzeniem się, powolnym rozkładem, fizycznym i cielesnym, kiedyś było wcieleniem ludzkiego piękna. Fizyczna degrengolada jest najbardziej poniżająca... Mam wrażenie, że moje ciało deprecjonuje moją świadomość, gdy okresami muszę poświęcać cały swój czas wyłącznie na zaspokajanie jego natrętnych, poniżających potrzeb... – Zmarszczyła brwi. – Ale być może TDS bardziej zubożyła nasz gatunek niż go wzbogaciła. Jakkolwiek na to spojrzeć, przecież najbardziej próżne osobniki, czy najbardziej złaknione

kontaktów, nie chcą być spetryfikowane... powinnam powiedzieć stedeesowane... poniżej, powiedzmy, cielesnej sześćdziesiątki. Tak więc wszystkie znaczące kontakty międzyosobnicze nie przekraczają granicy marnych sześciu dziesiątków lat.

Wziął głęboki oddech.

– Ależ ty musisz być cielesnie... osiemdziesięciolatka?

Jej usta zadrżały.

– To całkiem trafna ocena jak na kogoś, kto poprzednio nigdy nie spotkał nikogo naprawdę starego... ani nieszczęśnika, który nie poddał się terapii desenektyzacyjnej. Jeśli dobrze pomyśleć, to są ludzie w ich naturalnej postaci, ale nasza społeczność traktuje ich jak zadzumionych. Z lękiem i z dystansem.

– Czy to właśnie cię spotkało? spytał łagodnie.

– Czy nie poddałam się terapii desenektyzacyjnej? – Przypominające zmięty papier policzki zadygotały i znów dostrzegł urazę, głęboki gniew, ukrywane pod kruchą, niepokojącą powierzchownością. – Nie. Nie całkiem.

Położył rękę na jej ramieniu.

– Popatrz... przed siebie.

Na nieskończenie płaskim horyzoncie zarysował się kształt wyrosły z fotosfery. Przypominał wiadukt. Tworzył serię łuków i pętle płonącego szkarłatem gazu, biegnące po powierzchni Słońca.

Kolejny raz poczuła, że coś dławi ją w gardle.

Sprawdził ekran kontrolny.

– Protuberancje. Długie na sto sześćdziesiąt tysięcy kilometrów, wysokie na trzydzieści tysięcy. – Sprawdził kurs. – Jesteśmy zaledwie szesnaście tysięcy kilometrów nad powierzchnią. Wkrótce przelecimy pod jednym z tych łuków.

Zachwycona klasnęła w ręce i nagle wydała się zdumiewająco, niepokojąco młoda – jak dziecko uwięzione w gnijącej łupinie ciała.

Niebawem łuk, pod którym mieli przelecieć, rozrósł się niepomiarowo, a inne zaczęły się zamykać. Był to wynik zmiany perspektywy obserwatorów. Scholes zdał sobie sprawę, że obecność tych gigantów zniekształca skalę wielkości; zbliżali się z nieskończoną powolnością, a one nadal rosły, wystrzeliwując ze Słońca jak obiekty wyśnione przez jakiegoś szalonego konstruktora. Zaczął rozróżniać szczegóły – w pewnych miejscach łuki nie były kompletne i dostrzegał skupiska o większej gęstości, tam płonęły gazy korony słonecznej, spływając ku rozlewiskom światła u podnóża torami kształtowanymi pod wpływem pola magnetycznego. Jednakże wszystkie te przemiany i tak nie mogły zniweczyć iluzji, iż to nie twór natury, ale jakiegoś nieprawdopodobnie przebiegłego umysłu, co było tym bardziej onieśmielające.

W końcu łuk pochłoniął ich; bezmierny, wyniosły, majestatyczny.

– Szerokość osiem tysięcy kilometrów – rzekł powoli Kevan. – Pomyśleć tylko, można by tu zawiesić Ziemię u zwieńczenia, jak bombkę choinkową.

Parsknęła i zakryła usta odwróconą dłonią.

Spojrzał na nią z ciekawością. Powoli zdał sobie sprawę, że ona chichocze!

Przemykali pod łukiem; rozległa budowla gazowa niespiesznie przesuwała się obok.

Pilot sprawdził wskaźniki.

– Prawie zakończyliśmy oblot. Cztery miliony osiemset tysięcy kilometrów wielkiego okręgu słonecznego pokonane w trzy godziny...

– Więc nasza podróż ma się ku końcowi.

Znów złożyła grzecznie dłonie na podółku i odwróciła twarz ku przejrzystej ścianie. Światło korony obrysowało jej profil, tak że wydawała się zamyślona i zadziwiająco młoda.

Nagle ogarnęło go współczucie wobec tej samotnej, zgorzkniałej kobiety, którą wiek, kruchość i, jak podejrzewał, jakaś o wiele bardziej dramatyczna tajemnica... odseparowały od reszty ludzkości.

Starał się ją pocieszyć.

– Jeszcze godzina i będziesz bezpieczna w habitacie. Tam poczujesz się o wiele wygodniej niż tu. I...

Odwróciła się do niego. Nie uśmiechała się, ale złagodniała, jakby rozumiała jego intencje. Znów pogładziła go po dłoni i ten przyjazny gest okazał się elektryzujący.

– Dziękuję za cierpliwość, doktorze Scholes. Zalażłam ci trochę za skórę, prawda?

Zmarszczył czoło, zakłopotany.

– Nie wydaje mi się, żebym był cierpliwy.

– Och, wręcz przeciwnie, wręcz przeciwnie.

Ciekawość płonęła w nim tak, jak jądro Słońca ulegające reakcjom termojądrowym i oświetlające Wszechświat.

– Jesteś w środku tego wszystkiego, prawda? Chodzi mi o program Superet. Nie rozumiem twojej roli... Ale to chyba prawda?

Nic nie odpowiedziała, ale nie cofnęła ręki.

Zmarszczył brwi.

Była taka krucha!

– I co czujesz w związku z tym wszystkim?

– Co czuję? – Zamknęła oczy. – Wiesz, chyba nikt wcześniej mnie o to nie spytał. Co czuję? – Westchnęła urywanie. – Lęk. Oto, co czuję, doktorze Scholes.

Zacisnął palce na jej ręce.

Poczuł subtelne drgnięcie u podstawy kręgosłupa. Silnik *Jeźdźca Światła* odezwał się basową wibracją w komórkach jego ciała.

Statek powoli oddalał się od wrzącej powierzchni Słońca.

## Rozdział 4

Flitter wypadł z migotliwego interfejsu kończącego tunel czasoprzestrzenny, drogę tranzytową między Stacją Sol a Stacją Ziemia. Louise Ye Armonk wyrzała z ciasnej kabiny, szukając wzrokiem ojczystej planety ludzi. Mark siedział obok, z ekranem książkowym na kolanach.

Stacja Ziemia była rojem interfejsów tunelowych skupionych wokół L4 – jednego z pięciu ruchomych punktów, stałych grawitacyjnie względem siebie (dzięki, monsieur Lagrange!) w układzie Ziemia – Księżyc, towarzyszącego Księżycowi na jego orbicie wokół Ziemi pod kątem sześćdziesięciu stopni. Z tego miejsca Ziemia wyglądała jak pękaty niebieski dysk; bramy tuneli czasoprzestrzennych wszelkich rozmiarów przesuwały się przed obliczem starej planety jak neonowe, czworościenne płatki śniegu.

Dwuosobowy flitter sunął bezbłędnie przez kłęb interfejsów, płataninę ruchu transkosmicznego, odbywającego się bez końca przez wielkie interfejsy. Tu, w sercu Układu, Louise wyczuwała gwałtowną, drażniącą ruchliwość, prosperity, aktywność, przeciwnie niż w osamotnionym pierścieniu zewnętrznym.

Przy standardowym przyspieszeniu rzędu 1 g ostatni etap z L4 na Ziemię powinien zająć tylko sześć godzin i Louise już miała wrażenie, że stara planeta, brzemenna i zielona, zbliża się szybko, jakby wynurzając się spomiędzy zawilej sieci interfejsów. Wielkie stacje paliwowe – zbudowane z lodowych brył przyholowanych na orbitę Ziemi z pasa asteroid i z dalszej przestrzeni – migotały, kiedy przesuwali się nad szmaragdowymi oceanami. Sama planeta tryskała światłem lądów i mórz. Przez cienki pierścień atmosfery nad biegunem północnym przebijał się słaby purpurowy blask ogromnego radiatora łukowego, rozpraszającego lasera chłodzącego, który wyrzucał ułamek ziemskiego ciepła odpadkowego w bezdenne śmietnik przestrzeni kosmicznej.

Było to idiotyczne, ale kiedy Louise przyglądała się powoli obracającej się planecie, czuła, jak coś rośnie jej w gardle. W takich chwilach nie mogła się powstrzymać, aby nie ślubować sobie w duchu, że będzie spędzać więcej czasu tu, w żywotnym rdzeniu Układu, niż na jego opuszczonym pograniczu. *Ale tam jest stocznia Północnej* – skarciła się surowo w duchu. Miała obowiązki. Do cholery, starała się wyekwipować statek kosmiczny! Nie dysponowała czasem ani energią na rejsy na Ziemię i zabawy w zgadywanki z jakimiś niewidzialnymi władzami.

Mrucząc nieprzyjaźnie pod nosem, oparła głowę o zagłówek fotela i próbowała zasnąć. Mark, cierpliwy i beznamiętny, wywołał nową stronę na ekranie książkowym.

Statek wylądował w Ameryce Północnej, potrzebując na przebycie całych sześciu miliardów kilometrów od Stacji Sol zaledwie trzynastu godzin. Flitter zaniósł ich w sam środek Nowego Jorku, na małe lądowisko przy Central Parku. Louise dostrzegła dwoje ludzi – mężczyznę i kobietę, zbliżających się po świeżo skoszonej trawie.

Autopilot nakazał pasażerom udać się do pobliskiego, nie rzucającego się w oczy, szarego pawilonu.

Louise i Mark wyszli na słońce. W Nowym Jorku była wiosna. Park otaczały wysokie, wiekowe drapacze chmur, przesłaniane startującymi flitterami. Niedaleko widniały miejskie kopuły z trwale maskowanego węgla, osłonięte drzewami rosnącymi w środku parku. Taka kopuła była budowana z suchego lodu i sięgała na wysokość trzystu sześćdziesięciu metrów; maskowanie było starym pomysłem Superet. Każda kopuła zawierała pięćdziesiąt milionów ton dwutlenku węgla przebiegle pozyskanego z powietrza, zamrożonego i osłoniętego dwujardową warstwą wełny żuźlowej.

Mark uniósł twarz ku Słońcu i odetchnął pełną pierśią.

– Mmm. Kwitnące wiśnie i świeżo skoszona trawa. Uwielbiam ten zapach.

– Naprawdę? – parsknęła Louise. – Nie wiedziałam, że dzikie wiśnie kwitną na Tytanie.

– Mamy kopuły – usprawiedliwił się. – A zresztą każda istota ludzka ma prawo być sentymentalna w wiosenny dzień w Nowym Jorku. Popatrz na chmury, Louise. Czyż nie są piękne?

Podniosła wzrok. Wysoko po niebie sunęły postrzępione ciemne chmury. Za nimi świeciła masa punkcików: habitaty i fabryki w ziemskim otoczeniu. Był to piękny widok, ale w zupełności sztuczny. Louise widziała o tym. Nawet chmury były fałszywkami; nasączano je detergentem minimalizującym rośnięcie kropli wody. Małe kropelki odbijały więcej światła niż duże i chmury o przedłużonej żywotności skutecznie neutralizowały nadmierne oddziaływanie Słońca.

I to byłby koniec wzruszeń. Panowała wszechwładna sztuczność.

Louise opuściła głowę. Jak zawsze po powrocie na Ziemię czuła się zdezorientowana otwartością nieba – miała przemożne wrażenie, że cienka warstwa niebieściutkiego powietrza nie zabezpiecza jej, jak należy, przed groźnym naporem kosmosu.

– Rusz się – powiedziała do Marka. – Miejmy to z głowy.

Zgodnie z instrukcjami udali się do pawilonu. Pozornie był zbudowany z cegły, miał trzy metry wysokości, niskie wejście w środku frontowej ściany.

Dwie grupki przybyszów z zaciekawieniem mierzyły się wzrokiem.

Nieznajomy mężczyzna wysunął się przed towarzyszkę, trzymając ręce za plecami. Był chudy, wysoki, fizycznie pięćdziesięciolatek; wyblakłą skórę czaszki otaczał wianuszek siwych włosów. Spoglądał prosto w oczy Louise.

– Znam cię z fotografii – odezwał się.

Uniosła brwi.

– Tak? Jesteś...

– Nazywam się Uvarov. Garry Benson Uvarov. – Wyciągnął dłoń; jego głos miał płaską, bezbarwną intonację starych kolonistów lunarnych. – Zajmuję się eugeniką. Moja towarzyszka... – Wskazał kobietę, która podeszła bliżej. – To Serena Milpitas.

Uśmiechnęła się szeroko. Była pulchna, ale tchnęła energią i zdecydowaniem. Fizycznie czterdziestolatka, o krótko obciętych włosach.

– Dokładnie Serena Harvey Gallium Harvey Milpitas. Inżynier.

Uvarov wpatrywał się w Louise. Miał zaskakująco błękitne tęczęwki.

– Bardzo miło cię poznać, Louise Ye Armonk. Z zainteresowaniem śledziłem budowę twojego statku kosmicznego. Ale jestem zapracowanym człowiekiem. Z przyjemnością dowiedziałbym się, czemu nas tu wezwałaś.

– Ja też – warknęła Milpitas. Miała nosową, leniwą wymowę Marsjanki.

Louise była zdezorientowana.

– Czemu was wezwałaś...?

Mark podszedł bliżej i przedstawił się.

– Sądzę, że to jakaś pomyłka, doktorze Uvarov. Jesteśmy równie nie wprowadzeni w sprawę jak ty. Nas także wezwano.

Louise wpatrywała się w Uvarova, pełna irracjonalnej niechęci.

– Właśnie. I założę się, że musieliśmy lecieć większy kawał drogi niż ty.

Mark miał kwaśną minę.

– Jeden zero dla ciebie, Louise. Dobra robota. Chodźcie. Wygląda na to, że jest tylko jeden sposób na ten interes: odwalić go.

Ruszył pewnym krokiem do pawilonu.

Pozostali, przyglądając się sobie podejrzliwie, poszli w jego ślady.

Louise minęła przysadziste otwarte wejście i natychmiast pochłonął ją mrok ogromnej przestrzeni.

Usłyszała, jak Mark wciąga gwałtownie oddech. Zatrzymał się krok za nią. Odwróciła się. Zadarł głowę ku ciemnej kopule; sunąca wąska chmura łososiowej barwy (jak nad Jowiszem?) oświetliła mu twarz, złagodziła cienie sztucznie odmłodzonej twarzy. Ujęła go za rękę. Była wąska, zimna.

– Nie daj się nabrać – szepnęła. – To wyłącznie trik. Wirtualna sztuczka. Komuś zależy na tym, żeby wytrącić nas z równowagi.

Wysunął rękę z jej uścisku, lekko drapiąc paznokciami wnętrze jej dłoni.

– Wiem. Na Letę, nigdy nie przestaniesz traktować mnie jak dziecko?

Chciała go przeprosić, ale coś ją powstrzymało.

Uvarov przyspieszył kroku – zapewne miał nadzieję, że w ten sposób zaskoczy operatorów wirtuala. Ale proporcje ściany i dachu ogromnej hali nie zatraciły się, cienie i niewidoczne do tej pory szczegóły ujawniały się płynnie, z niezachwianym wdziękiem.

Czwórka ludzi znalazła się pod półsferą liczącą dziewięćdziesiąt metrów długości. W środku była sterownia. Przed nią fotele z rozkładanymi oparciami. Panele sterujące obejmowały terminale zasobów danych i klawiatury do ich obróbki. Resztę hali dzieliły przepierzenia sięgające na wysokość barków, między którymi były laboratoria, kambuz, minisiłownia, sypialnia i sferyczny przejrzysty balon, kabina prysznicowa. Louise uznała, że najwyraźniej służyła do użytku w warunkach nieważkości.

W sypialni znajdowało się niskie jednoosobowe łóżko. W oczy rzucał się brak wystroju – nic nie zdradzało cech osobowości lokatora. Żadnych wygód, na przykład pomieszczeń rozrywkowych. Nawet siłownia była wyłącznie funkcjonalna: naga, otwarta trumna otoczona pneumatycznym symulatorem atlasu. Halę zabarwiały jedynie diody końcówek komputerowych i chmura świecąca nad kopułą.

Serena Milpitas podeszła do Louise; jej obcasy zastukały głośno na twardej podłodze. Musnęła czubkami palców pulpit terminalu.

– To wysokiej jakości projekcja wirtualna wykorzystująca inteligentny materiał powierzchniowy – powiedziała. – Pomacaj.

– Nie muszę – odparła zrzędlawie Louise. – Wiem, co to jest. Cholera, nie w tym rzecz. Oczywiście, pokazuje się nam kopułę mieszkalną statku fazowego – małego, ograniczonego, prymitywnie zaprojektowanego w porównaniu z moją *Północną*, niemniej jednak statku fazowego. I...

Neonowe niebieskie światło zalało kopułę. Ten oślepiający wybuch ogarnął wszystko; Louise

skuliła się. Jej cień – ostry, czarny, całkowicie sztuczny – zerkał na nią szyderczo.

Uniosła głowę. Nad przezroczystą kopułą przesunął się sztuczny twór – niebieski jaśniejący czworościan – i minął jowiszową chmurę. Krawędzie czworościanu zbudowano z jarzących się prętów. Na pierwszy rzut oka konstrukcja wydawała się ażurowa, ale Louise dostrzegła niewyraźne, świetliste brązowo-złote membrany wypełniające boki. Na tych membranach widniały nęcące wizerunki galaktyk i słońc, które nigdy nie płonęły nad Jowiszem.

– Interfejs tunelu czasoprzestrzennego – szepnęła Milpitas.

– Oczywiście – powiedział Uvarov. – Tak więc jesteśmy w wirtualnym statku fazowym żeglującym w kierunku tunelu czasoprzestrzennego na orbicie wokół Jowisza. – Odwrócił się do Louise, nie ukrywając irytacji i bezradności. – Nie zrozumiałaś jeszcze tego? – Wskazał dłonią. – Znaczenia tej żalösnej sztuczki?

Uśmiechnęła się.

– Jesteśmy na *Krabie Pustelniku*, nieprawdaż? Na statku Michaela Poole’a.

– Tak. Tuż przed tym jak *Krab* dostał się do interfesju, zabijając swojego kapitana.

– Nie całkiem.

To był głos nowej osoby, dobiegający ze sterówki w centrum kopuły. Jeden z foteli odwrócił się powoli i dzwignął się z niego jakiś człowiek. Podeszedł do nich, wchodząc w rozjarzone, niebieskie światło interfesju.

– Prawdę mówiąc, nie wiemy, czy Poole zginął, czy nie. Na pewno zaginął. Niewykluczone, że nadal żyje – chociaż trudno powiedzieć, co znaczy słowo „nadal”, kiedy pokonuje się zaburzenia czasoprzestrzenne o rozpiętości stuleci. – Uśmiechnął się. Był chudym, znużonym mężczyzną, fizycznie sześćdziesięcioletkiem. Nosił szarobury kombinezon.

Jego twarz i ubiór były uderzająco znajome. Louise poczuła nieproszony napór setek wspomnień.

– Znam cię – rzekła powoli. – Pamiętam cię. Pracowałam z tobą. Ale zgubiłeś się w czasie...

– Nazywam się Michael Poole – przedstawił się mężczyzna.

Lieserl chciała umrzeć.

Mijał dziewięćdziesiąty dzień jej życia, a fizycznie była dziewięćdziesięcioletką. Niewyobrażalnie wątpa, nie mogła chodzić, sama jeść ani nawet się umyć. Zauważyła z pogardą, że bezimienni ludzie, którzy się nią opiekowali, niemal spóźnili się z przetransferowaniem danych. Już raz najedli się strachu, kiedy jakimś sposobem dostała infekcji płucnej, która prawie ją zabiła.

Była stara – wiekiem prześcignęła najstarszego człowieka Układu. Miała wrażenie, że dryfuje pod wodą. Zmysły prawie odmawiały jej posłuszeństwa. Niemal nic nie czuła, nie miała smaku ani nie widziała, jakby tonęła w jakiejś zabójczej śluzowatej zawieszynie. I zawodził ją umysł. Pod koniec zaczęła zdawać sobie z tego sprawę.

Przeżywała upiorną odwrotność swojego przyspieszonego dzieciństwa; co rano budziła się ogołociona z kolejnego strzępka swego „ja”. Z czasem zaczęła koszmarnie lękać się zasypiania, a przecież sen był od niej silniejszy.

I każdego dnia łóżko wydawało się jej za duże.

Ale zachowała dumę; buntowała się przeciw tej haniebnej sytuacji. Nienawidziła tych, którzy do tego doprowadzili.

Ostatnia wizyta matki w habitacie na kilka dni przed transferem danych była czymś absurdalnym. Lieserl półślepy, zażawionymi oczami ledwo mogła rozpoznać Fillidę – młodą zapłakaną kobietę,



niespełna kilka miesięcy starszą niż wtedy, kiedy uniosła swoje niemowlę ku Słońcu.

Nie mogła przebaczyć matce tego, że zgodziła się na jej sztuczną egzystencję, na to, aby ukrywano przed nią, kim jest, i nawet dane o Superet, aż inni uznają, iż jest gotowa.

Przekląła Fillidę i kazała jej odejść.

W końcu zabrano ją wraz z łóżkiem do komory transferu danych w sercu Totha. Pokrywa komory, niepokojąco przypominająca wieko trumny, zamknęła się nad jej głową. Opuściła powieki, czując swoje porzucone, wątłe ciało.

A potem...

To była eksplozja doznań. To było jak przebudzenie z uśpienia więcej – o wiele więcej.

Jej ośrodek świadomości nadal przebywał w tym samym, pozbawionym wdzięku pokoju szpitalnym wewnątrz okołosłonecznego habitatu. Stała, oglądając komorę... nie, powoli zdała sobie sprawę, że nie stała; tak naprawdę przestała czuć własne ciało...

Weszła w stan odcieleśniony, dyskorporalny. Ogarnęła ją chwilowa panika.

Ale lęk szybko ustąpił, kiedy rozejrzała się nowymi oczami.

Ponura, wyzbyta wdzięku komora wydała się tak promienna jak złote dni dzieciństwa spędzane z rodzicami na pustej plaży, kiedy jej wrażliwość była tak ostra, że mała Lieserl niemal roztopiała się w otaczającym ją świetle. W jednej chwili znów stała się młoda, a każdy jej zmysł był wrażliwy i czujny.

I dojrzała Lieserl z wolna uświadomiła sobie, że teraz dysponuje nowymi zmysłami – przekraczającymi ludzką wrażliwość. Widziała fotony promieniowania rentgenowskiego fotosfery Słońca przenikające pancierz habitatu, przygaszone promieniowanie podczerwone bijące z brzuchów i głów ludzi pracujących wokół jej porzuconego ciała – i gasnący blask samej zimnej skorupy.

Zagłębiła się w siebie. Zdała sobie sprawę, że zachowała wspomnienia ze starego ciała, poprzedzające moment transferu danych; ale różniły się jakościowo od tego, co teraz pozyskiwała. Ograniczone, częściowe, subiektywne, niedoskonale zarejestrowane – przypominały wyblakłe reprodukcje.

Umarła i wstała z martwych. Ogarnęła ją litość dla osoby, która kiedyś mieniła się być Lieserl.

Sprawność jej zmysłów była wyjątkowa. Jakby znów stała się dzieckiem. Przepełniona radością zanurzyła się w obiektywnej rzeczywistości otaczającego Wszechświata.

Oczywiście. Był wirtualnym wizerunkiem. Wirtuałem! Louise przeżyła druzgocący zawód.

Uvarov parsknął:

– To jakiś idiotyzm. Przedstawienie. Przez was tracę czas.

Zbity z tropu wirtualny Poole przestał się uśmiechać.

– Dlaczego?

– Czytałem o Michaelu Poole'u. I wiem, że nie cierpiał wszelkiego rodzaju wirtualów.

Wirtualny Poole gruchnął śmiechem.

– W porządku. Więc ta imitacja jest kamieniem obrazy; uważasz, że Poole sprzeciwiłby się czemuś takiemu. No cóż, może. Ale przynajmniej poświęciliście mi swoją uwagę.

Milpitas położyła dłoń na ramieniu Uvarova.

– Doktorze, czemu się tak cholernie zjeżyłeś? Nikt nie robi ci krzywdy.

Uvarov wyrwał się z uścisku.

– Ona ma rację. – Wirtualny Poole zaprosił gości na fotele w środku kopuły. – Czemu nie

usiądziecie? Może macie ochotę na drinka albo...

– Nie chcę siadać – powiedziała chłodno Louise. – I nie mam ochoty na drinka. Czy ja jestem dzieckiem, które można olśnić pokazem fajerwerków? – Kiedy to mówiła, zauważyła, że interfejs sunący w przestrzeni kosmicznej nad ich głowami zastygł w chwili, w której wirtualny Poole wstał z fotela; niesamowite światło spływało na ludzkie sylwetki. Tworzyło żywy obraz, zawieszając je w beczasowości. Poczowała mętlik w głowie, niepewność. *To nie jest Michael Poole* – pomyślała. Ale wszystkie wirtuale były do pewnego stopnia świadome. *Poole żyje w pamięci tego wirtuala* – zreflektowała się, chociaż miała ochotę go rozbić, zniszczyć. – Do cholery, taniej byłoby zabrać nas na samego Jowisza niż wystawiać tę farsę tu, na Ziemi.

– Może – odrzekł wirtualny Poole. – Ale ta diorama jest nie tylko na pokaz. Mam wam coś do zademonstrowania. Wydawało się, że najlepiej będzie zrobić to w takim otoczeniu. Cierpliwości, a przekonacie się sami.

Louise zacisnęła zęby.

– Cierpliwości? Buduję statek kosmiczny. Powinnam być na Stacji Sol, przy *Północnej*, a nie tkwić w Nowym Jorku i gadać z jakąś cholerną lalą.

Poole drgnął, autentycznie zraniony. Louise ogarnęło obrzydzenie do samej siebie.

– Ja też pracuję nad projektami, które bez mnie utkną w miejscu – stwierdził Uvarov.

Światło barwy nieba nikło w okolicach kości policzkowej i szczęki Poole'a, przechodziło w ostre cienie.

– Ta symulacja ma posłużyć kilku celom, między innymi dyskrecji. Zrozumcie, tylko częściowo jestem panem samego siebie, niemniej jednak zachowuję niezależność w tym otoczeniu. Nie ma tu żadnych łącz przepływu danych przychodzących ani wychodzących, po całej rozmowie nie zostanie żaden zapis, chyba że dokona tego ktoś z was.

– Ale czemu mielibyśmy ci wierzyć? – prychnęła Milpitas. – Nadal nie wiemy, kogo reprezentujesz.

Usta wirtualnego Poole'a zeszywniały z gniewu.

– Teraz to wy zachowujecie się idiotycznie. Czemu miałbym kłamać? Louise Ye Armonk, mam dla ciebie propozycję, wyzwanie... W gruncie rzeczy dla was wszystkich. Możecie go nie podjąć. Z pewnością nie będziecie do niczego zmuszani. Dlatego spotykamy się w tajemnicy. Jeśli odmówicie, nikt się nie dowie.

– Pieprzenie w bambus – zawarczał Uvarov. Różowe światło Jowisza odbijało się od łysej czaszki. – Daj spokój zagadkom i przejdź do rzeczy. Kto za tobą stoi, Poole?

Przez krótką chwilę wirtualny Poole miał zboląłą minę – jakby był za bardzo zmęczony na takie konfrontacje. Louise pamiętała, że chociaż Michael Poole zgodził się na TDS, uparcie sprzeciwiał się zabiegowi przystosowania świadomości. Ludzie jego pokroju głęboko obawiali się obróbki pamięci i trzymali się jak najdalej od stołów ładowarkowych, nawet wtedy kiedy ich pamięć, zamulona przez dziesięciolecia używania, wchodziła w fazę degeneracji.

Wirtualny Poole jakby się otrząsnął.

– Powiedzcie mi, ile wiecie.

Zabrał głos Mark.

– Bardzo niewiele. Władze Stacji Sol przekazały nam wezwanie, że mamy się tu zjawić. – Uśmiechnął się. – Odnieśliśmy wrażenie, że nie pozostaje nam nic innego, jak to zrobić. Ale nie było jasne, kto wydał polecenie ani do czego jesteśmy potrzebni.

Milpitas i Uvarov potwierdzili, iż oni też dostali podobne wezwanie.

– Ale było oczywiste, że wysłał je ktoś ważniejszy niż kapitan stacji – dodała sucho Louise.

Wirtualny Poole potarł nos. Cienie przesunęły się po jego dłoni.

– Tak – powiedział. – I nie. Niewątpliwie słyszeliście o nas. Nie podlegamy Stacji Sol ani żadnemu pojedynczemu narodowi. Jesteśmy prywatną korporacją, ale o charakterze non-profit. W części wspiera nasz ONZ, ale również większość indywidualnych narodów-państw Układu. I różnorodne korporacje, które...

Louise przyglądała mu się podejrzliwie.

– Kim jesteście?

Twarz Poole'a zeszywniała i Louise zastanowiła się, jakim restrykcjom podlega wolna wola tego wirtuala. *Na Letę, nie cierpię tej technologii desenektywizacyjnej* – pomyślała. – *Poole nie zasługuje na takie potraktowanie.*

– Jestem reprezentantem grupy Superet. Superet, Święty Kościół Światłości...

– Superet. – Mark uśmiechnął się. Chyba poczuł ulgę. – Nikt inny? Superet to organizacja całkiem nieszkodliwa. Prawda?

– Może. – Wirtualny Poole uśmiechnął się. – Nie wszyscy się z tym zgadzają. Superet jest znana ze swoich dawnych inicjatyw zmierzających do przekształceń Ziemi. Ale nie wszystkie inicjatywy Superet sprowadzają się do budowy kul suchego lodu. Niektóre są bardzo... ambitne. Choć nie każdy uważa, że przedsięwzięcia zakrojone na tak długi okres powinny być wdrażane.

Louise wysunęła głowę, jakby chciała dosłownie przewiercić wirtuala wzrokiem i dojrzeć, co kryje się za jego pozbawioną wyrazu twarzą.

– Jaki długi okres? Jak daleko sięgający?

– W nieskończoność – odparł spokojnie wirtualny Poole. – Zwolennicy Superet to ludzie, którzy pragną zainwestować w przetrwanie gatunku ludzkiego, Louise.

Zapadła długa cisza.

– O rany. – Milpitas pokręciła głową. – Nie wiem, jak wy, ale ja muszę sobie usiąść. I co z tym drinkiem, Poole?

## Rozdział 5

Lieserl wisiała w Słońcu.

Rozłożyła szeroko ramiona i uniosła twarz. Znajdowała się głęboko wewnątrz strefy konwekcyjnej, szerokiego płaszcza turbulentnej materii poniżej jarzącej się fotosfery. Komórki konwekcyjne większe niż Ziemia, oplatanie linami sił pola magnetycznego, wypełniały przestrzeń jak bogaty, zmienny, trójwymiarowy gobelin. Huczały wielkie fontanny gazu, roznosiła się woń zatęchłych fotonów wytryskujących z odległego jądra w kosmos.

Czuła się tak, jakby znalazła się sama w ogromnej pieczarze. Patrząc w górę, widziała fotosferę, płonący dach nad jej światem, jakieś osiemdziesiąt tysięcy kilometrów wyżej, a strefa radiacji była świetlistym, nieprzenikalnym morzem kolejnych osiemdziesiąt tysięcy kilometrów – tym razem w dół. Ta druga strefa była kulą plazmy zajmującej osiemdziesiąt procent średnicy Słońca – łącznie z ukrytym głęboko jądrem, w którym zachodziły reakcje termojądrowe – a warstwa konwekcyjna stanowiła stosunkowo ciekawą otoczkę plazmy. W porównaniu z tymi pokładami fotosfera tworzyła cieniutką warstewkę na granicy kosmosu. Lieserl widziała wielkie fale przebiegające po powierzchni radiacyjnego morza, tworzone w wyniku zmieniającej się grawitacji i przypominające oceany na Ziemi. Wierzchołki fal ciągnęły się przez tysiące kilometrów i utrzymywały całe dni.

– Lieserl? Słyszysz mnie? Dobrze się czujesz?

Przycisnęła ramiona do boków i śmignęła w przestrzeń strefy konwekcyjnej, robiąc salto w tył. Podłoże i sklepienie jej pieczary zawirowały wokół niej. Wchłaniała ten świat świeżo pozyskanymi zmysłami; zawirowania gazu o niemal ziemskiej gęstości pieściły jej skórę, a twarde, tryskające z jądra fotony jedynie łagodnie ogrzewały twarz.

– Lieserl...?

Powstrzymała się, aby nie westchnąć.

– Tak. Tak, Kevan. Czuję się świetnie.

– Do cholery, Lieserl, masz odpowiadać jak należy. Sytuacja już jest dość trudna, żeby...

– Wiem. Przepraszam. A jak ty się czujesz?

– Ja? Doskonale. Ale nie w tym rzecz, prawda? Daj spokój, Lieserl, zespół zaczyna mnie naciskać; przeróbmy testy.

– Chcesz powiedzieć, że nie siedzę tu dla zabawy?

– Testy, Lieserl.

– W porządku. Dobra, najpierw elektromagnetyzm. – Wyregulowała sensorium. – Jestem zanurzona w ciemności – powiedziała sucho. – Radiacja w całym paśmie jest bardzo słaba, może poza promieniowaniem rentgenowskim fotosfery; przypomina to trochę niebo tuż przed zmierzchem. I...

– Daj spokój, Lieserl. Wiemy, że układy działają zgodnie z wymaganiami technicznymi. Chcę wiedzieć, co widzisz, co czujesz.

– Co czuję?

Rozłożyła ramiona i sunęła w tył, przez fale otaczającego ją gazu. Znów otworzyła oczy.

Wielkie, niestałe komórki konwekcyjne wokół niej sięgały od fotosfery do podstawy strefy konwekcyjnej; tłukły się o siebie jak żywe stworzenia, ogromne wieloryby w tym ulotnym morzu gazu. Ich nieustanna aktywność była powodowana przepływem wysokoenergetycznych fotonów ze wzbudzonej plazmy.

– Czuję się cudownie – powiedziała. – Widzę fontanny. Wszędzie jest ich pełno.

– Dobrze. Mów dalej, Lieserl. Wiesz, co chcemy tam osiągnąć; twoje zmysły – wirtualne zmysły – składają się z najrozmaitszych urządzeń wejściowych. Widzę, że poszczególne elementy funkcjonują. Muszę się jednak dowiedzieć, jaka jest skala integracji wirtualnego ośrodka zmysłów, sensorium, z...

– Jasne. – Przewróciła się na brzuch i ślizgała się twarzą w dół, obserwując morze plazmy.

– Lieserl, co teraz?

Kolejny raz wyregulowała wzrok. Uwydatniły się linie sił pola magnetycznego, pojawiając się z niczego; leżąca niżej sfera konwekcyjna stała się niewyraźna, zamazana.

– Widzę pole magnetyczne – zgłosiła. – Widzę to, co chcę. Każdy element sensorium chyba działa, jak powinien; mogę w tym świecie obejrzeć wszystko, co zechcę.

– W świecie...?

– Tak, Kevan. – Podniosła wzrok ku fotosferze, symbolicznej barierze oddzielającej ją na zawsze od Wszechświata ludzkości.

– Może. Tylko się tam nie zgub, Lieserl.

– Nie zgubię się.

Miała wrażenie, że słyszy w jego głosie sympatię i, znając Kevana, pewnie się nie myliła. Zbliżyli się do siebie podczas tych paru dni po oblocie wokół Słońca.

Ale nie miała pewności. Łączność między nimi biegła tunelem czasoprzestrzennym, od jednego interfejsu umieszczonego między habitatami a Słońcem do drugiego, zrzuconego w głąb Słońca, który teraz był jej oparciem. Linie łączności były pomysłowe i wydawały się godne zaufania, ale nie za bardzo nadawały się do przekazywania pełnej skali intonacji.

– Opowiedz mi o liniach sił pola.

Miały po dziewięćdziesiąt metrów szerokości i płynęła nimi energia magnetyczna; liczyły tysiące kilometrów długości i wypełniały przestrzeń wokół niej aż do morza plazmy.

Lieserl zanurzyła się w jedną z linii sił; poczuła łaskotanie wzmożonego pola magnetycznego. Opuściła głowę i zapuściła się dalej, mknąc wzdłuż zakrzywionych łagodnie ścian.

– Jest fantastycznie – powiedziała. – Jestem w ogromnym tunelu, jak podczas jazdy kolejką górską w lunaparku. Mogłabym tak okrążyć Słońce.

– Może. Nie wiem, czy potrzeba nam tych poetyckich uniesień, Lieserl. Co z innymi liniami sił? Nadal je widzisz?

– Tak. – Odwróciła głowę i prądy wzbudzone w wirtualnym ciele sprawiły, że przez twarz przebiegł jej dreszcz radiacji. – Widzę setki, tysiące linii biegnących łukiem w powietrzu.

– Jakim powietrzu?!

– W gazach strefy konwekcyjnej. Inne linie sił są mniej więcej równoległe do mojej. – Szukała sposobu opisanego tego wrażenia. – Czuję się, jakbym ślizgała się po czaszce jakiegoś giganta, Kevan, sunąc wzdłuż jego włosów.

Scholes roześmiał się.

– Hm, niezła metafora. Linie sił mogą się splątać albo popękać, ale nie przecinać. Dokładnie jak włosy.

– Wiesz, to jest prawie relaksujące...

– To dobrze.

Znów wyczuła ten ton sympatii – a może litości? – w jego głosie.

– To miłe, że czujesz się... hm... szczęśliwa, Lieserl.

Napawała się suchym powiewem magnetycznego pływku, który pieścił policzki ostro, mocno, energicznie.

– To sprawa mojego nowego „ja”. No cóż, sam przyznasz, że w porównaniu ze starym to niebo, a ziemia.

Teraz linie sił odginały się nieustannie w prawo; musiała się spłaszczyć, aby nie przebić niematerialnych ścian.

Sunąc dalej, zdała sobie sprawę, że porusza się po spirali. Rozluźniła się zupełnie i przyglądała wirującemu światu poza linią sił. Zdała sobie sprawę, że sąsiednie linie też zakręcają, tworząc spirale; mknęła jedną nicią liny skręconej z linii sił pola magnetycznego.

– Lieserl, co się dzieje? Widzimy, że twoja trajektoria szybko się zmienia.

– Nic mi nie jest, Kevan. Znalazłam się w linie, to wszystko...

– Lieserl, powinnaś stamtąd zjeżdżać... W dalszym ciągu wirowała bezwolnie.

– Dlaczego? To fajna zabawa.

– Może. Ale ta lina zmierza w stronę fotosfery. To nie jest dobry pomysł, żebyś przebiła się na powierzchnię. Obawiamy się o stabilność tunelu czasoprzestrzennego...

Lieserl westchnęła i zwolniła.

– O, niech to szlag trafi, Kevan, ponury typ z ciebie. Czyż nie byłoby fajnie wyskoczyć ze środka plamy słonecznej? Nie wyobrażam sobie kapitalniejszej śmierci.

– Lieserl...!

Wyśliznęła się z liny, rozkoszując się ostrym zapachem przecinanego pola magnetycznego.

– W porządku, Kevan. Jestem do twoich usług. Co następane?

– Jeszcze nie skończyliśmy testów, Lieserl. Wybacz.

– Co mam zrobić?

– Jeszcze raz...

– Po prostu powiedz mi.

– Przeprowadź pełny autotest, Lieserl. Tylko na kilka minut... pozbądź się ciała wirtualnego.

Zawahala się.

– Dlaczego? Przecież chyba powiedziałaś, że układy funkcjonują zgodnie ze specyfikacją i...

– Funkcjonują. Nie w tym rzecz... Nadal sprawdzamy stopień integracji...

– Integracji reszty układów z moim sensorium. Czemu zwyczajnie nie powiesz, o co ci chodzi, Kevan? Chcesz się dowiedzieć, jaki jest stopień świadomości maszyny, która nazywa się Lieserl. Zgadza się?

– Lieserl, czemu rzucasz kłody pod nogi? – W głosie Scholesa zabrzmiała nuta samousprawiedliwienia. – To standardowy zespół testów dla każdego układu sztucznej inteligencji, który...

– W porządku, niech to cholera porwie.

Zamknęła oczy i dokonała nagłego, impulsywnego aktu woli. Jej wirtualna powłoka – iluzoryczna

wizja otaczającego ją ludzkiego ciała – rozprysła się.

To przypominało... co? Budzenie się ze snu, łagodnego, puszystego snu dzieciństwa, budzenie się i odkrycie, że jest się pogrzebaną żywcem w maszynie, prymitywnym zespole śrub, przewodów, Przyłączy i kół zębatach.

Ale nawet to było iluzją, metaforycznym opisem, za którym kryło się jej prawdziwe „ja”.

Przeprowadziła samoinwentaryzację.

Interfejs wisiał wewnątrz Słońca. Rzadki, rozprażony gaz warstwy konwekcyjnej przepływał przez trójkątne ściany, kształtowany wciąż na nowy kwiat z materii Słońca. Ta materia była pompowana przez tunel czasoprzestrzenny do drugiego interfejsu na orbicie okołosłonecznej; wylaniające się stamtąd gazy strefy konwekcyjnej zamieniały czworościan w miniaturkę Słońca, wokół którego krążył delikatny ludzki habitat – Toth.

W ten sposób interfejs ochładzał się, dzięki czemu jego cenna, delikatna zawartość – zasoby pamięci – mogła przetrwać... Te zasoby podtrzymywały jej świadomość. Przepływ materii przez płaszczyzny interfejsu był kontrolowany, co pozwalało nim sterować.

Lieserl sprawdziła się równocześnie na wielu poziomach.

Przejrzała poziom fizyczny: suche matryce danych, poruszające się, mieniające układy, które w sumie tworzyły jej pamięć. Na tym spoczywał – w sensie wizualnym, jeśli tego zapragnęła, jak jakaś upiorna nadbudowa – jej poziom logiczny, zasoby danych, i tam znajdowały się ścieżki dostępu, reprezentujące komponenty świadomości.

– Dobrze... Dobrze, Lieserl. Przesyłasz nam te dane, co trzeba. Przemierzyła ścieżki, linki przenikających się i niezależnych fragmentów osobowości.

– Wszystko funkcjonuje właściwie. Zgodnie z wymogami technicznymi. Nawet lepiej. Ja...

– To wiemy. Ale jak się czujesz, Lieserl? O tym nie mamy pojęcia.

– Do cholery, wciąż to samo. Czuję się...

Zintensyfikowana.

Już nie uwięziona w pojedynczym punkcie, w pudle z kości, kilka cali za galaretowymi oczami.

Była w najwyższym stopniu świadoma.

Na czym to polegało? Na tym, że zdawała sobie sprawę, co dzieje się w jej umyśle, w świecie dookoła i w przeszłości.

Oczywiście, była świadoma nawet w starym, zniszczonym, szybko starzejącym się ciele. Pamiętała co nieco z tego, co jej się przydarzyło, czy też – co myślała chwilę temu.

Ale teraz, obdarzona pamięcią autokontrolującą, mogła powtórnie przeżyć swoje doznania, bit po bicie, jeśli tego chciała. Jej postrzeganie zmysłowe daleko przekraczało ludzkie zdolności. A co do introspekcji... no cóż, była dla siebie otwartą księgą, wciąż jeszcze nie dokończoną.

Każdy przeprowadzany test świadczył, że była bardziej świadoma niż jakikolwiek człowiek teraz czy w przyszłości, ponieważ miała więcej mechanizmów świadomości. Była najbardziej świadomym człowiekiem w historii ludzkości... jeśli wciąż była człowiekiem.

– Lieserl?

– Tak, Kevan. Słyszę cię.

– I?

– Jestem o wiele bardziej świadoma. – Roześmiała się. – Ale raczej niewiele mądrzejsza.

Odpowiedział jej śmiechem. To był upiorny wirtualny dźwięk transmitowany przez zaburzenie

w czasoprzestrzeni i – może – przez granice międzygatunkowe.

– Dalej, Lieserl. Mamy robotę do wykonania.

Dokonała implozji świadomości i przybrała ludzką – wirtualnie ludzką – postać.

Jej percepcja natychmiast uległa uproszczeniu. Patrzenie pozornie ludzkimi oczami poprawiało samopoczucie... w pewien sposób. Było jednak ograniczające.

Nic dziwnego, że Superet zadała sobie tyle trudu, aby darzyła ludzkość sympatią... zanim odarła ją całkowicie z ludzkich cech.

Być może już niedługo miała przyjść chwila, w której pozbędzie się nawet cienia ludzkich reakcji i sposobu patrzenia.

I co wtedy?

Skąpani w jowiszowym blasku Louise, Uvarov, Milpitas i Mark siedzieli na miękkich, ruchomych fotelach. Wirtualny Michael Poole trzymał kieliszek pełen starego złocistego płynu. Kieliszek w przekonujący sposób emitował wirtualne niebiesko-złote błyski, a wirtualny Poole delektował się jego zawartością, jakby pił pierwszą i ostatnią miarkę tak znakomitego koniaku w swoim życiu.

Louise pomyślała, że w przypadku tej autonomicznej kopii była to akurat prawda.

– Przetrawianie gatunku ludzkiego. – Louise uniosła szklanekę i pociągnęła łyk dobrej whisky o torfowej woni. – Ale jaki to ma związek ze mną? Nawet nie mam dzieci.

– Superet istnieje nie od dziś – powiedział sztywno wirtualny Poole. – Może nie zdajecie sobie z tego sprawy, ale powstała tysiąc lat temu. Swoją nazwę zawdzięcza starożytnej, tajnej sekcji w Północnej Ameryce, która darzyła boską czią pierwsze pociski nuklearne...

Louise pomyślała, że wiara Superet w jakiś sposób ucieleśniała optymizm, który żywiła ludzkość, kiedy jeszcze Poole'a nie było na świecie, kiedy wierzono, że możliwości człowieka są nieograniczone.

Poole zatopił wzrok w kieliszku.

– Superet wierzy, że wszystko jest możliwe do skonstruowania, jeśli pozwalają na to prawa fizyki. – Wirtualna twarz wyrażała skomplikowaną grę uczuć; prawie udrękę. – Ale konieczne jest planowanie, być może sięgające niewiarygodnie daleko w przeszłość.

Louise poczuła rosnący gniew, którego źródła nie mogła dokładnie uchwycić.

*Uvarov miał rację – pomyślała. – To nie jest Michael Poole. Poole nie broniłby takich niesłychanych pretensji do wielkości, jakie rości sobie Superet. To kpiny z programowania, sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem.*

– Dawniej Superet sponsorowała wiele ekologicznych przedsięwzięć, które zrekonstruowały dużą część biosfery ziemskiej, na przykład przyczyniła się do budowy kopuł z trwale maskowanego węgla – ciągnął wirtual.

Louise wiedziała, że to prawda. Wielkie makrokonstrukcyjne projekty z ostatniego milenium – podtrzymanie nanoinżynierią atmosfery i litosfery oraz przetransportowanie poza Ziemię większości zakładów przemysłowych i energetycznych – doprowadziły do stabilizacji i zachowania wrażliwego ekosystemu planety. Teraz regiony o klimacie umiarkowanym miały więcej lasów niż kiedykolwiek od ostatniego zlodowacenia i przechwytywały nadmiar dwutlenku węgla, plagę minionych stuleci. Odwrócono proces gwałtownego wymierania całych gatunków zwierząt, zapoczątkowany po epoce przemysłowej, kilka tysięcy lat temu. Wykorzystano w tym celu archiwa genetyczne i dokonano



starannej rekonstrukcji wymarłych genotypów, posługując się zdegenerowanym potomstwem.

Ziemia jako pierwsza planeta przeszła terratransformację.

– Ale w następstwie incydentu z Przyjaciółmi Wignera cele Superet zostały zmodyfikowane...

kontynuował wirtual.

– Jeśli Superet jest taką świątobliwą organizacją, to czemu kryje się w cieniu? warknął Uvarov.

– Po co te tajemnice?

– Superet ma tysiąc lat, doktorze – powiedział Poole. – Żadna organizacja o tak długiej historii nie była całkowicie jawna. Proszę przypomnieć sobie wielkie religie, zakon templariuszy, loże masońskie. Ugrupowania takie, jak Superet, wykształcają z czasem własną tradycję i dążą do wyizolowania się z życia publicznego.

– I niewątpliwie długa kariera Superet ma kilka mrocznych stron... – rzekł ostro Uvarov.

Poole nie ustosunkował się do tej uwagi.

– Stwierdziłeś, że cele Superet zmieniły się od czasu incydentu z Przyjaciółmi – podsunęła mu wątek Louise.

– Tak. Pozwólcie, że użyję tej wirtualnej skrzynki cudów, żeby to wyjaśnić.

Czworościan znów ożył. Obrócił się nad nimi, ostrokątne świcidelko mierzone w kilometrach.

– Interfejs tunelu czasoprzestrzennego *Cauchy'ego* – obwieścił wirtual. – W swoim czasie największy interfejs, w istocie największe osiągnięcie inżynierii materii egzotycznej.

W zmiennym świetle interfejsu napięta twarz wirtuala wydała się ogarnięta smutkiem.

Michael Poole miał prawo do hymnu pochwalnego na cześć tego osiągnięcia. Był Brunelem swojej opoki, a może kimś większym. Jego program budowy tuneli czasoprzestrzennych skrócił odległości w Układzie Słonecznym zupełnie tak, jak wielkie szlaki kolejowe skróciły odległości w Wielkiej Brytanii dwa tysiące lat wcześniej.

Tunele czasoprzestrzenne to zaburzenia, bąble w czasoprzestrzeni łączące dwa wydarzenia, które normalnie dzieliły lata świetlne lub milenia. Tunele takie istnieją naturalnie w każdej skali, przeważnie w skali nieprawdopodobnie małych wielkości, skali Plancka. Na tym poziomie sama przestrzeń staje się granularna.

Pracując na orbicie Jowisza, Michael Poole i jego zespół natrafili na naturalne tunele czasoprzestrzenne i rozszerzyli je na tyle, że mogły poruszać się nimi statki kosmiczne.

Cechą pierwotną tuneli była ich niestałość. Poole wyłożył swoje tunele materią egzotyczną – o ujemnej gęstości energii, ciśnieniu większym niż reszta energii-masy. Materia egzotyczna rozszerzała się pod wpływem grawitacji, dzięki czemu interfejsy tuneli czasoprzestrzennych pozostawały otwarte.

Louise pamiętała podniecenie, jakie panowało w tamtych czasach. Tunele holowano z orbity Jowisza i rozmieszczono wokół całego Układu Słonecznego. Czas rejsów statków kosmicznych podróżujących z prędkością podświetlną skracał się z miesięcy do godzin. Otoczenie Jowisza stało się ośrodkiem handlu międzyplanetarnego. Stację Sol – dostosowany obiekt Kuipera w pierścieniu Układu Słonecznego – wybrano na bazę pierwszych wielkich wypraw międzygwiazdnych.

Michael Poole dosłownie przybliżył ludziom Układ Słoneczny, radykalniej niż ktokolwiek od czasów wielkich podróży morskich na starej Ziemi.

– To były wspaniałe czasy. Ale miałeś ambitniejsze zamiary, prawda, Michael? – spytała Louise.

Wirtual wpatrywał się w niebo nad głowami. Zastygła twarz zdradzała, że zagubił się we wspomnieniach.

– Chodzi ci o *Cauchy'ego*, Louise? – spytał łagodnie Mark.

– Tak. Michael Poole wykorzystał technologię tuneli czasoprzestrzennych do podróży nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie. – Wskazała czworościan nad kopułą. – To tylko jeden element największego projektu Poole'a, terminal o długości prawie pięciu kilometrów z interfejsem o szerokości ponad tysiąca sześciuset metrów. Drugi był zespolony ze statkiem fazowym – *Cauchym*. Statek wyruszył w rejs poza granice Układu Słonecznego. Był to w istocie sprawdzian teorii względności. *Cauchy* miał zatoczyć koło i wrócić na Jowisza. Pierwszy interfejs pozostał na orbicie planety. Rejs trwał piętnaście wieków, ale dzięki efektowi Lorentza, skróceniu czasu, na pokładzie *Cauchy'ego* minęły tylko dwa wieki. Dwa interfejsy pozostały zespolone dzięki zaburzeniu w czasoprzestrzeni. Dlatego też kiedy *Cauchy* wrócił po półtora milenium do przyszłego Układu, jego interfejs był nadal podłączony do swojego brata bliźniaka na orbicie wokół Jowisza; w tymże bliźniaczym interfejsie także minęły tylko dwa wieki od chwili wyruszenia statku, przechodząc przez ów interfejs, można było podróżować w przód i wstecz w czasie. W ten sposób Poole przerzucił most przez tysiąc pięćset lat, most w przyszłość.

Mark ściągnął wargi.

– Wszyscy wiemy, co stało się z tym wielkim mostem czasowym. Ale po co Poole go zbudował? Nigdy nie mogłem tego pojąć.

Wirtual odezwał się głosem znużonym i ochrypłym – tak znajomym, że Louise poczuła uścisk w sercu.

– Chodziło o eksperyment. To że pewne pomysły technologiczne można zrealizować, jest bardziej interesujące niż ich praktyczne zastosowania. Ale...

– Tak, Michael? – lekko nacisnęła go Louise.

– Miałem wizję... może marzenie... utworzenia wielkich tuneli czasoprzestrzennych biegnących zarówno przez czas, jak i przestrzeń. Jeśli taka technologia jest możliwa, czemu nie spróbować? Otwarcie nowych kanałów komunikacyjnych stworzyłoby niewyobrażalne możliwości gatunkowi ludzkiemu.

– Ale przyszłość nie okazała się tak łaskawa – skonstatował sucho Uvarov.

– Tak, a nawet okazała się bardzo niełaskawa – przyznał wirtualny Poole.

Podłoga kopuły mieszkalnej *Kraba Pustelnika* stała się przezroczysta; Milpitas wciągnęła głośno powietrze, kiedy otworzyła się pod nią czarna kosmiczna pustka.

Louise wstała i popatrzyła w dół. Wzrok mówił jej, że wisi nad bezdenną przepaścią, i musiała zdobyć się na niezwykle wysiłek woli, aby nie cofnąć się na fotel.

Z opóźnieniem zdała sobie sprawę, co naprawdę widzi: poniżej kopuły mieszkalnej rozciągała się na setki metrów podłoga z jakiejś Popękanej, nieregularnej i nabiegłej krwią materii – podłoga z (tak to wyglądało, ale nie mogło być prawdą) ciała.

Louise odwróciła się powoli, starając się ocenić kształty tego, co oglądała.

Cielesna podłoga opadała we wszystkich kierunkach, skąpana sinym blaskiem jowiszowego światła. Była zewnętrzną powierzchnią jakiejś sfery – jakby *Krab* utknął w niewiarygodnie wielkim cielesnym księżycu, szerokim może na półtora kilometra. Jeśli maszynownia *Kraba* nadal istniała, została głęboko wtłoczona w to bezmierne ścierwo. Dobrze widoczny, metaliczny kręgosłup statku fazowego – który łączył kopułę mieszkalną z maszynownią – spoczywał w rozwartej ranie ciała, czy też w wyżłobieniu podłogi.

W tej ranie spowodowanej przez *Kraba* (miało się niepokojące wrażenie, że spływa krwią) były liczne krosty, przez które przebłyski wał metal – wyrzutnie broni raketowej? – i jeszcze coś Oczy. Wielkie, przymglone repliki ludzkich gałek ocznych.

Louise dostrzegła w nich cierpienie; niewysłowny ból – mękę rannego boga.

Przyjrzała się dokładniej najbliższej kroście, usiłując odgadnąć naturę urządzenia, które tam spoczywało. Ale dostrzegła tylko zarysy, sugestię kształtu, oddaną w lśniąącym chromie.

Wirtualny Poole stał obok niej, z Markiem, Uvarovem i Milpitas. Wirtual ponuro obserwował cielesny pejzaż.

– Tunele czasoprzestrzenne ku przyszłości otworzyły szlaki agresji qaxom, pozasłonecznemu gatunkowi, który okupował Układ w czasie utworzenia mostu. Widzicie tu rekonstrukcję jednego z okrętów wojennych qaxów, które wpłynęły przez tunel. Są to spliny – żywe, może nawet inteligentne stworzenia – technologia, o której nie mogliśmy nawet marzyć.

Uvarov wskazał na pobrużdżoną skórę splina.

– Twoja rekonstrukcja nie robi znów takiego olśniewającego wrażenia.

Wirtualny Poole wydawał się teraz bardziej opanowany, bardziej wirtualny niż ludzki. Louise poczuła z tego powodu ulgę.

– Nasza wiedza o splinach sprowadza się do znajomości nazwy i potwornego wyglądu. Z pomocą ludzi, rebeliantów z okupowanej przyszłości, zniszczyłem... Poole zniszczył... agresorów, statki splinowe. – Popatrzył na grzbiet *Kraba* i wielkie płyty rozerwanej skóry. – Widzicie tu, jak staranowałem... jak Poole staranował... jeden z okrętów wojennych, przeszywając go *Krabem*. Jednostka została unieruchomiona, ale nie zniszczona. Przeciwnie, można było nawet uzyskać kontrolę nad jej wyższymi funkcjami. Teraz pokażę wam rekonstrukcję ostatnich chwil Michaela Poole'a, tyle ile o nich wiadomo.

Niebieskie promienie wokół nich zaczęły się przemieszczać, ślizgać po tablicach kontrolnych. Louise podniosła wzrok. Interfejs nad statkiem przesuwiał się wdzięcznie po niebie; jedna z trójkątnych płaszczyzn, szeroka na pięć kilometrów, otworzyła się...

...i spłynęła w dół, niczym ogromna paszcza.

– Na Letę! – zaklęła Milpitas. – Wjeżdżamy w nią! Wjeżdżamy w przyszłość.

Louise spojrzała na Poole'a. Wirtual patrzył w górę. Wspomnienia sprawiły, że jego wzrok stał się twardy, nieprzyjazny.

– Wprowadziłem splina do tunelu czasoprzestrzennego. Tunel musiał ulec zniszczeniu... To był mój jedyny cel.

Teraz trójkątna rama objęła cały opasy statek splinowy; kopuła mieszkalna zadrżała lekko, ale niesłychanie prawdziwie. Wokół całej kopuły zamigotały elektryczne skry – zderzenie z krawędziami materii egzotycznej musiało uszkodzić skórę statku-stworzenia.

Nagle znaleźli się wewnątrz czworościennego interfejsu – i tunel czasoprzestrzenny otworzył się przed nimi. Połączenie światła barwy starego złota wyścielały wnętrze tunelu, który zakręcał (wbrew intuicyjnym oczekiwaniom ludzi) w nieskończoność.

Louise zapragnęła dotknąć Poole'a. Ta kopia była bliższa Michaela Poole'a niż jakikolwiek sklonowany bliźniak, znała wspomnienia Poole'a, nawet jego świadomość. Co czuła, przeżywając śmierć kogoś tak bliskiego?

– Błyski w interfejsie świadczą o rozpadzie ciężkich cząstek, powodowanym z kolei uwolnieniem czystej energii w zakrzywionych ścianach tunelu czasoprzestrzennego, który...

– Daj sobie spokój z tymi lunaparkowymi rozrywkami, powiedz nam, co się stało – przerwał mu grubiańsko Uvarov. – Jak Poole zniszczył tunel?

Wirtual odwrócił twarz ku Louise, migotliwe światło interfejsu podkreślało wyraziste rysy podstarzałego mężczyzny.

– Statki splinowe mają silnik superprzestrzenny o nieznanym działaniu. Otworzyłem zdobyty silnik w tym miejscu...

Wirtual uniósł obie dłonie. Z interfejsu runęły ku nim fontanny iskier i poleciały poza kopułę mieszkalną, tak że miało się wrażenie, iż kopuła nabrała wielkiej nie kontrolowanej prędkości.

– Bez względu na to, jak pracuje silnik splina, musi działać na zasadzie manipulowania wielowymiarowością przestrzeni. A jeśli tak i jeśli działałby wewnątrz tunelu, w którym czasoprzestrzeń już jest zniekształcona...

Strumienie światła przybrały węzowe kształty i objęły statek, rozprężając czasoprzestrzenne ściany.

– Tak więc silnik superprzestrzenny doprowadza tunel do kolapsu? – spytał Mark.

– Być może. Albo... – Wirtual Poole'a uniósł dłoń ku powodzi światła w tunelu.

Zdawało się wnikać w materię ścian, które pękały i otwierały się, ujawniając całe bogactwo tuneli czasoprzestrzennych, wybuchowo rosnące i rozszerzające się kanały.

*Krab Pustelnik* wyrwał się spod kontroli i wpadał w kolejne tunele. W przyszłość.

W końcu osiągnął wirtualny bezruch.

Interfejs zamknął za nim ostatni tunel, materia zniekształconej czasoprzestrzeni uległa wreszcie naporowi ciężkich cząstek.

Niebo poza kopułą mieszkalną było czarne – prawie puste, poza rzadko rozsianymi, przygaszonymi i poczerwieniałymi gwiazdami. Nie było śladu życia; żadnej wielkoskalowej struktury, żadnego celowego ruchu.

Nagła powódź czerni była zaskakująca. Spoglądająca w górę Louise zadrżała; miała wrażenie, że stoi twarzą w twarz z efektem działania niezmiernego czasu.

– Michael, z pewnością spodziewałeś się, że zginiesz w trakcie niszczenia tunelu.

– Tak... ale jak widzisz, może nie nastąpił zwyczajny kolaps. – Wyglądał na zdeorientowanego. Jestem podobizną, Louise, nie znam tych wspomnień Poole'a... Ale pozostały świadectwa. Niektóre z cząstek, które wyłoniły się z zapadającego się tunelu w naszym czasie, miały o wiele za wysoką energię jak na kolaps pojedynczego tunelu. Myślimy, że eksplozja faktycznie doprowadziła do stworzenia – czy w każdym razie poszerzenia – kolejnych, rozgałęziających się tuneli, które poniosły *Kraba* w przyszłość. Być może w bardzo, bardzo odległą przyszłość.

Wirtual wstał i zaczął z wolna spacerować po przezroczyściej podłodze.

– Byłem zdecydowany zamknąć most czasowy, odsunąć zagrożenie agresji z przyszłości. Ale muszę wam powiedzieć, że Superet uważa to za błąd. – Splatał i łamał ręce. – Przecież już odparliśmy jeden atak splinów. Po odejściu Poole'a Superet skupiła się głównie na badaniu incydentu z qaxami. Ale że tunel czasoprzestrzenny został zamknięty, Superet może tylko domyślać się prawdy o przyszłości naszego gatunku z fragmentów, ze szczątków pochodzących pośrednio ze zdarzenia...

– Ty nie uważasz tego za błąd, Michael – stwierdziła Louise. Poole sprawiał wrażenie zmęczonego i wystraszonego i Louise ogarnął ból. Zdała sobie sprawę, że jego osobowość kolejny

raz znalazła się w konflikcie z projektem narzuconym przez Superet.

Mark podniósł wzrok ku umierającym gwiazdom.

– A więc to tak. Czy Poole przeżył?

– Lubię myśleć, że przeżył – powiedziała Louise. – Choćby na krótko. Żeby rozumiał to, co widział.

Milpitas położyła się wygodnie na fotelu i wpatrywała się w rzadkie poczerwieniałe gwiazdy.

– Nie jestem kosmologiem... ale te gwiazdy wyglądają niezwykle staro. Ile lat liczy sobie kosmos?

Wirtual nie odpowiedział.

– Czemu pokazałeś nam to wszystko? – spytał Uvarov. – Czego chcesz?

Wirtual Poole'a uniósł chude ramiona ku opustoszałemu niebu.

– Rozejrzyj się, Uvarov. Być może to jest koniec czasu, a z pewnością koniec gwiazd, życia barionowego. Być może tam są inne formy życia, nie widziane przez nas, stwory z ciemnej materii, coś niebarionowego, co zajmuje dziewięć dziesiątych Wszechświata. Ale gdzie jest człowiek? Prawdę mówiąc, tam nie ma wcale świadectwa istnienia życia, ludzkiego czy innego. Superet poskładała pewne fragmenty przyszłej historii ze szczątków po *Krabie*. Na przykład wiemy o istnieniu xeelee. Znamy nawet – tak się nam wydaje nazwę ich największego projektu: pierścień. Ale co stanie się z nami?! Co stanie się z gatunkiem ludzkim? Czy zniszczy nas to samo, co gwiazdy? I w związku z tym Superet pyta, czy możemy coś zrobić, żeby zapobiec ostatecznej katastrofie?

Louise spojrzała na umierające gwiazdy.

– Aha. Chyba rozumiem, dlaczego tu jestem. Superet chce, żebym udała się szlakiem *Kraba Pustelnika*. Mam zabrać *Wielką Północną* nie na Tau Ceti, ale na wyprawę po kole, jak *Cauchy* Poole'a, i zbudować pomost czasowy. Superet chce, żebyśmy utworzyli szlak, stały szlak, do tej epoki – do końca czasu. Kojarzę. Dawno temu przejęliśmy odpowiedzialność za zarządzanie naszymi planetami, za przetrwanie ich naturalnych środowisk. I co teraz? Czy nie powinniśmy przejąć odpowiedzialności za nasze przeżycie mierzone w milionach lat, za przetrwanie gatunku ludzkiego? – Ogarnął ją śmiech. – Superet faktycznie mierzy wysoko, prawda?

Milpitas usiadła na krawędzi fotela.

– Ale co znaczy „przeżycie” w takiej skali? Przecież nawet przy wykorzystaniu terapii desenektyzacyjnej żaden indywidualny osobnik nie będzie żył w nieskończoność. Co więc pozostaje? Przetrwanie genotypu? Czy też kultury naszego gatunku – elementów kulturowych, memów, zachowanych być może w pewnej formie?

Uvarov był teraz wyraźnie zafascynowany. Opuściło go zniecierpliwienie i irytacja, chciwie wpatrywał się w wirtualną wizję przyszłości.

– I to, i to lub albo, albo. Jako żywy człowiek podzielam ludzkie pragnienie zachowania aktualnego genotypu w takiej czy innej postaci. Zachowanie wyłącznie zasobu informacji wydaje mi się opcją zbyt ograniczoną. Bez względu jednak na to, co znaczy w tym przypadku „przeżycie”, nie ma ono znaczenia. Wyjrzyjcie poza kopułę. W tej epoce, do której podróżował Michael Poole, nikt z nas nie przetrwał, w żadnej postaci. I to jest właśnie katastrofa, której chce zapobiec Superet. Do tego jesteśmy jej potrzebni.

Louise ściągnęła wargi.

– Skoro to niesłychanie ważka sprawa, to dlaczego Superet działa na tak małą skalę i w takim utajnieniu? Czemu jej celem nie jest pobudzenie fundamentalnej aktywności naszego gatunku?

Poole westchnął.

– Bo sprawa najwyraźniej nie jest niesłuchanie ważka. Louise, jako gatunek nie przywykliśmy do myślenia w takiej skali czasowej. Jeszcze nie. Mówi się o ludzkiej pysze; padają porównania z Przyjaciółmi Wignera, którzy najwyraźniej zjawili się z przyszłości, aby dokonać manipulacji czasem, zapobiec okupacji qaxów. – Spojrzał na Louise ze znużeniem. – Nie ma nawet wspólnoty poglądów na to, co tu widzicie. Pokazałem wam tylko jeden scenariusz, rekonstrukcję dokonaną na podstawie dowodów po incydencie z Przedsięwzięciem Złącze. Padają argumenty, że podejmujemy problemy, które naprawdę nie istnieją.

Louise skrzyżowała ramiona na piersiach.

– A jeśli to prawda?

– Nawet jeśli istnieje minimalna szansa, że ta interpretacja jest właściwa, czy nie warto zrobić czegoś, żeby zapobiec takiemu rozwojowi wydarzeń? – spytał Uvarov.

Mark zmarszczył czoło.

– W takim razie użyjmy *Północnej* i polećmy w przyszłość, Rejs do Tau Ceti powinien zająć tylko wiek.

Poole skinął głową.

– Przy użyciu nowoczesnej technologii rejs *Północnej* w przyszłość powinien zająć nie więcej niż tysiąc lat pokładowych...

Mark parsknął śmiechem.

– Poole, to niezaszczalne. Żaden statek fizycznie nie wytrzyma tak długiej podróży. Nie przetrwa żadne zamknięte środowisko.

A zamknięta społeczność ulegnie degeneracji... Nie wiemy nawet, czy TDS utrzyma ludzi przy życiu przez tak długi okres.

Louise wpatrywała się w podobizny gwiazd. Tysiąc lat? Mark miał rację, to przekraczało ludzkie możliwości. Miała jednak uczucie, że i tysiąc lat by nie wystarczyło...

Uvarov skinął głową.

– Ale właśnie dlatego zostaliście wybrani. Louise – najlepszy konstruktor tej epoki, obdarzony odpowiednio silną wolą, żeby nie ugiąć się pod ciężarem tego niesłuchanego przedsięwzięcia. Ty, Marku Wu, jesteś wybitnym specjalistą socjotechnikiem...

– Są lepsi – odparował Mark.

– Ale ty jesteś mężem Louise.

– Byłym mężem.

Poole zwrócił się do Milpitas:

– Propozycja jest następująca: Serena przygotowuje *Wielką Północną* do bezprecedensowego tysiącletniego rejsu. A ty, doktorze Uvarov, mając głęboką wiedzę o możliwościach i ograniczeniach inżynierii stosunków międzyludzkich, pomożesz Markowi Wu utrzymać ludzi... gatunek ludzki... przy życiu.

Uvarovowi zaświeciły się oczy.

– Nie zamierzam brać udziału w tym locie – stwierdził Mark. – A poza tym *Północna* ma już socjotechnika. I do tego cholernie dobrego socjotechnika.

Poole uśmiechnął się.

– Nie do takiej misji.

– Zaczekajcie – odezwała się Louise. – Czegoś tu brakuje.

– Zastanowiła się nad tym, co zamierzała powiedzieć. Obliczenia z matematyki relatywistycznej robione w pamięci nie mogły być precyzyjne. Niemniej jednak... – Poole, tysiącletni rejs nie wystarczy. – Spojrzała na gasnące gwiazdy. – Nie jestem kosmologiem. Ale nie widzę tam gwiazd ciągu głównego. Wydaje mi się że oglądamy niebo z dalekiej przyszłości – takie, jakie będzie dopiero za co najmniej miliardy lat.

Poole pokręcił przecząco głową. Wirtualna twarz była słabo widoczna w gasnącym świetle gwiazd.

– Nie, Louise, mylisz się. Lot trwający tysiąc lat czasu pokładowego całkiem wystarczy.

– Jakim cudem?

– Bo niebo, które widzicie, to nie obraz wybiegający dziesiątki miliardów lat w przód. To obraz za pięć milionów lat. Pięć megalat to nic w czasie kosmicznym...

– Ale skąd...

– Louise, do zniszczenia gwiazd trzeba czegoś więcej niż czasu. Jeśli ta rekonstrukcja jest choć ułankowo wierna, świadczy o istnieniu jakiegoś ośrodka, który systematycznie niszczy gwiazdy i działa nawet teraz...

– I w konsekwencji zniszczy również nas.

Uvarov skierował pozbawioną wyrazu twarz ku ciemniejącemu niebu.

– Mamy powody wierzyć, że nawet nasze Słońce jest celem tego tajemniczego ataku – potwierdził wirtual Poole'a. Zatrzymał się przed Louise. – Słuchaj, Louise, wiesz, że nie popieram inżynierii kosmicznej. To ja sprzeciwiłem się Przyjaciołom Wignera, którzy mało ze skóry nie wyleźli, żeby zamknąć mój pomost do przyszłości. Ale to coś innego! Nawet ja mam zrozumienie dla celów Superet. Więc teraz pojmujesz, czemu oni chcą, żebyś udała się śladem *Kraba*?

Światłne obrazy zaczęły gasnąć. Pokaz wyraźnie miał się ku końcowi.

Poole nadal stał przed Louise, ale jego sylwetka nikła, chmura pikseli tworząca postać rzedła, rozpadała się na niewyraźne plamy. Louise wyciągnęła dłoń, ale twarz Poole'a wygładziła się, straciła wyraz; na długo przed tym, zanim rozpierzchnęły się ostatnie piksele, Louise zdała sobie sprawę, że wszelki ślad świadomości znikł.

Lieserl szybowała przez swoją pieczarę konwekcyjną. Zasięg jej postrzegania zmysłowego rozszerzał się i kurczył niemal przypadkowo.

Myślała o Słońcu.

Mimo swojej wspaniałości i wielkości miało całkiem prostą budowę. Kiedy spojrzała w dół i „otworzyła” oczy, widziała dowody działania termojądrowego rdzenia, poświatę neutrinową poniżej oceanu zjonizowanej plazmy. Jeśli rdzeń by wygasł, ustałby przepływ kwantów energii z jądra do stref radiacyjnej i konwekcyjnej. Słońce było w hydrostatycznej równowadze – napór ulatującej energii równoważył tendencję do zapadnięcia się pod wpływem grawitacji. Gdyby ten napór znikł, zewnętrzne warstwy runęłyby do środka w ciągu kilku godzin.

Słońce nie zawsze było tak stabilne... i nie na zawsze takie pozostanie.

Uformowało się z gęstniejącej chmury gazu protogwiazdy. Początkowo miękkie na brzegach, amorficzne ciało świeciło wyłącznie dzięki konwersji energii grawitacyjnej.

Kiedy temperatura środka osiągnęła dziesięć milionów stopni, w jądrze rozpoczęły się reakcje termojądrowe.

Kurczenie zostało zatrzymane i szybko nastąpiła stabilizacja. Reakcje termojądrowe ograniczyły

się do jądra otoczonego morzem plazmy i konwekcyjną atmosferą. Słońce płonęło spokojnie i stało się gwiazdą ciągu głównego. Kiedy Lieserl dotarła do strefy konwekcyjnej, płonęło już pięć miliardów lat.

Ale nie na zawsze miało pozostać gwiazdą ciągu głównego.

Wystarczy sekunda, by miliony ton masy zamieniły się w energię. Rozmiary Słońca są tak gigantyczne, że to zaledwie drobny ułamek; w trakcie całej swojej historii, liczącej pięć miliardów lat, Słońce wypaliło zaledwie pięć procent paliwa termojądrowego...

Delikatna równowaga między grawitacją i ciśnieniem promieniowania miała ulec zachwianiu i jądro groziło zapadnięciem się pod ciężarem zewnętrznych, chłodniejszych warstw.

Paradoksalnie, taka implozja doprowadzi do kolejnego wzrostu temperatury jądra – tak wielkiego, że umożliwi nowe procesy termojądrowe – i wydatkowania przez gwiazdę większej energii.

Zewnętrzne warstwy rozszerzą się, rozpychane na nowo płonącym jądrem. Słońce pochłonie Merkurego i być może kolejne planety między nim a Ziemią, zanim osiągnie nowy stan równowagi między grawitacją a ciśnieniem – stając się czerwonym olbrzymem. To będzie spektakularna faza, trwająca sto milionów lat; jasność subiektywna Słońca wzrośnie tysiąckrotnie.

I nic z zewnątrz nie zatrzyma tej szaleńczej ekspansji. Pęczniejące jądro z coraz większą desperacją będzie pochłaniać wieloatomowe cząstki, aż w końcu całe dostępne paliwo ulegnie wyczerpaniu i pozostanie sam żużel.

Kiedy temperatura jądra nagle spadnie, równowaga całej gwiazdy ulegnie żywiołowemu zachwianiu. Słońce imploduje kolejny raz, szukając stabilności i stając się białym karłem. Ograniczy się do martwego jądra, którego gęstość wzrośnie milion razy. Dalszemu kurczeniu się zapobiegnie napór poruszających się z wielką szybkością elektronów.

Te resztki ostygną powoli, aż osiągną stan czarnego karła, otoczonego swoimi zdradzonymi dziećmi, szerniałymi skorupami planet.

...przynajmniej w teorii.

Jeśli prawa fizyki miały się utrzymać, to z ich logiki wynikało, że do zamiany Słońca w czerwonego olbrzyma miało dojść dopiero za miliardy lat... nie za miliony, jak wskazywałyby dowody zgromadzone przez Superet.

Zadaniem Lieserl było dowiedzieć się, co niszczyło Słońce.

– Lieserl. Postaraj się znaleźć fale ciśnieniowe; chcemy się przekonać, czy mechanizm sensoryczny działa...

– Jestem na rozkazy. Heliosejsmologio, przybywam – zażartowała, Kolejny raz „otworzyła” oczy.

Jej procesory stworzyły nowy wzorzec, świeży podkład na wizerunku komórek konwekcyjnych i splecionych liniach sił pola magnetycznego; stopniowo rozróżniała budowlę z upiornie niebieskich ścian i wirujących płaszczyzn, która przemieszczała się przez pieczarę konwekcyjną. To były fale ciśnieniowe, impulsy ciśnienia uciekające przez gaz solarny w wyniku niesłychanie wybuchowych zdarzeń, rozkładu granul na powierzchni. Fale wpadały w pułapkę strefy konwekcyjnej, odbijając się od próżni poza fotosferą i odginając się od jądra z racji rosnącej prędkości dźwięku. Znosiły się nawzajem i wzmacniały, aż pozostawały tylko fale stojące, wibracje odpowiadające geometrii pieczary konwekcyjnej.

Wypełniały przestrzeń wokół Lieserl upiornymi wirującymi wzorami, zmieniając się w miarę



osuwania się ku dołowi pieczary; rosły. Lieserl uniosła i wyostrzyła wzrok. Plamy na powierzchni Słońca – szerokie na tysiące kilometrów – oscylowały pod wpływem uderzających fal, przemieszczały się z szybkością ośmiuset metrów na sekundę.

Słońce huczało jak wielki dzwon.

– Dobrze... Dobrze. To niesamowite dane, Lieserl.

– Cała przyjemność po mojej stronie – powiedziała sucho.

– Dobra. Teraz spróbujemy to złożyć do kupy. Przepływ neutrin, taki jaki jest, dane heliosejsmologiczne i wszystko, co widzisz.. Przekonajmy się, ile zdołamy się dowiedzieć.

Lieserl poczuła dreszcz podniecenia – subtelny, ale prawdziwy – przystępując do wykonania polecenia. Przechodziła do głównego celu misji, więcej – całego swojego życia. Miała spojrzeć w serce Słońca, czego nie zrobił żaden człowiek wcześniej.

Kiedy procesory zaczęły kojarzyć dane, przyzwała z zasobu pamięci szablon: standardowy model Słońca. Procesory wypełniły pieczarę kolejnym kompleksowym wizerunkiem, pełnym ikon, wykresów, siatek i etykiet alfanumerycznych, ukazując podstawowe właściwości modelu standardowego. Model – wzbogacany i poddawany rewizji przez tysiąclecia – reprezentował szczytowe osiągnięcia ludzkiej wiedzy na temat funkcjonowania Słońca. Spojrzała na jądro i zobaczyła, że ciśnienie i temperatura rosną równo w kierunku serca gwiazdy, zgodnie z modelem; wykres temperatury ukazywał złożoną trójwymiarową sferę różowo-czerwonej barwy, intensywnie szkarłatną w samym sercu. Było tam piętnaście milionów stopni.

Procesory powoli obrazowały, określały rzeczywistość postrzeganą przez Lieserl; wykresy i schematy rozkwitwały jak kiście wielobarwnych kwiatów.

Po kilku minutach obraz się ustabilizował. Lieserl oceniła skomplikowane wizerunki wypełniające pieczarę, zrobiła zbliżenia kolejnych aspektów, podkreśliła różnice w porównaniu z modelem standardowym.

– Och, nie – odezwał się Scholes. – Coś jest nie w porządku.

– Co?

– Są rozbieżności, Lieserl. Rosną w kierunku jądra. To się po prostu nie zgadza.

Była rozbawiona.

– Zadaliście sobie tyle trudu, żeby mnie stworzyć, posłać tak daleko w tej postaci, a teraz, kiedy jestem, gdzie trzeba, nie zamierzacie uwierzyć w to, co mówię?

– Ale popatrz na odchylenia od modelu, Lieserl.

Na rozkaz Scholesa aktualne i przewidziane wskaźniki temperatury zarysowały się ostro migocącymi liniami różowej barwy.

– Popatrz na to.

– Hm...

Według modelu standardowego temperatura powinna szybko spadać w miarę wzrostu odległości od obszaru procesów termojądrowych. Należało się spodziewać, że w odległości jednej dziesiątej promienia będzie o pełne dwadzieścia procent niższa niż w jądrze. Ale faktyczny spadek był znacznie mniejszy... Lieserl widziała, że wynosi marne kilka procent w odległości jednej czwartej promienia!

– To znów nie takie zaskakujące, prawda? – Przedstawiła swój wariant modelu standardowego.

– Popatrz. Oto model uwzględniający ciemną materię, fotina krążące wokół jądra. – Ciemna materia – szybko poruszające się, niemal nieuchwytnie cząstki skupione wokół serca Słońca mocą jego pola grawitacyjnego – przekazywała energię jądra warstwom otaczającym. – Widzisz? Fotina zachowują

się jak dziurawa pokrywka, przepuszczając część energii kinetycznej jądra. Środek nie traci temperatury, gdyż jądro pozostaje izotermiczne, stałocieplne, na przestrzeni jednej dziesiątej promienia Słońca.

Scholes wydawał się rozdrażniony, zniecierpliwiony.

– Tak, ale tu obszar izotermiczny jest trzykrotnie większy niż w najbardziej skrajnym wariacie modelu standardowego. To niemożliwe, Lieserl. Coś musi być nie tak z...

– Z czym? Z oczami, które mi stworzyliście? Czy może wasze oczekiwania były inne?

Zirytowana starła wszelkie schematy. Sfery i kontury implodowały, migocąc pikselami, odsłaniając rodzimą panoramę pieczary konwekcyjnej, upiorną powłokę linii sił pola magnetycznego, fal ciśnieniowych i komórek konwekcyjnych.

Ogarnęło ją coś w rodzaju frustracji, poczucia bezradności i podminowania i nakazała swojemu wirtualnemu „ja” poszybować wokół pieczary. Ściagała obracające się fale ciśnieniowe, przecinała linie sił pola magnetycznego.

– Kevan. A jeśli to, co widzimy, jest prawdziwe?! Może taki był właśnie cel mojej ekspedycji. Żeby odkryła rozbieżności z modelem standardowym.

– Może... Lieserl, co będziesz teraz robić?

– Jestem tu krótko, ale myślę, że niebawem wszystkiego się dowiem.

– Tu?

– W pieczarze, w strefie konwekcyjnej. Cały nasz materiał dowodowy ma pośredni charakter, Kevan. Naprawdę ważne rzeczy dzieją się głębiej, w jądrze.

– Ale ty nie możesz zejść ani metr głębiej, Lieserl. Jesteś ograniczona... interfejs imploduje, kiedy spróbujesz wniknąć w strefę promienistą...

– Może. Sam musisz to sobie uporządkować w głowie, Kevan.

Wzbiła się do rozjarzonego sklepienia pieczary i runęła w dół z szybkością stu sześćdziesięciu kilometrów na sekundę w kierunku morza plazmy, mijając leniwie pulsujące krawędzie gigantycznych fal ciśnieniowych.

## Rozdział 6

Jak mucha okrążająca słonia kapsuła zawirowała pod kadłubem *Wielkiej Północnej*.

Mark Wu, Louise Armonk, Garry Uvarov i Serena Milpitas obserwowali cumowanie, Siedzieli jak zakłęci, ogarnięci głębokim podziwem, mimo iż trudno byłoby znaleźć ludzi lepiej zaznajomionych z ostatnimi fazami projektu. Być może taki był cel Louise: zrobić na nich wrażenie. Chociaż za pretekst wyprawy posłużyła zwyczajna inspekcja statku przez wąskie grono dowódców.

No cóż, jeśli tak, to się jej udało.

Kopuła mieszkalna *Północnej* była przysadzistym, przezroczystym cylindrem półtorakilometrowej szerokości. Niesłychane, ale cały statek fazowy Michaela Poole'a – napęd i tak dalej – zmieściłby się w tym migotliwym pudle; Mark próbował sobie wyobrazić *Kraba Pustelnika* zawieszoną w wielkim cylindrze jak jakiś niesłychany model przykryty szklanym kloszem.

Pokłady kopuły były wyraźnie widoczne, pełne ruchu, światła i głębokiej, soczystej zieleni roślin. Mark zdawał sobie sprawę, że nie zakończono jeszcze budowy; oglądał głównie projekcję wirtualną. Niemniej pozostawał pod wrażeniem skali projektu i wigoru realizacji. Kopułę mieszkalną zaprojektowano jako samodzielne miasto – nie, coś więcej! – samodzielny świat, biosferę zawieszoną między gwiazdami.

Tysiącletni dom dla pięciu tysięcy ludzi.

Teraz sunęli ku podbrzuszu kopuły. Kapsuła przebyła ostatnie trzysta metrów kursem równoległym do ogromnej, skomplikowanej struktury głównego kręgosłupa *Północnej*.

Był pięciokilometrową metalową drogą, zawaloną modułami dostawczymi, antenami i innymi sensorami obróconymi jak usta ku gwiazdom. Dalej widniały tajemnicze czeluście maszynowni, w której snuły się ospałe świetliki – ludzie i roboty. A tuż przed silnikiem rysował się wielki interfejs tunelu czasoprzestrzennego, który mieli odholować do przyszłości. Czworościenny kształt, połączony złotymi obejmami z kręgosłupem, wyglądał jak jaskrawa zabawka owinięta lśniąca niebieską wstążką.

Uvarov rozłożył długie delikatne palce i oparł je o lśniący kadłub kapsuły.

– Na Letę! – Wpatrywał się w kręgosłup, światła kapsuły podkreślały jego profil. – Może to i nie jest prawdziwe, ale za to piękne.

Louise roześmiała się. Przy chudym, kościstym specjalście od eugeniki robiła wrażenie niskiej i przysadzistej.

– Wystarczająco prawdziwe. Szkielet zrealizowano w stu procentach. Pozostało tylko skończyć nadbudowę. – Zastanowiła się i wydała komendę: – Skonfigurować 3B.

Przypominające kwiat anteny skupione wokół kręgosłupa rozplynęły się w fontannach świetlnych sześcianów wirujących wokół swojej osi jak płatki śniegu. W ciągu kilku sekund wirtualne konfiguracje modułów wyposażenia rozkwiatały wokół kręgosłupa jak surrealistyczne kwiaty. Przez tę kurzawę prześwitywała elegancka struktura trójbocznego stosu pacierzowego w środku kręgosłupa.

W końcu pikselowa burza opadła; kręgosłup zastygł w nowym układzie soczewek kamer i anten.

Niedoświadczonemu oku Marka wydawał się taki sam jak przedtem – może nawet uboższy – ale Serena Milpitas pokiwała głową niemal z żalem.

– Konfiguracja pierwotna – oznajmiła. – Tak miał wyglądać statek przed krótką stuletnią podróżą na Tau Ceti.

Mark przyglądał się Milpitas z ciekawością. Nowy główny konstruktor przedsięwzięcia wyglądała na czterdziestolatkę, ale Mark wiedział, że ma przynajmniej dwa razy tyle. Wiedział również, że między Milpitas i Louise dochodziło do poważnych spięć, i był zdziwiony, słysząc, że pierwsza chwali projekt drugiej.

– Słyszę w twoim głosie odcień żalu. Naprawdę uważasz, że ten projekt jest lepszy?

– O tak. – Szeroka twarz Milpitas rozjaśniła się w uśmiechu. Pytanie chyba ją zdziwiło. – A ty nie? Nie widzisz tego?

– Ja nie bardzo – mruknął Uvarov.

– Zmuszono nas do nieeleganckich rozwiązań. Zrozumcie, w przypadku tysiącletniego rejsu kłopoty z zawodnością materiałową wzrastają lawinowo – mówiła, zaokrąglając wyraziście głoski, z typowym marsjańskim akcentem. – Ten statek ma miliard części. I wszystkie przez cały czas muszą działać idealnie. Zgadza się? Otóż oceniamy, że w ciągu roku jeden promil wszystkich części może doznać poważnej awarii, powiedzmy na tyle poważnej, żeby wstrzymać funkcjonowanie podstawowych układów statku. Można by pomyśleć, że to fantastyczne. Ale w miarę lat zagrożenie awariami rośnie i kumuluje się. Spojrzała Markowi prosto w oczy. – Jakie według ciebie jest prawdopodobieństwo awarii po stu latach?

– Och, błagam, oszczędź nam tych gier – warknął Uvarov.

Mark wzruszył ramionami.

– Kilka procent?

– Nieźle. Dziesięć procent. Nie jest to cud, miód, ale da się przeżyć.

Uvarov mlasnął.

– Skóra cierpnie od tych twoich wstawek, inżynierze. Milpitas zignorowała uszczypliwość.

– Ale po tysiącu lat prawdopodobieństwo awarii przekracza sześćdziesiąt procent. A po zaledwie siedmiu wiekach – pięćdziesiąt pięć...

– Serena właśnie chce ci otworzyć oczy na oczywisty fakt, że projekt musiał ulec wielu modyfikacjom. Inaczej statek nie przetrwałby tysiącletniego lotu – powiedział ciężkim głosem Uvarov. Płaski lunarny akcent podkreślał znudzenie mówiącego.

– Co...? Louise nie puściła pary z ust na ten temat.

Uvarov wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Byłe żony nigdy nie puszczają pary z ust. Coś o tym wiem. Sarn...

Przerwała mu Milpitas.

– Dysponując naszymi technologiami, nie mogliśmy podnieść dość wysoko wskaźnika niezawodności komponentów mechanicznych, elektrycznych czy elektronicznych. – Wskazała ręką na częściowo wirtualną panoramę za kapsułą. – Zdziwiające, prawda? Wydawało się nam, że zaszliśmy już daleko, że dzięki nanorobotom i możliwości dokonywania napraw i wymiany komponentów na poziomie molekularnym mamy za sobą problem niezawodności materiałów konstrukcyjnych. No, weźcie ten kręgosłup. Przecież cały jest inteligentny, do ostatniego gwoździa i ostatniej śrubki.

– Tam nie ma żadnych gwoździ ani śrubek, Sereno – stwierdziła sucho Louise.

Milpitas nie zwróciła uwagi na ten wtęt.

– A jednak jesteśmy prawie bezradni, gdyż mówiąc wprost, nasze możliwości w przypadku tak ambitnego przedsięwzięcia jak tysiącletni rejs są niemal żadne.

– Brzmi to ponuro – powiedział z niepokojem Mark.

– Tak więc musieliśmy użyć topornych starodawnych metod zwiększania niezawodności, które stosowano podczas pierwszych lotów pozaziemskich – podjęła temat Louise. – Konfiguracja centralna! – rozkazała i kurzawa wirtualnych komponentów kolejny raz zawirowała wokół kręgosłupa, zastygając w poprzedni wzór.

Milpitas wskazała palcem.

– Z tym właśnie wybieramy się do gwiazd. Spójrzcie. Nawet na tym gruboskórnym, makroskopowym poziomie widzicie, że mamy teraz o wiele więcej komponentów. – I w rzeczy samej, Mark dostrzegł, że jest więcej anten, teleskopów, sensorów, więcej kapsuł roboczych; konstrukcja kręgosłupa sprawiała wrażenie szczelniej wypełnionej.

– Potrójna nadmierność – powiedziała, krzywiąc się, Milpitas. – Określenie i technika z dwudziestego piątego wieku. A może jeszcze starsza, o ile się orientuję, pewnie z czasów tych obrzydliwych reaktorów rozszczepialnych. Bierzymy wszystkiego po trzy egzemplarze, a w przypadku głównych składników jeszcze więcej, żeby zminimalizować możliwość katastrofy do zera.

– Niesamowite – mruknął Uvarov. – Ale czy dzisiaj się stąd ruszymy? O ile mnie pamięć nie myli, mamy przeprowadzić inspekcję całego statku.

W oczach Marka podstawa kopuły mieszkalnej rozrosła się, aż zakryła niebo, stając się ogromnym, skomplikowanym, półprzezroczystym dachem; kolorowe światła kierunkowe i zarysy wrót – wielkich i małych – okryły powierzchnię. Wszędzie trwał ruch przez wiele śluz, nieustanny przepływ ładunków, kapsuł i postaci w skafandrach kosmicznych. Mark znów miał wrażenie, że ogląda nie tyle statek, ile miasto – gigantyczne, ruchliwe, zajęte bez końca sobą.

Pod kopułą wisiał na linach ciemny kształt, niesamowity jak sen szaleńca. *Wielka Brytania* wydawała się ogromną szalupą ratunkową i Mark uśmiechnął się szeroko, smakując ten objaw sentymentalizmu Louise.

Kapsuła idealnym łukiem zawinęła do jednej z wielkich śluz powietrznych, sterowana przez automatycznego pilota. Po kilku minutach śluza skończyła cykl przepustowy.

Przybyła czwórka weszła do kopuły mieszkalnej *Północnej*. Mark miał wrażenie, że podstawa kopuły – zbudowana z uniwersalnego, inteligentnego i przezroczystego plastiku – jest ścianą dzielącą Wszechświat na dwie części. Przed sobą miał dopracowane w szczegółach, lśniące czystością wnętrze; za sobą – twardy, geometryczny kręgosłup statku i nieruchomą ciemność transplutońskiej przestrzeni.

Louise poprowadziła ich do rzędu skuterów nieważkościowych. Stały na przezroczystej platformie, eleganckie i poręczne. Mark wsiadł na swój. To było proste urządzenie: pneumatyczne silniki odrzutowe kontrolowało się obrotem uchwytów kierownicy.

Utworzyli pary – najpierw Louise i Uvarov, Mark i Milpitas za nimi. Z prawie niesłyszalnym świstem skutery ruszyły ku centrum.

Dolna jedna piąta kopuły nosiła nazwę rampy przeładunkowej; była to rozjarzona, dudniąca echem wielka hala. Zwieńczenie rampy – podbrzusze sekcji mieszkalnej, zwane grodzią usługową – widniało wysoko w górze, okryte mgłą. Pod nim wisiała plątanina rur. Rampę zapełniały wielkie

ładunki o kształtach maszyn i skrzyń, ciągnięte przez ludzi na skuterach lub przez roboty.

Serena Milpitas zrobiła leniwą, szeroką spiralę, wznosząc się obok Marka.

– Uwielbiam te skutery, a ty?

Mark uśmiechnął się.

– Jasne. Ale ruszają się jak muchy w smole. A w drodze nie na wiele się przydadzą.

– Tak. Czeka nas tysiącletnia stała grawitacja rzędu jednego g. Będzie można umrzeć z nudów.

Mark bacznie przyglądał się pani inżynier, kiedy wykonywała powietrzne ewolucje; miała na twarzy spokój, niemal pustkę, zatraciwszy się w prostej fizycznej przyjemności, jakiej dostarczał lot skuterem.

– Co czułaś, wygrzebując te wszystkie stare techniki... procedury niezawodności?

– Jak się czułam? – Milpitas wyrównała lot i z uśmiechem na twarzy przyglądała się Markowi.

To pytanie w stylu Keplerańczyków... U mnie, na Marsie, nie ma bardziej ciekawskich ludzi. Ach, to przecież twój zawód, nieprawdaż? Socjotechnika.

Mark uśmiechnął się.

– Może. Ale teraz mam wolne.

– Pewnie, że masz. – Milpitas zamyśliła się. – Wydaje mi się, że nasze zajęcia nie różnią się tak bardzo, Mark. Twoim zadaniem – tak jak je rozumiem – jest postarać się o to, żebyśmy my, żywy element misji, wytrzymali ze sobą przez tysiąc lat. Ja mam się postarać, żeby statek – mechaniczna część wyprawy – zadbał sam o siebie. Kiedy przystąpiłam do przeprojektowania *Północnej*, szczerze mówiąc, nie uśmiechało mi się bazgrać po schludnych, ślicznych rysunkach Louise. Ale jeśli chce się doprowadzić do końca takie przedsięwzięcie, nie wolno się zdawać na ślepy los. Trzeba planować.

– Utkwiła wzrok w oddali. – Musiałam zrobić swoje. I opłaciło się. Dla tego przedsięwzięcia warto poświęcić wszystko. – Otrząsnęła się i popatrzyła na Marka z pewnym zmieszaniem. – Czy odpowiedziałam na twoje pytanie?

– Chyba tak.

Mark został nieco w tyle, a Milpitas pomknęła w stronę grodzi usługowej. Zrównał się z Louise.

– Nie wyglądasz na uszczęśliwionego – stwierdziła.

Wzruszył ramionami.

– Chyba Serena trochę mnie wystraszyła.

– Nie tylko ciebie – odrzekła cierpko Louise.

Spora część załogi *Północnej* która do tej pory widziała siebie w roli kolonistów w układzie Tau Ceti, a nie jako podróżników w czasie obarczanych na wpół mistycznym celem zbawienia ludzkości – zrezygnowała z lotu po tym, jak ogłoszono zmianę planów. Louise straciła na przykład znakomitego Sama Gillibranda, swojego długoletniego pierwszego asystenta. Z drugiej strony Serena Milpitas, a także zresztą Uvarov, wydawali się palić do uczestnictwa w nowej wyprawie.

Robili na Marku wrażenie szczerych zwolenników Superet; z żelazną dyscypliną uczęszczali na kursy wprowadzające, które organizacja zaproponowała wszystkim.

Mark czuł się nieswojo, uświadomiwszy sobie, że Milpitas i Uvarov to prawdziwi neofici.

– Wiesz, zawsze lubiłem Sama Gillibranda – stwierdził ze smutkiem. – Chce lecieć na Tau Ceti i zbudować dom pod nowym słońcem; nic nie mogło go mniej zainteresować niż niejasne plany wybiegające pięć megalat w przyszłość. Ale Serena jest inna. W jej marsjańskiej paplaninie i zawodowej pewności siebie jest coś mroczniejszego, bardziej zawziętego. Może nawet obsesyjnego.

– Być może – odparła Louise. – Ale tak jak socjotechnika nie dorosła do rozwiązywania problemów rejsów trwających tysiąc lat, tak i umysł przeciętnego człowieka nie dojrzał do myślenia w skali tysiącleci. – Westchnęła i przesunęła dłonią po krótko przyciętych włosach. – Serena Milpitas i Uvarov wydają się myśleć w kategoriach mileniów, nawet megalat. I w konsekwencji, czy też z tego powodu, są mrocznymi, skomplikowanymi ludźmi na wielu poziomach inteligencji i wrażliwości. – Spojrzała ze smutkiem na Marka. – Zgadzam się, w tym całym interesie jest coś takiego, że ciarki chodzą po plecach. Ale Superet to nie organizacja dla grzecznych dzieci.

*Może w skomplikowanej przyszłości tacy budowniczowie domów, jak Sam staną się przeżytkiem, a ich proste umiejętności i motywacje będą nie na miejscu w niebezpiecznym Wszechświecie* – myślał Mark. – *Może Superet i jej neofici reprezentują człowieka przyszłości, następną falę ewolucji, która musi przyjść, jeśli gatunek ludzki ma przeżyć w skali czasu kosmicznego.*

Może. Ale sądząc po Milpitas i Uvarowie, przyszłość zapowiadała się mało zabawnie.

*W każdym razie – rozważał ponuro dalej – kroi mi się dziesięć wieków w ich towarzystwie... Na Letę, to będzie niezwykle wyzwanie, stworzyć wokół nich trwałą społeczność.*

– Wciąż nie mogę otrząsnąć się ze zdumienia, że się zgłosiłaś – powiedział. – Przecież odebrali ci twoją misję.

Louise wzruszyła ramionami.

– Przerabialiśmy to wystarczającą ilość razy. Spójrzmy prawdzie w oczy: i tak odebraliby mi *Północną*. Zależy mi na tym, żeby statek pokazał wszystkie swoje możliwości. I...

– Tak?

Uśmiechnęła się szeroko.

– Poza tym, kiedy przeszła mi irytacja na Superet i na to, jak potraktowała moje ambicje, zdałam sobie sprawę, że do tej pory nikt nie wyruszył w tysiącletni rejs ani nie próbował stworzyć pomostu czasowego wybiegającego pięć milionów lat w przyszłość. Mogłabym dotrzeć do Michaela Poole’a bez względu na to, gdzie jest...

– Tak, ale zastanów się, co się z nim stało.

Mark wyczuwał, co kłębi się pod czaszką Louise. Włączona w misję Superet – w to niesłychane przedsięwzięcie – mogła nie przejmować się mrocznymi perspektywami, robiąc po prostu jeden gigantyczny sus. A pomysł wykorzystania własnej technologii do granic możliwości działał na nią jak afrodyzjak. Niemniej jednak nie wiedział, czy Louise tak naprawdę – naprawdę – zdaje sobie sprawę ze skali czekających ją zadań.

Chciał poruszyć tę sprawę.

Z niezwykłą u niej czułością położyła mu palce na ustach.

– Daj spokój, Mark. Mamy tysiąc lat na przemyślenie wszystkich problemów. Dość czasu. Dzisiaj statek łśni świeżością; dzisiaj wystarczy uwierzyć, że ta misja będzie świetną zabawą.

Nagle odzyskała wigor, skręciła skuterem i popędziła za resztą.

– Lieserl. Spokojnie. Idzie ci świetnie.

Podniosła wzrok, odchylając głowę mocno do tyłu. Znajdowała się już poza złożonym, radosnym światem strefy konwekcyjnej z jego ogromnymi komórkami turbulentnymi, splątanymi liniami sił pola magnetycznego i huczącymi falami ciśnieniowymi. Teraz pieczara warstwy konwekcyjnej wydała się prawie przytulnym schronieniem.

Schronieniem... przynajmniej w porównaniu z rejonami, w które zamierzała wkroczyć.

– Przekaz telemetryczny bez zarzutu, Lieserl.

– Wspaniale. Co za ulga.

– Lieserl, jak się czujesz?

Wybuchła śmiechem i zareagowała na poły z rozdrażnieniem, na poły z czułością.

– Poczuję się lepiej, kiedy wasz link telemetryczny szlag trafi, Kevan, i nie będę już musiała słuchać tych idiotycznych pytań.

– Zażękniesz za mną, kiedy mnie nie będzie.

– Prawdę mówiąc, chyba masz rację. Ale prędzej mnie szlag trafi, zanim się do tego przyznam.

Scholes roześmiał się. Głos syntetyzatora mowy był zadziwiająco nierealny.

– Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

Nadal rozpościerając ramiona, spojrzała na swoje nagie stopy.

– Tak naprawdę, to czuję się trochę jak Chrystus. Chrystus Dalego, wiszący w powietrzu nad wymarłym krajobrazem.

– No – rzucił od niechcienia Scholes. – Też tak to widzę.

Nurkowała przez ostatnie majaczące upiornie komórki konwekcyjne. Przypominało to dokładnie wynurzanie się ze zwałów chmur. Poniżej rozciągała się mlecznobiała powierzchnia morza plazmy; wielkie fale pola grawitacyjnego pełzały po tej powierzchni jak myśli przebiegające przez czyjś ogromny umysł.

Prędkość spadania nagle wzrosła. Odczuła to tak, jakby żołądek walnął ją w dół brzucha.

– Na Letę! – szepnęła.

– Lieserl...?

Poczuła skurcz w klatce piersiowej. Oczywiście, było to absurdalne, ponieważ nie miała klatki piersiowej.

– Nic mi nie jest, Kevan – zdołała wykrztusić. – Mam tylko lekki zawrót głowy.

– Zawrót głowy?

– Wirtualny zawrót głowy. Czuję się, jakbym spadała. Cholera. Te iluzje są zbyt prawdziwe.

– Hm, naprawdę spadasz, Lieserl. Twoja prędkość rośnie, jesteś już poza tym konwekcyjnym interesem.

– Boję się, Kevan.

– Spokojnie. Mów do mnie.

Zawahała się.

– Jesteś sto sześćdziesiąt tysięcy kilometrów poniżej fotosfery. Blisko granicy strefy promienistej. Do jądra Słońca masz w tej chwili milion sto dwadzieścia tysięcy kilometrów.

– Nie patrz w dół – szepnęła do siebie.

– Zgadza się. Nie patrz w dół. Lieserl, masz prawo być dumna; przebiłaś wszystkie sondy, które do tej pory zrzuciliśmy.

Mimo strachu nie mogła puścić tego płazem.

– Więc jestem sondą, co?

– Przepraszam. Teraz oglądamy świeży materiał, przechodzący przez drugi interfejs twojego schładzającego tunelu czasoprzestrzennego. Ledwo widzę interfejs, tyle platform naukowych go otacza. To niebywały widok, Lieserl. Uniwersytety z całego Układu stają w kolejce, oczekując swojej wachty. Gęstość gazu, który cię otacza, wynosi zaledwie jeden procent gęstości wody. Ale



temperatura sięga pół miliona stopni.

– Mocna sprawa.

– Nie ma anioła, który by nie uronił łyzy wzruszenia, Lieserl...

Morze plazmy skoczyło ku niej, gładkie, żarłoczne. Nagle nabrała przekonania, że zniknie w tej sztolni ognia wraz ze swoim zwiewnym interfejsem, krzesząc ledwo iskierkę.

– Och, na Letę!

Przyciągnęła kolana do piersi, objęła kurczowo golenie, kuląc się w pozycji płodowej.

– Lieserl, nie musisz tego robić. Jeśli chcesz się stamtąd wydostać...

– Nie. – Zamknęła oczy i położyła głowę na kolanach. Nie, Nic się nie dzieje. Przepraszam. Po prostu czasem nie jestem taka twarda, jak mi się zdaje.

– Interfejs jest cały. Uważamy, że po przeprojektowaniu możesz przeniknąć co najmniej pierwsze kilka tysięcy kilometrów strefy radiacji, nie narażając jego stabilności. Może głębiej; gradienty temperatury i ciśnienia są niewielkie. Ale wiesz, że nie doradzaliśmy tego nurkowania...

– Wiem. – Otworzyła oczy i kolejny raz ogarnęła wzrokiem bezmierne morze. Strach nadal ją paraliżował. – Kevan, nigdy nie zbiorę tyle odwagi, żeby spróbować ponownie. Teraz albo nigdy. Przyjmijmy, że to zabawa.

– Trzymaj się ciepła.

– Aha – warknęła. – A ty trzymaj się mnie...

Nagle wyhamowała. Miała wrażenie, że wpadła na szklaną ścianę; rozłożyła się płasko na niewidzialnej barierze, oddech uciekł z nierealnych płuc. Bezradnie odbiła się, wzlatując nawet trochę w górę, po czym runęła w głąb z jeszcze większą prędkością niż poprzednio.

– Kevan! – krzyknęła.

– Widzieliśmy, Lieserl. Jestem na miejscu, wszystko gra. Wartości oczekiwane.

*Oczekiwane* – pomyślała kwaśno. – *Ale ulga*. – Na Letę, co to było?

– Jesteś na dnie warstwy konwekcyjnej. Powinnaś spodziewać się czegoś podobnego.

– Tak? – warknęła. – A może powinnam spodziewać się, że mnie uprzedzicie, do cholery!? Auuu!

Znów poczuła to nagłe ostre hamowanie, po którym nastąpił nieprzyjemny wyrzut w górę, jakby była liściem unoszonym jesiennym wiatrem.

*To jak gra w smoki i drabiny* – pomyślała.

– Mijasz warstwę graniczną między strefami konwekcyjną i promienistą, to wszystko. – Scholes mówił z wystudiowanym spokojem. – Poniżej ciebie jest plazma, nad tobą gaz atomowy, materia na tyle chłodna, że elektrony kleją się do neutronów. Fotony wypadające z jądra odbijają się od plazmy, ale przekazują całą energię wyżej. Dzięki temu procesowi strefa konwekcyjna pozyskuje energię, Lieserl. Fontanny w tej warstwie są większe niż Ziemia. Nie powinnaś być zdziwiona, jeśli napotkasz małe turbulencje. Prawdę mówiąc, wszyscy tu jesteśmy ciekawi, dlaczego warstwa graniczna jest tak cienka... Wciąż wiemy, gdzie jesteś, Lieserl. Nie powinnaś się bać. Jesteś poza strefą turbulentną, prawda? Teraz znów powinnaś spadać bez przeszkód.

– Tak, tak, spadam. Więc teraz jestem w morzu?

– W morzu?

– Morzu plazmy. Strefie radiacji.

– Tak.

– Ale...

Nagle, prawie bez ostrzeżenia, znajomy widnokrąg komórek konwekcyjnych i linii sił strumienia

magnetycznego zamazał się w jej oczach, zbielał. Ta biel rozciągała się nad nią, przed nią i poniżej. Doznała takiego wrażenia, jakby zawieszono ją w jakiejś wielkiej, lodowato groźnej skorupce jajka.

– Ale co to? Co się dzieje, Lieserl? Coś jest nie tak? Po raz pierwszy ogarnęła ją panika.

– Nic nie widzę, Kevan.

Mark, unoszący się w jasno oświetlonej przestrzeni, spojrział w dół. Docierał właśnie do szczytu rampy przeładunkowej. Niżej znajdowała się przezroczysta podłoga, kręgosłup i silnik, a za nimi mgliste sylwetki: ludzie i roboty pracujący w obszarze rampy.

Spróbował zanalizować wrażenia. Przez chwilę walczył z irracjonalnym napływem zawrotów głowy wywołanych wysokością, poczuciem – chociaż widział na własne oczy, iż znajduje się w strefie nieważkości – że jeśli spadnie ze skutera, runie na szklaną podłogę, daleko w dół. Skoncentrował się na najbliższym otoczeniu, grubej warstwie ciepłego, jasno oświetlonego powietrza. Jednakże w porównaniu z nim niewyraźne zarysy kręgosłupa i silnika – twarde, masywne kończyny statku – wydawały się nierealne, jakby przestrzeń za delikatnymi ścianami kopuły była iluzją.

Poczuł się niewyraźnie. Statek tworzył ogromną, złożoną strukcję, niebywale narzucającą się świadomości. Po kilku dziesiątkach lat będzie strasznie łatwo uwierzyć, że statek to świat, że za jego ścianami nie ma niczego prawdziwego, znaczącego.

Teraz zbliżali się do dachu rampy: grodzi usługowej. Mark zrównał się z Garrym Uvarovem. Razem wpatrywali się w długie na półtora kilometra rurowisko: dukty, kable, przewody. Trzewia miasta widziane od spodu. Sterczały tam nawet korzenie drzew. Wszędzie mrowili się ludzie i roboty, pracując szybko i chyba sprawnie. Grodz ewoluowała na oczach patrzących, dukty i rury pełzły coraz dalej jak żywe stworzenia, agresywny jak las z metalu i plastiku.

– Niesłychane, jakie to wszystko prymitywne – zwierzył się Uvarovowi Mark. – Kable i dukty. Żywcem z muzeum archeologii przemysłowej.

Uvarov wskazał wypielegnowaną dłonią na przewody.

– Niesiemy do gwiazd przedstawicieli gatunku ludzkiego, wymieszane byle jak juki z wodą i zepsutym powietrzem. Jesteśmy jaskiniowcami wewnątrz statku kosmicznego. To dlatego ta grodz wydaje ci się taka prymitywna, Mark. Ale to jedynie odbicie naszej prymitywności. Podróżujemy do gwiazd. Mamy nawet nanoroboty, które nas rekonstruują, kiedy się zestarzejemy. Ale pozostajemy jaskiniowcami i kiedy udajemy się w drogę, nie możemy się obejść bez ogromnych skrzyń z rurami i duktami, które wiozą nasze tchnienie, mocz i gówno. – Uśmiechnął się szeroko. – Mark, moją pasją, moim celem zawodowym jest ulepszenie budowy ludzkiego organizmu. Czy wyobrażasz sobie xeelee wożących ze sobą cały ten śmietnik?

Minęli luk prowadzący z grodzi usługowej do części mieszkalnej.

W kopule było piętnaście pokładów mieszkalnych, każdy liczący około dziewięćdziesięciu metrów wysokości. Niektóre z głównych poziomów podzielono dodatkowo, tak że tworzyły zróżnicowany labirynt pomieszczeń. Szyby wind i pionowe kładki przecinały pokłady. W warunkach nieważkości szybów używano już jako kanałów przesyłowych; miały pozostać nie skończone, bez wyciągów, prawie do samego startu.

Teraz mała grupka wjechała do szybu i powoli zaczęła się unosić, mijając pokłady.

Wiele pomieszczeń jeszcze nie ukończono i w niektórych dopasowywano całe szeregi wirtualnych projektów. Przybysze oglądali burzę parków, bibliotek, mieszkań, teatrów, warsztatów,

sunącą z oszałamiającą szybkością przez pokoje.

– Jakie to urocze – stwierdził Uvarov. – Jakie ziemskie. Kolejny przykład ustępstw wobec naszej jaskiniowej natury, rzecz jasna.

Mark zmarszczył brwi.

– Jaskiniowcy czy nie, musimy przecież wziąć pod uwagę ludzkie potrzeby. Powinieneś o tym wiedzieć. Pomieszczenia zaprojektowano z myślą o ludziach; to istotne, żeby nie czuli się karzełkami otoczonymi martwymi przedmiotami, dodatkowo przytłoczeni i stłamszeni ogromem kadłuba. Przecież niektóre z tych pomieszczeń są tak wielkie, że ich mieszkańcy mogą zupełnie zapomnieć, iż są w środku jakiegoś statku.

– Doprawdy? mruknął Uvarov. – Ale czy przeważająca ilość dowodów nie świadczy, że jako gatunek nie dojrzeliliśmy do takiego lotu? Jakże łatwo będzie utonąć w bezpośrednich doznaniach zmysłowych, nieskończenie bardziej realnych niż kruchość statku, pustka za jego cienkimi ścianami. Jakże kuszące stanie się uznanie statku za cały świat, tło odporne na wszelkie ciosy, na którym będziemy odgrywać nasze malutkie, zawikłane ludzkie dramaty, tak jak nasi pradziadowie na równinach Afryki. Pomyśl o rurach i duktach grodzi usługowej. Być może nasi przodkowie wyobrażali sobie, używając nieco prostszych obrazów, że podobna infrastruktura znajduje się poza płaską Ziemią. Wszechświat to pudło, Ziemia to jego spód. Niebo to krowa rozstawiająca nogi w czterech kątach ziemi, a może kobieta na czworakach lub też metalowa pokrywa. Wokół ścian tego pudła-świata płynie rzeka, po której bogowie słońca i księżycy przemierzają się każdego dnia, wchodząc i wychodząc przez rozsuwane drzwi. Stałe gwiazdy to lampy wiszące u góry skrzyni. A zapewne pod tym wszystkim jest labirynt tuneli i duktów, które przemierzają wody i bogowie, aby rozpocząć na nowo swe codzienne podróże. Niebiosa mogły się zmieniać, ale były przewidywalne; ludzie, których świadomość była jeszcze na wpół uśpiona, postrzegali Wszechświat jako bezpieczne, niedostępne dla zagrożeń, przytulne łono. Czy nasza *Północna* tak bardzo różni się od Ziemi widzianej oczami Babilończyków czy Egipcjan?

Mark potarł podbródek. Protekcyjny ton Uvarova budził w nim irytację, ale te uwagi odzwierciedlały również jego własny niepokój.

– Może nie – odparł ostro. – Ale dlatego ty, ja i inni jesteśmy odpowiedzialni za to, aby mieszkańcy statku nie osunęli się w tamtą przedracjonalną erę. Aby nie zapomnieli.

– Hm, ale czy to będzie takie łatwe? Przez tysiąc lat?

Mark rozejrzył się niepewnie po częściowo zbudowanych bibliotekach i parkach.

– Słyszałem o pewnych programach, które opracowujesz razem ze swoim zespołem socjotechników – kontynuował Uvarov. – Inicjatywy badawcze i tak dalej. Toż to przecież zajęcia mające tylko jeden cel: przeciwdziałanie beczynności.

– Wcale nie. – Mark przyłapał się na tym, że znów się jeży. – Nie przeczę, że musimy szukać ludziom jakieś zajęcia. Jak to wciąż powtarzasz: jesteśmy jaskiniowcami, nie umielibyśmy zadowolić się gnuśnym przesiadywaniem przez całe tysiąc lat podróży. Niektóre z tych prac są oczywiste, to obsługa statku. Jednak do tego dochodzą programy badawcze. Pamiętaj, będziemy odcięci od reszty ludzkości przez większość podróży. Niektóre z twoich programów – jak przyspieszenie TDS-u – należą do tej samej kategorii. Zastanowił się i dodał prowokacyjnie: – Być może wymyślisz jakiś odpowiednik potrójnej nadmierności Milpitas w ludzkim ciele.

Uvarov roześmiał się, nie wytrącony z równowagi.

– Być może. Ale wolałbym pracować w nieco bardziej twórczy sposób. Jakkolwiek na to

spojrzeć, TDS to ogromny postęp w historii naszej ewolucji, jeden z najbardziej znaczących kroków oddalających nas od tyranii genów, która od dawien dawna bezlitośnie kładła pokotem ludzkość. Ale czy musimy polegać na zastrzykach nanorobotów, chcąc osiągnąć ten cel? O ileż lepiej byłoby, gdybyśmy Potrafili zmienić fundamentalne podstawy egzystencji naszego gatunku...

Markowi przeszedł lodowaty dreszcz po plecach. Zimne, analityczne spojrzenie Uwarova, połączone z niezwykle wydłużoną perspektywą myślenia, było głęboko niepokojące. Nawrócenie na ideologię Superet tylko umocniło go w poglądach.

I, na Letę, miał być lekarzem!

– Nie powinniśmy ograniczać się do jaskiniowej strony naszej natury ciągnął Uvarov. – Powinniśmy myśleć w kategoriach tego, co możliwe! A potem należy ustalić, co musi być zrobione, aby to osiągnąć... Bez względu na koszty. Obawiam się, że twoje propozycje struktury społecznej na tym statku to tylko kolejny przykład ciasnego myślenia.

Mark zmarszczył gniewnie brwi.

– Krytykujesz moje propozycje? – spytał.

Mimo lunarnego akcentu kpiący ton Uwarova był wyraźny.

– Przygotowałeś projekt konstytucji zunifikowanej demokratycznej struktury...

– Wyrazisty podział władz i lokalna samorządność. Tak? Coś ci się tu nie podoba? Uvarov, oparłem moje propozycje na tych naszych zamkniętych społecznościach, które odniosły największy sukces, na przykład na pierwszych koloniach marsjańskich. Musimy uczyć się na przeszłości...

Louise była dowódcą ekspedycji, ale nie kapitanem; żadna hierarchiczna struktura dowodzenia nie mogła przetrwać tysiąc lat. Poza brakowało gwarancji, że TDS będzie tak długo działać. Terapii tej brakowało wiele do doskonałości; najstarszy żyjący człowiek miał zaledwie czterysta lat. I kto wie, jaki okaże się kumulatywny efekt długotrwałego regenerowania świadomości?

...Tak więc możliwe, że nikt z załogi obecnej w chwili startu – nawet Louise i Mark – nie przeżyje i nie zobaczy końca podróży.

Nawet gdyby ostatnia osoba pamiętająca Słońce miała odejść, Louise i jej koteria musieli się postarać o realizację celu misji.

A zadaniem Marka było zaprojektowanie na tyle stabilnej społeczności zaludniającej zamknięte środowisko statku, aby przetrwała dziesięć wieków... i zrealizowała ten cel.

Uvarov wydawał się nastawiony sceptycznie.

– Ale zwykła demokracja?

Mark był zaskoczony, że protekcyjność Uwarova rani go tak głęboko.

– Musimy od czegoś zacząć, stworzyć jakieś ramy przydatne mieszkańcom statku, coś na czym mogliby budować. Konstytucja będzie giętka. Da nawet legalną możliwość tworzenia innej formy organizacji społecznej...

– Nie rozumiesz, o co mi chodzi – powiedział gładko Uvarov. – Mark, demokracja jako metoda ludzkiej interakcji liczy już tysiące lat. I wiemy, jak łatwo ją wykoleić. Są niezliczone przykłady ludzi wykorzystujących system demokratyczny do osiągnięcia własnych celów. Rusz głową. Czy naprawdę nie ma czegoś lepszego? Czy przez cały ten czas naprawdę nie nauczyliśmy się czegoś o sobie?

– Demokracje nie wojują ze sobą, Uvarov – oznajmił zimno Mark. – Demokracje odzwierciedlają wolę wielu, nie garstki czy jednostki. Chociaż może w niedoskonały sposób. Jak sam powiedziałeś, pozostaliśmy jaskiniowcami. Może nadal jesteśmy zbyt prymitywni, aby zaufać

sobie na tyle, by pozbyć się ram demokracji.

Uvarov pochylił swoją elegancko zarysowaną, srebrzystą głowę – lecz bez przekonania i nie na znak zgody, jedynie uznając rację przeciwnika w debacie.

Cztery skutery gładko wzbily się nad nie ukończone pokłady.

## Rozdział 7

Unosiła się w strumieniu naładowanych cząsteczek. Był izotropowy, nieprzejrzysty, jednolity...

Wkroczyła w nowe królestwo materii.

– Lieserl, Lieserl! Wiem, że mnie słyszysz; monitoruję pętle sprzężenia zwrotnego. Tylko mnie posłuchaj. Twoje zmysły są przeładowane; potrzebują czasu, aby zaadaptować się do tego środowiska. To dlatego oślepiłaś. Cholera, nie zaprojektowano cię z myślą o tych warunkach. Ale twoje procesory niebawem będą mogły zanalizować przepływ neutrin, gradienty temperatury i gęstości, nawet niektóre stałe wzorce fal grawitacji, i przekonują ci ośrodek wrażeń zmysłowych. Znów będziesz mogła widzieć, Lieserl; tylko zaczekaj, aż procesory zaskoczą...

Głos mówił dalej, buczał w jej uchu jak owad. Wydawał się pozbawiony znaczenia, odległy. W tej plazmowej pleśni nie widziała nawet swojego ciała. Wisiała w homogenicznym środowisku – wszędzie było to samo, w każdym kierunku. Miała wrażenie, jakby to plazmowe morze, ta strefa promienista stała się jakąś kipiela odcinającą dopływ wszelkich bodźców.

Ale się nie bała. Lęk znikł, odpłynął w perłowym blasku. Panowała cisza...

– Do cholery, Lieserl, ani mi się śni cię teraz stracić! Słuchaj mnie. Zostałaś tam wysłana, żeby znaleźć ciemną materię, nie zatracić duszę.

Lieserl, zagubiona w bieli, słuchała bezwolnie tego jednostajnego głosiku szepczącego jej w głowie.

Śniła o fotinach.

Rozwiązanie, że to ciemna materia odpowiada za starzenie się Słońca, narzucało się samo.

Ciemna materia tworzy dziewięćdziesiąt dziewięć procent masy Wszechświata; materia widzialna – barionowa, z której składają się gwiazdy, galaktyki i ludzie – to tylko cienka warstewka jasnej piany na ciemnym morzu.

Efekty oddziaływania ciemnej materii były wyraźne na długo przed tym, zanim pierwszy człowiek parający się fizyką wykrył jej pojedynczą cząsteczkę. Sama Droga Mleczna jest ściśnięta w dysku ciemnej materii, setki razy cięższym niż elementy widzialne. Gdyby gwiazdom Drogi Mlecznej nie towarzyszyła ciemna materia, ich ruch wokół jądra Galaktyki byłby inny. Tymczasem Galaktyka wiruje jak dysk ze stałej materii – ale świetlista część dysku to tylko niezwyklej rozmiarów zabawka zanurzona w ciemnym szkle.

Według modelu standardowego w sercu Słońca jest skupisko zimnej, ciemnej materii – niewykluczone, iż w sercu każdej gwiazdy.

Tak więc Lieserl śniła, że to być może ciemna materia opasująca termojądrowy reaktor Słońca zadaje mu śmierć.

Świat powoli wychodził ze stanu izotropii. Pojawił się załazek barwy – róż, źródło ciepła zagubione w chmurach u dołu. Początkowo myślała, że to jakiś twór jej świadomości – iluzja

stworzona przez wygłodzone zmysły. Wyróżniająca się warstwa była gładka, pozbawiona wszelkich zarysów, jedynie zmieniała się intensywność barwy – od lazurowego błękitu u góry do najgłębszej czerwieni w nadirze pod stopami Lieserl. Nawet kiedy poruszyła głowę, barwa pozostała – obiektywna, realna. Była poza nią, i to wystarczyło, aby mogła odbudować strukturę świata – zdefiniować górę i dół.

Przyłapała się na tym, że wzdycha. Niemal żałowała powrotu do zewnętrznego świata. Bardzo prędko przyzwyczaiła się do szybowania w nicości.

– Lieserl? Widzisz? Co widzisz?

– Widzę słonie grające w kosza.

– Lieserl...

– Widzę gradient temperatury, cóż by innego?

– Tak. Dobrze, że wróciłaś, mała.

Miękkie, przytulne światło to był blask termojądrowego piekła w jądrze przefiltrowanego przez jej niemowlęce wirtualne zmysły.

Wiedziała, że tam jest światło, a przynajmniej fotony, wiązki energii rentgenowskiej przebijające się z jądra Słońca, w którym tworzyły miliardy błysków. Gdyby mogła prześledzić drogę pojedynczego fotonu, zobaczyłaby, iż porusza się przypadkowymi zygzakami, odbijając naładowane cząsteczki jak w jakiejś podatomowej grze. Kroki tego swobodnego spaceru – odbywanego z prędkością światła – miały średnio dwa centymetry.

Gradient temperatury w tej części Słońca był nieznaczny. Ale prawdziwy i wystarczający na tyle, by zachęcić parę zygzakujących fotonów raczej do udania się ku powierzchni niż do środka. Czekala je jednak długa droga – przeciętnie foton potrzebował tysiąca miliarda miliardów kroków, zanim dotarł do zewnętrznej granicy warstwy promienistej. Podróż trwała dziesięć milionów lat – a ponieważ fotony poruszały się z prędkością światła, ich ścieżki miały dziesięć milionów lat świetlnych długości i były pozawijane niczym nie kończąca się płatanina wstążek.

Teraz, gdy zaskoczyły inne „zmysły”, Lieserl lepiej rozpoznawała otoczenie. Gradienty ciśnienia i gęstości ukazywały się w odcieniach niebieskości i zieleni, im bliżej środka, tym intensywniejsze, ściśle dopasowane do różnicy temperatury. Czuła się tak, jakby wisiała wewnątrz wielkiego trójwymiarowego diagramu opisującego równanie stanu Słońca.

Jak na zawołanie pojawiły się dane modelu standardowego fizyki teoretycznej, kładąc jej na twarzy sieć gradientów ciśnienia, temperatury i gęstości. Jaśniejące pęki linii podkreślały rozbieżności z modelem standardowym.

Te rozbieżności były wszędzie! Jeszcze większe niż poprzednio.

Ciemna materia i materia barionowa oddziałują na siebie grawitacyjnie. Cząsteczki ciemnej materii mogą wchodzić w interakcję z materią barionową poprzez inne oddziaływania, ale tylko słabe i w warunkach najwyższej gęstości – takiej, jaka panuje w sercu słońca. W warunkach ziemskich światy barionowy i ciemnej materii mijają się zupełnie obojętnie, jak gromady duchów z różnych mileniów.

To sprawiało, że ciemna materia była trudna do zbadania. Ale po stuleciach poszukiwań ludziom udało się złapać w pułapkę kilka umykających cząstek.

Ciemna materia była zbudowana z antycząstek – zwierciadlanych odbić zwykłej materii barionowej.

*A w jakim zwierciadle odbija się materia barionowa?* – rozważała jak przez mgłę Lieserl. Kiedy sformułowała pytanie, odpowiedź sama przyszła jej do głowy, ale Lieserl znajdowała się w takim stanie, że trudno było jej stwierdzić, czy to podpowiedź Kevana Scholesa, czy efekt przyspieszonej nauki w dzieciństwie, czy też informacja z zasobu danych w interfejsie.

Trudno było stwierdzić i jeszcze trudniej było się tym przejąć.

Owym „zwierciadłem” cząsteczek była supersymetria lub jednolitość oddziaływania, element wielkiej teorii, według której różne siły fizyki – grawitacyjna, elektromagnetyczna, silne i słabe oddziaływania jądrowe – wszystko było aspektem pojedynczego, ujednoliconego oddziaływania. Pojawiało się w warunkach ekstremalnej temperatury i maksymalnego ciśnienia, w sercach supernowych lub w trakcie Wielkiego Wybuchu. W innych, nie tak ekstremalnych momentach i miejscach ujednolicone oddziaływanie rozpadało się na komponenty i następował rozkład supersymetrii.

Z istnienia jednolitości oddziaływania wynikało, że każda cząstka barionowa powinna mieć supersymetrycznego bliźniaka – antycząsteczkę. Elektronowi odpowiadał pozytron, fotonowi – fotino i tak dalej.

Z czasem standardem stał się pewien szczególny wariant jednolitej teorii pola – Spin (10). Lieserl powtórzyła to sobie kilka razy. Spin (10)! Absurdalna nazwa. W sam raz dla tajemnicy Wszechświata.

Rozbieżności dzielące teorię od obserwacji były niezmierne – i wzrastały, im bliżej było centrum Słońca.

– Kevan, tu jest o wiele za gorąco.

– Widzimy to, Lieserl – powiedział sucho. – Jak na razie ładujemy dane. Na wszelki wypadek nie chowaj zimowego palta.

Zajrzała w środek siebie, wprawiła w ruch niektóre dodatkowe zmysły.

– Już wyłapuję rozproszoną część strumienia fotinów.

– Już? Tak daleko od centrum? – W głosie Scholesa był niepokój. – Jesteś pewna?

Kiedy taka gwiazda jak Słońce mknęła swoją drogą przez centrum Galaktyki – przez wielkie, nieuchwytnie morze ciemnej materii – fotina wpadały w jej studnię grawitacyjną wielką jak główka szpilki i skupiały się wokół jądra.

Fotina tak naprawdę obiegały środek Słońca, kłębiły się w rdzeniu wokół geometrycznego centrum jak drobne, krążące sępy, planety w skali podatomowej, których orbitalne „lata” trwały zaledwie minuty. Fotina przemykały przez wodór spalający się w hel, jakby to była rzadka mgła...

Prawie.

Szansę, że fotina wejdą w interakcje z cząsteczkami plazmy były niewielkie, ale nie zerowe. Podczas każdego okrążenia zderzały się z cząsteczką barionową, może z protonem. Pozyskiwały energię. To z kolei dodawało im szybkości i oddalały się od serca Słońca.

Działając w ten sposób, przemieszczając się przez obszar fuzji termojądrowej i sklejoną masę uwięzionych fotonów, fotina niezwykle skutecznie eksportowały ciepło ze środka Słońca.

Według modelu standardowego temperatura w jądrze powinna być niższa o jedną dziesiątą, a energia cieplna reakcji termojądrowych odprowadzana ku otaczającym, chłodniejszym obszarom. Dzięki temu warstwy centralne byłyby niemal izotermiczne – jednolite temperaturowo. Jądro miało być troszeczkę zimniejsze, a otaczająca je materia nieco cieplejsza.



*Tylko troszeczkę* – pomyślała Lieserl. – *Jeśli trzymać się modelu standardowego.*

Oceniała wykresy temperatury otoczenia i uświadomiła sobie, jak bardzo różnią się od wiekowego, szanowanego teoretycznego wizerunku. Obszar izotermiczny rozciągał się daleko poza naturalnym reaktorem termojądrowym – o wiele dalej niż pokazywał model standardowy, rysujący skromne skupisko fotinów wirujących wokół jądra.

– Kevan, z jądra wysysane jest o wiele więcej ciepła, niż przewiduje model standardowy. Zdajesz sobie sprawę, że model w żaden sposób nie pasuje do tych obserwacji.

– Zdaję. – Zapadła cisza i Lieserl wyobraziła sobie, że Scholes wzdycha do mikrofonu. – To chyba znaczy, że trzeba powiedzieć „cześć” staremu kumplowi.

Starła kontury wykresów modelu standardowego w swoim sensorium. Uwydatniły się gradienty, krzywe obrazujące fizyczne własności otoczenia. Bez mylących szczegółów nałożonych przez wykresy modelu standardowego krzywe wydawały się zbyt gładkie, łudzaco mdłe; poczuła nawrót głębokiego spokoju, jakiego doświadczyła w chwili odcięcia dopływu bodźców zmysłowych. Nie miała wrażenia ruchu ani poczucia skali wielkości; spoczywała wewnątrz gęstej chmury przenikniętej neonowym różowym i niebieskim światłem, bijącym z ukrytego źródła.

– Kevan, wciąż opadam?

– Osiągasz zanurzenie znamionowe.

– „Znamionowe”. Nie cierpię tego słowa.

– Wybacz. Wciąż spadasz, ale o wiele wolniej; chcemy mieć pewność, że panujemy nad gradientami energii.

Ledwie dotarła do morza plazmy. Przebyła dwadzieścia procent dystansu do centrum Słońca. Do jądra pozostały pełne dwie sekundy świetlne.

– Poza tym wychytujesz jakiś skośny przepływ. Tam są prądy, Lieserl.

Jej wirtualne zmysły adaptowały się do mroku; teraz widziała więcej kształtów w otaczającej ją woskowej mapie temperatury: zespoły gorąca, powolne, zmienne kierunkowo strumienie.

– Zgadza się. Chyba to widzę. Komórki konwekcyjne?

– Może. Albo jakiś nowy fenomen. Lieserl, wychytujesz dane, jakich tu nigdy wcześniej nie zanotowano. To materiał zaledwie sprzed kilku minut; jest trochę za wcześnie na formowanie hipotez, nawet przez bystrych facetów z Totha. Szkoda, że nie możesz zobaczyć drugiego interfejsu – tu u nas, gdzie wychodzi ciepło. Każda ściana wręcz pluje plazmą z głębi Słońca; można by pomyśleć, że w sercu Układu wybuchła mała nowa. Lieserl, może w to nie uwierzysz, ale naprawdę rozjaśniasz fotosferę. Niech mnie drzwi ścisną! Założę się, że gdybyśmy się dobrze przyjrżeli, zobaczylibyśmy, że rzucasz cienie z protuberancji.

Uśmiechnęła się.

– Wiem, że się uśmiechasz, Lieserl. Taki jestem spryciarz. Podoba ci się rola bohatera, prawda?

– Może trochę.

Pozwoliła sobie na jeszcze szerszy uśmiech, myśląc: *Rzucam cień na Słońce. Niezły pomnik sobie wystawiłam.*

Górne poziomy mieszkalne *Północnej* były zajęte przez las tropikalny o powierzchni dwa i pół kilometra kwadratowego.

Cztery skutery uniosły się cylindryczną śluzą. Ludzie, niczym jacyś przedwieczni bogowie, wyłonili się w środku dżungli.

Powietrze było gęste, przepełnione intensywnymi zapachami i krzykami ptaków i zwierząt. Gładkie pnie drzew liściastych, filary lasu, stały jeden przy drugim – niektóre ekstrawagancko pochylone, inne sięgające sklepienia. Drzewa znikwały w pomroce, ciągnęły się szeregami, jak w stworzonej przez naturę mahometańskiej świątyni. Pozbawione światła poszycie było zaskakująco nagie i twarde: kobierzec liści poprzebijany śluzami, które ukazywały niesłychany widok chłodnych, obszernych przestrzeni poniżej tego mikroświata. Bujnie rozmnażały się grzyby, rozkładając odrosty na liściastym śmietniku i unosząc wielkie ciała w kształcie parasoli i kul, platform i włócznie, obwieszonych delikatnymi spódniczkami.

Mark wybrał na chybił trafił gnijący pień drzewa i przesunął się trzydzieści metrów dalej. Korę zarosły gęsto paprocie i mchy, bogaty kompost w szparach pni. Ogromne jaskrawe orchidee i rośliny bromeliowate skolonizowały teren, pobierając zwisającymi korzeniami pokarm z gnijących liści, a wilgoć z powietrza.

Minął dzikiego bananowca. Szerokie, opadające liście miały dziurki po obu stronach. Mark uniósł liść. Pod spodem wisały białe futrzaste kulki o średnicy może czterech centymetrów; to wędrownie nietoperze kryły się przed deszczem w tym sztucznym lesie.

Usłyszał za plecami szelest i odwrócił się.

Tuż za nim posuwał się Uvarov.

– Każdego dnia sztuczne słońce pędzi w swym rydwanie po sztucznym szklanym niebie tego świata – zaintonował śpiewnie. – A maszyny pompują deszcze w sztuczne chmury. Mieszkamy w zaawansowanej technologicznie realizacji naszych najstarszych wizji Wszechświata. Zastanawiam się, o czym to świadczy, że zbudowaliśmy właśnie taki a nie inny statek?

Mark nie odpowiedział. Odepchnął się od drzewa i osunął reszcie, nad poszycie.

Louise klepnęła pień. Uśmiechnęła się.

– Jeden z niewielu autentyków w tym całym cholernym statku. – Rozejrzała się wkoło. To pokład zerowy. Tu chciałam zakończyć nasz obchód. Ten las napawa mnie dumą. Jest praktyczny – to będą płuca statku, kluczowa część naszego układu ekologicznego – i nią też wyższe zastosowanie: nie pozwoli nam zapomnieć, kim jesteśmy i skąd przybyliśmy.

Popatrzyła po towarzyszach stojących w zielonym mroku.

– Każdy z nas przyłączył się do tego projektu z innych powodów. Mnie interesuje wyzwanie techniczne. A niektórzy z was, sympatyzujący z Superet, mają o wiele ambitniejsze cele. Ale na naszej czwórce bardziej niż na innych spoczywa odpowiedzialność za realizację całego przedsięwzięcia. Ten las jest dla nas wszystkich symbolem. Jeśli te drzewa przetrwają dziesięć wieków, to ludzie z pewnością również.

Serena Milpitas odchyliła głowę. Mark poszedł za jej przykładem i przez dziurę w koronach drzew dostrzegł odległe gwiazdy. Nagle jego wyobraźnia dokonała przeskoku i objawiła mu się prawdziwa natura tej dżungli-zabawki, nad którą była pusta, ciemna przestrzeń kosmiczna, a pod którą rozciągała się skomplikowana ludzka królikarnia.

– Jeśli przewidywania Superet są prawidłowe, to kto wie, jakie gwiazdy oświetlą te drzewa za tysiąc lat – powiedział Garry Uvarov.

Mark pogładził pień; był pokrzepiony na duchu, czując solidną, ciepłą i wilgotną masę. Usłyszał w górze wrzaskliwy chór, ujrzał ekstatycznie roztańczone stado rajskich ptaków, których złote upierzenie migotało na tle transplutońskiej ciemności widocznej poza sztucznym nieboskłonem.

*Tysiąc lat...* – pomyślał.

Ciemna materia mogła powodować starzenie się gwiazdy.

Skupisko fotinowe w sercu Słońca zbijało temperaturę i hamowało reakcje termojądrowe. Lieserl naiwnie przypuszczała, że to może przedłużyć, nie skrócić życie Słońca, gdyż zapas wodoru będzie się wolniej wyczerpywał.

Ale sprawy ułożyły się inaczej. Ubytek energii cieplnej z jądra destabilizował Słońce. Delikatna równowaga między kolapsem grawitacyjnym a wybuchem radiacyjnym ulegała naruszeniu. Słońce miało wypalić się wcześniej, to znaczy wcześniej opuścić ciąg główny, zrównoważoną rodzinę gwiazd.

Według modelu standardowego fotina powinny skrócić życie Słońca tylko o miliard lat.

*Co znaczyło „tylko”?* – pomyślała Lieserl.

Miliard lat to długo – sam Wszechświat powstał zaledwie około dwudziestu miliardów lat temu podczas Wielkiego Wybuchu – ale Słońcu pozostały nadal miliardy lat spokojnej egzystencji gwiazdy ciągu głównego...

Według modelu standardowego. Lieserl już jednak wiedziała, że jest zły.

– Lieserl?

– Hm?

– Mamy odpowiedź. Tak się nam wydaje.

– Mów.

– Model standardowy przewiduje, że chmura fotinowa powinna się znajdować wewnątrz jądra, obejmować dziesięć procent średnicy Słońca. Zgadza się? Ale według najnowszych analiz danych dostarczonych przez ciebie...

– Dalej, dalej, Kevan.

– Skupiska fotinów obejmują jakieś trzydzieści procent średnicy. Trzy razy więcej niż w modelu, prawie jedną trzecią...

– Na Letę! – Spojrzała w dół. Serce Słońca nadal gorzało spokojnie w naprzemiennych odcieniach różu i błękitu. – To musi znaczyć, że termojądrowy reaktor centrum jest zalany fotinami.

Nawet niezbyt dokładne łącze oddało niepokój w głosie Kevana.

– Temperatura jądra jest o wiele za niska. Prawdę mówiąc...

– Prawdę mówiąc, jest możliwe, że procesy termojądrowe ustały całkowicie – skonstatowała ze spokojem. – Czy nie tak, Kevan? Być może jądro Słońca już całkiem zgasło, jak zduszony knot świeczki.

– Tak. Lieserl, najbardziej niepokoi mnie to, że tutaj nikt nie potrafi znaleźć naturalnej przyczyny powstania takiej chmury fotinowej...

– Jak ocenia się długość cyklu życia Słońca? Ile mu zostało?

Tym razem nie było wahania.

– Nic.

Początkowo ta brutalna diagnoza wydała jej się bezsensowna.

– Co?

– Nic w skali o jakiej mówimy – skali czasu mierzonej miliardami lat. W praktyce od jednego do dziesięciu milionów lat. Lieserl, to nic w skali kosmicznej!

– Wiem. Ale to pokrywa się z przewidywaniami Superet, prawda? Danymi pozyskanymi z płataniny tuneli czasoprzestrzennych Michaela Poole’a.

– Tak.

– Kevan, nie przeżywaj tak tego. Pięć milionów lat to pięćdziesiąt razy dłużej niż dotychczasowa historia ludzkości...

– Może. – Głos Kevana przybrał twarde brzmienie, jakby osobiście czuł gniew z powodu starzenia się Słońca. – Ale mam dzieci. Żywię nadzieję, że moi potomkowie będą żyli za pięć milionów lat. Do cholery, mam nadzieję, że sam będę wtedy świadomy. Czemu nie? To tylko pięć megalat; wyszliśmy już z mroków średniowiecza, Lieserl.

Zajrzała głębiej w serce Słońca, usiłując zaprząć do pracy więcej swoich funkcji. Dysponowała zmysłami odbierającymi widmowe cienie przepływu neutrin i fotonów i gdyby je wytężyła, wyodrębniłaby chmurę ciemnej materii.

– Muszę zejść niżej – wymamrotała.

– Co?

– Powiedziałaś, że zejdziesz niżej. Chcę się dowiedzieć, co tam jest. W jądrze.

– Lieserl...

– Daj spokój, Kevan. Oszczędź mi napomnień, że powinnam uważać. Nie możesz mi powiedzieć, że Superet zainwestowała w mnie tyle, tylko po to, żebym wróciła do środka cholernej fotosfery.

– Już osiągnęłaś niesamowite rezultaty.

– I mogę osiągnąć więcej. Schodzę, Kevan. Po to mnie zaprojektowano. Chcę po prostu zobaczyć, co powoduje gaśnięcie naszego Słońca.

*A może kto* – dodała niespokojnie w myślach.

Scholes zawahał się.

– Po prawdzie, eksperymentujemy na tobie, Lieserl. Do cholery, nie wiemy nawet, jakie warunki panują tam, na dole.

– Więc nie będę się spieszyć. Możecie mnie przeprojektować. Czasu mam pod dostatkiem. Będę schodziła za odbijającymi się fotonami. Może na dotarcie do środka będę potrzebowała miliona lat. Ale zrobię to.

– Lieserl, Superet chce, żebyś kontynuowała zadanie. Ale... posłuchaj tego uważnie... organizacja jest przygotowana, że nie wrócisz. Niewykluczone, że to będzie podróż tylko w jedną stronę. Rozumiesz, Lieserl?

Szept stał się odległy; zanurzyła wzrok w oceanicznych głębiach Słońca.

# **CZEŚĆ DRUGA**

## **CZASOPODOBNA TRAJEKTORIA**

## Rozdział 8

Ściskając udami konar drzewa puchowca, Strugacz Strzał uniósł luk w kierunku sztucznego nieboskłonu. Napięta cięciwa wrzynała się w trzy stwardniałe palce, a ciężar łuku dawał miłe poczucie mocy. Strzała spoczywała lekko między palcami, w idealnej równowadze.

Łysa czaszka Strugacza była śliska po trudach wspinaczki. Dotarł pod samą koronę drzew; ze wszystkich stron rozbrzmiewały trzaski, szelesty, tryle i skrzeki. Zbliżał się wieczór. Gdzieś stado małp krzykiem ogłaszało swoje terytorialne prawa. Niesamowite chóralne zawodzenia wznosiły się i opadały.

Puścił cięciwę.

Strzała świsnęła w powietrzu i sznur holowniczy rozwinął się; powiew musnął policzek Strugacza.

Kilka kroków dalej rozległ się grzechot. Strzała powróciła. Ale sznur nie spadł; Strugaczowi udało się go przerzucić przez najwyższe gałęzie puchowca.

Zarzucił luk na ramię, sięgnął po kołczan i ruszył między konary; nagie stopy łatwo znajdowały oparcie na obrośniętej mchem korze. Odnalazł strzałę na wzgórku mchu, w rozgałęzieniu figowca. Szybкими, oszczędnymi ruchami rozwinął powróż, który spowijał mu biodra, i przywiązał go do sznura; powróż – spleciony przez jego córkę z włókien lian – był grubości palca. Pracując na wycucie, Strugacz biedził się z ciężkim, sztywnym materiałem.

Splótszy węzeł, zaczął wybierać sznur holowniczy. Powróż prześlizgiwał się przez warstwy liści. Niebawem Strugacz przeciągnął go przez gałąź nad głową. Szarpnął; niewidoczna gałąź wyprężyła się. Powróż z pewnością utrzyma ciężar ciała.

Odwiązał sznur i owinął go wokół pasa. Założył na powróż dwa metalowe zaciski, z których każdy miał siatkowe strzemię. Strugacz Strzał wsunął w jeden z nich stopę. Przesunął wyżej drugi zacisk i ruszył w górę. W ten sposób wspinał się na zawrotną wysokość. Zaciski pracowały swobodnie, gdy poruszały się w górę, a mechanizm zapadkowy uniemożliwiał osuwanie się. Jeden z zacisków był trochę luźny – Strugacz Strzał podejrzewał, że to kwestia zużycia – ale nie na tyle, żeby odmówić posłuszeństwa.

Wspinając się przez warstwy zieloności ku niebu, Strugacz Strzał rozluźnił się, gdy wpadł w znajomy rytm prostego wysiłku. Uczuł przyjemny żar wstępujący w stawy i mięśnie. Ciężki pas, z siatkami na narzędzia i pożywienie, objął się miękko o skórę; luk i kołczan zwisające z ramienia nie utrudniały w niczym wspinaczki.

Zaciski, powróż, sznur i strzemiona należały do Strugacza Strzał od co najmniej dwudziestu lat. Były najcenniejszą, prawie niezastąpioną częścią jego majątku; stanowiły o przetrwaniu. Ludzie lasu umieli robić powrozy, łuki i farby do malowania twarzy, ale po prostu nie mieli surowców do wytwarzania zacisków i strzemion nie mówiąc już o nożach, szklach optycznych i wielu innych podstawowych przedmiotach codziennego użytku. Musiał to przyznać nawet stary Uvarov jeżdżący po leśnym podłożu na swoim wózku.

Młody Strugacz Strzał zdobył sprzęt wspinaczkowy drogą handlu wymiennego z ludźmi podziemia.

Przez wiele dni gromadził dary lasu; zbierał owoce, zabijał ptaki, łąbił miski z drzewa kopaiwowego. Zebrał te dobra i ułożył na kupce obok jednej z wielkich śluz w poszyciu. Informację o tym, czego potrzebował, przekazał ludziom podziemia za pomocą starannych nacięć sztychem noża na podrapanej pokrywie śluzy.

Kiedy wrócił tam następnego dnia, znalazł potrzebny mu sprzęt, ułożony starannie i lśniący świeżością. Jego towary znikły co do jednego.

Życie leśnego ludu zależało od wytworów ludzi podziemia. Jednakże Strugacz Strzał wielokrotnie myślał, że jest i na odwrót. Być może ludzie podziemia potrzebowali leśnego pożywienia do przetrwania. Być może tam, pod korzeniami lasu, gdzie nigdy nie dochodzi światło niebios, panowała ciemna noc; może tamci nie umieli uprawiać jadalnych roślin. Strugacz Strzał zadygotał; nagle wyobraził sobie rasę nocnych wielkookich stworów, przemykających się niczym lemury przez wymarłe, zawsze mroczne pokłady statku.

Dotarł na czubek drzewa. Konar, przez który przerzucił linę, miał grubość zaledwie kilku dłoni, ale to wystarczyło. Tkwiło na nim gniazdo języka – wianuszek piór i odłamków kory sklejonych śliną – chroniące jedno jajeczko.

Wybrał solidniejszy konar i usiadł na nim, oplatając rozgałęzienie nogami. W starannie dobrane miejsce odłożył łuk i kołczan. Wyjął z pasa trochę suszonego mięsa i żuł twarde, solone jadro, przyglądając się otoczeniu.

Znalazł się blisko szczytu korony puchowca. Najwyższe gałęzki wielkiego drzewa rysowały się na tle ciemniejszego nieba, szeleszcząc zbrązowiałymi liśćmi.

Korony drzew znajdowały się niecałe trzydzieści metrów poniżej sztucznego nieboskłonu, ale ów pojedynczy puchowiec wybijał się ponad resztę, niemal muskając kopułę. W szarości wieczoru ten górny świat stał się niemal równie mroczny jak poszycie lasu głęboko w dole. Ale Strugacz Strzał znał otoczenie puchowca. Przecież wspinał się na to drzewo od niemal osiemdziesięciu lat.

Był na czubku świata. W oddali ptak przeleciał pod niebem, odbijając się krzykliwą plamą od gasnącego światła. Powyżej sztucznego nieboskłonu pojawiały się gwiazdy. W dole spleciona masa gałęzi puchowca zasłaniała ogromny pień. Wszędzie unosiły się puszyste nasiona, a ostatnie cętki światła skropiły liście. Dziesięć metrów poniżej wierzchołka drzewa liściaste sklepienie tworzyło falujący kobierzec, gęsty pokład zieloności, który wraz z nadejściem nocy nabierał oleiście czarnej barwy i ciągnął się aż do horyzontu, dotykając samego sztucznego nieboskłonu.

Garry Uvarov wysłał na górę Strugacza Strzał z zadaniem zbadania nocnego nieba. Tak więc teraz Strugacz zadarł posłusznie głowę.

Kusiło go, by wyciągnąć rękę i sprawdzić, czy zdoła dotknąć nieba.

Oczywiście, było to niemożliwe – do kopuły nadal brakowało przynajmniej sześciu metrów – ale bez trudu mógł wystrzelić strzałę i patrzeć, jak grzechoce o przezroczyście dach.

Niebo pozostało niezmienione. Jego głęboką pustkę ledwo urozmaicały nieregularnie rozbryźnięte drobiny – gwiazdy. Większość ledwo widocznych punktów świeciła mętną czerwienią, jak krople krwi.

Do tej pory gwiazdy nie ciekawiły Uvarova; teraz nagle rozkazał Strugaczowi Strzał wspiąć się na drzewo, mówiąc, żeby spodziewał się nieba rozjarzonego gwiazdami – białymi, żółtymi i niebieskimi. No cóż przewidywania starca okazały się mylne.

Strugacz Strzał czuł, że Uvarov jest kimś ważnym, cennym jak talizman. Ale w miarę lat jego słowa i wymagania wydawały się coraz bardziej szalone.

Strugacz szukał gwiazdnych formacji znanych mu od dzieciństwa. Oto trzy gwiazdy świecące jak zwykle i uszeregowane regularnie jedna za drugą; oto znany krąg przesączony jasnym, szkarłatnym blaskiem.

Nic nie zmieniło się na niebie, gwiazdy nad sztucznym nieboskłonem pozostały takie same.

Zszedł na niższe gałęzie puchowca, odgradzając się od nagiego nieba przyjazną warstwą zieleności. Zabezpieczył się powrozem, złożył głowę na ramieniu i czekał na sen.

Zawodzenie klaksonu odbiło się echem od domów, pustych ulic, murów, nieba.

Jutrzejszy Dzień ocknął się natychmiast.

Leżał przez chwilę w łóżku, wpatrując się w rozproszone światło zalewające sufit.

Przynajmniej budzenie się było łatwe. Niekiedy klakson się nie odzywał – był równie niedoskonały i ulegający awariom jak każde urządzenie na świecie – ale wtedy Jutrzejszy Dzień sam otwierał oczy dokładnie o czasie, jak zwykle. Wyobrażał sobie swój mózg jako zniszczony, wiekowy przedmiot, zryty bruzdami przyzwyczajęń. Budził się codziennie o tej samej porze.

Tak było przez ostatnie pięć stuleci.

Zsunął zeszywniałe nogi ze swojej palety i wstał. Przeanalizował w myślach czekające go wydarzenia, odstępstwo od zwykłego rozkładu dnia. Dzisiaj miał stawić się na rozmowę z planistą Milpitasem – którą to z rzędu? – i serce mu zamarło.

Podszedł do okna i wykonał krążenie ramion, pobudzając nieco krwiobieg w klatce piersiowej. Ze swojej siedziby na drugim pokładzie widział przez pustą wielowarstwową podłogę pewne szczegóły trzeciego pokładu: domy, fabryki, biura i wyrastające nad wszystko inne krawędzie wielkich świątyn planistów, rozrzucone po zbiegających się tarasach jak gęste chmury. Za budynkami i ulicami stały mury świata: płyty metalu z żebrowanymi wzmocnieniami. A nad tym wszystkim rozpościerało się wielowarstwowe niebo, pokrywa dźwigarów i paneli, szczelna i przytłaczająca.

Odbył poranny rytuał – mycie, golenie twarzy i czaszki, wchłanianie mdłego, wysokobiałkowego pożywienia. Włożył najczystszy standardowy drelich, po czym wyruszył na umówione spotkanie.

Spółeczność zajmowała dwa pokłady – drugi i trzeci; podzielono je w układzie kolistym na sektory i segmenty rozgraniczone drogami biegnących wzdłuż cięciw i promieni. Czwarty pokład był dostępny, ale nie zamieszkały; Superet dawno temu ustanowiła, że ma służyć za źródło surowców. I był też jeden pokład wyżej, zwany pierwszym, również niezamieszkały – służył innym celom.

Jutrzejszy Dzień nie miał pojęcia, co znajduje się powyżej pierwszego pokładu albo poniżej czwartego. Planiści nie nagradzali ciekawości.

Podążając na spotkanie, mijał z rzadka ludzi. Szedł, oczywiście; świat miał tylko półtora kilometra średnicy, tak więc prawie wszędzie docierało się piechotą lub rowerem. Jutrzejszy Dzień zamieszkiwał w segmencie drugim, nieciekawym wycinku pokładu, blisko kadłuba. Świątynia była w sektorze trzecim – prawie dokładnie naprzeciwko, lecz blisko serca pokładu. Jutrzejszy Dzień przeciął promieniście biegnące kładki, minął sektor piąty i wyszedł niemal na świątynię,

Większa część sektora piątego nosiła nazwę Parku Poole'a; Jutrzejszy Dzień słyszał, że nazwa przetrwała od startu statku. Jednak teraz obszar w niczym nie przypominał parku. Jutrzejszy Dzień nie spieszył się na spotkanie z Milpitasem; powoli mijał rzędy bud, biednych mieszkań i sklepów. Na szyldach widniały imiona właścicieli i nazwy towarów, czy też prymitywne, jarmarczne malowidła



sprzedawanych dóbr. Tu i tam, między ścianami sklepików, walczyły o przeżycie chwasty i dzikie kwiaty. Minał parę robotów konserwatorskich, zapracowane wózki z miotłami i szuflami, pełzące zapuszczonymi ulicami.

Rzędy domów mieszkalnych, pudełkowych sklepików i hal meetingowych, bibliotek i fabryk miały ten sam wygląd co zawsze. Może nie ponury – maszyny deszczowe czyściły wszystko każdej nocy – ale zuniformizowany.

Jakaś dawno zapomniana myśl zaświtała w głowie Jutrzejszego Dnia. *Tak, to jest właściwe słowo* – pomyślał. – *Są koszmarnie zuniformizowane.*

Zbliżał się do świątyni planistów. Czworościenna piramida z jaśniejącego metalu miała czterdzieści pięć metrów wysokości i lśniła niebiesko na krawędziach. Jutrzejszy Dzień z każdym krokiem czuł się mniejszy i bezwiednie zwolnił; w świecie, w którym niewiele budynków wyrastało na dwa piętra, świątynie były widoczne zewsząd, ogromne, gładkie – i przytłaczające.

Niewątpliwie zgodnie ze swoim przeznaczeniem.

Planista Milpitas bez końca obracał w długich palcach kawałek metalu, mierząc wzrokiem Jutrzejszego Dnia. Biurko gospodarza było puste, ściany pozbawione ozdób.

– Zadajesz zbyt wiele pytań, Jutrzejszy Dniu. – Nagą czaszkę planisty okrywała cienka jak papier skóra z niewielkimi, ale widocznymi śladami blizn.

Jutrzejszy Dzień próbował zbyć uśmiechem zarzut. Rozmowa właściwie jeszcze dobrze się nie zaczęła, a już ogarnęło go przeogromne zmęczenie.

– Taki mam styl.

Planista się nie uśmiechnął.

– Tak. Taki masz styl. Ale kłopot w tym, że twoja dociekliwość czasem budzi niepokój innych.

Jutrzejszy Dzień starał się opanować drżenie. Czuł głównie lęk i bezsilność – ale pod tymi uczuciami tlił się gniew i wiedział, że musi nad nim zapanować. Gdyby Milpitas miał na to ochotę, mógłby mu bardzo uprzykrzyć życie.

Milpitas podniósł przedmiot.

– Powiedz mi, co to jest?

– To pierścień ósemkowy.

– Czy ty go zrobiłeś?

Jutrzejszy Dzień wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może. To standardowy artykuł w sklepach na czwartym pokładzie.

– Dobrze. – Milpitas odłożył pierścień na biurko. Rozległ się cichy brzęk. – Powiedz mi, co jeszcze wyrabiasz. Podaj listę.

Jutrzejszy Dzień zamknął oczy i pomyślał.

– Części do maszyn, na przykład do automatycznych podajników żywności. Nie wnętrza, rzecz jasna, to zostawiamy nanorobotom, ale główne fragmenty poszycia. Materiały budowlane: łącza, rury, kable. Okulary, sztuce; proste rzeczy nie do zreperowania dla brygad konserwatorskich nanorobotów. Milpitas pokiwał głową.

– I?

– I takie rzeczy jak twój pierścień. – Jutrzejszy Dzień próbował ukryć nutę bezradności w głosie. Zapewne nadaremnie. – Zapadki, strzemiona. Skrobaczki...

– Dobrze. Jednak, Jutrzejszy Dniu, wartość łącza czy okularów jest oczywista. Ale co myślisz

o pytaniu: jaka jest wartość twojego pierścienia ósemkowego, zapadek i strzemion?

Jutrzejszy Dzień zawahał się. Właśnie tego rodzaju pytania wpędziły go w kłopoty. W końcu wybuchnął: – Nie wiem! Planisto, nie wiem i dostaję od tego szału! Patrzę na te rzeczy i usiłuję dojść, do czego mogłyby się przydać, ale...

Planista uniósł dłoń.

– Nie odpowiadasz na moje pytanie, Jutrzejszy Dniu.

Jutrzejszy Dzień pogubił się. Dawno temu nauczył się, że w kontaktach z ludźmi pokroju Milpitasa słowa zamieniały się w broń, wyostrzone klingi, za cięciami których ledwo nadał wzrokiem.

– Przecież spytałeś mnie, do czego są zapadki.

– Nie. Zapytałem cię, co myślisz o pytaniu o zapadki, nie pytałem o nie same. To głęboka różnica.

Jutrzejszy Dzień natężył rozum.

– Przepraszam. Nie rozumiem.

– Nie rozumiesz. – Planista wsparł na biurku długie palce pełne blizn pooperacyjnych. Milpitas robił wrażenie jednego z tych nieszczęsnych osobników, którzy nie poddali się terapii desenektyzacyjnej i musieli przejść prymitywną przeróbkę ciała. – Nie rozumiesz. Wierzę ci. Naprawdę. I na tym właśnie polega problem, czyż nie tak, Jutrzejszy Dniu?

Wstał i podszedł do okna gabinetu. Gość ze swojego miejsca widział zarys świątyni: ukośną płaszczyznę złotego światła. Szeroka, koścista twarz Milpitasa rysowała się na tle żelaznego nieba emanującego rozproszone światło.

– Pytanie nie ma wartości! – powiedział wreszcie Milpitas.

– Tak więc i odpowiedź byłaby jej pozbawiona, byłaby bez znaczenia, ponieważ samo pytanie nie wiąże się z niczym znaczącym. – Odwrócił się do Jutrzejszego Dnia i uśmiechnął, muskając wzrokiem jego twarz. – Wiem, że to rozwiązanie cię nie cieszy. Śmiało, nie bój się. Powiedz, co myślisz.

Jutrzejszy Dzień westchnął. *Jesteś wariat* przemknęło mu przez głowę.

– Myślę, że bawisz się słowami. – Sięgnął po ósemkę. – Oczywiście, że ta rzecz ma swój cel. Istnieje fizycznie. Zwiększamy wysiłki, żeby...

– Faktycznie, wszystko, co robimy ma swój cel, Jutrzejszy Dniu, jedyny i wyłączny. – W tonie głosu Milpitasa brzmiała głęboka powaga. – Wiesz, jaki on jest?

Jutrzejszy Dzień poczuł napływ irytacji.

– Przeżycie gatunku ludzkiego. Nie jestem dzieckiem, planisto.

– Właśnie. Dobrze. To dlatego tu przebywamy; to dlatego Superet zbudowała nasz statek; to dlatego moja prababka – oczywiście już nieżyjąca – i inni podjęli trud tej podróży. Taki jest cel, który decyduje o wszystkim, co czynimy.

Irytacja Jutrzejszego Dnia przeszła w bunt. *O wszystkim?* spytał w duchu. *Nawet o dzieciobójstwie?*

Ciekawe, ile takich rozmów musiał odbyć przez lata.

Mgłiście pamiętał epokę, w której sprawy miały się inaczej. Kiedy był mały, pół milenium temu, sprytnie zamaskowane urządzenia wirtualne okrywały ponury, nagi kadłub pięknymi scenami z utraconego świata. Pamiętał wirtualne słońca i księżyce wędrujące po wirtualnym niebie, dzieci biegające po ulicach.

Miało się poczucie przestrzeni – nieskończoności! Moc wirtuali sprawiała, że ten pudełkowy

świat wydawał się bezmierny, pozbawiony ograniczeń.

Ale Superet zamknęła wirtualnie jeden po drugim, obnażając nogą rzeczywistość świata ukrywającego się za iluzją. Cóż z tego, że wirtualne może nadal były sprawne, skoro nikt nie wiedział, gdzie są i jak się do nich dostać.

W tym samym okresie Superet wpierw potępiła rodzenie dzieci, a potem zabroniła ich płodzenia. Jutrzejszy Dzień był jednym z ostatnich noworodków.

Superet ogłosiła, że wirtualne dioramy – i głosy dzieci – nie są więcej potrzebne.

Nie było młodych, a ludzie się starzeli. Nie było dni ani nocy, tylko nie kończące się stalowoszare rozproszone światło, które odbite od metalowego kadłuba stwarzało wrażenie wiecznego świtu. Rozrywki – teatr, koła zainteresowań, kluby – znikły. Świat składał się wyłącznie z nie kończącego się roboczego trudu.

Trudu i oczywiście nauki dzieł twórców Superet.

Milpitas odwrócił szeroką, prostacką twarz ku Jutrzejszemu.

– Jedynym imperatywem Superet jest wieczne zapewnienie przetrwania gatunku ludzkiego. Fizycznie poprzez geny, a kulturowo poprzez memy, które posiadamy. – Wskazał na żelazne niebo. – Naszymi poczynaniami kieruje logika, Jutrzejszy Dniu. Wszystko wskazuje na to, że jesteśmy jedynymi żyjącymi ludźmi we Wszechświecie. W tej sytuacji musimy zoptymalizować wykorzystanie naszych zasobów. Jak na razie to się nam udaje. Nasza populacja jest dobrze przystosowana; nie potrzebujemy nowych pokoleń – tak długo aż stan naszych zasobów nie ulegnie zmianie.

*Ale nasza populacja się kurczy!* – chciał wrzasnąć Jutrzejszy Dzień. Ludzie ginęli każdego roku z powodu wypadków i trudnych do zrozumienia kłopotów z TDS-em. Tak więc z każdym rokiem było ich coraz mniej!

Przez stulecia patrzył Jak równomiernie spada populacja, powoli wyludniają się dolne pokłady. Niedługo po urodzeniu był pewien, że kopalnia jest zamieszkała aż do ósmego pokładu, a mówiło się, że niżej jest jeszcze siedem czy osiem poziomów. Teraz zajęte były tylko dwa pokłady – drugi i trzeci.

Czy nie osiągnięto punktu, poniżej którego rasa ludzka nie będzie zdolna się zregenerować, nawet po zniesieniu okresowej sterylizacji?

Co wtedy robi Superet?

Milpitas usiadł. Kiedy znów się odezwał, Jutrzejszy Dzień odniósł wrażenie, że stara się o cieplejszy ton.

– Jutrzejszy Dniu, nie wolno ci zadrezczać siebie i swojego otoczenia pytaniami, na które nie ma odpowiedzi. Znasz zasadę stanowiącą o charakterze naszego świata. Czy to nie dość? Czy naprawdę musisz zrozumieć każdy szczegół?

*Ale jeśli nie będę rozumiał, to ty uzyskasz nade mną kontrolę* – pomyślał kwaśno Jutrzejszy Dzień. – *To właśnie tak ciężko mi zaakceptować. Nic innego.*

Milpitas złożył palce w daszek.

– Oto jeszcze jeden wymiar spraw, który musisz wziąć pod uwagę. – Teraz przemawiał szorstko. – Powiedz mi, jakie według ciebie są wewnętrzne sprzeczności dualizmu geny – memy?

Jutrzejszy Dzień nie odpowiedział, jedynie oczy płonęły mu wściekłością.

Milpitas uśmiechnął się z niebywałą wyższością.

– Nie rozumiesz pytania, nieprawdaż? Opanowałeś umiejętność czytania?

– Opanowałem – odparł z rozdrażnieniem Jutrzejszy Dzień. – Muszę się wiele nauczyć, to

prawda, ale czytać umiem. Milpitas zmarszczył brwi.

– Ale umiejętność czytania nie jest ci potrzebna. Tak jak większości ludzi. To luksus, Jutrzejszy Dniu, zbytek. Wszyscy musimy pogodzić się z naszymi ograniczeniami; musisz pogodzić się z faktem, że masz zwierzchników, ludzi mądrzejszych od ciebie.

Jutrzejszy Dzień zebrał się w sobie. *Teraz mi przyłoży* – pomyślał. Kary dało się znieść, ale zburzenie codziennego porządku było coraz bardziej uciążliwe, nawet bolesne.

– Cztery tygodnie na pierwszym pokładzie – powiedział krótko i rzeczowo Milpitas, robiąc notatkę. – Uzgodnię to z twoimi nadzorcami w warsztatach. Przykro mi, ale musisz zrozumieć moją sytuację; nie możemy pozwolić na to, żebyś siał zamęt w głowach tych, którzy się z tobą stykają, swoim brakiem dyscypliny umysłowej.

Pierwszy pokład. Śluzy.

Jedno z najtrudniejszych, a do tego budzących największy strach miejsc pracy. Sroga kara, do tego za czyn, którego wcale nie uważał za zbrodnię...

Niemniej jednak musiał się powstrzymać, żeby nie uśmiechnąć się szeroko z powodu ironii tej sytuacji. Śluzy bowiem – i dziwny nielegalny handel, który się przez nie odbywał – były wyrazem sprzeczności panujących w jego świecie.

Pierwsze macki porannego światła prześliznęły się po kopule jak żywe stworzenia. Niewyraźne gwiazdy umknęły.

Strugacz Strzał uwolnił się z powrozu i rozprostował zeszywniałe kończyny. Tu, wysoko, poranny wiaterek był odświeżający, suchy. Oddał mocz, obsikując pień drzewa; gorący płyn zabarwił korę na ciemniejszy kolor i spłynął ku sklepieniu dżungli. Strugacz przeżuł kawałek mięsa i zlizął rosę, która osiadła na liściach puchowca. Wody nie było wiele, ale później znajdzie jej więcej w kielichach orchidei i bromelii.

Zabrał łuk i kołczan, odszukał swobodnie wiszący powróż i przygotował się do pierwszego etapu zejścia. Przesunął powróż przez ósemkę, przypiął go do pasa i stanął w strzemionach. Kontrolował tempo zjazdu, sunąc wygodnie w dół. Ósemka, poobijana i wytarta przez lata używania, dzwoniła delikatnie.

Sklepienie dżungli, pięćdziesiąt metrów nad poszyciem, było dwudziestometrowym pokładem wegetacji. Strugacz Strzał niebawem znalazł się poza zasięgiem wiatru wiejącego na poziomie wierzchołków. Powietrze stało się wilgotne, przyjemne.

Złapał lianę i rozciął ją. Woda chlusnęła mu do ust. Podczas ostatniej wizyty w sklepieniu lasu znalazł figowca, którego owoce miały wkrótce dojrzeć. Teraz postanowił wrócić do Uvarova okrężną drogą. Owinał się powrozem, wsadził sprzęt wspinaczkowy do kieszonki pasa i zaczął przedzierać się przez korony drzew, z gałęzi na gałąź.

Mech i algi pokrywające pnie i zwisające płatami z gałązek sprawiały, że było ślisko i niebezpiecznie. Liany, korzenie figowców, zwisające swobodnie korzenie orchidei, bromeliowatych i paprocie tworzyły malownicze festony. Liście świeciły w półmroku jak zielone grotty. Niektóre kwiaty rozkładały zalotnie czerwone płatki, usiłując zwabić kolibry i cukrzyki; inne, blade i cuchnące, czekały cierpliwie na nietoperze, które zjadając owoce, rozsiewały nasiona.

Za mnóstwem niskopiennej roślinności Strugacz Strzał widział nagie pnie drzew tworzących sklepienie lasu; przypominały słupy gęstego dymu, gładkie i potężne.

Figowiec wyrastał nieuporządkowaną płataniną z pnia wielkiej drzewa, na którym pasożytował.

Zbliżający się Strugacz Strzał dostrzegł, że słusznie spodziewał się nagrody za przeprawę. Z gałęzi głową w dół zwisała szkarłatna papuga; w szponach trzymała figę i wydziobywała miąższ, Gęsta woń fig unosiła się między liśćmi, gałęzie były pełne zwierząt i ptaków.

Znalazła się tam nawet rodzina małąp o srebrzystej sierści. Strugacz podszedł blisko jednej z samic dźwigającej małe na grzbiecie. Dłuższą chwilę obserwował, jak zbiera owoce. Małpa obwąchiwała kolejno każdą figę, ustalając po zapachu, czy nadaje się do konsumpcji – Wreszcie trafiła na odpowiedni owoc i wsadziła go do nyska, podczas gdy niemowlę piszczało uczezione jej karku.

Samica nagle wyczuła obecność człowieka. Wykręciła idealnie okrągły łebek i zamarła, wytrzeszczając ślepią. Odwróciła się i ruszyła skokami przez szeleszczące listowie, w jednej chwili znikając z pola widzenia Strugacza Strzał.

Podszedł do figowca, okrzykami i klaskaniem płosząc żerujące zwierzęta. Wystraszył nawet grupkę roślinożernych nietoperzy, żerującą wbrew swoim zwyczajom za dnia; rozpierzchnęły się, szeleszcząc długimi skrzydłami o luźnej, pomarszczonej skórze.

W końcu dojrzał do wielkiego drzewa, owiniętego korzeniami figowca. Pasożyt-dusiciel dysponował tak gęstą koroną, że zabierał światło żywicielowi. Kiedyś pewnie miał zająć jego miejsce wśród leśnego sklepienia.

– Strugaczu Strzał.

Ktoś wypowiedział szeptem jego imię tuż za plecami. Odwrócił się zaskoczony. Zrobił to tak niezdarnie, że mała nie spadł z pokrytej algami gałęzi. Łuk zakołysał się na nagich plecach.

To była Prządka Powrozów, jego starsza, piętnastoletnia córka; niska, drobna i sprężysta jak małpa. Uśmiechnęła się w mroku, pokazując wszystkie zęby w okrągłej twarzy. Na plecach dźwigała pełny worek. Włosy zczesła do tyłu. Zakrywały uszy, spływając do ramion, gęste, czarne i lśniące. Metalowe okulary odbijały zielone światło. Czerwona farba zrobiła z twarzy maskę, uwydatniając nos i oczy.

– A kuku! – powiedziała.

Nastroszył się, czując, że jego godność doznała uszczerbku.

– To było nieodpowiedzialne.

Parsknęła i potarła czubek nosa.

– No, akurat. Widziałam, jak wystraszyłeś tę biedną małpkę. I jej małe też. – Kucnąwszy na gałęzi, przysunęła się z groźną miną. – Może powinnam wskoczyć ci na plecy i zobaczyć, jak...

– Nie zwracaj sobie głowy. – Oparł się o pień, zerwał figę i wbił zęby w owoc. – Co masz w worku?

– Figi, plastry miodu i parę bulw. Wykopałam je ze ściółki... Na śniadanie zjadłam larwy ze spróchniałego pnia tam, w dole. – Na chwilę jakby zapomniała o ojcu, rozpamiętując rozkosze posiłku. – Pycha... A w ogóle, co tu robisz? Myślałam, że jesteś na dole ze starym Uvarovem.

– Tak. W zasadzie. Jest moja kolej...

Plemię liczące pięćdziesiąt osób żyło głównie w sklepieniu lasu. Tak więc Garry Uvarov wprowadził warty, wyznaczając kolejno tych, którzy spędzają z nim czas na dole. Wściekał się, gdy wymigiwano się od służby. Upierał się, że instytucja wart jest starsza od wszystkich żyjących ludzi, z wyjątkiem jego samego.

– Uvarov wysłał mnie na górę, na wielkiego puchowca, żebym zobaczył, czy gwiazdy się zmieniły.

Prządka mruknęła coś pod nosem. Zerwała figę i zjadła, pakując ją do ust jak małpa. Otarła twarz liściem.

– Po co?

– Nie wiem.

– Przecież to stary dureń. A ty drugi.

Strugacz Strzał westchnął.

– Nie powinnaś tak mówić, Prządko.

Uvarov jest starcem, wiekowym mężem. Pamięta start i...

– Wiem, wiem. – Małym palcem wydlubywała nasiona spomiędzy zębów. – Ale to przy okazji zwariowany staruch, coraz bardziej zwariowany.

Strugacz Strzał postanowił tę kwestię przemilczeć.

– Bez względu na to, czy to prawda, czy nie, naszym obowiązkiem jest się nim opiekować. Nie możemy pozwolić, żeby umarł. Chciałabyś tego? – Spojrzał jej w twarz, szukając oznak zrozumienia.

– Poza tym ty i twoi przyjaciele lekceważycie sobie wszystko. Ponieważ nie pełnicie wart...

– Ani się nam śni.

– ...wtedy tacy jak ja muszą robić to za was.

Prządka Powrozów uśmiechnęła się triumfalnie. Pomalowana twarz rozjaśniła się.

– Więc przyznajesz, że nie cierpisz opiekować się tym starcem tam, na dole.

– Tak. Nie! – Potrzebowała niewielu słów, aby go głęboko zranić. Robiła to często i bez trudu. –

Och, nie wiem. Ale nie możemy pozwolić, żeby umarł.

Ugryzła kolejną figę i spytała niedbale:

– Dlaczego?

– Bo jest człowiekiem, który zasługuje choćby na szacunek, jeśli nie na coś innego – powiedział ostro. – I...

– I co?

*I boję się, że jeśli damy staremu Uvarowowi umrzeć, nadejdzie koniec świata* – pomyślał.

Świat był sztucznym tworem. To rzucało się w oczy.

Las rozwijał się w pudełku. Można było uderzyć strzałą w niebo. W poszyciu były dziury, a pod podłogą świata – w dominium ludzi podziemia – znajdowały się całe poziomy. Niewidoczne maszyny każdego dnia rozświetlały sztuczny nieboskłon, sprowadzały deszcz, który ożywiał spragnione liście, pompowały powietrze w sklepienie dżungli. Czasem myślał, że są też bardziej skomplikowane maszyny, które innymi sposobami podtrzymują funkcjonowanie tego zamkniętego świata.

Córce musiał wydawać się ogromny, lecz w jego oczach stał się mały i w miarę upływu lat Strugacz Strzał coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę, że ludzie zamieszkujący dżunglę są bardzo uzależnieni od maszynierii – wiekowej i przestarzałej.

Jeśli ona się zepsuje, wszyscy zginą. Strugacz Strzał był świadom tej prostej i nieuniknionej zależności.

Tamten stary osioł na wózku inwalidzkim, Garry Uvarov, nie miał żadnego wpływu na urządzenia, które decydowały o ich życiu.

Niewątpliwie jednak był tak stary, jak twierdził. Miał tysiąc lat, tyle co sam statek. Pamiętał Ziemię!

Uvarov był łącznikiem z epoką budowy statku. Strugacz Strzał czuł podświadomy, zabobonny lęk,

że jeśli Uvarov umrze, jeśli czas zmiecie tego wątleo starca pamiętającego przeszłość, wtedy może rozpaść się ich środowisko, sam statek.

Jak wówczas przeżyją?

Patrzył z niepokojem na córkę, zastanawiając się, czy kiedykolwiek zdoła jej to wytłumaczyć.

## Rozdział 9

Lieserl budziła się – powoli, z przerwami – z długiego snu.

Poruszyła się zirytowana; rozejrzała się wirtualnym wzrokiem, próbując zrozumieć, co wytrąciło ją z nieświadomości. Jakiś ruch?

Ruch w tej zupie o temperaturze miliona stopni?

Złożyła na piersi wirtualne ramiona, podciągnęła nogi i powoli unosiła się w zgęszczonej plazmie strefy promienistej. Wokół mrowiły się prawie niewidoczne wysokoenergetyczne fotony, wykonując swój skomplikowany trwający milion lat taniec, od rdzenia ku powierzchni.

Do tej pory przebyła zaledwie jedną trzecią promienia Słońca.

Dokonała krótkiego przeglądu zasobu danych. Oczywiście, znalazła kolejne uszkodzenia; entropia kumulowała się, prowadząc do dalszych uszkodzeń. Zastanawiała się leniwie, ile zostało jej pamięci i mocy obliczeniowej? Dziesięć procent? Może mniej?

Jakby się poczuła, gdyby pobudziła się teraz do pełnej świadomości? Zresztą i tak nigdy nie wykorzystала maksimum mocy – układy miały ogromną nadwyżkę – ale była przekonana o stratach; może porobiły się jej dziury w pamięci albo nastąpiła degeneracja wirtualnego ciała, odrętwienie prymitywnie zbudowanej skóry.

*Lieserl, ty znów się starzejesz* – powiedziała sobie. Pierwsza istota w historii ludzkości, która zestarzała się po raz drugi. Pokręcona dama znów pierwsza.

Uśmiechnęła się, kładąc głowę na kolanach. Kiedyś głębia samoświadomości i dostęp do wielkich zasobów pamięci uczyniły ją najbardziej świadomym człowiekiem – a w każdym razie quasi-człowiekiem – w historii. Tak jej powiedziano.

No cóż, to było już nieaktualne.

Oczywiście zakładając, że przeżyli ludzie, z którymi dałoby się ją porównać.

Plazma nadal przenikała ściany interfejsu, który ochraniał jej wiekowe, podniszczone zasoby danych; gdzieś poza Słońcem energia pompowana schładzającym tunelem czasoprzestrzennym ciągle musiała jaśnieć niczym miniaturowa gwiazda, być może rzucając cień na fotosferę. Wiedziała, że schładzający link czasoprzestrzenny wciąż działa, a rozliczne ulepszenia, o które inżynierowie postarali się w trakcie jej podróży w głąb Słońca, z pewnością nie przestały funkcjonować. Przynajmniej częściowo.

Wiedziała to wszystko, ponieważ gdyby link zawiódł, byłaby trupem.

Może nawet po drugiej stronie tunelu byli ludzie odbierający dane. Mimo wszystko miała nadzieję, że tak jest. To dla nich odbywała tę całą ekspedycję. A to, że nikt się nie odzywał, wcale nie znaczyło, że nikogo nie było.

Zresztą niewiele się tym wszystkim przejmowała; nie chciało się jej budzić z narkotycznego półsnu, w którym spędziła lata, wieki, milenia...

Jednakże znów coś jakby się poruszyło. Coś trudno uchwytnego, płynnego...

Jakiś cień przemknął po obrzeżu jej sensorium, ledwo wyczuwalny zintensyfikowanymi



zmysłami. Próbowwała się odwrócić, wysledzić nieuchwytnego ducha; ale nadal była sztywna, nieporadna, jej „kończyny” zeszywniały po stuleciach bezruchu.

Rozmyty cień znowu mignął po prostej w jej polu widzenia i znikł.

Zebrała się w sobie i z nietypowym pośpiechem rozpoczęła zabiegi autorenowacyjne. Zanalizowała postrzeżony obiekt, rozłożyła obraz na czynniki składowe. Poczła niejasne podniecenie. Wiedziała, że gdyby nadal była człowiekiem, serce uderzyłoby jej mocniej, a napływ adrenaliny doprowadziłby do napięcia skóry, przyspieszenia oddechu i ożywienia zmysłów. Pierwszy raz od wieków ogarnęło ją zniecierpliwienie na krępujący kokon wyłączonych wirtualnych zmysłów; miała takie wrażenie, jakby ta cała maszyna uniemożliwiała jej czucie...

Zastanowiła się nad wynikami analizy. Obraz był ledwo widoczny i nic dziwnego, że odniosła wrażenie, iż zobaczyła ducha. To był zaledwie cień na tle strumienia neutrin z jądra; niewyraźne skupisko pośród iskierki wywołanych zderzeniami ze ślamazarnymi protonami plazmy...

Ten widziany cień był strukturą z ciemnej materii. Z fotinów obiegających serce Słońca.

Poczła radosne uniesienie. W końcu – i to właśnie na tej głębokości, którą wraz z Kevanem ustalili niewyobrażalnie dawno temu, w jednej trzeciej odległości od środka do krawędzi Słońca – znalazła cel swych poszukiwań: oto nagroda za skonstruowanie jej ludzkiej natury. Wreszcie dotarła do granicy cienistego rdzenia Słońca, do ciemnej materii, prawie niewidzialnej tkanki rakowatej gaszącej pożar reakcji termojądrowych.

Czekała na powrót fotinowego obiektu.

Strugacz Strzał zsuwał się ku ziemi.

Minął kolejną warstwę listowia: poddasze lasu utworzone z palm przystosowanych do życia w mroku i potomków olbrzymich drzew. Światło na tym poziomie – nawet teraz, w środku dnia było słabe, nasycone zielenią leśnego sklepienia. Powietrze stało, gorące i wilgotne.

Strugacz Strzał dotarł do korzeni wielkiego drzewa. Pod nagą stopą człowieka wił się żuk pokonujący gnijącą ściółkę. Strugacz Strzał machinalnie wziął go do ręki i zjadł.

Ściągnął powróz z drzewa i ruszył przed siebie.

Pod cienką glebą wyczuwał gęstą matę korzeni. Między pniami wystrzeliwały w górę ogromne przypory o trójkatnych pięciometrowych podstawach. Podtrzymywały drzewa. Cienki sznur termitów – koronka długości setek metrów – maszerował w jednostajnym rytmie koło stóp Strugacza Strzał do gniazda w rozszczepionym pniu.

Mijał plamy barw i gnijące podłoże leśne – głównie opadłe liście – ale również ogromną bukietnicę, bezlistny pojedynczy kwiat metrowej średnicy. Kasztanowe płatki były grube, mięsiste i pokryte brodawkami. Cuchnęła obrzydliwie padliną. Zwabione smrodem muchy roily się wokół przepastnego kielicha.

Zamyślony Strugacz Strzał obszedł groteskową roślinę.

– ...Gdzie, na Letę, się podziewałeś?

Wózek inwalidzki Uvarova wytoczył się z cienia szałas.

Zaskoczony Strugacz cofnął się, potykając.

– Przystanąłem, żeby zebrać figi. Dojrzały. Spotkałem Prządkę Powrozów i...

Garry Uvarov nie słuchał go. Wprowadził wózek z powrotem do szałas. Koła opornie toczyły się po miękkim podłożu.

– Powiedz, co z gwiazdami. Jak wyglądają?!

Szałas Uvarova to była zwyczajna siatka wisząca w kępie drzew i pokryta liśćmi palm. Ściółkę sprzątnięto, a ziemię pokryto nie obrobionymi deskami, co umożliwiało poruszanie się wózkiem. Koła skrzypiały, kiedy toczył się tam i z powrotem. W ścianach tkwiły nasyczone żywicą pochodnie. Uvarov trzymał tam cały swój majątek, rzeczy, których zastosowania Strugacz Strzał przeważnie nie pojmował: pudła ze szklanymi dyskami na froncie, ekrany książkowe, poźółkłe i zużyte, szafy, krzesła i łóżko, na które trzeba było kłaść gospodarza.

Cały ten interes dawno przestał funkcjonować.

Garry Uvarov okrywał skórzaną derką swoje zmartwiałe kończyny. Głowa – wielka jak u kościotrupa, otoczona resztą siwych włosów i z pustymi oczodołami – kiwała się na szyi, zbyt słabej, aby ją podtrzymać. Gdyby Uvarov mógł stać, przerastałby Strugacza Strzał prawie o metr. Ale rozciągnięty na wózku przypominał groteskową lalkę, niewyszukaną zabawkę skleconą z gałganów i małpiej czaszki.

Strugacz Strzał obserwował Uvarova niespokojnym wzrokiem. Starzec, dokładnie ujmując, nigdy nie był przy zdrowych zmysłach, lecz dzisiaj w jego głosie pojawiło się dodatkowe brzmienie – ostry jak nóż ton prawdziwego szaleństwa.

Ale co Strugacz Strzał mógł poradzić na szaleństwo przywódcy leśnych ludzi?

– Potrzebujesz czegoś? Dam ci...

Uvarov podniósł głowę.

– Do cholery, tylko powiedz mi... – Był wściekły. Suche jak papier policzki trzęsły się, ślina ciekła mu po podbródku. Nie mówił; szeptał bezbarwnym, mechanicznym głosem rekonstruowanym przez jakąś prawniejącą maszynę.

– Wspiąłem się na puchowca, najwyższe drzewo... Strugacz Strzał niezdarnie próbował opisać widok.

Uvarov słuchał z odchyłoną głową, rozdziawionymi ustami.

– A poświata gwiazd? – spytał w końcu. – Widziałeś poświatę równikową gwiazd?

Strugacz Strzał zaprzeczył ruchem głowy.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Powiedz mi, jak wygląda.

Gniew opanował Uvarova, jeździł w przód i w tył, w przód i w tył, kołatały luźne deski podłogi.

– Wiedziałem! Żadnej poświaty równikowej gwiazd... Statek zwalnia. Jesteśmy u celu. Wiedziałem... Próbowali mnie wykluczyć. Ci dranie planiści myślący tylko o przetrwaniu, i pewnie ta wycieńczona suka Armonk. Jeśli jeszcze żyje. – Zawrócił, próbując ustawić wózek naprzeciwko Strugacza Strzał. – Nie rozumiesz? Jeśli nie ma poświaty równikowej gwiazd, to znaczy, że statek przybił do portu. Koniec podróży... Po tysiącu lat powróciliśmy do Słońca.

– Bredzisz – zaprotestował słabo Strugacz Strzał. – Nikt nigdy nie widział żadnej poświaty gwiazd! Nie wiem, co...

– Dranie... Dranie. – Uvarov jeździł bez końca. – Powróciliśmy, żeby spełnić naszą misję... Misję Superet! Nie cholernej Louise Ye Armonk!... I oni chcą mnie odciąć od wszystkiego. Was też, moje dzieci... Moje nieśmiertelne dzieci. Słuchaj... – Znów odwrócił się do Strugacza Strzał. – Musisz mnie wysłuchać, to bardzo ważne. Ty jesteś przyszłością, Strugaczu Strzał. Właśnie ty, biedny i ciemny, ty i twój lud jesteście przyszłością gatunku ludzkiego.

Zatrzymał się u końca podłogi i podniósł głowę. Strugacz Strzał patrzył na krwawe wybroczyzny w pustych oczodołach i skulił się, czując ciężki, gnilny smród ciała rozkładającego się pod derką.

– Te przeklęte nanoroboty desenektyzacyjne nie zdradzą was tak jak mnie. Kiedy pięć wieków

temu wyżarły mi kończyny i, cholery, posiekały oczy, zdałem sobie sprawę, że cały czas miałem rację... Ale teraz wróciliśmy do siebie. Koniec misji. To właśnie mówią ci gwiazdy, jeśli tylko masz oczy do patrzenia. Chcę, żebyś zgromadził lud. Zbierzcie broń, łuki, świstawki, wszystko, co się da.

– Po co?

– Wracacie na pokłady. Pierwszy raz od wieków. Musisz dotrzeć do interfejsu. Interfejsu tunelu czasoprzestrzennego, Strugaczu.

Pokłady...

Strugacz Strzał próbował wyobrazić sobie, że opuszcza się śluzami, wkracza w nieznany mrok nie kończących się poziomów. Panika, ostra i bolesna, chwyciła go za gardło.

Wytoczył się z szalasu, znów wciągnął w płuca znajome wonie dżungli. Uniósł głowę ku koronom drzew i dalekiemu, jaśniejącemu słońcu.

Czy to możliwe, że Uvarov miał rację? Czy tysiącletnia podróż w końcu dobiegła kresu...?

Nagle jego świat wydał się Strugaczowi Strzał drobnym kruchym Pyłkiem, wirującym pośród nieprawdopodobnych zagrożeń. Zatęsknił za powrotem do leśnego sklepienia, zapragnął ukryć się w gęstym, wilgotnym powietrzu, w zapachu bujnej roślinności.

– Milpitas miał rację – orzekła Ciągłość Celu. – Twój problem polega na tym, że za dużo myślisz, Jutrzejszy Dniu. – Jej huczący głos odbijał się echem od nagich metalowych ścian pierwszego pokładu; Ciągłość Celu zdawała się nie zwracać uwagi na otaczającą ich wielką pustkę – opuszczone domostwa i nie kończące się cieniste szeregi innych budowli.

Stała z boku śluzy. Była to zwykła wielka rura unosząca się z pokładu i spojona gładko z sufitem, dziewięćdziesiąt metrów nad ich głowami. Ciągłość Celu otworzyła już drzwi śluzy, ale wciąż na osiemnastym metrze odcinał górną sekcję.

Wszystkie śluzy były identyczne, lecz Jutrzejszy Dzień nigdy nie widział otwartego włazu i nie słyszał, aby komukolwiek udało się go uchylić,

Dzisiaj śluza obdarowała ich stosem ananasów, wielkich i dojrzałych, a także kilkoma flaszami żywicy kopaiwowej. Jutrzejszy Dzień trzymał otwarty wór, a Ciągłość Celu metodycznie ładowała ananasy łopatą. Wielkie bicepsy kobiety napinały się pod skórą.

– Musisz pogodzić się z tym, jak jest – kontynuowała. – Nasz styl życia nie zmienił się od stuleci, sam przyznasz. Tak więc planiści nie powinni się mylić. Czemu nie założyć, że wątpliwości przemawiają na ich korzyść?

Ciągłość Celu była potężnie zbudowaną kobietą, zwykle odzianą w tunikę bez rękawów, która nie zakrywała kłębowiska mięśni. Miała ogoloną czaszkę i szeroką, spokojną twarz, również emanującą siłą. Dolna połowa ciała kobiety tworzyła dziwny kontrast z torsem – była zniekształcona i powykęcana.

– Wciąż traktujesz mnie jak dziecko – powiedział Jutrzejszy Dzień. I zapewne w oczach Ciągłości Celu na zawsze miał nim pozostać. Była od niego dwadzieścia lat starsza i zawsze przyjmowała rolę doświadczonej mentorki – nawet teraz, po pięciu stuleciach życia, kiedy marne dziesięciolecia wydawały się zupełnie nieistotne. Fakt, że przez kilkadziesiąt lat pozostawali w związku małżeńskim, w żaden sposób nie wpłynął na zmianę relacji między nimi. – Słuchaj, Ciągłość, masa rzeczy w naszym świecie nie trzyma się kupy. Dostaję szału, kiedy o tym pomyślę.

Ciągłość Celu wyprostowała się i wsparła pięści na biodrach. Jej twarz lśniła od potu.

– Ja nie.

– Co „nie”?

– Nie dostaję od tego szału. Nikt tak stary jak ty albo ja nie może dostać szału z byle powodu.

Jutrzejszy, nie mamy już energii na szal.

Mężczyzna westchnął.

– Niech ci będzie. Ale to powinno doprowadzić mnie do szału. I ciebie. Tyle spraw jest po prostu... nie dopowiedzianych. – Uniósł wór wypełniony do połowy. – Choćby to, co teraz robimy. To po prostu nielogiczne!

– Wystarczająco logiczne. Żywica kopaiwowca to paliwo. I potrzebujemy owoców, żeby uzupełnić podajniki żywności, które nie pracują, jak należy, od...

– No dobrze, ale skąd biorą się te owoce?! Kto je podrzuca do śluz? I...

– I co?

– I co tamci robią z zapadkami, nożami i ósemkami, które my im dostarczamy?

Jutrzejszy Dzień zabrał flaszę z żywicą, a Ciągłość Celu zarzuciła na plecy worek z ananasami. Ruszyli do następnej śluzy odległej o dziewięćdziesiąt metrów. Ciągłość Celu szła nierównym, prawie kaczym chodem; patykowate nogi wydawały się za słabe, żeby podtrzymać ogromny tors. Jakaś nigdy nie wyjaśniona awaria nanorobotów sprawiła, że jej dolne kończyny skurczyły się i powykreślały. Jutrzejszy Dzień podejrzewał, że Ciągłość cierpi również na artretyzm, chociaż nigdy się nie skarżyła.

– Nie wiem – odpowiedziała po prostu. – I nie myślę o tym. – Spojrzała z ukosa na Jutrzejszy Dzień.

– Ale to przecież nie trzyma się kupy! – Jutrzejszy Dzień zerknął nerwowo na poziomą grodz, którą miał nad głową. – Te owoce muszą skądś pochodzić. Tam na górze muszą być ludzie, Ciągłość, ludzie, których nigdy nie widzieliśmy, których egzystencja nigdy nie została uznana przez planistów ani...

– W takim razie życie tych ludzi nie ma żadnego znaczenia.

– Właśnie, że ma! Handlujemy z nimi. – Zatrzymał się i podsunął jej pod nos swój worek z owocami. – Popatrz na to. Prowadzimy z nimi handel – a przez to uznajemy niejako ich istnienie – już od dziesiątków lat.

Ciągłość Celu szła, nie przystając, mimo bólu.

– Faktycznie, setek.

Jutrzejszy Dzień przypomniał sobie, że kiedy był młody, czuł nieustanny gniew. Teraz – nawet teraz – czuł cień tamtego gniewu sprzed lat. Nie wiadomo czemu był z tego dumny. W obecnych czasach przebłysk gniewu był równie rzadkim przejawem energii jak erekcja.

– Ale to znaczy, że nasza społeczność jest w gruncie rzeczy nieco szalona.

Ciągłość Celu potrząsnęła ogromną głową i spojrzała z wyrozumiałością na Jutrzejszego Dnia.

– Gadaj tak dalej, a spędzisz resztę życia tu, na górze. Albo w jeszcze gorszym miejscu.

– Tylko się nad tym zastanów. Całe społeczeństwo pracujące w warunkach zbiorowej ułudy... Nic dziwnego, że oni zamknęli wirtualne. Że zabronili mieć dzieci.

– Ale wszyscy dostajemy jeść, prawda? Więc jakie to szaleństwo? – Uśmiechnęła się. Na szerokiej twarzy pojawił się wyraz przekonania o własnej mądrości. – Ludzie są bardzo wybrakowanym gatunkiem. Przecież nawet nie potrafimy działać racjonalnie przez długi czas. Handel z nie istniejącymi, nie wiadomo jakimi istotami, które mieszkają nad naszymi głowami – to drobna aberracja.

Jutrzejszy Dzień przyjrzał się jej z ciekawością.

– Tak myślisz? A ja uważałem siebie za sceptyka. Ciągłość Celu dotarła do następnej śluzy; położyła worek i oparła się plecami o obłą metalową ścianę, wspierając dłonie na kolanach.

– Wiesz, mój przyjacielu, toczy się rozmowę co kilka lat.

Jutrzejszy Dzień zdziwił się.

– Naprawdę?

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się. – W naszym wieku nawet wątpliwość przechodzi w nawyk. I nigdy nie dochodzimy do żadnej konkluzji, a świat toczy się swoim torem. Jak zawsze. –

Wyprostowała się, ostrożnie przeżąc wątle odnóża. – Rusz się. Do pracy.

Odwróciła się i otworzyła drzwi śluzy.

Ale zamiast wejść do środka i zabrać pożywienie, zmarszczyła czoło i popatrzyła niepewnie na Jutrzejszy Dzień.

– N-nie rozumiem.

– Czego?

– Spójrz.

Jutrzejszy Dzień zmierzył ją wzrokiem, a potem wszedł do pustej komory – Nie wierzył własnym oczom. Wymiany zawsze się udawały.

– Nie ma noży – stwierdził.

– Położyliśmy je tu wczoraj.

– Ale nie ma też niczego do jedzenia.

– Przecież ze znaków jasno wynikało, że chcą...

Rozmawiali tak przez pięć minut. Jutrzejszy Dzień w jakimś stopniu umiał spojrzeć z dystansu, nawet z litością, na siebie i Ciągłość Celu. Widział dwoje ludzi tak rozpaczliwie uwikłanych w sieć przyzwyczajęń, że niezdolnych zareagować na nieoczekiwane.

*Ona ma rację – myślał z gniewem i smutkiem – stałem się maszyną. Czymś gorszym niż maszyna.*

– Wejdem i sprawdzę znaki. Może się pomyliliśmy – powiedziała Ciągłość Celu.

– Do tej pory nigdy się nie myliliśmy. Dlaczego mielibyśmy pomylić się teraz?

– Nieważne. Sprawdzę.

Weszła do śluzy i mrużąc oczy, przyjrzała się znakom w górze.

...A włącz, osiemnaście metrów nad jej głową, zaczął się otwierać!

W plazmowym morzu czas znaczył niewiele dla Lieserl.

Zanurzając się w Słońcu, wyzbyła się wszystkich wirtualnych zmysłów, poza wzrokiem i odczuwaniem ciała; unoszenie się w zwałach chmur plazmy było jak dziecięcy sen, nie kończące się oceaniczne medytacje. Spowolniła zegary rządzące świadomością i pozwoliła sobie na długie okresy prawdziwego „snu” – na nieświadomość, kiedy dryfowała, zdając się wyłącznie na funkcjonowanie cierpliwych układów autonomicznych.

I bez żalu obserwowała, jak degeneruje się zasadniczy link synchronizujący jej sensorium ze światem zewnętrznym. Kiedy dryfowała wokół jądra Słońca, osuwając się niedostrzegalnie w jego centrum, w ludzkim świecie mijały wieki...

Znów pojawiła się fotinowa struktura.

Tym razem Lieserl była gotowa. Wyteżyła wszystkie zmysły, koncentrując się na zjawisku.

Coś zarysowało się na płonącym plazmowym tle, jak pobieżny szkic węglem.

Odczuła żal, kiedy fotinowa chmura wyszła poza obręb jej pola widzenia, obiegając Słońce po ciasnej orbicie, nie bardziej namacalna niż mgła.

Ale...

Ale tym razem to coś chyba chwilowo opuściło swoją orbitę! Czy to możliwe, że fotinowy obiekt zareagował na jej obecność?

Zdała sobie sprawę, że w dole trwa większy ruch. Sunące kształty były nieokreślone, piekielnie ulotne na tle jaśniejącego, niemal jednolitego tła. Sfrustrowana wyęczała zmysły. Zmusiła podstarzałe procesory do obróbki danych, nie dając im chwili wytchnienia.

Obraz z wolna się poprawiał, sylwetki zyskiwały na wyrazistości i ostrości.

Oto setki, nie, tysiące, miliony śladów. Może były to układy fal stojących, wyznaczniki stałych własności chmury ciemnej materii.

Powoli kształtował się obraz, złożony model własności; widziała niewyraźny, podłużny kształt o rozpiętości może czterdziestu pięciu metrów i – jak sobie to uświadomiła – zarysowanym szkielecie.

Szkielecie...?!

No cóż, to niweczyło pomysł o falach stojących. Miała przed sobą zarysy obiektu, nie żadne stałe własności jakiegoś kontinuum.

Obserwowała obiekty wirujące wokół jądra Słońca. Te unoszące się kształty, negatywowe wizerunki, przypominały zawartość krwiobiegu; zastanawiała się, czy to w istocie nie przeciwciała lub trombocyty – płytki krwi rojące się w poszukiwaniu rany. Mrowiły się, cudem unikając kolizji...

Raptem zdała sobie sprawę, że nie ma w tym żadnego cudu. Te obiekty uważały na siebie nawzajem, kołując wokół jądra, nie poruszały się na oślep!

To było stado. Obiekty z ciemnej materii były żywe!

Żywe i działające celowo.

Powoli wsunęła się w stado fotinowych ptaków (jak wstępnie je nazwała). Fruwały, wdzięcznie ją omijając,

Wyraźnie reagowały na jej obecność. Z pewnością były świadome, a może nawet obdarzone inteligencją.

Rozważała, co dalej. Żałowała, że nie może porozmawiać o tym z Kevanem Scholesem.

Słodki, cierpliwy Kevan zjawiał się na stacji jako nieopierzony pracownik badawczy. Miał angaż zaledwie na kilka lat, lecz pozostał o wiele dłużej na orbicie słonecznej, będąc cierpliwym szefem łączności, czyniąc znacznie więcej niż nakazywał obowiązek czy przyjaźń. Ich długa znajomość przetrwała wiele lat.

No cóż, była mu wdzięczna za lojalność. Pomógł jej niezmiernie podczas tamtych pierwszych trudnych lat w Słońcu.

Z trudem usiłowała sobie przypomnieć ich ostatnią rozmowę.

W końcu został usunięty. Dlaczego? Ze względu na jakąś zmianę: organizacyjną, polityczną, kulturową? Nigdy się nie dowiedziała.

Z czasem pojęła, że ludzkie organizacje – nawet obsadzone przez na poły nieśmiertelnych, stedeesowanych osobników – tak naprawdę funkcjonowały tylko kilka dziesiątków lat. Te, które przetrwały dłużej, zamieniały się w puste skorupy, zwykle zdradziwszy cele założycieli. Pomyślała o degeneracji Superet, Świętego Kościoła Światłości, widocznej nawet podczas jej krótkiego pobytu

poza Słońcem. Superet zamieniła się w kadrową organizację fanatyków, skupioną wokół jakiegoś wiecznego płomienia pradawnej wiary.

Szereg szefów łączności przewinął się po drugiej stronie tunelu czasoprzestrzennego. Poznała ich wygląd i wiedziała, jak prezentuje się ta coraz dziwniejsza parada mężczyzn i kobiet, hołdująca efemerycznym modom i stylom, posługująca się coraz bardziej niepojętymi wyrażeniami. Uzupełniano jej zasoby danych wiadomościami o ewolucji języka i innych zmianach kulturowych, tak że przemijanie ludzkich światów od czasów, w których rosła (jakże szybko), nie sprawiało jej trudności pojęciowych. Ale żaden z tych ludzi jej nie rozczulił. Po Kevanie Scholesie żadna z tych ludzkich muszek jednodniówek, która nawiązywała z nią łączność, nie wzbudziła w niej cienia ciekawości ani sympatii.

Czasem myślała o tym, jak ją sobie wyobrażają – stetryczalego quasi-człowieka, uwięzionego wewnątrz rozsypującego się okazu przestarzałej technologii.

W końcu w ogóle przestali się z nią komunikować.

A jednak mimo wszystko poczuwała się do odpowiedzialności względem nich. Ludzie wyprodukowali ją zupełnie cynicznie, wyłącznie dla swoich celów, i w końcu porzucili w sercu obcego świata, a ona wciąż czuła z nimi więź. Bez względu na to, czy rozmawiali z nią czy nie, mogli przecież łatwo zamknąć link czasoprzestrzenny – tak zwyczajnie jak wyłącza się światło. Ale nie zrobili tego.

Uznała z urazą, że nie zawracali sobie głowy nawet tym, aby ją unicestwić. Czy za to była im winna lojalność? Rozważała, czy powinna bić im pokłony i służyć w zamian za łaskawe przedłużenie życia?

Ale mimo tych odruchów buntu, czuła instynktowną potrzebę łączności – wysyłania wieści poza Słońce i opowiedzenia wszystkiego, czego się dowiedziała o fotinowych ptakach – na wypadek, gdyby ktoś jej słuchał.

Wiedziała, że to nielogiczne. Ale brak logiki nie miał dla niej znaczenia. Po prostu nie mogła nie usłuchać upartego głosu odpowiedzialności.

Prawdę mówiąc, po jakimś czasie własny upór obudził w niej podejrzenia. Przecież była dla Superet niemalą inwestycją. Jej zadaniem było dowiedzieć się, co dzieje się w Słońcu, a to całe dowiadywanie się miało sens tylko wtedy, kiedy składała komuś raporty. Więc może ta obsesyjna chęć raportowania, mimo braku chętnych do ich odbierania, była celowo wprowadzona do jej układów świadomości?

*Taki kawał czasu przeleciał, a ja wciąż jestem obiektem manipulacji* – pomyślała z goryczą.

Nawet jeśli było to prawdą, niewiele mogła poradzić; jak człowiek, który czując dokuczliwe swędzenie, nie może się w żaden sposób podrapać.

Jutrzejszy Dzień tylko patrzył. Nie czuł strachu ani ciekawości. Do tej pory górny właz zawsze był zamknięty. I chociaż oczy mówiły mu, że jest inaczej, nie mógł im uwierzyć.

Za włazem cylindryczna śluza biegła dalej w górę. Padające tamtąd światło było przygaszone, zielonkawe, a gorące powietrze tchnęło wilgocią i tajemniczymi, jakby owocowymi zapachami.

Jutrzejszy Dzień nie wiedział, jak ma zareagować, nie potrafił ułożyć żadnego planu postępowania, był bezradny w nowej sytuacji. Miał wrażenie, że całe to wydarzenie nie jest w stanie przebić się przez jego ciasny umysł, jak kulka rtęci, która turla się bez końca po tafli szkła i nie może przesączyć się na drugą stronę. Obserwował rozwój wypadków niczym dziecko niezdolne połączyć

wydarzenia w spójną sekwencję.

Ciągłość Celu też chyba nie mogła uwierzyć własnym oczom. Stała z odchyloną głową, szeroko rozdziawionymi ustami, wpatrzona...

Rozległ się syk i odgłos, jaki wydaje miękki, mokry pocisk, zderzając się z twardą powierzchnią.

Ciągłość Celu złapała go za ramię.

Patrzyła na Jutrzejszego Dnia z osłupieniem – a potem pomarszczone nogi chyba odmówiły jej posłuszeństwa, ponieważ złożyły się powoli i usiadła. Trwała w tej pozycji przez kilka sekund, przygniatając dziwnie ugięte kończyny. Miała na twarzy wyraz zaskoczenia i zmieszania. Wreszcie ogromny tors pochylił się w bok i upadła na policzek, rozrzucając szeroko nogi.

Jutrzejszy Dzień ocknął się z bezruchu. Wbiegł do śluzy i z wielkim trudem posadził Ciągłość Celu. Oczy uciekły jej w głąb czaszki; z ust toczyła się ślina. Była złana zimnym potem. Jutrzejszy Dzień gorączkowo szukał pulsu na przegubie nieprzytomnej kobiety, a następnie wśród potężnych ścięgien szyi.

Z włazu spadł wystrzępiony brązowy powróż. Ktoś ześliznął się po nim i lekko zeskoczył na podłogę.

Jutrzejszy Dzień próbował przyjrzeć się intruzowi, ale po prostu nie potrafił skupić na nim – czy na niej – wzroku. To wszystko było zbyt dziwne, zbyt szokujące i oczy uciekały mu w bok, jakby nie chciały uznać za realne tego, co przed sobą miały.

Podtrzymując Ciągłość Celu, Jutrzejszy Dzień zmusił się do analizy obrazu element po elemencie. Przede wszystkim: na pewno oglądał człowieka! Cztery kończyny, oczy połyskujące zza okularów, białe zęby. Bardzo niski wzrost, nie przekraczający metra dwudziestu centymetrów. Może to było dziecko? Może – ale o kształtach kobiety. Wskazywały na to piersi i linia bioder. Ubrana w brązowy strój z kolorowymi wstawkami, jakby kombinezon...

Nie! Zmusił się do patrzenia. Była naga! Miała na sobie tylko pas z wypchanymi kieszeniami. Jej skóra była w odcieniu ciemnego brązu. Głowę ogoliła, ale zostawiła wianuszek grubych, czarnych, natłuszczonych włosów. Nos i oczy wymalowała czerwoną farbą. W ręce trzymała długą, wydrążoną tubę z drewna. Twarz miała okrągłą, niezbyt ładną, ale...

Ale była młoda! Nie mogła mieć więcej niż piętnaście, szesnaście lat.

Niemożliwe było utrwalenie kogoś w tym wieku za pomocą TDS-u. Więc to było dziecko – autentyczne dziecko! – pierwsze, jakie widział od pięciu wieków.

Podniosła nieco tubę, jakby do uderzenia czy odepchnięcia.

– Nazywam się Prządka Powrozów – powiedziała. – Nie zrobię ci nic złego.

Stary człowiek podziemia wyglądał groteskowo! Prawie tak samo brzydko jak Uvarov; był łysy, o obwisłej, wyblakłej skórze, ubrany w jakieś ponure łachy – i wysoki jak Uvarov, gdyby dziada wyprostować i zmierzyć od stóp do czubka głowy.

Jego towarzyszka wyglądała jeszcze gorzej, miała tors jak pień puchowca, a nogi jak wyschnięte gałązki. Ta para wyglądała niezwykle staro, jak sztuczne twory!

Zebrało się jej na mdłości. Wokół tych ludzi unosił się odór zgnilizny, rozkładu, pleśni. Zapragnęła ich zniszczyć, wrócić z powrotem do lasu, wciągnąć w płuca czyste powietrze...

– Co się dzieje?! – Głos Strugacza Strzał zahuczał w sztolni śluzy. – Prządko? Wszystko w porządku?

Opanowała emocje, zmusiła się do myślenia. Ten wysoki starzec był obrzydliwy. Ale



niewątpliwie nie stanowił zagrożenia.

– Tak! – odkrzyknęła. – Wszystko gra, Strugaczu Strzał. Złaź.

Czekała w milczeniu przez te kilka chwili, podczas których ojciec opuszczał się z podłoża lasu, stękając i poruszając nieporadnie kończynami. Wreszcie zeskoczył z wysokości metra na podłogę śluzy, przykucnięty, z nożem w ręce.

Obecność dwojga ludzi podziemia chyba go zaskoczyła, ale szybko ocenił sytuację.

– Ona nie żyje? Nic ci nie jest?

– Nie i tak. – Uniosła dmuchawkę i powiedziała przeprasząco: – Użyłam tego. Teraz wiem, że chyba niepotrzebnie. Jest mi...

– To nieważne.

Staruch z podziemia miał bladoniebieskie, wodniste oczy; chyba odmawiały mu posłuszeństwa. Wskazał na dmuchawkę.

– Zabiłaś Ciągłość Celu... tym? – mówił z dziwnym śpiewnym akcentem, ale całkiem zrozumiale.

Prządka Powrozów zawahała się.

– Nie... – Podała mu dmuchawkę, ale człowiek podziemia nie okazał chęci, by ją obejrzeć, siedział, wciąż tuląc towarzyszkę. – Rura jest z bambusa. Ładuje się strzałki i uszczelnia miazgą drzewną. Bierze się truciznę z ropuch smażonych na rożnie i...

– Przepraszamy za to, co spotkało twoją przyjaciółkę – odezwał się Strugacz Strzał. – Dojdzie do siebie. I to było... niekonieczne.

Człowiek podziemia miał zacięty wyraz twarzy.

– Tak – wycedził. – To jasne jak cholera. – Zmierzył ich wzrokiem. – Czego chcecie?

Prządka i jej ojciec spojrzeli na siebie niepewnie.

– Mamy starca – rzekł wreszcie Strugacz Strzał. – Uvarova. Powiada, że pamięta Ziemię. I że podróż dobiegła końca, że statek dotarł do punktu przeznaczenia. I że teraz musimy udać się do interfejsu. – Strugacz Strzał patrzył na człowieka podziemia z wahaniem i zmieszaniem. – Pomożecie nam? Zaprowadzicie nas do interfejsu? – Jego mina zmieniła się na bardziej srogą. – Czy też będziemy musieli wywalczyć sobie drogę, jak przewiduje Uvarov?

Tamten wpatrywał się w mówiącego. Wyglądało na to, że otrząsa się z szoku.

– *Uvarov, interfejs...* nie mam pojęcia, o czym mówicie... Po czym rzekł z niespodziewanym zachwytem: – Ale o Ziemi słyszałem.

Troje ludzi stało w chłodnym świetle śluzy, spoglądając na siebie z lękliwą ciekawością.

Zeszła głębiej ku centrum Słońca, przesuając się obok stada fotonowych ptaków. Mijały ją drobne planety z ciemnej materii, sunące szybko po ciasnych orbitach.

Nieustannie zbijały się i rozpraszały, jak rój sztucznych satelitów manewrujący przed cumowaniem. Wiele z przelotnych skupisk, które formowały – i które przemykały obok, zbyt szybko, aby dało się je zbadać – wydawało się niezmiernie złożonych i utrwaliła w pamięci szereg formacji. Uznała, że musi być jakiś powód tej wielkiej aktywności.

Ruch na obrzeżu sferycznie ukształtowanego stada miał prostszy wzorzec, łatwiejszy do zinterpretowania.

Pojedyncze ptaki przyfruwały do stada, przemykając przez zewnętrzne warstwy Słońca po hiperbolicznych trasach i dołączały do roju kuzynów na orbicie. Od czasu do czasu jakiś osobnik odrywał się i odfruwał po otwartej trajektorii ku...

Ku czemu? Z powrotem do jakiegoś bezkształtnego oceanu ciemnej materii poza Słońcem? Lub ku jakiejś innej gwiazdzie?

A jeśli tak było, to dlaczego?

Cierpliwie obserwowała przyloty i odloty ptaków, a wzorzec ich wędrówek sam układał jej się w głowie.

## Rozdział 10

Górny właz otworzył się ze zgrzytem, odsłaniając krąg bujnej roślinności. Dalej rozciągał się inny świat. Wycia jakiejś niewyobrażalnej gromady zwierząt odbijały się echem od metalowych kazamatów pierwszego pokładu.

Jutrzejszy Dzień stał u podstawy szybu, starając się opanować żądzę ucieczki i powrotu do rutynowego rytmu codzienności.

Wokół włazu przykucnęła grupka leśnych ludzi, patrząc na Jutrzejszy Dzień. Wszyscy byli nadzy, pomalowani farbami w kolorach roślinnych, i wydawali się niewiarygodnie młodzi. Trzymali sznurową kołyskę, w której bujał się – zjeżdżając powoli i podrygując w miarę jak tamci luzowali powróż – Garry Uvarov.

Głowa niesamowitego starca wystawała z masy grubych derek. Pod nimi zaznaczały się ostre krawędzie wózka na kółkach, zbliżonego kształtem do wielkiego pudła, tak że Uvarov przypominał nieludzkiego stwora, dziwnego, wysuszonego cyborga połączonego w jedno z pojazdem.

Dziewczyna w okularach – Prządka Powrozów – podeszła do Jutrzejszego Dnia i zatrzymała się u jego boku. Za cały przyodziewek miała luźny naszyjnik z kwiatów orchidei. Jej głowa była na poziomie łokcia mężczyzny, a pomalowana na szkarłatne twarz robiła niemal komiczne wrażenie – teraz, kiedy przyzwyczał się do jej widoku. Trąciła go w ramię; miała delikatną, drobną, niesłychanie lekką dłoń.

– Nie bój się – powiedziała.

To go zaskoczyło.

– Nie boję się. Czego się tu bać? Czemu tak myślisz? Gdybym się bał, to czy bym wam pomagał?

– Masz taką minę. I tak stoisz. – Wzruszyła nagimi ramionami. – W ogóle robisz takie wrażenie.

Uvarov wygląda jak... nie wiem, jak jakaś wielka larwa – ale to tylko człowiek. Bardzo stary człowiek.

– Prawdę mówiąc, myślałem, że wygląda jak jakiś bóg. Na wpół ludzki, na wpół mechaniczny. A wy jesteście jego orszakiem.

Zmarszczyła nos i poprawiła okulary, rozmazując sobie farbę na policzkach. Popatrzyła na niego ze złością i irytacją.

– Co ty nie powiesz! Hm, nie jesteśmy zabobonnymi dzikusami, za jakich nas bierzecie. Bo bierzecie nas za dzikusów, prawda?

– Nie, ja wcale...

– Wiemy, że Uvarov nie jest bogiem. To tylko człowiek – chociaż bardzo wiekowy, dziwny i wyjątkowy. On chyba pamięta, po co w ogóle zbudowano ten statek. Jutrzejszy Dniu, ja mieszkam na drzewie i wyrabiam różne rzeczy z drewna i lian. Ty mieszkasz – wskazała machnięciem ręki – gdzieś tam w jakimś pudełkowym domu i wyrabiasz różne rzeczy z metalu i szkła. To jedyna różnica między nami. Mój lud nie jest prymitywny i nie jesteśmy ignorantami. Wiemy, że żyjemy w wielkim statku kosmicznym. Może rozumiemy to lepiej od was, bo widzimy prawdziwe niebo.

*Nie w tym rzecz – pomyślał z irytacją i bezradnością. – Ty i ja różnimy się. Może bardziej niż to sobie wyobrażasz.*

Prządka Powrozów była piętnastoletnią dziewczyną – żywą, dociekliwą, śmiałą i bezczelną. Jutrzejszy Dzień piętnaście lat miał pięć wieków temu. Ale nawet wtedy uznalby ją za niesfornego urwisa. Podejrzewał ze smutkiem, że była mu bardziej obca niż Uvarov.

Jeden z leśnych ludzi pomalowany cienką warstwą farby podszedł do nich.

– Daje ci w kość? – spytał z uśmiechem. Prządka Powrozów parsknęła ze złością.

Jutrzejszy Dzień patrzył w dół na przybysza, starając się ustalić jego tożsamość. *Niech to szlag trafi, te wszystkie liliputy są do siebie podobne* – pomyślał, ale... przypomniał sobie. To był Strugacz Strzał, ojciec Prządki Powrozów. Zdobył się na sztuczny uśmiech.

– Nie, nie. Chyba nawet próbowała mnie pocieszyć. Tłumaczyła, że nie powinienem obawiać się starego Uvarova.

Wózek starca podskoczył na powierzchni pierwszego pokładu. Trójka ludzi otaczająca Uvarova rozwiązała liny wózka; pomknęły w górę jak żywe stworzenia. Uvarov rozchylił powieki zakrywające puste oczodoły i warknięciem wydał rozkazy swemu orszakowi.

Strugacz Strzał zatrzymał wzrok na Jutrzejszym Dniu.

– A ty boisz się Uvarova?

Jutrzejszy Dzień przyłapał się na tym, że nerwowo wyłamuje sobie palce. Spróbował się opanować.

– Nie. Wierz mi, w moim świecie jest wiele nieudanych przypadków terapii desenektyzacyjnej, równie zaskakujących jak w przypadku Uvarova. Chociaż może nikt nie dorównuje mu wiekiem.

– Uvarov jest gotowy – oznajmiła Prządka Powrozów. – Więc powinniśmy wyruszyć, chyba że zamierzacie przestać tu i przegadać cały dzień...

Na pierwszym pokładzie utworzyła się mała procesja. Prowadził Jutrzejszy Dzień, nadając wolne spacerowe tempo. Za nim toczył się Uvarov. Niewidoczny silniczek wózka pracował z głośnym warkotem. Po obu stronach pojazdu kroczyli Strugacz Strzał i Prządka Powrozów, delikatnie nawracając ślepcą na ścieżkę, kiedy z niej zbaczał.

Leśni ludzie miękko stąpali po zużytych metalu, zostawiając za sobą ślady, mokre od potu i brudne od ziemi. Strugacz Strzał niósł luk i kołczan, przewieszony przez ramię, a dmuchawka Prządki Powrozów dyndała u jej pasa, tajemnicza i zabójcza. Nagie, pomalowane ciała rysowały się bajecznymi plamami na tle ponurych, szaroburych ścian. Oczy leśnych ludzi, wyzierające z jasnych malunków, były szeroko otwarte i czujne. Nawet okulary Prządki Powrozów nie mogły ukryć jej podejrzliwości.

Jutrzejszemu Dniowi udało się zaaranżować rozmowę z planistą Milpitasem. Postanowił ograniczyć podróż w głąb pokładu – pierwsze od wieków zetknięcie dwóch światów statku – do wybranej trójki. Nie chciał narażać społeczności pokładów na większy szok kulturowy niż to było konieczne.

Oddalili się od śluzy, żegnając obraz dżungli, i znaleźli się w typowym środowisku pokładów, świecie metalowych ścian. Prządka Powrozów początkowo stąpała zdecydowanym, pewnym siebie krokiem, ale niebawem utraciła nieco buńczuczności i pobladła na twarzy.

Jutrzejszy Dzień poczuł pewną ulgę.

– Co się z tobą dzieje? Zdenerwowana?

Spojrzała na niego wyzywająco i przełknęła z trudem ślinę.

– A nie powinnam? Ty nie?

– Prządko... – zaczął Strugacz Strzał.

– Nie w tym rzecz. – Zmarszczyła okrągłą twarz. Okulary nieco zjechały jej z nosa. – Chodzi o ten smród! Jest wszędzie. Nie można się od niego uwolnić. Musi tu być od zawsze. Nic nie czujecie?

Jutrzejszy Dzień podniósł twarz, nieco zaalarmowany. Nawet stary Uvarov, ślepy, uwięziony w wózku, odwrócił się, wciągając powietrze przez zniszczony nos.

– Nie rozumiem... – zaczął Jutrzejszy Dzień.

– Prządko, nie sądzę, by stało się coś złego – przemówił cierpliwym tonem Strugacz Strzał. – To tylko woń ludzi. Ludzi, metalu i maszynierii. Tu, na dole, jest inaczej, musimy się do tego przystosować.

Na twarzy Prządki Powrozów odbiła się groza.

– Przecież to ohydne. Powinno się coś z tym zrobić.

Jutrzejszy Dzień ogarnęła irytacja i rozbawienie.

– Zrobić? Na przykład co?

– Na przykład zasadzić parę drzew. – Wyzywającym ruchem uniosła girlandę orchidei i przycisnęła ją do twarzy, ostentacyjnie wciągając zapach kwiatów.

Strugacz Strzał zrównał się z Jutrzejszym Dniem.

– Ona nie chciała was obrazić – powiedział zupełnie serio.

Jutrzejszy Dzień westchnął.

– Nie przejmuj się tym. Ale... ja jestem stary, Strugaczu. Może starszy niż potrafisz to zrozumieć. – Spojrzał z ukosa na człowieczka z lasu. Strugacz Strzał robił wrażenie kompetentnego, praktycznego osobnika – chociaż jego niziutka postać, nagie stopy i pomalowana twarz były zupełnie nie na miejscu w tym sterylnym otoczeniu. – Trochę trudniej usiedzieć mi w jednym miejscu niż większości tutejszych mieszkańców. I miałem z tego powodu wystarczające kłopoty. Ale jestem stary. I nic na to nie poradzę, że najbardziej boję się zmiany, czegoś nieprzewidywalnego. Wy wnosicie niesłychane zamieszanie na pokłady, niemal rewolucję. Moje życie nigdy już nie będzie takie samo. A to niemiłe uczucie.

Strugacz Strzał zwolnił.

– Pomożesz nam? – spytał wprost. – Powiedziałaś...

– Tak, pomogę. Nie stracę głowy, Strugaczu Strzał, dotrzymam słowa. Od dawna zdawałem sobie sprawę, że nasze życie nie toczy się tak, jak nakazuje logika. Może pomagając tobie i Uvarowowi, uda mi się sprawić, by nabrało sensu. A może nie.

*Przynajmniej teraz rozumiem, do czego faktycznie służą te wszystkie zapadki i metalowe ósemki, które robiłem przez dziesiątki lat* – pomyślał. Uśmiechnął się szeroko i pogładził po ogolonej głowie.

– Ale nie mam pojęcia, co dokładnie z tego wyniknie. Jesteście tacy... inni.

Strugacz Strzał uśmiechnął się.

– W takim razie jedyną racjonalną postawą jest bać się, a przynajmniej zachować ostrożność.

– Chyba że ma się piętnaście lat.

– Słyszałam. – Prządka Powrozów dołączyła do nich; dała Jutrzejszemu Dniowi lekkiego kuksańca pod żebra. Mała twarda piąstka zagłębiła się w fałdy tłuszczu mężczyzny, który starał się

ukryć nagły ból.

Zeszli z pochylni i znaleźli się na drugim pokładzie, pierwszym zamieszkanym poziomie.

Jutrzejszy Dzień próbował patrzeć na swoje środowisko wzrokiem leśnych ludzi. Ponure, przesłonięte plamami sufity i podłogi oraz odległe, przesłonięte lekką mgłą ściany kadłuba tworzyły ramy świata – regularnego, uporządkowanego, zamkniętego. Ogromne lizaje koloru zielonkawej miedzi szpeciły jedną stronę. Schody-pochylnie pięły się między pokładami niczym dziewięćdziesięciometrowe pajęczyny, a sztolnie wind przesywały poziomy, jakby podtrzymując metalowe niebo. Rygorystycznie geometryczny układ drugiego pokładu był łatwy do ogarnięcia. Budynki – domy, fabryki, świątynie planistów – skupiały się w uporządkowanych sektorach i segmentach.

Jutrzejszy Dzień czuł zażenowanie i przygnębienie. Jego świat był monotony, przytłaczający – jak wnętrze jakiejś wielkiej maszyny, spracowanej ponad miarę i ulegającej awariom.

Ruszyli drogą po cięciwie, wiodącą wprost do świątyni Milpitasa.

Zbliżała się ku nim jakaś kobieta. Jutrzejszy Dzień znał ją, nazywała się Uwiecznienie. Prowadziła sklep w biednej części czwartego sektora. Szła równym krokiem, spuściwszy oczy. Wyglądała na zmęczoną, pewnie była po zmianie.

Podniosła oczy i zobaczyła leśnych ludzi. Zatrzymała się w połowie cięciwy, rozdziawiając usta. Krople potu pojawiły się na jej wygolonej czaszce.

Jutrzejszy Dzień kątem oka zarejestrował, że Prządka Powrozów sięga po dmuchawkę.

Podniósł rękę i usiłował się uśmiechnąć.

– Witaj, Uwiecznienie. Nie denerwuj się. Idziemy do świątyni, żeby...

Nie skończył zdania. Dostrzegł, że Uwiecznienie go nie słucha. Mało tego, wyglądało na to, że nie wierzy własnym oczom. Patrzyła w dal, ku swemu domowi, omijając wzrokiem grupę Jutrzejszego Dnia.

Dla niej leśni ludzie nie istnieli, nie mogli istnieć.

To była absurdałna reakcja. Ale Jutrzejszy Dzień z przygnębieniem przypomniał sobie własne zachowanie, kiedy po raz pierwszy ujrzał Prządkę Powrozów.

Uwiecznienie obeszała ich pospiesznie i szła dalej, nie oglądając się. Prządka Powrozów odzyskała spokój. Zarzuciła dmuchawkę na ramię.

– Na miłość życia, ta biedna kobieta w niczym ci nie zagrażała – warknął Jutrzejszy Dzień ogarnięty nagłym zniecierpliwieniem. – Była przerażona. Nie widziałaś tego?

Prządka Powrozów tylko wytrzeszczyła na niego oczy.

Uvarov podniósł głowę; Strugacz Strzał pokrótce wytłumaczył, co zaszło. Uvarov roześmiał się szczekliwie.

– Mylisz się, Jutrzejszy Dniu. Oczywiście że Prządce Powrozów groziło niebezpieczeństwo. Wszystkim nam grozi.

Strugacz Strzał, przebijający nogami obok Jutrzejszego Dnia zmarszczył czoło.

– Nie rozumiem. To dziwna okolica, ale nie widzę żadnego niebezpieczeństwa. – Ja też – powiedział Jutrzejszy Dzień. – Nic wam tu nie grozi...

Uvarov roześmiał się.

– Tak sądzisz? Strugaczu Strzał, zapamiętaj moje słowa. Może dzięki nim uda ci się trochę dłużej przeżyć. Dla człowieka najcenniejszą rzeczą są wyszlizgane koleiny, po których krążą jego myśli; może cenniejszą niż życie. Historia ludzkości uczy nas tego na przykładzie nie kończącej się parady

wojen okupionej tysiącami ofiar. Oddały życie z powodu trywialnych różnic w interpretacji dogmatów religijnych. My tymczasem nie pasujemy do nawyków myślowych ludzi pokładów. Ta kobieta obeszła nas, wmawiając sobie, że my nie istniejemy! Samą obecnością, więcej, samą egzystencją, zakłócamy nawyki myślowe tutejszej społeczności... a w szczególności wielowiekowych starców, którzy ją kontrolują. Będą starali się nas zniszczyć, być może nawet nie uświadamiając sobie tego. Życie trzech czy czterech obcych istot to mała cena za uratowanie nawyków myślowych, wierz mi.

– Nie – odparł Jutrzejszy Dzień. – Odrzucam twój punkt widzenia. Nie zawsze zgadzam się z planistami, ale to nie mordercy.

– Myślisz? – Uvarov znów się roześmiał. – Twój „planiści” to... obłąkańcy. Oczywiście. Jak ja. I ty. Ułomność jest fundamentalną cechą naszego gatunku. Od zarania dziejów ludzkości działała pod wpływem złudzeń, masowych psychoz, obłąkania. Zmieniają się nazwy, ale natura tych obłądnych miraży pozostaje taka sama... – Westchnął. – Zbudowaliśmy ten cudowny statek, stworzyliśmy Superet. Marzyliśmy o uratowaniu gatunku ludzkiego. Wyruszyliśmy ku gwiazdom i przyszłości... Ale, na nieszczęście, musieliśmy zabrać ze sobą zawartość naszych głów.

Jutrzejszy Dzień przypomniał sobie wyraz twarzy Uwiecznienia, kiedy uparcie wmawiała sobie, że leśni ludzie nie istnieją. Pomyślał ponuro, że być może wszystko będzie jeszcze trudniejsze, niż się tego spodziewał.

Lieserl pamiętała, kiedy po raz pierwszy całkowicie utraciła łączność z ludźmi. Nie spodziewała się, że będzie ją to kosztowało tyle bólu.

Sprawdziła swoje układy. Link telemetryczny pozostał sprawny, ale dane, nadawane do tej pory z drugiego, odległego końca kanału łączności, przestały napływać – nagle, bez ostrzeżenia.

Skonfundowana, oszołomiona i urażona na jakiś czas zamknęła się w sobie. Jeśli ludzie, którzy ją zbudowali i cisnęli w to nieprzyjazne środowisko, teraz postanowili ją porzucić, to, no cóż, odpowie im pięknym za nadobne...

Kiedy się trochę opanowała, próbowała sobie wyobrazić, dlaczego łączność ustała.

Z danych zdobytych przez Michaela Poole'a podczas jego donkiszockiej wyprawy tunelem czasoprzestrzennym Superet stworzyła zarys historii ludzkości. Lieserl prześledziła swój życiorys, porównując to, co się jej zdarzyło, z chronologią Superet.

Kiedy straciła łączność po raz pierwszy, miała już za sobą kilka tysięcy lat pobytu w Słońcu.

Dowiedziała się, że Ziemia jest pod obcą okupacją.

Wcześniej ludzie udali się poza Układ Słoneczny na opasłych, majestatycznych statkach fazowych, poruszających się z prędkością podświetlną. Była to era optymizmu, nadziei, ekspansji w niezmierną przyszłość.

Wtedy, gdzieś między gwiazdami, napotkano pierwszą inteligencję pozagalaktyczną: squeemów, rasę istot o umyśle grupowym, dysponującą szeroką siecią faktorii handlowych.

W niewiarygodnie krótkim czasie squeemowie pokonali ludzkie systemy obrony i zajęli Ziemię. Rozpoczęła się systematyczna eksploatacja zasobów ziemskich przez obcą władzę.

Czasem Lieserl zastanawiała się, dlaczego ponure ostrzeżenia Superet, oparte na danych Poole'a, nie zapobiegły katastrofom. Być może zadziało prawo nieuchronności historycznej, a może nie dało się odwrócić biegu wydarzeń, bez względu na zagrożenie, jakie stwarzały.

Nie potrafiła jednak pogodzić się z takim fatalistycznym wytłumaczeniem.

Zapewne po prostu przestano traktować poważnie stare przepowiednie. Minęło tyle czasu, a wciąż się nie spełniały. Ludzie, którzy wreszcie napotkali squeemów, byli pionierami – handlarzami, budowniczymi nowych światów. W ich oczach Ziemia i jej otoczenie należały do świata legend. Jeśli kiedykolwiek słyszeli o Superet, musieli uznać ją za peryferyjną grupkę fanatyków, żarliwie trzymających się ponurych przepowiedni i równie pozbawionych znaczenia jak astrologi czy wróżbiarze.

Ale Lieserl pojmowała, że przepowiednie Superet okazały się prawdziwe.

Po interregnum squeemów łączność nagle została przywrócona.

Pamiętała, jak linki telemetryczne zmienacka ożyły i znów zalała ją fala słów i obrazów. Początkowo była przerażona, kiedy wyrwano ją ze stanu katatonicznego dryfu w sercu Słońca.

Nowy szef łączności obdarty, niedożywiony, ale tryskający wiecznym entuzjazmem – opowiedział jej, że ludzie wyzwolili się z jarzma squeemów. Znów byli wolni i mogli eksploatować siebie i swoje zasoby, jak uważali za stosowne. To jeszcze nie wszystko. Lieserl dowiedziała się, że po okupacji squeemów zostało dziedzictwo zaawansowanej technologii – napęd superprzestrzenny stwarzający możliwość poruszania się między gwiazdami z prędkością nadświatłą.

Technologia silnika superprzestrzennego nie powstała w środowisku squeemów. Squeemowie pozyskali ją od innego gatunku, nie zawsze czystymi metodami, tak jak teraz „odziedziczyła” ją ludzkość.

Prawdziwi twórcy większości technologii w Galaktyce byli znani... Przynajmniej z daleka.

Zwali się xeelee.

Nawiązano kontakt z odciętymi koloniami na pobliskich gwiazdach, które otrzymały nowy napęd – w przenośni oraz dosłownie – i runęła fala ekspansji. Ludzie rozprzestrzeniali się po Galaktyce jak zaraza, kolejny raz pełni wigoru i optymizmu.

Lieserl, dryfująca w słonecznych chmurach, obserwowała to wszystko z dala jak przez mgłę. Łączność utrzymywano z nią tylko sporadycznie; Lieserl i podtrzymujący ją tunel czasoprzestrzenny byli reliktem – dziwnym artefaktem z przeszłości, powoli zmierzającym ku jakiemś zapomnianemu celowi w środku Słońca.

W ciągu kilku pierwszych lat po obaleniu squeemów ludzkiej cywilizacji świetnie się powodziło – kwitła, rozprzestrzeniała się. Jednak w miarę jak Lieserl zagłębiała się w zarys ludzkiej historii, ogarniało ją rosnące przygnębienie. Wszechświat poza Układem Słonecznym stał się miejscem małostkowego, nie kończącego się wyścigu za pozostałościami po xeelee. *Może jednak taki był stosowny zakres poczynań ludzkości* – uznała kwaśno.

Wtedy przyszło załamanie. Wydano wojnę innej kosmicznej potędze: qaxom. I przegrano ją.

Ziemia znów dostała się pod okupację.

Powoli uświadomiła sobie, że więcej ptaków przybywa do stada, niż je opuszcza.

Zjawiały się z różnych stron. Ale odlatując, trzymały się pewnego wzorca: kierowały się ku płaszczyźnie równikowej Słońca.

Rzecz jednak w tym, że chmura w sercu Słońca rosła. Ptaki celowo ją powiększały!

Miała wrażenie, że łańcuch dedukcji prowadzi ją ku jakiemś nie chcianemu miejscu przeznaczenia. Przyłapała się na tym, że czuje coś absurdalnego – sympatię do ptaków. Nie chciała o nich źle myśleć.

Ale musiała rozważyć wszystkie związane z nimi możliwości – w tym i niemiłą.



Czy ta możliwość faktycznie była realna? Czy ptaki wiedziały, co robią Słońcu? Och, dokładna forma ich inteligencji, ich świadomości, nie miała znaczenia. Mogły być nawet obdarzone świadomością grupową jak squeemowie. Zasadniczy problem sprowadzał się do intencji.

Czyżby najbardziej szalone spekulacje Superet miały okazać się słuszne? Czy ptaki reprezentowały jakąś formę złowieszczej inteligencji, która zamierzała ugasić Słońce?

Czy rozmyślnie tłumiły ogień termojądrowego paleniska?

A jeśli tak, to dlaczego? posepnie zamyślona zanurzyła się głębiej w stado, obserwując je i korelując dane.

Dotarli do superetowej świątyni planistów w sektorze trzecim.

Mała grupka zwolniła. Strugacz Strzał i Prządka Powrozów jak do tej pory reagowali bez stresów na obrazy i dźwięki podczas wyprawy, ale jaśniejąca czworoboczna masa, górująca nad otoczeniem, chyba w końcu wzbudziła w nich podziw i lęk. Sam Jutrzejszy Dzień z trudnością opanowywał zdenerwowanie. Minęło przecież zaledwie kilka zmian od ostatniego, nieprzyjemnego spotkania z Milpitasem i teraz, stojąc przed świątynią, zdumiewał się własną beczelnością, która popchnęła go do powtórnego przybycia, jakby nigdy nic.

Garry Uvarov wiercił się w kokonie brudnych derek, rozglądał niewidzącymi oczami, szukając wytłumaczenia postoju. Kiedy przemówił, skóra na cienkich jak papier policzkach zaszeleściła.

– Co się dzieje? Czemu stoimy?

– Dotarliśmy – powiedział Jutrzejszy Dzień. – To świątynia planistów i...

– Świątynia! – zachrypiał szyderczo Uvarov. – Pewnie, że tak to nazwali. Strugaczu, mów, co widzisz – warknął.

Strugacz Strzał z wahaniem opisał czworoboczną piramidę, jarzącą się na niebiesko krawędzie i migotliwe ciemnozłote płaszczyzny.

Głowa Uvarova zadrżała, jakby chciał nią pokiwać ze zrozumieniem.

– Parodia interfejsu. Ci cholerni surwiwaliści, zawsze tacy sami. Świątynia! – Wykręcił głowę. Zafascynowany Jutrzejszy Dzień nie mógł oderwać wzroku od wystającego stosu pacierzowego starca. – No i...? Na co czekamy?

Jutrzejszy Dzień ruszył pierwszy, czując, jak niepokój i zdenerwowanie ściskają go za serce.

– Milpitas? Milpitas?! – Na wychudzonej do ostateczności twarzy Uvarova pojawiło się pewne zainteresowanie. – Znałem jedną Milpitas. Serenę Harvey Gallium Harvey Milpitas...

– To moja prababka – powiedział planista Milpitas. Siedział wygodnie na fotelu i złożył palce w daszek. Zafascynowany Jutrzejszy Dzień chłonał znajomy gest. – Członkini pierwszego składu. Umarła dawno temu...

Wózek Uvarova toczył się niespokojnie w tył i w przód po miękkim dywanie Milpitasa; Strugacz Strzał, Jutrzejszy Dzień i Prządka Powrozów zgrupowali się w głębi małego gabinetu, aby nie wpaść pod koła.

– Cholera, znam to wszystko. Nie pytam o jej życiorys. Powiedziałem, że ją znałem! Obrotna w języku, jak wszyscy Marsjanie.

Milpitas przyglądał mu się zza biurka. Jutrzejszy Dzień przyznawał po cichu z pewnym szacunkiem, że opanowanie i pewność siebie planisty nie uległy najmniejszemu zachwianiu po wkroczeniu w jego uporządkowany świat tych pomalowanych dzikusów i wysuszonego na wiór

starca z epoki startu.

– Po co tu przybyliście? – zapytał planista.

– Bo wam ani się śniło wychylić nosa poza pokłady, żeby spotkać się ze mną – warknął Uvarov.

– Wam, aroganckim draniom. Powinienem...

– Ale czemu w ogóle chcecie się ze mną spotkać? – naciskał Milpitas z cierpliwością i obrzydzeniem. Dopiero teraz zmierzył chłodnym wzrokiem milczących leśnych ludzi. – Czemu nie zostaliście w dżungli i nie chodzicie po drzewach z waszymi przyjaciółmi?

Prządka Powrozów warknęła cicho.

Uvarov rozdał nozdrza, papierowa skóra naciągnęła się.

– Nie pozwolę, żeby tacy jak ty mówili do mnie tym tonem. Kto tu rządzi?

– Ja – oznajmił ze spokojem Milpitas. – Teraz odpowiedz na moje pytanie.

Garry Uvarov dźwignął głowę. W rozproszonym świetle gabinetu Milpitasa oczodoły ślepeca wydawał się bezdenne.

– Wy nigdy się nie zmienicie.

Milpitas robił wrażenie rozbawionego.

– Jacy „wy”, dokładnie biorąc?

– Wy, surwiwaliści. Twoja błogosławiona babka i reszta załogi, z którą trzymała sztamę, jak zawsze przekonani, że są jedynymi, świętymi strażnikami misji Superet. Ciągłe próbowali wszystkimi kierować, wtlaczali nas w te wasze cholerne hierarchie.

– Jeśli po to zadałeś sobie wiele trudu, żeby przedyskutować sens istnienia hierarchii społecznych, to diskutujmy – powiedział ze spokojem Milpitas. – Społeczeństwa hierarchiczne, maszyny biurokratyczne są tworzone nie bez powodu. Mają swój cel! Czy kiedyś pomyślałeś o tym, starcze? – Zrobił lekki, płynny gest dłonią. – Jest oczywiste, że skazano nas na zamknięte środowisko. Mamy ograniczone zasoby. I nie dysponujemy środkami pozyskania nowych. Tak więc potrzebujemy kierownictwa. Musimy planować! Potrzebujemy wzorców zachowań; takiego uregulowania społeczeństwa, aby zmaksymalizować skuteczność drobnych działań, dopóki nie osiągnie się szerszego celu. A biurokracja to najlepszy sposób...

– Sprawowania władzy! – W głosie Uvarova nagle zabrzmiał patos. Wysunął głowę do przodu, naprężając wszystkie żyły i ścięgna. – Obudowaliście świat murem, uwięziliśmy ludzi. Nie pieprz mi o wzorcach zachowań! Chodzi o władzę, Milpitas. Do tego wszystko się sprowadza. Do władzy, która glajszachtuje i kieruje, narzuca analfabetyzm, nawet odmawia prawa do rozmnażania się. Jesteście, cholera, nieludzy, zawsze tacy sami. I...

Milpitas roześmiał się. Wydawał się niewzruszony.

– Jak długo żyłeś w izolacji, między drzewami, doktorze Uvarov? Ile wieków? I przez cały czas hołubiłeś tę gorycz?

– Macie obsesję rządzenia ludźmi. Wy, surwiwaliści... i wynaturzoną wizję celu Superet. Zawsze byliście przekonani, że tylko wy macie dostęp do prawdy.

Milpitas przestał się śmiać. W jego oczach zalśnił zimny blask. – Znam twoją przeszłość, doktorze Uvarov. Nie jest żadną tajemnicą. Odrzuciłeś terapię desenektyzacyjną, podjąłeś obłąkańcze eksperymenty, żeby wszczepić ludziom długowieczność... twoim ofiarom, powinienem powiedzieć. I ty mówisz mi o obsesji. O rządzeniu ludźmi. Ty śmiesz zarzucać mi to wszystko...

Podczas krótkiego pobytu z leśnymi ludźmi Jutrzejszy Dzień dowiedział się o eugenicznych

ambicjach Uvarova.

Uvarov odrzucił TDS – i wszelkie sztuczne zabiegi – jako drogę do nieśmiertelności. Argumentował, że chcąc uszlachetnić gatunek, należy go zmienić.

Ludzkim organizmem zawiadują geny. Ludzie – i wszelkie żywe stworzenia – to maszyny, których zadaniem jest zapewnić przetrwanie genom. Geny dają swoim gospodarzom życie i decydują o ich śmierci.

Geny, które zabiły swoich gospodarzy, same eliminują się z ogółu genów. I tak gen, który zabił młody organizm, nie może zostać przekazany potomstwu. Ale gen, który zabił dojrzały organizm, po reprodukcji mógł przeżyć.

Tak więc to, co wydaje się perwersyjne – zabójcze geny w dojrzałych organizmach – mogło się rozprzestrzeniać.

Uvarov pojął z czasem, że starcza zgrzybiałość to po prostu wynik opóźnionego działania morderczych genów, których nie da się wyselekcjonować, jeśli dopuści się do rozmnażania wśród młodych osobników.

Po dwóch stuleciach lotu Garry Uvarov zdecydował się ulepszyć rasę ludzi lecących do przyszłości. Terapia desenektyzacyjna wykorzystywała technikę nanorobotyczną do bezpośredniej eliminacji efektów starzenia się na poziomie biochemicznym, ale nie podejmowała wprost batalii z genami.

Jeszcze zanim okazało się, że terapia desenektyzacyjna w jego przypadku nie była do końca skuteczna, Uvarov wypowiedział wojnę morderczym genom, które go zabijały.

Wraz ze swoim zwolennikami zajął leśny pokład, skutecznie odseparowawszy go od reszty. Wysłał swoich ludzi do dżungli i powiedział, że będą prowadzić proste życie – jeść to, co da im las, wyrabiać proste narzędzia. Zrezygnowano z TDS-u i w ciągu kilku lat leśne podłoże i sklepienie dżungli zadźwięczały głosami dzieci.

Następnie Uvarov zakazał wszelkiej reprodukcji przed czterdziestym rokiem życia.

Narzucił tę zasadę z żelazną dyscypliną. On i jego ponura drużyna przemierzali las wzdłuż i wszerz, od czubków drzew po ściółkę, i dokonywali szybkich, gładkich aborcji.

Po kilku pokoleniach podniósł granicę wieku do czterdziestu pięciu lat. Potem pięćdziesięciu.

Populacja w lesie najpierw zmalała, ale później z wolna zaczęła rosnąć. I mordercze geny stopniowo uległy eliminacji.

Po jakimś czasie rozwinęły się kontakty – w formie handlu wymiennego – między mieszkańcami dolnych poziomów i leśnym ludem. Nie było jednak żadnych ekspedycji z dołu, nikomu nie zależało na wdarciu się na poziom zerowy. I tak Uvarov z żelazną determinacją prowadził swój eksperyment wiek po wieku.

Strugacz Strzał i Prządka Powrozów – młodzi-starzy pigmeje o wymalowanych twarzach – byli wyjątkami.

Milpitas słuchał, pozornie głęboko zamyślony, podczas gdy Uvarov się puszył.

– Kiedy zacząłem tę pracę, przeciętna długość życia, nie podtrzymywanego TDS-em, wynosiła sto lat. Teraz mam osobniki liczące ponad dwieście pięćdziesiąt lat...! – Ślina pryskała z bezzębnych ust. – Dociągnięcie do tysiąca lat za pomocą terapii desenektyzacyjnej to drobnostka. Przebiję i dziesięć tysięcy! Ja mówię o zmianie gatunku, człowieku...

Milpitas roześmiał się.

– Czy jakakolwiek populacja w historii była podporządkowana równie obsesyjnej kontroli i manipulacji? Odmówić dobrodziejstw TDS-u tylu pokoleniom... – Planista pokręcił łysą, pobliznioną głową. – Stracić taki potencjał, zabić tylu geniuszy przed narodzeniem...

– Ja dokonuję transformacji samego gatunku ludzkiego – syknął Uvarov. – I mam wyniki, do cholery. Ten Strugacz Strzał – wykonał nieokreślony gest – ma osiemdziesiąt lat. Osiemdziesiąt! Popatrz na niego. Skutecznie usuwając zabójcze geny...

– Jeśli twój program jest tak godny pochwały, to dlaczego uważałeś, że musisz się zabarykadować na leśnym pokładzie?

Bezradny Jutrzejszy Dzień odniósł wrażenie, że wszedł między uczestników starego, bezprzedmiotowego sporu. Pamiętał ostatnie spotkanie z Milpitasem, podczas którego planista spokojnie i logicznie zaprzeczał istnieniu społeczności nad pierwszym pokładem; społeczności, której niezależny byt musiał się rozpocząć na długo przed tym, zanim Strugacz Strzał i inni pojawili się w otwartych włazach luków, strzelając z dmuchawek. A teraz nawet stojąc twarzą w twarz z Uvarovem i tymi wymalowanymi dzikusami – Milpitas nie potrafił wyjść poza swoją ograniczoną wizję świata,

Wyglądający jak jakiś kosmiczny stwór Uvarov był hałaśliwy, na wpół szalony i uwięziony w klatce swych zaskorupiałych poglądów. Milpitas przeciwnie – okazywał spokój, jego zachowanie i wypowiedzi cechowała samokontrola. A jednak – dostrzegł z zakłopotaniem Jutrzejszy Dzień – planista na swój sposób krążył po równie sztywnych torach myślenia i równie stanowczo nie dopuszczał do świadomości tego, co podsuwały mu zmysły.

*Żyjemy w spetryfikowanym społeczeństwie – rozważał ponuro Jutrzejszy Dzień – intelektualnie martwym. Uvarov ma rację co do przywiązania do kolein myślowych. Może wszyscy zwariowaliśmy po tym długim locie. A przecież, jeśli Uvarov nie myli się, twierdząc, że lot się skończył, to może nie stać nas na dalszą umysłową martwość.*

– Musisz go wysłuchać – zwrócił się rozpaczliwie do Milpitasasa. – Sytuacja się zmieniła, planisto. Ten statek...

Milpitas go zignorował. Wydawał się znużony.

– To wszystko zaczyna mnie nudzić. Powtórzę jeszcze raz moje pytanie. A potem macie wyjść. Wszyscy. Uvarov, czemu się tu zjawiałeś?

Uvarov podjechał bliżej do planisty; wózek z miękkim stuknięciem uderzył w biurko.

– Surwiwalisto, koniec podróży – wyskandował, akcentując każde słowo.

Milpitas zmarszczył czoło.

– Jakiej podróży?

– Rejsu *Wielkiej Północnej*. Naszej odysei przez czas i przestrzeń do końca historii. – Zniszczona twarz wykrzywiła się. – Ciężko mi to przyznać, ale rozłam między nami nie służy już niczemu. Teraz powinniśmy współdziałać, dotrzeć do interfejsu tunelu czasoprzestrzennego i...

– Czemu uważasz, że podróż jest skończona? zapytał ze spokojem Milpitas.

– Bo widziałem gwiazdy!

– Niemożliwe – uciał krótko Milpitas. – Straciłeś oczy. Jesteś szalony, Uvarov.

– Mój lud... – zaskrzeczał Uvarov i głos mu się urwał. Prządka Powrozów podeszła do wózka, wyjęła ze schowka drewnianą miskę z wodą i wlała trochę płynu w otwarte usta starca.

– Mój lud jest moimi oczami – wyrzeźbił Uvarov. – Strugacz Strzał wspiał się na najwyższe drzewo i obejrzał gwiazdy. Ja wiem, Milpitasie. I rozumiem.

Milpitas zwęził oczy.

– Niczego nie rozumiesz. – Spojrzał krótko, z pogardą na Strugacza Strzał, który zmierzył go chłodnym wzrokiem. – Nie mam pojęcia, co widział ten... osobnik, kiedy wdrapał się na swoje drzewo. Ale wiem, że się mylisz, Uvarov. Nie mamy o czym dyskutować.

– Ale gwiazdy... czy nie pojmujesz, Milpitas? Poświata równikowa gwiazd znikła! Relatywistyczna faza rejsu musiała się zakończyć...

Milpitas uśmiechnął się nikło.

– Nawet teraz, przez mgłę, która spowija twój umysł, przyznasz zapewne, że ogromną siłą tych tak znieawidzonych przez ciebie biurokracji jest to, że prowadzą rejestry. Uvarov, nasze rejestry są bezbłędne. I my wiemy, że się mylisz! Po tak długim czasie dopuszczalny jest błąd, ale wiemy, że do końca tego tysiącletniego lotu pozostało jeszcze przynajmniej pół wieku.

Na te słowa Jutrzejszy Dzień poczuł, że serce skacze mu do gardła. Jakoś nigdy nie wierzył do końca oświadczeniom Uvarova, lecz zachował wiarę w autorytet planisty. Tylko pięćdziesiąt lat...!

– Jesteście cholernymi durniami! – wrzasnął rozjątrzony Uvarov. Wózek skoczył w przód i w tył, zdradzając podniecenie właściciela.

– Niewątpliwie – powiedział zimno Milpitas. – Ale kiedy przyjdzie kres podróży, damy sobie radę. Teraz precz z mojego gabinetu, starcze. Mam dość pracy, żeby jeszcze...

Jutrzejszy Dzień nie mógł się powstrzymać, aby nie wyrwać się ze słowami:

– Planisto! To wszystko, co masz do powiedzenia? Pierwszy od wieków kontakt między pokładami...

– I ostatni, jeśli o mnie chodzi. – Milpitas uniósł twarz ku Jutrzejszemu Dniowi, który pomyślał chłodno, że przemodelowana skóra robi wrażenie rzeźby, rzeczy o zimnych, twardych płaszczyznach i ostrych krawędziach. – Zabierz ich stąd, Jutrzejszy Dniu. Zabierz ich do dżungli.

– Czy źle zrobiłem, przyprawiając ich tutaj?

– Zabierz ich. – W głosie Milpitasa zadźwięczało napięcie, żyły wystąpiły mu na szyi. – Zabierz!

Zastanawiała się, jak wygląda w oczach fotinowych istot.

Zapewne miały trudności z widzeniem materii barionowej, podobnie jak ona, stworzenie barionowe, męczyła się, chcąc je dostrzec. Być może widziały blade czworościan, cień, jaki rzucała egzotyczna materia interfejsu tworząca zewnętrzny kształt jej istoty. Być może rozróżniały niewyraźny zarys samego tunelu, gardziel przestrzeni i czasu połykającą żar, który w innym wypadku by ją zniszczył.

Stare teorie powiadały, że cząsteczki ciemnej materii zderzają się z rojami protonów w jądrze Słońca, absorbują nieco ich energii i odprowadzają ciepło. Myślano, że ciemna materia w ten sposób schładza Słońce.

Teraz spostrzegła, że te poglądy były w zasadzie słuszne, ale zbyt uproszczone. To ptaki absorbowwały energię ciepłą Słońca! Karmiły się podczas interakcji z protonami w plazmie. Wchłaniając energię wyzwalaną podczas interakcji fotino-proton, rosły i unosiły się po spirali z gęstszego serca Słońca, zabierając ze sobą ciepło.

Starodawni teoretycy narysowali schemat oparty na fizycznym pozyskiwaniu ciepła z jądra, co tłumaczyło gaszenie reakcji termojądrowych. Tak naprawdę ptaki karmiły się ciepłem słonecznym.

A karmiąc się, w końcu musiały zabić swojego żywiciela – jak bezmózgie pasożyty.

Oczywisty brak rozsądku, chyba że od początku taka była ich rola.

Lieserl dowiedziała się o qaxach.

Qaxowie powstali jako turbulentne komórki w morzach młodych planet. Ponieważ było ich bardzo niewiele, nie mieli wojowniczej natury – życie każdego indywiduum było dla nich zbyt cenne. Przejawiali charakter kupiecki; współpracowali jak niezależne spółki, nie wchodząc sobie w paradę.

Zaanektowali Ziemię z prostego powodu – ponieważ okazało się to możliwe i łatwe.

Lieserl zdała sobie sprawę, że młode rasy Galaktyki, szukające swojego miejsca, rządziły się jedynie żelaznymi prawami gospodarki. Qaxowie zniewolili ludzkość po prostu dlatego, że ta opcja rokowała nadzieję na szybki zysk.

Formy ucisku podsunęli sami ludzie. Na szczęście dla qaxów historia człowieka obfitowała w lekcje pokazowe.

Wreszcie zostali obaleni. Szczegóły tego wydarzenia nie były jasne; miały coś wspólnego z człowiekiem nazywającym się Jim Bolder i niesłychanym lotem na rozpadającym się wraku ukradzionym xeelee. Celem rejsu było największe przedsięwzięcie xeelee: pierścień...

Wtedy Lieserl po raz pierwszy o nim usłyszała.

Po przewrocie ludzie ponownie zwrócili się ku Słońcu i odnowili kontakt ze starzejącym się, coraz bardziej nie przystającym do ówczesnej cywilizacji artefaktem chroniącym Lieserl.

Ten kontakt z ludźmi przyprawił Lieserl o wstrząs.

Qaxowie przestali stosować terapię desenektyzacyjną. Śmierć, choroby powróciły do światów ludzkości. Niebawem trudy i choroby pozbawiły życia większość starych nieśmiertelnych – z których nieliczni pamiętali nawet czasy przed squeemami – i w ciągu kilku pokoleń ludzie zapomnieli część swojej przeszłości.

Przerwanie ciągłości ludzkiej kultury po qaxach było niepomiernie poważniejsze niż po okupacji squeemów. Ci nowi ludzie, którzy wyłonili się z ery qaxów – i których niewyraźne zarysy ukazywały się Lieserl w jej otocze zanurzonej w solarnej plazmie – wydali się jej kosmitami, kiedy patrzyła na ogolone głowy i wychudłe rysy, pełne fanatycznego napięcia.

Znów ruszyła ekspansja, lecz tym razem napędzana zawziętą determinacją. Ludzkość nigdy więcej nie zamierzała poddać się wpływowi pozagalaktycznej władzy. Lieserl pogrążona w śnie przyglądała się, jak stulecia pędzą obok niej i znikają niczym iskierki znaczone fragmentami słów i obrazów, a ludzie kolejny raz wykraczają poza swój układ planetarny. Zaczął się nowy okres: asymilacja.

Podczas asymilacji ludzie z żarłoczną agresywnością absorbowali surowce i technologie innych gatunków.

Ludzka cywilizacja ewoluowała w przyspieszonym tempie. Link z Lieserl utrzymywano, ale przerwy między sesjami łączności wydłużały się. Wydawało się, że tamtymi odległymi istotami ludzkimi powodowała tylko wroga ciekawość; na twarzach, które jej pokazywano, dostrzegała jedynie wyrachowanie. Podejrzewała, że jest tylko jeszcze jednym środkiem zapewniającym stałą, nie kończącą się ekspansję.

Niebawem – zdumiewająco szybko – ludzie osiągnęli dominującą pozycję wśród młodych ras. Wyraźnie zyskiwali na władzy i wpływach.

W końcu tylko sami xeelee byli potężniejsi od człowieka... A legenda o osiągnięciach xeelee – ich materiale konstrukcyjnym, manipulacjach przestrzeni i czasem, samym pierścieniu – stała się

częścią głęboko zakorzenionej mitologii.

Wtem link telemetryczny został zamknięty. Na zawsze.

Dryfując przez nie kończący się, niezmienny ocean plazmy, poczuła dalekie ukłucie żalu, które wkrótce rozpląnęło się w spokojnej, paraliżującej, wszechogarniającej ciszy.

Ludzie stali się jej obcy. Bez nich czuła się lepiej.

Uznała, że w życiu ptaków można zaobserwować cykle; cykl narodzin, życia i śmierci, bardzo podobnie jak u stworzeń z materii barionowej, poszczególne fotinowe ptaki miały ją za szybko, aby mogła dosięgnąć je wzrokiem, niemniej jednak nadal prowadziła staranne obserwacje i w nagrodę dostrzegała migawkowo, jak rosną.

W końcu zobaczyła proces reprodukcji.

Zauważyła zbliżającego się nietypowego osobnika. Był gruby, tłusty, nabrzmiały protonową energią cieplną. Wydawał się jakby gęstszy – bardziej realny w ocenie barionowych zmysłów Lieserl – niż jego sąsiedzi.

Zadygotał kilkakrotnie, jego soczewkowaty obrys drżał. Poczuła niemal współczucie; wydawał się trawiony niezwykłym cierpieniem.

Nagle zaskoczył ją, wystrzelił ze swojej orbity. Zawisł na chwilę bez ruchu, a potem znów runął w pełne żaru jądro Słońca. Procesory Lieserl powiedziały jej, że ptak utracił nieco masy.

I zostawił coś za sobą.

Lieserl wyostrzyła maksymalnie zmysły. Samica zostawiła kopię – widmową kopię widoczną w postaci gęstego protonowo-elektronowego koktajlu. Była to trójwymiarowa matryca z materii barionowej. W ułamku sekundy uległa rozrzedzeniu – lecz nie wcześniej, zanim kolejne fotina zebrały się wokół niej, szybko replikując budowę wewnętrzną samicy.

Cały proces nie trwał dłużej niż sekundę. Pod jego koniec nowy fotinowy ptak, wysmukły i drobny, odsunął się od miejsca narodzin; ostatnie ślady matrycy barionowej pozostawionej przez samicę rozpląnęły się.

Lieserl wiele razy prześledziła tę sekwencję. Metoda reprodukcji była daleka od wszelkich ziemskich wzorców, nawet klonowania. Bardziej przypominała bezpośrednie kopiowanie – odcisk z trójwymiarowej matrycy sporządzonej z materii barionowej.

Pisklę musiało być niemal idealną kopią rodzica, dokładniejszą niż jakikolwiek klon. Zapewne unosiło ze sobą kopię wspomnień przodka – może nawet jego świadomość...

I zapewne również kopię wcześniejszego pokolenia – i jeszcze wcześniejszego, i jeszcze...

Lieserl uśmiechnęła się. Każde fotinowe pisklę nosiło w duszy wszystkich swoich praprzodków, gigantyczne drzewo świadomości pamiętające brzask gatunku.

*A wszystko to tworzone za pośrednictwem materii barionowej* – pomyślała z zadziwieniem. Ptaki były zależne od stosunkowej przenikalności materii ciemnej i barionowej, dzięki której odbywała się reprodukcja trójwymiarowych kopii.

Ale to znaczyło, iż fotinowe ptaki mogły się rodzić tylko tam, gdzie występowały zgęszczenia materii barionowej. Tylko w sercach gwiazd.

Bez końca oglądała wizerunki ptaków.

Emanowały jakimś niesłychanym wdziękiem i budziły w niej głęboką sympatię. Duchowo czuła się o wiele bliższa im niż lodowato spoglądającym ludziom z epoki asymilacji.

Miała nadzieję, że jej teoria – iż ptaki celowo niszczą Słońce – jest mylna.

Droga powrotna dłużyła się im w nieskończoność. Jutrzejszy Dzień czuł gniew, znużenie i zawód.

– Nie rozumiem zachowania Milpitasa. – Potrząsnął głową. – Można by pomyśleć, że nawet was nie widział...

– Och, ja rozumiem. – Uvarov wykręcił ku niemu twarz. – Ja rozumiem. Widzisz, jesteśmy za starzy. Po trosze Milpitas miał rację; przecież część jego wad to również moje wady. – W głosie zniekształconym przez wiek zabrzmiała spokojniejsza, znacznie bardziej wyważona nuta niż w trakcie pobytu u planisty. Ciągnął: – Ale ja przynajmniej zdaję sobie sprawę z własnych ograniczeń, z tunelowego postrzegania mojego wieku i stanu, w jakim jestem. Ta świadomość jest dla mnie wyzwoleniem.

Prządka Powrozów szła pierwsza dziewięćdziesięciometrową pochylnią, wiodącą do najwyższego pokładu rządzonego przez planistów. Kiedy zbliżyła się do celu, zwolniła. Opuściła ręce, jakby automatycznie sięgając po dmuchawkę i woreczek z pierzastymi bełtami.

– W czym rzecz? – spytał sucho Jutrzejszy Dzień. – Znów ludzie ci śmierdzą?

Odwróciła się, spoglądając zza okularów.

– Nie o to chodzi. Ale coś... coś jest nie w porządku.

Strugacz Strzał również podniósł twarz.

– Też czuję jakiś zapach.

– Opisz – warknął Uvarov.

– Ostry. Dymny. Jakby zwęglone resztki... bardziej intensywny...

– Hm – mruknął Uvarov. Nie wiadomo czemu wydawał się odczuwać satysfakcję. – Pewnie kordyt.

Strugacz Strzał miał głupią minę.

– Co?

Doszli do końca pochylni. Z pośpiechem udali się do miejsca, w którym zeszli na pokład. Leśni ludzie trzymali broń w pogotowiu.

Zbliżywszy się do służy, zwolnili jak na komendę, po czym Strugacz Strzał, Jutrzejszy Dzień i Prządka Powrozów zamarli, wytrzeszczając oczy.

Uvarov obrócił głowę w lewo i w prawo.

– Mówcie, co się stało. Chodzi o służę, prawda?

– Tak. – Jutrzejszy Dzień podszedł do niej ostrożnie. – Tak, o służę. – Metalowy cylinder był cały tylko do połowy wysokości; wyżej zionęła dziura, a kawałki materiału, z którego go zbudowano, leżały wszędzie na pokładzie, powykręcane, osmalone, nie większe od dłoni. Unosił się smród dymu i ognia – zapewne kordytu.

Bezradny Strugacz Strzał ścisnął kurczowo łuk, rozdziawiając usta. Prządka Powrozów rzuciła się do następnej służy, tupiąc bosymi stopami po metalowej podłodze.

Uvarov pokiwał głową.

– Proste i skuteczne. Należało się tego spodziewać.

Jutrzejszy Dzień schylił się po kawałek metalu, ale pogięty, osmalony szczątek nadał parzył i z pośpiechem cofnął rękę.

Prządka Powrozów wróciła biegiem. Nie mogła złapać tchu i miała oczy jak spodki. Nagle zrobiła się bardzo dziecinna; tuliła się do ojca, ściskając go za ramię.

– Następną służa też wysadzona. Pewnie wszystkie służy są zablokowane. Nie możemy wrócić do



siebie!

– Wypadaloby to sprawdzić – szepnął Uvarov. – Ale chyba masz rację.

Jutrzejszy Dzień uderzył pięścią w otwartą dłoń.

– Dlaczego?! Po prostu nie rozumiem. Po co to zniszczenie, to... marnotrawstwo?

– Mówiłem ci, dlaczego – odrzekł bez emocji Uvarov. – Życie na poziomie zerowym było wyzwaniem nie do przyjęcia dla Milpitasa i reszty twoich cholernych planistów. Wątpię, żeby wyrządzili jakąś szkodę samej dżungli. Wystarczyło im odciąć ją i odgradzić się od niej, zapewne na amen. To w równym stopniu zabezpieczyło ich interesy.

– Przecież to szaleństwo! – zaprotestował Jutrzejszy Dzień,

– Nikt nie mówi, że to normalne – syknął Uvarov. – Ale jesteśmy ludźmi! Czego się spodziewałeś?

Strugacz Strzał nie mógł ustać w miejscu. Jutrzejszy Dzień zauważył z niepokojem, że mały człowieczek przeży barki, jego pomalowana twarz płonie gniewem.

– Bez względu na to, jaki był ich cel, jesteśmy w pułapce. Czyha na nas prawdziwe niebezpieczeństwo. Na Letę! Dokąd mamy się udać?

Jutrzejszy Dzień przestał się bać, był wściekły na to całe głupie marnotrawstwo, zniszczenie śluz.

– Pomogę wam. Nie zostawię was samych. Zabiorę was do siebie. Mieszkam samotnie, możecie się u mnie ukryć. Potem znajdziemy jakiś sposób przedostania się do śluz i...

Na twarzy Strugacza Strzał odmalował się wyraz ulgi i wdzięczności, ale zanim mężczyzna zdążył coś powiedzieć, podjechał Uvarov.

– Nie! Nie wrócimy do dżungli.

– Ale, Uvarov... – zaczął Strugacz Strzał.

– Śluzy nieważne. Ważne to, co poza statkiem. – Uvarov skierował niewidzące oczy najpierw w lewo, potem w prawo. – Nie widzicie? Strugaczu Strzał, sam ujrzalesz gwiazdy. Statek skończył podróż! I musimy iść dalej.

Prządka Powrozów zacisnęła dłoń na ramieniu ojca.

– Iść? Dokąd?

– Bez względu na reakcje tych cholernych głupców, surwiwalistów, będziemy kontynuować nasze dzieło. Zejdziemy przez pokłady na sam dół... Do interfejsu.

Strugacz Strzał, Prządka Powrozów i Jutrzejszy Dzień wymienili przerażone spojrzenia.

Uvarov odchylił głowę, napinając wychudłą szyję.

– Podróżowaliśmy pięć milionów lat, Strugaczu Strzał – wyszeptał. – Pięć milionów lat... Czas wrócić do domu.

## Rozdział 11

Zadrżała. Nagle poczuła dziwny chłód.

*Chłód?* – pomyślała. *Nie, daj spokój, Lieserl. Zastanów się.* Czasami jej wirtualna ludzka postać utrudniała odbiór bodźców, zniekształcała je.

Oto nagle coś zaszło; jej środowisko uległo zmianie. Jakiej zmianie?

Znów doznała wrażenia głębokiego chłodu.

Opuściła wzrok.

Widmowy kształt – fotinowy ptak – wyłonił się z jej wirtualnego brzucha i odleciał, zajmując miejsce na okołosłonecznej orbicie. Kolejny przefrunął przez jej nogi, następne przez ramiona i tors – a ostatni przez głowę, miejsce, w którym znajdowała się sama Lieserl. Wrażenie zimna towarzyszyło utracie cząstek energii zabieranych przez przelatujące ptaki.

Poprzednio unikały jej; zapewne wiedząc od urodzenia o jej obecności, omijały ją szerokim łukiem. Jednak teraz postępowały zgoła inaczej. Porzuciły dawne szlaki i celowo latały przez nią.

W gardle urósł jej krzyk – miała ochotę wdać się z nimi w walkę, odpędzić je pięściami.

*Wiele by to dało* – pomyślała.

Zmusiła się do zachowania spokoju. Obserwowała, czekała.

Ptaki utworzyły nową formację – stożek, którego szczyt wyznaczała ona sama. Wzlatywały z dołu w górę.

*Czy mogą zrobić mi krzywdę?* – pytała się w duchu. – *Zabić?*

Czy mogły? Ciemna materia wchodziła w interakcję z barionową tylko w ograniczonym zakresie. Lieserl uświadomiła sobie, że gdyby skupiły się wokół niej bardzo gęsto, gdyby stopień interakcji między ptakami i cząsteczkami, które ją tworzyły, wzrósł odpowiednio, byłaby całkowicie zdana na ich łaskę i niełaskę!

Była bezradna jak jasna cholera; zanurzona w plazmowej mazi nie uciekłaby na czas.

Miała wrażenie, że przenikają deszcz igieł. Ale chociaż to uczucie nie było miłe, nie było też bolesne, dokuczało tylko jak nachalne łaskotanie.

„Może nie zamierzają mnie zniszczyć – zastanawiała się w półśnie. – Może próbują mnie zrozumieć...”

Rozpostarła ramiona i poddała się badaniom fotinowych ptaków.

Stworzyli nieregularną kolumnę – Strugacz Strzał na przedzie, potem Uvarov, za nimi Jutrzejszy Dzień i Prządka Powrozów, która od czasu do czasu pomagała Uvarowowi utrzymać kierunek.

Jutrzejszy Dzień wyszedł poza wąską płytę pochylni i ruszył łagodnym spadkiem ku stosunkowo jasnemu i ciepłemu pokładowi numer dwa.

– Posłuchajcie – zachrypiał Garry Uvarov. – Jesteśmy u szczytu kopuły mieszkalnej. Musimy dostać się na spód. To jakieś półtora kilometra w linii prostej. Następnie musimy znaleźć kapsułę i pokonać połowę kręgosłupa *Północnej* w stronę modułu napędowego. Tam znajdziemy interfejs

tunelu czasoprzestrzennego. Rozumiecie?

Jutrzejszy Dzień rozumiał niewiele. Starał się skupić na tym, co było dla niego jasne.

– Co masz na myśli, mówiąc „spód kopuły”? Czwarty pokład?

Uvarov parsknął ochrypłym śmiechem.

– Nie. Chodzi mi o rampę przeładunkową. To, co jest poniżej piętnastego pokładu.

Jutrzejszego Dnia ścisnęło w dołku. „Jestem za stary na takie eskapady” – pomyślał.

– Ale, Uvarov, poniżej czwartego pokładu nie da się żyć...

– Człowieku, nie rób z siebie kompletnego idioty.

– ...to znaczy, nikt z nas tego nie próbował. Nawet czwarty pokład służy tylko za kopalnię. –

Próbował wyobrazić sobie schodzenie poniżej tej ponurej piwnicznej otchłani, w której przepracował tak wiele zmian. I tam, w dole, może brakować powietrza. A z pewnością jest ciemno. I...

Coś przeleciało z gwizdem koło jego ucha i z brzękiem uderzyło w metalową bandę za jego plecami.

Strugacz Strzał natychmiast stanął, odruchowo sięgając po łuk. Przędka Powrozów zatrzymała gwałtownie wózek Uvarova i stary lekarz rozejrzał się niewidzącymi oczami.

– Co to było? warknął.

Jutrzejszy Dzień cofnął się kilka kroków i obejrzał powierzchnię pochylni. Niebawem dojrzał błysk metalu. Pochylił się i uniósł niewielki przedmiot.

Był to hak wspinaczkowy – proste urządzenie, które sam wyrabiał setkami egzemplarzy w warsztatach na pokładzie czwartym, na wymianę z leśnym ludem. Być może Strugacz Strzał i Przędka Powrozów mieli teraz przy sobie identyczne haki.

Ale ten chyba dodatkowo zaostrzono, czubek połyskiwał złowieszczo...

W powietrzu rozległ się kolejny gwizd.

Przędka Powrozów krzyknęła. Zaciskając dłoń na lewym ramieniu, zgięła się i powoli upadła.

Strugacz Strzał pochylił się nad nią.

– Przędko? Przędko...?!

Trzymała sztywno ramię przy ciele. Krew sączyła się spomiędzy zaciśniętych palców.

Ojciec oderwał dłoń córki od rany. Krew ciekła z czystej kłutej rany, z której wystawało metalowe oczko. Przędka Powrozów nie okazywała bólu ani strachu, jedynie coś w rodzaju tępego zaskoczenia.

Strugacz Strzał bez wahania złapał za oczko, rozłożył palce na ciele córki i szarpnął.

Pocisk wyszedł gładko. Przędka Powrozów zamruczała coś i pobladła pod ostrą farbą.

Strugacz Strzał uniósł zakrwawiony przedmiot. Był to kolejny hak.

– Ktoś do nas strzela – stwierdził spokojnie.

– Strzela? – Uvarov skierował ślepe oczy na Jutrzejszy Dzień. – Co to, gryziپیórku? Czyżby teraz Superet zbroiła was wszystkich? Jutrzejszy Dzień cofnął się kilka kroków w głąb drugiego pokładu i spojrzał w dół.

W ich stronę wspinało się czworo ludzi: dwaj mężczyźni i dwie kobiety, wszyscy w szarych zwyczajnych kombinezonach roboczych. Wyglądali na wystraszonych, nawet przerażonych, ale poruszali się w stałym, miarowym rytmie. Na piersiach nieśli jakieś ostre urządzenia. Zmrużył oczy i dojrzał, że są to wygięte sztaby błyszczącego metalu, o końcach połączonych kawałkami lin.

– Nie do wiary – szepnął. – Kusze. Oni mają kusze!

Broń najwyraźniej wykonano z paneli osłaniających wewnątrz statku. Na pewno skonstruowano ją w warsztatach czwartego pokładu – być może tuż obok miejsca, w którym Jutrzejszy Dzień dziesiątki lat wyrabiał metalowe ósemki, zapadki, oprawki okularów i sztucce dla leśnych ludzi, których nigdy nie spodziewał się spotkać.

Jedna z kobiet zaczęła przygotowywać broń do strzału; napięła łączysko, kręcąc korbką. Wyjęła hak z kieszeni kombinezonu i włożyła do bruzdy. Uniosła kuszę i złożyła się do strzału.

Jutrzejszy wpatrywał się zafascynowany. Wydawało mu się, że rozpoznaje kobietę. „Czy ona nie pracuje w wytwórni wody w drugim segmencie?” – myślał.

Coś ciężkiego zbiło go z nóg. Runął na twardą, karbowany powierzchnie, uderzając ze zdumiewającą siłą policzkiem.

Nad jego głową rozległ się kolejny gwizd; znów usłyszał brzęk zaostzonego haka uderzającego o metal.

Strugacz Strzał przyciskał go do podłogi.

– Lepiej obudź się, do cholery, jeśli chcesz żyć – zasyczał. – Ruszaj się. Wracamy. Prządko, pomóż Uvarovowi.

Zakrwawiona Prządka Powrozów przepelzła za wózek i zaczęła ciągnąć go poza pochylnię.

Jutrzejszy Dzień usiadł ostrożnie. Czuł rwanie w policzku, lewy bok – na którym wylądował – dawał mu się we znaki. Podłoga była zdumiewająco twarda. Ból eksplodował w feerii iskier. Jutrzejszy Dzień powoli sobie uświadomił, że się nie bił ani nie uczestniczył w żadnym wypadku od czasów młodości. Strugacz Strzał złapał go za kołnierz i wywlókł na plecach w bezpieczne miejsce.

– Nie podnoś się, do cholery. Patrz na mnie. Rób to, co ja.

Jutrzejszy Dzień z wysiłkiem odwrócił się na brzuch; karby pochylni wbiły się boleśnie w otłuszczone biodra.

Skulony leśny człowiek błyskawicznie pokonywał przestrzeń. Był mały, zręczny, zdecydowany; pracował nagimi kończynami jak pająk. Prządka Powrozów wyciągnęła już Uvarova poza obszar rażenia, w mrok pierwszego pokładu.

Jutrzejszy Dzień próbował naśladować Strugacza Strzał, ale zahaczał ubraniem o sterczące elementy pochylni, a jej chropowata nawierzchnia raniła mu wnętrza dłoni.

Kolejny pocisk zaświstał w górze.

Jutrzejszy Dzień zaczął się czołgać, nie zwracając uwagi na ostry ból kolan przesuwających się po nierównej powierzchni, aż dojrzał do końca pochylni.

Strugacz Strzał oderwał kawałek derki Uvarova i szybko owinał ramię córki.

– Zbliżają się – powiedział. – Będą tu za niecałą minutę. Któreś, Jutrzejszy Dniu?

Zapytany przewrócił się na plecy i usiadł z rozrzuconymi nogami. Nie mógł uwierzyć w wydarzenia ostatniej minuty.

– Mają broń! – wysapał. Jak udało im się ją tak szybko zdobyć? I...

Z mroku dobiegł szczekliwy śmiech Uvarova. – Naprawdę jesteś taki naiwny?

Strugacz Strzał zakończył prowizoryczny opatrunek.

– Jutrzejszy Dniu! Któreś pójdziemy?

– Szybami wind – zaskrzeczał Uvarov. – Oni przypilnują wszystkich pochylni. Windy to nasza jedyna szansa. I szyby dochodzą aż do podstawy kopuły...

– Ale windy nie działają – stwierdził Jutrzejszy Dzień, marszcząc brwi. Zlikwidowano je przed wiekami, po tym jak opuszczono dolne pokłady.

Uvarov skrzywił się.

– W takim razie musimy obejść się bez nich, prawda?

Jutrzejszy Dzień słyszał odgłos powolnych, ostrożnych kroków czwórki napastników.

Pokłady nie były wielkim światem, a on sam przeżył już niemało lat. Musiał znać tych ludzi.

A teraz przybywali go zabić. Gdyby ktoś inny miał to nieszczęście i plątał się po pierwszym pokładzie, kiedy Strugacz Strzał i Prządka Powrozów wystawili głowy z włazu, wtedy może on, Jutrzejszy Dzień, byłby w grupie pościgowej z kuszami i hakami...

Zakrył go cień. Podniósł wzrok i spojrzał w oczy kobiecie pracującej na stacji wytwórni wody w drugim segmencie. Celowała do niego z kuszy.

Coś świsnęło w powietrzu.

Kobieta uniosła dłoń i z głuchym plaśnięciem klepnęła się w policzek, jakby chciała zabić komara. Upadła na wznak i stoczyła się pochylnią. Kusza wypadła ze zwiotczącej dłoni i zagrzechotała na pokładzie.

Pozostała trójka napastników wycofała się niezdarnie, ale pospiesznie.

Prządce Powrozów drżały usta, kiedy opuszczała dmuchawkę.

– Nie przejmuj się, Prządko – powiedział szybko Strugacz. – Zrobiłaś, co należało.

– Jutrzejszy Dniu, wskaż im drogę – rozkazał Uvarov.

Ten dźwignął się na nogi i powlókł się dalej.

Widzialna część szybu windy była metalowym cylindrem szerokości dziewięciu i wysokości dziewięćdziesięciu metrów.

Prządka Powrozów oparła się o niego. Krew sączyła się przez ciemny opatrunek. Dziewczyna była zmęczona, wystraszona, spokorniała. „To naprawdę jeszcze dziecko” – pomyślał Jutrzejszy Dzień.

Przemówiła jednak buntowniczym tonem:

– Wy, ludzie podziemia, nie przywykliście do walki, co? Może tamtych czworo nie spodziewało się oporu? Więc będą się bali. Będą uważali. Zwolnią...

– Ale nie zawrócą – mruknął Strugacz Strzał. Przesuwał dłonią po powierzchni ogromnego cylindra, obstukując niewielkie wgłębienia. – Więc nie mamy dużo czasu... Jutrzejszy, jak wejdziemy... Ach.

Ruchomy panel zareagował na przypadkowe dotknięcie Strugacza Strzał i przesunął się w bok. To były wysokie drzwi, zaokrąglone na krawędziach.

W środku panowała kompletna ciemność.

Strugacz Strzał wsadził głowę do wnętrza i rozejrzał się w górę i w dół.

– Są szczelne. Jak w drabinie. Dobrze, będzie się łatwo szło. I...

– Co z Uvarovem? – spytała Prządka Powrozów, dotykając ramienia ojca.

Ten odwrócił się i zaaferowany popatrzył na starego lekarza. Jutrzejszy Dzień spoglądał z niepokojem w ziejącą otchłań.

– Nie zdołamy znieść wózka, nie po tych szczelkach...

– To znieście mnie samego. – Zniszczoną, pomarszczoną twarz Uvarova ukrywał głęboki cień. – Do cholery z wózkiem. Dajcie sobie z nim spokój. Znieście mnie.

Jutrzejszy Dzień usłyszał tupot kroków, odbijający się echem od nagich ścian pierwszego pokładu.

– Nie ma czasu – powiedział Strugaczowi Strzał. – Musimy go zostawić. Nie zdołamy...

Strugacz Strzał zerknął na niego. Jaskrawa farba nie maskowała napięcia i lęku. Odwrócił się do córki.

– Prządko, pomóż mi. Zdejmij te derki.

Dziewczyna łagodnie zsunęła czarne okrycie. Ciało Uvarova było zniszczone, kościste. Oblekała je srebrna szata, przez którą wyraźnie przebijały żebra i miednica. Pod tuniką widoczne były również jakieś obłóści: być może woreczki kolostolomijne i podobne urządzenia medyczne. Chociaż Uvarov z pewnością dorównywał wzrostem Jutrzejszemu Dniowi, ważył tyle co dziecko. Jedna jego ręka spoczywała na podołku, podrygując co jakiś czas, druga oplatała prosty dżojstik, zapewne sterujący wózkiem.

Strugacz Strzał delikatnie oderwał dłoń Uvarova od dżojstika; pozostała skurczona jak szpon. Następnie leśny człowiek pochylił się, przycisnął twarz do piersi starca, uniósł go płynnym ruchem i przerzucił przez ramię. Kiedy się wyprostował, kaptcie Uvarova niemal dotykały podłogi, chociaż ugiął nogi w kolanach.

Uvarov znosił to wszystko pokornie, bez komentarzy i narzekań; Jutrzejszy Dzień miał wrażenie, że Strugacz Strzał nie raz zajmował się starcem – być może służył mu jako pielęgniarz.

Przyglądając się silnemu człowieczkowi, prawie niewidocznemu pod swoim ładunkiem, Jutrzejszy Dzień poczuł ukłucie wstydu.

Prządka Powrozów sięgnęła po derkę Uvarova i przerzuciła ją przez ramię.

– Chodźmy – powiedziała z niepokojem.

– Prowadź – rozkazał Strugacz Strzał.

Dziewczyna oparła się dłońmi na ościeżnicy i zgrabnie wskoczyła do środka. Odwróciła się, złapała szczebel i znikła z pola widzenia mężczyzn.

– Teraz ty, Jutrzejszy – syknął Strugacz Strzał. Jutrzejszy Dzień oparł spocone ręce na ościeżnicy. Do cholery, był pięćset lat starszy od Prządki. A nawet kiedy miał piętnaście lat, nigdy nie był szczupły...

– Ruszaj się!

Uniósł nogę i przerzucił ją przez wysoki próg. Poczuł, że twardy metal wbił mu się w krocze. Spróbował przerzucić drugą nogę – i mało się nie pośliznął. Złał go zimny pot i rozpaczliwie złapał się krawędzi szybu.

Ponownie spróbował wejść do środka i tym razem udało mu się wsunąć obie nogi. Siedział tak przez chwilę, stopy zwisały mu nad przepaścią, którą przysłaniała ciemność.

Jeśli ten szyb sięgał samego dna kopuły mieszkalnej, Jutrzejszy Dzień miał pod sobą półtorakilometrową pustkę.

Przez krótką chwilę zastanawiał się, czy aby nie wydostać się na zewnątrz. Ale czy naprawdę było go stać na taki wyczyn? Może się poddać... Ale, co dziwne, powstrzymał go wstyd przed Strugaczem Strzał i Prządką Powrozów.

Ostrożnie zaczął macać stopą. Odległość do pierwszego szczebla wydawała się bardzo długa, ale w końcu go znalazł. Był płaski, solidny i budził zaufanie. Jutrzejszy Dzień stanął na nim obiema nogami i wyprostował się. Następnie, nadal trzęsąc się przy każdym najdrobniejszym ruchu, odwrócił się.

Zgiął nogi w kolanach i usiłował dosięgnąć kolejnego szczebla. Był niecałe pół metra niżej. Pokonawszy kilka szczebli, złapał rytm; ręce i nogi trafiały bez kłopotu, schodzenie stawało się

łatwiejsze... Dopóki nie uświadomił sobie, że opuszcza się w ciemność!

Nie widział ni cholery, nawet metalowej powierzchni, którą miał przed twarzą, ani rąk na szczeblach.

Zamarł i spojrzął w górę, rozpaczliwie szukając choćby resztek światła pierwszego pokładu. Natychmiast poczuł na kurczowo zaciśniętych rękach ciepłe, nagie stopy, a na ramionach i głowie cały ciężar Strugacza Strzał. Coś trąciło go w plecy – zapewne dyndające stopy Uvarova.

– Co się dzieje? – spytała z dołu Prządka Powrozów. – Na Letę! Co ty wyrabiasz? – syknął Strugacz Strzał.

– Przepraszam. Jest ciemno i...

– Jutrzejszy Dniu, twoi przyjaciele lada moment dotrą do tego szybu...

Kawałek metalu zadzwonił o ściany i poleciał w dół, budząc głębokie echa.

Głos Uvarova rozległ się w okolicach uda Strugacza.

– Poprawka – oznajmił sucho. – Już dotarli.

Ogarnięty paniką Jutrzejszy Dzień pospieszył w dół.

Lieserl rozpostarła ręce, zamknęła oczy i unosiła się w rozjaśnionym koktajlu wodorowo-helowym. Czowała, jak wyprodukowane podczas reakcji termojądrowych fotony powoli tańczą wokół niej. Za nimi, okrążając jądro Słońca po ciasnych orbitach, podążały długie, soczewkowate postacie fotinowych ptaków. Unosiła się bezwolnie na chmurze ptaków jak na miękkim posłaniu, zapadając w duszące serce Słońca, jakby we śnie.

Wreszcie dotarła do środka Słońca, gdzie ustała produkcja fotonów.

Mieli rację, ona i Scholes, od dawna. Jądro wygasło.

Stada fotinowych ptaków wyssały do cna energię wyzwalaną podczas procesów termojądrowych. Dawno temu – zapewne przed urodzeniem Lieserl – temperatura jądra spadła tak bardzo, że synteza wodoru w hel ustała, zamarła.

Teraz Słońce weszło w fazę megalicznych udręk konania, chociaż jego serce przestało już bić. Mimo powolnej, stałej migracji ostatnich fotonów, tu, w sercu Słońca panowało tak niskie ciśnienie radiacyjne, że nie mogło przeciwdziałać kolapsowi grawitacyjnemu. Tak więc wygasłe jądro ścieśniało się, szukając nowego punktu równowagi, a jego temperatura rosła w miarę kompresji masy.

Lieserl wiedziała, że w sercu każdej gwiazdy wielkości Słońca te procesy muszą się kiedyś zacząć – nawet bez interwencji takiego czynnika jak fotinowe ptaki. Po wyczerpaniu się wodoru reakcje termojądrowe ustają i rozpoczyna się ostateczne zapadanie się przesączonego helem jądra.

Różnica polegała na tym, że w jądrze Słońca nadal było pod dostatkiem wodoru i procesy termojądrowe ustały nie z braku paliwa, lecz w wyniku wysysania energii przez nieznużone stada fotinowych ptaków.

I, oczywiście, Słońce powinno cieszyć się dziesięcioma miliardami lat życia gwiazdy głównego ciągu, zanim osiągnęłoby ten opłakany stan. Ptaki fotinowe skróciły miliardy do marnych milionów.

Cały czas słyszał własny ciężki oddech, delikatne uderzenia dłoni i stóp o metalowe szczeble, a z dalszej odległości echa subtelniejszych hałasów, odgłosy schodzenia leśnych ludzi. Gęste, nieruchome powietrze przenikał smród metalu.

W ciemności Jutrzejszy Dzień nie mógł ocenić upływu czasu, wyznaczał go tylko rosnący ból

w mięśniach. Ale ku swemu zdziwieniu powoli odzyskał wzrok, oswoił się z mrokiem. Prawdę mówiąc, było tam całkiem sporo światła; u góry pozostały otwarte drzwi, a przez cienkie szpary w ścianach przenikały szarosrebrne groty blasku. Dostrzegał niewyraźne, zniekształcone przez perspektywę postaci Strugacza Strzał i Prządki Powrozów, pomiędzy którymi się znajdował. Schodzili zwinnie, z gracją, jak zwierzęta, na tle beużytecznych, zwisających lin.

Kiedy się tak trudził, miał wrażenie, że jego mięśnie pracują coraz sprawniej. Ze zdumieniem poczuł, że schodzenie sprawia mu przyjemność...

– Stać. – Echo złagodziło głos Prządki Powrozów. Zastygł, przywierając do szczelbi, i szeptem ostrzegł Strugacza Strzał.

– O co chodzi? – zapytał tamten.

– Mamy kłopoty – odrzekła cicho Prządka Powrozów.

– Nie – zaoponował Strugacz Strzał. – Schodzimy szybciej niż te bandziory z kuszami. Nie poszli za nami. Muszą nas gonić pochylniami; my idziemy prosto w dół.

Prządka Powrozów westchnęła.

– Niech to szlag trafi, Strugaczu, żebyś choć raz posłuchał tego, co ci mówię. Spójrz w dół! Widzisz?

Strugacz Strzał wyprostował ręce, odchylił się i zerknął w dół. – Och! – wykrzyknął cicho.

Jutrzejszy Dzień wykręcił głowę, chcąc się przyjrzeć.

Trochę niżej nieregularna krata przecinała szyb. Poczuł nagły przypływ nadziei. Czyżby koniec schodzenia?

– To podstawa szybu?

Zęby Prządki Powrozów błysnęły w mroku, kiedy uśmiechnęła się w górę, do ojca.

– Nie, nie całkiem.

– Prządko, ile według ciebie zeszliśmy? – spytał Strugacz Strzał. – Pięćset metrów? Mniej więcej jedną trzecią drogi do podstawy kopuły mieszkalnej, jeśli Uvarov nie pomylił się w ocenie wielkości statku.

Pięćset metrów... Jutrzejszy Dzień zdał sobie sprawę, że zaledwie minęli czwarty pokład. Za łuszczącymi się ścianami szybu były warsztaty, do których człapał zmiana po zmianie. I do których już nie poczłapie, od kiedy stał się ściganym przestępcą.

Przestał odczuwać przyjemność, w ramiona i nogi wkradły się znużenie i drgawki. Zostało im do pokonania jeszcze około dwie trzecie drogi...

– Rozumiesz, czemu są tak rozbawieni, Jutrzejszy Dniu? – spytał wyraźnie lodowatym tonem Uvarov, mimo tego że twarz miał wciśniętą w plecy Strugacza Strzał. Szyb został zablokowany.

– Strugaczu – szepnęła Prządka. Tam ktoś jest.

Strugacz Strzał zahaczył ramię o szczelbel i uważnie spojrział w dół.

Kratę wykonano byle jak, z pospawanych na chybcika prętów i płyt. Jakiś cień przesuwiał się po niej ostrożnie; błysnęło laserowe światło, trysnął snop iskier.

„Prządka Powrozów ma rację, tam ktoś jest, pracuje na naszych oczach – pomyślał Jutrzejszy Dzień. – Celowo blokuje szyb, żeby nas zatrzymać”.

Ile razy sam używał podobnych narzędzi? Tysiące? Przecież równie dobrze to on mógł być na dole.

Nagle poczuł, że chyba wie, kto tam pracuje.

Wychylił się jeszcze bardziej i mrużąc oczy, usiłował rozpoznać przysadzistą postać. Widział



tunikę bez rękawów, potężne ramiona i tors, dziwne zniekształcone nogi...

– Ciągłość Celu. Ciągłość Celu...!

Na dźwięk głosu Jutrzejszego Dnia, spływającego z pomroki nad głową, Ciągłość Celu wzdygnęła się. Upuściła laserowy palnik, który natychmiast wygasł, i wycofała się rakiem na brzeg spawanej platformy. Jutrzejszy Dzień dostrzegł, że ranne ramię trzymała sztywno odchylone.

Raz-dwa zsunął się w dół, odpychając po drodze Prządkę Powrozów. Dotarł do platformy i zeskoczył na nią.

– Ciągłość Celu – szepnął. – To ja. Jutrzejszy Dzień.

Powstała ze znużeniem. Zsunęła okulary spawacza na czoło, okulary zostawiły brudne obwódki. Była cała spocona.

– Co, na Letę...

– Nic się nie stało. Nie musisz się bać.

– Jutrzejszy. Co się dzieje?

– Musisz nas przepuścić.

– Nas? – Spojrzała nerwowo w ciemność.

– Są ze mną leśni ludzie. Pamiętasz?

– Oczywiście, że pamiętam, do cholery. – Odruchowo potarła sztywne ramię i cofnęła się ku ścianie szybu. – Ta mała przestępczyni strzeliła do mnie!

– Tak, ale... no cóż, bała się. Posłuchaj... musisz nas przepuścić. W dół.

Ciągłość Celu popatrzyła na niego z wyraźnym oszołomieniem i podejrzliwością.

– Czemu? Co wy robicie?

– Nie wiesz? – Jutrzejszy Dzień zdał sobie sprawę, że Ciągłość Celu faktycznie może nie wiedzieć... Zapewne planiści zlecili jej zablokować szyby wind i nic więcej nie powiedzieli. Wszystko po to, aby złapać w pułapkę jego i leśnych ludzi. „Miałem po prostu szczęście, że trafiłem na nią...” pomyślał.

– Nie jestem głupia, Jutrzejszy Dniu – powiedziała. – Może dokładnie nie wiem, co się dzieje. Ale planiści najwyraźniej chcą złapać w pułapkę leśnych ludzi. I wcale mnie to nie dziwi. To mordercy. I jeśli ty im pomagasz...

– Słuchaj. To planiści są mordercami. A przynajmniej zamierzają nas nimi uczynić. – Jutrzejszy Dzień opowiedział o kuszach i naostrzonych hakach, przerażającej broni stworzonej z banalnych przedmiotów.

Kiedy tak mówił, jego umysł dokonywał niezwykłych, błyskawicznych przeskoków. Przypomniawsobie, jak Uvarov szydził z jego naiwności. Czy to naprawdę możliwe, że Superet wyprodukowała tak szybko tę broń, reagując na zjawienie się leśnych ludzi?

Nie, zdecydował. Nie było na to czasu. Superet na pewno przechowywała oręż w magazynach.

Ale Ciągłość Celu pokręciła przecząco głową.

– Nie wierzę ci.

– Uwierz – rzekł ostro Jutrzejszy Dzień. – Prządka... drzewna dziewczyna... została postrzelona w ramię. Hakiem wspinaczkowym, na miłość Lety. Chcesz zobaczyć jej ranę?

Ciągłość Celu zawahała się.

– N-nie.

– Ciągłość Celu, jeśli nas przepuścisz, nikt nas nie złapie. Planiści z pewnością nie będą nas ścigali poniżej czwartego pokładu. Tu jest ostatni poziom, na którym mogą nas zatrzymać... Ale gdy

zablokujesz przejście, sama nas zabijesz, jakbyś trzymała kuszę...

Jutrzejszy Dzień starał się uspokoić oddech, aby Ciągłość Celu nie wyczuła, że boi się coraz bardziej.

– ...Niech będzie. – Nagle usunęła się na bok. – Szybko Nie powiem, że was widziałam.

Jutrzejszy Dzień wyciągnął rękę, ale opuścił ją bezwładnie.

– Dziękuję ci.

Ciągłość Celu zmarszczyła brwi.

– Już idź, człowieku. – Pochyliła się i silnym, zdrowym ramieniem zaczęła odrywać częściowo przyspawaną płytę, robiąc wąską dziurę.

Po chwili wahania leśni ludzie pospiesznie zeszli w dół i lekko zeskoczyli na platformę. Ciągłość Celu przesywała wzrokiem Prządkę Powrozów, a ta nie spuszczała z niej oczu, w zamyśleniu gładząc dmuchawkę.

– Ruszaj! – rozkazał Jutrzejszy Dzień. – Przez dziurę.

Leśni ludzie pokonali platformę, szybko przebierając bosymi stopami, i Prządka Powrozów zaczęła przepychać się przez dziurę.

Ciągłość Celu zerknęła na Uvarova, nadal wiszącego na ramieniu Strugacza Strzał.

– Czy on nie żyje?

– Kto? Stary? Nie, jeszcze się trzyma, ale pewnie jest cholernie bliski śmierci... Jeśli wrócę, wytłumaczę ci.

– Ale przecież ty nie wrócisz, prawda? – Tępa twarz Ciągłości Celu wyrażała całkowitą powagę.

– ...Nie. Chyba nie.

Ciągłość Celu wycofała się, unosząc rękę.

– Zwariowałeś. Może jednak powinnam cię zatrzymać.

Strugacz Strzał z Uvarovem byli już pod platformą i Jutrzejszy Dzień usiadł na krawędzi dziury.

– Życz mi powodzenia – powiedział.

Ale Ciągłość Celu już sobie poszła, wróciła do normalnego świata pokładów; do dawnego życia Jutrzejszego Dnia.

Przecisnął się przez dziurę.

Niebawem ramiona i nogi znów mu zeszywniały i zaczęły tak bardzo boleć, że musiał coraz dłużej odpoczywać. Podstawa szybu – rozświetlona kręgiem otwartych włazów – była odległą wysepką światła, które wspinało się ku niemu z nieskończoną, okrutną powolnością.

Dotarli głęboko poniżej najdalszego zamieszkanego poziomu. Za zimnymi ścianami była tylko ciemność, nieruchome cuchnące powietrze, porzucone ludzkie siedliska. Zimno zdawało się przenikać szyb; Jutrzejszy Dzień czuł się mały, wątpy, samotny.

Znaleźli występy, na których dało się odpocząć – wyprostować kości, a nawet krótko zdrzemnąć. Strugacz Strzał położył Uvarova na twardych metalowych płytach i pokazał Jutrzejszemu Dniowi, jak rozmasować mięśnie, żeby pozbyć się skurczy. Prządka Powrozów częstowała żywnością – suszonymi owocami i mięsem – z mieszka u pasa. Jutrzejszy Dzień próbował coś przełknąć, ale żołądek miał zawiązany w supeł.

Liczył mijane pokłady. Dziesiąty... jedenasty... dwunasty... Pokłady od czwartego wzwyż – jedyny znany mu świat – stawały się coraz odleglejszym pęcherzykiem blasku i ciepła.

A przecież, jeśli sam czuł się obcy i zagubiony, jak ciężko musiało być leśnym ludziom? On przynajmniej przywykł do metalowych ścian. Prządka Powrozów i jej ojciec wyrastali wśród drzew, zwierząt, ptaków. Pewnie zastanawiali się, czy kiedykolwiek ujrzą swój dom.

W końcu przyszedł czas, kiedy mógł policzyć ostatnią dwudziestkę szczebli, potem tuzin, a potem...

Zatoczył się kilka kroków w tył i położył na metalowej podłodze, rozkładając ręce i nogi. Tu, u podstawy szybu windy, było kilka oświetlonych włazów.

– Na wody Lety – powiedział. – Co za dzień. Nigdy nie myślałem, że będą szczęśliwy z tego prostego powodu, że mam pewne oparcie pod stopami.

Strugacz Strzał podniósł Uvarova z ramienia i łagodnie oparł go o ścianę szybu, jak lalkę. Dłoń Uvarova nadal wykonywała swój nie kończący się wahadłowy ruch; otwierał i zamykał usta, wydając ciche, obrzydliwe dźwięki.

– Jesteśmy na miejscu? Jesteśmy na dole? – spytał. Strugacz Strzał rozprostował wreszcie barki, wykonał krążenie ramion.

– Tak. Tak, jesteśmy... – Zbliżył się do jednego z włazów, ale był wyraźnie zdenerwowany.

Jutrzejszy Dzień wstał. Uświadomił sobie, że ci ludzie musieli czuć się niezwykle obco w tym otoczeniu; nadszedł czas, by przejąć dowodzenie. Wybrał na chybił trafił właz i zdecydowanym krokiem wszedł w jasne, równomierne światło.

Po mroku panującym w szybie jasność była oślepiająca, tym bardziej że panowała na każdym centymetrze kwadratowym wielkiej przestrzeni. Stał chwilę bez ruchu, przecierając załzawione oczy.

Znajdował się w pustej hali. Miała pewnie z półtora kilometra długości i trzysta metrów szerokości. Podbrzusze najniższego pokładu tworzyło sufit. Czas przyciemnił plątaninę rur i kabli. W hali zgromadzono jakieś słabo widoczne przedmioty, niewiadomego przeznaczenia – automaty przeładunkowe? Wisiały na pasach wbitych w ściany i poziomą grodź. Jutrzejszy Dzień skulił się; pustka ogromnej zamkniętej przestrzeni działała przytłaczająco. A poniżej...

Była przezroczysta podłoga. Pod stopami miał gwiazdy.

## Rozdział 12

Po długiej, przypominającej sen przerwie Lieserl zdała sobie sprawę, że coś jej dolega – czuła nie tyle ból, ile nieuchwytnie, wszechobecne cierpienie.

Westchnęła. Jeśli dolegliwość nie wiązała się z żadną częścią wirtualnego ciała, musiała być związana z autonomicznymi układami podtrzymującymi świadomość podstawowymi obwodami chłodzącymi, osadzonymi we wrotach tunelu czasoprzestrzennego, lub może zamkniętymi układami procesorów pamięci.

Niechętnie włączyła program diagnostyczny w systemach centralnych.

Niech to cholera weźmie...

Szybko stwierdziła, że faktycznie nastąpiła jakaś zmiana, lecz kłopot nie wiązał się z jej układami. Zmiana zaszła w środowisku zewnętrznym. Znacznie zwiększył się strumień materii słonecznej, fotonów, płynący do interfejsu tunelu. Układy chłodzące mogły sprostać większemu napływowi energii, ale w tym celu musiały się przestawić – i to właśnie automatyczne przestawienie zarejestrowała jako dolegliwość.

Zjawisko zaskoczyło ją. Skąd się wzięło? Przeprowadziła szybko pobieżną ocenę otoczenia. Resztką fotonów nadal kontynuowała milionletni przypadkowy spacer w kierunku fotosfery. Czy to możliwe, że ptaki, zabijając jądro słoneczne, w jakiś sposób wpłynęły na strumień fotonowy?

Rozejrzawszy się, rozpoznała charakterystykę przepływu. Wyraźnie kierował się ku orbitom fotonowych ptaków. Ta korelacja z pewnością nie była dziełem przypadku; ptaki wpływały na gęstość strumienia fotonów.

Dowiedziała się też, że wzmożony przepływ był dość dokładnie zlokalizowany. Występował zaledwie kilka kilometrów od jej własnej pozycji!

Pojęła z trudem, niemal z bólem, co się dzieje.

Upływ fotonów postępował!

Musiała pogodzić się z faktem, że fotonowe ptaki robiły to celowo. Wpływały na przypadkowo wędrujące fotony, tak że te cholerstwa ją zalewały.

Przez chwilę w jej sercu zagościł strach. Czyżby ptaki usiłowały zabić niepożądaną nieznajomą, która dostała się do stada, być może próbowały przeciążyć jej układ chłodzący?

Jeśli tak, niewiele mogła na to poradzić. Nie miała skąd wezwać pomocy, nie miała dokąd uciec. Przez długi czas wlokła się za ptakami krążącymi bez końca wokół jądra, monitorując przepływ fotonów i próbując opanować panikę, strach, poczucie, że znalazła się w pułapce.

Jednak strumień fotonów utrzymywał się w normie – rósł, lecz jej układy tolerowały go z łatwością. A ptaki nie okazywały wobec niej żadnych wrogich zamiarów; nadal wirowały wokół niej rozwiniętymi stadami lub też zbijały się za nią w wielkie formacje, uporządkowane stożki. Nie próbowały ukryć przed nią piskląt ani wewnętrznych, chyba kruchych kształtów.

Powoli zaczęła rozumieć sens wydarzeń.

Celowa zmiana przepływu fotonów nie była groźbą ani próbą zniszczenia. Być może ptaki

uważały, że jest ranna lub nawet umierająca. Z pewnością dostrzegły, że energia promienista znika we wrotach tunelu. Ptaki szły jej z pomocą! Próbowaly dostarczyć jej więcej tego, co według nich było niezbędne do przeżycia.

Oczywiście ich dar był bezużyteczny – a w istocie, biorąc pod uwagę fakt, że nadwyręzał jej układ chłodzący, wręcz szkodliwy. „Ale miło, że się starają” – pomyślała z gorzkim rozbawieniem.

Ptaki próbowały ją nakarmić.

Czując dziwne wzruszenie, ciepło przyjęła ten dar.

Proces umierania Słońca nabierał szybkości. Obserwowała to z uczuciem niepojętego mrocznego podniecenia.

Jądro, nadal prześladowane przez stada fotinowych ptaków, kurczyło się i stawało coraz gorętsze. W końcu wodór otaczający zrakowaciałe jądro osiągnął temperaturę dziesiątków milionów stopni. Warstwa podgrzanego wodoru na zewnątrz jądra wybuchła i zaczęła oddalać się od serca Słońca, wypalając sobie drogę. Początkowo Lieserl spodziewała się, że fotinowe ptaki będą próbowały ugasić nowe źródło energii, jak to robiły z wodorowym jądrem. Ale one śmigały przez warstwę, w której zachodziły procesy termojądrowe, ignorując rozżarzoną sferę. Helowe popioły opadały w martwe jądro, któremu z kolei przybywało masy i które zapadało się pod własnym ciężarem.

Ilość energii cieplnej emitowanej przez skorupę i zapadające się nieruchome jądro znacznie przekraczała ilość energii wysyłanej przez niegdyś termojądrowe serce Słońca.

Gwiazda nie mogła sobie poradzić z koniecznością tak intensywnego oddawania żaru. W zdumiewająco krótkim czasie była zmuszona się rozrosnąć – przekształciła się w olbrzyma.

Louise Ye Armonk stała na pokładzie dziobówki „Wielkiej Brytanii” i spoglądała w dół na południowy biegun Trytona.

„Brytania” żeglowała osiemset metrów nad cienką migotliwą czapą azotowego lodu. Z jedyne go komina statku unosił się niesamowity warkocz dymu. Lodowiec zaokrąglął się pod dziobem statku, nieskazitelny jak skorupka wielkiego jaja. Południowa hemisfera największego księżyca Neptuna właśnie wchodziła w okres czterdziestoletniego lata i lody cofały się; kiedy Louise zadzierała głowę, widziała cienkie, wysokie cirrusy oparów azotu, sunące wraz z wiatrem ku północy.

Przeszła się po pokładzie, mijając dzwon okrętowy i jego finezyjne mocowanie. Ogromne, zamglone cielsko Neptuna odbijało się w błyszczącej powierzchni i Louise przesunęła dłoń po chłodnym metalu, wprawiając dzwon w łagodne kołysanie. Zwielokrotniony, amorficzny wizerunek Neptuna ślizgał się z wdziękiem po zakrzywionej płaszczyźnie.

W tym miejscu kosmosu Słońce wyglądało jak jasna gwiazda, odległy punkt świetlny, a niebieskie światło Neptuna, niesamowicie przypominające Ziemię ogladaną z kosmosu, opływało kształty starego statku, stwarzając paradoksalne wrażenie, że jest jakimś eterycznym widmem. Paradoksalne, gdyż „Brytania” była obecnie jedynym autentycznym obiektem odbieranym przez ośrodek wrażeń zmysłowych Louise.

Kiedy statek zbliżał się do wyszczerbionej czapy lodowej Trytona, niemal dokładnie przed sunącą „Brytanią” trysnął gejzer. Ciemna materia ze spodnich warstw, poznaczona azotowym lodem, rozłożyła się pióropuszem szesnaście kilometrów nad równiną, a kiedy osiągnęła odpowiednią wysokość, na której hulały wiatry, pióropusz załamał się pod kątem prostym i pofrunął równolegle

do powierzchni Trytona. Louise podeszła do krawędzi dziobówki i znalazła wzrokiem mały krater na lodowej powierzchni księżycy, miejsce wybuchu gejzeru. Erupcję spowodowało działanie Słońca na pęcherze gazu sprasowane między cienkimi pokładami lodu. Ostre odłamki lodu rozłożyły się wokół miejsca wybuchu, a niektóre nadal koziółkowały w rzadkiej azotowej atmosferze, powoli wracając na powierzchnię pod wpływem płynnego oddziaływania grawitacji Trytona.

To była jedna z ulubionych wirtualnych dioram Louise, ale i jedna z najrzadziej przez nią wywoływanych. Komputery miały ogromne zdolności wytwórcze, ale nie nieskończone; celowo trzymała w rezerwie dioramę Neptuna, skąpiąc jej sobie przez stulecia, aby nie straciła swego uroku.

Nietrudno było zgadnąć, dlaczego właśnie ta wirtualna scena tak bardzo do niej przemawiała. Pejzaż odległego księżycy był niesłychany, obcy i pełen zaskakujących zmian, powodowanych energią odległego Słońca; a niebieski owal Neptuna, z koronkami azotowych chmur, wystarczająco przypominał Ziemię, by obudzić głęboko ukrytą nostalgię – równocześnie pozostając na tyle swoisty, że kojarzył się z Ziemią tylko podświadomie, dostatecznie niejasno, by nie wzbudzić ponurej tęsknoty. I...

Nagle zawirowały przed nią piksele, tysiące wirujących skupisk światła. Zaskoczona potknęła się i mało nie przewróciła; w ostatniej chwili złapała reling.

Piksele połączyły się bezszmerowo w wizerunek Marka Wu. Obraz był marny; wirtual unosił się kilka centymetrów nad pokładem i nie rzucał cienia, mimo bladego światła Neptuna.

– Na wody Lety, nie rób takich rzeczy! – wykrzyknęła Louise. – Wystraszyłeś mnie.

– Przepraszam – powiedział Mark. Nawet głos miał chrapliwy i zniekształcony. – To pilne. Musiałem ci przerwać. Ja...

– I projekcję masz do kitu. Co się z tobą dzieje? – Louise poczuła, że odzyskuje kontenans, „nakłada swoje analityczne okulary”, jak określał to Mark. Potrafiła spędzić większość wolnego dnia, zadając komputerowi pytania, analizując szczegóły wirtuala Marka. – Do cholery, nawet fruwasz nad pokładem. Nie byłabym zaskoczona, gdybyś zaraz zrobił się dwuwymiarowy. I...

– Louise. Mówiłem, że to pilne.

Powoli umilkła, przestała się pieklić.

Mark podszedł bliżej, jego twarz zyskała na ostrości, rozjaśniła się i zapożyczyła fioletowo-niebieskie barwy od Neptuna. Procesory Marka odpowiedzialne za obraz wyraźnie usiłowały jej pomóc. Jednakże reszta jego ciała była zaledwie trójwymiarowym szkicem – znak, że miały inne priorytety.

– Louise – rzekł Mark cichym, ale pełnym napięcia głosem. – Coś się dzieje. Coś się zmieniło,

– Zmieniło?

„Nic się nie zmieniło, nic ważnego od prawie tysiąca lat” – pomyślała.

Mark uśmiechnął się. – Przestań mi przerywać.

Przełknęła ślinę.

– Przepraszam. Coś mi się wydaje, że wcale ci się nie spieszy, żeby powiedzieć, o co chodzi.

– Wyłączę dioramę.

Ogarnięta paniką spojrzała na odległą tarczę Neptuna.

– Dlaczego?

– Coś się wydarzyło, Louise.

– Już to mówiłeś.

– Chodzi o kopułę mieszkalną. – Nie spuszczał z niej wzroku. Poczowała się śpiąca, nieważka,

niemal obojętna i zastanawiała się, czy nanoroboty pracujące w jej ciele nie podały jej jakiegoś lekkiego środka uspokajającego.

– Mów.

– Ktoś usiłuje otworzyć jedne z wrót u podstawy kopuły. – Mark przewiercał ją wzrokiem. – Czy rozumiesz mnie, Louise? Słyszysz, co mówię?

– Oczywiście, że słyszę – odrzekła ostro.

Po pięciu stuleciach odizolowania ktoś opuszczał kopułę. Próbowwała ogarnąć sens informacji Marka, wyobrazić sobie zdarzenie.

„Ktoś się zbliża” – pomyślała.

– Wyłącz projekcję – powiedziała ze znużeniem. – Jestem gotowa.

Neptun zapadł się nagle, jak pęknięty balon; Tryton rozsypał się na miliardy uciekających pikseli, a światło Słońca zgasło. Przez chwilę była tylko *Wielka Brytania* – nieustępliwa i nie pasująca do otoczenia namacalność starego statku Brunela w środku nieskończonej szarości, gigantycznego bezkształtu; Mark stał na zniszczonym pokładzie, jego aż nazbyt realna twarz spoglądała bez drgnienia powiek, napawając Louise otuchą.

Potem wszechświat powrócił.

Strugacz Strzał zlatywał ze świata.

Siedział w stateczku – „kapsule”, jak nazywał ją Uvarov – ułożywszy starannie na fotelu obok łuk i kołczan. Nagie stopy wystawały za krawędź gładkiego siedziska. Tuż przed sobą miał prosty pulpit sterowniczy.

Cylindryczne ściany kapsuły były niemal przezroczyste, ledwo widoczne. Była niczym! Tworzyła nie lepszą osłonę niż mgławicowy sen. Cztery fotele, Strugacz Strzał i jego niedorzeczny, niepotrzebny do niczego łuk wydawały się lecieć w dół pozbawione jakiegokolwiek oparcia.

Uvarov wskazał mu tę kapsułę. Strugacz prawie jej nie dostrzegł – dziwne przezroczyste pudło w dziwnym świetle. Uvarov kazał mu do niej wejść. Strugacz bezwiednie usłuchał. Przez podłogę widział zbliżające się wrota: prostokątny kształt osadzony w podstawie kopuły, ponury i nagi, obrzeżony rozjarzoną perłową linią. Dalej prześwitywały gwiazdy, ale teraz zdał sobie sprawę, że podstawa kopuły mieszkalnej nie jest idealnie przezroczysta. Odbijała trochę własnego rozproszonego światła, przez co stawała się autentyczną podłogą. Być może przez wieki zgromadził się na niej pokład kurzu, mącąc dziewiczą przejrzystość. Na zasadzie kontrastu w rosnących wrotach nie było nic – nic! – nawet gwiazd Uvarova. Rama wrót unosiła się ku niemu, gotowa połknąć go i ten śmieszny stateczek jak głodna paszcza.

Wrota były granicą pustki.

Miał skręt kiszek. Nie opuszczał go strach, nieustanny strach, grożący wyrwaniem się spod kontroli...

– Strugaczu? – cienki, zniekształcony głos Prządki Powrozów dolatywał nie wiadomo skąd. – Słyszysz mnie? U Ciebie wszystko w porządku?

Wrzasnął i złapał się krawędzi fotela. Gardło miał tak ściśnięte że nie mógł się odezwać. Zamknął oczy, uciekając przed tą wielką, niesamowitą nierzeczywistością, która go otaczała, i próbował wziąć się w karby. Podniósł rękę do bioder; dotknął powrozu z liany, którym „owinęła go córka tuż przed wyruszeniem, na dobrą wróżbę.

– Strugaczu? Strugaczu Strzał?

– ...Prządko – wyrzeźbił. – Słyszysz cię. U ciebie wszystko w porządku?

Roześmiała się i przez chwilę potrafił wyobrazić sobie jej okrągłą twarz, ironiczną minę, poprawianie okularów na krótkim nosie.

– To przecież nieważne, no nie? Rzecz w tym, czy u ciebie wszystko w porządku?

– Tak. – Ostrożnie otworzył powieki. Niewidzialne silniki tej bańki mydlanej szumiały prawie bezgłośnie. Za kopułą była wielka szara pustka, zbliżająca się z niesłychaną powolnością. – Tak, u mnie wszystko w porządku. Tylko mnie trochę wystraszyłaś.

– Nie dziwi mnie to. – Głos tamtego wysokiego, suchego człowieka z pokładów, Jutrzejszego Dnia, był jeszcze bardziej bezbarwny niż zwykle za sprawą zniekształceń na łączach. – Może powinniśmy dłużej oswajać cię z tym, co cię czeka.

– Czegoś chcesz? – spytała Prządko Powrozów.

– Tak. – Strugacz Strzał czuł się mały, kruchy, osamotniony jak dziecko w pojeździe dla dorosłych. Ze wszystkich stron otaczała go ostra woń pustki: plastiku, metalu i martwoty. Zatęsknił za gęstą wilgocią dżungli. – Chcę wrócić do lasu.

– Na miłość życia, przestań głądzić. – Głos Garry’ego Uvarova był jak brzęk kości o szkło. – Strugaczu Strzał, gdzie jesteś?

Strugacz zawahał się. Ogromne wrota kopuły mieszkalnej były o krok – tak blisko, że ich kąty i krawędzie uległy zniekształceniu; na wpół przezroczysta powierzchnia kopuły zamieniła się w odległy, poznaczony gwiazdami dywan wokół przeogromnej czeluści. Skulił się. Na oślep wyciągnął rękę po łuk i przycisnął go do piersi; malutki talizman normalności w tym obcym świecie. – Jestem zaledwie parę metrów od wyjścia. I...

Jarząca się ościeżnica otoczyła ze wszystkich stron kapsułę; Strugacz Strzał miał wrażenie, że zanurza się w jakimś bezdennym zbiorniku.

Kiedy zrozumiała, że ptaki usiłują ją nakarmić, spróbowała rozróżnić poszczególne osobniki w wielkim stadzie. Powiedziała sobie, że chce zbadać ptaki, dowiedzieć się więcej o ich cyklu życiowym sterowanym w rzeczywistości przez materię barionową, a może nawet przeniknąć ich odczucia, zrozumieć cele pojedynczych okazów i całej rasy.

Ale wyszło na jaw, że zaprzyjaźnienie się z fotinowymi ptakami – nawiązanie kontaktu z poszczególnymi osobnikami w jakimkolwiek konwencjonalnym znaczeniu – jest po prostu niemożliwe, Stwierdziła, iż są tak niezwykle do siebie podobne – ich prosty sposób rozmnażania się sprawiał, że były nieomal klonami rodziców – że zupełnie nie dało się ich od siebie odróżnić. Na dodatek, kołując ciasno wokół Słońca, mijały ją z wielką prędkością. Z pewnością nie mogła zidentyfikować ich na tyle dokładnie, aby prześledzić lot poszczególnych osobników.

Tak więc – chociaż otoczona przez ptaki i skąpana w ich dziwnej świetlistej hojności – pozostała doszczętnie samotna.

To budziło w niej głębokie rozczarowanie. W pierwszym odruchu usiłowała sobie wmówić, że reagując w ten sposób, daje świadectwo swojego ograniczenia, że robi z siebie sfrustrowanego naukowca.

Ale zdawała sobie sprawę, że chodzi o coś poważnego.

Co tu kryć. Tak naprawdę w głębi duszy marzyła, by fotinowe ptaki ją zaakceptowały jeśli nie jako jedną ze swoich, to jako obcego, ale tolerowanego osobnika.

Kiedy zbadała sytuację, początkowo czuła upokorzenie. Po raz pierwszy była zadowolona, że nikt



jej nie obserwuje, że żaden następca Kevana Scholesa nie siedzi przy linkach telemetrycznych i nie analizuje stanu jej umysłu. Czyżby naprawdę była tak żałosna, tak duchowo słaba, że potrzebowała każdej odrobiny przyjaźni – nawet ze strony stworzeń z ciemnej materii, które tak bardzo różniły się od niej, że przy dzielącej ich przepaści ludzie i qaxowie jawili się jako bliscy krewni.

Czyżby naprawdę była do tego stopnia samotna?

Dużo czasu minęło, nim zażenowanie i nienawiść do samej siebie rozplynęły się.

Zresztą indywidualne kontakty z ptakami nie miałyby znaczenia. Jako że były do siebie niezwykle podobne, zachowywały się identycznie i całkowicie przedkładały cele gatunkowe nad indywidualnymi. To stłumienie osobowości pod naporem celów gromady było nieporównywalne z zachowaniami ludzi – nawet w epoce asymilacji, kiedy przeciwstawienie się xeelee nabrało pierwszorzędного znaczenia dla całej ludzkości.

Obserwowała nie kończący się rozród, chmary nieporadnych piskląt przesuujących się bezładnie po eliptycznych orbitach wokół jądra Słońca w pościgu za rodzicami.

Klonowa reprodukcja zdawała się kształtować życie ptaków.

Początkowo uznała klonowanie za objaw zachowań restryktywnych – nawet klaustrofobicznych. Cele gatunkowe transponowane bezpośrednio młodym ze świadomości matek przekreślały wszelkie indywidualne ambicje. Uznała pisklęta za roboty zaprogramowane od urodzenia do spełnienia ambicji gatunku.

Ale przecież i ona została zaprogramowana przez swój gatunek – i podobnie każdy człowiek, który kiedykolwiek się urodził. Wszystko było tylko kwestią poziomu.

A zresztą, czy bycie fotinowym ptakiem to taka potworność?

Za programowaniem gatunkowym musiała iść bezmierna wiedza, mądrość. Najmłodsze fotinowe pisklę, uzyskując świadomość, miało tak szeroko rozwiniętą pamięć gatunkową i takie bogactwo popędów, że żaden człowiek nie potrafiłby ich ogarnąć.

Fillida głosiła szumnie, że Lieserl, obdarzona błyskawicznym i dokładnym dostępem do swych wspomnień i funkcji umysłu, będzie najbardziej świadomym człowiekiem w historii. Może kiedyś odpowiadało to prawdzie. Ale błyskotliwa Lieserl, nawet osiągnąwszy szczyt swoich możliwości, była umysłowym karzełkiem w porównaniu z najmarniejszym fotinowym ptakiem.

Myślała ponuro, że być może te ptaki są tylko częściami składowymi jakiegoś rozwiniętego umysłu grupowego – i że być może analizowanie świadomości pojedynczego osobnika jest równie bezwartościowe jak analiza pojedynczego procesora jej segmentu pamięci lub neuronu w mózgu zwykłego człowieka.

Być może.

Ale czymże były te „ograniczenia” wobec poczucia przynależności, w którym zapewne pławiły się ptaki.

Lieserl, wieczny autsajder, przyglądała się mijającym ją formacjom. Ogarniał ją zachwyty i jeszcze coś: zazdrość.

Wyruszyła z kurczącego się jądra Słońca przez rozprażoną termojądrową skorupę i wzbiła w otoczkę – rozdęty, gazowy płaszcz, w który zamieniło się czterdzieści procent Słońca-olbrzyma. Otoczkę stanowiła nieprzebyta chmura rzadkiego gazu – tak rzadkiego, że gdyby bardzo wyteżyła wzrok, zobaczyłaby przez kolejne warstwy gwiazdy (lub raczej to, co z nich zostało).

Słońce było czerwonym olbrzymem. Stało się kieszonkowym wszechświatem, z własną gwiazdą

– skorupą okołojądrową, w której zachodziły reakcje termojądrowe – jaśniejącą w środku wypełnionej gazem przestrzeni. Ale warstwy zewnętrzne, płaszcz, nabrzmiały do tego stopnia, że zupełnie zdominowały jądro. Więcej Słońce przybrało teraz budowę atomu. Zbite, rozjarzone jądro zajmowało tyle miejsca w stosunku do gazowego płaszcza, co jądro atomu w porównaniu z chmurą elektronów.

Fotiny ptaki skupiły się wokół skurczonego serca, spijając bez końca jego zapas energii. Lieserl znajdowała się na zewnątrz stada – chociaż niektórzy harcownicy nadal ją mijali w drodze do gromady. Ta aktywność wzbudziła w niej dystans i niepokój. Z jej perspektywy ptaki robiły wrażenie żarłocznych sępów albo drobnych, złośliwych pasożytów.

Nie mogąc znaleźć sobie miejsca, niespokojna Lieserl pokonywała rozległą, otoczkę. Mimo niewyobrażalnie wielkich rozmiarów otoczenia dostrzegła jego swoistą charakterystykę. Fotosfera czerwonego olbrzyma – jego rozległa, jaśniejąca powierzchnia – nie odbijała już promieniowania tak skutecznie jak poprzednio; jej temperatura spadła do tego stopnia, że elektrony łączyły się z jądrami, rozrzedzając warstwy powierzchniowe. Tak więc – mimo że temperatura powierzchni spadała – Słońce w sumie wypromieniowało więcej energii niż przed nabrzmieniem.

Wcześniej rozpoczęły się potężne cykle konwekcyjne potęgujące radiację – powstawały komórki konwekcyjne rozciągające się na przestrzeni milionów kilometrów i aktywne przez setki dni. W wyniku cykli konwekcyjnych energia z obszarów jądra była wypompowywana w przestrzeń kosmiczną i Lieserl widziała, że ten proces doprowadza do zmian w składzie Słońca. Obszary zewnętrzne ulegały zanieczyszczeniu takimi produktami syntezy jądrowej jak azot wydobywający się z okolic jądra.

Brzegi komórek konwekcyjnych działały jak masery, emitowały mikrofały. Lieserl była zdumiona ich intensywnością.

Podróżując przez rzadki gaz, czuła lekkie podmuchy, kołysanie interfejsu zbudowanego z materii egzotycznej.

Działała turbulencja. Proces konwekcyjny nie był idealnie efektywny i energia, próbująca się wydostać z wewnętrznych obszarów, podlegała rozpadowi w całym zastępie złożonych i rozległych komórek turbulentnych. Miało to wpływ na pole magnetyczne Słońca. Widziała, jak przepływ magnetyczny jest wypychany z wnętrza komórek, tworząc delikatne warstwy na ich powierzchniach – ale te warstwy okazywały się niestale i pękały niczym bańki mydlane, pozostawiając liny sił na łączeniach turbulentnych komórek. Lieserl płynęła przez sieć lin sił pola magnetycznego długości milionów kilometrów.

To niesłychane, ale gdyby tego zapragnęła, mogłaby wypuścić się w podróż o dystansie równym promieniowi orbity Ziemi, nie opuszczając przy tym Słońca. Lieserl wiedziała – czując dziwny, abstrakcyjny smutek – że wewnętrzne planety Układu Słonecznego, w tym Ziemia, są skazane na pochłonięcie przez stygnący, zabarwiony na czerwono płaszcz Słońca. Wspomniała swoje krótkie, złote dzieciństwo; rozmigotane plaże Morza Egejskiego, ostry, pobudzający zapach fal, drobiny piasku między dziecięcymi paluszkami. Być może ludzie gdzieś nadal rozkoszowali się takimi wrażeniami.

Ale Ziemia, jedyny znany jej świat, przepadła na zawsze.

## Rozdział 13

– Strugaczu Strzał, powiedz mi, co widzisz! Czy dostrzegasz gwiazdy?

Strugacz Strzał wyteńczył wzrok.

– Nie rozumiem.

Bezielesny głos Uvarova przybrał na ostrości; Strugacz Strzał wyobraził sobie, że starzec nieporadnie miota się pod derką.

– Czy widzisz Słońce? Już powinienes je widzieć. Strugaczu Strzał, czy widać Ziemię?! Czy...

– Nie.

– Strugaczu...

– Nie!

Leśny człowiek wykrzyczał ostatnie słowo i Uvarov dał mu spokój.

Rozjaśniona ościeżnica wrót przesunęła się nad głową Strugacza Strzał. Ciemność otoczyła kapsułę...

„Nie, nie tak” – pomyślał Strugacz Strzał.

Ciemność była Wszechświatem; a kapsuła w wyniku obrzydliwych, mechanicznych narodzin została wyrzucona w mrok.

Spód kopuły mieszkalnej wisiał nad nim jak jakieś brzuszysko ze szkła i metalu, oddalał się powoli, demonstrując swoją krzywiznę. A przez kadłub, niewyraźny, zamglony z racji właściwości materiału, z którego go zbudowano, prześwitywał rozjaśnionego wnętrza z rozlicznymi szczegółami: szybami wind, pulpitemi sterowniczymi, jak ten, przy którym Strugacz Strzał zostawił Prządkę Powrozów, Jutrzejszego Dnia i Uvarova. Mało tego, gdyby miał dość ostry wrok, zapewne dojrzałby podeszwy stóp córki.

Nagle zdał sobie sprawę ze swojego położenia. Znalazł się na zewnątrz kopuły, poza osłoną kadłuba – być może jako pierwszy człowiek od pół tysiąca lat i teraz wisiał w pustce, tworzącej większość zakazanego, martwego Wszechświata.

– Strugaczu Strzał! Mów do nas.

Roześmiał się ochryple.

– Wiszę w szklanej bańce, otoczony pustką. Widzę kopułę mieszkalną. Wygląda jak...

– Jak co? – W głosie Jutrzejszego Dnia była ciekawość.

– Jak prostopadłością światła. Niesłychanie... piękny. Ale bardzo kruchy...

– Och, dodajcie mi siłę, żebym wytrzymał to gładzenie – jęknął Uvarov. – Co jeszcze widzisz?!

Strugacz Strzał rozejrzał się na boki.

Po jego prawej stronie przesunął się ogromny pilaster z wyprofilowanego metalu. Był potężny, zupełnie jak pień przedziwnego sztucznego drzewa. Łączył się gładko z kopułą i pokrywały go metalowe narosty: żebra, kwiaty i kielichy.

Strugacz Strzał opisał widok.

– To kręgosłup – powiedział ze zniecierpliwieniem Uvarov. – Przesuwasz się równolegle do

kręgosłupa statku fazowego. Tak, tak, dokładnie jak ci powiedziałem. Widzisz interfejs? Tunel czasoprzestrzenny?

Strugacz Strzał pochylił się i spojrział w dół, poniżej foteli i wsporników, przez podłogę kapsuły. Kręgosłup biegł daleko w przód, a narosty o kształtach pasożytów wydłużały się dzięki perspektywie, aż sam kręgosłup przechodził w nieregularną linię. Uvarov mówił, że miał prawie pięć kilometrów długości.

Za kręgosłupem jarzyła się jasna plama, która zakrywała pół nieba. To źródło światła miało niebieskawy odcień i było lekko pofalowane; przypominało szeroki płatek kwiatu widziany od spodu, pozbrowany liniami silniejszego promieniowania jaśniejszej barwy. Na oczach Strugacza Strzał świetlne pole z wolna ewoluowało, bledsze linie falowały łagodnie, zbiegały się i rozdzielały, jak włosy na wietrze. Niebieski blask padający na naroślą kręgosłupa mienił się rozlicznymi odcieniami.

Strugacz Strzał patrzył na silnik statku fazowego; światło biło z pierwotnych źródeł energii – jak powiedział mu Uvarov – które cisnęły statek i jego ładunek w przestrzeń i czas tysiąc lat temu.

Tuż poniżej podstawy kręgosłupa odcinał się jakiś kształt, ciemna, nieregularna masa, zbyt daleka, aby Strugacz Strzał mógł ją rozpoznać; była to zacumowana lodowa asteroida, która nadal, po wielu latach, cierpliwie służyła jako paliwo wielkiemu statkowi. A...

– Uvarov. Interfejs! Widzę go.

W połowie długości błyszczącego kręgosłupa zobaczył czworościenny kształt, który jaśniał na krawędziach niebieskim światłem; był przymocowany do kręgosłupa złotymi obejmami.

– Dobrze. – W drżącym głosie Uvarova zabrzmiała ulga. – Dobrze! Słuchaj, Strugaczu, rozejrzyj się po niebie i opisz gwiazdy.

Spojrział w głąb kosmosu, poza statek. Kręgosłup i interfejs wisiały w ciemności.

Uvarov mówił z pośpiechem, niemal bełkotał:

– Ależ moglibyśmy określić naszą pozycję – i datę! – według konstelacji. Może uda mi się znaleźć stare mapy. Ci cholerni surwiwaliści musieli je gdzieś upchać na pokładach. I...

– Uvarov. – Strugacz Strzał próbował przemówić silnym głosem. – Posłuchaj, co mówię. Coś jest nie w porządku.

– Ależ skąd. Ja...

– Nie ma żadnych konstelacji. Nie ma żadnych gwiazd! – Poza statkiem rozciągała się tylko pustka; można by pomyśleć, że wielka jednostka z rozjarzonym napędem i pełną życia kopułą mieszkalną była jedynym obiektem we Wszechświecie...

Nie, nie całkiem tak. Rozejrzył się na boki, omiatając wzrokiem równik szarocznego nieba; coś tam chyba było – korona światła, zbyt słaba, aby dostrzec barwę.

Opisał zjawisko Uvarowowi.

– Poświata równikowa gwiazd. – Głos starca osłabł. – Ale to niemożliwe. Jeśli nadal ją widać, to wciąż musimy podróżować z prędkością relatywistyczną. To przecież niemożliwe. – Stare, zniszczone struny głosowe odmawiały mu posłuszeństwa. – Strugaczu, sam widziałeś gwiazdy.

– Nie. – Teraz Strugacz Strzał usiłował mówić łagodnym tonem. – Uvarov, ja widziałem tylko punkty świetlne na sztucznym nieboskłonie... Może to wcale nie były gwiazdy.

„Jeśli gwiazdy w ogóle kiedyś istniały” – dodał smętnie w myślach.

Wpatrywał się w potężny kręgosłup, ogarnięty nagłym zachwytem na widok ogromu i kunsztownych kształtów, które przesuwały się nad nim. Cieszył się, że nie było gwiazd. Jeśli we

Wszechświecie istniał tylko statek, to już dość. Strugacz Strzał mógł spędzić całe życie, badając światy mieszczące się w kopule mieszkalnej, i zawsze czekała na niego dżungla, do której mógł powrócić. A...

Światło wypełniło kapsułę, burza światła, wielokolorowych sześcianików i sfer, które zaroiły się, oszalamiając Strugacza Strzał swym bogactwem. A potem równie nagle jak się pojawiły, zbiegły się w jedno.

Obok Strugacza Strzał – w środku kapsuły! – siedział człowiek ubrany w szarosrebrną tunikę i spodnie. Ręce złożył wygodnie na podołku, a przez jego brzuch i uda Strugacz Strzał widział kołczan ze strzałami, który zostawił na drugim fotelu – widział kołczan przez ciało tego człowieka!!!

Tamten uśmiechnął się.

– Nazywam się Mark, Mark Bassett Friar Armonk Wu. Nie bój się.

Strugacz Strzał wrzasnął.

Lieserl płynęła z fotinowymi ptakami przez serce rozdętego Słońca. Wyglądało na to, że ptaki rozkoszują się nową postacią gwiazdy. Oscylacje plazmy sprawiały, że energia wypływała z jądra w parach neutrino-antyneutrinowych, a wokół kołowały ptaki, spijając wzmożone promieniowanie.

Materia w znieruchomiałym, zapadniętym jądrze stała się tak gęsta, że osiągnęła stan degeneracji i siły międzycząsteczkowe, rządzące zachowaniem gazów, załamały się. Kolaps grawitacyjny był równowazony ciśnieniem samych elektronów. Decydowała o tym tajemnicza zasada mechaniki kwantowej, zwana zakazem Pauliego, która twierdzi, że w atomie nie może być dwóch elektronów mających te same liczby kwantowe.

Lieserl zdała sobie sprawę, że ten nowy stan równowagi nie może trwać długo. Warstwa wodoru, w której zachodziły procesy termojądrowe, wypalała sobie drogę na zewnątrz, zasypując jądro popiołem helowym, tak że rosło i coraz bardziej się rozgrzewało,

Teraz, gdy wewnętrzne planety przepadły, Lieserl czuła się całkowicie samotna.

Nawet w epoce asymilacji widok biurokratów o kamiennych twarzach to już był jakiś kontakt. Okazało się, że możliwość dzielenia się wrażeniami miała dla niej niesłychaną wartość. Więcej, zastanawiała się, czy jakakolwiek istota ludzka odcięta długo od innych może pozostać przy zdrowych zmysłach.

„Z drugiej strony jednak nie jestem istotą ludzką” pomyślała ponuro.

Do Lety z tym! Zamknęła oczy i przeciągnęła się. Dokonała długiego, dokładnego przeglądu wirtualnego ciała. Przebierała palcami, rozkoszując się pracą ścięgien i napinaniem skóry, wyginała plecy i czuła prężące się mięśnie ud; obciągała i zadzierała stopy, jakby ćwiczyła w jakimś gwiazdnym balecie, skupiona na płynnej pracy łydek i palców u nóg.

Była tak ludzka, jak to tylko możliwe, i postanowiła się nie zmieniać – mimo że sami ludzie obeszlili się z nią nie za dobrze podczas jej krótkiego, ale wciąż pamiętanego, cielesnego życia. Czyż nie uznali jej za cudactwo, na zawsze porzucony eksperyment?

„Nic im nie jestem winna” – wmawiała sobie.

Może.

Ale z drugiej strony tkwiło w niej głębokie pragnienie podtrzymywania łączności i przekazywania wszystkiego, co zwróciło jej uwagę, co ją poruszyło; czuła, że musi komuś o tym opowiedzieć, ostrzec ludzkość.

Wiedziała jednak, że te pragnienia są irracjonalne. Od zamknięcia linku telemetrycznego i tak nie

mogła nawiązać łączności. I podczas gdy śniła w zagrożonym śmiertelnie sercu Słońca, w Układzie Słonecznym minęło pięć milionów lat. Według stanu jej wiedzy, ludzkość mogła już doszczętnie wyginąć. Komu w tej sytuacji miałyby złożyć raport?

...Niemniej „język” aż ją świerzbiał, żeby porozmawiać. Promieniowanie maserowe komórek konwekcyjnych nadal przelatywało nad nią, mocne i skupione.

Zaintrygowana przeszledziła szlak jednej z tych komórek, które wyskakiwały z serca Słońca z ładunkiem energii; próbowała znaleźć maserowe źródło.

Odkryła, że mikrofałe są emitowane przez śladowe ilości jednotlenku krzemu w płaszczu gazowym. W wyniku zderzeń cząsteczek gaz uzyskiwał energię, wprowadzając jednotlenki w stan pobudzenia, szybki ruch obrotowy.

Foton o właściwej częstotliwości, zderzając się ze wzbudzoną cząsteczką, wytrącał ją ze stanu nietrwałego. Molekuła traciła energię emitując drugi foton o tej samej częstotliwości. W rezultacie tam, gdzie poprzednio był jeden foton, robiły się dwa... I te dwa fotony pobudzały dwa dalsze atomy i w rezultacie powstawały cztery fotony... Rozpoczynała się narastająca w postępie geometrycznym reakcja lawinowa, koherentny strumień fotonów z wymuszonych cząsteczek jednotlenków krzemu, cały w tej samej fazie.

Lieserl wiedziała, że aby uzyskać znaczące promieniowanie maserowe, należy nadać naładowanym energetycznie cząsteczkom tor optyczny, co stworzy długą ścieżkę koherencji. Komórki konwekcyjne, odbywające ogromne podróże na powierzchnię i z powrotem, długości wielu milionów kilometrów, tworzyły takie właśnie szlaki. Kaskady promieniowania maserowego sunęły w górę i w dół długich komórek, wpływając do helowego jądra i wydostając się z niego.

Dostrzegła, że to promieniowanie było nawet poza Słońce. Konwencyjne fontanny przebijały powierzchnię gwiazdy; energia maserowa wydostawała się poza nabrzmiałe Słońce, rzucając cienkie promienie koherentnego światła, jak latarnia.

Z rosnącym podnieceniem uświadomiła sobie, że znaki maserów są bardzo, ale to bardzo wyraźne.

Pełna emocji krążyła po wielkich komórkach konwekcyjnych. Odkryła, że bez trudu można kształtować promieniowanie maserowe; zmieniała polaryzację, fazę i długość fal.

Zacząła od prostych sygnałów; sekwencji liczb pierwszych, najzwyklejszego dwójkowego zestawu symboli. Mogła to robić niemal w nieskończoność, dzięki temu że promieniowanie potrzebowało czasu na dotarcie do powierzchni, podczas gdy ona co kilka dni powracała do komórek konwekcyjnych i inicjowała kolejną sekwencję sygnałów. Mało tego, mogła prześledzić echa swoich sygnałów sunące w dół ścian komórek.

Czuła się coraz pewniej i zaczęła wysyłać informacje. Posługując się wszystkimi znanymi językami ludzkości i kodem dwójkowym, słała dwu- i trójwymiarowe obrazy, historię tego, co się jej przydarzyło w sercu Słońca – i co fotinowe ptaki czyniły gwiazdzie ludzkości.

Słońce weszło w swoją ostatnią, agonalną fazę, podczas gdy Lieserl gorączkowo pracowała przy maserach.

Louise siedziała w galerii rufowej „Wielkiej Brytanii” przed panelem kontrolnym. Mała kapsuła z kopuły mieszkalnej, kupka pikseli, sunęła pod schematycznie zarysowaną *Północną*.

Łącze radiowe przekazało krzyk.

– Och, na miłość Lety, Mark, opanuj się, przecież on zupełnie oszaleje ze strachu.

– Staram się, jak mogę. – Był urażony.

Louise poczuła się zbyt zmęczona, zbyt wyczerpana, aby sprostać nagłemu rozwojowi wydarzeń.

Czasem próbowała sobie przypomnieć, co znaczyło być młodą. A przynajmniej nie tak starą.

Oczywiście, gdyby Mark przeżył, wszystko mogłoby inaczej wyglądać; jego terapia desenektyzacyjna załamała się po kilku stuleciach, niedługo po tym, jak Louise przeniosła się z kopuły mieszkalnej na „Brytanię”. Może gdyby Mark żył, gdyby spędziła te wszystkie lata z kimś innym – nie sama – nie czułaby się teraz tak cholernie zastała.

Pocieszała się myślą, że bez względu na to, co się dzisiaj zdarzy, ogromna podróż *Północnej* dobiega końca. Jeszcze tylko kilkadziesiąt lat, takich jak te straszne okresy, podczas których opiekowała się interfejsem i pstrą zbieraniną mieszkańców kopuły – resztką skłóconych, mrowiących się mas – i będzie mogła wreszcie odpocząć. Może wtedy sama się rozsypie jak wyschnięta na wiór skorupa.

Sprawdziła trajektorię kapsuły.

– Hm, nie leci do „Brytanii” – zawiadomiła wirtual Marka. – Przesuwa się obok nas...

Z panelu kontrolnego rozległy się trzaski i słowa:

– Strugaczu Strzał! Strugaczu Strzał! Słuchaj mnie. Musisz dotrzeć do interfejsu. Nie mogą cię powstrzymać...

Louise poznała głos z odległej przeszłości. Był zniekształcony przez wiek, niemal karykaturalny, a pogłos stwarzał iluzję, jakby stulecia były pustymi pokojami.

Zlokalizowała źródło transmisji – pulpit u podstawy kopuły, okolice hangarów kapsuł – i otworzyła połączenie dwustronne.

– Uvarov? Garry Uvarov?

Głos nagle zamilkł,

– Uspokój się. – To odezwał się z kapsuły Mark. – Wiem, że moja obecność wydaje ci się dziwna, ale nie zrobię ci nic złego. – Pauza. – Zresztą nie mogę, nawet gdybym chciał. Zdradzę ci tajemnicę: ja nie istnieję naprawdę. Widzisz? Moja ręka przechodzi przez twoje przedramię i...

Rozległy się kolejne wrzaski, jeszcze bardziej rozpaczliwe.

„Och, Mark...” – westchnęła.

– Uvarov, odezwij się – powiedziała. – Wiem, że to ty. Wciąż poznaję ten cholerny lunarny akcent. Odezwij się do mnie.

– Och, na Letę, Louise, on zwariował – zgłosił Mark. – Złapał za wolant, przyspiesza, i to w kierunku interfejsu,

Widziała, że Mark się nie myli. Prędkość stateczku kosmicznego wzrosła i wyraźnie zmierzał tam, gdzie interfejs spoczywał w sieci nadprzewodzących obejm, związany siłami pola magnetycznego z kadłubem statku fazowego.

Dokonała szybkich obliczeń. Kapsuła miała przed sobą niecałe dwie minuty lotu.

– Uvarov, posłuchaj mnie – rzekła z naciskiem. – Musisz odpowiedzieć. Proszę! – Mówiąc, przebiegała palcami po pulpicie i rozkazywała komputerom, aby w jakiś sposób przejęły kontrolę nad kapsułą. Przeklinała w myślach własną niedbałość. Miała wieki na unieruchomienie kapsuł kopuły mieszkalnej! Ale taki scenariusz nigdy nie przyszedł jej do głowy, nie przewidziała, że jakiś oszalały dzikus z pomalowaną gębą wprowadzi kapsułę w interfejs, kiedy nadal będą w czasie relatywistycznym.

No cóż, do cholery, powinna to przewidzieć.

– Uvarov. Musisz odpowiedzieć. Wciąż kontynuujemy rejs. – Próbowwała ocenić stan wiekowego eugenika, na chybił trafił wyobrażając go sobie na podstawie paru usłyszanych słów. – Uvarov, słyszysz mnie? Musisz go zatrzymać, tego człowieka w kapsule, tego Strugacza Strzał. Dokona samozniszczenia... – „A przy okazji roztrzaska cały cholerny statek” – pomyślała kwaśno. – I wiesz równie dobrze jak ja, że interfejsu nie można używać podczas lotu. Różnica energii kinetycznej między naszym interfejsem a tamtym w przeszłości zdestabilizuje tunel. Jeśli ten twój Strugacz Strzał wciśnie w niego kapsułę, doprowadzi do awarii.

– Kłamiesz – zarządził Uvarov. – Podróż się skończyła. Widzieliśmy gwiazdy.

– Uvarov, posłuchaj. Wciąż jesteśmy w czasie relatywistycznym.

Odwróciła się i wyjrzała przez iluminatory galerii. „Brytania” wisiała pod brzuchem kopuły, ogromnej i rześcicie oświetlonej. Kręgosłup przeszywał przestrzeń kilkaset metrów dalej, otoczony ze wszystkich stron przez poświatę równikową gwiazd – przymglony, nieskończenie daleki pierścień blasku, zniekształcony ruchem statku.

Cząstką umysłu zapragnęła zasłonić ten widok, wznieść wirtual, w którym mogłaby się ukryć.

– Widzę cholerną poświatę równikową gwiazd, Uvarov. Na własne oczy. Zwalniamy, ale wciąż jesteśmy w czasie relatywistycznym. Mamy przed sobą jeszcze kilkadziesiąt lat podróży... – Czy to możliwe, że Uvarov o tym zapomniał?

W tle słyszała Marka cierpliwie tłumaczącego sytuację prymitywnej istocie; pulpit ukazywał próby komputerów usiłujące w nieskończoność – i bez powodzenia – zapanować nad autonomicznymi układami kapsuły, która ze zdumiewającą prędkością zbliżała się do interfejsu.

Odepchnął prymitywny wolant najdalej, jak się dało. Kapsuła przemknęła obok kręgosłupa. Czuł się zahipnotyzowany, wrzucony w ciąg niezwykłych wydarzeń, oswobodzony od lęku.

Kolejny raz świetlista rama objęła kapsułę, rozrastając się i zamykając jak pęczniące usta. Tym razem rama nie była prostokątna, ale trójkątna; obrzeżało ją niebieskie światło, nie srebrnobiałe. W jej środku zamiast ponurej, czarnoszarej pustki był obszar nieuchwytnie migotliwego, złotego blasku.

„W tym obszarze widać było gwiazdy! Cóż to za ironia losu, że być może tu znajdę gwiazdy, o których śnił stary, obłąkany Uvarov” – pomyślał Strugacz Strzał.

Widmowy człowiek – Mark – nie przestawał mówić z przejęciem, ale rozsypanywał się na kostki światła pierzchające na wszystkie strony, coraz mniejsze, niknące.

Strugacz Strzał prawie nie poświęcał temu uwagi.

Nagle wydało się jej, że zrozumiała.

– Uvarov, słuchaj – powiedziała szybko. – Proszę. Sztuczny nieboskłon dżungli nie jest przezroczysty! Jest inteligentny, tak zaprojektowany, żeby prostował zniekształcające efekty lotu i rzucał projekcję gwiazd, normalnego nieba. Garry, słyszysz mnie? Nasz nieboskłon rekonstruuje niebo i wydaje mi się, że zapomniałeś, iż to tylko rekonstrukcja. Leśni ludzie nie mogli zobaczyć gwiazd. – Szukała słów, za pomocą których mogłaby trafić do człowieka poznanego przed tysiącem lat. – Przykro mi, Garry. Naprawdę przykro. Ale musisz nakłonić go, żeby zawrócił.

– Louise. – Mark mówił szybko, z napięciem. – Strugacz Strzał nie reaguje. Zaczynam się rozlatywać. Już jesteśmy w polu egzotycznym interfejsu i...

– Interfejs, Strugaczu Strzał! – krzyknął Uvarov. – Cofnąłeś się pięć milionów lat, powiedz



tamtym, że jesteście tu, że się nam udało!!! Strugaczu Strzał...!

Uvarova zagłuszyły inne głosy, mężczyzny i dziewczyny:

– Strugaczu! Strugaczu! Wracaj...

Głos Marka rozpląnął się.

Na ekranach Louise wizerunki kapsuły i interfejsu, wyglądające jak dziecinne zabawki, złąły się ze sobą.

Niebieskobiała rama była wszędzie wokół niego, zalewała kabinę bezcieniowym światłem, które zaćmiewało kręgosłup i kopule mieszkalną, jakby były niematerialne. Kapsuła zadygotała, rozjaśniając się na brzegach niebieskofioletowym światłem.

Głos Przędki Powrozów stał się niezrozumiały.

– Opiekuj się siostrą, Przędko! – zawołał Strugacz Strzał.

Nie potrafił zrozumieć odpowiedzi. Docierał do niego tylko ton jej głosu. Prosiła o coś z naciskiem.

Przed nim otworzył się tunel ograniczony świetlistymi płaszczyznami, migotliwy, niewiarygodnie długi.

Zapadł się w złoty obszar i nawet głos Przędki przestał do niego docierać.

Louise rozmasowała sobie skronie i zamknęła oczy. Nie mogła zrobić nic więcej. Nie teraz.

Wspominała, jak zaraz na początku lotu, po wstrząsająco krótkim czasie, stało się oczywiste, że delikatna tkanka sztucznie zlepionej społeczności *Północnej* niebawem ulegnie degeneracji. Mark pomógł jej zrozumieć dynamikę zamkniętego społeczeństwa kopuły; powiedział, że zamknięty układ o silnych mechanizmach zwrotnych prowokuje niekontrolowane zachwiania i...

Ale zrozumienie nie pomogło im zapanować nad rozpadem.

Pierwszy bunt zainspirował jeden z najbliższych współpracowników Louise, Uvarov. Szermując hasłami eugeniki, wyprowadził grupę swoich zwolenników do dżungli. Następnie Superet – a raczej planiści, którzy zamienili pierwotną filozofię Superet w niedorzeczną ideologię – podważyła resztki władzy Louise i narzuciła swoją wolę pozostałym mieszkańcom kopuły.

Louise i Mark wycofali się poza kopułę, na bezpieczny teren „Wielkiej Brytanii”. Stamtąd Louise odizolowała zasadnicze układy statku – podtrzymywania życia i sterowania. Od tej pory podczas ciągnących się stuleci – długo po śmierci Marka, długo po tym, jak mieszkańcy kopuły zapomnieli o jej istnieniu – doglądała rojących się mas; regulowała skład powietrza, zapewniała równowagę małych zamkniętych środowisk, prowadziła statek do ostatecznego celu.

To, w co ludzie wierzyli, co robili sobie nawzajem, było poza jej kontrolą. Być może zawsze. Zależało jej tylko na tym, aby utrzymać przy życiu możliwie największą załogę.

Jednakże teraz, po utracie tunelu czasoprzestrzennego, okazało się, że wszystkie starania były daremne.

Kinetyczna energia kapsuły roztrzaskała zniekształcenie czasoprzestrzeni, które stworzyło tunel. Interfejs implodował z szybkością światła i fale grawitacyjne oraz cząstki materii egzotycznej skąpały stateczek.

Strugacz Strzał poczuł, jak powietrze gęstnieje mu w płucach, zimno osmala nagą skórę. Kapsuła szarpnęła do przodu i leśny człowiek niemal spadł z fotela. Ze spokojem zdjął z bioder linę

i przywiązał się do fotela.

Podniósł dłonie na wysokość twarzy. Szron lśnił mu na skórze; oddech ścinał się w powietrzu.

Delikatny kadłub kapsuły trzeszczał i sypał iskry; układy statku – ogrzewanie, oświetlenie, wentylacja – rozlatywały się jeden po drugim pod wpływem niewiarygodnej prędkości.

Leśny człowiek spadał, mijając przeszłość i przyszłość, światło zapadającej się czasoprzestrzeni odbijało się na jego ciele pokrytym gęsią skórą, a za nim rozlatywała się sieć tuneli czasoprzestrzennych wstrząsana burzą ciężkich cząstek i falami grawitacji.

Mocne światło biło z interfejsu. Tryskało z każdej płaszczyzny czworościanu jak gęsty płyn. Fioletowy pożar ogarnął *Północną*.

Świecił jak mała gwiazda.

Statek kosmiczny dygotał. Napęd fazowy wysyłający stały blask zamigotał – autentycznie zamigotał, po raz pierwszy od stuleci „Brytania”, stary, delikatny statek, kołysała się w swoich wiązaniach i Louise usłyszała odległy grzechot spadających przedmiotów, zgrzyt mebli jeżdżących po podłodze, niepasujący do kosmicznej pustki.

W całej kopule światła zamigotały i zgasły.

## Rozdział 14

Był ostatnim człowiekiem.

Nie miał się go czas, nie obejmowała przestrzeń. Niesłuchanie wielkie funkcje falowe Wszechświata sunęły obok niego niczym rozległa, spieniona rzeka, a jego oczy wypełniało szare światło, w którym wszystkie fenomeny były tylko cieniami.

Czas mijał, pozbawiony punktów zaczepienia.

I wtem...

...zobaczył czworościenne pudło, przejrzyste pudło, dryfujące w kosmicznej pustce.

Nie wiadomo, skąd w pudle pojawił się człowiek. Siedział w tym podniszczonym, kruchym stateczku kosmicznym, który wirował wokół własnej osi. Człowiek był wychudły, owinięty w pasie liną i ubrany w poszarpane zwierzęce skóry. Lepkie od brudu ciało pokrywał szron.

Wpatrywał się zdumiony w gwiazdy.

Ogień czasoprzestrzeni wybuchł w pudle, ogarniając w końcu stateczek.

Zaszła jakaś zmiana. Historia znów biegła swoim trybem. Rozległa świadomość Michaela Poole'a ocknęła się.

# CZEŚĆ TRZECIA

## ZDARZENIE. SŁOŃCE

## Rozdział 15

Louise Ye Armonk stała na drabince kapsuły. Pod nią był ciemny lód Kalisto, pełen tajemniczych zapadlin w dymnym świetle pierścieni Jowisza.

Przepełniały ją uniesienie i zachwyty. Po raz pierwszy od tysiąca lat pokładowych miała zejść na powierzchnię ciała niebieskiego.

Ruszyła przed siebie.

Jej stopa dotknęła lodu. Rozległ się chrzęst. Buty zostawiały wyraźne, pręgowane ślady na powierzchni.

Miała wrażenie, że gruby skafander kosmiczny sporo waży, mimo że ciężenie na Kalisto wynosiło zaledwie trzynastą część ziemskiego. Uniosła dłonie i przycisnęła je do siebie. Prawie nic nie poczuła przez grube rękawice. Skafander miał tysiąc lat. Uwięziona w nim czuła się jak mumia skazana na akwarium pełne rozpuszczonej żelatyny.

Rozejrzała się wokoło, usiłując dostrzec jakieś szczegóły przez mętną osłonę hełmu i regulując zniszczony układ wzmacniania ostrości. Jej uniesienie przygasło i poczuła rosnącą irytację; wiedziała, że to dowód słabości charakteru, ale – do cholery! – brakowało jej kryształowej wyrazistości wirtualnych dioram.

Jowisz i Słońce znajdowały się poniżej nieskończenie płaskiego horyzontu lodowego księżycy; ale nowe pierścienie Jowisza strzelały wodowiskowo ku niebu. Zewnętrzna, ostra jak brzytwa krawędź układu pierścieni zasłaniała gwiazdy, a lodowo-skalne okruchy rzucały mleczną poświatę w chłodnym blasku odległego Słońca.

Pierścienie robiły wrażenie wielkich konstrukcji. Tu, na tej lodowej równinie, czuła się pozbawionym znaczenia pyłkiem.

Zadarła głowę i popatrzyła na gwiazdy.

Minął już rok, od kiedy *Północna* wytracała prędkość, a ostatnie efekty relatywistyczne przestały dawać o sobie znać. Rok, podczas którego z wolna dotarli z obrzeża Układu Słonecznego do Jowisza. Okrąжали go już od kilku dni i Jutrzejszy Dzień siedział na księżycu, przeważnie pracując. Wstępne badania prowadzone z *Północnej* świadczyły o tym, że coś tkwi w świeżym lodzie Kalisto – jakaś anomalia. Jutrzejszy Dzień wspomagany przez brygadę robotów usiłował dowiedzieć się, co to jest.

Louise po raz pierwszy zeszła na powierzchnię i świadomość, że rozciąga się nad nią niebo – autentyczne, wielkie, wolne od zniekształceń, gwieździste niebo – była dla niej czymś nowym i niepokojącym, po tym, jak setki lat otaczał ją rozmyty blask poświaty równikowej gwiazd, efekt prędkości podświetlonej.

Ale co to było za niebo! Matowa, pusta, aksamitna czasza, upstrzona trupami gwiazd, skurczonymi, lodowaciejącymi karłami, rozdętymi skorupami olbrzymów – czasem tak wielkimi, że zamiast świetlnego punktu widziało się dysk, nawet przy międzygwiazdnych odległościach – i kosmicznymi śmieciami, garściami pajęczyn rozrzuconymi po niebie, wskazującymi supernowe.

Rozległo się stęknienie i rozmyty cień wyrósł na lodzie.

Louise odwróciła się. Prządka Powrozów opuściła kapsułę i zbliżała się powoli. Jej drobne ciało, powiększone przez skafander, rysowało się wyraźnie na tle świateł stateczku kosmicznego. Stawiała ostrożnie kroki, balansując rozłożonymi rękami.

Louise uśmiechnęła się szeroko.

– Śmiesznie wyglądasz.

– Dzięki – skwitowała kwaśno Prządka Powrozów. Przez lustrzaną osłonę hełmu przebijał błysk okularów, smugi farby i biel zębów. – Nie chciałabym pośliznąć się na tej lodowej kulce udającej księżyc.

Louise spuściła wzrok i kopnęła czubkiem buta w powierzchnię, robiąc głębokie bruzdy. Pokazały się liczne nierówności powstałe w trakcie zamarzania: płytki, żyły, zawężenia.

– To lód, ale niezbyt gładki.

Prządka Powrozów zbliżyła się kaczym chodem i pociągnęła nosem – W uszach Louise zabrzmiało to jak pociągnięcie tępym przedmiotem po porowatej płaszczyźnie.

– Może – burknęła dziewczyna. – Ale jest dużo gładsza niż dawniej.

– ...Tak.

– Spójrz – powiedziała Prządka Powrozów, wskazując palcem. – Nadlatuje *Północna*.

Louise odwróciła się i posłusznie wytrzymała wzrok. *Północna* sunęła po swojej godzinnej orbicie, tysiąc sześćset metrów nad powierzchnią. Louise w myślach nakazała osłonie hełmu zwiększyć ostrość. Statek przybrał rozmiary jasnoczerwonej zapalki na tle Słońca; robił wrażenie niezwykle kruchej, chociaż ogromnej zabawki. Lodowa asteroida, która przez tysiąc lat dostarczała paliwo, była ledwo widoczną, ciemną grudą, od kiedy przygaszono wielki niebieski płomień napędu fazowego. Kręgosłup statku, inkrustowany antenami i sensorami wrót, przypominał kościsty organiczny twór, obrośnięty wyblakłymi pasożytami. Czerwone światło słoneczne rozlewało się jak krew po czaszkach anten. Do kręgosłupa nadal przylegał wrak interfesju – tak powykręcany, że czworoboczny kształt był nie do rozpoznania, a krawędzie, niegdyś rozsyłające neonowy blask materii egzotycznej, przygasły.

Sama kopuła mieszkalna – delikatna jak skorupka jajka – sterczała na kręgosłupie jak czaszka dziecka. Robiła wrażenie zamkniętej i nieprzeniknionej, gdyż przeważnie zalegał w niej mrok, ale kilka górnych poziomów nie przestało świecić.

Za gładkimi ścianami kopuły dwa tysiące ludzi nadal wiodło skrzętnie uporządkowane życie. Podzielone społeczności raczej nie zdawały sobie sprawy, że przeogromna podróż *Północnej* nareszcie dobiegała końca.

– Jak ci leci tam, na dole?

Skuliła się. Nagłe odezwanie się zabrzmiało jak przesadny krzyk – kolejna niedoróbka tego cholernego starego skafandra.

– Świetnie, Mark. A tobie?

– Co tam widzisz? Co myślisz?

– Przeważnie widzę to, co mam na osłonie hełmu. Nie mogłeś jej wyczyścić? Ten skafander cuchnie tak, jakby ktoś nie wychodził z niego przez tysiąc lat.

Roześmiał się.

– ...Widzę gwiazdy. To, co z nich zostało.

– Tak. – Mark zamilkł i rzekł po chwili: – No cóż, jest tak, jak wskazała rekonstrukcja podczas lotu... ale chyba nigdy w nią nie uwierzyliśmy. Całe niebo prezentuje się tak samo, Louise. Nie

znaleźliśmy wyjątków. To niewiarygodne. Podczas pięciu milionów lat naszego lotu gwiazdy przeszły ewolucję trwającą co najmniej pięć miliardów lat! I to nie ograniczoną do Galaktyki. Nie widzimy na przykład Mniejszej Mgławicy Magellana.

Niebo wisiało nadzwyczaj nisko.

– Superet przewidziała to co do joty, prawda? – powiedziała. – Pamiętasz te projekcje, które pokazano nam w wirtualu kopuły w Nowym Jorku, kiedy nas rekrutowano?

– Tak... skurczone gwiazdy, wyblakłe galaktyki. Przygnębiające, nieprawdaż?

Uśmiechnęła się.

– Może. Ale to niebo wygląda jak wymarzone laboratorium astrofizyka.

– Kiedy nowe i supernowe zaczęły wybuchać, chyba nie było zbyt wesoło. Deszcz twardego promieniowania i ciężkich cząstek spadał nieprzerwanie przez milion lat...

– Tak. To musiał być prawdziwy grad. Cholera, wysterylizował całą okolicę...

– Pewnie nikt nie przeżył. Przekonamy się. No cóż, nadal idziemy za naszymi czterema głównymi tropami – promieniowaniem maserowym ze Słońca, bardzo dziwnymi falami grawitacji ze Strzelca, artefaktem w lodzie tu, na Kalisto, i słabym skupionym promieniowaniem w przestrzeni transplutońskiej... Ale nadal nie dowiedzieliśmy się niczego.

– Widzę las – mruknęła Prządka, spoglądając w górę.

Dokładniej przyjrzała się kopule, wzmocniła obraz sztucznymi kolorami – i dostrzegła cienką warstwę ziemskiej zieleni na krawędzi kopuły, strefę żywych roślin, przyciemnioną światłem starej gwiazdy.

Nagle zdała sobie sprawę, że ten wychuchany skrawek dżungli to może jedyny splachetek zieleni w całym Wszechświecie.

Absurdalne wzruszenie chwyciło ją za gardło; nie mogła oderwać wzroku od dryfującej cząsteczki Ziemi.

Poczuła na ramieniu dłoń, której dotyk tłumił sztywny, twardy materiał skafandra. Prządka Powrozów uśmiechnęła się.

– Wiem, co czujesz.

Louise zerknęła przez osłonę hełmu na dziwną dziewczynę-kobietę o okrągłej dziecięcej twarzy w połyskujących okularach.

Po tym jak ojciec Prządki Powrozów zniszczył interfejs – aż nim na zawsze szansę na powrót do domu – Louise zaproponowała Prządce i jej ludowi TDS. Gdy patrzyła na nią po pięćdziesięciu latach, trudno było jej uwierzyć, że to nie dziecko, ale sześćdziesięciopięcioletnia kobieta.

– Wątpię – powiedziała zimno. – Bardzo w to wątpię.

Prządka Powrozów przyglądała jej się przez chwilę. Pomalowana twarz nie wyrażała nic.

Weszły z powrotem do kapsuły.

Stateczek uniósł się na wysokość półtora kilometra, po czym ruszył równolegle do powierzchni. Louise odwróciła się. Silniki podczas lądowania wyryły szeroki płytki krater w lodzie; szpecił gładką równinę sięgającą do horyzontu.

Louise siedziała w fotelu. W niepokojąco przezroczystym kadłubie czuła się – nie inaczej niż zawsze w tych kapsułach – jak zawieszona na w pustce. Równina Kalisto tworzyła geometryczną abstrakcję w dole. W górze cierpliwie wspinała się *Północna*, iskra na gładkich łukach połyskliwych pierścieni Jowisza.

Główna działalność na Kalisto skupiała się wokół stanowiska wykopaliskowego Jutrzejszego Dnia po drugiej stronie księżyca, skierowanej ku Jupiterowi. Celem krótkiego lotu na Kalisto były oględziny księżyca i zaprawienie Prządki Powrozów do pracy w próżni kosmicznej. Miała zasmakować chodzenia po powierzchni ciała niebieskiego... Chociaż to było niezwykle gładkie, a niebo, które nad nim wisiało – niemal abstrakcyjnie puste.

Niemniej jednak Louise wiedziała, że jej samej dobrze zrobi wyrwanie się ze statku, który był jej domem i więzieniem przez tyle wieków i który – jeśli nie nastąpi jakiś cud – miał zapewnić przetrwanie jej i wszystkim pozostałym do końca życia. Kalisto była ósmym księżycem Jowisza, jednym z czterech wielkich satelitów galileuszowych. W czasie startu *Północnej* składała się z zamrożonej wody, skał i wielu kraterów. Wyglądała wtedy z kosmosu niczym szklana kula, do której wystrzelono z dubeltówki. Jeden z basenów – Walhalla – miał ponad sześćset kilometrów średnicy, ogromny amfiteatr pośrodku koncentrycznych tarasowych urwisk.

Louise pamiętała, jak ludzkie osiedla karmiły się wiekową wodą Kalisto, pobłyskującą w cieniach Walhallii niczym wielobarwne klejnoty.

No cóż, kratery przepadły – jak Walhalla i wszystkie osiedla. Wyglądało na to, że przepadły bez śladu. Kalisto była gładka, jeśli nie liczyć odcisków stóp Louise. Tajemniczo gładka.

Podczas lub w trakcie wyludnienia lód roztopił się. A kiedy znów zamarznął, coś w nim ugrzęzło...

Kapsuła okrążała gładką tarczę. Leciąły nad biegunem północnym i niebawem miały przesunąć się nad terminatorem planety, umowną linią oddzielającą część nie oświetloną przez Słońce od oświetlonej, i wejść w światło dnia.

...A przynajmniej w to, co uchodziło za światło dnia w tych marnych czasach.

Prządka Powrozów dźwignęła nieco osłonę hełmu, odsłaniając usta. Rozglądała się przez wątle ściany kapsuły. Sądząc po nieobecnym wyrazie twarzy, regulowała obraz.

– Widzę księżyce – powiedziała. – Niebo pełne księżyców.

– Sama przyjemność – rzekła sucho Louise. – Powinno ich być osiem poza Kalisto. Małe, nieregularne, prawdopodobnie asteroidy uwięzione przez grawitację. Cztery zewnętrzne krążyły w kierunku odwrotnym do ruchu planety.

– Dziwi mnie, że w ogóle jakieś księżyce przetrwały zniszczenie planety.

Louise wzruszyła ramionami.

– Skrajny był w odległości stu pięćdziesięciu promieni Jowisza od pierwszego, zanim planeta implodowała... pamiętaj, że nawet Kalisto przetrwała, a była zaledwie dwadzieścia sześć promieni dalej.

Oczywiście, orbity księżyców, które przetrwały, uległy zmianie; implozja Jowisza sprawiła, że rozpięchły się pod wpływem zmian fal grawitacji, a teraz krążyły wokół swego zniszczonego rodzica po zróżnicowanych torach, jak ptaki zaniepokojone trzęsieniem Ziemi.

W obrębie orbity Kalisto nic nie przeżyło.

Układ pierścieni Jowisza rozwijał się pod kapsułą niczym wielka podłoga, nieskończenie gładka i cienista.

Nowy układ pierścieni, śmietnisko planet, leżał w dawnej płaszczyźnie równikowej Jowisza – zajętej niegdyś przez księżyce, które teraz znikły. Kalisto zajmowała starą pozycję, cierpliwie okrążając wielką planetę tuż poza układem pierścieni, który wydłużony rozciąłby ją gładko na dwoje.

Układ pierścieni nie urywał się nagle po wewnętrznej stronie jak w przypadku Saturna. Louise powoli zrozumiała, że układ ma fakturę gęstej zupy i przypomina spłaszczony dysk. W miarę



zbliżania się do centrum stawał się bardziej niejednolity; w kotłującej się masie wyrastały skupiska o dużej gęstości, które sunąc po wąskich orbitach, wirowały równocześnie wokół własnej osi.

Rozproszone światło słoneczne zabarwiało cały obszar na szkarłatno.

Pierścienie niemal niczym się nie wyróżniały – były nudne, pozbawione różnorodności barw i warkoczy charakteryzujących układ Saturna. Louise westchnęła. Interakcje grawitacyjne księżyców Saturna nadawały jego pierścieniom fantastyczną strukturę. Kłopot polegał na tym, że księżyce, które przetrwały, po prostu nie dawały sobie rady z wodzeniem pierścieni. W otoczeniu biednego, wymarłego Jowisza rezonans orbitalny samej Kalisto tworzył jedynie pojedynczą, mroczną smugę.

Teraz centrum pierścienia-dysku wyrastało nad ostrą linią horyzontu Kalisto. Louise dokładnie widziała zróżnicowania kłębiące się wokół geometrycznego środka dysku. Przeciskały się przez zatłoczone, powykręcane w męce orbity. Samo centrum jednak było nijakie – ot, jaśniejsza plama wirująca z resztą dysku. Ten widok rozczarowywał, jakby czegoś w nim brakowało.

To rozczarowanie odbiło się w głosie Prządki Powrozów:

– Nie widzę niczego w środku. Tam, gdzie dawniej była planeta.

Louise uśmiechnęła się szeroko.

– Trudno się czegokolwiek spodziewać. Przy masie Jowisza czarna dziura miałaby średnicę zaledwie sześciu metrów...

– W wyższych częstotliwościach jest mnóstwo do oglądania – wtrącił Mark. – Na poziomie promieniowania rentgenowskiego i wyżej... W kierunku serca układu mamy prawdziwy dysk wychwytyjący. Materia podlega niesłychanemu rozgrzaniu, zanim wpadnie w czarną dziurę. Dziura jest mała, ale jeśli popatrzyacie na odpowiednie zakresy fal, dostrzeżecie ogromne zróżnicowanie.

Prządka Powrozów ze sporym zainteresowaniem zasunęła osłonę hełmu i Mark wyjaśnił jej, jak należy ją wyregulować. Niebawem na twarzy Prządki pojawił się ten sam wyraz co poprzednio, kiedy rozglądała się po otoczeniu.

Louise nie nałożyła hełmu; czarna dziura i jej wielki mleczny pierścień sprawiały tak przygnębiające wrażenie, że nie miała ochoty się rozglądać.

Nowy układ pierścieniowy Jowisza, bezbarwny, blady i zatłoczony w wirującym środku, był zaprzeczeniem piękna na każdej długości fal. Nic nie mogło zmienić wrażenia, że to pobojuwisko, miejsce zniszczenia – zniszczenia, które wyraźnie nadal trwało, gdyż czarna dziura nadgryzała dysk akrecyjny. Dla oka Louise-inżyniera puste centrum układu miało w sobie coś nieskończonego, prowizorycznego. Ten układ nie miał duszy, nie współgrał z wielkością pierścieni; w porównaniu z nim pierścienie Saturna sprawiały wrażenie ozdoby, wyglądały jak naszyjnik z lodu i skał na szyi pięknego świata.

Prządka Powrozów odwróciła się. Osłona hełmu kryła twarz w okularach.

– Przypomina to wir rzeczny – stwierdziła.

Louise wzruszyła ramionami.

– Coś jest w tym określeniu. Wir otaczający dziurę w czasoprzestrzeni.

– Wir gazu...

– ...gazu, kamieni i zamrożonej wody, kawałki roztrzaskanych światów...

Louise zaczęła opowiadać Prządce Powrozów o nie istniejących już księżycach Jowisza. Wspominała Io i jej wulkaniczne kratery, głębokie na setki kilometrów otwory termiczne, poznaną siarką powierzchnię i osadniki plazmy karmionej wulkanami; wspominała kopalnie minerałów, okryte cieniem wielkiego wulkanu Babba Patera. Opowiedziała o Ganimedzie, większym niż

Merkury, gęsto usianym kraterami i bogatym w pokłady minerałów – najbardziej stabilnym i najgęściej zamieszkanym ze wszystkich księżyców Jowisza. I o Europie, kuli lodowej o błyszczącej, gładkiej powierzchni – nieustannie odnawianej przez topnienie i napór tektoniczny – okrywającej płynną spodnią warstwę. Być może Europa była poprzedniczką tego wygładzonego trupa Kalisto.

Światy! Wszystkie zamieszkane – wszystkie martwe.

Louise miała gorącą nadzieję, że był czas na ewakuację przed ostateczną katastrofą. Jeśli nie, to na orbicie Jowisza, między kawałkami kamieni i lodu, dryfowały szczątki ludzkiej cywilizacji: odłamki potrzaskanych domów, dziecięce zabawki, zwłoki.

Prządka Powrozów odsłoniła twarz i przetarła oczy.

– Chciałabym zobaczyć Jowisza z księżycami i tymi wszystkimi osiedlami... Być może dałoby się go uratować. Przecież powiedziałaś mi, że implozja musiała trwać tysiące lat.

Louise nie mogła powstrzymać się od sarkazmu. – Tak. Ale wygrzebanie czarnej dziury z jądra gazowego olbrzyma wyraźnie przekraczało możliwości ludzi żyjących wiele tysiącleci po mojej epoce.

Jowisza zniszczyły działania Przyjaciół Wignera.

Byli to buntownicy z przyszłości okupowanej przez qaxów, którzy uciekli w przeszłość stworzonym przez Michaela Poole'a tunelem czasoprzestrzennym.

Przyjaciele uknuli potężny spisek, który miał zmienić historię. Ich plan zakładał wystrzelenie w Jowisza czarnych dziur o rozmiarach asteroid.

Ta akcja została przerwana. Przybyły okręty wojenne qaxów, które przeleciały tunelem Poole'a – ale Przyjaciele zdążyli ugodzić planetę kilkoma drobnymi osobliwościami.

Szpilki osobliwości przebiły atmosferę Jowisza niczym zabójcze owady, ciągnąc za sobą smugi plazmy. Kiedy dziury spotkały się, zawirowały wokół siebie przed zlaniem w jedno, a ich płaskie horyzonty zdarzeń zapadły się jeden w drugi w niewyobrażalnie krótkim czasie.

Wibracja towarzysząca temu zjawisku wywołała zjadliwą emisję potężnych fal grawitacji. Nastąpiły gwałtowne erupcje wulkanów i nad planetą zawisła gęsta, chemicznie złożona atmosfera.

Ambicje Przyjaciół były dalekosiężne. Przed ostateczną implozją mieli zamiar przeorać ogromną planetę falami grawitacyjnymi, wzbudzonymi, zróżnicowanymi interakcjami kul osobliwości.

Louise wpatrywała się ponuro w pozbawiony wyrazu, nieciekawość promieniujący światłem śmieci. No cóż, plan Przyjaciół udał się w części – pomniejszyli Jowisza. „To dopiero wystawili sobie pomnik – pomyślała. – Po pięciu milionach lat mamy zapadniętego Jowisza i sznur zmiażdżonych ludzkich światów”.

A wszystko po co? Dla czarnej dziury niewłaściwych rozmiarów...

– Tam robi się jaśniej – zauważyła Prządka Powrozów, wskazując palcem.

Louise spojrzała na Kalisto. Mętne, płaskie światło barwy szkarłatu kładło się na lodzie. Nieregularne wgłębienia na gładkiej powierzchni księżycy rzucały nieproporcjonalnie długie cienie, a lodowata równina przemieniała się w zróżnicowany krajobraz rubinowych wzgórków i kałuż krwistej barwy.

Na horyzoncie widać się węzowe macki szkarłatnego gazu. – Wschód Słońca na Kalisto – powiedziała kwaśno Louise. – No cóż, trzeba lądować. Przecież nie możemy stracić całego piękna jednego z ostatnich cudów Układu Słonecznego, prawda?

Przędka Powrozów stała w skafandrze kosmicznym obok Louise na powierzchni Kalisto, bardziej dziecinna niż kiedykolwiek, wyciągając ręce ku Słońcu. Rozdęty groteskowo glob odbijał się na osłonie hełmu.

Górujące nad horyzontem Słońce tworzyło mur krwistoczerwonego dymu. Było na tyle przezroczyste, że przez jedną czwartą tarczy prześwitywały odległe gwiazdy. Mało tego, materia słoneczna była tak rzadka, iż Louise rozróżniała kolejne warstwy. Ciemniały i gęstniały, im bliżej było jądra.

Pomyślała ze znużeniem, że Słońce już nawet nie przypomina gwiazdy. Gwiazda powinna być nieprzenikniona, jasna, gorąca; nie powinno się niczego przez nią widzieć.

– Kolejne marzenie astrofizyka – powiedział sucho Mark. – Wystarczy stanąć tu i się przyjrzeć, a nauczysz się więcej o ewolucji gwiazd niż przez pierwszych pięć tysięcy lat astronomii.

– Tak. Ale za jaką cenę.

Kiedyś patrząc z orbity Jowisza, widziało się, że Słońce jest taką samą gwiazdą jak inne ciała niebieskie ciągu głównego – że to odległe, gorące, żółte źródło światła. Teraz łuk Słońca zajmował co najmniej dwadzieścia stopni horyzontu. Zakrywało jedną piątą pola widzenia Louise; było dwadzieścia razy większe od Księżyca w pełni oglądanego z Ziemi.

Jowisz znajdował się w odległości pięciu astronomicznych jednostek od środka Słońca. Jednostka astronomiczna to promień orbity Ziemi. Samo Słońce musiało osiągnąć średnicę dwóch jednostek.

Dwie astronomiczne jednostki! Eksplodując i przybierając postać olbrzyma, Słońce musiało połknąć Ziemię i planety w zasięgu jej orbity – Wenus i Merkurego.

Przędka Powrozów obserwowała Louise z przejęciem i ciekawością.

– O czym myślisz, Louise?

– To nie powinno się wydarzyć w ciągu zaledwie pięciu miliardów lat. – Mówiła przez ściśnięte gardło i głos jej drżał. – Słońce miało za sobą dopiero połowę życia... było w połowie cyklu życiowego stabilnej gwiazdy ciągu głównego. To nie miało prawa się wydarzyć! Ktoś zrobił to celowo, zrabował nam przyszłość, nasze światy... do cholery, to było nasze Słońce...!

– Louise. – Ton sztucznego głosu Marka był ostry, napięć, Wzięła głęboki oddech, starając się ugasić gniew, urazę, skupić się na teraźniejszości.

– O co chodzi?

– Lepiej wróć na *Północną*. Jutrzejszy Dzień coś znalazł... Coś w lodzie. Myśli, że to statek kosmiczny.

## Rozdział 16

– Uvarov. Uvarov!

Garry Uvarov obudził się nagle. Było ciemno. Chciał otworzyć oczy...

Jak zawsze w pierwszym momencie po przebudzeniu – nawet po tylu latach – nie pamiętał i przeżył chwilę dzikiej grozy. Świadomość ślepoty zwała się na niego jak głaz, roziskrzona ciemność wyrosła przed oczami.

– Garry, Obudziłeś się?

To był zatroskany głos tamtej nie istniejącej osoby, Marka Bassetta Friara Armonka Wu. Uvarov odwrócił głowę, starając się zlokalizować miejsce emisji sztucznego głosu. Miał wrażenie, że głos rozbrzmiewa ze wszystkich stron. Otworzył bezzębne usta, wydając lekkie pyknięcie jak ryba rozchylająca pyszczek.

– Marku Wu. Gdzie jesteś, do cholery?

– Tu. Och! – Zapadła chwila ciszy. – Jestem tu.

Teraz głos rozlegał się na wprost Uvarova, z jednego, konkretnego miejsca.

– Lepiej – warknął Uvarov.

– Przepraszam – powiedział Mark. – Nie sformowałem obrazu. Nie myślałem..

– Nie chciało ci się! – przerwał mu szorstko Uvarov. – Ponieważ nie mogę cię zobaczyć, myślałeś sobie, że wystarczy, jak będziesz fruwać wokół mnie w powietrzu niczym jakiś cholerny chochlik.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że to dla ciebie takie ważne.

– Właśnie. Obrazeczka w twoim stylu nie stać na ludzkie reakcje, he?

– Potrzebujesz czegoś? – spytał z wystudiowaną cierpliwością Mark. – Chcesz jeść albo...

– Nie – uciał Uvarov. – Mam od tego wózek. W moim przypadku pokarm wlatuje jednym końcem, a drugim wylatuje. Nawet nie muszę przełykać. – Rozciągnął wargi w obleśnym uśmiechu. – Jak wiesz. Więc skąd ta troska? Żebyś poczuł się od ciebie zależny?

– Nie. – Głos Marka zabrzmiał chłodno, z większą pewnością siebie. – Myślałem, że tak będzie bardziej po ludzku.

Uvarov roześmiał się skrzekliwie.

– Touché!

– Chodziło tylko o to, że bardzo długo spałeś, Uvarov – stwierdził sucho Mark.

– Ty też byś długo spał, gdybyś nie był trupem – ostro zripostował Uvarov.

Słyszał świst i rzęzenie własnego oddechu, a także przyciszone tykanie wiekowego zegara z jadalni starego parowca Louise. Oczywiście, wleczenie ze sobą tego bezużytecznego rupiecia pięć megalat w przyszłość było całkowicie absurdalne i dowodziło istotnej słabości charakteru Louise Ye Armonk. Niemniej jednak Uvarov musiał przyznać, że faktura tych starych materiałów – malowanych ścian, luster, wypolerowanych blatów dwóch długich stołów – brzmiała cudownie.

– Mam nadzieję, że budzisz mnie nie bez powodu.

– Tak. Chodzi o sondy badające promieniowanie maserowe Słońca...

– Tak.

– Zaczynają przysyłać ciekawe dane, Uvarov. – Teraz Mark mówił z podnieceniem, ale Uvarov dobrze pamiętał, że każda barwa głosu tej sztucznej inteligencji była tylko sprytną sztuczką.

Jednak mimo całego swojego cynizmu też poczuł ciekawość i zadziwienie. „Ciekawe dane”?

Promieniowanie maserowe dochodziło z gorących miejsc w samej fotosferze – z plam o intensywnej jasności, mających temperaturę rzędu milionów stopni. Tło było chłodniejsze niż niegdyś żółte Słońce. Mechanizm konwekcji pobudzał spójne promieniowanie, styczne do fotosfery. Tak więc *Północna* wysłała małe sondy, które po przebiciu nabrzmiałej, rozpuszczonej powierzchni fotosfery miały udać się ku źródłom mikrofal.

– Opowiedz mi o tych danych.

– To powtarzająca się liczba sygnałów wysyłana ze środka szczątków Słońca... Uvarov, wydaje mi się, że to celowe działanie!

Przez rok po tym jak, nieporadnie kuśtykając, powrócili z przeszłości, nie dowiedzieli się wiele o Układzie Słonecznym. Wiele światów człowieka po prostu przestało istnieć.

Mimo to w spokojnym okresie przed przybyciem *Północnej* na Jowisza Uvarov i układ sztucznej inteligencji dokonali ogólnego przeglądu Układu – tego, co z niego zostało. I natknęli się na kilka dziwnych zjawisk...

Znaleźli coś wyglądającego na wytwór ludzkich rąk – niezwykle obiekt zagrzebany w lodzie Kalisto, nad którym biedził się Jutrzejszy Dzień. Poza tym były jeszcze trzy ewentualne źródła inteligentnych sygnałów: mikrofałe ze Słońca, słabnąca latarnia kierunkowa z obrzeża Układu i dziwne pulsowanie grawitacyjne z rejonu Strzelca, które najbardziej fascynowało Garry’ego Uvarova.

Uvarov na własną rękę przejrzał strukturę Wszechświata w okolicach Strzelca. Co interesujące, dowiedział się, że powinien tam znajdować się kosmiczny obiekt noszący nazwę Wielki Atraktor, dokładnie w miejscu, które wskazywał skupiony promień fotinowy. Atraktor to ogromne skupisko mas, źródło galaktycznej wiązki na obszarze miliona lat świetlnych. Czy mógł być związany z falami grawitacyjnymi?

Do tego dochodziła dziwna fotinowa aktywność w środku i wokół Słońca.

Dane okazały się niepełne i trudne do zinterpretowania – zgodnie z nazwą, ciemna materia niemal z definicji całkowicie umykała możliwościom zbadania... ale tam na pewno działo się coś dziwnego!

Uvarov doszedł do wniosku, że natrafił na przepływ.

Z serca Słońca-olbrzyma płynął stały strumień fotinowych obiektów o wyraźnej budowie... i opuszczał Układ Słoneczny. Ten strumień był ukształtowany jak promień latarni kierunkowej i celował prosto w źródło anormalnych fal grawitacyjnych w Strzelcu.

Coś się tam działo – coś wielkiego, cudownego i dziwnego. I w jakiś niewiarygodny sposób miało związek z wydarzeniami w sercu starego, cierpiącego Słońca.

...Ten wirtual, Mark Armonk, znów coś do niego mówił. „A może nie do mnie tylko na mnie” – pomyślał kwaśno Uvarov.

– Dobrze by było, gdybyś uważał, Uvarov...

– Kiedy nie będziesz do mnie nadawał, świadomość ci się rozsypie i twoja wolna wola pójdzie w diabły – zauważył Uvarov. – Więc oszczędź sobie kazań.

– Chodzi o Słońce, Uvarov. – Można by pomyśleć, że mówił przez zaciśnięte zęby. – Fotosferyczne promieniowanie maserowe to standardowa sprawa, generowana przez jednotlenek krzemu. Częstotliwość czterdzieści trzy megaherce. Są naturalne mechanizmy takiego generowania. Ale w tym wypadku rozpoznaliśmy dowody modulacji jednotlenku krzemu... celowej modulacji. Uvarov, wszędzie znaleźliśmy stałą charakterystykę. – W głosie Marka znów pojawiło się to sztuczne podniecenie; Uvarova ogarnęła rosnąca irytacja. Mark kontynuował: – Dotyczy amplitudy i jasności wiązki, fazy, polaryzacji, nawet dopplerowskiego przesunięcia sygnałów. Uvarov, ktoś albo coś tam jest! Próbuje z całych sił przesłać wiadomość, modulując promieniowanie maserowe. Usiłuję to rozwiązać, ale...

Uvarov poruszył się, nadaremnie próbując znaleźć wygodniejszą pozycję. Miał wrażenie, że biedzi się nad tym przez większą część milenium z równym uporem, jak Jazon szukający złotego runa. Jakże był żalony, jakże bezradny!

Starł się zignorować swoje ciało, skupić zdolności analityczne i wyobraźnię na założeniu, że w środku Słońca jest jakaś inteligencja...

Ale to było niezwykle trudne.

Nie pierwszy raz odbiegł myślami od aktualnych spraw. Dumął o swojej leśnej kolonii. O Prządce Powrozów.

Czasami zastanawiał się, ileż więcej osiągnęliby młodzi ludzie, gdyby ucząc się i prowadząc badania, mogli wykorzystać jako intelektualną piaskownicę ten dziwaczny, wysłużony Wszechświat. O ileż dalej by zaszli, dysponując świeżymi oczami i umysłem. Ileż dalej niż on!

Minęło pięćdziesiąt lat, od kiedy – w chwilowym ataku zaćmienia umysłowego – skierował swoje leśne dzieci na niepewny szlak poza kopułę mieszkalną. Pięćdziesiąt lat; kiedyś ponad połowa życia pojedynczego człowieka, a teraz zaledwie interludium w jego własnej, absurdalnie długiej egzystencji, skazanej na to więzienie, tę gnijącą skorupę.

Nawet Prządka Powrozów, przemądrzała córka Strugacza Straż, musiała już mieć... ile to?... sześćdziesiąt pięć lat pokładowych? Może siedemdziesiąt? Była starą kobietą. Ale nadal zachowała cechy umysłu i – na ile mógł to ocenić – wygląd młodej dziewczyny. Wszystko dzięki TDS-owi.

Wezbrał w nim smutek. Oczywiście jego eksperyment zakończył się fiaskiem; starannie ukształtowany genotyp był już niewątpliwie skażony krzyżówkami leśnych ludzi z populacją pokładową, kontrolowaną przez Superet, i jego nieśmiertelna rasa została poddana wpływowi TDS-u.

Jednakże postęp, którego dokonał, nie poszedł na marne, wybrane geny żyły i były gotowe, czekały. A kiedy mieszkańcy „Północnej” poradzą sobie z okresowymi kłopotami (jeśli sobie z nimi poradzą), kiedy dotrą do nowego świata, który na nich czekał, wtedy wielki eksperyment będzie mógł zostać podjęty.

Tymczasem...

Znów pomyślał o Prządce Powrozów, dziewczynie-kobiecie, która dorosła wśród drzew i liści, a teraz przemierzała szlaki zniszczonego Układu Słonecznego.

Popułnił wiele błędów. No cóż, miał na to czas. Ale mógł być dumy przynajmniej z jednego: on, Garry Uvarov, przywrócił tej epoce powszechnego zniszczenia i ruin jakieś elementy świeżości i młodości.

– ...Uvarov – odezwał się Mark.

Starzec odwrócił się. Sztuczny głos zabrzmiał inaczej niż dotąd – dziwnie płasko, był pozbawiony wyrazu. „No, przynajmniej dał sobie spokój z tymi cholernymi udawanymi intonacjami”

– pomyślał Uvarov z nutką triumfu. Odnosił wrażenie, że procesory wirtuala przez jakiś czas były zajęte czymś innym. Jakimś wydarzeniem.

– No? O co chodzi?

– Udało mi się. Odczytałem przekaz, informację zawartą w pulsacji masera. To wizerunek, pokazuje się na ekranach pulpitu kontrolnego...

– Wizerunek? Opisz mi go, do cholery.

To była twarz kobiety, z grubsza zaznaczona barwnymi pikselami. Ludzka twarz! Kobieta miała wygląd sześćdziesięcioletniej, krótko ostrzyżone płowe włosy, wyrazisty nos, szerokie, skóre do uśmiechu usta i duże sarnie oczy.

Poruszała ustami.

– Twarz kobiety...! Po pięciu milionach lat, przekazana pulsacją maserową z serca Słońca, które przeobraziło się w czerwonego olbrzymia? Nie mogę w to uwierzyć.

Mark milczał przez chwilę.

– Wierz albo nie. Myślę, że ona próbuje coś powiedzieć. Ale nie mamy jeszcze dźwięku.

– Cóż za utrudnienie!

– Zaczekaj... No, jest.

Uvarov usłyszał głos dochodzący z niewiarygodnego wizerunku z przyszłości. Początkowo ów głos łamał się, słów wręcz nie dało się zrozumieć i, jak poinformował Uvarova Mark, dźwięk nie był zsynchronizowany z ruchem warg.

Ale po dłuższej chwili – i przy wydatnej pomocy wzmacniacza łączności – przekaz został oczyszczony.

– Na Letę – mruknął Mark. – Nawet rozpoznaję ten język...

„Nazywam się Lieserl. Witajcie w domu, gdziekolwiek jesteście. Zapewne stawiacie sobie pytanie, czemu zaprosiłam was dziś tutaj...”

Na tle matowego czerwonego Słońca, zniszczonego i rozdętego, połyskiwał rosnący dysk czarnej dziury Jowisza, wielki i groźny.

Kolejny raz kapsuła z *Północnej* przeniosła Prządkę Powrozów – tym razem samą – na powierzchnię Kalisto. Dziewczyna wykręciła się na fotelu, patrząc w dół przez szklane ściany; kiedy się poruszyła, biomedyczne czujniki w skafandrze nieprzyjemnie otarły jej skórę.

Statek, wydobyty na powierzchnię z lodu przez brygadę samodzielnych robotów, przypominał ptaka o czarnych jak noc skrzydłach, wlokących się za skromnym odwłokiem. Materiał skrzydeł wydawał się kruchy, jakby groził rozsypaniem przy lada dotknięciu. Spod nich na krawędziach przezierał lód.

Louise i Mark twierdzili, że statek zbudowano przy wykorzystaniu technologii nie znanej ludziom. I że może mieć napęd superprzestrzenny...

Podrapała się po ramieniu, tam, gdzie jeden z cholernych biosensorów Marka wpił się szczególnie niewygodnie w ciało. Kiedy wyląduje, Louise będzie musiała jej wytłumaczyć, czemu, cholera, tak ją obklejono.

Teraz statek przypominał wielkiego czarnoskrzydłego robaka spoczywającego na szklanym blacie. Lśniące kapsuły *Północnej* i sprzęt otaczały jego eleganckie, obłe krzywizny. Mały bucący robot pełził po skrzydle. Ciągnął wiązkę kabli i badał pozagalaktyczny materiał mackami sensorów. Lód Kalisto w tej okolicy był pobrużdżony i popękany, wydrążony silnikami lądujących kapsuł

i pocięty gąsienicami pojazdów.

Statek był ogromny! Zabiegi ludzi i maszyn wydawały się całkowicie niewspółmierne wobec mocy tej sztucznej bestii... która jakby miała się ocknąć z wielowiekowego kamiennego snu.

Łęk Prządki Powrozów rósł w miarę zbliżania się do statku. Owadzi kształt przyszpilony do lodu emanował zagrożeniem.

Zadrżała, szukając pociechy w dotyku skafandra.

Ulice i domy wokół Jutrzejszego Dnia były puste. Nie kończące się zawodzenie klaksonu odbijało się echem od nagich murów, zniszczonych budynków i stalowego podbrzusza nieba.

Hak abordażowy – prymitywny przedmiot z zaostrzonego, wygiętego kawałka metalowego przepierzenia – przeleciał obok policzka Jutrzejszego Dnia, zmuszając go do odruchowego cofnięcia głowy. Hak wbił się w jakąś nierówność pokładu i jego lina napięła się z drżeniem. W ciągu kilku sekund Łowczyni Żab pokonała kolejny odcinek pokładu. Jej brązowe kończyny, lśniące od potu, tworzyły barwne plamy w ponurym szarym świetle. Dmuchawka i mieszek z bełtami tłukły się o plecy kobiety.

Jutrzejszy Dzień westchnął i opuścił głowę. Wspinali się po drugim pokładzie w warunkach nieważkości. Metalowa podłoga, którą miał przed nosem, była płaska, dziwnie znajoma, wytarta przez niezliczone stopy, w tym jego własne. Wykręcił szyję i szybko obejrzał się przez ramię. Jego towarzysze rozproszyli się po pokładzie, ich twarze spoglądały ku niemu; była wśród nich Ciągłość Celu, pracująca równomiernie potężnymi ramionami i wlokąca za sobą skarłate nogi, wirtualny Mark Wu i garstka leśnych ludzi. Wirtual starał się nie narazić na szwank ich zdrowych zmysłów, demonstracyjnie wdrapując się po linie wraz z innymi.

Świątynia planistów tworzyła ponurą, groźną masę, zarysowaną neonowym niebieskim światłem, do której pozostało jeszcze kilkaset metrów.

Wiele domów, fabryk i budynków było zniszczonych – niektóre bardzo. W kącie pokładu widniały ślady wielkiego pożaru, czarne lizsaje sięgały szarego sufitu.

Jutrzejszy Dzień usiłował sobie wyobrazić, jak musieli czuć się ludzie w tym ciasnym, zamkniętym świecie, kiedy w końcu wyłączono napęd fazowy i znikła grawitacja. Wyobraził sobie codzienny marsz do pracy – a potem to dziwne uczucie lekkości, kiedy stopy odrywają się od podłoża...

Klakson wył, od kiedy zeszli śluzami z lasu; być może zawodził tak od samej katastrofy – nastania nieważkości. Trudno było skupić się w tym hałasie; Jutrzejszy Dzień starał się opanować irytację i strach.

Łowczyni Żab wykręciła się w powietrzu i uśmiechnęła do niego,

– Dalej, Jutrzejszy, obudź się. Już raz zszedłeś z Prządką Powrozów przez cały szyb, prawda? I to w warunkach ciężenia. Nieważkość to łatwizna.

– Łowczyni, w moim wieku nic nie jest łatwizną.

Roześmiała się pewna swojej młodości. I to autentycznej młodości. Ile miała lat? Osiemnaście, dziewiętnaście? Dzieci nadal rodziły się w dżungli, choć minęły dziesiątki lat od otwarcia śluz pierwszego pokładu i dostarczenia TDS-u leśnemu ludowi.

– Wiesz, przypominasz mi Prządkę Powrozów – powiedział.

Łowczyni Żab odwróciła się łatwo, jakby jej drobne, nagie ciało było drugą giętką liną. Twarz miała okrągłą, tchnącą energią.



– Tak? Prządka Powrozów to nasza bohaterka, wiesz. Bohaterka wśród ludzi dżungli. Trzeba było wiele odwagi, żeby zejść za Uvarovem śluzami i...

– Może – stwierdził z rozdrażnieniem Jutrzejszy Dzień. – Chodziło mi o to, że jesteś tak samo denerwująca jak ona w twoim wieku.

Łowczyni Żab zmarszczyła twarz. Dostrzegł teraz, że jej płaski nosek pokrywają piegi. Miała je nawet na ogolonej czaszce, obrzeżonej wianuszkami ciemnych włosów. Znów uśmiechnęła się szeroko i poczuł, że serce mu taje; jej buzia przypominała wschodzącą jasną gwiazdę nad lodowcami Kalisto. Wyciągnęła szyję i cmoknęła go lekko w nos.

– Niech już zdenerwuję cię do szaleństwa – stwierdziła. – A teraz rusz się.

Podjęła wspinaczkę. Błyskawicznie dotarła do haka i była gotowa rzucić następny, szykując się do ostatniego odcinka wyprawy.

Znużony, czując się starzej niż wskazywałby na to jego wiek, Jutrzejszy Dzień ruszył w górę.

Próbował skupić wzrok na porysowanej powierzchni, którą miał przed sobą. Czemu to cholerne przedsięwzięcie kosztowało go tyle wysiłku? Przecież był Jutrzejszym Dniem, Bohaterem Szybu, jak powiedziała Łowczyni Żab. A od tamtej pory wychodził już poza żebrowane ściany pokładów w przestrzeń kosmiczną. Przemierzał powierzchnię Kalisto i obserwował wschód rozdętego trupa legendarnego Słońca nad lodowcami księżycy; nawet doglądał wydobywania pozagalaktycznego statku kosmicznego. Okazał odwagę, no nie? Na pewno – nawet o tym nie myślał! Więc czemu tu, na pokładach, w środku metalowego pudła, które było jego jedynym światem przez pół tysiąclecia, trzęsły mu się łydki?

Od kiedy Louise poprosiła go o poprowadzenie tej ekspedycji, nie opuszczały go obawy i niechęć.

– Nie chcę tam wracać! – zakomunikował jej wprost.

Louise Ye Armonk przyleciała na Kalisto pogratulować mu wykopaliska i przydzielić nowe zadanie. Wyglądała na starą i zmęczoną, kiedy przeciągnęła dłonią po posiwiałych włosach.

– Wszyscy mamy do wykonania zadania, których nie chcemy robić – tłumaczyła mu jak dziecku, ledwo zachowując cierpliwość. W jej spojrzeniu była pogarda. – Wierz mi, gdybym mogła wysłać kogoś innego, wysłałabym go.

Jutrzejszego Dnia ogarnęła panika – jakby kazano mu wrócić do celi.

– Po co to? – spytał z rosnącą rozpaczą. – Planiści zamknęli pokłady przed wiekami. Oni nie chcą wiedzieć, co się dzieje na zewnątrz. Czemu nie zostawić ich własnemu losowi?

Louise zacisnęła usta w wąską linię. Uwydatniły się zmarszczki.

– Jutrzejszy, nie stać nas dłużej na „zostawienie ich własnemu losowi”. Wszechświat zewnętrzny... my... jest zależny od tego, co dzieje się tam, w środku. I nasze monitory przekazują nam, że planiści nie... hm, nie reagują dobrze na zmiany. Jutrzejszy, tam, na pokładach, jest dwa tysiące ludzi. Na zewnątrz przebywa nas tylko garstka – parę setek, nawet licząc populację w dżungli. Nie stać nas na porzucenie tych dwóch tysięcy na pastwę planistów.

Jutrzejszy Dzień zagryzł zęby, aż zgrzytnęło.

– Ach, masz na myśli nasz obowiązek.

Louise przyjrzała mu się uważnie.

– Tak, częściowo. Ale jest to najważniejszy obowiązek, jaki istnieje. Nie wobec mnie ani planistów, czy nawet misji, to obowiązek względem gatunku ludzkiego. Jeśli nasz gatunek ma przetrwać, musimy chronić ludzi uwięzionych z planistami. Tak wielu, jak się da, żeby utrzymać

przyszłe zróżnicowanie genetyczne.

– Chronić – powiedział kwaśno. – Śmieszne. Pewnie planiści też nie mówią o niczym innym...

Teraz rozglądał się po surrealistycznych rzędach porzuconych domów, wiszących na ścianie; słuchał ciszy przerywanej jedynie żalonym, błagalnym nawoływaniem klaksonu. Wszyscy ludzie znikli – pewne zagarnięci do świątyni przez planistów – tak że pozostała tylko muszla świata. Poszczególne elementy tej przytłaczającej okolicy zdawały się poruszać, napierać na niego, jak w koszmarnym śnie...

Niewykluczone, że właśnie znajomość okolicy sprawiała, iż czuł się tak nieprzyjemnie. Powróciwszy tu – nawet po dziesiątkach lat – miał wrażenie, że nigdy się stąd nie wyrwał; wyłożone metalowymi płytami ściany i sufity, rzędy domów-pudełek, ogromna czworościenna bryła świątyni planistów – wszystko to otaczało go ciasno, pozbawiając ducha. W atmosferze tego miejsca było coś takiego, jakby za tymi ścianami wielki cudowny Wszechświat – zapadające się gwiazdy, lodowe księżycy i czarodziejski pozagalaktyczny statek kosmiczny o rozpiętości skrzydeł przekraczającej ponad sto metrów – nigdy nie istniał, jakby był jakimś niesamowitym, pięćdziesięcioletnim wyobrażeniem.

Za dawnych czasów, przed poznaniem Strugacza Strzał i Prządki Powrozów, uważał się za buntownika, niezależnego ducha, renegata – nie przypominającego reszty otaczających go trutni. Ale oczywiście prawda była inna. Poddany stuletniemu oddziaływaniu kultury planistów został wyćwiczony w poddaństwie. Gdyby nie wtargnięcie leśnych ludzi – gdyby nie impuls z zewnątrz – nigdy nie wystarczyłoby mu odwagi ani inicjatywy, aby uwolnić się spod dominacji planistów.

Zdał sobie sprawę, że tak naprawdę bez względu na to, co robił lub gdzie się udał – i niezależnie od tego, jak skończyłby się jego konflikt z planistami – nigdy nie wyprostowałby karku.

Dotarł do końca liny. Odbił się trochę od pokładu i wylądował metr przed następną liną, zamocowaną przez Łowczynię Żab. Obejrzał się; mały oddziałek rozciągnął się wzdłuż szeregu lin prowadzących do pochylni górnych pokładów.

Poczuł pęd powietrza nad głową, usłyszał dziwny syk.

Skulił się instynktownie, przycisnął do pokładu, po czym odskoczył od porysowanej powierzchni, ale natychmiast przyłgął rozpaczliwie do bocznej metalowej płyty.

Dźwięk brzmiał jak bzyczenie owada. Ale owady były rzadkością na pokładach...

Kolejny syk, westchnienie nad głową. Dźwięki dobiegały mniej więcej od strony świątyni – spojrzał ukradkiem w górę – nadal odległej o kilkaset metrów. Znów świst i za nim kolejny, świst za świstem.

Ktoś w dole krzyknął i Jutrzejszy Dzień usłyszał brzęk metalu o pokład.

Łowczyni Żab osunęła się z góry; bez żadnych zahamowań prześliznęła się po ramionach Jutrzejszego Dnia i przytuliła do jego boku; ciepły kłębek sprężystych mięśni. Gładko ogolona czaszka otarła się o policzek mężczyzny. Łowczyni Żab nie miała więcej niż metr dwadzieścia wzrostu. Wbijała mu kolana w uda.

– To planiści – szepnęła mu do ucha. Miała słodki oddech, pachnący leśnymi owocami. – Strzelają do nas ze świątyni!

Zgłupiał.

– Strzelają? Ale to niemożliwe. Czemu mieliby strzelać?

– Skąd mam wiedzieć? – Warknęła na niego zupełnie jak młoda Prządka Powrozów przed dziesiątkami lat, która również nie żałowała czasu, by dać mu do zrozumienia, jak bardzo ją

denerwuje.

– A poza tym, to bez znaczenia. Przede wszystkim musimy się stąd wynieść, zanim zrobią nam krzywdę.

Zdezorientowany przyłgął do liny. Może powinien być na to przygotowany. Może planiści zupełnie oszaleli.

Ale jeśli to była prawda, jak powinien postąpić?

Ktoś wspinał się ku niemu. To Ciągłość Celu trawersowała pokład. W lewej dłoni trzymała coś świeżącego i twardego. Jutrzejczy Dzień pomyślał obojętnie, że jej zniszczone przez TDS nogi są nawet szczuplejsze niż nogi Łowczyni Żab; tłukły o pokład, blade i bezużyteczne.

– Jutrzejczy. Ciągłość Celu wyprostowała palce. Na dłoni trzymała hak wspinaczkowy; wyostrzony kawałek metalu połyskiwał w rozproszonym świetle. – Przypomina ci to coś? Planiści znów siekają do nas z tych cholernych kusz.

– Ale dlaczego?

Ciągłość Celu była poirytowana, ale i rozbawiona.

– A jakie to ma znaczenie?

Łowczyni Żab szturchnęła Jutrzejczego Dnia w żebra; skrzywił się, kiedy twarda piąstka wbiła się w miękkie ciało.

– Też mu to mówię – powiedziała do Ciągłości.

– W tej chwili ostrzeliwują pokład za nami – kontynuowała z pośpiechem Ciągłość Celu. Mierzą nad naszymi głowami. Może sprawdzają zasięg. A może to ostrzeżenie, nie wiem. Ale kiedy tylko zechcą, wystrzelają nas jak kaczki... Ruscie się. Musimy się wycofać.

Jutrzejczy Dzień, nadal trochę ogłupiały, wykręcił szyję i popatrzył na świątynię.

Wielki obiekt nie był już jednolicie gładki. W najbliższej ścianie wybito okna, porobiono czarne dziury. W tych otworach byli ludzie: mężczyźni i kobiety w ponurych jednolitych kombinezonach, jakie sam nosił przez wiele stuleci.

Celowali do niego z kusz.

– Dobrze – powiedział, marząc o tym, żeby to wszystko jak najszybciej się skończyło. – Usuńmy się poza ich zasięg. Ruszamy. Ciągłość Celu, prowadzisz...

Kapsuła wylądowała blisko prawej burty czarnego statku. Prządka powrozów zesłała na lód Kalisto.

Biodra miała przewiązane liną, a pod skafandrem, między piersiami, zawiesiła na sznurku jeden z grotów ojca. Podniosła rękę i przycisnęła ją do ciała; chłodny metal wcisnął się w skórę: znajomy kształt dodający otuchy. Starła się wyrównać oddech, by odzyskać pewność siebie i swobodę. Oczywiście, nawet grawitacja była nie taka, jak trzeba, a skafander z biosondami Marka w środku doprowadzał ją do szału, szorstki i ciężki.

Louise Ye Armonk podeszła do kapsuły, zostawiając płytkie ślady stóp w szronie Kalisto. Inżynier rozjaśniła wnętrze swojego hełmu.

– Witaj, Prządko Powrozów. – Wyciągnęła rękę i uśmiechnęła się. – No cóż, znów tu jesteśmy. Chodź. Pokażę ci statek.

Prządka Powrozów wzięła Louise za rękę. Szły powoli, stary lód skrzypiał im cicho pod nogami.

Pierścienie Jowisza widniały na niebie jak welony dymu zasnutego krwią. Statek leżał na lodzie, pełen mrocznej energii.

Zatrzymały się jakieś trzy metry od krawędzi skrzydła. Wisiało metr nad powierzchnią, pozornie pozbawione jakiegokolwiek wsparcia; być może było tak lekkie, że nie potrzebowało wsporników, poza łączem z kadłubem statku. Wyginało się lekko, jak powoli ulatujący dym. Odcinało się ostro od lodu Kalisto, lecz przepastna czerń materiału, z którego je zbudowano, uniemożliwiała ocenę stopnia krzywizny. Krawędź była nieskończenie delikatna i Prządka Powrozów – schyliwszy się i popatrzywszy w górę – widziała przez nią gwiazdy.

– Ten statek przypominała kształtem nasienie sykomory. Louise zerknęła na Prządkę. – Czy sykomory rosną w waszej dżungli? Te cudowne skrzydła mają sto metrów rozpiętości. Kabinę pilota umieszczono na „barkach” statku, u zbiegu skrzydeł.

Louise powiedziała „cudowne”. „No cóż – pomyślała Prządka – może pod jakimś względem są urocze, ale ich uroda jest absolutnie nieczłowiecza i nieskończenie groźna”.

– To nie jest ludzki statek – rzekła z wolna. – Prawda, Louise?

– Tak. – Louise wyprostowała się i dodała kwaśno: – Cholera. Znajdujemy jeden sensowny obiekt w śmieciach po Układzie Słonecznym i musi być pozagalaktyczny... Prządko, uważamy, że to statek xeelee. Porównaliśmy go ze starymi przypuszczeniami Superet; sądzymy, że Przyjaciele Wignera – ludzie z okresu okupacji qaxów – nazywali to nocnym myśliwcem. Mały, zwrotny statek zwiadowczy ogólnego zastosowania.

Brzeg skrzydła był na wysokości twarzy Louise. Uniosła dłoń w rękawicy i zrobiła taki gest, jakby chciała przesunąć palcem po krawędzi. Po namyśle cofnęła rękę.

– Tak, nie radzilibyśmy, żebyś czegoś dotykała, chyba że z konieczności. To jest naprawdę ostre. Skrzydła i kadłub są zapewne wykonane z materiału konstrukcyjnego xeelee.

Pochyliła głowę i spojrzała wzdłuż płaszczyzny skrzydła. Prządka musiała wspiąć się na palce, aby zrobić to samo. Kiedy uniosła twarz na wysokość skrzydła, przekonała się, że materiał xeelee jest tak cienki, że prawie niewidoczny. Nawet z odległości kilku centymetrów był całkowicie czarny, nie odbijał wtórnego promieniowania lodu ani blasku pierścieni Jowisza. Był zupełnie nierealny, jakby w tym miejscu wycięto płat świata, zostawiając dziurę – ukształtowany niedobór.

– Nie potrafimy tego zbadać – stwierdziła Louise. – Przede wszystkim gęstość się nie zgadza. Mam na ten temat własną teorię. To coś wręcz pierwotnego. Wydaje mi się, że xeelee wynaleźli sposób na uchylenie zakazu Pauliego i odkryli drogę do nowego układu materii. Oczywiście kłopot polega na tym, że zakaz Pauliego nie powinien mieć żadnych wyjątków. Coś mi się wydaje, że nikt nie poinformował o tym xeelee...

– Jak udało im się to zrobić?

Louise uśmiechnęła się.

– Jeśli wierzyć starym przekazom Superet, wyhodowali ten materiał konstrukcyjny z „kwiatów”. Po prostu wyrósł w postaci płatków pod wpływem energii promienistej. Najbardziej ciekawi mnie, jak statek się tu dostał. Przechwycenie nocnego myśliwca xeelee to szczytowe osiągnięcie ludzi w każdej epoce. Uvarov jest przekonany, że Kalisto służyła za laboratorium. Ten księżyc, daleki od zaludnionych kolonii, pełnił rolę warsztatu – miejsca, w którym bezpiecznie można było zbadać statek xeelee. Tutejsze stacje badawcze miały rozgryźć tajemnice jego napędów: wewnątrzukładowego i superprzestrzennego oraz materiału konstrukcyjnego. Ale znaleźliśmy niewiele ludzkich śladów, pominąwszy teren koło myśliwca. Kiedy nastąpiła wojna...

– Jaka wojna?

Louise opuściła niewidoczną w hełmie głowę.

– Wojna z xeelee, Prządko. Jedna z wielu wojen. Tak wielu, że chyba nigdy się nie dowiemy, ile ich było. W końcu tutejsze laboratoria – i wszystkich ludzi – spotkał koniec. Zostały nędzne szczątki. Ale...

– Ale nocny myśliwiec xeelee przetrwał – podsumowała Prządka Powrozów.

Louise uśmiechnęła się.

– Tak. Xeelee budowali w taki sposób, żeby ich dzieło przetrwało. Nie wiemy, co dokładnie nastąpiło, ale lód Kalisto stopniał. Nocny myśliwiec zapadł się w utworzone oceany, a kiedy Kalisto znów zamarzała, został uwięziony.

„Uwięziony przez niewiarygodnie długi czas, może milion lat” – pomyślała Prządka Powrozów.

– I oni nigdy nie wrócili powiedziała Louise. – Mam na myśli ludzi. Nigdy nie podnieśli się z klęski na tyle, żeby wrócić tu i odbudować to, co uległo zniszczeniu. Być może naprawdę była to wojna kończąca wszystkie wojny, przynajmniej w zasięgu Słońca... Prządko Powrozów, oto kabina pilota. No cóż, teraz rozumiesz, czemu potrzebowaliśmy twojej pomocy.

Prządka Powrozów wytrzeszczyła oczy na sześcienną klatkę z materiału konstrukcyjnego.

Poczuła gęsią skórę na całym ciele, lodowaty chłód.

## Rozdział 17

Prosta metalowa drabina z szerokimi szczeblami wspierała się o bok kabiny pilota. Prymitywny sprzęt wyglądał zupełnie nie na miejscu obok wytworu pozagalaktycznej zaawansowanej technologii.

Prządka spoglądała na drabinę z głębokim przerażeniem.

– Louise... – bąknęła. – Muszę wejść do środka. Muszę, prawda?

Louise, nieforemna, pozbawiona indywidualnych cech w skafandrze kosmicznym, stała obok.

– No cóż, w gruncie rzeczy o to chodzi. Słuchaj, Prządko Powrozów, potrzebujemy pilota... –

Przerwała i niepewna wzruszyła ramionami.

Prządka zamknęła oczy i wzięła kilka głębokich oddechów, próbując opanować drzenie, które sięgało głęboko, aż do żołądka.

– Na Letę! To dlatego tak oplatano mnie czujnikami.

– Wybacz, że nie powiedzieliśmy ci wcześniej, w czym rzecz.

Nie wiedzieliśmy, co okaże się lepsze. Czy byłoby ci lżej, gdybyś wiedziała, czego masz się spodziewać?

– Nie dajecie mi wyboru, co?

Louise miała zacięty wyraz twarzy.

– Jesteś naszą najlepszą kandydatką, Prządko. Potrzebujemy cię.

Prządka Powrozów odsunęła na bok wszelkie wątpliwości. Złapała się drabiny i ruszyła w górę.

Zajrzała do kabiny. Była to otwarta kula z rur wykonanych z materiału konstrukcyjnego. Rury ułożono jak najprościej, tak że tworzyły kratownicę. W środku znajdowała się podkowa konsoli sterowniczej z czarnego materiału xeelee. Na konsoli widniały inne urządzenia z matowego metalu. Wyglądały prymitywnie, więc niewątpliwie były tworem ludzkim.

Za konsolą stał fotel, z którego zwisały pasy bezpieczeństwa. Miał bardzo małe rozmiary, tak aby zmieścić się w ciasnej kabinie – za małe dla jakiegokolwiek mieszkańca pokładów, ale w sam raz dla dziecka... lub dziecka-kobiety z dżungli.

– Wchodzę, Louise.

– Dobrze. Ale na miłość życia, Prządko Powrozów, nie ruszaj niczego, dopóki ci nie powiem!

Prządka przerzuciła do środka nogi. W warunkach słabej grawitacji przyszło jej to bez trudności.

Fotel okazał się ściśle dopasowany do jej ciała – co wzbudziło w niej urazę, gdyż najwyraźniej przygotowano go z myślą o niej – i aż za wygodny. Z powodu tego fotela, pasów, które musiała zapiąć na piersiach i na biodrach, oraz ogromnej, napierającej na nią konsoli czuła się jak w paszczy wieloryba. W kabinie krzyżowała się masa tajemniczych cieni rzucanych przez pierścienie Jowisza i Ióda. Było bardzo ciasno; fotel i konsola ledwo się mieściły.

Spoglądała przez przydymioną osłonę hełmu na lodowatą równinę Kalisto. Widziała krępe sylwetki robotów *Północnej*, kapsułę, w której obie wylądowały na księżycu, niewyraźne kształty Louise. Wszystko to wydawało się odległe, niedosiężne. Jedyne ona była rzeczywista – niewielki dyszący kształt obleczony w skafander i wrzucony w pozagalaktyczny statek.

Prządka Powrozów musiała zaakceptować wiele zmian podczas tych kilkudziesięciu lat, które minęły, od kiedy wraz z ojcem i Jutrzejszym Dniem opuściła kopułę mieszkalną. Już to, że się nie starzała, było wystarczającym problemem. Większość współplemieńców z dżungli nie skorzystała z TDS-u i po kilku latach różnice wieku zaczęły się zaznaczać coraz wyraźniej i szybko zwiększać.

Miała siostrzyczkę, najmłodsze dziecko Strugacza Strzał – Zdobicielkę Twarzy. Zanim dziecko stało się równe wiekiem matce, a potem ją przegoniło, Prządka całkiem zaniechała odwiedzin w dżungli.

Życie leśnego ludu biegło bardzo podobnie jak przedtem – zakończenie podróży *Północnej* i śmierć Słońca nic tu nie zmieniły. Bardziej świadoma i mądrzejsza Prządka Powrozów czuła się wyrzucona poza nawias starego, zamkniętego świata.

Odizolowana od swych ziomków z racji wieku i niezwykłych przeżyć usiłowała przywyknąć do niesamowitego Wszechświata poza kadłubem statku. Przez lata wiele się nauczyła; mimo że Louise Ye Armonk odnosiła się do niej z upiorną wręcz wyższością, to często ją zapewniała, iż poczyniła wielkie postępy jak na kogoś, kto wyrastał w warunkach prymitywnej technologii.

Ale teraz zapragnęła całym sercem znaleźć się daleko od tego ponurego, groźnego otoczenia, aby znów nago kroczyć między drzewami dżungli.

– Prządko Powrozów – łagodnie przemówił sztuczny człowiek, Mark Wu. – Musisz się rozluźnić. Twoje wskaźniki napięcia psychofizycznego są stanowczo za wysokie...

– Nie odzywaj się, Mark. – Louise Ye Armonk podeszła do kabiny xeelee, przycisnęła się do czarnych rur i zajrzała do środka. Włączyła światło w hełmie, żeby Prządka widziała jej twarz. – Dobrze się czujesz?

Prządka Powrozów odetchnęła głęboko.

– Nic mi nie jest. – Ze wszystkich siła starała się przemienić irytację na Louise i Marka w uczucie gniewu, które stłumiłoby strach. – Po prostu mów, co mam zrobić.

– W porządku. – Louise uniosła ręce i cofnęła się. – O ile wiemy, klatka, w której siedzisz, to centrum kontrolne nocnego myśliwca. Jak zapewne się orientujesz, przystosowaliśmy ją dla ludzkich potrzeb. Wstawiliśmy ci fotel. Masz nakładki...

– Co...?

– Nakładki sterujące, Prządko. Metalowe skrzynki na konsoli. Widzisz je?

Były trzy, każda długości trzydziestu centymetrów, jedna umieszczona centralnie, dwie po bokach. Z wierzchu wyglądały jak ekrany dotykowe. Wyciągnęła rękę do centralnej skrzynki...

– Ręce przy sobie, do cholery! – warknęła Louise.

Z przestrachem cofnęła palce.

– Prządko Powrozów, sterowniki w tych skrzynkach są połączone ze sterownikami w konsoli, i to tamte naprawdę kierują mechanizmami xeelee. – Louise ledwo panowała nad sobą. – Skrzynki nałożono na urządzenia sterujące, stąd ich nazwa. Dotykając ich, będziesz mogła poruszać statkiem. Nakładki zrekonstruowano na podstawie fragmentów znalezionych w ruinach laboratoriów.

– W porządku. – Prządka Powrozów oblizwała wargi. Poczowała pot wokół ust, zaschniętą, słoną skorupę. – Rozumiem. Do roboty.

Louise uniosła dłonie.

– Nie. Zaczekaj. Nie tak szybko. Zrekonstruowaliśmy nakładki sterujące z części pozostawionych

przez dawnych badaczy. Wierzymy, że będą działać... Ale nie wiemy, co stanie się z nocnym myśliwcem, kiedy to nastąpi – ciągnęła sucho. – Nie wiemy, co się stanie, kiedy ich dotkniesz. Więc musimy zachować cierpliwość. Eksperymentować.

– W porządku – westchnęła Prządka Powrozów. – Ale tamci przedwojenni badacze chyba wiedzieli, co robią. Powinni, no nie?

– Niekoniecznie – wtrącił Mark. – Przecież gdyby faktycznie opanowali technologię xeelee, nie przegraliby wojny...

– Zamilcz, Mark – powiedziała spokojnie Louise. – Prządko. Słuchaj uważnie. Masz trzy nakładki sterujące, trzy skrzynki. Wierzymy... myślimy... że nakładka centralna jest połączona z napędem superprzestrzennym, a pozostałe dwie z wewnątrzukładowym.

– Wewnątrzukładowym?

– Rozpędzającym do szybkości podświetlonej, pozwalającej podróżować wewnątrz Układu Słonecznego. Jasne? Dzisiaj, Prządko, nie będziemy korzystać z napędu superprzestrzennego, prawdę mówiąc, ta nakładka jest niesprawna. Chcemy jedynie przekonać się, co da się osiągnąć za pomocą napędu wewnątrzukładowego. W porządku?

– Tak. – Spojrzała na skrzynki; ekrany dotykowe promieniowały równomiernym światłem, przyjazną żółcią i zielenią.

– Na nakładce z lewej jest żółty ekran dotykowy. Powinien być podświetlony. Widzisz go?

Louise zawahała się.

– Prządko, bądź gotowa na wszystko. Nie wiemy, czego się spodziewać. Coś może się zmienić...

– Jestem gotowa.

– Dotknij żółtego ekranu. Raz, najkrócej, jak możesz... Prządka starała się opanować strach. Uniosła rękę...

*Prządko Powrozów. Nie bój się.*

Drgnęła zaskoczona.

To był bezdźwięczny, znużony głos – głos rozbrzmiewający ze środka hełmu.

Oczywiście była sama w klatce.

*To tylko maszyna – mówił teraz głos – Nie ma się czego bać.*

„Na Letę! – pomyślała. – Co teraz? Czy tracę zmysły?”

Ale, co dziwne, głos – niewidzialny duch obecny w klatce – w jakiś sposób dodawał jej otuchy.

Prządka Powrozów nadal trzymała prawą dłoń nad nakładką. Przycisnęła palec do źródła żółtego światła.

Blask wokół uległ subtelnej zmianie. Nie było żadnego hałasu, ruchu.

Spojrzała w dół, przez pręty kabiny.

Lód znikł. Kalisto znikła!

Wykręciła się w fotelu. Pasy wbiły się w pierś. Wyjrzała na zewnątrz. Pierścienie Jowisza i pękate Słońce zakrywały niebo, które obojętnie potraktowało zniknięcie marnego księżyca. Nie widziała *Północnej*.

Za to po prawej stronie, poniżej nocnego myśliwca, zauważyła grudkę lodu mieszczącą się w jej dłoni.

Czyżby to była Kalisto? Jeśli tak, to pokonała tysiące kilometrów w chwili trwającej tyle co uderzenie serca – i nie poczuła niczego.



Obejrzała się za siebie.

Nocny myśliwiec xeelee rozłożył skrzydła w kształcie nasienia sykomory – długie na setki kilometrów! – i zasłoniły gwiazdy.

Wystarczył dotyk palca i przedwieczny statek xeelee obudził się do życia.

Wrzasnęła i zakryła oczy dłońmi.

Lieserl wyłoniła się z jądra, pokonała warstwę topiącego się wodoru i dokonała przeglądu maserowych pętli konwekcyjnych. Natrafiła na zniekształcone echa ostatniej wiązki sygnałów.

Wyregulowała linki promieniowania mikrofalowego i wysłała nowe przekazy. Dodała ostatnie informacje i potwierdziła – z największym naciskiem i w najprostszym języku, na jaki ją było stać – ostrzeżenia o prawdopodobnej ewolucji Słońca.

Skończywszy te prace, poczuła odprężenie. Kolejny raz zaspokoila pragnienie łączności z ludźmi, kolejny raz uśmierzyła absurdalne, przedwieczne poczucie winy...

Ale dopiero wtedy, kiedy wysłała informacje, zbadała, jak należy, resztki ostatnich przekazów.

Skupiła się na pracy maserów. Przekazy zmieniły się – i tym razem nie chodziło o zwyczajną degradację. Jak to możliwe? Czyżby na powierzchni czerwonego olbrzyma zachodził jakiś niewiadomy proces fizyczny? A może – spekulowała z rosnącym podnieceniem, gdy śledziła charakterystykę zmian – ktoś tam był na zewnątrz, żywy człowiek, i próbował się z nią porozumieć?

Gorączkowo pochłaniała wąski strumień informacji zawarty w wybuchach mikrofal.

Osiem tysięcy kilometrów od Kalisto kapsuły z *Północnej* tworzyły w przestrzeni nierówną sferę. W jej środku tkwił statek xeelee z rozwiniętymi skrzydłami, migocący czarnym światłem, niemal żywy.

Przędka Powrozów siedziała z Louise w ciasnym, szklanym wnętrzu kapsuły. Louise, lekko dotykając panelu sterującego, wprowadziła kapsułę pod nocnego myśliwca; sąsiednie stateczki ślizgały się w przestrzeni niczym bańki światła i ciepła. Skrzydła wyglądały jak rzeźby niezmierniej wielkości, plecionka czerni. Przędka Powrozów słyszała, że Mark coś szepce Louise do ucha, a na ekranie danych, który Louise trzymała na podolku, wyrastały liczby i wykresy.

Przędka Powrozów odsłoniła twarz i rozkoszowała się świeżym powiewem. Wystarczyło nie być skazanym na oddychanie wciąż tym samym, zatechłym powietrzem i już było cudownie.

Grot, wyjęty spod skafandra, wisiał swobodnie na piersiach. Nie przestawała się nim bawić, gładząc obsesyjnie wypolerowane płaszczyzny.

Louise zerknęła na Przędkę.

– Dobrze się już czujesz? – W jej głosie brzmiał przepraszający ton. – Mark dotarł do ciebie najszybciej, jak się dało. I...

Przędka Powrozów skinęła nieznacznie głową.

– Nic mi się nie stało.

– Tak. – Louise znów spojrzała na ekran danych, zafrapowana informacjami na temat nocnego myśliwca. – Tak, świetnie się spisałaś.

– No – burknęła Przędka Powrozów. – Mam nadzieję, że się opłaciło.

Louise oderwała wzrok od ekranu.

– Opłaciło! Wierz mi, Przędko, chociaż może trudno ci to ocenić, jak bardzo. Sam fakt, że nic ci się nie stało, jest niesłychanie doniosły.

Rozległ się głos Marka:

– Pokonałaś setki tysięcy kilometrów w ułamku sekundy. Powinna zostać z ciebie miazga na prętach klatki. Ale nic takiego nie nastąpiło. Coś cię uratowało...

Louise popatrzyła na Prządkę.

– Mark czasem tak się odezwie, że aż robi się ciepło na sercu, prawda?

Roześmiały się. Prządka Powrozów poczuła wreszcie przyływ ożywienia.

– Ale ma rację – kontynuowała Louise. – Dzięki tobie nasza wiedza o nocnym myśliwcu wzrosła lawinowo. Po pierwsze wiemy, jak z niego korzystać, nie zabijając się... Prządko, ta wiedza to różdżka, która pozwala odwrócić każde zagrożenie na naszą korzyść.

Louise poprowadziła kapsułę szerokim łukiem wokół skrzydeł. Wyglądały jak dziura wycięta na rozgwieżdżonym niebie; zachowały dawny kształt nasienia sykomor, ale miały znacznie większy rozstaw. Roboty cierpliwie badały ich powierzchnie.

– W takiej pustce grawitacja skrzydeł oddziałuje na kapsułę – mamrotała Louise. – Mają masę niewielkiej asteroidy... Z mojego ekranu wynika, że układy kapsuły muszą korygować zakłócenia wywołane przez myśliwiec. Podejdźmy troszeczkę bliżej.

Łagodnym łukiem zbliżyły się do skrzydła. W oczach Prządki Powrozów wydawało się skórą jakiegoś czarnego świata; mała kapsuła przesuwiała się równomiernie nad mrocznym pejzażem.

– Skrzydło jest cienkie kontynuowała Louise. – Według naszej oceny niewyobrażalnie cienkie. Z kolei napięcie powierzchniowe jest ekstremalnie wysokie. Innymi słowy powierzchnia ma wysoką gęstość, tak wysoką, że jej pole grawitacyjne jest immanentnie nienewtonowskie, wręcz relatywistyczne... Czy to, co mówię, jest dla ciebie jasne, Prządko?

Prządka Powrozów milczała.

– Słuchaj, z dużej odległości kapsuła była przyciągana przez skrzydła, tak jakby były zbudowane z normalnej materii. Ale nie są! Z daleka widzę różnice.

Zatrzymała kapsułę i powoli zaczęła opuszczać się na skrzydło.

Prządka Powrozów nie potrafiła ocenić rozmiarów gładkiej płaszczyzny. Czy Louise zamierzała na niej wylądować?

Kapsuła zwolniła.

Louise dotknęła przyrządów sterowniczych, próbując zejść jeszcze niżej. Ale mały pojazd kosmiczny kolejny raz zwolnił, zatrzymał się, a potem uniósł w górę, jakby coś go odpychało.

Podniecenie ożywiło twarz Louise.

– Czujesz to, Prządko? Widzisz, co się dzieje? Z bliska powierzchnia ma ujemną grawitację. Odrzuca nas!

Prządka Powrozów zmierzyła ją wzrokiem.

– Znam cię, Louise. Już wyobraziłaś sobie, jak działa napęd nieciągłości. Spodziewałaś się tego efektu antygravitacyjnego, prawda?

Louise uśmiechnęła się i wskazała machnięciem ręki statek xeelee.

– Hm, niech ci będzie. Może poczyniłam kilka hipotez. Ten to nie czary. Nie działa nawet przy wykorzystaniu efektu antygravitacyjnego. To tylko ćwiczenie w zaawansowanej fizyce. Oczywiście, nas nie stać na zbudowanie czegoś takiego. – Przeniosła spojrzenie w dal. – Przynajmniej na razie...

– Opowiedz mi, jak to działa, Louise.

– W warunkach ekstremalnego ciepła i ciśnienia czasoprzestrzeń osiąga stan całkowitej symetrii

– powiedziała Prządce Louise. – Podstawowe siły fizyki łączą się w jedno superoddziaływanie. Kiedy warunki łagodnieją, symetria pęka. Oddziaływania fizyczne – grawitacyjne, wewnątrzatomowe, elektromagnetyczne – ulegają rozmrożeniu. Teraz wyobraź sobie wodę zamarzającą w lód – wyjaśniała dalej. – Przypomnij sobie, co widzieliśmy na Kalisto, wszystkie te skazy. Zamrażanie wody nie następuje równomiernie, symetrycznie. Zwykle w lodzie pojawiają się defekty, miejsca nieciągłości. I podobnie jest z oddziaływaniami fizycznymi. Kiedy ulega rozmrożeniu stan jednolity, pojawiają się dyslokacje lecz w tym wypadku dotyczą one samej czasoprzestrzeni.

Przestrzeń jest trójwymiarowa. Mogą pojawić się trzy rodzaje stałych zniekształceń, zależnie od ilości wymiarów. Te zniekształcenia dotyczą punktów – i są to m o n o p o l e, pojedyncze bieguny magnetyczne; linii – to kosmiczne struny lub obszarów – wtedy mówi się o ścianach domenowych.

Są to autentyczne zniekształcenia czasoprzestrzeni. W ich obrębie występują płaszczyzny – lub punkty, czy też linie – pozornej pustki, miejsca, w których nadal panują warunki ogromnej gęstości, symetrycznego, ujednoliconego stanu – jak w przypadku kałuż wody uwięzionych w lodzie.

– Te zjawiska mogą powstać w sposób naturalny – powiedziała Louise. – Więcej, zapewne wiele z nich powstało, kiedy Wszechświat rozszerzał się po wielkim wybuchu. I przypuszczalnie zniekształcenia te można też wywoływać sztucznie – dodała wolniej.

Prządka Powrozów spoglądała na nocnego myśliwca.

– Chcesz powiedzieć...

– Twierdzę, że xeelee umieją tworzyć i kontrolować zniekształcenia czasoprzestrzeni. Uważamy, że „skrzydła” nocnego myśliwca są zniekształceniami – ścianami domenowymi, owiniętymi pętlami i ze strun kosmicznych. Prządko, xeelee używają powierzchni antygravitacyjnych do napędzania swojego statku kosmicznego...

Ściany domen są immanentnie niestabilne; pozostawione samym sobie rozpadają się w wybuchach promieniowania grawitacyjnego i mają skłonność do rozchodzenia się z prędkością podświetlną. Co istotne, nocny myśliwiec xeelee musi aktywnie stabilizować zniekształcenia, zapobiegając temu zjawisku, a następnie destabilizować zniekształcenia, wytwarzając napęd.

Louise wierzyła, że panowanie nad antygravitacją ścian domenowych jest niezbędnym warunkiem osłony klatki pilota przed efektami przyspieszenia.

– To, co mówisz, jest niemożliwe – zaprotestowała Prządka Powrozów.

– Nie ma słowa „niemożliwe” – prychnęła Louise, wyraźnie podniecona niesłychanymi osiągnięciami inżynierskimi xeelee. Prządka nigdy nie widziała jej równie ożywionej i rozentuzjasmowanej. – Dzięki tobie zaczęliśmy rozumieć, jak działa nocny myśliwiec, to ty dokonałaś przełomu. A, co więcej, dowiedzieliśmy się, jak korzystać z myśliwca i się nie zabić.

Prządka Powrozów zmarszczyła czoło.

– I poznanie tej maszyny jest takie ważne?

Louise spojrzała na nią z powagą.

– Prządko, muszę omówić to z tobą do końca. Ale już podejrzewam, że ta, jak ją nazywasz „maszyna”, zadecyduje o przetrwaniu naszego gatunku, który może zginąć wraz z wygaśnięciem Słońca.

Prządka Powrozów wpatrywała się w statek xeelee, w zastępy robotów snujących się nieznużenie po skrzydłach.

Być może Louise miała rację; być może zrozumienie zasady działania tej maszyny faktycznie

pozwole ją ujarzmić. Nocny myśliwiec xeelee nie był potworem. Był narzędziem – czymś, co ludzie mogli wykorzystać.

– W porządku – powiedziała. – Co dalej?

Louise uśmiechnęła się szeroko.

– Dalej? Wydaje mi się, że należałoby sprawdzić, czy nie dałoby się oblecieć Układu Słonecznego. Na Letę, chciałabym zobaczyć, co się tam dzieje. – Jej twarz przybrała zawzięty wyraz. – I bardzo zależy mi na tym, żeby się dowiedzieć, co dzieje się z naszym Słońcem..

## Rozdział 18

Milpitas odłożył długopis.

Przedmiot uniósł się z biurka i zaczął się oddalać, koziółkując w zwolnionym tempie; poirytowany planista złapał go szybko i wsadził do szuflady. Tam mogło latać sobie do woli, bezczelne gównu,

Sztywno powstał z fotela i powoli opuścił gabinet.

Cienkie białe liny biegły wzdłuż korytarzy świątyni. Trzymając się liny, można było zachować iluzję – wobec siebie i wobec innych – normalnego poruszania się. Minał inną pianistkę, młodą kobietę o ładnie uformowanej nagiej czaszce. Jej nogi zakrywała długa szata, tak że przynajmniej na pierwszy rzut oka wydawało się, iż faktycznie idzie. Milpitas uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała mu skinieniem głowy.

„Znakomicie” – pomyślał. Oczywiście, to była rada na tę upiorną, niegodną sytuację, na brak ciężenia. Nie należało przyjmować tego do wiadomości ani zakłócać normalnego biegu spraw i zwyczajnego, gładkiego toku myślenia. W ten sposób można było przetrwać aż do przywrócenia grawitacji. Przesuwał się korytarzami świątyni, mijał gabinety pianistów, pospiesznie przerobione na wieloosobowe sypialnie i magazyny żywności. Zza zamkniętych drzwi dobiegał przyciszony pomruk jego ludu, natomiast za murami świątyni wciąż smutno zawodził klakson.

Przemierzał wnętrze budynku, kierując się do jego połyskliwej fasady. Od ogłoszenia stanu wyjątkowego przeprowadzał taką inspekcję podczas każdej zmiany. Oczywiście, jego pomocnicy stworzyli gęstą sieć wywiadowczą i kiedy tylko zażądał, spływała na jego biurko rzeka raportów. Dzięki starannie wybranym gościom utrzymywano również pewien kontakt z innymi świątyniami. Jednakże mimo posiadania tych wszystkich danych Milpitas dochodził do wniosku, że nic nie równało się z bezpośrednią lustracją.

I pochlebiał sobie, iż być może jego lud – zagubione dzieci zebrane tu pod płaszczem jego opieki w dobie największego kryzysu – doznawał pocieszenia, wiedząc, że on, planista Milpitas, jest wśród nich.

Ale co będzie, jeśli grawitacja nigdy nie zostanie przywrócona?

Pogładził się po podbródku, macając blizny spowodowane TDS-em.

Będą musieli się przystosować. Nic prostszego. Zaprojektował już ogólny schemat lin rozciągniętych na wszystkich pokładach i zaiste nic nie stało na przeszkodzie, aby prowadzić normalne życie – a w każdym razie, coś na jego podobieństwo.

Dyscyplina pianistów przetrwała prawie tysiąc lat. Lokalne problemy z grawitacją na pewno jej nie podważą.

Niestety nie dało się usunąć z pamięci pewnych wydarzeń zwłaszcza tych najmniej przyjemnych. Na przykład chwili, w której grawitacja znikła. Milpitas pamiętał, jak kurczowo złapał się fotela, na którym siedział, patrząc ze zgrozą, jak przedmioty z jego biurka – zwykłe, banalne, codzienne, ale niezbędne przedmioty – zdradzają go, unosząc się w powietrze.

Na pokładach wybuchła panika.

Milpitas uruchomił syrenę – której dźwięk nadal się rozlegał – Wzywając lud do siebie, pod opiekę świątyni.

Powoli, jeden po drugim lub w małych grupkach, ludzie przybywali do niego, ogarnięci przerażeniem. Poumieszczał ich w gabinetach, dając poczucie bezpieczeństwa w postaci czterech solidnych ścian.

Ludzie tłoczyli się bezradni, wisząc w powietrzu. Rozwinięto liny, potężne sieci łowiące podrygujące dwunogie ryby. Sprowadzono do niego wszystkich mieszkańców. Opanowani katatonicznym lękiem mieli pobielale, znieruchomiałe twarze.

Dotarł do kadłuba świątyni. Fasada ze złoconego szkła wdzięcznie opadała nad jego głową, łagodząc ostre światło pokładów, szkielet nośny rzucał długie, łagodne cienie na wewnętrzne korytarze.

...Zauważył jednak, że światło było dziś jakieś inne. Szybko spojrzał w górę. Promienie szarego światła pokładów, ostre i nie przytłumione, padały przez dziury w złotym szkłe. Przy każdej z nich wisiał strażnik przywiązany liną.

Dziury wybiły w ciągu ostatnich minut lub godzin warty; z pewnością ktoś lub coś zagroziło świątyni.

Najbliższy strażnik dostrzegł Milpitasa. To była kobieta. Nerwowo przyciskała kuszę do piersi.

Uśmiechnął się do niej i pomachał dłonią. Kiedy uznał, że już się uspokoiła, opuścił oczy i ruszył dalej.

„Niech to szlag!” – zaklął w myślach. Jego opanowanie i dobry nastrój znikły całkowicie na widok wart i wybitych szyb. Oczywiście on sam na wszelki wypadek rozstawił strażę. Całym sercem jednak pragnął, by obecność wartowników okazała się niepotrzebna, by na zewnątrz nie zaszły żadne, kolejne zmiany.

Najwyraźniej te pragnienia się nie ziściły. Plany zaludnienia pokładów będą musiały poczekać na realizację.

No cóż, tu, w świątyni, nadal nie brakowało pożywienia i wszystkiego, czego ludzie potrzebowali do przetrwania. A gdy opustoszeją magazyny, nanoroboty desenektyzacyjne zadbają o podtrzymanie życia załogi; sprawią, że wiekowe ciała będą konsumować same siebie, korzystając z zapasów dostarczanych z coraz to głębszych pokładów organizmu i spełniając tylko podstawowe funkcje życiowe.

A nawet gdy wyczerpią się rezerwy, nie będzie to miało żadnego znaczenia.

Lud pozostanie z nim, planistą Milpitasem. Tutaj, w świątyni. W warunkach bezpieczeństwa. Musi zadbać o przyszłość gatunku. Taką miał misję; misję, którą wypełniał niezachwianie przez wieki. Nie zamierzał poniechać obowiązków i przerzucać ich na podwładnych.

Nawet gdyby oznaczało to zatrzymanie ich tu na wieczność.

Skrzydła nocnego myśliwca wisiały nad zniszczoną powierzchnią Stacji Sol.

Relatywistyczne efekty lotu – wyraźne przesunięcie w stronę niebieskiej części widma, które widziała przed sobą, poświata równikowa gwiazd okalająca niebios – szybko zacierały się w ośrodku wrażeń zmysłowych Przędki Powrozów. Wszechświat przybierał normalny wygląd; wynędzniałe gwiazdy tworzyły regularny wzór niebie, którego znaczną część zasłaniało ogromne, poczerwieniałe Słońce.

Cofnęła dłonie z nakładek sterujących i rozluźniła się na fotelu. Zamknęła oczy i starała się opanować drżenie rąk.

Piła sok jabłkowy przez ustnik hełmu. Płyn dziwnie smakował – jak zwykle, z powodu dodatków energetycznych. Nogi i ręce zeszywniały, mięśnie odmawiały posłuszeństwa po dwóch dniach w klatce z materiału konstrukcyjnego. Układ odprowadzający produkty przemiany materii znów ją uwierał i czuła na plecach fałdę materiału, która wbijała się w ciało z całym zapalem, na jaki było ją stać. Nawet powróż zawiązany na biodrach ograniczał jej ruchy.

– Prządko Powrozów, słyszysz mnie? – To był głos Louise z przytulnej koi w kajucie przymocowanej do kadłuba nocnego myśliwca. – Dobrze się czujesz?

Prządka Powrozów westchnęła.

– Tak dobrze, jak to tylko możliwe.

Złożyła dłonie i tarła palcami o materiał rękawic, starając się rozluźnić mięśnie. Doszła do wniosku, że największy kłopot sprawiają jej skurcze dłoni. Statkiem kierowały komputery zainstalowane przez Louise w kajucie, ale Prządka Powrozów wciąż musiała korygować kurs ręcznie.

– Prządko, chcesz zwinąć skrzydła?

Nacisnęła nerwowo guzik na nakładce sterującej po lewej stronie. Nie zawracała sobie głowy sprawdzaniem, czy kontrolowane zniekształcenia czasoprzestrzeni wygładziły się same. Po zwinięciu skrzydeł światło w klatce przybrało trochę na sile,

– W porządku. Chciałabyś przejść na chwilę do kajuty?

„Jeszcze jeden cholerny spacer w przestrzeń kosmiczną?” – pomyślała. Zamknęła oczy. Piekły ją z wyczerpania.

– Nie, dzięki, Louise.

– Tkwisz w tym fotelu już trzydzieści sześć godzin. Musisz na siebie uważać, Prządko.

– Czym się martwisz? – spytała kwaśno. – Moimi odleżynami?

– Nie – odpowiedziała ze spokojem Louise. – Bezpieczeństwem myśliwca...

Prządka Powrozów szybko przekonała się, że loty nocnym myśliwcem są naprawdę długie. Louise udało się wydobyć z napędu nieciągłości moc pozwalającą na osiągnięcie ponad połowy szybkości światła. Fantastyczne. Ale większość Układu Słonecznego była pusta. Rozległa i pusta. W trakcie podróży niewiele się zmieniło, nawet po upływie godziny – ale tym gorsze były chwile kiedy pikowała ku jakiejś planecie czy księżycowi. Więcej, przeżywanie tak niesłychanej prędkości było wprost przerażające.

Nie czuła efektów przyspieszenia i Louise zapewniła ją, że skafander – i klatka z materiału konstrukcyjnego – zabezpieczają przed wszelkim twardym promieniowaniem lub ciężkimi cząstkami, które może napotkać.... Niemniej jednak musiała siedzieć w tej cholerniej klatce i patrzeć na przesunięcie w stronę niebieskiej części widma gwiazd.

Może xeelee nigdy nie mieli zawrotów głowy wywołanych wysokością, ale ona poznała tę dolegliwość aż za dobrze.

– No, jesteśmy na Stacji Sol. Jak długo chcesz tu zostać?

Louise zawahała się.

– Chyba niedługo. Nie spodziewałam się, że coś tu znajdę, i dalej się tego nie spodziewam.

– To zostanę w kapsule. Gdy się stąd wydostaniemy, zaraz zrobi mi się lepiej.

– W porządku. Przyjmuję to do wiadomości. Prządko Powrozów, opowiedz mi, co widzisz.

Niechętnie otworzyła oczy i wyjrzała na zewnątrz.

W porównaniu z pozostałościami układu Jowisza panowała tu pustka.

Słońce było kulą barwy zagaszonej czerwieni, widoczną po jej prawej ręce. Nawet tu, na obrzeżu Układu, miało wielkość ogromnego dysku i promieniowało krwistym blaskiem.

Po lewej ręce Prządki Powrozów wirował świat, który Louise nazywała „Stacja Sol” – mały księżyc poblizniony setkami kraterów, głębokich i zaskakująco regularnych. Dostarczał starożytnym statkom fazowym lodowego paliwa. Nadal stały na nim budynki, gęstwina osiedli rozsypana na całej powierzchni; Prządka Powrozów dostrzegała szczątki kopuł, pylonów i łuków, całej tej absurdalnie kosztownej architektury specyficznej dla warunków mikrogravitacji.

Jednakże budynki były zamknięte, ciemne, pokryte cienką warstwą szronu; pylony i wdzięczne kopuły zapadły się, a kawałki szkła i metalu sterczały jak połamane kości.

– Część poznaję – odezwała się Louise. – Mam na myśli krajobraz. Mogłabym nawet podać ci nazwy miejsc. Uwierzyłabyś w coś takiego, po pięciu megalatach? Ale ten wygląd świadczy chyba, że stację porzucono niebawem po tym, jak odleciałam. Kiedy tylko zdobyto napęd superprzestrzenny, liniowce squeemów o napędzie fazowym – a nawet tunele czasoprzestrzenne – musiały nagle stać się przestarzałe. Dalsze utrzymywanie stacji okazało się ekonomicznie nieuzasadnione. Ciekawe, jak wyglądały jej ostatnie dni... Być może przez jakiś czas służyła za atrakcję turystyczną. I pewnie było paru takich, którzy nie chcieli wracać do zatłoczonego Układu Słonecznego. Niewykluczone, że część z nich została, aż w końcu terapia desenektywacyjna przestała działać... Może. Ale wolałabym, żeby z okazji zamknięcia stacji urządzono wielką imprezę – i szlus.

– Jak stacja przetrwała wojny?

– A kto w ogóle zawracał sobie nią głowę? – powiedziała sucho Louise. – O co warto było się tu bić? Przecież tutaj nie było niczego do zniszczenia. Prządko, Stacja Sol z pewnością stała opuszczona przez większą część pięciu megalat od wyruszenia *Północnej*. Dryfowała wokół obrzeża Układu, nie zauważona i nigdy nie odwiedzana, podczas gdy fale wojen z xeelee zatapiały światy wewnętrzne. Zapewne Układ jest zaśmiecony takimi porzuconymi, odległymi obiektami. Kto by chciał ich szukać, badać je, eksploatować, czy nawet zniszczyć? Po ludziach zostały tylko wspomnienia – błakające się duchy i zmurszałe kości.

Prządka Powrozów roześmiała się niepewnie, nie przyzwyczajona do takich refleksji Louise-inżyniera.

Rozejrzała się po niebie.

– Nie podoba mi się tu – wyznała. – Jest pusto. Wydawało mi się, że układ Jowisza jest nieciekawym, ale...

Poza Słońcem i Stacją Sol świeciły jedynie odległe, przygaszone gwiazdy, niewiarygodnie dalekie. Ten obskurny ogrom działał przygniatająco; poczuła się wątłym płomyczkiem ludzkiego ducha pozbawionym jakiegokolwiek znaczenia w obliczu wszechobecnej czerni, tak jak słabutki blask świateł ekranów dotykowych na nakładkach sterujących.

„Pustka, nicość – pomyślała. – Tak naprawdę wygląda Wszechświat. Życie i różnorodność to izolowane wyjątki”.

Dżungla na pokładzie *Północnej* zamknięty świat, który w dzieciństwie wydawał się jej ogromny – był tylko nie przystającym do reszty, dalekim nieistotnym strzępkim w ogromnej pustce.

– Wiem, jak się czujesz – stwierdziła Louise. – Nad Jowiszem przynajmniej coś było na niebie. Zgadza się? Posłuchaj mnie, Prządko, to tylko kwestia skali. Stacja Sol jest obiektem Kuipera –



lodową kulką wędrującą wokół Słońca w odległości około pięćdziesięciu jednostek astronomicznych, to znaczy...

– Wiem, co to znaczy.

– Prządko, Jowisz jest zaledwie pięć jednostek od środka Słońca. Więc znajdujemy się dziesięć razy dalej od serca Układu niż *Północna*... na samej jego krawędzi i inne ciała – poza Słońcem – wyglądają niczym punkty świetlne, umykające nieuzbrojonemu oku. Prządko, w tym miejscu możemy spodziewać się wyłącznie pustki.

– Jasne. Więc powiedz mi, jak się tu czujesz.

Louise zawahała się.

– Prządko Powrozów, pięć milionów lat temu przybyłam tu do pracy. W tamtych dawnych czasach, kiedy budowano „Wielką Północną”...

Louise opowiadała o rojnych, rozrastających się, żywotnych społecznościach, które znalazły sobie miejsce między wiekowymi lodowatymi wieżyczkami obiektu Kuipera. Niebo było pełne statków fazowych i gwiazd, a Słońce słało jasny żółty blask, stojąc w znaku Koziorożca.

– Ale teraz popatrz, Prządko Powrozów... – kończyła przez ściśnięte gardło Louise – nawet z takiej dali, nawet z odległości pięćdziesięciu jednostek astronomicznych to cholerstwo jest dwa razy większe niż Księżyc widziany ze starej Ziemi. To wręcz nieprzyzwoitość! Ani przez chwilę nie mogę zapomnieć, co się stało.

Prządka Powrozów siedziała przez moment w milczeniu. Wspomnienia Ziemi nie miały dla niej żadnego znaczenia, ale ból w głosie Louise sprawił, że nie mogła pozostać obojętna.

– Louise, chcesz tu wylądować?

– Nie. Tu nic nie ma... Pokierował mną impuls; nic nie wskazuje na to, żeby cokolwiek przetrwało. Wybacz, Prządko.

Ta westchnęła.

– Dokąd teraz?

– No cóż, ponieważ jesteśmy skazani na błądzenie po omacku, zostaniemy na razie w tym miejscu. Wciąż przechwytyjemy przekazy z tej odległej latarni kierunkowej.

– Skąd przychodzą?

– Z bardzo daleka, z odległości jakichś stu jednostek astronomicznych – i do tego kawał drogi od płaszczyzny równikowej Stacji Sol. Prządko, wygląda na to, że czekają nas kolejne dni w siodle. Wytrzymasz to?

Prządka Powrozów westchnęła.

– Nie zapowiada się, że będzie przyjemniej. Ale i nie gorzej, czyż nie?

Pomyślała również, że nie wygląda na to, aby miała wielką ochotę na powrót do bazy, którą ustanowili pośród ruin układu Jowisza.

– Miejmy to z głowy.

– W porządku. Już nakreśliłam ci kurs...

Garry Uvarov doszedł do wniosku, że nie może być mowy o prawdziwym dialogu między Lieserl – dziwnym, samotnym wygnańcem w Słońcu – a załogą *Wielkiej Północnej*, która powróciła z rejsu.

Trup Jowisza był tylko o godzinę świetlną od centrum Słońca-olbrzyma, ale maserowe przekazy Lieserl potrzebowały znacznie więcej czasu na pokonanie ścian ogromnych komórek konwekcyjnych. Tak więc łączność między *Północną* a przestarzałym interfejsem tunelu czasoprzestrzennego, który

podtrzymywał świadomość Lieserl, zabierała kilka dni.

Tym niemniej z chwilą nawiązania kontaktu wąty link zaczął dostarczać niesłychanych informacji, co prawda niesynchronicznie, ale stale.

– Niewiarygodne – mruknął Mark. – Ona pochodzi z naszej ery. Została umieszczona w Słońcu niemal dokładnie wtedy, kiedy wysłano nas w podróż.

Głos Marka brzmiał tak, jakby jego źródło było w głowie Uvarova. Starzec obrócił w lewo i prawo niewidzącą twarz.

– Znów zapomniałeś umiejscowić się w przestrzeni – warknął. – Wiem, że jesteś podekscytowany, ale...

Odebrał delikatny wstrząs. Pewnie wirtual Marka rekonfigurował się w salonie.

– Przepraszam – powiedział Mark z punktu nad głową Uvarova. – Na ile mogę to ocenić, jest człowiekiem. W każdym razie odwzorowaniem człowieka. Ta kobieta była tam sama przez pięć milionów lat, Uvarov! Wiem, że nie przetrwałaby tyle czasu jako normalna istota ludzka, ale i tak... To kolejne przedsięwzięcie Superet, takie jak my. Stąd ta zbieżność dat. I ona, i my z pewnością pochodzimy z najbardziej aktywnego okresu Superet.

Uvarov uśmiechnął się.

– Być może. Ale co wynikło z tych wszystkich imponujących planów? Superet zamierzała skorygować przyszłość ludzkości, zapewnić nam sukces. A jaki jest tego wynik? Mamy jeden na wpół zwariowany relikwiarz w postaci kobiecego wirtuala, płaczącego się wewnątrz Słońca, jeden rozwalony statek fazowy, *Północną*, a Słońce stało się olbrzymem w wymarłym Układzie Słonecznym. – Poruszył zeszywniałymi wargami, lecz nie miał w ustach tyle śliny, by splunąć. – Trudno nazwać to triumfem. Oto cały efekt szumnych zabiegów ludzkości, kiedy przyszło się zmierzyć z większym kawałkiem czasu. Oto, co pozostało z osiągnięć Superet!

– Ale Lieserl badała historię ludzkości. Co prawda w cząstkach, z dystansu, ale osiągnęła więcej, niż kiedykolwiek dowiemy się z innych źródeł. Straciła kontakt z resztą gatunku dopiero wtedy, kiedy ludzie wkroczyli w ostatnią epokę, epokę asymilacji, kiedy zdecydowali się na bezpośredni wyścig z xeelee.

Uvarov był pochłonięty misją Lieserl.

– Zastanawiam się, czy żalosne strzępki danych są wystarczającą rekompensatą za samotność tej nieszczęśliwej w sercu umierającej gwiazdy, samotność trwającą setki tysięcy cykli życiowych człowieka.

Mark zsyntetyzował dźwięk imitujący pociągnięcie nosem.

– Nie wiem – przyznał szczerze. – Może jesteś lepszym filozofem ode mnie, Uvarov; może potrafisz ocenić te dane pod kątem moralnym. W tym momencie nie obchodzi mnie źródło ich pochodzenia.

– Tak – powiedział Uvarov. – Tego się po tobie spodziewałem.

– Jestem po prostu zadowolony, że dzięki Lieserl udało się nam czegoś dowiedzieć o losach ludzkości przez ostatnich pięć megalat i o fotinowych ptakach.

– Jakich fotinowych ptakach...?!

– To określenie Lieserl. – Tembr głosu Marka zmienił się; Uvarov wyobraził sobie, że jego głupia gęba, składająca się z kulek pikseli, układa się w uśmiech. – Zrealizowała cel swojej misji, natrafiła strumienie ciemnej materii wysysające energię z jądra Słońca. Ale to nie był jakiś fizyczny proces, jak spodziewali się jej projektanci; Lieserl znalazła życie, Uvarov! Nie jest samotna.

Otoczają ją fotinowe ptaki. I wydaje mi się, że ich towarzystwo sprawia jej przyjemność...

– Lieserl... – Uvarov upajał się nietypowym brzmieniem imienia. – Niezwykle imię, nawet tysiąc lat temu. – Poszukiwał w szwankującej pamięci zapomnianych faktów. – Einstein miał córkę o imieniu Lieserl. Chodzi mi o Alberta Einsteina, tego...

– Wiem, kim był Albert Einstein.

– Jego żona miała na imię Mileva. Czemu pamiętam takie rzeczy...? Spłodził dziecko, Lieserl – ale nieślubne, z tego, co wiem. To była wielka hańba na początku dwudziestego wieku. Dziecko zostało adoptowane. Einstein musiał wybierać między nim a karierą naukową... swoją wspaniałą karierą. Cóż za decyzja dla każdego człowieka! Więc ta kobieta nosi imię bękarta. Imię będące synonimem opuszczenia! Jakże trafnie. Jaka samotna musiała się czuć... A teraz raduje się towarzystwem ożywionej ciemnej materii. Ciekawe, czy nadal pamięta, że była kiedyś człowiekiem – zakończył z namysłem.

Stacja Sol leżała dwadzieścia godzin świetlnych od latarni kierunkowej, jak oceniła Lieserl. Nocny myśliwiec potrzebowałby na przebycie tego dystansu pięćdziesięciu godzin.

Przędka Powrozów manewrowała z coraz większą pewnością prostymi urządzeniami sterującymi. Rozwinęła żagle-skrzydła nocnego myśliwca. Obejrzała się przez ramię. Widok częściowo zasłaniała jej kajuta Louise, naprędce wzniesiona kabina w miejscu łączenia skrzydeł, tuż za klatką pilota. Cumowała tam również jedna z małych, szklanych kapsuł *Północnej*.

Nocny myśliwiec osłaniał kajutę z Louise w środku, wykorzystując podczas ekstremalnego przyspieszenia efekt antygravitacyjny ściany domenowej. Po wielu eksperymentach przekonano się, iż wystarczy dobrze połączyć kajutę i inne dodatkowe urządzenia z kadłubem, a zdezorientowany myśliwiec potraktuje je jako swoje integralne części i zapewni im bezpieczeństwo.

Mimo ciężarów dołożonych przez ludzi krawędzie skrzydeł iskrzyły się od kosmicznych strun, kiedy statek pokonywał setki kilometrów, wlokąc za sobą czarne jak noc ściany domenowe. Rozwinięte skrzydła olśniewały wdziękiem i delikatnością, niezwykle w przypadku tak ogromnego obiektu, równocześnie emanując niesłychanym wigorem, potężną mocą.

Dotknęła nakładek.

Skrzydła zafalowały.

Przez niewyobrażalnie krótką chwilę przed oczami miała widok znikającej stacji, przysadzistych budynków i rany w lodowej skorupie; obrazek jawiący się w przebłysku światła. Wszystko to z przerażającą, obezwładniającą szybkością skurczyło się w świetlisty punkt.

Księżycowy świat przepadł. Stacja Sol zmalowała poniżej progu widzialności i Przędce Powrozów zabrakło punktu odniesienia, dzięki któremu mogłaby ocenić prędkość, aż przesunięcie w stronę niebieskiej części widma zabarwiło widoczne w oddali gwiazdy, świadcząc o powolnym, ale niepowstrzymanym przyroście szybkości. Przez kilka godzin efekty relatywistyczne przydawały podstarzałym obiektom sztucznego blasku, jakim kiedyś się pyszniły.

...I znów odniosła to nieuchwytnie wrażenie, że ktoś jest z nią w kabinie pilota – niewątpliwie jakiś człowiek wpatrujący się ze smutkiem razem z nią w zniebieściałe gwiazdy.

Zastanawiała się, czy powiedzieć o tym Louise. Ale towarzysz podróży – prawdziwy czy nie, obecny w jej oglupiałej głowie czy poza nią – w niczym jej nie zagrażał.

A poza tym, co by to dało Louise? Co by na to poradziła?

Kiedy poświata równikowa gwiazd kolejny raz ukazała się wokół niej, Przędka Powrozów

włączyła antyreflektant osłony hełmu, poszukała wygodniejszej pozycji, aż fałdka uwierająca w plecy się rozprostowała, i spróbowała zasnąć.

Powolne, szerokie orbity Stacji Sol i latarnia kierunkowa tworzyły kąt prosty, którego wierzchołkiem było Słońce. Louise wytyczyła kurs nad tym wycinkiem koła, wysoką trajektorię nad płaszczyzną Układu Słonecznego. Droga nocnego myśliwca przypominała skok pchły z jednej krawędzi wycinka na drugą.

Słońce przysiadło jak nabrzmiały groteskowy pajak w sercu zniszczonego Układu. Wszystkie wewnętrzne planety – Mars, Wenus, Ziemia i Księżyc – przepadły... poza jedynym Marsem, który zredukowany do wypalonego węgielka i z pewnością pozbawiony życia krążył wokół nowego czerwonego olbrzyma, ocierając się o jego zewnętrzne warstwy.

Za kilka tysiącleci ta niestabilna orbita miała ulec zniekształceniu i również Marsa czekały płomienie.

Zewnętrzne gazowe giganty – Saturn, Uran, Neptun – przetrwały bez większych zmian. Tylko Jowisz się skurczył. Ale skrajny element Układu – podwójny świat Pluton-Charon – znikł.

Prządka Powrozów słuchała Louise opisującej te zjawiska.

– Gdzie więc podział się Pluton? – zapytała.

– Nie mam pojęcia – odparła Louise. – Nie widzę żadnych śladów na starej orbicie. Może nigdy się tego nie dowiemy. Prządko, wygląda na to, że większość ciał niebieskich Układu dostała tęgie lanie. Po części jest to spowodowane nowym, ekstremalnym stanem Słońca... ale po części może czyjaś celową działalnością.

Kiedyś Układ Słoneczny był gospodarzem miliardów drobnych ciał. Obłok Oorta-Opika obejmował rój setek miliardów komet krążących w rozległej, chociaż ograniczonej przestrzeni. Najbliższe miały do Słońca cztery miesiące świetlne, najdalsze – trzy lata. Teraz ten wieniec się rozmył.

– Rosnące Słońce musiało zniszczyć wiele komet – powiedziała Louise. – Wyparowały pod wpływem ogromnego żaru w jednym, ostatnim przebłyску... Ich śmierć była pewnie widoczna z innych układów, a spektrum słonecznemu na krótko przybyła linia wodna, rodzaj spektralnego pożegnania w Układzie Słonecznym, jeśli został ktokolwiek mogący je odebrać.

Bliżej Słońca krążyły obiekty Kuipera w rodzaju Stacji Sol, lodowe światy zahaczające o najszerze orbity planet. A w całym Układzie była masa pierścieni składających się z małych obiektów, asteroid spędzonych na zmienne orbity interakcją wielkich planet.

– Ale te wszystkie pierścieniowe światy są wyludnione – stwierdziła Louise. – Oczywiście po części jest to spowodowane wymuszoną ewolucją Słońca; nie wspomnę o utracie trzech wewnętrznych planet. Jednakże wiele z małych obiektów musiało być zaludnionych do czasu wojen z xeelee.

– To znaczy, że potem zostały celowo zniszczone w wyniku działań wojennych?

– Zgadza się.

Prządka Powrozów przepłukała usta sokiem jabłkowym, żałując iż nie da się go wypluć, a jeszcze bardziej tego, że na razie nie ma mowy o umyciu zębów.

Jej wiedza o Układzie Słonecznym ograniczała się tylko do tego, co podsunęła jej Louise, ale miała wrażenie, że był to ogromny, tętniący życiem, świetnie prosperujący obszar. Istniały w nim wielkie orbitalne habitaty-miasta, gęsto zaludnione światy połączone tranzytowymi tunelami

czasoprzestrzennymi i statkami, które jak ogromne ekstrawaganckie romby przecinały oblicze złotożółtego Słońca. Dawniej po cichu marzyła – mimo ponurych ostrzeżeń Superet – że wyląduje na którymś z tych światów i okaże się, że wszystko jest takie jak w lekturach.

Ale zamiast tego miała przed oczami zdegenerowane Słońce i zrujnowane światy... wyglądało na to, że nawet tunele czasoprzestrzenne zostały zamknięte. A ona siedziała w kabinie pilota pozagalaktycznego statku kosmicznego, ścigając przez wiele miliardów kilometrów jeden, smutny, izolowany sygnał z latarni kierunkowej!

Rozpoczęła proste ćwiczenia gimnastyczne możliwe do wykonania bez opuszczania fotela.

– A więc tak, Louise. Mówisz, że Słońce jest martwe. Układ jest martwy. I jesteś... wytrącona z równowagi. A czego się spodziewałaś?

– Niczego. Miałam nadzieję, iż ujrzę więcej – wyznała Louise. – Ale wygląda na to, że powolne zniszczenie Słońca, połączone z atakami xeelee, wystarczyło, żeby wyczyścić cały Układ...

Prządkę Powrozów nagle ogarnęła głęboka depresja, jakby ciężar wszystkich lat i setek miliardów istnień ludzkich, po których zostało jedynie kosmiczne śmietnisko, wgniał ją w podłogę.

– Louise, nie chcę więcej o tym słuchać.

– W porządku. Prządko...

Wyłączyła słuchawki.

To samo zrobiła z osłoną hełmu i nakazała jej w myślach zapalić uspokajające, chłodne, zielonkawe światło, światło, jakie chłonęła w dzieciństwie, kiedy promienie sztucznego Słońca pokonały już gęste listowie. Mięśnie, prężące się podczas kolejnych ćwiczeń, wyzwoliły falę ciepła, która zalała ją całą.

Wyjąca syrena towarzyszyła naradzie wojennej oddziału Jutrzejszego Dnia.

– Przeprowadziłem zwiad – powiedział Mark. – Według mnie na wszystkich pokładach jest tak samo. Nigdzie nie ma ludzi. Wszędzie pustka... Wszystkich zabrano do świątyni. I niełatwo będzie ich wydostać.

– To zostawmy ich tam – zaproponowała praktycznie Łowczyni Żab. – Jeśli tego chcą.

Jutrzejszy Dzień spojrzał na okrągłą, gładką twarz kobiety.

– Na nieszczęście, to nie wchodzi w rachubę – odparł łagodnie. – Musimy ich chronić.

– Przed nimi samymi?

– Tak, jeśli to konieczne. W każdym razie przed planistami Superet.

Łowczyni Żab wysunęła wojowniczo podbródek.

– Dlaczego?

Jutrzejszy Dzień zaczęło ogarniać zniecierpliwienie.

– Bo musimy. Słuchaj, Łowczyni, nie paliłem się do tej wyprawy na pokłady bardziej niż ty. To nie moja wina, że strzelano do nas w...

– Zagłodźmy ich – zaproponowała zimno.

Jutrzejszy Dzień odwrócił się do niej.

– Co?

– Zagłodźmy ich. – Odwróciła się i oceniła wzrokiem świątynię, jakby obliczała jej pojemność.

– Tam i w innych świątyniach muszą być setki ludzi. Nie mogli zgromadzić wystarczającej ilości wody i jedzenia. Mają na to po prostu za mało miejsca. Mówię, zaczekajmy, aż zaczną wymierać z głodu. To najprostsze rozwiązanie.

Ciągłość Celu uśmiechnęła się złowrogo.

– Możemy zatkać wyloty kanalizacyjne. Wiem, gdzie są. Uwiniemy się raz-dwa. Ale będzie ubaw. I nie będziemy musieli tak długo czekać.

Mark zawisł przed nią. Jego nierealna twarz wyrażała zdecydowane potępienie.

– I mamy spowodować zarazę, choroby i śmierć na skalę masową? Na tym ci naprawdę zależy?

Ciągłość Celu zawahała się. Pogładziła czaszkę potężną dłonią.

– Posłuchajcie – rzekł powoli Mark. – To moja działka.

W końcu jestem socjoinżynierem. W każdym razie byłem nim. Nie chcemy organizować tu oblężenia. Rozumiecie? Nie jestem pewien, czy dysponujemy odpowiednim zasobem środków. Gdybyśmy podjęli oblężenie, sprowadziłoby to choroby i śmierć i nadwałiłoby w ogromnym stopniu infrastrukturę *Północnej*. Poza tym... – zawahał się.

– Tak...? – spytał Jutrzejszy Dzień.

– Poza tym nie wiem nawet, czy oblężenie w ogóle wchodzi w grę.

– Co masz na myśli?

– Słuchaj, planiści mają mesjanistyczne poglądy. W ich mniemaniu oni i tylko oni mogą „zbawić” swój lud. Jeśli rozpoczniemy oblężenie, planiści nie zagregują w sposób racjonalny – nie ocenią swoich zapasów, szans wydostania się na zewnątrz i tak dalej. Co gorsza, my, oblegający, staniemy się częścią ich złudzenia, uosobieniem zewnętrznego zagrożenia, które dotknęło ich lud.

Jutrzejszy Dzień zmarszczył czoło.

– Nie pojmuję.

Mark najwyraźniej zapomniał, że grawitacja ustała i zaczął przechadzać się po pokładzie. Wirtualne stopy bezgłośnie unosiły się ułamek centymetra nad podłogą.

– Musisz zrozumieć stan rzeczy z punktu widzenia ludzi, którzy sprawują tam kontrolę: planistów. – Spojrzał prosto w oczy Jutrzejszemu Dniowi. – Rozmyślałem o tobie, Jutrzejszy. Wiem, że nadal czujesz się skrepowany – tym miejscem, bliskością planistów. Prawda? Mimo wszystkich twoich doświadczeń poza tymi ścianami.

Jutrzejszy Dzień nic nie odpowiedział.

– Ta kultura ma wielką moc oddziaływania – kontynuował Mark. – I jest niemal w całości sterowana przez planistów, a masy ludzkie tylko tępo im ulegają. Jutrzejszy Dniu, planiści przejęli myślenie Superet, stawiające na pierwszym miejscu przeżycie gatunku ludzkiego, myślenie, które zresztą legło u podstaw misji „Północnej” i przetworzyli je w coś większego – niemal w religię. Mamy do czynienia z ideą o ogromnej sile oddziaływania. Mieszkańcy pokładów szli tam, dokąd wiedli ich planiści, przez prawie tysiąc lat – i wśród nich był też ty, Jutrzejszy Dniu. Kiedy Louise i ja dostrzegliśmy rodzenie się tej tendencji, uznaliśmy, że nie będziemy w stanie jej pokonać, a zresztą gdybyśmy tego spróbowali doprowadziłoby to jedynie do niepotrzebnych strat w ludziach. Tak więc wycofaliśmy się na „Wielką Brytanię”, zapewniając sobie kontrolę nad infrastrukturą statku na tyle, aby rejs trwał bez zakłóceń. No cóż, może popełniliśmy błąd, bo mesjanistyczna ideologia planistów doprowadziła nas teraz do kryzysu...

Jutrzejszy Dzień poczuł gwałtowny przypływ niechęci wywołany tego rodzaju analizami jego osoby przez wirtualny twór.

– Ale co mamy robić? – warknął. – Do jakich doszedłeś wniosków?

– Dalsza sytuacja jest nieprzewidywalna – oznajmił bez ogródek Mark. – Ale nie można wykluczyć, że planiści prędzej zniszczą swój lud – i siebie samych – niż pozwolą nam zwyciężyć.

Mała grupka wymieniła spojrzenia wyrażające wstrząs i przerażenie.

– Ależ to szaleństwo! – zaprotestowała Łowczyni Żab. – To nawet sprzeczne z ich celem: ochroną ludu.

Mark uśmiechnął się nikło.

– Niestety. Nikt nie powiedział, że muszą zachować się sensownie. Wiele przykładów z historii świadczy o tym, że przywódcy wyizolowanych grup byli skłonni do irracjonalnego postępowania.

– Na dobrą sprawę, to cud, że w ogóle wylecieliśmy w kosmos – powiedziała Ciągłość Celu. – Mając tak głęboko zakodowane wady? – Uniosła się trochę nad pokładem i mrużąc oczy, przyglądała się świątyni. – No cóż, jeśli nie możemy rozpocząć oblężenia, czekają nas problemy. Po pierwsze, oni mają przewagę liczebną. A po drugie, ich kusze mają o wiele większy zasięg niż dmuchawki, którymi posługują się Łowczyni Żab i jej przyjaciele...

– Może, ale to mnie właśnie zastanowiło – odezwała się wolno Łowczyni Żab. – Przecież planiści mogli pozabijać nas wcześniej, kiedy byliśmy bezradni na pokładzie. Czyż nie?

Mark zastanowił się nad jej słowami.

– Strzelali nad nami. Może próbowali nas ostrzec.

– Może. Łowczyni Żab skinęła głową z powątpiewaniem. – A może próbowali w nas trafić, ale nie mogli. Popatrzcie.

Wyjęła z mieszka bełt i uniosła dmuchawkę do ust. Wystrzeliła bełt w pustkę. Poleciał płaskim torem, równoległym do pokładu.

Jutrzejszy Dzień z namysłem śledził go wzrokiem. Pocisk szybko utracił prędkość, hamowany oporem powietrza, lecz nadal leciał równoległe do pokładu. Jutrzejszy Dzień spodziewał się, że w końcu zwolni na tyle, iż upadnie i...

„Nie, nie upadnie” – poprawił się w myślach. Wyłączono silnik, nie było grawitacji. Bełt nie spadłby, nawet gdyby opór powietrza zatrzymał go całkowicie.

– Kiedy grawitacja ustala, za cholerę nie mogłam w nic trafić – stwierdziła Łowczyni Żab. – Za każdym razem celowałam za wysoko. Szybko zdałam sobie sprawę, czemu się tak dzieje; nawet przy bardzo krótkich odległościach grawitacja trochę ściągała moje bełty – czy też haki kuszników – w dół. Nieświadomie przyzwyczaiałam się nieco to wyrównywać. Kiedy grawitacja zanika, strzała leci po prostej, dopóki w coś nie trafi. – Uniosła dmuchawkę. – Musiałam ćwiczyć godzinami, zanim poczułam się pewnie w stanie nieważkości. To była nauka od podstaw.

Mark z wolna pokiwał głową.

– Więc sądzisz, że kusznicy planistów chcieli nas wystrzelać.

Ciągłość Celu wsparła podbródek na dłoni.

– Może masz rację. Ale nie wiem, w czym nam to pomoże. Nawet jeśli mają trochę przestawiony cel, to jest ich tylu, że zasypią nas hakami, kiedy się zbliżymy.

– Tak, ale popatrzcie, co jeszcze wynika z przemyśleń Łowczyni – powiedział Mark. W sztuczny głos wkradło się podniecenie. – Ona ma rację. Planiści i wszyscy w tym budynku nie biorą pod uwagę nieważkości. Więcej, zachowują się tak, jakby w ogóle nie istniała. – Rozejrzał się wkoło, patrząc na liny z pochylni, jakby widział je po raz pierwszy. – I my też! Żeby się tu dostać, wdrapywaliśmy się po podłodze, trzymając się dwóch znajomych wymiarów, do których ogranicza nas grawitacja.

Jutrzejszy Dzień zmarszczył brwi.

– Co sugerujesz?

Mark uniósł twarz ku żelaznemu niebu.

– Żebyśmy pomyśleli trochę bardziej wiele wymiarowo...

W miejscu, z którego płynął niewyraźny starożytny sygnał, Louise i Prządka Powrozów natrafiły na mały świat, kulę brudnego lodu średnicy pięciuset kilometrów powoli wirującą w całkowitej ciemności.

Kiedy Louise skierowała na nią punktowce z kajuty, popękany lód rozświetlił się, poznaczony rdzawobrazowymi i szarymi plamami.

Zagubiony odłamek sunął po eliptycznej orbicie, której pokonanie zajmowało mu co najmniej milion lat. Najbliżej Słońca docierał gdzieś między orbitami Saturna i Urana, podczas gdy w chwili największego oddalenia był w połowie drogi do najbliższej gwiazdy – dwa lata świetlne od wewnętrznych światów.

– Przedziwne – rozmyślała na głos Louise. – Ma orbitalną charakterystykę długowiecznej komety, ale brak mu jej cech fizycznych. Jeśli chodzi o budowę, przypomina raczej jakiś obiekt Kuipera w rodzaju Stacji Sol. W takim razie powinien grzecznie krążyć po orbicie kołowej...

Prządka Powrozów spojrzała na mały, ciemny świat, zastanawiając się, co mogłoby tam nadal żyć.

Z lodowych dziur przebłyskiwał miejscami metal.

– Przedmioty! – powiedziała Louise. – Widzisz je, Prządko? Przedmioty na całej powierzchni.

– Wytworzone przez ludzi?

– Chyba tak. W środku tej kuli są setki komór. I nasza latarnia kierunkowa też; wciąż nadaje na wszystkich zakresach; najmocniej w górnym paśmie... Tylko życie wie, skąd czerpie energię.

– Czy ta lodowa kula jest zamieszкана? Czy ktoś tam jest?

– Nie wiem. – W głosie Louise było wahanie. – Chyba zejść na dół i się dowiem.

Silniczki kapsuły rozjaśniły nierówną powierzchnię małego świata, kiedy Louise opuściła się z myśliwca xeelee. Prządka Powrozów odprowadzała wzrokiem kapsułę. Stateczek był jedyną ruchomą rzeczą w jej wszechświecie.

– Jestem tuż nad powierzchnią meldowała Louise. – Wyrównuję kurs. Ale poryli tę powierzchnię. Prządko, wydaje mi się, że te przedmioty to szczątki statku. Oczywiście, nie twierdzę, że potrafię coś rozpoznać. Ta technologia wyprzedza nas o dziesiątki tysięcy lat... Na Letę, żałuję, że nie mamy więcej czasu, żeby tu posiedzieć i zbadać to żelastwo. Ale przynajmniej jestem pewna, że stworzyli je ludzie. – Głos się jej trochę łamał. – To pierwsze ślady ludzkości, jakie znaleźliśmy w całym cholernym Układzie, Prządko. Sądzę, że ludzie tu wylądowali i rozebrali swoje statki, budując z nich pomieszczenia w głębi. Zaraz i ja wyląduję. Widzę jakby luk.

Louise za żadne skarby nie mogła otworzyć szerokiego włazu zamykającego luk. Musiała więc zamocować plastikową bańkę służącą za śluzę powietrzną i rozciąć właz; pracowała powoli w warunkach mikrogravitacji.

– Dobra, jestem w środku. – Oddech miała chrapliwy, płytki, jakby szeptała. – Ależ tu ciemno, Prządko. Mam lampy. Rozstawię je dalej.

Prządka Powrozów modliła się w kabinie, by nic złego nie spotkało Louise na dole. Co by wtedy zrobiła? Czy wystarczyłoby jej odwagi, aby wylądować na tym odłamku lodu?



Ogarnęła ją fala zwątpienia, niewiary we własne siły. Miała wrażenie, że nie dorosła do sytuacji, że sobie nie poradzi...

*Poradzisz sobie, Prządko Powrozów.*

To był ten sam suchy głos, wydobywający się nie wiadomo skąd.

Dziwne, ale lęki rozplynęły się. Rozejrzała się wkoło; oczywiście, była sama w klatce, nocny myśliwiec wisiał nieruchomo nad lodowym światem. Niemniej znów poczuła, jakby ktoś z nią był. Nie widziała go – czy jej – ale podświadomość podpowiadała, że nie ma powodu do obaw; wyczuwała masywną postać, której bliskość stwarzała poczucie bezpieczeństwa jak obecność ojca.

Ale z drugiej strony, słyszała głosy... Na Letę, co działo się z jej głową!

– ...Wiele komór – mówiła trochę bez tchu Louise. – To sześciany wycięte w lodzie, wyłożone metalem i plastikiem. Trochę przyciasne... Powietrze jest, ale cuchnące; nie będę z niego korzystać. To z całą pewnością ludzka kolonia. Wszędzie jest ład, porządek. Ludzie odeszli stąd w sposób zorganizowany. Myślę, że długo umierali. Mieli czas po sobie sprzątnąć – może nawet pochować zmarłych, kiedy się wycofywali. Wydaje mi się, że w miarę jak ich ubywało, schodzili coraz niżej, w głąb tego świata... Zachowali godność, nie sądzisz? Brak śladów paniki czy konfliktu. Ciekawe, jak my byśmy się zachowali w tych samych okolicznościach. Prządko, idę dalej. – Po długiej chwili dodała: – Jestem w najgłębszych pomieszczeniach. Chyba znalazłam źródło sygnału. – Zamilkła i wreszcie powiedziała: – Z pewnością zależało im na jego wysłaniu.

– No, to się im udało.

– Wciąż nie mogę zidentyfikować źródła energii... To pewnie jeden z generatorów statków fazowych z powierzchni. Chyba wykorzystali nanoroboty do utrzymania tej latarni kierunkowej, może nanoroboty TDS z magazynów medycznych. – Ton głosu zmienił się w subtelny sposób i Prządka wyobraziła sobie, że Louise się uśmiecha. – Zrobili wszystko, co się dało, żeby latarnia pracowała. Jednak to było miliony lat temu... i błędy nanorobotów kumulowały się. Wygląda na to, że cholera się roztopiło. Mimo to wciąż wysyła ten sygnał, więc nie wypada go za bardzo krytykować...

– Louise, po co ci ludzie tam się zatrzymali? – spytała wolno Prządka Powrozów. – Co chcieli zrobić?

Zapytana zastanawiała się.

– Wydaje mi się, że chcieli uciec.

Louise wyjaśniła, że lodowy świat to typowa mała planeta, które kiedyś całymi chmurami krążyły po orbitach wielkich planet Układu Słonecznego.

– Ale orbity małych ciał niebieskich nie były stałe. Po pewnym czasie planety te zbaczały z kursu. Nawet wpadały do studni grawitacyjnych wielkich planet i wylatywały całkowicie poza Układ. Jest to forma wyparowywania światów i księżyców z układów słonecznych. Prawdę mówiąc, w dłuższej perspektywie – a mam na myśli dziesiątki miliardów lat – ten sam los czeka również wielkie planety i gwiazdy, które wyparują z macierzystych galaktyk... Jeśli kiedyś będą miały ku temu szansę – dokończyła kwaśno.

– Więc myślisz, że ten świat po prostu wyparował z Układu Słonecznego?

– Nie... niekoniecznie.

Louise zaczęła się rozwodzić nad ostatnimi etapami konfliktu z xeelee. Opisywała ludzkość uwięzioną w rodzimym Układzie, skazaną na finalną klęskę. Pod koniec mogła zawieść nawet łączność między światami. Ludzkość skurczyła się do odizolowanych grup oczekujących z drżeniem na śmierć z rąk xeelee.

Być może jednak dostrzeżono jakieś wyjście – drogę ucieczki w przededniu ostatecznego potopu xeelee.

– Wyobraź sobie te małe światy poruszające się po chaotycznych orbitach między Saturnem a Uranem – powiedziała Louise. – Nie trzeba było wielkiej energii, aby nadać im inny kurs. A kiedy równowaga raz została zachwiana, można było przyspieszyć dryf, powiedzmy w ciągu kilku okrążeń, i sprawa załatwiona.

Po cichu, w sposób niezauważalny dla obserwatora, mały świat z cennym ładunkiem przerażonych istot krążył po coraz bardziej rozchwianej orbicie, a w końcu – po wielu okrążeniach trwających może setki lat – wpadał w pole grawitacyjne jednej z głównych planet.

Następnie opuszczał Układ Słoneczny, wystrzelony jak z procy.

– Jeżeli dobrze sobie wszystko obliczyli, ich plan mógł się powieść. Mógł. Ci ludzie udawali się do gwiazd, wykorzystując najbardziej prymitywną technologię. Dotarcie do najbliższej gwiazdy musiało trwać dziesiątki tysięcy lat, ale co z tego? Mieli te dziesiątki tysięcy lat dzięki TDS-owi albo innej terapii, którą tymczasem wymyślili. A w środku lodowego świata było pewnie tyle wody, ile w całym Oceanie Atlantyckim... Wyprawa do gwiazd w lodowym księżycu stwarzała z pewnością większą szansę przeżycia niż pozostanie na miejscu i czekanie, aż xeelee zetrą ich na miazgę wraz z resztą ludzkości. To był rozsądny plan ucieczki, nie do wykrycia. Najwyraźniej wprowadzono go w czyn. Sama widzisz masę kawałków statków zaśmiecających powierzchnię... Ludzie pewnie uciekali tu po cichu z całego walącego się Układu. Ta misja stwarzała promień nadziei. Ale...

– Ale co?

– Ale pomylili się w obliczeniach. Teraz schodzę głębiej, Prządko.

– Uważaj na siebie, Louise.

Zapadła długa cisza, przerywana tylko płytkim oddechem Louise. Prządka Powrozów kolejny raz zapaliła chłodne, zielone jak listowie światło i wpatrywała się w nie, starając się nie myśleć o tym, co Louise może znaleźć w światku-grobowcu. W końcu Louise się odezwała:

– No cóż, chyba doszłam najdalej, jak się dało. To prawdopodobnie ostatnie zajmowane pomieszczenie... jedyne, którego nie mogli po sobie uprzątnąć.

Prządka Powrozów wpatrywała się w zieloną pustkę.

– Co widzisz?

– Porzucone ubrania. – Louise zawahała się. – Wszędzie kurz. Żadnych trupów, Prządko, żadnych rozsypujących się kości.. możesz nie wysilać wyobraźni.

„Po pięciu megalatach tam musi być tylko kurz” pomyślała Prządka Powrozów; ostatnia chmura, pył kości i zetlałych ciał, z wolna osiadający na podłodze.

– Może zostawili zapiski, ale nie mogę ich znaleźć – powiedziała Louise. Wyraźnie starała się nad sobą panować, nie okazać zdenerwowania, ale Prządka Powrozów słyszała drżenie w, wydawałoby się, spokojnym głosie. – Być może jest coś w układach elektronicznych. Ale dokopanie się do danych zajęłoby lata, nawet gdybyśmy zdołali przywrócić zasilanie. I zapewne ich technologia wyprzedzała naszą o setki tysięcy lat...

– Louise, nic tam więcej nie osiągniesz. Chyba powinnaś wracać.

– ...Tak, chyba masz rację, Prządko Powrozów. Nie mamy na to czasu.

W głosie Louise zabrzmiała ulga.

Kapsuła z *Północnej* uniosła się z płytkiej studni grawitacyjnej małej planety i wspięła do statku xeelee.

– Nie byli w stanie opanować kursu stwierdziła Louise, odpoczywając w kajucie. – A może xeelee pomieszała im szyki. Nie wylecieli z Układu tak, jak planowali, po otwartej, hiperbolicznej trajektorii; przeciwnie – znaleźli się na szerokiej i zabójczej orbicie eliptycznej, zamkniętej i bardzo powoli kierującej ich donikąd. Pewnie nie chcieli się poddać. No cóż, pozbawieni wyboru, zdemontowali statki. Może gdybyśmy mieli czas na wykopaliska, dowiedzielibyśmy się, jak długo przetrwali. Kto wie? Może setki tysięcy lat? Może przez cały ten czas mieli nadzieję, że ktoś z nowej wspaniałej przyszłości pośpieszy im na ratunek, kiedy jarzmo xeelee zostanie zrzucone? Ale ta przyszłość nigdy nie nadeszła. Zanim jeszcze skonstruowali latarnię kierunkową i wysłali swoje ostateczne błaganie o pomoc, wiedzieli, że nikt im nie pomoże.

– Nikt poza nami.

– Tak – warknęła Louise. – I co teraz możemy im zaproponować?

– A co z latarnią?

– Wyłączyłam ją – powiedziała cicho Louise. – Nie spełniła swojego celu... chociaż miała na to pięć milionów lat.

Prządka Powrozów siedziała w kabinie, przyglądając się ponuremu lodowemu grobowcowi, który obracał się przed dziobem statku xeelee.

– Louise, dokąd teraz?

– Do wnętrza Układu. Chyba dość napatrzyłyśmy się tej ponurej czerni. Prządko Powrozów, wracajmy na Saturna.

## Rozdział 19

Otoczona kołującymi fotinowymi ptakami Lieserl krążyła wokół jądra Słońca. Ciepłe wodorowe światło igrało na jej twarzy.

Jądro helowe, otoczone wodorową skorupą wypalającą sobie drogę przez coraz cieńsze warstwy, płonęło w równomiernym gradzie popiołu skorupowego. Niejednorodności w otoczce olbrzyma – chmury i skupiska gazu spowite linami sił pola magnetycznego – przesuwały się przed jądrem, a gwiazda jądrowa rzucała cień na zewnątrz, wysoko, w rozrastającą się otoczkę.

Fotinowe ptaki sunęły obojętne przez lśniące od reakcji termojądrowych jądro, pikując w samo serce Słońca. Na oczach Lieserl grupa ptaków oderwała się i pomknęła na zewnątrz ku niewiadomemu przeznaczeniu poza Słońce. Obserwowała je uważnie. Czy poziom ich aktywności wzrósł? Miała niejasne wrażenie, że teraz szybciej pokonywały swoje orbity, z większym zapalem pogrążały się na wieczność w jądrze.

Może wiedziały, że w pobliżu jest starożytny statek kosmiczny, *Północna*? Może reagowały na obecność ludzi...? To przypuszczenie było nieco naciągane, ale kto wie...?

Procesy rozwijające się wokół Słońca były ze wszech miar piękne. Zauważyła, że każdy etap ewolucji Słońca zasługiwał na estetyczny zachwyt – bez względu na to, czy ptaki przyspieszały ją czy nie. Było antropomorficzną przesadą traktować życie gwiazdy analogicznie jak ludzkie narodziny, życie i śmierć. Gwiazda to twór procesów fizycznych; jej ewolucja była po prostu poszukiwaniem stanu równowagi wśród zmiennych, przeciwnych sił. Nie mogło tu być mowy o życiu czy śmierci, stracie czy zysku – to był zwyczajnie proces.

Czemu jednak nie miałyby być piękny?

Uśmiechnęła się do siebie. Co za ironia losu! Oto ona, sztuczna inteligencja mająca za sobą pięć milionów lat, oskarżała się o zbyt dużą antropomorfizację...

„Ale może mój prawdziwy błąd leży w zbyt małej antropomorfizacji” – pomyślała z niepokojem.

Nagły ludzki przekaz z zewnątrz maserowy szept rozchodzący się po brzegach wielkich, obojętnych komórek konwekcyjnych – wstrząsnął nią do głębi.

Podejrzewała, że rozpoczęła swój cykl przesyłania wiadomości, ponieważ kierował nią jakiś głęboko ukryty szczałek oprogramowania – nie z własnego wyboru czy dlatego że wierzyła, iż wreszcie dostanie odpowiedź. Wypełniła komunikaty wizerunkami samej siebie, ironicznymi żarcikami. Zapewne miało to utrzymać ją w przekonaniu, iż nie bierze ich zbyt poważnie, że to tylko gra, ponieważ nie ma nikogo, kto by jej wysłuchał.

No cóż, teraz wyszło na to, że się myliła. Ci ludzie – mniej więcej z jej epoki, którzy przetrwali dzięki relatywistycznemu skurczeniu czasu w swoim dziwnym statku, *Wielkiej Północnej* powrócili do Układu Słonecznego.

I z czasem doszła do przekonania, że nie odnosili się do niej z aprobatą.

Nie powiedzieli tego wyraźnie. Ale wyczuwała wewnętrzny chłód ukryty w ich długich przekazach.

Według ludzi utraciła obiektywizm – a przede wszystkim zapomniała o tym, dlaczego została umieszczona w Słońcu. Myśleli, że stała się bezwolnym obserwatorem, uwiedzionym pięknym, rytmicznym ruchem fotinowych ptaków.

Niewykluczone, że w ich ocenie wyszła na zdrajcę.

W oczach ludzi na *Północnej* fotinowe ptaki były mordercami. Wrogami ludzi. Zabijały Słońce.

Nie potrafili zrozumieć, jak to możliwe, że Lieserl nie zdaje sobie sprawy z tej niczym nie zamaskowanej wrogości.

Zamknęła oczy i skuliła się, tuląc kolana do piersi; wodorowa skorupa, roztopiona do temperatury dziesięciu milionów stopni, ogrzewała jej wirtualną twarz niczym ciepłe letnie promienie Słońca. Przyglądała się fotinowym ptakom, jak wykonują swoją powolną, cierpliwą pracę, rok po roku, jak wysysają termojądrową energię Słońca małymi, uśmiercającymi łyżkami. Z czasem rozumiała, że ptaki zabijają Słońce – a jednak nigdy nie zadała sobie pytania, co dzieje się poza Słońcem, na innych gwiazdach. Czyżby uznała podświadomie, że fotinowe ptaki są jakby słonecznymi tubylcami, rodzajem lokalnej infekcji? Ale to, oczywiście, nie mogło być prawdą, gdyż widziała, że odlatują daleko, wracają i łączą się ze stadem okrążającym jądro. W takim razie musiały żyć również poza Słońcem, a ich dalekie wędrówki nie były pozbawione znaczenia.

Z przeraźliwą jasnością zdała sobie sprawę, że przyjąwszy z góry, jakoby działalność ptaków ograniczała się do jednej gwiazdy, a na dodatek zafascynowana i zaintrygowana nimi samymi – w głębi serca usprawiedliwiała ich czyny. To że w wyniku ich działań nastąpi śmierć Słońca – a może nawet wyginięcie gatunku ludzkiego – nie miało dla niej znaczenia.

Broniła się przed przemyśleniami, które zmuszały ją do obnażenia własnej duszy. Przecież kiedyś była istotą ludzką; czy teraz naprawdę stała się tak beznamiętna, że aż nieludzka?

Zabijanie Słońca samo w sobie było potwornością. Ale nie dość tego. Załoga *Północnej* powiadomiła ją z brutalną szczerością, z detalami, że gwiazdy umierają na całym niebie; rozdymają się w chore olbrzymy, kruszą i karleją. Wszechświat był zaśmiecony planetarnymi mgławicami, odrzutami supernowych i innymi szczątkami ginących gwiazd, a w dodatku gęsto nasycony ciężkimi cząsteczkami, złożonymi i bezużytecznymi.

Fotinowe ptaki naprawdę zabijały gwiazdy; nie tylko Słońce, gwiazdę człowieka, ale wszystkie gwiazdy, tak daleko, jak tylko potrafiły to wysledzić czujniki *Północnej*.

Ludzie nie mieli już dokąd uciec we Wszechświecie.

A ona, Lieserl – tak chyba wierzyła załoga *Północnej* – powinna zrobić coś więcej niż tylko wysyłać zgryźliwe skąpe wiadomości za pośrednictwem komórek konwekcyjnych. Powinna głośno wołać: niebezpieczeństwo!

Pod warstwą skomplikowanych uczuć, mieszaniną zwątpienia i poczucia samotności, wybuchł gniew. W gruncie rzeczy, jakim prawem załoga *Północnej* krytykowała ją, choćby nawet nie wprost? Pozbawiono ją wyboru u progu życia – skazano na dożywotnie wygnanie w głąb Słońca. Odebrano jej życie. I nie ona zamknęła link telemetryczny podczas asymilacji.

Czemu po milionach lat odrzucenia miałyby być lojalna wobec ludzkości?

A jednak przybycie *Północnej* i świeży punkt widzenia załogi statku doprowadziły do tego, że przyjrzała się ptakom i sobie – chłodniej i ostrzej niż czyniła to przez długi czas.

Wyobraziła sobie cienisty Wszechświat składający się z ciemnej materii; Wszechświat, który przenikał widzialne światy niegdyś zamieszkałe przez człowieka, ledwo ich dotykając... Ten wizerunek jednak był mylący, ponieważ ciemna materia nie rzucała cienia; stanowiła większość

całkowitej masy Wszechświata. Jaśniejąca materia barionowa była jedynie migoczącą pianą na powierzchni czarnego oceanu.

Fotinowe ptaki – i inne nierozpoznawalne gromady stworzeń z ciemnej materii, być może tak różne od nich, jak qaxowie od ludzi – ciężkie czarne wody niczym ryby, ślepe i skryte.

Jednakże każdy lśniący ułamek materii barionowej miał żywotne znaczenie dla stworzeń z ciemnej materii. Był katalizatorem reakcji łańcuchowej stanowiącej o ich przeżyciu.

Przede wszystkim ciemna materia nie mogła tworzyć gwiazd. A wyglądało na to, że ptaki nie potrafią się obejść bez studni grawitacyjnych gwiazd barionowych.

Kiedy pewna ilość barionowego gazu zapadała się pod działaniem sił grawitacji, spora część ciepła wytworzonego podczas tego procesu była odprowadzana przez promieniowanie elektromagnetyczne. Promieniowanie jakby schładzało chmurę gazową. Reszta ciepła chmury w końcu równoważyła przyciąganie grawitacyjne i tworzył się stan równowagi, a z nim gwiazda.

Ale ciemna materia nie wysyłała promieniowania elektromagnetycznego. Zapadając się, wiązała ogromne ilości ciepła wytwarzane wskutek kurczenia się chmury gazu. A kiedy wreszcie osiągała stan równowagi, te chmury były gigantyczne – większe niż galaktyki.

Tak więc pierwotny Wszechświat był wypełniony gigantycznymi zimnymi chmurami ciemnej materii o jednolitej strukturze; był kosmosem bezforemnym.

Następnie utworzyły się skupiska materii barionowej i gwiazdy zaczęły implodować – świecić. Lieserl wyobraziła sobie pierwsze gwiazdy obudzone do świetlistego życia, drobne jak główki szpilki studnie grawitacyjne w gładkich oceanach ciemnej materii.

Fotinowe ptaki żyły ze strumyczków interakcji proton-fotino, karmiąc się powolnymi, równomiernymi strużkami energii. Aby zaspokoić głód, ptaki potrzebowały materii gęstej – tak gęstej, jaka występuje jedynie w postaci form barionowych.

Zależność ptaków od materii barionowej na tym się nie kończyła. Lieserl wiedziała, że ptaki nie mogły obyć się bez matryc barionowych, jeśli miało ich przybywać.

Tak więc gwiazdy z materii barionowej zadecydowały o powstaniu fotinowych ptaków, a teraz karmiły je i pozwalały się im rozmnażać.

Lieserl zasepiła się. Piękna hipoteza. Ale czemu w takim razie ptaki z takim zapalem mordowały swoje gwiazdy-rodzicielki?

Kolejna ludzka paplanina z *Północnej* dotarła do jej sensorium. Ledwo ją zarejestrowała. To były następne pytania o dalsze etapy ewolucji cierpiącego Słońca.

Markotna żeglowała po jądrze, myśląc o gwiazdach i fotinowych ptakach,  
I nasunęły się jej skojarzenia, jakie umykały jej przez miliony lat.

W końcu dostrzegła pełny, ponury obraz.

I nagle uświadomiła sobie, że odpowiedź na pytania ludzi o przyszłość jest rzeczą pilną – niezwykle pilną.

Pospieszyła do swoich komórek konwekcyjnych.

Ostre jak igły strumyczki wody rozprysnęły się po ciele Louise. Unosiła się w kabinie prysznicowej otoczona gulgotem wody, pompowanej ze ściany. Wystawiła brzuch i klatkę piersiową na działanie wody, która miała odpowiednią temperaturę i właściwe ciśnienie. Dreszcz przebiegł po starej, pomarszczonej skórze, jakby tysiące miniaturowych masażyściw wzięło się do roboty.

Louise nie cierpiała nieważkości. Od zawsze. Nie cierpiała nawet pompy ssącej, która zbierała z niej wodę po umyciu. Uparła się, że musi mieć tę kabinę w kącie kajuty. To było jedyne ustępstwo na rzecz luksusu. „Nie, do cholery, to żaden luksus” – pomyślała. „To ustępstwo na rzecz resztek ludzkich zachowań, jakie mi zostały”.

Gorący prysznic dostarczał jej jednego z niewielu zmysłowych przeżyć, pobudzał pulsację życia, gdy dożywała absurdalnie starczego wieku. Parująca woda, tryskająca pod wysokim ciśnieniem, nadal potrafiła przebić patynę starości, która oblekła ją trupią powłoką.

Poza tym zostało jej tak mało przyjemności. Od kiedy zupełnie straciła węch, jedzenie stało się procesem uzupełniania paliwa, czymś, na co była skazana, a co nie sprawiało jej radości. Poza wirtualami nic nie stymulowało jej umysłowości; to prawda, że zasoby bibliotek ludzkości wciąż były niewyczerpane, ale dawno znużyły ją starożytne, zastygłe myśli innych, bezwartościowe w obliczu śmierci Słońca.

Zakręciła kurek. Owionęło ją gorące powietrze i szybko wysuszyło. Kiedy krople wody przestały ściekać po skórze, rozsunęła zasłony prysznic.

Kajuta mieszkalna wyposażona była w podstawowe urządzenia: prysznic, kuchenkę, kokon do spania i terminal danych z operatorem pamięci. Wycięta w pośpiechu z kadłuba *Północnej* miała kształt przysadzistego cylindra o średnicy niecałych pięciu metrów i umiejscowiona była u zbiegu skrzydeł statku xeelee jak jakiś złośliwy pasożyt – całkowicie niszcząc delikatną sylwetkę nocnego myśliwca, stwierdzała z żalem Louise. Ściany były nieprzejrzyste, barwy mdłej szarości, a ponure wnętrza oddziaływało klaustrofobicznie. Panował nieziemski bałagan i smród nigdy nie wietrzonego pomieszczenia, które aż prosiło się o posprzątanie. Sztuki odzieży unosiły się w powietrzu, pomięte i wybrudzone. Żeby długo wytrzymać w warunkach nieważkości, należało obsesyjnie dbać o porządek. Louise była niepoprawną bałaganiarą.

Sięgnęła po ręcznik szybujący nieopodal. Wytarła się energicznie, rozkoszując szorstkim materiałem. Sam powiew nigdy nie dawał jej poczucia, że jest naprawdę sucha.

Dotknięcie ciepłego ręcznika niespodziewanie wzbudziło w niej pragnienie seksu.

Zawsze między ludźmi nosiła maskę surowości i uważano ją za inżyniera namiętnie zajętego pracą i budowaniem „gdzieś tam”. Jednakże miała znacznie bogatszą osobowość – były w niej cechy, które Mark odkrył i docenił podczas małżeństwa. Seks zawsze odgrywał duże znaczenie w jej życiu; nie tylko jako przyjemność fizyczna, ale i symbol czegoś więcej, głęboko ukrytych, aczkolwiek zawsze obecnych elementów, jako echo odwiecznego morza, którego głosy ludzkość słyszała zawsze, nawet teraz. To napięcie między otchłannymi impulsami a codzienną pracą sprawiało jej poczucie pełni.

Po tym, jak ostrożnie i niechętnie doszli z Markiem do porozumienia – świadomi wspólnej izolacji na *Północnej* – przywrócili swoje energiczne praktyki erotyczne. Sprawiały im przyjemność przez długi czas. Dłuższy niż którekolwiek z nich miało prawo się spodziewać. Przerzuciła ręcznik przez ramię i zaczęła masować pośladki. Może gdyby Mark dożył...

Kajuta nagle stała się przezroczysta; wokół otwarła się czarna pustka.

Louise krzyknęła i owinęła się ręcznikiem.

Z głośnika rozległ się śmiech.

Rzuciła się do szafki po świeże ubrania. Drzwiczki zaklinowały się i klnąc, szarpała się z nimi, czując, że ręcznik zsuwa się na podłogę.

– Na wody Lety, Prządko, co ty wyprawiasz?

Louise dostrzegła klatkę Prządki Powrozów, pudło mrugających świateł na dziobie nocnego myśliwca. Przesunął się tam cień, zapewne Prządka Powrozów odwróciła się na fotelu, by przyjrzeć się jej z kpiącą miną.

– Przepraszam. Wiedziałam, że będziesz zażenowana.

Louise znalazła kombinezon i wbijała nogi w nogawki.

– To czemu naruszasz w ten sposób moją prywatność? – spytała z gniewem.

– O czym ty mówisz? Louise, tu nie ma nikogo, kto mógłby cię zobaczyć; miliard kilometrów dzieli nas od najbliższej żywej istoty. A ty masz tysiąc lat. Naprawdę powinnaś pozbyć się tych przesądów.

– Ale to moje przesady! – syknęła Louise. – Tak się składa, że je lubię i wiem, o czym mówię. Jeśli kiedykolwiek uda ci się osiągnąć moje lata, to może nauczysz się trochę tolerancji.

– No, może. W każdym razie odsłoniłam kajutę, żeby zaskoczyć cię bez majtek – dodała psotnym tonem.

– Ale dlaczego? – spytała podejrzliwie Louise.

– Bo... – Prządka zawahała się.

– Bo co?

– Popatrz przed siebie.

Daleko przed klatką Prządki Powrozów widniał świetlny punkt; rozkwitł, wybuchł przed twarzą Louise...

To Saturn nagle wyłonił się z pustki.

Louise krzyknęła i ukryła twarz w dłoniach.

– Bo dotarliśmy na miejsce – powiedziała łagodnie Prządka. – Myślałam, że cię to ucieszy. Louise ostrożnie rozsunęła palce.

Równomierne, pomarańczowobrazowe światło wypełniło kajutę – odbite od planety, a wysyłane przez spęczniałe Słońce. Prządka Powrozów śmiała się cicho.

– Prządko, jeśli to Saturn, to gdzie są pierścienie? – zapytała powoli Louise.

– Pierścienie? Jakie pierścienie?

Sama planeta była nabrzmiąłą masą wodoru i helu, a jej głęboko ukryte nietknięte jądro było dwadzieścia razy cięższe od Ziemi. Nadal opasywał ją bogaty układ chmur, akwarelowe smugi brązu i złota, zgodnie z tym, co pamiętała Louise. Największy księżyc, Tytan, pozostał na swoim miejscu.

Ale pierścienie przepadły.

Louise pospieszyła do terminalu danych.

– ...Louise, nic ci się nie stało?

Pamiętała, że pierścienie, oglądane z powierzchni miasta-świata Tytana, tworzyły wyraziste linie na tle starego złota Saturna, równe jak od linijki.

Z trudem zdobyła się na odpowiedź.

– Chyba oplakuję pierścienie, Prządko. Były najpiękniejszym widokiem w Układzie Słonecznym. Komu mogło zależeć na zniszczeniu takiego nieszkodliwego, majestatycznego obrazu? A poza tym, do cholery, to były nasze pierścienie!

– Ale tam jest pierścień – stwierdziła Prządka Powrozów. Widzę go. Popatrz...

Idąc za wskazówkami Prządki, Louise sprawdziła terminal danych.

Pierścienie miały postać niewyraźnych pasm na tle gwiazd, cienia przysłaniającego nabrzmiąłą,



niewzruszoną kulę planety.

Kiedyś Tytana okrężały trzy lodowe księżyce: Japetus, Hyperion i Febe. Zostało po nich tylko pasmo odłamków. Ten pierścień lodowych szczątków, cienki, bezbarwny i bezforemny, jaśniał na czerwono w blasku umierającego Słońca, okrążając planetę w odległości sześćdziesięciu jej promieni, błądzący upiór sławnego poprzednika.

A gdzie inne księżyce?

Louise spojrzała na terminal danych. Saturn miał siedemnaście satelitów. Przyjąwszy, że ich orbity się nie zmieniły, pozostały tylko Tytan i Enceladus. Po Enceladusie zostało zresztą niewiele; mały księżyc nadal krążył po orbicie odległej o cztery promienie planety od Saturna, ale przybrała ona teraz kształt elipsy. Jego powierzchnią – jak zawsze popękana, nierówna – uległa ruinie. Nie było śladu ludzkich stanowisk, które niegdyś błyszczały na tle grzbietów wzgórz i pokrytych kraterami równin.

Pozostałe księżyce – nawet nieszkodliwe, szerokie na piętnaście kilometrów wyspy zlodowaciałej wody – przepadły.

Louise wspominała prawieczne, piękne nazwy: Pan, Atlas, Prometeusz, Pandora, Epimeteusz... Nazwy tak stare jak mity, z których je zaczerpnięto; nazwy, które przetrwały dłużej niż obiekty, do których je przypisano.

– Louise?

– Przepraszam, Prządko.

– Wciąż oplakujesz pierścienie?

...Janus, Mimas, Tetyda, Telesto...

– Tak.

– Pewnie ktoś musi.

– Prządko, co się tu stało?!

– Najwyraźniej stoczono bitwę – powiedziała spokojnie Prządka Powrozów.

Kalipso, Diona, Helena, Rea, Hyperion, Japetus, Febe...

Nocny myśliwiec rozłożył stusześćdziesięciokilometrowe skrzydła, okrążając szczątki rozbitych księżyców.

Milpitas siedział w gabinecie. W całej świątyni rozlegały się nieartykułowane krzyki, wrzaski, ryki. Nie potrafił rozróżnić słów.

Te odgłosy były coraz bliższe.

Opróżnił namagnesowany blat, wrzucając papiery, pióra i ekrany danych do szuflad. Splótł dłonie i położył je na biurku.

Drzwi gabinetu otworzyły się.

Renegat z zewnątrz kołysał się nad podłogą. Z punktu widzenia Milpitasa zajmował prawie horyzontalną pozycję, jakby nie chciał, aby planista wpasował go w swój uporządkowany, rządony przez grawitację wszechświat.

Renegat rozłożył puste dłonie.

– Nie zamierzam zrobić ci krzywdy.

– Znam cię – powiedział powoli Milpitas.

– Może. – Renegat był wysoki, całkiem dobrze umięśniony; nosił praktyczny kombinezon z wieloma kieszeniami, w których kołysały się jakieś narzędzia. Włosy miał krótkie, ale zarastające

czaszkę; był pewny siebie, nawet podniecony. Milpitas usiłował wyobrazić go sobie bez włosów – i pozbawionego tej cholernej pewności siebie – w standardowym, wydawanym przez Superet kombinezonie, i prezentującego bardziej odpowiednią postawę: może zgarbione ramiona, dłonie splecione na podołku... – Nazywam się Jutrzejszy Dzień. Miałeś ze mną sporo... kłopotów. – Renegat rozejrzał się po gabinecie, jakby wspominał niemiłe przeżycie. – Byłem tu kilka razy, a ty próbowałeś mi wytłumaczyć, jak błędne jest moje myślenie...

– Jutrzejszy Dzień! Ty znikłeś.

Tamten zmarszczył brwi.

– Nie, nie znikłem. Milpitasiu, mówisz jak dziecko, które wierzy, że jeśli coś zniknie mu z oczu, to już przestaje istnieć...

Milpitas uśmiechnął się.

– A co ty wiesz o dzieciach?

– Teraz sporo. – Też się uśmiechnął, już spokojny i opanowany. – Ja nie znikłem, Milpitasiu. Udałem się w inne miejsce. Dokonałem niezwykłych czynów, widziałem wspaniałe widoki.

Milpitas złożył dłonie i rozparł się na fotelu.

– Jak się tu dostałeś?

– Jak minąłem twoich wartowników? – Jutrzejszy Dzień uśmiechnął się. – Przyszliśmy górą! Zajęło nam to chwilę i nie zrobiliśmy żadnego hałasu. Twoje straże rozstawiono tak, żeby pilnowały zagrożenia z pokładów; nie wyobrażały sobie, że coś może przejść nad ich głowami. Nie miały nawet pojęcia, że jesteśmy w budynku, kiedy je załatwiliśmy.

– Załatwiliście?

– Pozbawiliśmy przytomności – uściślił Jutrzejszy Dzień. – Leśni ludzie dysponują potem pewnych żab, który... mniejsza z tym. Wartownikom nic się nie stało.

Milpitas chciał coś powiedzieć – szukał słów, dzięki którym mógłby odzyskać panowanie nad sytuacją. Ogarnęła go panika; nagle jego rozkazy przestały być wykonywane. Czuł się tak, jakby wylądował w sercu jakiejś gigantycznej zamierającej maszyny i szturchał guziki i dźwignie, które przestały czemukolwiek służyć.

– Jest po wszystkim – powiedział łagodnie Jutrzejszy Dzień. – Wiem, że wierzyłeś w to, co robiłeś. Uważałeś, że działasz dla dobra twojego ludu. Ale tak jest najlepiej, Milpitasiu. Kolejne zgony byłyby... niewybaczalne. Rozumiesz to, prawda?

– Ale co z misją?! – spytał z goryczą planista. – Co z celami Superet? Co z tym?

– Jeszcze nie koniec. Chodź ze mną. Tam, na zewnątrz, dzieją się niesłychane rzeczy. Misja wciąż trwa... Chcę, żebyś mi pomógł – żebyś nam pomógł – ją zrealizować.

Milpitas znów zamknął oczy. Poczuł się niezwykle stary, jakby cała energia, która podtrzymywała go przez lwią część tysiąca lat, nagle go opuściła.

– Nie wiem, czy potrafię – wyznał szczerze.

Ktoś w świątyni wreszcie wyłączył klakson; jego ostatnie, przenikające do kości zawrozczenia odbiły się od bliskiego, przygniatającego, metalowego nieba.

## Rozdział 20

Kapsuła gładko i bez szmeru opadła ku Tytanowi.

Louise złapała się fotela. Kadłub był zupełnie przezroczysty. Louise czuła się całkiem bezradna nad bladymi, brązowymi chmurami Tytana. Krępujący skafander kosmiczny i uwierający cewnik odprowadzający mocz potęgowały to wrażenie.

Nocny myśliwiec xeelee rozłożył w górze ogromne skrzydła.

Tytan, największy satelita Saturna, był światem samym w sobie; jego średnica wynosiła pięć tysięcy kilometrów, więcej niż średnica Księżyca. Pejzaż chmur coraz bardziej przypominał nieskończenie płaską równinę, powleczone szorstkim płótnem. Warstwy fotochemicznego smogu układały się w spirale, a wysokie chmurki sunęły w stratosferze.

Pierwsze cienkie macki atmosfery oblepiły kapsułę. Mgła zasnęła gwiazdy.

Nagle kapsuła runęła w dół. Louise wcisnęło gwałtownie w fotel. Stateczek kosmiczny zakołysał się na boki, podskakując niepokojuco.

– Na Letę! – powiedziała ze złością Louise, masując sobie krzyż. Zostawiła Prządkę Powrozów w kajucie z zadaniem śledzenia kapsuły na ekranie terminala danych.

– Dobrze się czujesz? – spytała Prządka Powrozów.

– Bywało lepiej... Nic mi się nie stało.

– Mogłaś spodziewać się czegoś podobnego. Atmosfera Tytana ma grubość setek kilometrów; to dość, żeby powstały różne zjawiska pogodowe. A w górnych warstwach atmosfery mocno wieje.

W kapsule było zupełnie ciemno; jarzyły się tylko światła urządzeń. Z zewnątrz nie docierał żaden blask.

– A wiedziałaś, że na Tytanie są pory roku? – spytała Prządka Powrozów. – Teraz jest wiosna i możesz spodziewać się dużych turbulencji.

Opadająca kapsuła zadygotała, poddana kolejnym ruchom mas gazu tworzących atmosferę. Louise miała wrażenie, że słyszy skrzypienie kadłuba.

– Wiosna – mruknęła. – Gdzież są pieśni wiosenne? Ach, gdzież one są?

– Louise?

– John Keats, Prządko Powrozów. Mniejsza z tym.

Stateczek uspokoił się; zapewne minął wietrzną część stratosfery. Louise poluzowała trochę pasy bezpieczeństwa. Światła kapsuły wyłowiły płatki amoniakowego lodu i delikatne wiry mrocznego gazu, które wystrzeliwały z dołu i znikwały w dali.

– Cholernie ciemno – wymamrotała.

– Louise, spadasz w bagno składające się z metanu, etanu i argonu. To smog fotochemiczny wytwarzany przez magnetosferę słoneczną – widzę sporo cyjanowodoru i...

– Wiem to wszystko – warknęła Louise, łapiąc się fotela, gdy kapsuła znów runęła gwałtownie w dół. – Nie musisz czytać mi każdej informacji, która pokaże się na tych cholernych ekranach. Nie przyleciałam tu szukać składników fotochemicznych.

– A czego?

– ...ludzi, Prządko!

Kiedyś Tytan był najgęściej zaludnionym światem poza orbitą Jowisza. Tu znajdowały się najodleglejsze miasta ludzkości. Louise była przekonana, że jeśli jakieś miejsce uchroniło się przed zniszczeniem to jest nim ten księżyc.

Musiała zobaczyć, co się dzieje. Nacisnęła przełączniki na pulpicie kontrolnym. Ściany kapsuły powlekły się perłową bielą. Wywołała wirtualny obraz składający się z danych radaru i innych urządzeń.

W wirtualnym oknie ukazał się krajobraz Tytana, jak z fragmentów snu.

Zatoczyła łuk kapsułą osiemdziesiąt kilometrów nad powierzchnią.

Jądro Tytana było skalne, a otaczał je gęsty płaszcz wody zamarznętej w lód. Pod grubym welonem atmosfery osiemdziesiąt procent powierzchni pokrywały oceany płynnego metanu i etanu, bogato zanieczyszczonego węglowodorami. Pozostałych części „suchego” lodowca nie można było nazwać kontynentami; lodowe grzbiety sterczące ponad metanem ciągnęły się sznurami wysepek i długich półwyspów.

No cóż, oceany pozostały na swoich miejscach. Louise przypominała sobie stare, znajome nazwy: Morze Kuipera, Archipelag Galileusza, Ocean Huygensa, Zatoka Jamesa Maxwella...

Ale nie dostrzegała śladu ludzi, którzy niegdyś ochrzcili te miejsca. Jakby ich nigdy nie było.

Kiedyś wielkie statki-fabryki żeglowały przez oceany, wzbudzając wysokie, oleiste fale; na tych gigantycznych jednostkach produkowano wystarczające ilości żywności do nakarmienia całego Tytana i większości innych księżycowych kolonii w układzie Saturna. Nie zostało po nich nic. Może gdyby rozejrzała się uważnie, znalazłaby szczątki ogromnych metalowych cielsk, zatopionych na lodowych dnach chemicznych mórz.

...Ale teraz coś wyłaniało się nad linią mocno wygiętego horyzontu; kształt, którego nie mogła skojarzyć z obrazem zapamiętanym z przeszłości. Wychyliła się z fotela, wysilając wzrok.

To było lodowe wzgórze wyrosłe nad oceany. Zajmowało całe pole widzenia Louise.

– Prządko, spójrz!

– Nie mam pojęcia, co to może być, nie pasuje do mapy...

– Do mapy? – mruknęła Louise, – Równie dobrze możemy wyrzucić te cholerstwa.

Była to krawędź krateru – tak wielkiego, że rozciągał się niczym ogromna blizna wokół krzywizny planety. Wewnątrz niecki wysokiej na półtora kilometra falowało nowe morze, pobudzone słanymi siłami grawitacji.

– No cóż, dawniej go nie było – oświadczyła Prządka Powrozów. – Zajął połowę powierzchni.

Louise kazała Prządce skonfigurować obraz całego krateru, spadziste brzegi ukryte w metanowym oceanie.

Miał niemal cylindryczny kształt, pionowe ściany, płaskie dno.

– Jak myślisz, jest pochodzenia wulkanicznego? – spytała Prządka.

– Nie przypomina żadnego wulkanu, który widziałam – powiedziała z wolna Louise. – Zresztą jądro Tytana jest nieczynne.

– W takim razie, co to? Czy mógł powstać w wyniku zderzenia z jakimś ciałem niebieskim? Może kiedy księżyce się rozlatywały...

– Przyjrzyj mu się, Prządko – rzekła zniecierpliwiona Louise. – Ten kształt zupełnie nie pasuje do takiej hipotezy; tu nie doszło do żadnego zderzenia.

– Więc co się stało?

Louise westchnęła.

– A jak myślisz? Przebyliśmy tę drogę i znalazliśmy jeszcze jeden ślad po wojnie. Teraz wiemy, co stało się z ludźmi. Kiedy coś uderzyło w Tytana, cała powierzchnia księżyca musiała wpaść w konwulsje. Nic dziwnego, że miasta uległy zniszczeniu...

Wyobraziła sobie trzask lodowej skorupy, która na krótko znów staje się płynna i połyka całe osady; w metanowych morzach powstają kilometrowej wysokości fale pływowe i ledwo krępowane słabą grawitacją w jednej chwili pochłaniają statki aprowizacyjne.

– Więc powiadasz, że to wynik celowego działania? – odezwała się po krótkim milczeniu Prządka Powrozów.

Louise uśmiechnęła się. Superet, rekonstruuując przyszłość z fragmentów, które przekazał Michael Poole po spotkaniu z qaxami, natknęła się na wzmiankę o „gwiazdołamaczach”. Była to broń z arsenału xeelee służąca do niszczenia planet, a działająca na zasadzie skupienia wiązek fal grawitacyjnych. Superet miała dowody, że gwiazdołamaczy użyto na ograniczoną skalę wewnątrz samego Układu Słonecznego; zrobili to qaxowie z przyszłości podczas nieudanego ataku na statek Przyjaciół Wignera.

– To nie powinno być dla ciebie nic nadzwyczajnego – stwierdziła Louise. – Wiemy, że uzbrojenie xeelee wystarczało do zniszczenia światów. Z jakiegoś powodu oszczędzili Tytana. Ale za to wymietli go do czysta! Tak samo zrobili z Kalisto.

Louise sprowadziła kapsułę na jedną z największych pojedynczych wysp, w pobliże poszarpanego brzegu Morza Kuipera. Stateczek wylądował z lekkim chrzęstem, miażdżąc kruchą lodową powierzchnię.

Z kadłuba wyrosła mała śluza powietrzna i Louise wyszła przez nią na powierzchnię.

Natychmiast ogarnęła ją ciemność. W gęstym mroku fotochemicznego smogu światło reflektorów skafandra sięgało zaledwie na metr. Patrząc w dół, z trudem dostrzegała powierzchnię. Pod warstwą gęstego szronu, który trzeszczał pod butami, teren był gładki i twardy. Uniosła się na palcach, sprawdzając swój ciężar; w warunkach ciężenia Tytana, wynoszącego 0,13 g, czuła się lekka, jakby miała sprężyny w podszwach. Słaby wiatr wiał w jej pierś.

Biały śnieg, spadający z grubej na sto kilkadziesiąt kilometrów chemicznej warstwy wiszącej nad planetą, zaciął w osłonę hełmu. Składał się z organicznych polimerów i kleił do osłony, kiedy próbowała go zetrzeć.

– Louise? Słyszysz mnie?

– Słyszę, Prządko.

Zrobiła kilka kroków, oddalając się od migotliwej kapsuły, której światła niemal znikły w rzadkim polimerowym śniegu.

– Wiesz, dokonaliśmy terratransformacji Tytana – wyjaśniła Prządce Powrozów. – Nasze statki pobierały składniki pożywienia i powietrza z mórz. Do chodzenia po powierzchni wystarczały cienkie, ogrzewane skafandry. Oczyszciliśmy atmosferę, Prządko! Oglądaliśmy Saturna i pierścienie. I Słońce. Wiedzieliśmy, że nie żyjemy w samotności, że należymy do Układu Słonecznego... Obecnie Tytan cofnął się do poprzedniego stanu, jakby ludzka stopa jeszcze nie tknęła jego powierzchni. Kiedyś było tu miasto, Prządko. Stacja Cassini. Wielkie błyszczące otwory w lodzie; igloo na powierzchni... Co najmniej sto tysięcy mieszkańców. Mark się tu urodził. Wiedziałaś o tym? –

Rozejrzała się bezradnie. – I, o ile dobrze pamiętam, tutaj mieścił się dom jego rodziców...

Próbowała wyobrazić sobie, że stoi tu w chwili, w której załamał się łańcuch obrony wokół Tytana i xeelee zaczęli rzeź. Wiśniowej barwy, idealnie proste promienie gwiazdołamaczy przewiercają węglowodorowy smog z niewidzialnych nocnych myśliwców. Metanowe morza wyparowują w jednym błysku, a przedwieczna lodowa skorupa rozpuszcza się pierwszy raz od miliardów lat...

– Louise, jesteś już gotowa, żeby wracać do domu?

– Do domu? – Louise uniosła głowę ku zakrytemu niebu i pierwotny, polimeryczny śnieg natychmiast zgromadził się na osłonie hełmu. Przez chwilę oślepiły ją łzy, stare i słone. – Tak. Wracajmy do domu, Prządko Powrozów.

– Błysk helowy – powiedział Mark.

Uvarov drzemał; jego sny jak zwykle były pełne ptaków; ohydnych padlinożerców o ogromnych, czarnych skrzydłach, pikujących w żółte Słońce. Słowa Marka rozbiły bańkę snu, a starzec ocknął się, jak zawsze ślepy i uwięziony na wózku. Poczul zimne ukłucie w prawe ramię; wózek dostarczył kolejną porcję koncentratu żywnościowego.

„Mniam – pomyślał. – Śniadanko”.

– Mark... – szepnął.

– Dobrze się czujesz?

– Świetnie. To wszystko jest zasługą twojej radosnej dociekliwości, ty... sztuczny tworze. – Mówił z wielkim wysiłkiem, walcząc ze znużeniem. – Jeśli tak się przejmujesz moim zdrowiem, podepnij się do czujników wózka i sam się przekonasz, jak to jest. Powtórz, co powiedziałeś. I co to, na Letę, znaczy...

– Błysk helowy – powtórzył Mark.

Uvarov poczul się stary i głupi; próbował zebrać myśli.

– Dostaliśmy wiadomości od Lieserl. Ptaki nadal przyspieszają ewolucję Słońca. – Mark zawahał się. Mówił płaskim głosem, pozbawionym intonacji, co było oznaką roztargnienia. – Porównałem obserwacje Lieserl z własną ekstrapolacją. Chyba potrafię przewidzieć, co dalej się wydarzy... Uvarov, szkoda że nie mogę ci tego pokazać. Symulacja wirtualna byłaby prostsza.

– No cóż, nie możesz – stwierdził kwaśno Uvarov, krzywiąc się. – Wybacz, że rzucam ci kłody pod nogi. Musisz podpiąć kilka procesorów więcej do swojej wyobraźni i posłużyć się mową, nieprawdaż?

– ...Uvarov, Słońce umiera.

Przez miliony lat fotinowe ptaki karmiły się roztopionym jądrem Słońca. Każdy łyk energii obniżał minimalnie ciepłość jądra.

Z czasem, po miliardach interakcji, temperatura opadła na tyle, że procesy termojądrowe ustały. Jądro zamieniło się w umarłą, kurczącą się kulę helu. Tymczasem skorupa roztopionego wodoru wypaliła sobie drogę ze Słońca, zasypując jądro helowym popiołem.

Martwe jądro stale gęstniało – kurczyło się i rozgrzewało. W końcu hel w zapadającym się jądrze osiągnął stan degeneracji – przestał zachowywać się jak gaz, ponieważ...

– Wiem, co to jest materia zdegenerowana.

– Niech będzie. Ale musisz zdawać sobie sprawę, że to niezwykle ważne ze względu na dalszy rozwój wydarzeń. Jeśli podgrzejesz materię zdegenerowaną, ona nie rozszerza się jak gaz... Materia

zdegenerowana nie jest gazem; nie trzyma się żadnych praw obowiązujących ten stan materii.

– No więc mamy to zdegenerowane martwe jądro helowe i otaczającą go płonąca skorupę. I co dalej?

– Tu jesteśmy skazani na spekulacje. W konwencjonalnym olbrzymie, kiedy masa jądra jest wystarczająco wielka – osiąga mniej więcej połowę masy Słońca – temperatura dochodzi do setek milionów stopni i zaczyna się nowa łańcuchowa reakcja termojądrowa, potrójny cykl alfa, w wyniku czego...

– Z popiołu helowego powstaje węgiel.

– Tak. Nagle w martwym jądrze wyzwala się energia powstała w wyniku syntezy termojądrowej helu. Teraz przypomnij sobie, co ci powiedziałem: jądro jest zdegenerowane. Tak więc nie rozszerza się i następuje kumulacja bajecznej ilości energii cieplnej...

– Uważaj, bo spłodzisz sonet o kurczliwości – warknął niecierpliwie Uvarov.

– Ponieważ jądro nie może się rozszerzyć, nie może się schłodzić. Następuje nie kontrolowana reakcja termojądrowa – błysk helowy – trwająca parę sekund. Potem jądro znów zaczyna się rozdymać i w końcu osiąga nowy stan równowagi...

– W porządku. Tak mówi standardowa teoria; teraz wracajmy do Słońca. Nie jest konwencjonalnym olbrzymem, bez względu na nieostrość tego terminu.

– Tak. Ale osiąga punkt błysku helowego.

– Czy działanie ptaków nie powstrzyma nie kontrolowanej syntezy termojądrowej helu – nie zapobiegnie błyskowi helowemu, tak jak zapobiegało przez cały czas syntezie wodoru?

– Nie, Uvarov. Ptaki nie pobierają aż tyle energii, żeby uniemożliwić błysk... Chyba nie o to im chodzi. I oczywiście fakt, że jądro słoneczne jest tak niezwykle bogate w wodór, ma jakiś wpływ na to, co się dzieje. Być może nastąpi tam również jakaś synteza termojądrowa wodoru, złożona, wielokrotna reakcja.

– Mark. Według ciebie po błysku helowym zostanie osiągnięty nowy stan równowagi. – Uvarowowi było to nie w smak. Zastanawiał się, czy przebywanie w tej okolicy będzie rozsądne, kiedy gwiazda przemieni się w czerwonego olbrzyma... – Co nastąpi po błysku helowym?

– No cóż, fala energii cieplnej wyzwolona przez błysk będzie potrzebowała czasu – kilku wieków – na przedostanie się do otoczki. Ta będzie dalej się rozszerzać, szukając nowej równowagi między siłami grawitacji i promieniowania. A energia uwolniona podczas błysku będzie ogromna.

– Ogromna?

– Tak, runie hiperwiatr.

Hiperwiatr...

Błysk helowy, balon rosnący z prędkością setek kilometrów na sekundę ogarnie połowę Słońca.

Druga połowa, szybko stygnące jądro – naga, skurczona kula helu przesyconego węglem – stanie się białym karłem o średnicy zaledwie kilku tysięcy kilometrów, nie większym niż stara Ziemia. Stada fotinowych ptaków, niematerialnych morderców gwiazdy nadal będą krążyć wokół serca Słońca, zasypując studnię grawitacyjną.

Obecnie, przed błyskiem, Słońce było czerwonym olbrzymem o średnicy zaledwie dwóch jednostek astronomicznych. Po hiperwietrze otoczka powiększy się dwadzieścia tysięcy razy, tworząc coraz zimniejszą chmurę grubości trzystu dni świetlnych.

Od najdalszych planet do jądra starego Słońca było zaledwie czterdzieści jednostek

astronomicznych – sześć godzin świetlnych. Rosnąca otoczka w końcu pochłonie wszystkie dzieci Słońca.

Kiedy hiperwiatr ustanie, karzeł dmuchnie własnym wiatrem: gradem szybkich, gorących cząstek, które padając na rozszerzającą się sferę, będą rozdymać wewnętrzne warstwy. Sfera zamieni się w mgławicę planetarną – wielką, stygnącą i pustą skorupę gazu, mieniającą się w świetle karła umierającego w jej środku.

– Oczywiście, hel dokonujący w jądrze syntezy termojądrowej ulegnie wyczerpaniu. Wtedy jądro skurczy się kolejny raz, aż temperatura wokół niego osiągnie taką wysokość, iż znów nastąpi termojądrowa synteza helu – poza jądrem, ale wewnątrz otoczki. W wyniku tego procesu będzie przybywało popiołu węglowego, co zwiększy masę i temperaturę jądra, aż zacznie się synteza termojądrowa węgla... Ten cykl będzie się powtarzał. Nastąpią błyski węglowe, a później tlenowe i krzemowe... W końcu olbrzym będzie miał jądro z niemal czystego żelaza, otoczonego jak w plastrze cebuli warstwami krzemu, tlenu, węgla, helu i wodoru, w których będzie zachodziła synteza termojądrowa. Powstanie jądra z żelaza oznacza jednak koniec ewolucji olbrzyma; żelazo może uczestniczyć w syntezie termojądrowej, tylko absorbując energię, nie wyzwalając ją.

– I wszystko to zdarzy się Słońcu?

Mark zawahał się.

– Według naszego modelu standardowego reakcje doprowadzające do powstania skupisk żelaza w jądrze występują tylko w gwiazdach o masie dużo większej niż Słońce – powiedzmy dwanaście razy. – Westchnął teatralnie. – Czy doczekamy się syntezy termojądrowej cebulowej otoczki w sercu Słońca? Nie wiem, Uvarov. Wydaje mi się, że równie dobrze możemy wyrzucić nasze teoretyczne modele. Jeśli fotinowe ptaki występują tak często, jak na to wygląda, być może w całym Wszechświecie nie ma jednej gwiazdy, która przechodziłaby „standardowy” cykl.

– Hiperwiatr! – szepnął Uvarov. – Kiedy nastąpi błysk helowy Słońca?

– W tym względzie obserwacje Lieserl są skąpe. Ale warunki są odpowiednie. Być może błysk już nastąpił. Niewykluczone, że hiperwiatr właśnie przedziera się na zewnątrz...

– Kiedy, do cholery?!

– Mamy kilkaset lat. Nie więcej.

Uvarov odwrócił głowę, jakby chciał ogarnąć wzrokiem salon. Wyobraził sobie, że za tymi ścianami jest zniszczony układ Jowisza, a rozdęta gwiazda dominuje na niebie.

– W takim razie nie możemy tu zostać! – stwierdził.



## Rozdział 21

Nie dotarła jeszcze na wierzchołek gigantycznego drzewa puchowca, a już miała dłonie śliskie od potu i ciężko dyszała. Prządka Powrozów zdjęła okulary i przetarła szkła skrawkiem przepaski biodrowej. Grawitacja zerowa czy normalna, trzeba było się namęczyć, żeby z jej tuszą dotrzeć w górne rejony dżungli... a im była starsza, tym bardziej musiała się namęczyć, choćby przeszła wszystkie zabiegi terapii desenektywacyjnej.

Była w koronie drzewa, nad gęstwiną splątanych gałęzi. Wszędzie wokół unosiły się nasiona, świetliste punkty w falującym sklepieniu lasu – jak wędrujące gwiazdy. Gdzieś w oddali małe przypominały o swojej obecności. Ich przedziwne wycia, zawrozenia, rosnące i opadające, przypominały jej o klaksonie, który kiedyś wzywał ludzi podziemia do koszmarnej pracy...

Nie, nie będzie teraz wspominać tamtych czasów. Wyjęła zza pasa kawałek suszonego mięsa i zaczęła go żuć, rozkoszując się znajomym, słonym smakiem. Do cholery, ale dała sobie w kość! Przyszła tu sama, bo chciała chociaż na kilka godzin oddalić się od obcego świata pokładów, nie znającego sztucznego nieboskłonu, i powrócić do środowiska, w którym wyrosła.

W oddali załopotał skrzydłami ptak. Wrzasnął. Odcinał się jaskrawo od sztucznego nieboskłonu, bladego niebieskością popołudnia.

Ptak fruwał do góry brzuchem.

– Prządko.

Głos rozległ się tuż przy jej uchu. Nie przestając żuć, odwróciła się.

Louise Ye Armonk unosiła się metr dalej, stojąc na niewielkiej, gładkiej platformie skutera nieważkościowego. Wyszczrzyła w uśmiechu zęby.

– Napędziłam ci stracha? Wybacz, chyba zagrałam trochę nieczysto, używając skutera. Sama nigdy nie wdrapałabym się tak wysoko.

Prządka Powrozów zmierzyła ją wściekłym spojrzeniem.

– Louise. Nigdy, ale to nigdy nie podkradaj się do kogoś, kto jest na wierzchołku drzewa.

Louise nie bardzo się przejęła tym strofowaniem.

– Czemu? Bo ręka mogłaby ci się omsknąć i wylądowałabyś niżej? Też mi katastrofa.

Prządka Powrozów usiłowała opanować gniew, ale poczuła się głupio.

– Daj spokój, Louise. Próbuję trafić ci do przekonania.

Louise zręcznie podprowadziła skuter bliżej, już mniej zręcznie zeszła z niego i dostała się na konar.

– Tak się składa, że ja też – powiedziała łagodnie. Odetchnęła głęboko wilgotnym powietrzem dżungli i rozejrzała się po niebie. – Widziałam, że obserwowałaś ptaka.

Prządka Powrozów poprawiła okulary na nosie.

– I co z tego?

Louise oderwała kawałek kory.

– Hm, wygląda na to, że świetnie dawał sobie radę w warunkach nieważkości.

– Może. Ale nie każde stworzenie mogłoby powiedzieć to o sobie – rzekła z przygnębieniem Prządka Powrozów. Utrata grawitacji powoli, ale nieubłaganie niszczyła faunę i florę dżungli. – Ptaki i zwierzęta żyjące wyżej chyba zdążyły się już przystosować... Mały szybko nauczyły się wspinać i skakać w tych warunkach. Ale poza tym wszystko rozłazi się w szwach. – Pomyślała o pająkach, które nie mogły już rozsnuwać pajęczyn, żabkach drzewnych, które przekonały się, że ich pokryte liśćmi stawki unoszą się w powietrze. – Robimy, co możemy, żeby życie toczyło się normalnie, ratujemy, co się da. Ale, cholera, nawet deszcz nie pada już, jak powinien.

Louise wzięła ją za rękę. Skóra starej kobiety była zimna, papierowa.

– Prządko, musimy przywrócić wszystko do normy. Na stale. – Uniosła twarz. Rozszczepione światło sztucznego niebosłonu złagodziło głębokie zmarszczki. – Nie zapominaj, że ja zaplanowałam tę dżunglę. To jedyny kawałek Ziemi, który według naszej wiedzy ocalał w całym kosmosie.

Prządka Powrozów wyrwała rękę z uścisku.

– Wiem, co chciałaś dać mi do zrozumienia za pomocą tej niby niewinnej uwagi o ptaku. To przenośnia, prawda, Louise? Powinnam się przystosować jak ten mały pierzasty stwór. Zgadza się? Chcesz, żebym wróciła do nocnego myśliwca. – Louise skinęła głową, nie przestając obserwować Prządki Powrozów. – Ale to głupia przenośnia. Zachowanie ptaka to wyjątek, nie zasada. I...

– Prządko, wiem, że potrzebowałaś wytchnienia. Ale minęło już sporo czasu, od kiedy schroniłaś się między tymi drzewami. Potrzebuję cię... wszyscy cię potrzebujemy. Wiem, że to dla ciebie trudne, ale jesteś jedyną osobą zdolną wypełnić zadanie.

Prządka Powrozów obserwowała ją ze sceptycznym wyrazem twarzy.

– Ale już nie chodzi o zwykłe loty po Układzie Słonecznym z wykorzystaniem napędu nieciągłości. Prawda, Louise?

– Prawda. – Louise unikała jej wzroku.

Prządka Powrozów poczuła w piersiach pustkę – jakby jej tors rozszerzył się nagle i pozostało tam tylko serce, trzepoczące jak ptak w nieogarnionej przestrzeni. „Napęd superprzestrzenny...” – pomyślała.

– Prządko, trzeba sprawdzić napęd superprzestrzenny. Rozumiesz to, prawda? Słońce umiera! Być może powinniśmy założyć tu, w Układzie Słonecznym, kolonię. Ale musimy się dowiedzieć, co dzieje się poza Układem. Może gdzieś przeżyli jeszcze inni ludzie. Może zdołalibyśmy się do nich przyłączyć, znaleźć lepsze środowisko do życia. Ale bez napędu superprzestrzennego podróże zajmą tysiące lat lub więcej... nawet z napędem nieciągłości. A nie wydaje mi się, żebyśmy dysponowali tysiącami lat...

Prządka Powrozów wzięła głęboki oddech.

– Tak, ale... Louise, co się stanie, kiedy dotknę przełącznika? Jak zachowa się statek?

Louise zawahała się.

– Prządko, doprawdy nie wiem. O to właśnie chodzi, tego chcemy się dowiedzieć. Dopóki nie podejmiemy jakiejś próby, choćby na ślepo, jesteśmy bezradni. Mark i ja dopiero zaczęliśmy kleić teorie wyjaśniające działanie tego cholernego napędu superprzestrzennego... Prządko, wiemy tylko, że to ma coś wspólnego z liczbą wymiarów...

Konwencjonalny statek kosmiczny, jak powiedziała Louise, pracuje w czasoprzestrzeni „trzy plus jeden” – czyli takiej, która ma trzy wymiary przestrzenne, a czwartym jest czas. W obrębie tych

wymiarów natura jest opisana serią fundamentalnych stałych – ładunkiem elektronów, szybkością światła, stałą grawitacyjną, stałą Plancka i innymi.

Ale ludzie uważają, że fizyką rządzi teoria Spin (10), która opisuje symetrie między siłami natury. I te symetrie muszą się wyrażać w większej liczbie wymiarów niż cztery.

– Wynika z tego, że istnieją więcej niż cztery wymiary przestrzenne – powiedziała Louise. – Ale te „wymiarowe dodatkowe” są skomprimowane...

– Są co?

– Poddane kolapsowi w możliwie najmniejszym wymiarze – w skali niewyobrażalnie małych wielkości, poniżej której łączą się oddziaływania kwantowe i grawitacyjne. Kiedyś – tuż po fazie pierwotnej osobliwości – siły fizyki tworzyły jedność, ale Wszechświat był w pełni wielowymiarowy. Potem zaczęło się wielkie rozprężanie. Trzy z wymiarów przestrzennych rozprężyły się szybko do skali, jaką widzimy dzisiaj. Inne wymiary pozostały skomprimowane.

– Czemu trzy się rozprężyły? Czemu nie cztery, dwa, jeden – albo w ogóle żaden?

Louise roześmiała się.

– Dobre pytanie, Prządko. Żałuję, że nie znam na nie pełnej odpowiedzi. Przestrzenie trójwymiarowe mają pewne unikatowe atrybuty. Na przykład, tylko w takich przestrzeniach planety krążą po stałych orbitach z gwiazdami umieszczonymi centralnie względem nich. Wiedziałaś o tym? Planety w przestrzeni czterowymiarowej unosiłyby się bezwładnie lub runęłyby po spirali w słońca. Życie potrzebuje miliardów lat stabilnego planetarnie środowiska, a więc jest skazane na przestrzeń trójwymiarową. Przy większej ilości wymiarów materia nie zachowuje się stabilnie, więcej, równanie Schrodingera dotyczące ruchu mikrocząstek nie miałoby granicznych rozwiązań... I fale mogą się rozchodzić bez zniekształceń tylko w trzech wymiarach. Jeśli zatem bierzemy pod uwagę dźwięki o doskonałej wierności odtwarzania lub sygnały elektromagnetyczne opisujące w sposób sensowny świat, znów jesteśmy skazani na przestrzeń trójwymiarową. Prządko, może gdzieś są alternatywne wszechświaty, w których po pierwotnej jedności rozwinęły się więcej niż trzy wymiary. Ale na ile potrafimy to ocenić, życie – nasze życie – nie miałoby tam szans; nie pozwoliłaby na to fundamentalna geometria czasoprzestrzeni... Z tym że pamiętaj: dodatkowe wymiary są tu nadal, ale bardzo ciasno zwinięte, w rulony o niezwykle dużej krzywiznie i o niewyobrażalnie małej średnicy.

– Czyli nie możemy ich zobaczyć.

– Nie. Ale... i tu tkwi haczyk, który naszym zdaniem wykorzystali xeelee... te dodatkowe wymiary wywierają faktyczny wpływ na nasz Wszechświat. Krzywizna tych rulonów o niesłychanie małej średnicy decyduje o wartości podstawowych stałych fizyki. Sposób, w jaki rulony są zwinięte, wpływa między innymi na ładunek elektronów lub siłę grawitacji.

Prządka Powrozów skinęła z namysłem głową.

– W porządku. Ale jaki to ma związek z napędem superprzestrzennym?

– Prządko, uważamy, że xeelee znaleźli sposób przystosowania niektórych uniwersalnych danych. Zmieniając stałe fizyczne w ograniczonej przestrzeni, napęd superprzestrzenny rozwija nieco czasoprzestrzeń. – Louise uniosła twarz w górę. – I nocny myśliwiec może na krótkim dystansie poruszać się w jednym z tych dalszych wymiarów. Wyobraź sobie kartkę papieru. Jeśli jesteś ograniczona do dwóch wymiarów, potrzebujesz nieco czasu na przebycie dystansu od jednej krawędzi do drugiej. Ale gdybyś mogła poruszać się w trzecim wymiarze – przez papier – wtedy w oczach obserwatora widzącego tylko dwa wymiary przebyłabyś drogę z jednego miejsca do

drugiego z wielką prędkością...

Prządka Powrozów zmarszczyła brwi.

– Chyba rozumiem. Czy to coś podobnego do podróżowania tunelem czasoprzestrzennym?

Louise zawahała się.

– Nie całkiem. Tunele czasoprzestrzenne to zniekształcenia w naszej czasoprzestrzeni „trzy plus jeden”; nie zawierają dalszych skolapsowanych wymiarów. I są stałe. Możesz przez nie podróżować tylko z jednego miejsca do drugiego, chyba że wleciesz za sobą interfejs. Z napędem xeelee możesz podróżować wszędzie, niemal do woli. Tak myślimy. To jak różnica między koleją szynową a flitterem.

Prządka Powrozów przemyślała usłyszane informacje.

– Brzmi to prosto.

Louise roześmiała się.

– Wierz mi, to pozory. – Odwróciła się, zmieniając temat rozmowy. – Hej. Popatrz. – Wskazała sztuczny nieboskłon.

Prządka uniosła wzrok, mrużąc oczy od blasku.

– Na co?

Louise przysunęła się bliżej, tak że Prządka Powrozów spojrzała wzdłuż wyciągniętego ramienia starej kobiety.

– Widzisz? Te cienie na nieboskłonie, tam..

Było ich kilkanaście. Wspinały się sprawnie, były ruchliwe, zaaferowane.

Prządka Powrozów uśmiechnęła się.

– Małpy. Skolonizowały nieboskłon. Ciekawe, jak się tam dostały.

– Rzecz w tym, że się przystosowały – powiedziała Louise. – Jak papuga.

– Kolejna przenośnia?

Louise wzruszyła ramionami niemal z pogardliwą wyższością.

Prządka Powrozów odniosła wrażenie, że zamieniła się w jednego z ludzi podziemia. Nie była już wolna. Ogromne, niepojęte przedsięwzięcie Louise jak jarzmo przygięło ją do ziemi.

– W porządku, Louise. Trafiłaś mi do przekonania. Wracajmy do nocnego myśliwca.

Lieserl wreszcie zrozumiała fotinowe ptaki.

Myślała o gwiazdach. O nowych i supernowych.

Kiedy świeżo rozbłysłe słońca rozpoczęły trwający miliardy lat żywot w ciągu głównym, Wszechświat zapewne stał się w oczach fotinowych ptaków wyśmienitym miejscem pobytu. Gwiazdy wydawały się stabilne; wieczne, przyjemne gniazda studni grawitacyjnych i energii termojądrowej.

Następnie pojawiły się pierwsze niestabilności.

Wybuchy czerwonych olbrzymów i rozbłyski nowych były z pewnością okropne. Ale nawet nowa pojawia się w wyniku ograniczonej eksplozji, która nie niszczy siedliska karmiących się fotinowych ptaków. Jednakże przemiana w supernową może zniszczyć ciało niebieskie w przeciągu kilku sekund, tak że pozostaje tylko skurczona, szybko obracająca się neutronowa resztką.

Lieserl usiłowała wyobrazić sobie te zdarzenia z punktu widzenia fotinowych ptaków. Niestabilności, wielkie eksplozje z pewnością rujnowały stada w jądrach gwiazd. Być może ptaki zbudowały z czasem cywilizacje; wyobrażała sobie wielkie wirujące miasta z ciemnej materii w sercu gwiazd – miasta rozdzierane na strzępy w wyniku pierwszych śmiertelnych konwulsji

kosmosu.

Na miejscu fotinowych ptaków nie zniósłaby tego.

One nie potrzebowały widowiskowych, oślepiających gwiazd. Z pewnością nie potrzebowały niestabilności, nowych i supernowych, rozpadania się na kawałki umierających gwiazd. Zależało im jedynie na stabilnych studniach grawitacyjnych i strumyczku interakcji proton-fotino, na źródle energii.

Zastanawiała się nad Słońcem.

Kiedy ptaki skończyły pastwić się nad Słońcem – po tym jak hiperwiatr przeleciał przez zrujnowany Układ – pozostał z niego biały karzeł: mała stygnąca bryłka zdegenerowanej materii, mniejsza niż Ziemia. Żywot Słońca dobiegł kresu. Nie mogło spodziewać się zmiany, jedynie powolnego upadku; nie czekały go żadne niesłychane wydarzenia...

Jednakże ten karzeł zachował więcej niż połowę pierwotnej masy Słońca. I było w nim wiele gęstej materii gotowej do interakcji i energii wytwarzanej w trakcie powolnego kurczenia się gwiazdy.

Słońce było idealnym habitatem dla fotinowych ptaków.

Lieserl ujrzała to teraz z przerażającą jasnością.

Fotinowym ptakom nie podobał się Wszechświat pełen nowych, gorących, niebezpiecznych gwiazd, gotowych w każdej chwili do eksplozji. Postanowiły więc zrobić z nim porządek – jak najszybciej doprowadzić do zestarzenia się gwiazd.

A kiedy osiągną swój wielki cel, Wszechświat wypełnia przygasłe, nie zmieniające się białe karły. Poruszać się będą jedynie cieniste stada fotinowych ptaków wędrujące między gwiazdnymi gniazdami zbudowanymi głównie z neutronów.

To była monumentalna wizja; przedsięwzięcie inżynieryjne na możliwie największą skalę – nieporównywalne z żadnym innym.

Ale w jego efekcie Wszechświat – cały Wszechświat – miał stać się miejscem nieprzyjaznym dla ludzi.

Zbadała rozdmajające się jądro Słońca. Jego temperatura wzrastała niemal z każdym dniem; z każdą chwilą należało się spodziewać błysku helowego – jeśli już nie nastąpił.

Wyglądało na to, że ludzie odbierali dane, które im przesyłała. Dostała odpowiedź.

Przetłumaczyła ją powoli. Oto uśmiechnięta twarz, niezdarnie zaszyfrowana w ciągu dwójkowym maserowych wybuchów, zniekształcona efektem dopplerowskim. I – zaproszenie.

„Przyłącz się do nas” – rzekł człowiek.

Prządka Powrozów kolejny raz zasiadła w kabinie pilota nocnego myśliwca xeelee. Oplatały ją łuki materiału konstrukcyjnego, za którymi widniał rozdęty balon Słońca, ogromny i blady, niczym jakiś bezmierny duch.

Nie mogła się umościć w fotelu. Po każdej podróży prosiła Marka o lepsze wyprofilowanie siedziska i oparcia, ale nadal nie czuła się wygodnie. Może winę ponosiły czujniki biostatyczne, którymi oplatano ją przed lotem...

„A może po prostu jestem zmęczona tym bombardowaniem dziwnymi, obcymi widokami” – pomyślała.

Dotknęła grotu pod skafandrem. Przed sobą miała czarną podkawkę pulpitu kontrolnego z trzema

nakładkami sterującymi. Wpatrywała się w środkową – kontrolującą napęd superprzestrzenny. Wyglądała zwyczajnie, ot, skrzynka z metalu i plastiku, o ciepło płonących, ruchliwych światełkach; ale w oczach Prządki Powrozów rosła, wydawała się większa od Słońca...

– Prządko. Słyszysz mnie?

– Tak, Louise. Jestem na miejscu.

– Wszystko w porządku? Siedzisz w fotelu?

Westchnęła zniecierpliwiona.

– Tak, jestem w fotelu, dokładnie tam, gdzie usadziłaś mnie pięć minut temu.

Louise roześmiała się.

– W porządku, Prządko, wybacz. Jestem w kajucie. Słuchaj – każde ryzyko, na jakie będziesz narażona, będzie dotyczyło również mnie...

Teraz Prządka się roześmiała.

– Dzięki, Louise. Od razu poczułam się lepiej.

Louise zamilkła na chwilę i Prządka Powrozów wyobraziła sobie jej trochę smutny, zmęczony uśmiech.

– Nigdy nie umiałam nikogo zachęcić, jak należy. Niesamowite, że mnie samej udało się tyle osiągnąć... Jesteś gotowa do startu?

Prządka Powrozów wzięła głęboki oddech; ścisnęła ją w gardle i czuła się lekka, jakby przebywała daleko stąd – jakby to wszystko było jakimś wirtualnym pokazem, nie mającym żadnego związku z rzeczywistością.

– Jestem gotowa – odrzekła.

Zapadła cisza; Louise Ye Armonk chyba wstrzymywała oddech.

– Prządko, jeśli potrzebujesz jeszcze czasu...

– Powiedziałam, że jestem gotowa. – Otworzyła oczy, poprawiła się w fotelu i rozprostowała dłonie w rękawicach. Przed nią płonął ekran dotykowy nakładki sterującej napędu superprzestrzennego. – Powiedz, co mam robić, Louise.

Słońce było bezkresną masą po jej prawej ręce, zalewającą kabinę przyćmionym czerwonym światłem.

Rząd ekranów dotykowych lśnił żółcią. Nie myśląc o tym, co robi, Prządka Powrozów wyciągnęła dłoń i konwulsyjnym ruchem przycisnęła palec wskazujący do środkowego ekranu.

Łagodne światło zmieniło się.

Zdała sobie sprawę, że wstrzymała oddech; nawet puls, dudniący w słuchawkach hełmu, zwolnił swój rytm.

Wpatrywała się w rękawicę, wyciągnięty palec nadal dotykał nakładki; kątem oka widziała zębrowanie klatki pilota. Wszystko wyglądało jak przed ułamkiem sekundy.

...Poza tym, że cień dłoni na ekranie zmienił się nieznacznie.

Poprzednio rozdęta kula Słońca zalewała pole widzenia Prządki Powrozów szkarłatnym, krwistym blaskiem, a kabina była pełna pręgowanych cieni, rozmytych na krawędziach. Teraz cienie przesunęły się prawie o sto osiemdziesiąt stopni, jakby Słońce czy inne źródło światła – przeszło na jej lewą stronę.

Uniosła dłoń i obróciła ją przed twarzą, obserwując światło rozkładające się na pofałdowanych palcach rękawicy. Zmieniła się również jego jakość. Wydawało się rozmyte – cienie złagodniały,

a blask nabrał różowego, jaśniejszego odcienia.

Opuściła dłoń na piersi. Poprzez warstwy kombinezonu czuła twardy grot wbijający się w tors. Wepchnęła ostrze w ciało, aż poczuła pękającą skórę; ukłucie było jedyną realnością w bezmiarze kołującego światła.

Powoli odwróciła głowę.

Słońce przepadło. Tam, gdzie bezgraniczna masa zakrywała niebo szkarłatnym dymem, widniała tylko pustka – czerń, smugi skurczonych gwiazd.

Natomiast po lewej stronie pojawiła się ściana różowiejącego gazu, poznaczona ciemniejszymi smugami i przechodząca na brzegach w czerń. To była chmura gwiazd o średnicy liczonej latami świetlnymi.

Myśliwiec xeelee musiał pokonać setki – może nawet tysiące lat świetlnych. I nie poczuła nic. Wystarczyło raz dotknąć ekranu...

Pochyliła się, opuszczając głowę na podolek. Przyciskała grot do piersi, kłując się raz za razem; drugą dłonią szarpała osłonę hełmu, szukając twarzy. Poczuła jak zwieracz pęcherza rozluźnia się i ciepły płyn tryska do cewnika.

– Prządko. Prządko...!

Ktoś potrząsał ją za ramiona; z oddali docierał jakiś głos. Poczuła w ustach kciuk. Ból w piersi zelżał, stał się tępy.

Ktoś łagodnie odsunął jej dłoń od ust.

Przed sobą miała kwadratową, znużoną twarz, szopę siwych, twardych włosów; zaniepokojenie przebijało przez niepewny uśmiech.

– Louise...?

Uśmiech nabrał życia.

– No, wróciłaś do siebie. Dzięki niech będą życiu. Witaj z powrotem.

Prządka Powrozów rozejrzała się wkoło. Nadal przebywała w kabinie; nakładki wciąż znajdowały się na czarnym jak skrzydło kruka pulpicie kontrolnym, ekrany dotykowe płonęły. Ale wokół klatki pilota wyrosła kopuła z mlecznego, nie przepuszczającego światła materiału, odcinając niewiarygodny widok.

Louise przyglądała się z troską Prządce Powrozów. Kołysała się za klatką, obwiązana krótką liną bezpieczeństwa. Wsunęła dłoń między pręty klatki, podając wilgotną ściereczkę.

– Proszę. Lepiej się wytrzymaj.

Prządka Powrozów spojrzała w dół. Dłonie i podbródek miała zaślinione, skafander rozpięty, piersi pokryte masą otwartych ranek, hełm na podoleku.

– Ale się upaprałam – powiedziała. Przetarła tors.

Louise wzruszyła ramionami.

– Nic się nie dzieje, Prządko. Chociaż musiałam się uwijać. Bałam się, że zerwiesz osłonę hełmu, zanim cię odizoluję.

Prządka Powrozów uniosła hełm i znalazła ustnik rurki z sokiem jabłkowym.

– Louise, narobiłam dużo zamieszania?

Louise uśmiechnęła się i pogładziła Prządkę po policzku zniszczoną dłonią.

– To wina napędu superprzestrzennego, nie twoja. Nie masz się czego wstydzić. Wiedziałam, że to nie będzie łatwe, ale nie miałam pojęcia, na jaki szok cię narażam.

Przędka zmarszczyła brwi.

– W ogóle nie czułam ruchu. To było coś nieprawdopodobnego, istne czary. Nawet gdy używałam napędu nieciągłości, dostrzegłam jakieś efekty wizualne; widziałam planety rosnące w oczach, przesunięcie w stronę niebieskiej części widma i...

Louise westchnęła i potarła twarz.

– Wiem. Czasem chyba zapominam, że to statek xeelee. On po prostu nie jest zaprojektowany z myślą o ludziach... Chyba narzuca się wniosek, że xeelee są trochę twardsi pod względem psychicznym niż my.

– Ale czy się udało, Louise?!

– Tak, udało się, Przędko. Przebyliśmy dwa tysiące lat świetlnych w czasie tak krótkim, że nawet nie mogłam go zmierzyć...

Louise przeniosła dłoń z policzka na ramię Przędki.

– Mogę znieść nieprzenikalność kopuły. Jeśli chcesz.

Przędka Powrozów nie zamierzała się nad tym zastanawiać.

– Śmiało, Louise.

Ta podniosła hełm i wyszeptała instrukcje do mikrofonu.

Mgławica Trójlistna oglądana kiedyś z Ziemi rzucała słaby blask z konstelacji Strzelca – wielka niczym Księżyc w pełni, ale o wiele ciemniejsza. Jako że odległość do niej wynosiła dwa tysiące lat świetlnych, tylko potężne teleskopy pozwalały ujrzeć jej cudowne barwy. Światło potrzebowało pełnych trzydziestu lat, aby pokonać jej rozległy obszar.

Louise i Mark wybrali Trójlistna jako pierwszy punkt docelowy lotu z napędem superprzestrzennym. Nawet gdyby nocny myśliwiec zszedł z trajektorii o setki lat świetlnych, nie mógłby się z nią rozminąć.

Ale nakładka działała sprawnie. Program Louise doprowadził nocnego myśliwca do środka Trójlistnej, sześćdziesiąt lat świetlnych od krawędzi.

Ściana mgławicy zajmowała połowę nieba nad Przędką Powrozów, tworząc studium w różowościach i czerwieniach. Ciemniejsze pasma ułożyły się w literę Y, dzieląc z grubsza mgławicę na trzy części. Wydawała się gładka, niczym przeogromna akwarela. Przeświecały przez nią gwiazdy.

– To mgławica emisyjna, Przędko – powiedziała z roztargnieniem Louise. – Te gwiazdy tkwią w gazie; ich światło ultrafioletowe jonizuje wodór mgławicy, co z kolei powoduje świecenie gazu...

– Wskazała dłonią. – Te ciemne rysy, długie na kilkadziesiąt lat świetlnych, sygnalizują brak gwiazd. Mgławica nazywa się „Troista”, ponieważ rysy dzielą ją na trzy części, widzisz? Popatrz teraz na te mniejsze czarne punkty. To globule Boka... miejsce narodzin nowych gwiazd tworzących się w mgławicy.

Przędka Powrozów odwróciła się do Louise. Głos inżyniera był płaski, osłabiony.

– Louise, czy coś jest nie w porządku?

Ta spojrzała na młodszą kobietę.

– Przepraszam, Przędko. Chyba powinnam się cieszyć. Przecież dzięki napędowi superprzestrzennemu dostałyśmy się tam, gdzie spodziewałam się dotrzeć. A i tak wykorzystałam Trójlistna tylko jako punkt orientacyjny. Ale... cholera, kiedyś tworzyła dużo wspanialszy widok. Te jej kolory, przez całe spektrum, od niebieskiego i zielonego, aż do czerwieni... Tu były gorące, jasne



młode gwiazdy, od których aż oczy bolały. Teraz znikły. Zostały zdmuchnięte, wybuchły albo dokonały żywota w przyspieszonym tempie; jak wszystkie gwiazdy w tej cholernej galaktyce. Po prostu nie mogę się z tym pogodzić. Próbuję, ale wciąż czuje się taki, jakby ktoś walił... mnie młotem w głowę.

Prządka Powrozów znów odwróciła się do Trólistnej, nie mogąc wyjść z podziwu.

Louise uśmiechnęła się. Łagodne światło mgławicy wyraźnie oświetlało jej twarz.

– A co ty sądzisz...? Ależ Prządko, ty płaczesz?

Zaskoczona Prządka Powrozów dotknęła policzka. Był mokry. Otarła go, zażenowana.

– Nic mi nie jest – powiedziała. – To tylko...

– Tak?

– To takie przepiękne. – Wpatrywała się w rozległe skrzydła mgławicy, niezdolna oderwać wzroku od delikatnych barw. – Louise, to takie szczęście, że tu jestem, że dane jest mi to oglądać. Uvanov mógł wysłać kogoś innego nie mnie i Strugacza Strzał, poza śluzy, wtedy, za pierwszym razem. Ty mogłaś poprosić kogoś innego, żeby nauczył się pilotować nocny myśliwiec. Louise, to nie musiałam być ja. Mogłam umrzeć, nie widząc tego, nawet nie wiedząc, że to istnieje. – Spojrzała niepewnie na Louise. – Rozumiesz?

Louise uśmiechnęła się.

– Nie. – Wsunęła rękę do klatki i poklepała Prządkę po ramieniu. – Ale kiedyś czułabym to samo, co ty. Dalej, Prządko. Wykonałyśmy zadanie. Wracajmy do domu.

Prządka Powrozów sięgnęła po hełm. Kiedy go zakładała, nie odrywała oczu od nieprawdopodobnie pięknego gwiazdnego pejzażu.

## Rozdział 22

Lieserl weszła do jadalni „Wielkiej Brytanii”.

Zawahała się w niskim wejściu. Była oszołomiona szlachetnością wiekowego otoczenia; delikatnymi pilastrami i sztukaterią, lustrami migocącymi na ścianach. Zjawiła się jako ostatnia na tej dziwnej kolacji. W jadalni siedziało już sześcioro ludzi – trzech mężczyzn i trzy kobiety – zajmując miejsca po obu stronach długiego stołu. Jedyne światło dawały świece (prawdziwe czy wirtualne?) ustawione na środku blatu. Twarze rozmawiających, wspaniałe srebra i porcelana lśniły w migotliwym, złotym blasku; resztę pomieszczenia zalegały cienie, nadając mu posmak tajemniczości, a nawet romantyczności.

Jeden z mężczyzn odwrócił się. Wstał, odsuwając krzesło, i uśmiechnięty podszedł do niej. Niebieskie oczy błyszczały w ciemnej twarzy.

Coś załaskotało ją w gardle; uniosła dłoń do ust i poczuła szorstkość swojej skóry, głębokie zmarszczki. Co prawda było to jej pierwsze bezpośrednie spotkanie z ludźmi od pięciu milionów lat... ale zachowywała się prześmiesznie, niczym podlotek na pierwszym balu! Była sztuczną inteligencją, starą jak epoki geologiczne, ale trafiwszy między ludzi, nie umiała się odnaleźć w wirze ich niewiarygodnie trudnych relacji.

Poczuła nagle, intensywne i nostalgiczne pragnienie powrotu do czystego, jasnego wnętrza Słońca. Wszystkie tamte milenia, spędzone na krążeniu wokół jądra wraz z fotinowymi ptakami, wydawały się jej długim, fantastycznym snem; przerwą w tej prawdziwej ludzkiej rzeczywistości...

Mężczyzna wyciągnął rękę i wziął ją pod ramię! Jego ciało było ciepłe, sprężyste.

Krzyknęła i cofnęła się, tracąc równowagę..

Pięć jasno oświetlonych twarzy odwróciło się do niej i konwersacja zamarła.

Nikt nie dotknął jej od megalat!

Mężczyzna pochylił się nad nią. W niebieskich oczach płonęły szelmowskie iskierki.

– Przepraszam – powiedział. – Nie mogłem się powstrzymać. Jestem Mark Bassett Friar Armonk Wu.

Wyprostowała się pełna urażonej dumy i spiorunowała go wzrokiem. Dotknięcie sprawiło, że rozdygotała się aż do pięt, i była pewna, że się zarumieniła, chociaż fizycznie liczyła sobie sześćdziesiąt lat. Całą sobą czuła – aż za dobrze, tak że nie mogła się skupić – bliską obecność Marka.

Znów wziął ją pod ramię, jeszcze delikatniej niż poprzednio, i zaprowadził do stołu.

– Obiecuję, że więcej nie narażę cię na taki wstrząs. Jestem tu jedynym wirtuałem... oczywiście poza tobą.

– Cholera, te wirtualne iluzje są czasem za dobre – stwierdziła.

Własny głos wydał się jej słaby i drżący. Dużo wody w Lecie upłynie, zanim wybaczy Markowi Wu tę nachalność.

Podprowadził ją do stołu, wysunął krzesło – więc ono też było wirtualne! – i usiadła z resztą

towarzystwa.

Kobieta naprzeciwko pochyliła się nad stołem i uśmiechnęła. Miała kwadratową, wyrazistą twarz, zmęczone oczy i szopę siwych włosów.

– Jestem Louise Ye Armonk – przedstawiła się. – Witam cię serdecznie, Lieserl.

– Ach – powiedziała Lieserl. – Louise. Przywódczyni.

Jeden z mężczyzn – groteskowy ślepiec, łysy i owinięty w koce – wygiął w tył cienką jak patyk szyję, zadarł głowę do sufitu i roześmiał się na głos.

Louise wyglądała na znużoną.

– Lieserl, poznaj Garry’ego Uvarova... Już z nim rozmawiałaś. Przedstawiła resztę: Jutrzejszego Dnia, wrzcionowatego, powściągliwego mężczyznę, który wraz z Uvarovem doglądał operacji ściągania jej maserowymi linkami z wraku interfesju, i dwie drobne, młodo wyglądające kobiety o dziwnych imionach – Prządkę Powrozów i Łowczynię Żab. Ich nagość zupełnie nie pasowała do eleganckiego wnętrza jadalni. Twarze miały pomalowane jaskrawym szkarłatem, czaszki częściowo wygolone. Dojrzała z pary nosiła połyskujące okulary, a na szyi miała grot prostej roboty, wiszący na rzemyku.

Wszystko to było nadal tak świeże dla Lieserl, że tym bardziej zdawała sobie sprawę z własnego wyglądu. Jej dłonie rzucały delikatne cienie, a broszka – tworzyła ją węże oplecione wokół drabiny – migotała w blasku świec. Patrząc z bliźniaczych dziur oczodołów, widziała, jak zmienne światło odbija się z zadziwiającą dokładnością na niewyraźnych zarysach jej twarzy; wiedziała, że w oczach innych prezentuje się autentycznie.

Uśmiechnęła się do Louise Ye Armonk.

– Zainwestowaliście we mnie sporo mocy przetworzeniowej,

Louise wyglądała na trochę spłoszoną. Lekko odchyliła się od stołu.

– Stać nas na to. *Północna* wykorzystuje bardzo niewiele mocy. Mamy dużą rezerwę.

– To nie była krytyka. Chciałam wam podziękować. Doceniam to przywitanie.

Mark, który siedział obok, pochylił się ku Lieserl.

– Nie przejmuj się Louise. Ona lubi kłuć jak jeź...

Prządka Powrozów, dziewczyna w okularach, spytała:

– Jak co?

– ...dlatego się, z nią rozwiodłem.

– To ja rozwiodłam się z nim – poprawiła go Louise Ye Armonk. – I wciąż nie mogę się go pozbyć.

– Tak czy siak, może powinnaś powstrzymać się od podziękowań, zanim nie zobaczysz, co się tu serwuje – powiedział Mark.

Do stołu podawały autonomiczne roboty. Jeden z nich – zapewne wirtual – obsłużył Marka i Lieserl.

Kuchnia była „tradycyjna, angielska”, jak zapewniła Louis Ye Armonk. Oświadczyła, że zdobyłaby uznanie jakiegoś „Brunela”. Lieserl podejrzliwie przyglądała się półmiskom z symulowanym mięsem zwierząt. Natomiast smakowało jej wino, jak i świeże owoce; wydała rozkazy w myślach i pozwoliła sobie na stan lekkiego podchmielenia.

Konwersacja toczyła się całkiem gładko, ale Lieserl miała wrażenie, że jest nieco sztuczna, wymuszona.

– Lieserl... – zaczęła Łowczyni Żab, pochylając się do niej. – Tak?

– Czemu jesteś taka stara?

Uvarov, kaleki chirurg, odrzucił głowę w tył i ponownie wybuchnął upiornym śmiechem. Łowczyni Żab zmieszała się, a nawet wystraszyła. Przyglądając się Uvarowowi, Lieserl poczuła, że rodzi się w niej głęboka, przemożna niechęć.

Zdobyła się na uśmiech pod adresem Łowczyni.

– Nic się nie stało, kochanie. – Rozłożyła palce. Napreżyła cienką tkankę między kciukiem a palcem wskazującym, oceniając to nowe wrażenie. – Po prostu taką siebie zapamiętałam. Wybrałam tę wirtualną skorupę, ponieważ zapewne obrazuje, jak nadal czuję się wewnątrz.

– Taka byłaś, zanim przetransferowano cię w głąb Słońca? – spytała Prządka Powrozów.

– Tak... chociaż zanim doszło do transferu, byłam trochę starsza niż wskazuje ta powierzchowność. Widzisz, prawdę mówiąc, pozwolili mi umrzeć ze starości... Byłam pierwszą osobą od długiego czasu, której się to przydarzyło.

Zaczęła im opowiadać swoje przeżycia – cierpienia starczego wieku: łzawiące oczy, niesprawne zwieracze i mięśnie jak trzaskające szmaty – ale Prządka Powrozów uniosła dłoń. Uśmiechnęła się; szkła powiększały jej oczy.

– Znamy to, Lieserl. Kiedyś zabierzemy cię do lasu; opowiemy ci wszystko.

Kolacja zakończyła się koniakiem i kawą, serwowanymi przez dyskretne roboty. Lieserl koniaku nawet nie skosztowała, ale smak kawy, wirtualnej czy nie, sprawił, że poczuła się w siódmym niebie.

Mark skinął głową, widząc jej rozanielenie.

– Autentyczność kawy to nie przypadek. Uzyskanie tego smaku kosztowało mnie lata! Od kiedy zostałem uwięziony w tym wirtualu, nic nie zajęło mi tyle czasu, co odtworzenie smaku kawy. – Niebieskie oczy zapłonęły. – No, może z wyjątkiem seksu...

Zmieszana Lieserl spuściła wzrok.

Jednakże prowokacyjna uwaga Marka zwróciła jej uwagę na ten element ludzkiego życia. Seks. Być może tylko tego brakowało na spotkaniu wiekowych, na wpół nieśmiertelnych osobników. Niektórzy byli zachowani lepiej, inni gorzej – a niektórzy, jak Prządka Powrozów, byli nawet (prawie) autentycznie młodzi – lecz wokół nie wyczuwało się seksualnego napięcia. Ci ludzie po prostu nie dopuszczali do głosu zwierzęcej strony swojej natury.

Znała eugeniczne eksperymenty Uvarova na leśnym pokładzie, zainspirowane bezpośrednio pragnieniem udoskonalenia gatunku ludzkiego. Może to zebranie, bezgłośnie potwierdzające ograniczenia technologii TDS, częściowo usprawiedliwiało przedsięwzięcia Uvarova.

Louise Ye Armonk delikatnie zastukała łyżeczką w kieliszek; szkło zadźwięczało łagodnie.

– Dobra, ludzie – powiedziała. – Chyba czas, żebyśmy zajęli się konkretnymi.

Uvarov uśmiechnął się do Lieserl, pokazując bezzębne dziąsła.

– Witaj na naradzie wojennej – zasyczał.

– No cóż, być może mamy tu do czynienia z wojną – przyznała z powagą Louise. – Ale w tej chwili jesteśmy tylko przypadkowymi widzami, na których skierowano ogień krzyżowy. Musimy ocenić nasze możliwości i zdecydować, dokąd się udamy. Jesteśmy w... trudnej sytuacji. – Robiła wrażenie niezwykle zmęczonej, wyczerpanej odpowiedzialnością i Lieserl ogarnęło współczucie do tej bardzo onieśmielającej kobiety. – Naszym zadaniem było dostarczyć interfejs tunelu czasoprzestrzennego do krańca czasu i wrócić tunelem do naszej własnej epoki. No cóż, wiemy, że to się nie powiodło. Interfejs jest zdefektowany, tunel czasoprzestrzenny zapadł się, a my zostaliśmy uwięzieni tu, gdzie jesteśmy. Chcę, abyśmy podjęli decyzję w kwestii przyszłości naszego ludu.

Wszystko inne – wszystko! – jest temu podporządkowane. Zgadza się z tym?

Na chwilę zapanowała cisza; Lieserl zauważyła, że niewielu obecnych miało odwagę spojrzeć w zimne oczy Louise.

Jutrzejszy Dzień pochylił się ku światłu. Lieserl z łagodnym rozbawieniem dostrzegła, że kościste przeguby mężczyzny sterczą z przykrótkich rękawów.

– Zgadza się, Louise. Mamy tylko jeden, jedyny priorytet. A jest nim ochrona ludzi na tym statku; dwóch tysięcy ludzi na pokładach i w dżungli. Do tego wszystko się sprowadza.

Louise uśmiechnęła się.

– Jutrzejszy Dniu, oddaję ci głos. W jaki sposób mamy zrealizować ten priorytet?

– To oczywiste. Na dobre czy złe, jesteśmy teraz strażnikami tysiącletniej kultury – kultury, która ewoluowała w warunkach lotu: zamkniętej przestrzeni, ograniczonego dostępu do surowców... i stałej grawitacji. Ale lot się skończył. I zrezygnowaliśmy z grawitacji bez słowa ostrzeżenia. Wiecie, że udało się przeprowadzić oblężenie świątyń bez najmniejszych strat w ludziach. Jednakże, Louise, nie mogę powiedzieć, że życie na pokładach wróciło do normy. To niemożliwe. Mój lud jest o krok od szaleństwa, co dopiero mówić o powrocie do pracy. Nikt nie produkuje żywności. Na razie wystarczają nam zapasy, ale zapewne nie na długo.

Łowczyni Żab wysunęła głowę.

– I dżungla też, flora i fauna są...

Louise uniosła dłonie.

– Wystarczy. Jutrzejszy Dzień wskazał problem. Proszę o sugestie, jak go rozwiązać.

Jutrzejszy Dzień i Łowczyni Żab wymienili spojrzenia.

– Gdyby była Ziemia, na którą można by wrócić – powiedział z wolna Jutrzejszy Dzień – to radziłbym wrócić.

– Ale nie ma Ziemi – stwierdził kwaśno Uvarov. Mówił chrapliwym głosem wydobywającym się przez urządzenie w tchawicy. – A może nie zrozumiałeś, w czym rzecz?

Jutrzejszy Dzień był zirytowany, lecz nie dał się zbić z tropu.

– Wiem, że nie ma Ziemi.

– A więc...? – spytała Louise.

– A więc sugeruję, żebyśmy zostali na statku – odrzekł z namysłem Jutrzejszy Dzień. – Zholujemy go szybko i postaramy się o więcej paliwa. Potem udamy się w podróż, wprowadzając słabą grawitację.

– Dokąd? – spytał Mark.

– Dokądkolwiek. To naprawdę nie ma znaczenia. Możemy krążyć wokół Słońca po jakiejś sztucznie utrzymywanej orbicie. Mnie to obojętne. Rzecz w tym, żeby pobudzić napęd; przyspieszenie przywróci statkowi grawitację, a cała załoga zacznie normalnie żyć.

Zapanowała krótka cisza, po której odezwała się Prządka Powrozów:

– Prawdę mówiąc, trzymając się tego planu, z pewnością lepiej byłoby pozostać w Układzie Słonecznym na sztucznej orbicie, Z czasem paliwo zacznie się wyczerpywać; czy nie byłoby właściwe trzymać się Układu, mając pewność, że da się je uzupełnić...? Nawet gdyby ta chwila miała nadejść dopiero za tysiąc lat.

– Może. – Louise z namysłem potarła nos. – Ale nie jestem pewna, czy zdołamy przeżyć na statku. Przynajmniej przez długi okres. – Westchnęła. – Kochana stara *Północna* sprawiła się znakomicie, przeszła wszelkie oczekiwania konstruktorów. I może przetrzyma kolejne tysiąc lat. Ale w końcu

kiedyś zawiedzie. Może nie za tysiąc lat, ale jakaś awaria nastąpi. I co wtedy? – Zmarszczyła brwi. – Może nas zabraknąć, żeby dopilnować przejścia do innego środowiska.

– Jest jeszcze ważniejsza sprawa – powiedział z powagą Mark. – Konstrukcja mechaniczna – śruby i nity – może przetrwa wyprawę, ale społeczna tkanka *Północnej* nie wytrzyma takich napięć. Weźcie pod uwagę ostatnie zachowanie planistów; ich mesjanistyczne wizje, które po tysiącu lat dojrzewania przybrały postać zaiste szaleńczych urojeń. – Spojrzał znacząco na Uvarova. – A po drodze czeka nas kilka lokalnych problemów.

– Tak. – Zmęczenie wryło się na twarzy Louise. – Wydaje mi się, że pod koniec tej pustyni czasu trudno mówić o zachowaniu racjonalnych postaw...

Mark rozejrzał się wokół stołu.

– Proszę państwa, nie jesteśmy xeelee. Nie jesteśmy stworzeni, by żyć ze sobą przez stulecia, a co dopiero milenia. Po prostu nie umiemy stworzyć społeczności, która przetrwałaby w nieskończoność w takim ciasnym, zamkniętym pudle, jakim jest statek kosmiczny. Mamy to już wypróbowane.

– A czy pozostał nam jakiś wybór? – spytała Louise.

– Oczywiście. Zostajemy w Układzie. Ale wysiadamy z tego cholernego statku i spróbujemy skolonizować jakieś księżycy, które ocalały. Posłużą nam przynajmniej za kopalnię surowych materiałów do budowy habitatów. Moglibyśmy na początek zdemontować *Północną*... Louise, chodzi mi o to, żebyśmy wyszli w przestrzeń, zanim się nawzajem pozabijamy.

Uvarov skierował ślepe oczy na wirtuala. Uśmiechnięta twarz wyglądała jak pysk zmi.

– Co za urocza, romantyczna idea – powiedział – lecz, obawiam się, nie do zrealizowania.

– Z jakiego powodu?

– Z powodu błysku helowego. – Uvarov odwrócił się ku Lieserl. Poczowała się niepewnie, widząc jego ciemne oczodoły. – Nowego prezentu przyjaciół Lieserl, stworzonych z ciemnej materii i zamieszkujących wewnątrz Słońca. Według naszych najbardziej optymistycznych przewidywań błysk pojawi się w ciągu... najpóźniej... kilku wieków. – Odwrócił głowę ku Louise. – A po nim możemy spodziewać się błysku węglowego, wodorowego i... Moi przyjaciele, dzięki fotinowym ptakom Układ Słoneczny właściwie nie nadaje się do zamieszkania.

Mark spiorunował wzrokiem starego chirurga.

– To zaproponuj coś lepszego.

Louise uniosła dłonie.

– Zaczekajcie. Porozmawiajmy trochę o fotinowych ptakach. – Zerknęła na Lieserl. – Wiesz o nich więcej niż ktokolwiek z nas. Podejrzewam, że przewidywania Uvarova są trafne.

– Co do dalszej wymuszonej ewolucji Słońca? O tak. – Lieserl skinęła głową. Znalazłszy się w centrum uwagi, poczuła się niezbyt komfortowo. Światło mieniło się na jej obliczu. – Obserwowałam je przez pięć milionów lat. Przez cały ten czas zachowywały się identycznie. Nie mam powodu uważać, że teraz się zmieniają. A wasze obserwacje wskazują, że wszystkie pozostałe gwiazdy są nie zamieszkałe...

Uvarov nachmurzył się.

– Zarażone! Te twoje ptaki, te stwory z ciemnej materii, są naszym prawdziwym nieprzyjacielem.

Louise spojrzała na Lieserl.

– Uważasz, że pod tym względem Uvarov ma również rację?

Lieserl starannie rozważyła tę kwestię.

– Nie. Nie całkiem. Nie myślę, żeby ptaki naprawdę zdawały sobie sprawę z naszej obecności. Przecież postrzegają nas równie marginalnie jak my je. – Zamknęła oczy, zauważając z roztargnieniem, że jej wirtual przymyka powieki. – Wydaje mi się, że bardzo szybko zauważyły moją obecność... Mówiłam wam, że starały się znaleźć sposób utrzymania mnie przy życiu. Ale nigdy nie wykazywały chęci szukania innych przedstawicieli mojego gatunku. I nigdy nie próbowały nawiązać ze mną łączności... Niemniej jednak nie uważam, żeby były naszymi nieprzyjaciółmi – skończyła zdecydowanym tonem.

Uvarov roześmiał się.

– To kim są, na wody Lety? Według mnie pasują jak ulał do obrazu idealnego nieprzyjaciela ludzkości.

Lieserl drgnęła, słysząc ostry ton tego ludzkiego wraka, ale nie ustąpiła.

– Myślenie w tych kategoriach nic nam nie da. Robią to, co robią, niszczą Słońce, bo takie jest ich zajęcie. Przyspieszając cykl życia gwiazd, zapewniają lepszy Wszechświat sobie i swojemu potomstwu, teraz i na przyszłość. – Poszukała porównania. – Są jak owady. Może mrówki. – Rozejrzała się wokół stołu. – Czy wiecie, o czym mówię? Ptaki wypełniają imperatyw narzucony im w ramach gatunku. Tak się składa, że to typowy model postępowania nas wszystkich.

Mark skinął głową.

– Myślę, że to dobra analogia. Te ptaki nawet nie muszą być żywe w naszym znaczeniu tego słowa, żeby dokonać niezwykłych dzieł – zmian na skalę kosmiczną. W twoim opisie ich cyklu życiowego przypominają samoreplikujące się maszyny von Neumanna...

Uvarov wychylił się mocno nad stół. Jego głowa tańczyła na cienkiej szyi.

– Posłuchajcie. Żywe czy nie, świadome czy nie, fotinowe ptaki to nasz odwieczny nieprzyjaciół, prawdziwy nieprzyjaciół. Ponieważ my jesteśmy z materii barionowej, a one z ciemnej.

Louise opróżniła kieliszek z koniakiem i nalała sobie kolejną miarkę.

– Może. Ale przez większą część historii za nieprzyjaciela ludzkości uważano xeelee! To wynika z ocen Superet i z tego, co przekazała nam Lieserl.

Uvarov uśmiechnął się dziwnie.

– Oczywiście, nie zaprzeczam. Nie zamierzam szokować was tak dalekim odstępstwem od uznanych opinii. Moi przyjaciele, już w stosunkowo krótkim okresie przed naszym wyruszeniem ze strumienia czasu, w ciągu zaledwie kilku mileniów, popełniono całą serię upiornych błędów; odezwały się tragikomiczne słabości, głęboko zakorzenione w naszej psychice, dziedzictwo żałośnie śmiesznych, skazanych na niepowodzenie przedsięwzięć, napędzanych iluzjami i samookłamywaniem się. Odsyłam was chociażby do historii konfliktów religijnych i ideologii opartej na ekonomii. I nie widzę niczego, co wskazywałoby na to, że ludzie zmądrzeli po naszym odlocie. – Odwrócił głowę do Marka. – Zanim wyzionąłeś ducha, byłeś socjoinżynierem – powiedział bez ogródek. – Potwierdzisz moje słowa. Wygląda na to, że wojna z xeelee – albo wojny – była kolejnym upiornym, epokowym błędem ludzkości. Wiemy, że xeelee plasowali się intelektualnie wyżej od nas, na poziomie, o którego osiągnięciu ludzkość mogła jedynie marzyć; wystarczy przyjrzeć się temu fantastycznemu statkowi kosmicznemu, nocnemu myśliwcowi, żeby to pojąć. Ale ludzie – jak to ludzie – nigdy nie mogli się z tym pogodzić. Byli opętani małostkowym przekonaniem, że muszą rzucić wyzwanie xeelee, pokonać ich, stać się królami – a naprawdę królikami – barionowego kosmosu. Ta absurdalna rywalizacja doprowadziła w końcu do całkowitego zniszczenia gatunku ludzkiego. I, co gorsza, zaślepiła nas tak, że nie widzieliśmy prawdziwej natury xeelee i ich celów, a także zagrożenia ze

strony królestwa ciemnej materii. Teraz jest dla mnie jasne, iż w obrębie Wszechświata toczy się fundamentalny konflikt między formami ciemnej i jasnej materii, konflikt, który w końcu doprowadzi do zniszczenia gwiazd. Różnice między gatunkami barionowymi – na przykład nami i xeelee – to nic w porównaniu z tą wielką schizmą.

Louise Ye Armonk skrzywiła się.

– Oto czarny scenariusz, co się zowie, Uvarov. Bo jeśli jest prawdziwy...

– Jeśli się nie mylę, stoimy w obliczu większego wyzwania niż znalezienie bezpieczeństwa poza granicami zagrożonego Układu Słonecznego. Możemy nie znaleźć kryjówki w naszym kosmosie. Jeśli nawet uda się nam wyszukać jakąś zaciszną kolonię, ptaki nadal będą przeczesywać przestrzeń, znajdą ten obiekt, a potem zniszczą. Bo muszą!

Mark powstrzymał się od śmiechu.

– Jak w tych przedwiecznych obrazach nazywanych westernami: Wszechświat jest za mały dla nas dwóch... Niech no podsumuję: wszyscy nie żyją, a cały Wszechświat jest skazany na zagładę. No cóż, jak waszym zdaniem mamy sprostać tej kryzysowej sytuacji? – Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

Lieserl przyjrzała mu się z ciekawością. Po krótkim fizycznym kontakcie z Markiem intensywnie czuła jego obecność. Mimo to była zaniepokojona tym kpiarskim tonem.

Jeśli bowiem Uvarov miał rację, ludzie na tym kruchym, starym statku byli jedynymi żywymi przedstawicielami swojego gatunku w nieugiętej wrogim Wszechświecie.

Lieserl miała uczucie, jakby zapadła się w siebie; jakby ukryła się w tej świeżo odzyskanej skorupie ludzkiego ciała; rozejrzała się po poważnych, młodych-starych twarzach oświetlonych świecami. Czy to prawda? „Czy to – zastanawiała się ukłuta żądłem litości nad sobą – ostateczny paradoksalny żart, na jaki pozwolił sobie mój złośliwy los?” Urodziła się jako ktoś obcy w obrębie swojego gatunku. Teraz powróciła – nawet serdecznie witana – tylko po to, aby dowiedzieć się, że historia człowieka dobiegła kresu?

Głos Marka wyrwał ją z zamyślenia:

– Przepraszam. – Wyglądało na to, że starał się ją uspokoić. – Słuchaj, Uvarov, to, co mówisz, brzmi zupełnie absurdalnie. Niewiarygodnie pesymistycznie.

– Absurdalnie? Pesymistycznie? – Uvarov gwałtownie odwrócił ku niemu puste oczodoły. – Ty widzisz, ja nie. Pokaż mi skrawek nieba wolny od zniszczeń dokonanych przez te wrony z ciemnej materii.

Uśmiech Marka stracił na pewności siebie.

– Ale przecież nie uda się nam uciec z kosmosu?

Teraz uśmiechnął się Uvarov, pokazując szerniałe dziąsła.

– Nie?

Lieserl przyglądała mu się z ciekawością. Zanalizował sytuację *Północnej* z druzgocącą precyzją. Podchodził do problemów z niezachwianą uczciwością – większą niż ktokolwiek z pozostałych, również ona sama.

Zastanawiała się, czy nie dlatego właśnie Louise Ye Armonk chciała go mieć przy boku. Jako towarzysz podróży był trudny do zniesienia, a jego zdrowy rozsądek ledwo trzymał się kupy. Ale w sposobie myślenia kierował się bezlitosną logiką.

Przędka Powrozów położyła nagie przedramiona na obrusie.

– Więc, doktorze, jesteś mądrzejszy od wszystkich pokoleń ludzkości.

Uvarov westchnął.



– Może jestem, moja droga. I nic dziwnego. Mam dar jasnowidzenia.

Głos zabrała Louise:

– W takim razie podziel się nim z nami. Powiedziałaś, że ludzie byli ślepi na cele xeelee. A jakie one były przez cały ten czas?

– To oczywiste. – Uvarov „rozejrzał” się wkoło, jakby szukał reakcji. – Xeelee to dominujący gatunek barionowy – barionowi wielmoże. I poprowadzili walkę, decydującą batalię o Wszechrzecz, przeciwko tym hordom fotinowych ptaków, reprezentantom ciemnej materii. Walczyli o przetrwanie w obliczu zagrożenia ze strony ciemnej materii.

– A wojny z ludźmi...

– ...dla xeelee znaczyły tyle, co ukłucie komara dla mieszkańców dżungli. Ale ze strony ludzkości to był straszliwy, strategiczny błąd.

Zebrani zamilkli. Lieserl zauważyła, że oczy Łowczyni Żab zrobiły się wielkie jak spodki. Wpatrywała się w płomyki świec, jakby tam krył się sens wypowiedzi Uvarova.

– W porządku – powiedziała ostro Louise. – Uvarov, muszę wiedzieć, w jakiej sytuacji nas to stawia. Co powinniśmy zrobić?

Spod zwojów derek Uvarova dobiegło gulgotanie; Lieserl wzdrygnęła się, uświadomiwszy sobie, że wózek karmi lekarza, podczas gdy ten przemawia.

– To oczywiste – odrzekł. – Nie możemy zorganizować skutecznej obrony przeciwko fotinowym ptakom. Dlatego też musimy zdać się na łaskę naszych starszych kuzynów – musimy szukać ochrony u barionowych wielmożów, xeelee.

Mark roześmiał się.

– A jak to zrobimy?

– Mamy dowody, że xeelee budują ostatnią redutę – stwierdził Uvarov. – Ostatnią linię obrony, na której muszą się oprzeć. Musimy tam polecieć.

Louise była wyraźnie zaskoczona.

– Jakie dowody? O czym ty mówisz?

Mark zamyślił się i rzekł:

– Chodzi mu o Wielki Atraktor... – Zrelacjonował pokrótce odkrycie nietypowej emisji fal grawitacyjnych z Atraktora.

Louise zmarszczyła czoło.

– Skąd wiesz, że to ma jakiś związek z xeelee?

– No cóż, to trzyma się kupy, Louise; z analizy fal grawitacyjnych, które do nas dotarły, wiemy, że coś dzieje się w okolicy Atraktora. Panuje tam ożywienie... ogromne ożywienie. A nigdzie indziej nie widać śladu życia...

Głowa Uvarova skoczyła jak u marionetki, kiedy nią pokiwał.

– Atraktor to miejsce ogromnej budowy, może ostatnie i największe przedsięwzięcie barionowe. Niewykluczone, że dałoby się nawet odgadnąć, na czym ono polega.

– Tak...? – warknęła Louise.

– Wiemy, że technologia xeelee jest oparta na manipulacji czasoprzestrzenią – kontynuował Uvarov. – Mamy dowody istnienia gwiazdołamacza – broni opartej na działaniu fal grawitacyjnych – i wiemy, że napęd myśliwca xeelee wykorzystuje efekt ściany domenowej. Sądzę, że ten obiekt w Strzelcu to sztuczna konstrukcja.

– Na czym oparta?

– Na operowaniu czasoprzestrzeni – wyjaśnił Uvarov.

– To logiczne, Louise – dodał Mark. – Zastanów się. Tylko wykorzystując efekty występujące w czasoprzestrzeni, w tym grawitację, xeelee mogą wejść w interakcję z fotinowymi ptakami. Tak więc stworzyli i udoskonalili broń i maszyny oparte na operowaniu czasoprzestrzeni; nocny myśliwiec, gwiazdołamacz...

– Pierścień! – szepnęła Lieserl. – Może... ten Wielki Atraktor... to pierścień. Największe, ostateczne przedsięwzięcie xeelee. Czy to możliwe?! Doktorze Uvarov, czy znalazłeś pierścień?

Garry Uvarov odwrócił się do niej.

– Może.

Mark skinął głową.

– Możesz mieć rację... Z naszych namiarów wynika, że stworzenia z ciemnej materii również wiedzą o ożywieniu w Strzelcu. – Zwrócił się do Lieserl: – Widzieliśmy, jak ich strumienie wracają do Słońca i wylatują z niego w kierunku Atraktora... jakby również on był ośrodkiem ich aktywności.

Uvarov uśmiechnął się.

– To miejsce ostatniej bitwy.

Louise wykrzywiła usta.

– Mamy lecieć do Wielkiego Atraktora? Trzysta milionów lat świetlnych... To nie spacer do następnej przecznicy.

– Ale moglibyśmy się tam dostać – powiedział Mark, Lieserl zauważyła, że mówi bardziej monotonnym głosem niż poprzednio, pozbawionym wyrazu. – Mamy nocny myśliwiec na napęd superprzestrzenny. Wygląda na to, że ten napęd ma nieograniczony zasięg. Prządka sprawdziła już, że człowiek może latać myśliwcem i...

Lieserl dostrzegła, że Prządka Powrozów skuliła się nieznacznie, odsunęła od stołu i złożyła dłonie na podolku. Jej okrągła twarz nie wyrażała niczego.

Louise Ye Armonk zmarszczyła brwi.

– Musimy znaleźć sposób przetransportowania naszego ludu. To oczywiste.

Mark rozłożył ręce.

– To z pewnością jest do zrobienia. Możemy odczepić kopułę mieszkalną od *Północnej* i jakoś przymocować ją do nocnego myśliwca...

Louise skinęła głową.

– Ale musimy wzmocnić wewnętrzną strukturę kopuły... Nie ulega wątpliwości, że będzie potrzebna współpraca z pokładami. Jutrzejszy Dniu, czy to wykonalne?

Jutrzejszy Dzień pochylił się i wsunął w obręb światła, by udzielić odpowiedzi.

Lieserl złożyła dłonie na stole, starając się opanować ich drzenie. Nie słuchała reszty rozmowy poświęconej szczegółom.

Wyglądało na to, że decyzja została podjęta, niemal bez dyskusji. Rozważyła ją w myślach.

Czy istniała jakaś alternatywa? Biorąc pod uwagę wnioski Uvarova, chyba nie.

Ale z wniosków wynikało, że ona – Lieserl – zakończy swoje długie, dziwne życie w centrum wszystkich mitów – trwających przez większą część historii ludzkości.

Miała udać się do pierścienia...

# CZEŚĆ IV

## CZASOPRZESTRZENNA TRAJEKTORIA

## Rozdział 23

Światła podniszczonej kopuły mieszkalnej *Północnej* jarzyły się od sztucznego nieboskłonu po sam dół, od dżungli do rampy przeładunkowej. Blask z urządzeń ludzkiej roboty opływał niewzruszony materiał konstrukcyjny xeelee, nie wzbudzając żadnych odbić.

Prządka Powrozów siedziała w ciasnej kabinie. Słyszała ożywioną wymianę zdań w kopule.

Poruszała nerwowo dłońmi, skubiąc szwy rękawicy. Pomyślała, że wyglądają niczym ptaki gotowe zerwać się z gałęzi. Celowo pobyła je na kolanach, uspokoiła. Załoga nadal nie była gotowa. Co oni sobie wyobrażają? Ile ich zdaniem może jeszcze wytrzymać?

Za nią wyraźnie rysowały się gładkie skrzydła, napęd nieciągłości myśliwca, na tle krwistoczerwonego, rozdętego Słońca. Kopułę mieszkalną *Północnej* – odciętą od kolumnowego kręgosłupa – dopasowano niezgrabnie i przypięto do barków statku. Za kopułą znalazł się napęd fazowy pozyskany z porzuconej „północnej”. Dwie części dawnego statku łączyła płatanina kabli. Pod rusztowaniem znalazło się jeszcze miejsce dla niewielkich, wdzięcznych kształtów „Wielkiej Brytanii”. Sentymentalizm Louise Ye Armonk kolejny raz uratował stary statek przed porzuceniem. Odbijał się on mrocznym cieniem od rozjaśnionej kopuły mieszkalnej, przypominając przyklejonego owada.

Sama kopuła wyglądała niczym groteskowy pasożyt, przygniatający swoim ogromem zimne kształty wytworu technologii xeelee.

Prządka zamknęła oczy, próbując uciec od napierającego wszechświata zdarzeń. Słyszała dźwięków w tle, własnego przyspieszonego oddechu. Okulary uwierały znajomo mostek nosa, a na piersi czuła chłodny dotyk grotu. Czujniki biostatyczne kleiły się do ciała, ostre i zimne, ale w końcu oswoiła się z nimi; nie drażniły jej już tak jak na początku. To środowisko miało woń plastiku i metalu, a także trochę niej samej; czuła również domieszkę zapachu soku pomarańczowego, dostarczanego jednym z ustników.

– ...Prządko Powrozów.

Ten głos przebił się przez bełkotliwy gwar jak czysty śpiew oboju przez zgiełk orkiestry. (Pomyślała, że zanim wyszła z dżungli, takie porównanie nigdy nie wpadłoby jej do głowy).

– Słyszę cię, Louise.

– Wydaje mi się, że jesteśmy gotowi.

Prządka Powrozów roześmiała się.

– Żartujesz? Sądząc po tonie twojego głosu, nigdy nie byliście mniej gotowi.

Louise westchnęła, wyraźnie zirytowana.

– Prządko, jesteśmy tak gotowi, jak to tylko możliwe. Poświęciliśmy rok na przygotowania. Jeśli będziemy czekać, aż każda śrubka zostanie dokręcona i każdy cholerny upierdliwiec na pokładach, każda wiekowa zakuta pała w każdym z cholernych pożegnalnych komitetów Jutrzejszego Dnia zechce dać nam wreszcie swoje niechętnie przyzwolenie – to przesiedzimy tu aż do wystygnięcia Słońca.

– Jest drobna różnica w porównaniu z dawnymi czasami, Louise – zauważyła zgryźliwie Prządka Powrozów.

Widziała obrazy ze startu *Północnej* – ekstrawaganckie bankiety, flotyllę statków międzyukładowych wirującą wokół wielkiego statku fazowego, kiedy wyruszał poza Układ.

– Hm, zgadza się. Tyle że tamte czasy chyba nie wrócą. Teraz trzeba kierować się bardziej na nosa, niż trzymać regulaminów i wiedzy.

„Aha, tyle że to mój nos pierwszy zapłaci za wasz błąd” – pomyślała z urazą Prządka Powrozów.

– Technicznie jesteśmy gotowi, zgodnie z tym, co mówią układy sprzężeń zwrotnych Marka – powiedziała Louise. – Przekazaliśmy koordynaty lotu twoim nakładkom sterującym... teraz możemy jedynie patrzeć, czy będą działać.

– Zgadza się. Mogę zacząć odliczanie? – spytała kwaśno Prządka Powrozów. – Przekazuj to na pokłady. Będzie pyszna zabawa. Dziesięć, dziewięć...

– Daj spokój, Prządko. Nie czas na wygłupy. Nadszedł moment, by spełnić swój obowiązek! I, Prządko...

Ta wpatrywała się w Słońce.

– Tak?

– ...miej oczy i uszy otwarte!

Prządka Powrozów poczuła się jeszcze bardziej urażona. Wiedziała, co znaczy ta komenda. Jeśli podczas pierwszego lotu z wykorzystaniem napędu superprzestrzennego wydarzy się coś złego – tak złego, że nie przewidziały tego niezliczone wirtualne scenariusze, tak złego, że zawiedzie automatyka – to wtedy winna będzie ona, Prządka Powrozów, i jej prześwietny nos, który nie podpowiedział jej właściwego rozwiązania. Ale też dlatego nadal tu siedziała, nadal tkwiła za prętami tej cholernej otwartej kabiny pilota: ponieważ Louise i Mark nie znaleźli sposobu zastąpienia człowieka automatem.

Od jej reakcji i refleksu zależało nie tylko życie pojedynczych osób, ale przyszłość całego gatunku ludzkiego.

Sięgnęła do nakładki sterującej napędem superprzestrzennym. Nagle zdała sobie sprawę, że patrzy bezmyślnie na swoją rękę, pojmując coraz dobitniej, jak wielka odpowiedzialność spoczywa na jej barkach. Światło umierającego Słońca zalewało kabinę krwistoczerwonymi cieniami: jaskrawe złote przebliski migotały na rękawicy.

Ogarnęła ją głęboka melancholia. Stłumiła płacz, chociaż nastrój, który ją opanował, był tak ponury, że niemal nie do zwalczenia...

Ale to nie był jej nastrój. Uświadomiła sobie, że to uczucia jej towarzysza, cichego, niewidzialnego towarzysza z kabiny pilota...

– Prządko? Czekamy. – W głosie Louise brzmiało nieznośne napięcie.

Prządka Powrozów rozejrzała się po pustym niebie Układu Słonecznego; po zrujnowanym Słońcu, błyszczącym dysku Jowisza. Wydawało się jej dziwne, że jest ostatnim człowiekiem spoglądającym na tę boleśnie pustą, wielką katedrę zbudowaną z przestrzeni kosmicznej, pełną ech dawnych zdarzeń.

– Louise, nikt z nas tu nigdy nie wróci, prawda?

– Do Układu Słonecznego? Nie – stwierdziła krótko Louise.

– To nie w porządku – rzekła powoli.

– Co jest nie w porządku?

– Że tak po prostu stąd odchodzimy. Louise, jesteście ostatnimi ludźmi. Czy nie powinniśmy...

Louise roześmiała się.

– Co? Przybić plakietkę do Kalisto? Wygłosić mowę? Zostawić kartkę: „Ostatni gasi światło”?

– Nie wiem, ale...

– Prządko. – Nie ulegało wątpliwości, że Louise z wielkim trudem zachowuje cierpliwość. – Jest

po wszystkim. Naciśnij tylko ten cholerny guzik.

Prządka Powrozów zacisnęła dłoń wokół urządzenia sterującego.

Słońce zmalowało do punktu i znikło.

Prządka Powrozów została ciśnięta w ciemność, w morze cieni, które zatopiło kabinę. Spojrzała na podolek. Z dołu bił jedynie przytłumiony karmazynowy blask – o wiele słabszy niż światło Słońca – ledwo ujawniający zarysy jej ciała.

Przeskok za pomocą napędu superprzestrzennego dokonał się tak nagle i gładko jak podczas prób. Zupełnie nie miała wrażenia ruchu; zmieniło się jedynie światło, jakby to wszystko było jakąś drobną wirtualną sztuczką.

Odwróciła się na fotelu. Kopuła mieszkalna nadal tkwiła na wątych barkach myśliwca xeelee. Wyglądała na nie uszkodzoną. Setki żółtych ludzkich świateł, małpujących utracone Słońce, nadal jarzyło się blado na pustym tle.

A za kopułą mieszkalną była gwiazda, na tyle bliska, że mająca postać kuli – czerwona jak Słońce, lecz o wiele ciemniejsza, chłodniejsza. Ta gwiazda dostarczała całego światła. Zza niej wyłoniło się sześć innych, odległych gwiazd, jaśniejących ponadprzeciętnym blaskiem. Sunęły po niebie zygzakowatą linią. Jedna z nich, rubinowy promyk na skraju drobnej konstelacji, prześwitywała przez wątłą atmosferę pobliskiej kuli.

Odleglejsze konstelacje rozłożyły się na niebie odcieniami szkarłatu i żółci. Na ile mogła to ocenić, nie zmieniały położenia. No cóż, nie była zaskoczona; wiedziała, że Louise nie planowała długiego pierwszego skoku.

– Jak się czujesz, Prządko?

– Świetnie – odpowiedziała krótko. – I na pewno wiesz o tym lepiej ode mnie dzięki urządzeniom Marka.

Louise roześmiała się.

– Nauczyłam się nie ufać tym cholernym gadżetom. Jakie wrażenia z lotu?

– Takie jak zwykle. Ani dobre, ani złe... Rozumiem, że wszyscy przeżyliśmy.

– Dokonuję oceny sumarycznej. Jak się wydaje, nikt nie odniósł trwałej kontuzji. Jeden szok... –

Parsknęła. – Ten mężczyzna spadł z wielkiego puchowca, Prządko, kiedy Słońce znikło. Dureń unosił się w powietrzu, aż udało się go ściągnąć i przywiązać. Zgodnie z naszymi oczekiwaniami osłona inercyjna ściany domenowej zabezpieczyła całą kopułę przed skutkami ubocznymi skoku... Prządko, mam wrażenie, że niewielu ludzi na pokładach w ogóle zdało sobie sprawę, że zrobiliśmy skok.

– Tak chyba jest lepiej. – Prządka Powrozów rozejrzała się po niebie. – Louise, myślałam, że Układ Słoneczny działa na mnie depresyjnie. Ale ten układ to grobowiec.

– Wiem, Prządko. Przykro mi. Mamy go jednak na kursie. Niebawem opuścimy płaszczyznę naszej galaktyki, udając się w kierunku konstelacji Centaura, w kierunku Wielkiego Atraktora...

– I pierścienia xeelee.

– Tak, jeśli istnieje. A ta gwiazda również figuruje w Centaurze. Główne gwiazdy konstelacji

Centaura znajdowały się w odległości od czterech do pięciuset lat świetlnych od Słońca. *Północna*, unoszona na barkach nocnego myśliwca xeelee, miała pokonać w mniej więcej prostej linii tę trójwymiarową drogę – a potem udać się dalej, poza Galaktykę, w kierunku samego Wielkiego Atraktora.

– Prządko, czy uwierzysz, że postanowiłam skierować nas tu w ramach pierwszego skoku z przyczyn sentymentalnych?

– Sentymentalnych? W to miejsce? Żartujesz?

– Prządko, ta słabo świecąca kula to Proxima Centauri; gwiazda położona najbliżej Słońca, o niecałe cztery lata świetlne. Kiedy byłam mała i mieszkałam na Ziemi, nasze statki fazowe ledwo dolatywały do gwiazd. Takie układy jak Proxima były tematem najdzikszych fantazji, pełnych niezwykłych przygód i możliwości. Ponure ostrzeżenia Superet przed strasznymi kosmitami, którzy żyli gdzieś tam, tylko przydawały uroku tym marzeniom... Uważałam, że muszę się tam dostać i przekonać o wszystkim na własne oczy.

Istota przebywająca w kabinie z Prządką Powrozów wydawała się rozbawiona tym wyjaśnieniem, a nawet zadowolona.

Prządka skubnęła materiał skafandra.

– Uhm. No cóż, w końcu udało ci się dostać na Proximę. Te dziecięce wspomnienia są wzruszające – dodała kwaśno.

*Jesteś dla niej za surowa, Prządko Powrozów.*

– Proxima wygląda jak czerwony olbrzym – kontynuowała. – Więc chyba fotinowe ptaki już zrobiły swoje...

– Nie – odpowiedziała Louise. – Tak naprawdę Proxima to czerwony karzeł. Gwiazda ciągu głównego, całkiem stabilna.

– Doprawdy? – Prządka Powrozów odwróciła się na fotelu i popatrzyła na zgaszony dysk. – Chcesz powiedzieć, że zawsze była taka?

Louise roześmiała się.

– Obawiam się, że tak, Prządko. Po prostu ma o wiele mniejszą masę niż Słońce, tak więc zawsze promieniowała o wiele słabszym blaskiem – dokładnie dwadzieścia tysięcy razy. Fotinowe ptaki nie musiały nic robić, żeby stała się zimna i czerwona jak Słońce; Proxima zawsze była karłem. Stałym, nieszkodliwym i całkiem bezużytecznym.

– Bezużytecznym dla nas. Dla życia barionowego. Ale może nie dla tych ptaków.

– Nie – stwierdziła Louise. – Sądzę, że czerwony karzeł to dla nich idealna postać gwiazdy, model, ku któremu prowadzą każdą cholerną gwiazdę we wszystkich galaktykach. Oczywiście Proxima ma swoje humory; to całkiem jasna gwiazda rozbłyskowa. Może rozjaśnić się do poziomu...

– Teraz to mówisz? – Prządka Powrozów dłuższą chwilę wpatrywała się w poblady karmazynowy dysk. – I chciałaś, żebyśmy tu tkwili i czekali, aż coś się wydarzy?

– Nie. Zresztą podejrzewam, że fotinowe ptaki już poradziły sobie z takimi frywolnymi poczynaniami... Och. Jedna rzecz. Prządko, odwróć się.

Prządka zwolniła pasy bezpieczeństwa i spełniła polecenie.

– Co znowu?

– Widzisz tę konstelację na prawo od Proximy? Louise zapewne miała na myśli nierówny szereg pół tuzina gwiazd, uznała Prządka.

– Tak. O co chodzi?

– Na Ziemi tę konstelację nazywano od dawna Kasjopeją, od królowej Joppy, matki Andromedy...

– Daruj sobie bajeczki, Louise – warknęła Prządka Powrozów.

– Ale z tego miejsca konstelacja wygląda inaczej. Wyraźny kształt litery W jest trochę zniekształcony – z powodu tej jasnej czerwonej gwiazdy u lewego końca.

Prządka Powrozów wyteżyła wzrok; rubinowy blask przeświecał przez mgliste zewnętrzne warstwy Proximy.

– Pierwsi koloniści Proximy czy raczej Układu Alfa, do którego Proxima należy, nazywali tę nową konstelację „Serpentyna”. Ta wyjątkowa gwiazda to Słońce. Nasze Słońce widziane z Proximy. Następny skok i Słońce stanie się niewidzialne Prządko, jesteś ostatnim człowiekiem, który oglądał jego blask...

Gigantyczne Słońce świeciło przez szkarłatny aksamit Proximy; Prządka Powrozów wpatrywała się w niego, próbując dostrzec cały dysk, aż oczy zasły jej łzami.

W końcu oderwała się od tego widoku.

– Dość – powiedziała. – Dalej, Louise, koniec z przeszłością.

– W porządku, Prządko...

Ta zacisnęła dłoń na nakładce.

...I posępna kula Proximy nagle została zastąpiona następnym układem gwiazd. Nie towarzyszyło temu żadne wrażenie towarzyszące zwykle pokonywaniu odległości, poruszaniu się. Oto pojawiła się kolejna czerwona gwiazda – wielka, o nierównych brzegach – lecz tym razem z towarzyszką, mniejszą żółtą gwiazdą, punktem świetlnym, ledwo oddalonym od czerwonej kuli. Towarzyszący karzeł nadawał olbrzymowi eliptyczny kształt i Prządce wydawało się, że dostrzega niewyraźny pomost łączący oba ciała, czerwony płonący łuk zasysany z olbrzymia.

– ...Prządko?

– Tak, Louise, nadal tu jestem. Naprawdę dostarczasz mi niezwykłych widoków, wiesz o tym?

– To Menkent – Gamma Centauri. Jesteśmy głębiej w konstelacji Centaura; już sto sześćdziesiąt lat świetlnych od Słońca. Menkent była kiedyś cudowną gwiazdą podwójną klasy A... Jednakże fotinowe ptaki już się tu zjawiły. Teraz jedna z tych gwiazd przechodzi fazę olbrzymia, a druga została zredukowana do postaci karła. Ponura obrzydliwość.

Prządka Powrozów obserwowała podwójną gwiazdę, szkarłatne koronki gazu olbrzymia obejmujące karła.

– Obrzydliwość? Nie wiem, Louise. To nadal piękny widok.

*Tak, Prządko Powrozów. I to ostatnia odwiedzana przez nas gwiazda na tyle ważna, że ochrzczona przez ziemskich astronomów przed epoką lotów międzygwiezdnych. Kolejny ponury kamyczek milowy...*

– Tylko ty też nie wpadaj w ponuractwo – powiedziała Prządka.

– Prządko...?

– Nic, nic, Louise.

– W porządku, ustaliliśmy, że wszystko dobrze funkcjonuje. Zamierzam teraz wprowadzić główną sekwencję nawigacyjną i spróbujemy paru większych skoków... Jesteś gotowa?

Prządka zamknęła oczy.

– Jestem gotowa, Louise.



– To, co teraz powiem, nie będzie wesołe, ale pomoże ci psychicznie. Lepiej zniesiesz kolejne widoki. Opuszczamy naszą Galaktykę jakieś dwadzieścia stopni poniżej jej płaszczyzny. Spróbujemy poruszać się z prędkością trzydziestu pięciu lat świetlnych i będziemy skakać co sekundę. W tym tempie powinniśmy pokonać sto pięćdziesiąt milionów lat świetlnych do Atraktora w...

– ...w mniej więcej pięćdziesiąt dni. Wiem, Louise!

– Jestem w dżungli, Prządko. Patrzymy przez sztuczny nieboskłon. Ja, Jutrzejszy Dzień, Uvarov, Łowczyni Żab i kilka innych osób. Więc nie jesteś tam sama; widzimy to samo, co ty...

– Kolejna gadka mająca podnieść mnie na duchu? Wiem, Louise, wiem. – Westchnęła. – Louise, jesteś wielkim inżynierem i wybitnym człowiekiem. Ale przywódcą koszmarnym!

– Przykro mi, Prządko. Ja...

– Do roboty!

Prządka Powrozów impulsywnie walnęła w nakładkę.

...i posępne złączone gwiazdy Menkenta natychmiast zastąpiła inna para. Tym razem gwiazdy – czerwone olbrzymy były niemal identyczne, połączone mostem oziębiałej się, jasnej materii. Opływała je przylegająca, rozległa spirala czerniejącego gazu i...

...zanim Prządka zdążyła o tym pomyśleć, pojawiła się kolejna para, bardzo oddalona od statku. Rozgrzana niebieska gwiazda przesuwała się na tle rozpadającego się cielska bordowego olbrzyma, wiszącego jak dym za gigantycznym brylantem, lecz...

...znów została dalej porwana i teraz jaśniało przed nią łagodne światło, mgławica planetarna, poszerzające się zwłoki czerwonego olbrzyma, rozerwane przez hiperwiatr, ale zanim...

...mogła się zastanowić, czy Słońce pewnego dnia nie będzie tak wyglądać, mgławica przepadła, zastąpiona anonimowym, odległym polem gwiazd, które...

...znikło, gdyż teraz otaczał ją mętny, czerwony smog, ponieważ znajdowała się wewnątrz olbrzymiej gwiazdy, w środku stygnącej zewnętrznej warstwy, ale...

...i to znikło, zastąpione przez rozległą, poszarpaną mgławicę – miejsce urodzin supernowej? – które...

...implodowało i...

... przed nią urosła nabrzmiała rdzawa gwiazda, boleśnie przypominająca Słońce, ale to nie było Słońce i...

...i... i... iiii...

Gwiazdy tworzyły wokół jej głowy ogromną, niebiańską rampę. Za bezpośrednim ogniem zaporowym światła przesuwały się dalsze konstelacje; eleganckie, niedosięte niczym drzewa w lesie.

Prządka Powrozów siedziała sztywno na fotelu wyściełanym szorstkim materiałem, nieczuła na milczące wybuchy gwiazdznego blasku widziane przez pręty klatki pilota.

...I nagle ostrzał tych świetlnych pocisków przerzedził się, zmniejszył, uspokoił. Przed nocnym myśliwcem była tylko jednolita, nieruchoma czerń. Miękkie różowe światło, padające zza pleców Prządki Powrozów, sunęło z wolna po kabinie pilota.

Podróż dobiegła kresu.

Prządka Powrozów zdała sobie sprawę, że leży bez życia na fotelu. Miała wrażenie, że cała się rozplywa. Zaskłaniała hełm dłońmi, nie chcąc oglądać widoku Wszechświata, i piła łąpczywie sok

pomarańczowy. Znajomy smak wypełniał usta.

Kolejny raz ukryła się wewnątrz małego kosmosu swojego ciała, w przepaści własnej głowy. „Ale mi tu wygodnie – pomyślała półprzytomnie. – Może nie powinnam więcej wynurzać się na świat...”

– Prządko. – Głos Louise brzmiał niezwykle łagodnie. – Jak się czujesz?

Urażona Prządka Powrozów piła sok.

– Zgodnie z oczekiwaniami. Nie zadawaj głupich pytań, Louise.

– Spisałaś się nadzwyczaj dobrze, wytrzymując to wszystko.

Mruknęła coś niezrozumiałego.

– A skąd wiesz, że faktycznie wytrzymałam?

– Bo nie wrzeszczałaś. I czujniki powiadają mi, że nie żujesz wyściółki hełmu. I...

– Louise, wiedziałam, czego się spodziewać.

– Może. Ale to było naprawdę nieludzkie przeżycie. Jakiś xeelee pewnie odczułby frajdę podczas takiej przejażdżki... Ale ludzie są stworzeni do działań na mniejszą skalę.

– Co ty nie powiesz.

– ...Kiedy będziesz gotowa, obejrzyj się.

Prządka Powrozów oderwała się od rurki i uniosła twarz. Różowawe światło nadal igrało na powierzchniach nakładek sterujących, na wymiętych spodniach skafandra.

Popuściła pasy i ostrożnie się odwróciła.

Nad sobą miała świetlne sklepienie! Nieogarnioną równinę kłębiącego się dymu; niesamowicie czerwoną w środku i pełną ostrych kolorowych plam na brzegach – żółtych, pomarańczowych i niebieskich. Widziała ją w skrócie perspektywicznym, nierówne gazowe koleiny, coraz ciaśniejsze w kierunku obrzmiałego środka. Im bliżej centrum, tym wir barw był wyraźniejszy.

Ta rozjaśniona płaszczyzna oddalała się z prawie niewidoczną prędkością. Tworzyła dach katedry, a nocny myśliwiec – wiozący cenny ładunek ludzi i ich nadziei – był muchą opuszczającą się coraz niżej.

– Louise, to piękne! Nie miałam pojęcia...

– Czy rozumiesz to, co widzisz, Prządko? – Głos Louise rwał się, jakby nie mogła poradzić sobie z wielkością opisywanego zjawiska. – Prządko, ty patrzysz na naszą Galaktykę z zewnątrz! To dlatego skończył się ogień zaporowy gwiazd.... Dysk naszej galaktyki ma tylko trzy tysiące lat świetlnych grubości. Przecieliśmy go w kilka minut.

Nocny myśliwiec wydostał się z Galaktyki w jednej trzeciej jej promienia. Miał przesunąć się pod centrum dysku; spęczniałe balony szkarłatnego światła wyglądały niczym jakiś niebiański zyrandol, długi na tysiące lat świetlnych i wiszący nad głową Prządki Powrozów. Jego spiralne ramiona – sunące chmury – obracały się pogodnie.

– Prządko, ten dysk ma sto tysięcy lat świetlnych długości.

Pokonanie go zabrało nam piętnaście minut...

Louise odwróciła się i powiedziała coś niewyraźnie.

– Co mówiłaś?

– To do twojej młodszej siostry, Zdobicielki Twarzy. Pytała, czemu nie dostrzegamy zniekształceń relatywistycznych.

Prządka uśmiechnęła się szeroko.

– Powiedz jej, żeby nie zawracała nam głowy głupimi pytaniami.

– Nie wszyscy jesteśmy takimi zahartowanymi w boju pilotami kosmicznymi jak ty, Prządka Powrozów...

Nie było zniekształceń relatywistycznych – żadnej poświaty równikowej gwiazd, żadnego przesunięcia ku czerwonej lub niebieskiej części widma – ponieważ nocny myśliwiec nie sunął przez Wszechświat. Przeskakiwał z miejsca w miejsce – jak drzewna żabka dająca susy z jednej bromelii na drugą. Robił tylko sekundowe przystanki.

Tak więc nie mogło być mowy o przesunięciu w stronę niebieskiej części widma. Jednakże pokonywał Galaktykę z efektywną prędkością przekraczająca milion razy prędkość światła. I tylko częstotliwość skoków sprawiła, że Prządka miała wrażenie nieprzerwanego, równomiernego ruchu.

Poruszali się zgodnie z zamierzeniami.

– Udało się nam, Louise – powiedziała Prządka Powrozów. – Udało się nam osiągnąć cel!

– Tak, ale...

Jęknęła z udawaną rozpaczą.

– Ale chyba teraz nie powiesz mi, że już nic nie będzie takie jak przedtem, co?

– Tak się składa, że to prawda, Prządka – stwierdziła z gniewem Louise. – Spójrz... Nawet z tej odległości, spoza Galaktyki, widać efekty pracy tych cholernych fotinowych ptaków. Galaktyka ma dwie główne klasy gwiazd – tłumaczyła dalej Louise. – Gwiazdy populacji I, jak Słońce, rozwinęły się z bogatych w wodór spiralnych ramion, dalej od środka. Niektóre z nich, jak niebieskie nadolbrzymy, były sto razy większe od Słońca, tryskające energią podczas krótkiej, szaleńczo rozrzutnej młodości. Gwiazdy populacji I zwykle wybuchały, wzbogacając środowisko międzygwiazdne – i późniejsze pokolenia gwiazd – złożonymi produktami swojej syntezy jądrowej.

Gwiazdy populacji II, przeciwnie, utworzyły się w rejonach ubogich w wodór, starszych, bliskich centrum lub w skupiskach na zewnątrz głównego dysku. Miały zuniformizowane rozmiary i były już stare w okresie dziecięcym ziemskiej astronomii, tworząc gromady czerwonych olbrzymów. Popatrz na ten dysk – warknęła Louise. – Nie sądzę, żeby te cholerne ptaki spowodowały dużo zamieszania wśród słabo, równomiernie świecącej populacji II, która i tak jest na wpół martwa. Ale spójrz, no spójrz, na te spiralne ramiona...

Prządka ujrzała, że są niezwykle poszarpane, porwane pęcherzami żółto-czerwonego światła sunącymi w poprzek połąci gwiazdowego pyłu.

– Te pęcherze to pozostałości po supernowych – powiedziała z goryczą Louise. – Prządka, nie każda gwiazda reaguje tak spokojnie na działanie fotinowych ptaków, jak nasze kochane, stare Słońce. Wiele bardziej widowiskowych i pięknych gwiazd populacji I zwyczajnie wybucha, rozlatuje się na strzępy... Zapewne ptaki rozpoczynają reakcje łańcuchowe w supernowych i zniszczenie jednej gwiazdy powoduje destabilizację następnej.

Prządka Powrozów wpatrywała się w zrujnowany dysk, zniekształcone spiralne ramiona.

*...Jesteśmy już czterdzieści lat świetlnych od dysku, Prządka – powiedział jej towarzysz. – Światło, które teraz oglądasz, opuściło gwiazdy czterdzieści milionów temu... Pomyśl. Czterdzieści tysięcy lat przed moim urodzeniem ludzie nadal dygotali na skrajach lodowców, wyrabiając noże z odłamków skalnych. I im dalej podróżowaliśmy, tym światło z każdą sekundą było starsze; Prządka Powrozów, wiesz nas przez strumień prawiecznego światła...*

Roześmiała się.

– Powinieneś być poetą.

– Co?

– ...Powiedz mi, co będzie dalej, Louise.

– W porządku. Wiesz, co to jest kulista gromada gwiazd?

Prządka zastanowiła się.

– Tak mi się wydaje. – Zamknęła oczy. – Stała kula gwiazd, licząca może sto tysięcy sztuk i krążąca wokół głównego dysku.

– Zgadza się – odrzekła Louise. To gwiazdy populacji II. I pewna szczególna gromada, Omega Centauri, była jedną z najjaśniejszych gromad widzianych z Ziemi.

Prządka rozważyła tę informację.

– Omega Centauri. Ta nazwa oznacza, że gromada, o której mówisz, znajdowała się w polu widzenia obejmującym konstelację Centaura.

– Tak.

– Chcesz powiedzieć...

– Lecimy prosto do niej. Zamknij mocno oczy.

Prządka Powrozów odwróciła się i spojrzała przed siebie.

Za kruchą kabiną pilota ujrzała rosnące olbrzymie gwiazdy, oślepiające swoim blaskiem w nieprzeniknionej ciszy.

## Rozdział 24

Używając skuterów nieważkościowych, Lieserl i Milpitas opuścili się w głąb rampy przeładunkowej u podstawy kopuły mieszkalnej *Północnej*. Nad Lieserl rozciągała się groź usługowa, spód pokładu piętnastego, niewiarygodna platanina duktów, kabli i korzeni drzew.

Zaciekawiona Lieserl kątem oka przyglądała się Milpitasowi. Z nie ukrywaną grozą spoglądał w przepaść, którą miał pod nogami. Był podróżnikiem gwiazdym przez tysiąc lat, ale najwyraźniej czuł się bezpiecznie jedynie w warunkach grawitacji. Cierpiał w stanie nieważkości, zupełnie nie konstatając faktu, że gdyby nawet jego skuter zawiódł całkowicie, po prostu spłynie w dół, bez żadnej szkody dla zdrowia.

Poniżej grubej warstwy wilgotnego powietrza, w którą się osuwali, widniała przezroczysta podłoga kopuły. Stwarzała wrażenie zimnego jeziora czerni, w którym, przyczepiony do podstawy kopuły jak jakiś gigantyczny owad zanurzony w stawie, widniał smukły nocny myśliwiec xeelee, który przeniósł ich w kosmos. Jego rozległe skrzydła wydawały się jeszcze ciemniejsze niż międzygwiazdna pustka.

Planista odwrócił się sztywno i uśmiechnął.

– Można by pomyśleć, że niewygodnie ci na tym skuterze.

Powstrzymała się od uśmiechu.

– Mnie? Niewygodnie? Ależ skąd. – Pstryknęła palcami i skuter znikł. Uśmiechnęła się do Milpitasu ogarnięta figlarnym nastrojem. Zrobiła podwójne salto w tył; pusty dolny pokład zawirował jej przed oczami.

Skończyła, lądując znów obok Milpitasu.

– Nie jest mi niewygodnie – powiedziała – tylko trochę... głupio. Czasami mam wrażenie, że te wirtualne maski, które Mark mi wyszykował, niezbyt do mnie pasują.

Milpitas odwrócił się, nie patrząc na jej wygłupy. Pobladł; tak mocno zacisnął dłonie na kierownicy skutera, że palce mu zbieleły.

Pospiesznie przywołała wirtualny skuter.

– Przepraszam – rzekła szczerze. – Chyba nie powinnam się tak zachowywać.

Poblężnione czoło Milpitasu pokrył pot, ale mężczyzna trzymał się prosto na swoim pojeździe.

– Nie przepraszaj – odparł z godnością. – Jesteśmy tu na inspekcji... mamy ustalić stan statku, a nie przejmować się moim samopoczuciem.

Tak więc po krótkiej chwili ludzkiej słabości Milpitas wrócił do swej skorupy. Odwróciła się, czując lekki zawód.

Zbliżali się do rampy przeładunkowej. Bliźniacze silniczki skutera odbijały się w czystej podłodze; Lieserl stopiła się ze swoim wizerunkiem – pomyślała przy tym ponuro, że prawdę mówiąc, był to wizerunek wizerunku; procesory, które podtrzymywały jej wirtualny obraz, spisywały się na medal.

Milpitas z wysiłkiem przekręcił kościsty, poblężniony przegub i wyrównał lot. Lieserl szybowała

za nim, niecały metr z tyłu.

Nocny myśliwiec rozłożył w dole swoje skrzydła z materiału konstrukcyjnego, ogromny, uśpiony.

– Dzień dobry, Prządka Powrozów – odezwała się Louise.

Prządka przeciągnęła się. Budziła się wolno, popijając wzbogacony sok owocowy z ustnika w hełmie, równocześnie nie reagując na oczyszczające uderzenie ultradźwięków na skórze i ciepły strumyk moczu lejący się do cewnika.

– Uhm – mruknęła do Louise.

Rozpoczęła dziesiąty dzień w kabinie nocnego myśliwca.

Rozluźniła pasy, rozejrzała się wkoło i napotkała wzrokiem intergalaktyczną pustkę. W oddali były zamglone plamy światła, może galaktyki czy też skupiska galaktyk – tak odległe, że nawet przy niewiarygodnej szybkości nocnego myśliwca, wynoszącej pięć milionów lat świetlnych na dzień, nie widziała, aby się poruszały.

Opadła z powrotem na fotel.

– Na Letę! Kolejny dzień w środku tej szarej, bezludnej pustyni – stwierdziła kwaśno.

Louise – która, jak Prządka o tym wiedziała, przyglądała się jej ze swojego stanowiska na pokładzie leśnym *Północnej* – roześmiała się ze zrozumieniem.

– Ale dzisiaj będzie trochę ciekawiej niż zwykle, Prządko. Osiągnęliśmy kamień milowy. Czy lepiej byłoby powiedzieć: kamień megaroku świetlnego...

– Tak?

– W ciągu dziesięciu dni przebyliśmy trzydzieści milionów lat świetlnych od Słońca. Prządko, dotarliśmy do gromady Panny – supergromady galaktyk, do której należy i nasza Galaktyka. Ta daleka plama światła za twoimi plecami to Grupa Lokalna – odległe o trzy miliony lat świetlnych małe skupisko, zdominowane przez dwie galaktyki – naszą i Andromedy. A po twojej lewej ręce, na godzinie jedenastej, zobaczysz środek samej gromady Panny; gęste skupisko składające się z kilku tysięcy jasnych galaktyk. W każdym razie kiedyś były jasne...

Prządka Powrozów dostrzegła centralną grupę galaktyczną. Była to ziarnista chmura światła.

– Fascynujące...

– Och, daj spokój, Prządko. Słuchaj, jesteśmy w niesłychanej podróży – tak dalekiej, że pokonana odległość jest mierzalna w wielkoskalowej strukturze czasoprzestrzeni. Jak możesz nie przeżywać... hm, uniesienia?

– Ale ja wcale go nie czuję, Louise – powiedziała zirytowana Prządka Powrozów.

Louise milczała chwilę. Potem odrzekła:

– W porządku. Pokażę ci, gdzie jesteś.

Kula oślepiającego światła osiągająca błyskawicznie mniej więcej pół metra średnicy pojawiła się kilka metrów przed kabiną myśliwca.

Prządka Powrozów rozciągnęła się na fotelu i skrzyżowała ramiona na piersiach.

– Kolejny edukacyjny wirtual, Louise?

– Daj sobie wytłumaczyć, Prządko. Spójrz. Oto Wszechświat rozszerzający się jakieś trzysta tysięcy lat po wielkim wybuchu. Kosmos jest mieszaniną promieniowania i materii – koktajlem wariantu ciemnego i jasnego. Temperatura jest nadal zbyt wysoka, aby tworzyły się atomy. Tak więc materia barionowa tworzy plazmę. Plazma jednak całkowicie hamuje promieniowanie, toteż jego napór powstrzymuje materię przed łączeniem się. Nie ma gwiazd, planet, galaktyk.

Niespodziewanie wirtualny Wszechświat rozszerzył się dwukrotnie i zrobił przejrzysty; błysk światła zalał twarz Prządki Powrozów.

– Temperatura spadła poniżej trzech tysięcy stopni – powiedziała Louise. – Nagle elektrony mogą łączyć się z nukleonami, tworzyć atomy – a atomy nie wchodzi w gwałtowne interakcje z fotonami. Wszechświat po raz pierwszy jest przejrzysty. Promieniowanie działające swobodnie w przestrzeni nigdy więcej nie wejdzie w interakcję z materią. Zresztą nadal możemy obserwować to pierwotne promieniowanie – jeśli tylko się rozejrzemy, zobaczymy jego długie fale w całym Wszechświecie – jako tło promieniowania mikrofalowego. Ale rzecz sprowadza się do tego, Prządko, że po tym podziale promieniowanie nie może już powstrzymać materii od łączenia się.

Model wszechświata był teraz chmurą rojących się, uderzających o siebie cząsteczek.

– Wygląda jak mgła – stwierdziła Prządka Powrozów.

– Masz rację. Wyobraź to sobie jako rosę. Rozciąga się cienką, jednolitą warstwą; przeciętnie jeden atom wodoru unosi się w takiej przestrzeni, jaką zajmuje jedna z naszych kapsułek transportowych. W tej fazie rozszerzania się Wszechświata owe krople rosy oddalają się od siebie. Ale oto uporządkowane układy materii – galaktyki, gromady i supergromady galaktyk – zaczynają wykazywać skłonność do łączenia się, do kondensacji. Wygląda to jak tworzenie się kropli rosy na pajęczynie.

Prządka uśmiechnęła się.

– To dopiero musiałby być pająk. Ale gdzie pajęczyna?

W kuli mgły pojawiły się cienkie linie; model dziecięcego Wszechświata przypominał teraz popękaną szklaną sferę.

– Oto pajęczyna, Prządko – powiedziała Louise. – Widzisz kosmiczne struny. Struny to osobliwości w czasoprzestrzeni...

– Wiem, co to jest – rzekła Prządka Powrozów. – Xeelee używali strun i ścian domenowych do budowy nocnego myśliwca.

– Zgadza się. Ale te struny utworzyły się naturalnie. To pozostałości fazy przejściowej Wszechświata, resztki po zjednoczonym superoddziaływaniu, które wyłania się z jedności... Struny kosmiczne to trwałe ślady ultrawysokiej próżni epoki unifikacji, obecne w „pustej przestrzeni” naszej epoki, jak kałuże wody w lodzie. I te struny mają własności nadprzewodzące; kiedy poruszają się w pierwotnych polach magnetycznych, wzbudzają się w nich potężne prądy wynoszące setki miliardów amperów lub więcej...

Struny wiły się w przestrzeni niczym leniwe, kopulujące węże. Cząsteczki mgły wyobrażające podział jednolitej materii zaczęły przesuwać się ku strunom. Zbiegały się w postaci wąskich kolumn i cienkich płaszczyzn.

– To piękne – powiedziała Prządka.

– Struny poruszają się z prędkością bliską prędkości światła – odparła Louise. – Za nimi powstają płaskie, rozbiegające się strumienie nadążające, jak mówi się na ślad statku na wodzie. Ku nim podąża materia z prędkością kilku kilometrów na sekundę. Następuje jej porządkowanie w postaci strumieni i warstw materii barionowej otaczających fragmenty pustki...

Potem materia barionowa, zbiegająca się wokół uporządkowanych strun, zapadła się pod własnym ciężarem. Drobnutkie wirtualne galaktyki – zachwycające szlachetne kamienie – zamigotały, budząc się do życia, nanizane na sieć kosmicznych strun.

– Ale to nie koniec – powiedziała Louise. – Popatrz na to.

Kosmiczne struny ułożyły się w pętlę, która wykręcała się w przestrzeni i szaleńczo falowała.

– Struny, krzyżując się ze sobą, tworzą pętle – wyjaśniła Louise. – Ale te są niestałe. Szybko się rozpadają... chyba że się je ustabilizuje, jak zrobili xeelee w przypadku skrzydeł nocnego myśliwca. A czy pamiętasz, że powiedziałam ci, iż struny to nadprzewodzące nici, którymi przebiegają potężne prądy elektryczne? Kiedy struny rozpadają się, cała elektromagnetyczna energia musi się jakoś rozładować...

Nagle pętla zbiegła się w mgnieniu oka i kolejny błysk światła oślepił Prządkę Powrozów.

Zakryła dłońmi osłonę hełmu.

– Wolałabym, żebyś dała sobie spokój z takimi pomysłami – mruknęła.

– Przepraszam. Ale przypatrz się temu, Prządko. Widzisz, co się stało?

Prządka Powrozów opuściła ręce i oślepiona mrugała.

Wybuch pętli wyrwał ogromną dziurę w sieci galaktycznych paciorków.

Prządka skinęła głową.

– Rozumiem. Uderzenie energii elektromagnetycznej tworzy pęcherze w chmurze materii.

– Nie całkiem – odrzekła Louise. – Prządko, pamiętaj, że ciemna materia jest transparentna dla fotonów – dla promieniowania elektromagnetycznego. Tak więc pulsacja pętli elektromagnetycznej rozrywa tylko materię barionową; tworzy dziurę wypełnioną ciemną materią, ale wymiata do czysta materię gwiazdową. Wszystkie zjawiska związane z obecnością strun – pierwotnych ziaren – doprowadziły do powstania struktury fraktalnej. Określenie „fraktalny” oznacza, że coś ma zasadniczo tę samą strukturę we wszystkich skalach. Wygląda tak samo, bez względu na to jak to „coś” badamy. Nasza Galaktyka jest częścią małej gromady – Grupy Lokalnej – która razem z innymi gromadami jest częścią supergromady zwanej Gromadą Panny... a ta z kolei...

– Rozumiem zasadę – powiedziała Prządka.

– Materia barionową jest skupiona w strumieniach i warstwach wokół ogromnych pustych przestrzeni wypełnionych tylko ciemną materią. Przypomina to pianę, Prządko, i to bardzo aktywną pianę, jak na powierzchni oceanu; struny zaś przecinają przestrzeń z prędkością podświetlną, tak że w tej pianie trwa nieustanny ruch, przebieg prądów.

– Louise, obiecałaś, że mi pokażesz, gdzie ja jestem.

– W porządku, Prządko...

Światło falowało na krzywiznach nocnego myśliwca jak na jakiejś monumentalnej rzeźbie. Materiał konstrukcyjny xeelee był teraz niecały metr od Lieserl i miała przemożną ochotę pogłodzić go, jakby myśliwiec był jakimś ogromnym, uwięzionym zwierzęciem. Jednakże skonstatowała ponuro, że dzieliły go od niej zarówno podstawa kopuły mieszkalnej i warstwa absolutnej próżni, jak i granica między światem rzeczywistym a wirtualnym, przekraczalna tylko dla Marka Wu i jego gadżetów.

– Zamyśliłaś się – powiedział Milpitas.

Podrapała się po podbródku.

– Myślałam sobie, jak bardzo żywy wydaje się ten statek xeelee. Zupełnie nie jak sztuczny twór. Jak jakaś ogromna oceaniczna bestia uwięziona w lodzie; jakbym widziała mięśnie pod skórą materiału konstrukcyjnego.

– Hm. Atrakcyjne wyobrażenie – stwierdził sucho. – Chociaż nie do końca pojmuję, czemu miałoby służyć.



Lieserl uniosła wzrok ku grodzi usługowej oddalonej o ponad trzysta metrów, pełnej korzeni drzew i rur.

– Porównaj go z tą prymitywną płataniną... Na wody Lety, Milpitas, ten statek kosmiczny zaplanowano na tysiąc lat. Niektóre części śmiało mogliby wymyślić przodkowie Rzymian. – Westchnęła. – Wiesz, przyjrzałam się trochę ludzkiej technologii, gdy *Północna* wyruszyła w rejs. Oczywiście, z czasem rozwijaliśmy się. Ale zawsze, zawsze musieliśmy dźwigać ze sobą te cholerne rury. Nie wydaje mi się, żeby ludzkość kiedykolwiek w trakcie swojej długiej historii chociaż otarła się o prostotę i doskonałość tego jednego, jedyne wytworu xeelee, jakim jest nocny myśliwiec.

Milpitas opadł ku przezroczystej dolnej powierzchni i wyteżył wzrok.

– Może masz rację. Ale czy to oznacza, że powinniśmy bić pokłony przed wszystkimi dziełami xeelee?

– Nie – odparła zimno. – Ale to oznacza, że xeelee byli od nas mądrzejsi i że nigdy im nie dorównamy.

Nie odpowiedział, jedynie uniósł nieznacznie brwi.

Znaleźli się niedaleko krawędzi bocznej, tuż koło przezroczystej, obłej ściany rampy przeładunkowej. W tym miejscu barki nocnego myśliwca dotykały podstawy kopuły; szerokie obejmy obiegały krzywizny myśliwca, ginąc w mroku.

Milpitas pochylił się nad kierownicą skutera, oceniając wzrokiem obejmy. Lieserl z pewnym rozbawieniem stwierdziła, że teraz, będąc tylko metr nad powierzchnią kopuły, w środowisku rządzonego sztywnymi prawami ciężenia, nie okazywał żadnego lęku.

Przesunęła się płynnie wzdłuż statku xeelee. „Barki”... tak, to było dobre określenie dla tej części myśliwca znajdującej się u zbiegu skrzydeł; tu, blisko wytworu pozagalaktycznej technologii, rzeczywiście odnosiła wrażenie, że jest niesiona na szerokich, silnych barkach jakiegoś giganta.

Milpitas wyprostował się, skończywszy oględziny.

– Jak konstrukcja? – spytała.

– Znakomicie – odparł, nie patrząc na Lieserl. – To znaczy w granicach tolerancji... Uślizg jest dziś minimalny.

– Uślizg?

Przyjrzał się jej uważnie.

– Może nie zdajesz sobie sprawy z wagi problemów, z jakimi mieliśmy do czynienia, przyczepiając kopułę do myśliwca. Lieserl, materiał konstrukcyjny xeelee jest twardszy niż jakakolwiek znana nam substancja. Nawet materia egzotyczna nie ma na niego wpływu... Wiesz, spekulowaliśmy, że jego wyrób mógł spowodować pogwałcenie zakazu Pauliego...

– Słyszałam o tym.

– Więc kiedy przyszło do przyłączenia kopuły, po prostu nie mogliśmy przybić żadnej nadbudówki do nocnego myśliwca. Również żaden znany materiał klejący nie trzymał się materiału konstrukcyjnego, toteż stworzyliśmy wokół myśliwca luźną klatkę.

Roboty pod nadzorem komputerów *Północnej* założyły regulowane obejmy, powoli i równomiernie przytracając kopułę do myśliwca.

– Dzięki tym ruchomym obejmom jesteśmy ściśle przymocowani do myśliwca, ale nie sczepieni na stałe. To najwyraźniej dość, aby niósł nas bezpiecznie przez hiperprzestrzeń.

– A ten... uślizg?

– Ponieważ klatka nie jest przymocowana na stałe i ponieważ podlegamy działaniom różnych sił,

obejmy ślizgają się po materiale konstrukcyjnym. Jednakże nanoroboty nieustannie pracują, poprawiając obejmy i wyrównując działanie tych sił.

Lieserl skinęła głową.

– Sprytnie pomyślane, Milpitas.

Uklonił się z ironią.

– Może. Ale nie przypisuję sobie zasługi. Jedyne skorygowałem pomysł, który...

Nagle ogarnęło ją współczucie dla tego poblížnionego, skarłowaciałego człowieka.

– Nie pomniejszaj własnych dokonań – powiedziała impulsywnie. – Wierz mi, osiągnąłeś wiele jak na...

– Jak na wariata? – spytał z rozbrajającą szczerością. Uśmiechnął się. – Wiem, że uważasz mnie za całkowitego głupca, niezdolnego do elastycznego myślenia.

Zaskoczona otworzyła usta, chcąc temu zaprzeczyć, ale uniósł dłoń.

– No cóż, może to i racja. Jednak byłem odpowiedzialny za brygadę robotów budujących obejmy. Wiem, że czujniki mogą przekazać nam dużo więcej informacji o stanie konstrukcji wiążącej z nocnym myśliwcem niż da się stwierdzić gołym okiem. Mimo to...

– Mimo to uważasz, że powinieneś dokonać osobistej inspekcji? – Uśmiechnęła się. – Mylisz się, planisto. Nie zaliczasz się do osób, z którymi łatwo się współpracuje, ale nie uważam, żeby poleganie na bezpośrednich ocenach miało być dowodem głupoty.

Przyjrzał się jej chłodno, badawczo.

– Tak myślisz?

– Ja to wiem – powiedziała stanowczym tonem. – Przecież taki był sens mojego pobytu w Słońcu – prawdę mówiąc, sens całego mojego istnienia. Przede mną i po mnie zrzucono do Słońca wiele sond. Posłano mnie po to, aby ludzkie oko zobaczyło, co się tam dzieje. A przynajmniej surogat ludzkiego oka.

– W istocie. Chociaż wygląda na to, że marnie wykorzystaliśmy twoje obserwacje.

– Możliwe. – Roześmiała się. – Ale nie miałam na to wpływu.

Nie odrywał od niej wzroku.

– Lieserl, może i jesteś surogatem – rzekł. – Ale równocześnie nie ulega żadnej wątpliwości, że ludzka strona twojej natury jest wyrazista i silna.

Ogarnęło ją zmieszanie, lecz zachowała nieruchomy, zdecydowany wyraz twarzy. Wydała w myślach polecenia zmieniające automatyczną reakcję. Za nic nie chciała, aby jej policzki zapały nawet cieniem rumieńca.

– Dziękuję ci – rzuciła lekko. – Chociaż wątpię, aby zależało ci na podziękowaniach. Nie przepadasz za komplementami, prawda?

Podejrzewam, że nad pochwałą wynosisz ocenę.

– Może. – Odwrócił się, zamykając temat.

Obserwowała jego zniszczony profil. Milpitas stwarzał wrażenie człowieka panującego nad sobą, ale może odsonił się bardziej, niż mu na tym zależało. W jego przypadku najważniejszą funkcją komunikowania się nie było przekazywanie informacji. Chodziło o kontrolowanie interlokutora. Miała wrażenie, że uczestniczy w jakiejś słownej szermierce, której celem było sprawdzenie jej zdecydowania i siły woli.

„Oto człowiek przyzwyczajony do sprawowania władzy i wywierania nacisku nawet podczas najbardziej trywialnej wymiany zdań” – pomyślała. Ale jakie świadectwo wystawiał swojej

osobowości ten, kto po stuleciach subiektywnej egzystencji miał ochotę potykać się na słowa z takim starym, zużytym wirtuałem jak ona?

Milpitas kontynuował inspekcję powoli, metodycznie.

Może był mniej ludzki niż przeciętny człowiek – mniej nawet niż ona. Mimo to drzemała w nim ukryta siła, której nie można było nie podziwiać.

Był zmuszony patrzeć, jak świat, który kontrolował, rozpada się na jego oczach. I twardo walczył o jego przetrwanie. Ale jednak zaprzestał tej walki, kiedy zdał sobie sprawę, że jego świat przepadł, a on sam nie wytrzymał nacisku rzeczywistości.

Z tym najtrudniej przyszło mu się pogodzić. To była przepaść, która pochłonęła nie kończący się szereg męczenników w czas długiej i krwawej historii człowieka. Jednakże ten osobnik nie przestał funkcjonować – stał się aktywnym uczestnikiem wyprawy.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Sądzę, że jesteś twardszy, niż się wydaje, planisto Milpitasie. Udało ci się wyrwać z więzienia własnej przeszłości...

Odwrócił się.

– Ależ przeszłość nie jest więzieniem – powiedział cicho. – Przeszłość stale się zmienia pod wpływem naszych kolejnych dokonań. Każdy nowy czyn zmienia znaczenie tego, co wydarzyło się kiedyś...

Zaskoczył ją tym stwierdzeniem.

– To niesłychanie głębokie podejście.

– Głębokie i stare. – Zmierzył ją wzrokiem. Światła rampy wyraźnie ukazywały siatkę blizn na nagiej czasce. – My w Superet nigdy nie byliśmy ciemieżcami opętanymi jakąś idee fixe. Uważaliśmy, że naszym zadaniem jest zachowanie największych skarbów ludzkiej mądrości, i staraliśmy się nieustannie interpretować naszą teraźniejszość i przyszłość w świetle historii...

– Hm. Interesujące. Być może idea płynnej przeszłości przekształcającej się w świetle zmiennych założeń to jedyna filozofia, która pozwala naszemu gatunkowi zachować zdrowie psychiczne. Może nie doceniałam cię, Milpitasie.

Położył dłoń na kierownicy i łagodnie uniosł się w powietrze. Twarz miał bez wyrazu.

– Nie dręcz się tą myślą – odrzekł sucho.

Wizerunek Wszechświata rozszerzył się, równocześnie ulegając skupieniu na stosunkowo niewielkim wycinku. Prządka Powrozów miała przed sobą nieznaną bliżej fragment kosmicznej piany, zbiór strumieni, pustych fragmentów i połączeń świetlistej materii.

– W porządku, Prządko, oto trójwymiarowa mapa naszego sąsiedztwa. Te puste obszary zajmują miliony lat świetlnych. A oto lokalny punkt orientacyjny – sławna pustka zwana Dziurą w Pasterzu, mająca dwieście milionów lat świetlnych średnicy. A tu, patrz, Wielki Mur, największa uporządkowana część Wszechświata, obszar galaktyk długi na pięćset milionów lat świetlnych. – Louise przerwała, a kiedy znów przemówiła, w jej głosie były uraza i gniew, którego źródła Prządka Powrozów łatwo się domyśliła. – Oczywiście, mur nie jest już obiektem turystycznym, jakim był za czasów mojego dzieciństwa – dodała kwaśnym tonem. – Te cholerne fotinowe ptaki nie zostawiły go w spokoju... Według naszych obserwacji cały mur wykazuje ślady zniszczenia.

Prządka Powrozów pozwoliła sobie na uśmiech. Wiedziała, co Louise myśli. „Do cholery, to nasz mur!”

– Ta chmura to Gromada Panny. – Czerwona strzałka wskazała skrawek mgły wielkości dłoni. – Nasza lokalna gromada. – Mały rejon w chmurze Panny rozblysnął żółtą barwą, z której wysunęła się prosta niebieska linia przesywająca centrum. – Ten żółty obszar to Grupa Lokalna obejmująca Słońce, a linia niebieska przedstawia dotychczasowy kurs nocnego myśliwca, dokładnie przecinający serce Panny.

– Hm. Niezbyt daleko – mruknęła Prządka Powrozów.

– Och, daj spokój, pomyśl o skali tego obrazu! Spójrz na to. – Na zapyłonej powierzchni Gromady Panny zjeżyły się zielonkawe strzałki wektorów. – Widzisz? Cała nasza supergromada porusza się z ogromną prędkością, półtora miliona kilometrów na godzinę albo więcej. Tak szybko, że ten ruch jest dostrzegalny z Ziemi – co sprawia, że Wszechświat tworzy efekt Dopplera widoczny na tle promieniowania mikrofalowego.

Kolejne strzałki oznaczające ruch pojawiły się w innej gęstej grupie nieopodal Panny.

– To kolejna supergromada, zwana Hydrą Centaura – powiedziała Louise. – I masz pojęcie? Też pędzi w tym samym kierunku, co Panna.

Strzałki zjeżyły się na całym spienionym obszarze kosmosu... i wszystkie były skierowane do środka, ku anonimowemu regionowi w sercu trójwymiarowego diagramu.

A niebieska linia planowanego rejsu nocnego myśliwca sięgała centrum tej gigantycznej implozji.

– Wiem, co jest w środku – szepnęła Prządka Powrozów. – Wielki Atraktor, To obszar, w który wpadają wszystkie galaktyki...

– Tak. Wygląda na to, że jest tam miejsce wielkiej koncentracji masy, przyciągające galaktyki z odległości milionów lat świetlnych. Atraktor znajduje się sto pięćdziesiąt milionów lat świetlnych od Słońca i przy ciężarze około dziesięciu tysięcy galaktyk...

Prządce Powrozów wpatrującej się w dziecięcy model Wszechświata zadygotało serce.

– I jeśli to naprawdę sztuczna konstrukcja...

– To ma tak ogromną masę, że przyciąga supergromady jak ćmy, że przeciwdziała rozszerzaniu się Wszechświata w tej części kosmosu... To niewyobrażalna konstrukcja.

„Tak – pomyślała Prządka. – Niewyobrażalna. I właśnie do niej lecimy...”

## Rozdział 25

– Nie wiem, po co zaciągnąłeś mnie do tej dżungli? – utyskiwała Louise. – I to teraz! Nie mogłeś poczekać, aż upewnisz się co do prawdziwości danych?

– Ale te dane... – zaczął Mark.

– Są niekompletne i niewiele mówiące. Co masz, tylko podwójne obrazy?

– Przecież w każdym wypadku para spektralnych wizerunków galaktyk jest niemal identyczna.

Mówię ci, to musi być struna – upierał się Mark.

– A ja ci mówię, że to niemożliwe – warknęła Louise. Jej irytacja wzrosła. – Jak w takiej kosmicznej pustce może znaleźć się struna?

Uvarov podniósł swoją kościotrupią twarz i zaskrzeczał, uradowany kłótnią.

Wszyscy troje wisieli w powietrzu, tuż poniżej sztucznego nieboskłonu. Louise siedziała na skuterze nieważkościowym, a Uvarov na ogołoconym wózku przymocowanym do trzech przystosowanych skuterów.

Mark zdecydował się ukazać pod postacią samej głowy wiszącej w powietrzu, dwa razy większej niż u normalnego człowieka.

– Jak się ma Prządka Powrozów? – spytał Louise.

– Znośnie – mruknęła. – Mija trzydziesty dzień misji i Prządka trzydziesty dzień spędza w fotelu pilota. A przez ostatnich dziesięć jesteśmy skazani na tę cholerną dziurę w niebie.

– Hm, to naprawdę podniecająca część podróży – powiedział Mark. – Przecinamy krawędź największej kosmologicznej pustki, jaką kiedykolwiek odkryto. Ma ponad dwieście milionów lat świetlnych średnicy. Przypuszczamy, że jesteśmy jedynym fragmentem materii barionowej w całym tym bezkresnym rejonie. To ekscytująca myśl, pomijając fakt znalezienia przeze mnie kosmicznej struny...

– Prządka nie ma się czym ekscytować – stwierdziła sucho Louise. – Dla niej pustka oznacza jedynie brak bodźców zmysłowych.

– Hm, cały Wszechświat jest obszarem pozbawionym bodźców zmysłowych... może to niezła definicja tej gigantycznej kosmicznej babraniny fotinowych ptaków.

Schematyczne rysunki odległych galaktyk – całych ich połaci na brzegach wielkiej pustki – upstrzyły sztuczny nieboskłon bryzgami barw; tu i tam, między galaktyczne gromady przypominające roje owadów, dorzucono fragmenty tekstów i dodatkowych wizerunków.

Mark odwrócił głowę ku Louise.

– Słuchaj, przykro mi, że zachowałem się niewłaściwie, ciągnąc was tu na górę. Może faktycznie powinienem poczekać i znaleźć dowód istnienia struny. No cóż, nie sądziłem, że ta podróż będzie mieć cel naukowy. Myślałem, że wyprzedzając nieuchronny bieg wydarzeń, zajmiemy się szukaniem sposobów przeżycia. A to znaczy, że powinniśmy reagować szybko i w sposób elastyczny na wszelkie nowe zjawiska. W porządku, może zakładając, iż kosmiczna struna tam jest, strzelam w ciemno. Ale jeśli okaże się to prawdą? Zastanowiłaś się, co to oznacza?

Louise spojrzała niepewnie na czaszę sztucznego nieboskłonu.

– Jeśli struna tam jest... to w takim razie zmierzamy ku czemuś bardziej wyjątkowemu, niż się spodziewaliśmy.

Uvarov zachichotał.

– A może powinniśmy trzymać się faktów, mój drogi Marku?

– Nie mamy żadnych faktów – odrzekła Louise. – Tylko garść obserwacji. A biorąc pod uwagę, że dokonywaliśmy ich z odległości mierzonej w setkach milionów lat świetlnych i z platformy posługującej się napędem superprzeprzennym, są to cholernie niedokładne obserwacje.

Uvarov odwrócił głowę do wirtuala.

– Opowiedz mi o nich. Czemu te podwójne obrazy są tak niesamowicie ważne?

– Obserwowałem odległy rejon tej pustki – odparł zapytany. – Szukałem dowodów grawitacyjnego podwojenia... Zniekształcenia światła odległych obiektów, spowodowanego polem grawitacyjnym ogromnej masy znajdującej się między obserwatorem a polem obserwacji. Nie szukałem akurat strun. Usiłowałem znaleźć w pustce uporządkowaną materię – ślad koncentracji.

– Czy te struny są tak ciężkie, że mogą doprowadzić do zniekształcenia światła przy wielkich odległościach?

– To nie takie proste, Uvarov – powiedziała Louise. – Tak, struny mają ogromną masę; są niewyobrażalnie cienkie, ale i niewyobrażalnie gęste – centymetr długości ma masę około pięciu miliardów ton... Struna od Słońca do Saturna miałaby masę Słońca. Spodziewamy się, że struny tworzą pętle o średnicy tysiąca lat świetlnych lub są nieskończone – rozciągają się przez cały Wszechświat od osobliwości.

Uvarov skinął głową.

– Stąd też, jeśli mają taką masę, ich pola grawitacyjne muszą być odpowiednio potężne.

– Niezupełnie – zaoponowała Louise. – Struny są bardzo nietypowymi obiektami. Nie zachowują się jak gwiazdy, planety czy galaktyki. To po prostu obiekty nienewtonowskie, Uvarov. Ich relatywistyczne pola grawitacyjne są odmienne.

Uvarov odwrócił się do niej.

– Chcesz mi powiedzieć, że te struny są antygravitacyjne jak ściany domenowe skrzydeł nocnego myśliwca?

– Nie...

Masa dalekiej pętli – struny o skończonej długości – przyciąga inne ciała, jak dzieje się to w przypadku każdego ciężkiego obiektu. Ale obserwator w pobliżu struny mającej czy to postać pętli, czy nieskończonej struny nie doświadczyłby żadnego oddziaływania grawitacyjnego, którego można by się spodziewać po tak wielkim skupisku materii.

– Przyciąganie grawitacyjne zniekształca czasoprzestrzeń – wyjaśniła Louise. – Czasoprzestrzeń jest płaska, jeśli nie znajduje się w niej żadne skupisko masy; obiekt przesunie się przez nią po prostej jak marmurowa kulka po blacie stołu. Ale w sąsiedztwie obiektu newtonowskiego, na przykład gwiazdy, czasoprzestrzeń ulega zniekształceniu, przyjmując postać studni, w którą wpadają inne obiekty. Tymczasem w pobliżu struny czasoprzestrzeń jest miejscowo płaska, tworzy tak zwaną przestrzeń Minkowskiego. Mimo wielkiej masy struny obiekty znajdujące się w jej zasięgu nie są przyciągane...

– Ale czasoprzestrzeń wokół struny jest zniekształcona – powiedział Mark. – Ma kształt stożkowy.

– Stożkowy? – powtórzył pytająco Uvarov.

– Wyobraź sobie czasoprzestrzeń jako płaski obszar. Obecność struny powoduje, że płat tego obszaru zostaje usunięty – jak kawałek tortu. Pozostała czasoprzestrzeń zrasta się – powstała dziura ulega likwidacji, tak że czasoprzestrzeń przybiera postać stożka. Nadal płaskiego, ale z brakującym kawałkiem. Gdybyś zatoczył wokół struny okrąg, przekonałbyś się, że jego obwód jest krótszy, niż wynikałoby to z długości promienia – jakbyś zatoczył okrąg wokół wierzchołka stożka.

– I to drobne zniekształcenie czasoprzestrzeni wystarcza do powstania podwójnych obrazów, o których mówisz?

– Tak – potwierdził Mark.

Struny nie są widzialne bezpośrednio. Ale można dostrzec ich ścieżki, śledząc podwójne obrazy dalekich obiektów, rozsunięte o sześć sekund kątowych.

– Wyobraź sobie dwa fotony wyruszające z odległej galaktyki poza struną – powiedziała Louise. – Jeden z nich przybywa do nas wprost. Drugi, przechodząc za struną, podróżuje przez obszar efektu stożkowego. Faktycznie ma mniejszy dystans do przebycia dzięki zniekształceniu; czas jego podróży jest krótszy o mniej więcej dziesięć tysięcy lat. Stąd podwójny obraz.

– Hm – mruknął Uvarov. – Louise, wyjaśniłaś mi, jak sieć strun tworzy pajęczynę, na której zbierają się galaktyki. Nie rozumiem, jak to możliwe, jeśli oddziaływanie grawitacyjne tych strun jest takie słabe.

Louise westchnęła.

– Struny to obiekty pierwotne. Utworzyły się w ciągu niewyobrażalnie krótkiego ułamka sekundy po Wielkim Wybuchu, w wyniku utraty symetrii spowodowanej rozkładem zunifikowanego superoddziaływania. Od tej pory ekspansja Wszechświata rozciąga struny; podlegają one wielkim naprężeniom w efekcie rozszerzania się samego Wszechświata. Drgają w przestrzeni kosmicznej z prędkością bliską prędkości światła. Tam, gdzie się przemieszczają, efekt stożkowy powoduje powstanie strumieni nadążających. Materia osuwa się w kierunku dwuwymiarowych płaskich ścieżek, biczowanych strunami. I właśnie to osuwanie się powoduje powstawanie struktur materii barionowej, które teraz obserwujemy, czyli gromad galaktyk.

– Prawdę mówiąc, sam strumień nadążający jest możliwy do zaobserwowania – powiedział Mark. – A raczej powinien być. Wywołuje lekki efekt dopplerowski na tle promieniowania mikrofalowego. Niebo po jednej stronie niewidzialnej struny powinno być nieco jaśniejsze niż po drugiej...

– A jest?

– Nie – przyznał Mark. – Niech to cholera porwie. *Północna* jest najgorszym stanowiskiem obserwacyjnym do tego rodzaju pomiarów. Mikrofalowy efekt Dopplera jest poniżej mojego poziomu rozdzielczości.

– Ale uważasz, że odkryłeś jakieś podwójne obrazy? – spytał z naciskiem Uvarov.

– Tak. – W głosie Marka znów zabrzmiało podniecenie. – Jak do tej pory dwie pary. Te dwie pary znajdują się na jednej linii, jak należałoby oczekiwać w przypadku, jeśli struna doprowadziła do ich powstania...

– Wystarczy – warknął Uvarov.

Wzbił się w powietrze i poruszał się po wewnętrznej stronie sztucznego nieboskłonu. Jego zniszczony profil odbijał się od sztucznie zabarwionych obrazów galaktyk,

– Teraz powiedzcie mi, co to znaczy. Załóżmy, Louise, że twój wirtualny kochanek znalazł

fragment tej... struny. I co z tego? Czemu mielibyśmy się tym przejmować?

– Jesteśmy w pustce, Uvarov – tłumaczyła cierpliwie Louise. – Moglibyśmy się spodziewać struny w sercu obszaru barionowego – na przykład Wielkiego Muru, zbiorowiska galaktyk długiego na miliard lat świetlnych, które...

– Ale nie jesteśmy w sercu takiego wielkiego obszaru barionowego. O to ci chodzi, Louise?

– Tak, o to mi chodzi. Nie ma żadnego powodu, dla którego mielibyśmy znaleźć strunę tu, w tej pustce, z dala od wszelkiej koncentracji materii.

– Rozumiem. Tu nie ma niczego poza ciemną materią – warknął Uvarov. – Niczego poza fotinowymi ptakami i ich jeszcze bardziej egzotycznymi kuzynami, a także tym, co postanowiły zbudować w sercu swojego ciemnego imperium, z dala od wszelkiej barionowej struktury.

Uvarov odwrócił swoje skutery w stronę Louise. Wyrzuciły obłoczki gazu.

– Jeśli struna istnieje, czy będzie miała jakiś wpływ na fotinowe ptaki?

– Może – powiedział Mark. – Struny to zniekształcenia grawitacyjne. Ciemna materia podlega działaniu sił ciężenia...

Uvarov skinął głową.

– Więc niewykluczone, że struna ma za zadanie szkodzić fotinowym ptakom. Czy to możliwe, że umieszczono ją tu celowo?

– Nie wpadłem na to, ale może masz rację. – Mark podniósł wzrok ku nieboskłonowi. Jego pozbawiona ciała głowa sprawiała przedziwne wrażenie. – Tak. Jeśli ktoś wypowiedział wojnę fotinowym ptakom, to mógł wykorzystać kosmiczne struny jako broń. Rzecz godna zastanowienia. I jeszcze jedno: kto w tym Wszechświecie jest zdolny do działania na taką skalę poza samymi xeelee? Na Letę, prowadzić wojnę za pomocą kawałków kosmicznych strun...! Wyobrazić sobie taką broń to już nie lada śmiałość!

Louise spojrzała na szkicowy, prymitywny rysunek Wszechświata widniejący na nieboskłonie. Nagle te strzępki danych wydały się jej żałosne, a to, co przekazywały, beznadziejnie ograniczone. Czy ostateczna wojna o przeznaczenie Wszechświata toczyła się między xeelee i fotinowymi ptakami, gdzieś w tej wielkiej pustce, właśnie teraz, kiedy ona wznosiła wzrok, ślepa i nieświadoma?

– Zbieraj dalej te dane, Mark – powiedziała. – Jeszcze kilka dni i wydostaniemy się z tej cholernej pustki.

– Jesteśmy szczurami przemykającymi się za kulisami teatru wojny – stwierdził Mark, zachowując niewzruszony wyraz twarzy. – Ledwo rozumiemy, co dzieje się wokół nas, i pakujemy się w centrum decydującego starcia...

Zawieszeni między pokładami, w środku chmury fruujących kurcząt, Mark i Lieserl kochali się.

Kiedy dotarli do kresu, Lieserl złożyła głowę na nagiej piersi Marka. Czowała pod policzkiem szorstką skórę i krótkie kędzierzawe włosy, wilgotne od potu – czowała ich słony smak. Jej lepkie uda przenikało rozkoszne znużenie.

– Ale się zasapałam. Może jestem na to za stara – powiedziała.

Mark zanurzył twarz w jej włosach.

– To zrób się młodsza.

– Nie. – Ukryła twarz w jego piersi. – Nie, nie chcę nic zmieniać. Niech będzie tak samo, Mark; niech będzie prawdziwie.

– Pewnie.



Milczała chwilę. W końcu nie mogła się powstrzymać, żeby nie powiedzieć:

– I jest cholernie prawdziwie, masz pojęcie? Co za fantastyczna iluzja.

Poczuła, że się uśmiechnęła.

– Mówiłem ci. Stawałem na głowie, żeby te sprawy były, jak należy – odrzekł. – Seks i kawa.

Roześmiała się i oderwała od niego z lekkim cmoknięciem spoconego ciała.

– Ciekawe, czy ktoś nas podglądał.

Mark przeciągnął się. Kurczęta, machające krótkimi skrzydełkami i piszczące, niezdarnie uciekały poza zasięg jego ramion. Rozejrzał się dookoła.

– Nie widzę nikogo. A jeśli ktoś nas widział, czy to ci przeszkadza?

– Jasne, że nie. Prawdę mówiąc, niektórym mogłoby się przydać coś takiego. Przeżyliby nielichy wstrząs.

Okręciła się w powietrzu i zaczęła poprawiać włosy. Pokłady obróciły się z wolna wokół niej jak wnętrze jakiegoś obrośniętego zielenią ogromnego pudła. Po kapitulacji świątyn mieszkańcy pokładów ludzkie podziemia, jak nadal nazywała ich Prządka – powoli przystosowali się do nieważkości. Najbardziej rzuciła się w oczy roślinność na wszystkich dostępnych powierzchniach. Ściany i sufity zamieniły się w łąki, gaje, pola zbóż i innych upraw. Oczywiście, drzewa rosły trochę na chybił trafił, ale dokładano starań, by pnie trzymały się prosto. Nie deptano już wszędobylskiej trawy i wybijała nieco za wysoko, nie tylko w parkach.

Grupka ludzi zebrała się pod dawnym dachem drugiego pokładu. Mark – czy raczej jego inna projekcja – nauczał niepewnych, młodych-starych ludzi czytania, pisania i posługiwania się programami wykorzystującymi wirtualne. Gdzie indziej dokonano modernizacji pokładów, odchodząc od nakazowego stosowania piktogramów.

Te inicjatywy cieszyły Lieserl. Pamiętała świat dzieciństwa skąpany w promieniach Słońca, pełen danych, wirtuali i inteligentnych urządzeń; być może nigdy w całej historii ludzkości nie było środowiska tak bogatego w informacje. Kontrast ze zubożonym w wiedzę środowiskiem pokładów był bolesny.

W jednym zakątku, blisko powierzchni, trudzili się ramię w ramię Jutrzejszy Dzień i Milpitas. Dwaj starcy budowali w warunkach nieważkości wodny ogród, splachetek wody ograniczony drewnianą ramą. Lieserl przypominała sobie uśmiech Jutrzejszego Dnia, kiedy mówił: „Jeszcze jeden etap terapii Milpitasa”.

Całe środowisko podlegało czarującej przemianie; pokłady, ponure więzienie o żelaznych ścianach za rządów planistów, przybrały teraz postać czarodziejskiego ogrodu, pełnego zarośli i gajów. A jakaś twórcza dusza spożytkowała skrzynie sadzonek dzikich kwiatów, złożone w chłodniach *Północnej*, i łąki wyrosłe na sufitach były upstrzone dzwonekami.

Dawne podłogi, rzecz jasna, nadal były pokryte starymi pudełkowymi domami i fabrykami. Ale wiele tych przysadzistych skorup porzucono. Natomiast w powietrzu wyrosło mnóstwo nowych domów; przestronnych, otwartych chatek, luźno zakotwiczonych do najbliższych powierzchni lub zamocowanych na cienkich, nieprawdopodobnie delikatnych kurzych stopkach.

Lieserl ujęła Marka za rękę i oboje sunęli przez chmurę kurcząt, wciągając zapach domowego ptactwa, woń kurnika (...a przynajmniej jego wirtualną, oczyszczoną wersję).

– Wiesz, nieważkość to pewnie najlepsza rzecz, jaka mogła się przytrafić tej społeczności – powiedziała. – Pokłady z wolna stają się całkiem przyzwoitym miejscem zamieszkania.

– Uhm – mruknął Mark. – Ale to tak długo trwa. I czasem mam wrażenie, że wszystko jest trochę

nierealne.

– Co za wszystko?

Machnął ręką.

– To dziwne powietrzne środowisko, które tu stworzono. Przecież za tymi pokrytymi trawą ścianami nie ma nic – nic, rozciąga się tylko międzygalaktyczna pustynia, przez którą uciekamy, szukając schronienia pod skrzydłami kosmitów, z którymi człowiek toczył wojny przez megalata...

„Uciekamy przez Wszechświat z jajkami kurzymi i dzwonkami...” – pomyślała Lieserl.

– Może i masz rację – odparła. – Ale co z tego? Czy to takie złe? Co mogą tutejsi ludzie? Po prostu żyją i dbają o infrastrukturę kopuły. Świadomość tego, co na zewnątrz – Wszechświata w postaci megalatnego niebiańskiego pola bitwy, przez które uciekamy – działa na mnie paraliżująco. To złowieszczą świadomość śmierci. Mark, jesteśmy przypadkowymi widzami w środku teatru działań wojennych. Podejrzewam, że w ogóle nie powinniśmy rozważać tego, co nas czeka.

Uśmiechnął się szeroko i położył dłonie na jej nagich biodrach. Jego niebieskie, żywo patrzące oczy, odcinały się od ciemnej jak kawa twarzy.

– Zapewne masz rację. – Przyciągnął ją do siebie i poczuła na gęsto owłosionym wzgórku łonowym jego twardego członka, pobudzony kolejny raz. – Cóż możemy uczynić poza słuchaniem głosu instynktu?

Jakaś drobna, głęboko ukryta część jej istoty otwarła się pod wpływem jego ciepła. Seks – nawet zrekonstruowany wirtualnie – był cudowny i znów pomyślała sennie, że podczas krótkiego, sterowanego życia odebrano jej bardzo wiele doznań. Zdobyła pięć milionów lat świadomości, ale utraciła wieczne ludzkie dziedzictwo.

Uniosła ramiona i objęła Marka za szyję.

– Obchodź się ze mną jak z jajkiem – powiedziała. – Wiesz, jestem starszą panią...

Pochylił się i pocałował ją; przesunęła językiem po jego ostrych zębach.

Wokół nich kurczęta stroszyły piórka, a miękki puch unosił się w powietrzu jak śnieg.

## Rozdział 26

Prządka Powrozów miała wspaniały dzień.

Wysoko na drzewie znalazła duży ul. Kiedy się zbliżyła, pszczoły zabzyczały na alarm, ale ostrożnie okrążyła pień, nie narażając się na atak groźnych żadeł. W rozwidleniu konarów, poniżej obszernej narośli owadziej roboty, rozpałała niewielkie ognisko i dorzuciła do niego masę wilgotnych liści; gęsty dym buchnął w górę i wniknął do ula. Zdezorientowane i niespokojne pszczoły wypadły z kłębow dymu i rozpierzchły się, nie czyniąc jej żadnej krzywdy.

Z dzikim okrzykiem triumfu wspięła się do pustego ula, rozbiła go metalową siekierką wykonaną przez człowieka podziemia i wydobyła gęste plastry miodu. Rozkoszowała się złotym przysmakiem, pakując go sobie do ust. Oblepił jej twarz i poplamił szkła okularów. Było go tyle, że nie zmieścił się w dwóch skórzanych workach, które miała u pasa.

...Wtem, kiedy siedziała na gałęzi i jadła miód, poczuła dreszcze. „Skąd to zimno?” – zdziwiła się. Nie było jeszcze południa.

Postanowiła niczym się nie przejmować.

Na pobliskim drzewie siedział człowiek. Był ubrany w zużyty kombinezon, miał zniszczoną, pobrużdżoną twarz i siwą, rozwichrzoną czuprynę. Też coś jadł; owoc, może jama. Uśmiechnął się i pomachał jej ręką.

To był przyjaciel. Też mu pomachała.

Umyła twarz w wodzie, która zebrała się w rozłożystych liściach bromelii, i zeszła na ziemię.

Lekkim krokiem pobiegła po równym liściastym podłożu. Wiedziała, że Strugacz Strzał dogląda swoich młodych bambusów; w dżungli rosło ich tylko kilka kęp. Po osiągnięciu dwóch metrów idealnie nadawały się na dmuchawki. Strugacz opiekował się nimi z poświęceniem, zazdrośnie strzegąc przed rywalami. Prządka spieszyła do niego, chcąc pokazać znaleziony smakołyk i...

*Prządko Powrozów. Wiem, że nie śpisz.*

...i wtedy...

*Prządko, daj spokój. Odezwij się.*

Zatrzymała się gwałtownie.

Z zalem spojrzała na miód, którego nie miała już więcej skosztować, i wydała w myślach rozkaz.

Nie wiadomo skąd pojawił się skafander kosmiczny i okrył jej członki niczym srebrny kokon. Znikąd wyrósł przepastny fotel. Jak czaszka wylaniająca się z gnijącego ciała objawiła się kosmiczna pustka. Ostre światła kontrolne nakładek sterujących zatarły sen o dżungli.

– Prządko. Prządko!

Serce zadygotało jej jak ptakowi.

– Tak, Louise.

– Przepraszam, że musiałam cię wyciągać w ten sposób z twojego wirtuala. Wydaje mi się, że... nie chciałaś do nas wrócić.

Prządka Powrozów mruknęła coś, podczas gdy skafander mył ją jak co dzień ultradźwiękami.

– No, a dziwisz mi się?

Ponury świat rozciągający się za kabiną pilota przepełnił ją poczuciem beznadziejności. Jak cudownie było znowu mieć dziesięć lat i nie wybiegać myślą poza bieżący dzień, w którym zapowiadało się polowanie na żaby u boku ojca! Ale nie miała dziesięciu lat; upłynęło ich ponad pięćdziesiąt od tamtych dni wypełnionych szukaniem miodu. Na jej barkach spoczęła ogromna odpowiedzialność. Powrót tej świadomości był jak miazdzący ciężar – noszony od dawna, ale zauważony dopiero teraz.

Znów przeszedł ją dreszcz i ogarnęło nagle podejrzenie. Rozzłoszczona w myślach wydała rozkazy, żądając podania temperatury wewnątrz skafandra. Osiemnaście stopni Celsjusza. Nie był to ziąb, ale raczej chłodno niż ciepło. Zażądała wykazu temperatur z ostatnich kilku dni.

Chłód, który poczuła we śnie, był prawdziwy. Ciepłota skafandra faktycznie zmieniła się. Przez ponad tydzień utrzymywała się na poziomie dwudziestu pięciu stopni – całe siedem jednostek wyżej niż dzisiaj.

– Louise! – powiedziała stanowczym tonem Prządka Powrozów.

Usłyszała, jak Louise wzdycha.

– Jestem, Prządko.

– Na Letę, co wy wyprawiacie?! O co wam chodzi? Chcieliście mnie usmażyć?

– Nie. Słuchaj, w końcu zdaliśmy sobie sprawę – trochę zbyt późno – jakim obciążeniem jest dla ciebie ta podróż. Przydałoby się znaleźć jakieś inne rozwiązanie, kogoś, kto by cię zastąpił. Ale na to jest za późno. Wpakowaliśmy się w sytuację bez wyjścia. Jesteśmy od ciebie ogromnie uzależnieni. Chcemy, abyś nadal dobrze funkcjonowała w tej kabinie, Prządko.

– A to ciepło?

– Działa jak łagodny środek uspokajający. Tak długo jak twoja gospodarka płynami nie ulega zachwianiu – a monitorujemy ją cały czas – jest całkiem nieszkodliwe. Wydaje mi się, że to było dobre rozwiązanie...

Prządka Powrozów otarła się policzkiem o wyściółkę hełmu.

– Zgadza się. Więc podawaliście mi środki uspokajające bez mojej wiedzy. Louise Ye Armonk, inżynier ludzkich ciał i dusz...

– Chyba powinnam to z tobą wcześniej omówić.

– Tak, chyba powinnaś – stwierdziła z naciskiem Prządka Powrozów. – A teraz?

Louise zawahała się.

– Coraz trudniej szło wyciąganie cię z twoich fantazji. Bałam się, że mogę całkiem cię utracić... że na zawsze pozostaniesz w twojej wymarzonej dżungli.

„W mojej wymarzonej dżungli” – pomyślała Prządka.

Z westchnieniem wyprostowała się na fotelu.

– Nie przejmuj się, Louise. Nie sprawię ci zawodu.

– Wiem, Prządko. – Louise, co dla niej nietypowe, sprawiała wrażenie zdenerwowanej. – Prządko, dziś jest pięćdziesiąty piąty dzień. Popatrz dookoła.

Rozluźniła pasy. Rozejrzała się gniewnie po otoczeniu, początkowo dostrzegając tylko pustkę. Zirytowana wydała rozkazy w myślach i osłona hełmu wyostrzyła obraz.

– Prządko, przebyliśmy sto pięćdziesiąt milionów lat świetlnych. To już ostatnie skoki... Prawie koniec podróży. Jesteśmy niemal u celu.

W miarę jak osłona hełmu zmieniała ostrość, pojawiały się niewyraźne kształty – odległe

galaktyki. Widziała spirale, elipsy, gigantyczne, nieregularne skupiska. Wszystko wydawało się niesłychanie kruche.

Ale w tych bladych obrazach było coś dziwnego.

– Jesteśmy na miejscu, Prządko – powiedziała Louise. – Jesteśmy w centrum wydarzeń.

*Przesunięcie ku niebieskiej części widma, Prządko Powrozów. Wszędzie je... Czy ty je widzisz?*

Tak. Galaktyki na całym niebie miały niebieskie zabarwienie. To oznaczało przesunięcie w stronę niebieskiej części widma.

Wreszcie przybyła do miejsca, w które wpadały wszystkie galaktyki.

# CZEŚĆ PIĄTA

## ZDARZENIE. PIERŚCIEŃ

## Rozdział 27

Nocny myśliwiec ze swoim delikatnym ludzkim ładunkiem zniżał się ku dyskowi poblížnionej galaktyki, pokonując z każdym skokiem trzydzieści pięć lat świetlnych. Prządka Powrozów siedziała w kabinie pilota, kontrolując nakładki sterujące, które realizowały wprowadzony program. Migotały uspokajająco.

Galaktyka tworzyła szeroką wieloramienną spiralę, ciasno owijającą zwarte, rozjarzone jądro. Gwiazdy układały się w rdzawoczerwoną płaszczyznę, z punktami nowych i supernowych; tak więc i ta galaktyka nie uniknęła zniszczenia zadanego przez fotinowe ptaki. Płonący dysk miał jedną charakterystyczną cechę: wielką bliznę przypominającą igłę tarczy wskaźnika, tunel z pyłu i płonącej materii międzygwiazdowej, przechodzący od krawędzi do jądra.

Tak mogła wyglądać Galaktyka ludzkości i Prządka Powrozów zadała sobie pytanie, czy Louise Ye Armonk siedzi w sklepieniu dżungli i patrzy na gwiazdy. Może ta nostalgiczna zbieżność sprawiła, że Louise i reszta wybrali do zbadania to właśnie skupisko gwiazd z setek tysięcy gromad kosmicznej doliny.

Nagle dysk zbliżył się i rozrósł. Nocny myśliwiec wśliznął się w tunel.

– Zgrabny manewr, Louise – powiedziała Prządka. – Dokładnie we wlot tunelu.

– No, to nie było takie trudne. Ma dwa tysiące lat świetlnych szerokości i jest prosty jak jedna z twoich dmuchawek. Został wydrążony tak niedawno, że rotacja galaktyki nie zdążyła go zniekształcić – chociaż za kilkaset tysięcy lat nie zostanie po nim nawet ślad...

Myśliwiec zanurzył się w pustce i ukazał się niebywały widok. Prządka Powrozów miała nad sobą posępne niebo Atraktora, poznaczone galaktykami, w dole i po bokach ściany uciekające z wielką prędkością. Kiedy spojrzała przed siebie, miała wrażenie, że widzi drogę aż do płonącego jądra. Trudno było uwierzyć, że ta wyraźnie ukształtowana gwiazdna dolina ma nie mniej niż pięćdziesiąt lat świetlnych długości...

Przy szybkości trzydziestu pięciu lat świetlnych na sekundę statek miał dotrzeć do jądra za niecałe pół godziny.

Myśliwiec zanurkował w wał kurzu i wyłonił się z niego. Gwiazdy zapłonęły szkarłatem i złotem na ścianach tunelu upstrzonego u góry galaktykami.

Prządka Powrozów uderzyła pięścią w otwartą dłoń i wydała dziki okrzyk zachwytu.

Usłyszała śmiech Louise.

– Podoba ci się ta przejażdżka, Prządko?

Rozległy się inne głosy:

– Widzę to.

Podniecone krzyki:

– Widzę!

„I ja też widzę”.

Prządka odwróciła się, pasy boleśnie wbiły się w jej piersi. Miała wrażenie, że ostatnia uwaga

zabrzmiała z jej lewej strony.

To oczywiście przemawiał człowiek ze snu o dżungli. Niemal spodziewała się, że zobaczy go siedzącego poza kabiną: szczupłego, o ciemnej karnacji, twarzy sześćdziesięciolatka, siwiejących włosach, bezbronnych piwnych oczach...

Miała wrażenie, że się zbliża. Że wyłania się z nicości.

Ale nie zobaczyła nikogo. Poczula zawód i smutek.

– To Jutrzejszy Dzień – odezwała się Louise. – Przepraszam, Prządko. Chcesz wziąć udział w naszej rozmowie? Słyszysz mnie? Pytałam...

– Słyszałam, Louise. Przepraszam. Tak, chcę.

– ...dokładnie przed nami, na końcu tego tunelu – mówił Jutrzejszy Dzień. – Tam, tam...! Widzisz?

– Prządko, przetransferuję ci to, co widzimy – powiedziała Louise.

Na osłonie hełmu Prządki natychmiast pokazały się plamy kolorów: jaskrawa czerwień, żółcie i niebieskości. Podkreślały szczegóły.

Tunel ciągnął się w nieskończoność. U jego końca – niemal na granicy widzialności – zobaczyła coś na kształt sznura zabarwionego na niebiesko.

– Widzę – szepnęła Prządka. Zażądała w myślach wzmocnienia obrazu.

– Czy wiesz, na co patrzysz, Prządko? W płaskim głosie Louise był zachwyt i pokora. – Podejrzewamy, że to właśnie musiało wyźłobić dolinę. To fragment struny kosmicznej...

Lieserl i Mark, ciepłe planety ludzkich ciał, wirowali powoli w środku ogromnej pustki otoczonej stłoczonymi gromadami gwiazd.

Niebo oprószył kurz spiralnych galaktyk, gęstszy niż nad prawieczną Ziemią. Ale ściany kosmicznej doliny były poszarpane i rozmyte, tak że Lieserl odniosła wrażenie, iż znajduje się w środku leja po gigantycznym wybuchu. Każda z galaktyk miała niebieskie zabarwienie; blask tych ogromnych, delikatnych gwiazdnych frachtowców uległ wyraźnej kompresji w wyniku spadania trwającego już miliardy lat.

Mark ujął jej ciepłą rękę. Kiedy łagodnie przyciągnął ją do siebie, odwróciła się wokół własnej osi i zawiśli twarzą w twarz.

– Nie rozumiem – powiedziała. – Ta... dolina... jest pusta. Gdzie pierścień?

Światło setek tysięcy galaktyk, przesunięte ku niebieskiej części widma, rozkładało się na jej twarzy. Mark uśmiechnął się.

– Cierpliwości, Lieserl, wpierw ustal swoje położenie. Rozejrzyj się. Przybyliśmy do tej kosmicznej doliny, niemal pozbawionej galaktyk, pokonawszy dziesięć milionów lat świetlnych. Jest po prawej stronie Wielkiego Atraktora. Wykazuje silne oddziaływanie grawitacyjne. Nic nie widzimy, ale wiemy, że tam coś jest... Rzecz tylko w tym, że się tego nie spodziewaliśmy.

Lieserl rozejrzała się po zatłoczonym niebie, po galaktykach tworzących ściany przeogromnego jaru. Z aktywnego jądra jednej z nich – należała zapewne do skupisk typu Seyferta – ulatywał długi warkocz gazu. Poddany skupionemu oddziaływaniu jądra jarzył się niczym ogon potężnej komety. Była tam również gigantyczna, eliptyczna, rozsypująca się galaktyka po upadku w monstualną studnię grawitacyjną Atraktora. Lieserl wyraźnie widziała liczne galaktyczne jądra krążące wokół siebie w przymglonym blasku co najmniej biliona gwiazd.

Niektóre z nich były tak blisko, że układały się we wzburzone strumienie i poszarpane spiralne



ramiona. Gdzie indziej jaśniały supernowe, jak brylanty na bladym tle pomniejszych gwiazd. Zwracała uwagę spiralna galaktyka z poprzeczką o tłustym, jasnym jądrze, ciągnąca za sobą ramiona jak rozwinięte bandaż. Inna galaktyka spiralna – tak dalece przypominająca Galaktykę Lieserl, że jej widok chwycił ją za serce – wchodziła powoli, majestatycznie w kolizję z eliptyczną. W miejscu przecięcia się dysków galaktyk wybuchały gwiazdy, fontanny żółtego i białego blasku.

Można by pomyśleć, że cały Wszechświat został wepchnięty w tę głęboką przepaść o intensywnej grawitacji.

Wszędzie wyczuwała ruch, aktywność; ale to był ruch w ogromnej skali, zamrożony w czasie. Galaktyki przypominały wielkie gwiazdne statki podążające ku Lieserl, lecz jej ludzki umysł postrzegał gwiazdną ewolucję tylko stop-klatkami. Żałowała, iż nie może obserwować tego wszystkiego z atemporalnej perspektywy boga, która uwolniłaby tę zastygłą w czasie dioramę.

– To niezwykle piękne – powiedziała. – Ale robi niemal sztuczne wrażenie, jakbyśmy byli w planetarium.

– Raczej w gabinecie entomologa – mruknął Mark. – Mam wrażenie, że widzę ćmy wabione niewidzialnym płomieniem grawitacji. Wciąż szacujemy dane. Ciekawe, czy jakikolwiek astronom w historii ludzkości miał tak gęsty nieboskłon do zbadania... chociaż to może oznaczać kres czasu – dodał cicho. – Znaleźliśmy jedną anomalię, Lieserl.

– Jaką? Gdzie?

Wskazał nie wyróżniające się niczym miejsce na niebie.

– Tam. Źródło fal radiowych wodoru. Według naszej oceny dochodzą z układu gwiazd neutronowych – lecz ta gwiazda neutronowa porusza się z niezmierną prędkością, niewiele mniejszą od prędkości światła. Anomalia anomalię pogania, czyż nie? Trudno ustalić, co promieniuje. To całe galaktyczne bagno na froncie nie ułatwia nam zadania. Ale coś tam niewątpliwie jest...

– A czemu to takie niezwykle?

Zawahał się.

– Lieserl, to wygląda na sygnał.

– Sygnał...?! Od kogo?

– Skąd mam wiedzieć?

– Może to błąd naszych instrumentów pokładowych?

– Całkiem możliwe. Ale uważamy, że i tak należy to sprawdzić. To tylko milion lat świetlnych stąd. – Uśmiechnął się ponuro. – Podróż zajmie niecałe osiem godzin, kiedy trafi ci się przejażdżka nocnym myśliwcem.

Sygnał tu, u końca przestrzeni i czasu... Czy to możliwe, że zbieranina na *Północnej* jednak nie była samotna?

Poczuła włoski jeżące się na karku. A myślała, że pod koniec bardzo długiego życia nic nie zdoła jej zaskoczyć.

Najwyraźniej się myliła.

– Lieserl, oglądasz światło widzialne – powiedział Mark. – Wirtualny obraz oparty na tym, co znajduje się na prawo od spektrum postrzeganego przez ludzi. Wzmocniono go, wykorzystując przesunięcie ku niebieskiej części widma; czerwone, przyćmione gwiazdy wydają się niebieskie i jasne.

– Rozumiem.

Niebieski kolor spełził jak marny barwnik z płótna.

Pojawiły się nowe barwy, ale to były oznaki zniszczenia – dominowały jaskrawe czerwienie i szkarłaty, chociaż miejscami przebijało ostre, niebiesko-białe światło supernowych. Niektóre galaktyki, pozbawione kolorystycznego wzmocnienia, zupełnie znikły.

Inne zamieniły się w sunące stopy ognia.

Krwiste tło uwydatniło profil Marka.

– Rozejrzyj się dobrze, Lieserl – powiedział chmurnie. – Usunąłem efekt przesunięcia w stronę niebieskiej części widma. Tak to naprawdę wygląda.

Spojrzała na niego z ciekawością; nagle w głosie Marka zabrzmiał wrogi ton. Nadal trzymał ją za rękę, ale dłoń mu zeszywniała.

– O co ci chodzi? – spytała.

– Oto wynik działania twoich ukochanych fotinowych ptasząt – rzekł. – Od naszego przybycia, czyli przez tydzień, udało się nam skatalogować ponad milion galaktyk otaczających tę dolinę. Wszędzie gwiazdy wypadają z głównego ciągu. Albo w wyniku wybuchu, jako nowe lub supernowe, albo rozpoczynając cykl czerwonego olbrzyma. Wszędzie umierają, a co gorsza, nigdzie nie formują się następne.

Nagle zrozumiała, o co mu cały czas chodziło.

– Ach. To dlatego urządziliście ten pokaz. Testujesz mnie, prawda?! – Ogarnął ją głęboki gniew. – Chcesz wiedzieć, co czuję, widząc to wszystko. Nawet po naszym zbliżeniu masz wątpliwości co do mojego człowieczeństwa.

Uśmiechnął się szeroko. Oświetlone na czerwono zęby zalśniły niczym krople krwi.

– Musisz przyznać, że twoja biografia jest naprawdę niecodzienna, Lieserl. Wątpię, czy ktokolwiek z nas rozumie twoje emocje.

– No to chociaż spróbujcie je zrozumieć, do cholery! – warknęła. – Może na tym właśnie polegał problem człowieka przez większą część historii. Na cholernym antropocentryzmie. Przecież jesteśmy świadkami śmierci galaktyk! A ty zastanawiasz się, co Ja czuję?! Czy na pewno tylko chcecie sprawdzić moją lojalność wobec was?

– Lieserl...

– Powiem ci, co czuję. Czuję, że potrzebujemy zmiany perspektywy, Mark. I co z tego, że to zjawisko, ten kosmiczny pogrzeb, nie bardzo się nam podoba?! – Cofnęła rękę i wyprostowała się.

– Mark, to miejsce największego zdarzenia, jakie kiedykolwiek oglądał nasz biedny Wszechświat, czegoś porównywalnego jedynie z Wielkim Wybuchem. Może czas, żebyśmy my, ludzie, porzucili nasz gatunkowy szowinizm, małosłowną urazę, że Wszechświat nie rozwinął się wedle naszych oczekiwań.

Uśmiechnął się do niej.

– Niezła mowa.

Szturchnęła go pod żebra, nie używając całej swojej siły, ale poczuła z przyjemnością, jak skulił się od ciosu.

– No cóż, zasłużyłeś sobie na nią, do cholery.

– Nie chciałem dać ci do zrozumienia...

– A właśnie, że chciałeś – powiedziała ostro. – No cóż, przykro mi, że oblałam test, Mark. Posłuchaj, ty i ja przeżyliśmy upadek i zniszczenie naszego gatunku. Ratowaliśmy się, jak się dało. I wiem, że będziemy musieli dalej walczyć o przeżycie, i będę walczyła u twojego boku najlepiej, jak potrafię. Ale to nie przekreśla wielkości tego kosmicznego zdarzenia – podobnie jak zniszczenie

mrowiska podczas wznoszenia katedry nie przekreśla jej wspaniałości.

Nadal trzymając ją za rękę, odwrócił się ku niebu zasłanemu galaktykami. Był wyraźnie urażony jej surową reprimendą; jego procesory musiały zadać sobie wiele trudu, aby powstrzymać go od wybuchu.

– Czasem jesteś cholernie zimna, Lieserl.

„Niech Leta pochłonie tych ludzi!” pomyślała.

– Nie – odparła. – Ja tylko patrzę na świat z dłuższej perspektywy niż ty. – Westchnęła. – Och, dajmy temu spokój, Mark. Pokaż mi pierścień.

Odcisk struny pozostawiony w sercu zniszczonej galaktyki nie był symetryczny. Miał z grubsza kształt ósemki; pofalowanej i zwieńczonej ostrymi wierzchołkami.

– Widzisz to, Prządko? – spytał Mark. – To pętla struny szerokiej na tysiąc lat świetlnych.

Prządka Powrozów uśmiechnęła się.

– To nie pętla. To węzeł.

– Pędzi ku centrum, osiągając połowę prędkości światła. Ma masę stu miliardów gwiazd... Uwierzysz? To masa średniej wielkości galaktyki. Nic dziwnego, że wycięła taką bliznę w gwiazdach; to draństwo tnie całą galaktykę niczym sierp.

Louise roześmiała się.

– Węzeł. Robienie węzłów to ważna umiejętność u was, w dżungli, prawda, Prządko? Założę się, że byłabyś dumna z wykonania czegoś takiego.

– Wybaczcie mi pedantyczność, ale prawdę mówiąc, to nie węzeł w terminologii topologicznej – zaoponował Mark. – Jeśli jakimś sposobem zdołalibyście to rozciągnąć, wygładzić wierzchołki i krzywizny, okazałoby się, że macie zwykłą pętlę. Okrąg.

– Wybaczcie z kolei moją pedantyczność – zarządził Garry Uvarov – ale prawdę mówiąc, zwykła, zamknięta pętla jest węzłem. Topolodzy nazywają ją węzłem trywialnym.

– Dziękuję, doktorze – odrzekła sucho Louise.

Prządka Powrozów zamyśliła się, patrząc na szczegółowy obraz struny; projektor osłony hełmu nadał jej niebieską barwę, przez co odcinała się od dalekiego jądra galaktyki. Nagle Prządka zdała sobie sprawę, że ogląda projekcję skomplikowanego, trójwymiarowego obiektu. Bezgłośnie nakazała wyostrzyć obraz i zmienić perspektywę.

Pętla urosła w oczach, odsuwając się od gwiazdnego tła, a struna pogrubiała się, przybierając postać trójwymiarowej rury, tak że Prządka dostrzegła cienie w miejscach, w których jedna warstwa nakładała się na drugą.

Obraz obrócił się. Przypominał sztywny, pozwijany szlauch ogrodowy.

– Ale oczywiście struna nie jest nieruchoma – komentował obraz Mark. – Chodzi o to, że pętla przecina galaktykę, ale wykonuje również inny, stały, skomplikowany ruch. Kosmiczna struna jest poddana ogromnemu napięciu – rosnącemu wraz ze stopniem krzywizny – toteż krzywizny i wierzchołki cały czas usiłują się wyprostować. Przeważająca część struny drga z prędkością podświetlną, a wierzchołki wręcz ją osiągają.

– Absurd – warknął Uvarov. – Nic materialnego nie osiąga prędkości światła.

– To prawda, ale struna kosmiczna tak naprawdę nie jest materialna – tłumaczył cierpliwie Mark. – Pamiętaj, to zniekształcenie w czasoprzestrzeni.

Prządka Powrozów obserwowała piękny, migotliwy twór obracający się w nieskończoność.

Przypominał kunsztowny okaz biżuterii, szklaną ozdobę. Jak coś tak skomplikowanego, tak prawdziwego, mogło być zbudowane wyłącznie z czasoprzestrzeni?

– Nie widzę, żeby się poruszała – stwierdziła z wolna.

– O co ci chodzi, Prządko?

– Mark, jeśli struna porusza się prawie tak szybko jak światło, to dlaczego tego nie widać? To coś powinno więc się jak ogromny wąż...

– Zapominasz o skali zjawiska, Prządko – odparł łagodnie Mark. – Pętla ma tysiąc lat świetlnych średnicy. Kawalek struny potrzebowałby tysiąca lat, aby pokonać średnicę pętli. Prządko, ona się wije, tak jak powiedziałaś, ale w skali czasu niedosiężnej dla ciebie czy dla mnie... Spójrz jednak na to.

Trójwymiarowy obiekt ożył. Wykręcał się, prostował lub tworzył ostre wierzchołki, wił się dookoła własnej osi.

– Tak wygląda prawdziwy ruch struny, oceniany na podstawie prędkości jej fragmentów. Ten ruch jest periodyczny... Ma identyczną postać, powtarzalną co tysiąc lat. Wykres oczywiście oddaje go z miliardowym przyspieszeniem – obejrzenie dwudziestu tysięcy lat zajmuje nam około pięciu minut. Ale to wystarczy, żebyście zdali sobie sprawę z istotnej cechy tego ruchu. Struna nie zachodzi na siebie... Nie przecina się w żadnym punkcie trajektorii. Gdyby to nastąpiło, powstałyby mniejsze wierzchołki, wpadające w drgania i rozdzielające się na jeszcze mniejsze jednostki i tak dalej... Struna uległaby szybkiej degeneracji, rozpadłaby się na tysięczne kawałeczki i straciła energię, wysyłając fale grawitacyjne.

Prządka Powrozów nagle pożałowała, że jest człowiekiem, że może obejrzeć ruch rozwiniętej pętli jedynie za pośrednictwem jarmarcznych, kolorowych projekcji Marka. Jak cudownie byłoby wyjść poza czas!

*...Zamknij oczy, Prządko.*

– Co?

*Możesz wyjść poza czas, tak jak tego pragniesz! Zamknij oczy i wyobraź sobie, że jesteś bogiem.*

...i oto przed oczami jej duszy pojawił się węzeł struny, o ileż bardziej widowiskowy, niż mógłby zobrazować go jakikolwiek wirtual! Wił się jak wielki robak połykający własny ogon.

Węzeł uderzył w brzeg bezbronnej galaktyki i werznął się między gwiazdy, roztrącając je niczym źdźbła traw.

To był niepokojący, zaskakujący obraz. Otworzyła gwałtownie oczy; ogarnął ją strach, poczuła gęsią skórę.

„Zwykle nie mam tak bujnej wyobraźni – pomyślała trzeźwo. – Może mój towarzysz maczał w tym palce...”

Skupiła uwagę na niewinnym wirtualnym obrazie. Teraz Mark demonstrował wzbudzone pole magnetyczne, żółte linie sił otaczające niebieską strunę.

– Kiedy struna żegluje przez pole magnetyczne galaktyki, sama wysyła silne promieniowanie elektromagnetyczne – powiedział. – Oto powódź wysokoenergetycznych fotonów...

Faktycznie kosmiczna struna nie była jednowymiarowa, miała nadzwyczaj małą szerokość i tworzyła delikatną rurę naładowaną cząsteczkami: kwarkami, elektronami i antycząsteczkami zebranymi w superciężkie grona. W wyniku tego zespolenia działała niczym nadprzewodnik.

Zasupłana struna cięła pole magnetyczne galaktyki. Wzbudzała przy tym potężne prądy

elektryczne liczące setki miliardów amperów lub więcej. Te prądy powodowały powstanie silnych pól magnetycznych wokół struny.

Takie pole było silniejsze niż pole gwiazdy neutronowej i oddziaływało w obszarze dziesiątków lat świetlnych.

– Struna ma maksymalną zdolność przewodzącą – kontynuował Mark. – Przeładowana zaczyna oddawać energię. Świeci, wysyłając promieniowanie gamma. Utracona energia krystalizuje się w materię: jony i elektrony, które niezwłocznie wylaniają się wzdłuż struny. – Prządka ujrzała oznaczenia tych cząstek – oczywiście znacznie powiększonych – pojawiających się na całej długości struny. – Tak więc struna świeci równie jasno jak gwiazda.

– Tak, ale rozchodzenie się tego promieniowania jest dziwne, Mark – wtrąciła Louise. – Spójrz. Jego wektor jest równoległy do wektora sił grawitacji.

– Przypomina światło szperacza – powiedział Jutrzejszy Dzień.

„Albo oszczep...” – pomyślała Prządka.

– Mark, co napędza tę strunę? – spytał Jutrzejszy Dzień. – Co pcha ją przez przestrzeń w kierunku tej galaktyki?

– Siły grawitacji – odparł krótko Mark.

– Jutrzejszy Dniu, grawitacja działa wszędzie tam, gdzie skupiska dużych mas poruszają się w przestrzeni – rzekła Louise. – Jako że pętla jest asymetryczna, działa grawitacyjnie w szczególnych kierunkach, przed i za siebie. Zdaża przed siebie z wielką prędkością... To rakieta grawitacyjna, wykorzystująca swoje pole grawitacyjne do pokonywania przestrzeni.

– Oczywiście, siły grawitacji powodują zużycie energii i struna z wolna się kurczy – powiedział Mark. – W końcu zapadnie się w nicłość.

– Ale ten proces nie jest na tyle szybki, by galaktyka się uratowała – warknął Uvarov.

– Tak – potwierdziła Louise. – Zanim struna sama ulegnie zniszczeniu, dotrze do jądra galaktyki i doprowadzi ją do ruiny.

*Zamknij oczy.*

Prządka Powrozów zadrżała. Kolejny raz usłyszała ten głos z lewej strony – z miejsca poza skafandrem. Wbiła oczy w wirtualny obraz na osłonie hełmu i ani ważyła się spojrzeć w bok.

*Zamknij oczy. Przywołaj jeszcze raz tamtą wizję, zapętloną struną przebijającą się przez gwiazdy. Przestraszyła cię, prawda? Co znaczy ten obraz, Prządko? Co ci mówi?*

Nagle przejrzała na oczy.

– Mark – powiedziała. – To nie jest po prostu rakieta grawitacyjna.

– A co?

– Zastanów się. Ten węzeł strunowy to na pewno pocisk!

Obraz galaktyk znikł, Mark i Lieserl wisieli teraz w ciemnoszkarłatnej pustce. W tle jednak zaczęło się coś pojawiać: niewyraźne punkty wyznaczające zarysy widmowego, ustawionego pionowo torusa o widocznym prześwicie.

– Oczywiście te barwy nie są prawdziwe – powiedział Mark. – Wizerunek zrekonstruowano na podstawie fal grawitacyjnych i emisji promieniowania gamma...

Torus przypominał nieco pierścienie Saturna; tworzył most spinający dolinę galaktyk.

Początkowo uznała, że drobiny, z których się składał, to punkty światła. Przypominały gwiazdy lub brylanty rozrzucone na aksamitnym tle przygaszonych galaktyk. Ale przyjrząwszy się im uważniej,

dostrzegła, że część z nich jest sporej wielkości.

Tak więc nie mogły to być gwiazdy ani słabo jaśniejąca galaktyka. Szybko obliczyła, że jest ich jedynie kilka tysięcy, kiedy w galaktyce były miliardy gwiazd. A poza tym ten torus był ogromny. Ciemnokrwiste trupy galaktyk żeglowały przez jego rozległe połacie.

Wiedziała, że Galaktyka ludzi była dyskiem mającym sto tysięcy lat świetlnych średnicy. Ten torus musiał być co najmniej sto raz rozleglejszy – światło do jego pokonania potrzebowało ponad dziesięciu milionów lat świetlnych.

Odwróciła się do Marka, który przyglądał się jej ciepło.

– Wiem, co czujesz. To wspaniale, prawda?

– To nie może być pierścień – rzekła z wolna. – Nie może. O ile wiemy, Jim Bolder zgłosił pojedynczy obiekt zbudowany ze stałej materii.

– Przyjrzyj się dokładniej, Lieserl. Poszukaj trochę; wyostrz obraz. Co widzisz?

Odwróciła głowę i wydała w myślach serię krótkich komend. Część torusa runęła ku niej z niebywałą chyżością; przez chwilę poczuła się zdezorientowana.

Obraz się ustabilizował. Teraz miała wrażenie, że znalazła się w środku samego torusa, a migocące części otaczają ją ze wszystkich stron.

To nie były zwyczajne dyski, elipsy czy inne kształty charakterystyczne dla gwiazd lub galaktyk poddanych siłom grawitacji. W sercu tych obiektów widniała czern.

To były węzły.

– Mark...

– Patrzysz na pętle kosmicznych strun – powiedział spokojnie. – Ten ogromny torus składa się z węzłów strun, Lieserl. Jest ich dziesięć tysięcy, każdy o średnicy tysiąca lat świetlnych.

Uświadomiła sobie, że konwulsyjnie miażdży mu rękę.

– Nie rozumiem. To... fantastyczne. Ale to nie pierścień Boldera!

Sprawiał wrażenie zamyślonego, przepelnionego melancholią,

– To musi być pierścień Boldera. Wiemy, że znaleźliśmy się we właściwym miejscu, Lieserl. To niewątpliwie siedlisko Wielkiego Atraktora; pętle mają w sumie masę wystarczającą do wzbudzenia lokalnego przepływu galaktyk. I wiemy, że to zbiorowisko musiało zostać stworzone sztucznie. Pętle strun powstały zapewne wraz z Wszechświatem, po stanie osobliwości. Ale w całym Wszechświecie powinno ich być nie więcej niż dziesięć milionów, rozdzielonych dziesiątkami milionów lat świetlnych. To po prostu niemożliwe, aby dziesięć tysięcy egzemplarzy tego draństwa skupiło się samoistnie w kosmicznej dolinie, która ma marne dziesięć milionów lat świetlnych od brzegu do brzegu...

– Ale Bolder stwierdził, że pierścień jest ciałem stałym – mówiła cierpliwie Lieserl. – Jeśli miał rację...

– Jeśli miał rację, w takim razie pierścień został zniszczony, Lieserl. Te pętle to... gruzy. Patrzemy na ruinę pierścienia. Fotinowe ptaki wygrały. – Odwrócił się do niej, ukazując kamienną maskę, pod którą niewątpliwie skrywał uczucia. – Zjawiliśmy się za późno, Lieserl.

Była oszołomiona.

– Ale jeśli to prawda... to dokąd powinniśmy się udać? Na to Mark nie znalazł odpowiedzi.

– O czym ty mówisz, Prządko? – spytała Louise.

– Nie rozumiesz? – Zamknęła oczy i kolejny raz obejrzała, jak zapętlona struna rozdziera

delikatną supermaterię galaktyki. – Mark, Louise, tej pętli nadano cel, i to dokładny. To broń. Przedziera się przez galaktykę, niszcząc wszystko po drodze skupionymi promieniami energii elektromagnetycznej i grawitacyjnej...

– Mark...?! – spytała ostro Louise.

Zawahał się.

– Nie możemy dowieść prawdziwości tego stwierdzenia. Ale szansę nadania pętli tak dokładnej trajektorii są niewielkie...

– To szalenie przypuszczenie – stwierdził Jutrzejszy Dzień. – Kto śmiałyby wykorzystać pętlę kosmicznej struny o przekroju tysiąca lat świetlnych jako narzędzie zniszczenia?

– Czy to nie oczywiste? – mruknął Uvarov. – Te same istoty, których poszukujemy i u których mamy nadzieję znaleźć schronienie – xeelee, Jutrzejszy Dniu, barionowi wielmoże.

– Ale czemu? – spytał Mark. – Czemu niszczą w ten sposób galaktykę?

– W obronie własnej – warknął Uvarov.

– Co?

– Przecież to jasne. Xeelee są mistrzami w operowaniu czasoprzestrzenią. Ich arsenał składa się z tych ogromnych zniekształceń. Zostały użyte przeciwko orężowi ich nieprzyjaciół – takiemu jak ta galaktyka.

Zapadła chwila ciszy.

– Czy ty jesteś przy zdrowych zmysłach, Uvarov? – spytał w końcu Jutrzejszy Dzień. – Twierdzisz, że tą galaktyką rzucono jak jakimś kamieniem?!

– Czemu nie? – odparł ze spokojem Uvarov. – Fotinowe ptaki są stworzeniami z ciemnej materii, która grawitacyjnie przyciąga materię barionową. Łatwo wyobrazić sobie jakiś przeogromny rydwan z ciemnej materii, ciągnący tę delikatną galaktykę i ciskający ją w przestrzeń... Zastanówcie się. Fotinowe ptaki musiały pracować nad zmianą drogi tej galaktyki od milionów lat – być może zamierzały cisnąć ten potężny pocisk w pierścień na długo przed tym, zanim człowiek zaczął chodzić po Ziemi. A xeelee musieli przygotowywać swoją odpowiedź, tę pętlę, równie dawno.

Prządka Powrozówomal nie wybuchnęła wariackim śmiechem. Ujrzała absurdalny obraz dwóch gigantów przemierzających konno zakrzywiony wszechświat i obrzucających się galaktykami i pętlami strun jak grudami błota.

– Tak, naprawdę jesteśmy w środku strefy działań wojennych – stwierdził zimno Uvarov. – Galaktyka, w której serce wymierzono celnie kulę pod postacią kosmicznej struny, to tylko jeden element spośród miliona innych na wielkim polu bitewnym. Nasza ulotna percepcja postrzega teren tej bitwy jako zamrożony w czasie. Brzęczymy tu jak muchy wokół kuli pędzącej w środek celu, a przecież bitwa wre wokół nas.

*Nie bój się.*

Prządka Powrozów zamknęła oczy i myślała o człowieku, który pojawił się we śnie o dżungli, uśmiechał do niej z drzewa i jadł owoc...

„Wiem, kto to jest – zrozumiała nagle. – Widziałam tę twarz w starych wirtualach Louise...”

– Znam cię – powiedziała.

*Tak. Nie bój się* – odrzekł Michael Poole.

## Rozdział 28

Louise Armonk nakazała Prządce Powrozów odbyć lot nocnym myśliwcem do źródła dziwnego sygnału przekazywanego w paśmie wodoru.

Zwróciła jej uwagę na pewne elementy sygnału.

– Oto rysunek głównej sekwencji, Prządko. – Na osłonie hełmu Prządki Powrozów pojawił się wykres kolumnowy, krzykliwe żółcie i niebieskości. – To nas bardzo podekscytowało. Przede wszystkim z powodu swojej periodyczności – ta sama sekwencja powtarza się co jakieś dwie godziny. Jesteśmy wręcz pewni, że to nie dzieło przypadku. Popatrz. – Louise podświetliła na błękitno zespół trzydziestu kolumn ukryty dotychczas wśród reszty. – Widzisz?

Prządka Powrozów wlepiła wzrok w rosnące kolumny, pilnie starając się odkryć przyczynę podniecenia Louise.

– Co to ma być, Louise?

Ta mruknęła zniecierpliwiona:

– Prządko, amplituda tych wskaźników rośnie zgodnie z początkową trzydziestką liczb pierwszych.

Błękitne kolumny rozpadły się na nierówne serie, żeby umożliwić Prządce dostrzeżenie wzorca. Policzyła fragmenty: raz, dwa, trzy, pięć, siedem...

Wyczuła, że ktoś niewidzialny za kabiną myśliwca uśmiecha się.

*Zupełnie jak dziecięca układanka, czyż nie?*

– Och, bądź cicho – rzuciła.

– O co chodzi?

– O nic... przepraszam, Louise. Tak, teraz widzę.

– Słuchaj... jesteśmy tak podnieceni znalezieniem tej sekwencji, ponieważ jej obecność oznacza, że sygnał prawie na pewno wysyłają ludzie!

– Skąd to wiesz? Z samej sekwencji?

– Pewności oczywiście nie mamy – powiedziała niecierpliwie Louise. – Ale to cholernie wyraźny ślad. Liczby pierwsze mają wyjątkowe znaczenie dla gatunku ludzkiego. Tworzą fundamenty arytmetyki lub przynajmniej arytmetyki nieciągłej, którą ludzie posługują się w sposób naturalny. Jesteśmy osobnymi, rozdzielnymi stworzeniami; ja jestem tu, a ty gdzieś tam. Jeden, dwa. Takie liczenie przychodzi nam instynktownie, więc uważamy, że to fundamentalna cecha Wszechświata. Można jednak wyobrazić sobie całkiem inne rodzaje matematyki. Co z takimi stworzeniami jak qaxowie, którzy nie mają dokładnych granic między sobą? Co ze squeemami i ich grupowymi umysłami? Czemu proste liczenie miałoby być dla nich naturalne? A nuż ich najwcześniejsze systemy matematyczne były ciągłe i badanie nieskończoności przychodzi im tak naturalnie jak ludziom arytmetyka? Kantorowska hierarchia nieskończoności pojawiła się bardzo późno. I...

Prządka Powrozów ledwo słuchała tego wykładu. „Ludzie? – myślała gorączkowo. Tu, na krawędzi czasu i przestrzeni?”



– Louise, czy odszyfrowaliście coś jeszcze?

– No cóż, potrafimy odczytać coś więcej – przyznała z ociąganiem Louise. – Tak się nam przynajmniej wydaje. Ale pamiętaj, Prządko, być może mamy do czynienia z ludźmi, których cywilizacja wyprzedza naszą o miliony lat. Niewykluczone, że ludzie z tak odległej przyszłości różnią się od nas jak jakieś pozagalaktyczne gatunki. Nawet Lieserl nie potrafiła tego rozszyfrować...

– Ale coś odczytaliście. Prawda?

Louise zawahała się.

– Tak. Sądzimy, że jest to wezwanie o pomoc.

– No, wspaniale. Z pewnością stać nas na udanie się z pomocą bogom-ludziom żyjącym pięć milionów lat po naszych narodzinach.

– Kto wie? – powiedziała sucho Louise. – Może tak. W każdym razie tego się dowiedzieliśmy.

...Po lewej stronie Prządki coś się poruszyło. Odwróciła się.

Nagle człowiek ze snu o dżungli pokazał się. Siedział jakby nigdy nic – poza kabiną! – na barkach nocnego myśliwca. Nie miał na sobie skafandra, tylko zwykły szary kombinezon. Ręce złożył na podołku. Światło z jakiegoś niewidocznego źródła podkreślało zmarszczki wokół ust i zmęczenie w oczach.

W końcu się ujawnił. Skinął lekko głową.

Uśmiechnęła się.

– ...Prządko?

– Jestem tu, Louise. – Próbując skupić się na swoich zadaniach, wyciągnęła rękę ku nakładce napędu superprzestrzennego. – Gotowa?

– Tak.

Nocny myśliwiec pomknął przez hiperprzestrzeń. Podróżując z prędkością ponad stu tysięcy lat świetlnych na godzinę, *Północna* okrążyła torus składający się z krawędzi podzielonych pętli strun.

Lot zajął dziesięć godzin. Kiedy zbliżał się do końca, Prządka ucięła krótką drzemkę, a po obudzeniu kazała układowi skafandra oczyścić siebie, i opróżniła pęcherz.

Sprawdziła dane wyświetlane na osłonie hełmu. Jeszcze dwadzieścia skoków. Jeszcze dwadzieścia sekund i...

Coś w oddali rozjarzyło się błękitnym blaskiem, runęło ku niej z nieprawdopodobną prędkością. Krzyknęła i schowała twarz w ramionach.

*Nic ci nie grozi* – uspokoił ją Poole.

– Wybacz, Prządka powiedziała Louise. – Powinnam cię ostrzec...

Prządka Powrozów ostrożnie opuściła ramiona.

Wszędzie dookoła były struny.

Dokładnie przed statkiem znajdowała się zasupłana kosmiczna struna, której osłona hełmu nadała ostrą, niebieską barwę. Falowała na całej długości z szybkością światła. Prządka Powrozów wychyliła się z fotela i spojrzała w górę i w dół, w lewo i w prawo; nici strun krzyżowały się wszędzie na niebie, tworząc szorstki mur. Przyjrząwszy się dokładniej bezmiernej strukturze, ujrzała, że poszczególne nici zachodzą na siebie, przybierając kształt bezmiernej delikatnej mgły.

Pętla struny utworzyła na niebie barierę, dzieląc Wszechświat na dwie części. Była przepiękna, ale zabójcza. Ta kosmiczna pajęczyna o niciach tak długich, że rozpiętych między gwiazdami mogła uwięzić Prządkę Powrozów i jej statek.

A to był tylko jeden fragment długi na tysiąc lat świetlnych pomiędzy tysiącami innych tworzących torus...

– Na Letę – zakląła Prządka Powrozów. – Jesteśmy prawie w środku tego draństwa.

– Nie całkiem – odparła Louise. Ściśnięty głos zdradzał, że jednak jest zdenerwowana. – Nie zapominaj o skali odległości, Prządko. Pętla strun w tym toroidalnym układzie mają około tysiąca lat świetlnych średnicy. Jesteśmy tak daleko od brzegu tej pętli jak Słońce od kolejnej gwiazdy.

– Z tym wyjątkiem, że pętla nie ma jasno określonych krawędzi – wtrącił się Mark Wu. – To kłęb. Cholernie ciężko odkryć kosmiczną strunę; widok, który masz przed sobą, Prządko, to tylko wirtualna rekonstrukcja; nasze najdokładniejsze wyobrażenie tego, co się tam znajduje.

– W takim razie nasz pobyt tu jest ryzykowny? – spytała Prządka Powrozów.

*Oczywiście* – powiedział Michael Poole.

– Nie – odrzekła Louise.

– Tak – stwierdził Mark. – Daj spokój, Louise. Prządko, pracujemy nad zminimalizowaniem ryzyka. Ale niebezpieczeństwo istnieje. Musisz się sprężyć, żeby w razie czego szybko nas stąd wydostać. Nakładki mają zaprogramowane drogi ucieczki, zarówno napęd superprzestrzenny, jak i napęd nieciągłości.

– Będę gotowa – powiedziała ze spokojem. – Ale po co tu jesteśmy? Czy sygnał pochodzący od ludzi dochodzi gdzieś stąd, z wnętrza struny?

– Nie – odparła Louise. – Na szczęście, Prządko, sygnał dochodzi z układu gwiazdy neutronowej. To tylko kilka godzin świetlnych dalej. Wprowadziliśmy...

– ...odpowiednią sekwencję do nakładek, które pokierują napędem nieciągłości – skończyła za nią sucho Prządka Powrozów. – Wiem. – Sięgnęła do sterów. – Powiedz mi, kiedy będziesz gotowa, Louise.

Poole wyglądał na zmęczonego. Piuwe oczy ginęły w sieci zmarszczek.

*Wiesz, że pracowałem z Louise Armonk.* – Uśmiechnął się. – *I znów jesteśmy razem. Świat jest mały, prawda? Była dobrym inżynierem. Chyba nadal nim jest.*

– Wiem, że postanowiłeś zamknąć swój tunel czasoprzestrzenny – powiedziała Prządka Powrozów. – Opowiedz mi, co ci się przytrafiło.

Poole siedział rozluźniony na barkach myśliwca. Oczy miał zamknięte, głowę opuszczoną na piersi.

*Pamiętam, jak kopuła mieszkalna mojego statku fazowego znalazła się w interfejsie – zaczął z wolna. – Całą zalało światło... jak światło ognia, niebiesko-fioletowe. Wiedziałem, że to ciało mojego splina spala się, ocierając o ramy interfejsu zbudowane z materii egzotycznej. Pamiętam uczucie straty, osamotnienia,*

– Straty?

*Opuszczałem granice swojego czasu, Prządko, a każdy z nas – uniósł przezroczystą dłoń – nawet ja, jest związany ze światem funkcjami falowymi. Byłem połączony nielokalnie ze wszystkim, czego dotknąłem, co widziałem, smakowałem... Teraz wszystkie wiązy pękły. Byłem samotny jak żaden człowiek do tej pory. Włączyłem napęd superprzestrzenny. Tunel rozsypywał się. Pamiętam strumienie niebiesko-białego światła... Niemal wierzyłem, że czują twarde fotony przenikające kopułę.*

Czasoprzestrzeń jest poprzecinana tunelami; przypomina taflę spękanego szkła. Kiedy Poole

wyruszył w drogę pojazdem o napędzie superprzeźrzym, zachowała się jak wspomniana tafla poddana uderzeniu kowalskiego młota. Pęknięcia rozeszły się od miejsca uderzenia i utworzyły skomplikowaną sieć, która rozszczepiała się dalej, podczas gdy czasoprzestrzeń łączyła się na nowo i pękała.

*Pęknięcia czasoprzestrzeni utworzyły sieć tuneli wiodących do nieskończoności...* – Poole uśmiechnął się ironicznie. – *Zacząłem się zastanawiać, czy faktycznie miałem dobry pomysł.*

Kapsuła oddaliła się od kopuły mieszkalnej *Północnej*.

Lieserl siedziała na wirtualnej projekcji fotela obok Marka Wu; obok nich oddychał chrapliwe z rozdziawionymi ustami Uvarov, otulony w swoje derki. Wielkie skrzydła nocnego myśliwca, tworzące napęd nieciągłości, rozłożyły się nad kapsułą niczym sklepiony sufit ogromnego kościoła.

Daleko w dole obracała się ponura, wyzbyta powietrza planeta, ku której zmierzali. Patrząc na tę małą wysepkę pośród jaśniejszej mgły, Lieserl doznała niespodziewanego – i wręcz absurdalnego – zawrotu głowy spowodowanego lękiem wysokości. Miała wrażenie, że wisi bezbronna nad powierzchnią planety; najwyższym wysiłkiem woli musiała zapanować nad odruchem każącym złapać się siedziska fotela.

Zawroty głowy... Po tym wszystkim, co przeżyła wewnątrz Słońca, i chociaż wiedziała, iż nie może się jej nic stać, gdyż była tylko wirtualną projekcją głównego superkomputera *Północnej* wspomaganego siecią komputerową kapsuły – po tym wszystkim doznawała zawrotów głowy.

Niemniej jednak to miłe, że zachowała tyle ludzkich odruchów, iż nadal mogła się trochę bać. Może powinna wyznać to Markowi; niewykluczone, że zyskałaby nieco w jego oczach.

Poniżej układ gwiazdy neutronowej rozciągał się jak wielki, żywy obraz.

Sama gwiazda była niewielką kulą, promieniującą ostrym żółto-czerwonym światłem. Miała towarzyszkę – normalną gwiazdę – i otaczał ją pierścień łagodnie świecącego gazu. Wewnątrz tego gazowego pierścienia wirowało kilka planet.

Sygnał dochodził z jednej z nich, małego świata, w którego kierunku sunęła teraz kapsuła.

Nocny myśliwiec spuścił ich w chmurę gazu. Wrażenia były takie jak podczas zanurzania się w mgłę. Za ścianami kapsuły Lieserl widziała gęste warkocze gazu, kłęby i wiry rozrzedzonej materii. Dalej pierścień rozdzielał Wszechświat na dwoje pasmem bladego światła. Widziała samą gwiazdę neutronową: drobny, twardy węgielek płonący w sercu gazowych kłębow. Obok wisiała gwiazda-towarzyszka – wielka, blada, w kształcie zgnieczonego jaja, zniekształcona silnym polem grawitacyjnym gwiazdy neutronowej. Macki gazu przedostawały się na oślep z trupa gwiazdy towarzyszącej w stronę gwiazdy neutronowej.

A dalej, przekrzywiona wariacko w stosunku do gazowego torusa, widniała poświata równikowa gwiazd.

Neutronowa gwiazda błyskawicznie spadała w przestrzeń, z prędkością podświetlną. To sprawiało, że zarówno ona sama, jak i jej układ były jedynymi widzialnymi obiektami we Wszechświecie Lieserl. Cała reszta – galaktyki o widmie przesuniętym do niebieskości, pobliski mur kosmicznych strun – była skompresowana w bladej poświacie równikowej. Dalej rozciągała się tylko ciemność. Uvarov skłonił głowę na ramię. Światła kapsuły rzucały cienienną jamy oczodołowe.

– Mówcie, co widzicie – zasyczał.

– Widzę gwiazdę neutronową – odrzekł Mark. – Wyjątkowy okaz. Ma tylko półtora kilometra średnicy, ale masę niewiele mniejszą od masy Słońca... Niezwykłe, że ma towarzyszkę, normalną

gwiazdę.

Przed Markiem pojawiła się wirtualna diorama układu gwiazdy neutronowej; barwne linie przecinały kule gwiazdy i jej towarzyszki, ukazując – jak podejrzewała Lieserl – gradienty grawitacji, linie sił pola magnetycznego i inne dane. Obok jaśniejących obiektów pojawiły się krótkie objaśnienia tekstowe i wykresy pomocnicze.

– Kiedyś te gwiazdy tworzyły układ podwójny – kontynuował Mark. – To musiał być niezwykle widok, jako że gwiazda neutronowa była olbrzymem rzucającym oślepiający blask. Gwiazda towarzysząca jakoś przeżyła eksplozję olbrzyma. Ale powstała po wybuchu gwiazda neutronowa zabija swoją towarzyszkę. – Wskazał ręką. – Studnia grawitacyjna gwiazdy neutronowej wysysa materię drugiej gwiazdy... Popatrz, Lieserl, te niby delikatne smugi gazu mogłyby połknąć Jowisza. Część materii gwiazdy towarzyszącej wpada w gwiazdę neutronową. I kiedy masa tej ostatniej rośnie, jej rotacja zmienia się. Pojawiają się regularne wstrząsy. Reszta gazu tworzy pierścień krążący wokół gwiazdy neutronowej. Właśnie się w nim znajdujemy.

– Czy twoim zdaniem to ptaki spowodowały eksplozję i przekształcenie w supernową? – spytała Lieserl.

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie. Układ jest na to zbyt stabilny... Mam wrażenie, że wybuch nastąpił na długo przed tym, zanim ptaki zainteresowały się tym rejonem.

– A gwiazda towarzysząca?

Uśmiechnął się, patrząc na wypełnione niebo.

– Lieserl, to jedyna gwiazda, której ptaki nie muszą zabijać. Gwiazda neutronowa odwała za nie robotę.

Obraz gwiazdy neutronowej pokazał się na wirtualu przed twarzą Marka, spychając gwiazdę-towarzyszkę i inne wizerunki. Mark spojrzał na gęste skupisko światła, zapewne jeden z biegunów magnetycznych gwiazdy.

Lieserl odwróciła wzrok. Planeta była już niedaleko. Skalista kula, wisząca w pustce, odsłaniała swój pejzaż – nagi, ponury, spękany.

– A co z planetami? – spytała Lieserl. – Jak one przetrwały wybuch?

– To nie tak – powiedział Mark, nie odrywając oczu od bieguna. – Myślę, że utworzyły się potem, z materii pierścienia gazowego i gruzu powybuchowego... Lieserl! Popatrz.

Wirtualny obraz gwiazdy neutronowej runął ku niej. Płomień oznaczający biegun szybował wprost ku twarzy Lieserl. Uchyliła się, ale dzielnie nie odwróciła wzroku od płonącego, gęstego obrazu.

Mark uśmiechał się. W jego głosie było podniecenie.

– Widzisz?

– Tak, ale musisz mi wyjaśnić, co to jest – poprosiła.

– To wielkie zakłócenie gradientów grawitacyjnych w polu magnetycznym. – Wokół bieguna gwiazdy skupiły się strzałki wektorów pola, tworząc dwuwymiarową płaszczyznę. – Widzisz to?

– A co w tym takiego niezwykłego?

– Lieserl, to chyba płaszczyzna nieciągłości – powiedział niecierpliwie Mark. – Dwuwymiarowe zniekształcenie czasoprzestrzeni. Ściana domenowa wewnątrz gwiazdy...

Lieserl zmarszczyła brwi.

– To niemożliwe...

– Oczywiście. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Takie zniekształcenie jak ściana domenowa nie może pojawić się wewnątrz gwiazdy neutronowej... chyba że zostało tam umieszczone.  
Zniszczone wargi Uvarova rozciągnęły się w uśmiechu.  
– Umieszczone...?  
– Zastanawialiśmy się, jak gwiazda neutronowa mogła powstać z dala od wszelkich galaktyk i dlaczego porusza się z taką cholerną prędkością. No cóż, teraz wiemy.  
Lieserl wybuchła śmiechem.  
– To wariactwo. Czyżbyś sugerował...  
– Tak – odparł z powagą. – Myślę, że ktoś, może ludzie, umieścił napęd nieciągłości w biegunie magnetycznym tej gwiazdy neutronowej, po czym cisnął cały układ w przestrzeń, nadając mu szybkość podświetlną.  
– Ależ to absurd – powiedziała. – Po co ktoś by to robił?  
Teraz roześmiał się Uvarov.  
– Zawsze racjonalistka, Lieserl, po wszystkim, co przeżyłaś? No cóż, może wkrótce poznamy odpowiedzi na te pytania. Ale jednego jestem pewien – że to ma jakiś związek z nie kończącą się cholerną wojną na niebie, w którą się wpakowaliśmy.  
Opadanie kapsuły ustało i sunęła teraz nad zniszczoną powierzchnią planety.  
– Jesteśmy nad źródłem sygnałów – odezwał się w końcu Mark, po czym krzyknął nagle: – Tam! Widzicie?  
Uvarov przekrzywił głowę na chudej szyi. Lieserl spojrzała w dół.  
– Tam coś jest – powiedział Mark. – Na powierzchni... Jakiś budynek. Do roboty; sprowadzę was na dół.

*Wpadłem w przyszłość, Prządko Powrozów, dostałem się do sieci tuneli czasoprzestrzennych, które zapadły się za mną. Moje instrumenty pokładowe uległy zniszczeniu, ale wiedziałem, że kopuła mieszkalna została zalana cząstkami o wysokiej energii i falami grawitacji. Byłem bezradny jak niemowlę.*

Poole siedział w pustce kosmicznej na barkach nocnego myśliwca, z nogami w pozycji lotosu, ułożywszy wygodnie dłonie na kolanach wnętrzami do góry. Prządka widziała żłobkowane podeszwy jego butów.

*Leciałem przez pięć milionów lat...*

Na *Północnej* Mark Wu – czy raczej jeden z jego wirtualnych ośrodków świadomości – oglądał za pośrednictwem setek czujników pętlę kosmicznej struny. Nie był zadowolony; zwielokrotniony obraz był rozmyty, niedokładny.

Kłopot wynikał stąd, że statek krążył po orbicie cholernej planety gwiazdy neutronowej, która spadała tak szybko w przestrzeń kosmiczną, że po *Wszechświecie* pozostała tylko relatywistyczna blada poświata równikowa gwiazd. Można by pomyśleć, że lot *Północnej* trwa nadal. Mark, zmuszony pokonać skutki ruchu z prędkością podświetlną, łowił kształt *Wszechświata* z rozmytej poświaty.

Znał procedury, które teoretycznie poprawiały wizję. Ale jego wysiłki przypominały klejenie rozbitego jajka. Otrzymane obrazy były bardzo niewyraźne.

Mark Wu, lokator pudła z procesorami, pracował w skali nanosekundowej. Obracał danymi

z prędkością kilka milionów razy większą niż ludzie i czasami musiał zdobyć się na ogromny wysiłek woli, by opuścić swój warsztat pracy i wrócić do ludzkiego świata, w którym wszystko ślimaczyło się wprost niewyobrażalnie.

Minęło siedem wieków od jego fizycznej śmierci i załadowania go do superkomputera *Północnej*. Coraz sprawniej dokonywał operacji niedostępnych dla ludzi. W tej właśnie chwili, na przykład, przebywał w kapsule-ładowniku, prowadząc konwencjonalną rozmowę z Lieserl i Uvarovem, towarzyszył Louise na pokładzie „Wielkiej Brytanii”, a równocześnie kontrolował układy sterujące *Północnej*.

Rozbicie na rozliczne ośrodki świadomości wymagało przyzwyczajenia, ale przywykł do drobnych niedogodności, jeśli wynikała taka potrzeba.

A teraz wynikała.

Może powinien się sprzeciwić ekspedycji na gwiazdę neutronową. *Północna* musiała podejść blisko – cholernie blisko – do pętli-chmury kosmicznej struny. Pomyślał kwaśno, że kiedy ma się do czynienia z obiektem o szerokości tysiąca lat świetlnych, dystans marnych kilku lat świetlnych wydaje się niewystarczający.

Oddelegował następne ośrodki świadomości do obserwacji różnych sektorów nieba.

Oglądał Wszechświat w postaci mozaiki złożonej z fragmentarycznych obrazów, dostarczanych mu przez czujniki; przypominało to nieco patrzenie wielofasetkowymi oczami muchy. Cały Wszechświat był pełen strun widzianych podwójnie – wyglądał jak wielka szklana, popękana kopuła.

Obserwując podwojone wizerunki gwiazd i galaktyk, sprawdzał szybkość podświetlną segmentów strun; nieustannie odświeżał model lokalnej dynamiki strun, dbając o bezpieczeństwo statku...

Mark odczuł drobną niewygodę, przeszedł go dreszcz. To układ kontrolny wszczął alarm.

...W polu widzenia jednego z komputerów zawiadujących czujnikami wszczął się ruch. Mark zmienił hierarchię ważności swoich ośrodków świadomości, skupiając się na tym komputerze.

Na tle pięknej niebieskiej galaktyki spiralnej pojawiły się podwójne obrazy gwiazd.

Zdał sobie sprawę, że to świadectwo istnienia dwóch fragmentów strun, że są to dwa łuki wielkiej pojedynczej pętli, oddzielone o niecałe godziny świetlne. Zlewające się wizerunki gwiazd oznaczały, że łuki przesuwają się w przeciwnych kierunkach i być może dojdzie do ich przecięcia.

W innym miejscu widniały trzy wizerunki pojedynczych gwiazd. Światło każdej z nich docierało do niego trzema drogami – z lewej strony pary strun, z prawej i prosto przez nią.

Przyczyna alarmu była oczywista. Wizerunki gwiazd rozsuwały się na całej trasie, którą do niego docierały, jakby czasoprzestrzeń ulegała rozpuszczeniu. Oznaczało to, że struny musiały być blisko – może nawet przekroczyły bezpieczną granicę dwóch lat świetlnych.

Powtórnie sprawdził programy monitorujące odległość strun od statku. Rozwahał, czy nie przestrzec Louise i Prządki...

„Co, na Letę...!” – zaklął w myślach.

Analiza była błyskawiczna i dokładna. Nie minęła nanosekunda, a dotarły do niego złe informacje. Interakcje strun zniekształciły pomiary odległości.

Para łuków strun była bliżej, niż początkowo myślał. Kłopot w tym, że nie wiedział, o ile bliżej!

„Cholera, cholera! – przeklinał się w myślach. – Powiniennem to przewidzieć”.

Gorączkowo zarządził przeprogramowanie mające zapobiec w przyszłości takim defektom.

Ale teraz niewiele to dawało.

Uruchomił szybki program oceny odległości, chcąc dowiedzieć się, jak bliskie jest niebezpieczeństwo...

Nie mógł uwierzyć w otrzymany wynik. Zmodyfikował program i uruchomił go powtórnie.

Otrzymał identyczną odpowiedź.

„No cóż, to byłoby na tyle z marginesem bezpieczeństwa wynoszącym dwa lata świetlne” – pomyślał.

Parę łuków strun dzieliła od *Północnej* tylko niecała minuta świetlna!

Jeden z łuków zanikał – ale drugi zmierzał prosto ku statkowi.

Przeprowadził dodatkowe obliczenia. Żadnego błędu.

Za pięćdziesiąt sekund wijąca się struna miała uderzyć w *Północną*.

Jednym susem wydostał się z układów procesorów i wrócił do świata ludzi. Niecierpliwie czekał, aż piksele zbiegną się w powietrzu, tworząc wizerunek twarzy; poczuł, jak jego świadomość zwalnia niewyobrażalnie, dostosowując się do możliwości ludzi.

## Rozdział 29

Pięć milionów lat po pierwszym konflikcie między ludźmi i qaxami wirujący wrak statku splinowego wyłonił się z interfejsu tunelu czasoprzestrzennego, rozjaśnionego promieniowaniem grawitacyjnym. Tunel zamknął się, syjąc iskry.

Wrak – ciemny, niemal pozbawiony energii – powoli obracał się w zastygłej pustce, pozbawiony życia.

Prawie.

*Wciąż nie wiem, jak udało mi się przeżyć. Ale pamiętam, że skąpały mnie funkcje falowe. Były jak krople deszczu i wydawały się widzialne. Czulem ból. Ale to był ból powtórnych narodzin. Zostałem przywrócony czasowi.*

Poole niebawem zorientował się, w jakim stanie znajduje się jego statek. Wewnętrzne baterie kopuły życiowej miały energii zaledwie na kilka godzin. Ale on sam był pozbawiony motywacji do życia – i łączności z resztą statku.

*Pamiętam, że wszechświat wydal mi się wymarły. Nie potrafiłem zrozumieć, jakim cudem gwiazdy zestarzały się tak szybko; przecież nie mogłem spaść głębiej niż kilka milionów lat. Wiedziałem jednak, że jestem sam. Czulem to. Zrobiłem sobie posiłek. Wypiłem szklankę czystej wody... – Przejroczysta twarz była zamyślona. Wiesz, nawet teraz pamiętam jej smak. Wziąłem prysznic... Zastanawiałem się nad przeczytaniem książki. Ale światła zgasły. Po omacku wróciłem do łóżka. Położyłem się. Zaczęło mi być coraz zimniej. Jednak nie bałem się śmierci. Co dziwne, czulem się odświeżony.*

– Ale nie umarłeś? – spytała Prządka Powrozów. – Prawda, Michael?

*Nie. Nie, nie umarłem* – odpowiedział Poole.

I wtedy pojawił się tamten statek kosmiczny.

Umierający Poole wpatrywał się w niego z nabożnym lękiem.

Obiekt przypominał kształtem nasienie sykomory i był czarny niczym skrzydło kruka. Mroczne skrzydła długie na setki kilometrów łagodnie falowały nad wrakiem statku Poole'a.

– Nocny myśliwiec – szepnęła Prządka.

*Tak. Było mi coraz zimniej. Ale już nie chciałem umrzeć. Chciałem jeszcze troszeczkę pożyć – żeby zrozumieć sens tego, co się stało. I wtedy...*

– Tak?

I wtedy coś wyciągnęło Poole'a z wraku. Miał takie wrażenie, jakby olbrzym ujął w dłoń jego świadomość niczym płomień gasnącej świecy.

*A potem coś mnie obróciło...*

Utracił ciało. Nawet serce przestało mu bić.

Wyjęto go z kościstej skorupy czaszki.

*Mniemam, że stałem się sztucznym tworem składającym się z funkcji falowych, kobiercem bezprzyczynowych, nielokalnych zdarzeń... Nie starałem się zrozumieć tego, co się ze mną stało.*



*Mój towarzysz wisiał nadal nade mną. Jak jakiś rozległy sufit.*

– Co to było?

*Może to był xeelee. A może nie. Niepodobny do nich – chyba sztuczny twór ich roboty, a może nie... Prządka Powrozów, xeelee byli – są – panami przestrzeni i czasu. Wierzę, że cofnęli się w czasie i zmodyfikowali swoją ewolucję, aby zrealizować wielkie cele. Uważam, że mój towarzysz miał coś wspólnego z tym przedsięwzięciem; był antyxeelee, jak antycząsteczka, poruszał się wstecz w czasie. Poczulem... rozbawienie – rzekł z wolna Poole. – Rozbawił mnie własny lęk, ten nabożny podziw, chęć przeżycia.*

Usłyszała w jego głosie cień goryczy.

*Po jakimś czasie rozplynął się. Zostałem sam. I, Prządka, okazało się, że nie mogę umrzeć. Początkowo wzbudziło to mój gniew. Rozpacz. – Uniósł jaśniejącą dłoń i odwracał ją przed sobą, przyglądając się jej w zamyśleniu. – Nie mogłem pojąć, dlaczego mi to uczyniono, dlaczego zachowano mnie przy życiu w tak groteskowej sytuacji. Ale z czasem te uczucia minęły. A miałem go wiele, bardzo wiele...*

Zamilkł; przyglądała się jego twarzy. Była pozbawiona wyrazu, pusta. Poczula ukłucie lęku i zastanowiła się, co przeżywał samotnie wśród umierających gwiazd.

– Michael, czemu się do mnie odezwałeś? – spytała cicho.

Twarz mu się ożywiła, uśmiechnął się.

*Zobaczyłem człowieka. To był mężczyzna odziany w skóry, dygocący z zimna w maleńkim statku kosmicznym... Wypadł przez interfejs tunelu czasoprzestrzennego we wrogą przyszłość, nie kontrolując lotu. To było coś niesłychanego... Tak więc... wróciłem. Ogarnęła mnie ciekawość. Zajrzałem do tuneli i znalazłem ciebie, Prządka.*

Skinęła głową.

– To był Strugacz Strzał. Mój ojciec.

Michael Poole zamknął oczy.

– ...Prządka! – rozbrzmiał głos Louise Armonk. Mówiła ze zniecierpliwieniem i napięciem.

– Tak, Louise.

– Na Letę, nie wiem, co się tam dzieje w twojej głowie, ale lepiej szybko wytrzeźwiej. – Prządka Powrozów usłyszała, jak Louise rzuca przez ramię rozkazy. – ...Mamy kłopot.

– Jaki kłopot?

– Posłuchaj mnie, Prządka. Musisz...

Głos Louise nagle ucichł.

– Louise? Louise?

Odpowiedziała jej tylko cisza.

Prządka Powrozów odwróciła się na fotelu. Ogromna kopuła mieszkalna wisiała nad wyraziście rysującym się nocnym myśliwcem, ściana szkła i światła.

Ale nad jej górnymi warstwami pojawiła się delikatna sieć, ledwo widoczne nitki.

– Na Letę – syknęła Prządka Powrozów. – Struna!

Po raz pierwszy od kilku lat pokłady wypełniły się zawodzeniem syreny.

Jutrzejszy Dzień, wiszący w przesyconym zielenią powietrzu drugiego pokładu, wyprostował się i przerwał pracę. Czuł w krzyżach przyjemne znużenie, ręce miał ubrudzone mokrym torfem, czoło – zroszone potem.

Rozejrzał się, szukając powodu alarmu.

Milpitas spojrział na niego przeciągle. Miał podwinięte rękawy, pot spływał mu po głębokich bliznach twarzy. Planista ugniatał palcami sadzonki w sferycznym stawku.

– Jutrzejszy Dniu? Czy coś się stało? Po co ta syrena?

– Nie wiem, planisto.

Wycie syreny było ogłuszające, a jednocześnie znajome i nieznośne, nie pozwalało myśleć. Jutrzejszy Dzień ogarnął wzrokiem pokłady, spokojny trójwymiarowy ruch ludzi i robotów, zajętych swoimi sprawami; oddalona świątynia górowała nad zarośniętymi trawą powierzchniami. Wszystko wyglądało normalnie, spokojnie; czuł się rozluźniony i bezpieczny.

Pracował z Milpitasem w miejscu, które niegdyś nazywało się Parkiem Poole' a. Wciąż trudzili się przy swoim wodnym ogrodzie. Zbili kulę torfu, osadzili ją na cienkim kiju i przywiązali do pokładu. Kulę obwiązali cienkim materacem z porowatego plastiku, wypełnionym wodą. Całość miała półtora metra średnicy. Zasadzili trzciny i lilie; już wychynęły nad powierzchnię. Liczyli na to, że rośliny – być może w jakiś sposób splecione – utrzymają stawek, wykorzystując naturalne napięcie powierzchniowe wody, i kiedyś będzie można zrezygnować z plastikowej membrany.

Wtedy zarybi się staw i wpuści do niego kijanki.

To było drobne, niemal trywialne przedsięwzięcie autorstwa Milpitasa. Jutrzejszy Dzień z przyjemnością zaoferował planiście współpracę w programie przystosowawczym do życia w nieważkości. Wszystko, co nakłaniało planistę i jego zwolenników do myślenia i pracy w nowych warunkach, było warte zachodu.

– Jutrzejszy. – Głos Louise Armonk rozległ się w powietrzu. Był nagły, niecierpliwy. – Jutrzejszy! Słyszysz mnie?

Jutrzejszy Dzień spojrział na zarośniętą trawą pokład; wiedział, że Louise jest gdzieś niżej, w swoim statku parowym, i bada układ gwiazdy neutronowej.

– O co chodzi, Louise?

– Jutrzejszy Dniu, musisz stamtąd wyjść.

– Ale Louise...

– Rusz się, do cholery. Dokądkolwiek!

Milpitas nie odrywał od niego wzroku.

– Hm? Więc jest jakiś problem, prawda?

– Milpitas, chodź!

Jutrzejszy Dzień złapał go za podwinięty rękaw szaty. Ugiął nogi w kolanach, rozstawił stopy i wbił się w powietrze, ciągnąc ze sobą Milpitasa. Sferyczny staw zmałał w oczach.

Opór powietrza zatrzymał ich pięć metrów nad pokładem.

Jutrzejszy Dzień wypuścił planistę. Ramiona Milpitasa były mokre do łokci, a nogi sterczały jak patyki.

– Louise? W porządku, ruszyliśmy się. Teraz powiesz mi, co się dzieje?

– Mamy kłopoty. – Jutrzejszy Dzień usłyszał okrzyki paniki i płaski, równy głos Marka wydającego rozkazy. – Jesteśmy na drodze fragmentu struny... Jeśli nasze przewidywania są trafne, przetnie dokładnie park.

Jutrzejszy Dzień rozejrzał się po pokładzie. Nagle metalowe ściany chroniące rośliny i ludzi, wydały mu się cienkie jak papier.

– Ale jak to możliwe? Myślałem, że pętla jest lata świetlne od nas.

– My też tak myśleliśmy. Staramy się przewidzieć trajektorię struny i tak przeprogramować nakładkę napędu nieciągłości, żeby... Głos Louise ucichł.

Lieserl i Mark stali w wirtualnych skafandrach kosmicznych na powierzchni planety okrążającej gwiazdę neutronową. Patrzyli na siebie niepewnie.

– Coś nie gra – powiedziała Lieserl.

– Wiem. – Za zarysem osłony hełmu twarz Marka była bez życia, zimna; Lieserl wiedziała, że zajmował się w tej chwili czymś ważniejszym niż swoim wyglądem.

Powierzchnia pod stopami Lieserl była krucha i szara jak pumeks. Obok cierpliwie czekał robot, przysadzisty wózek wyposażony w manipulatory i sensory. Na jego kołach zdążył osiąść kurz planety.

Kilka metrów dalej stała kapsuła; za jej przejrzystymi ścianami tkwił Uvarov.

Niebo przedstawiało fantastyczny widok. Pierścień gazowy rozciągał się aż po widnokrąg, rozdzielając horyzont białym pasem. W obłokach dymu widniała sama gwiazda neutronowa, niewielka, złowróźnie krwista perła. Jej ogromna towarzysza tworzyła kulę żółto-szarej mgły karmiącej morderczego pasożyta.

Poświata równikowa gwiazd przybrała kształt cienkiej, wysokiej linii nad pierścieniem; jeszcze wyżej migotały światła kopuły mieszkalnej *Północnej* okrążającej planetę.

Budynek dostrzeżony z orbity miał kształt sześciometrowego czworościanu. Stał sobie jakby nigdy nic.

Lieserl ogarnęła bezradność. Czyżby mieli przebyć taki szmat drogi, dotrzeć na wyciągnięcie ręki do tej niesamowitej zagadki i utracić łączność?

Postukała w hełm.

– Czuję się tak, jakbym ogłuchła – stwierdziła.

– Ja też. – Mark uśmiechnął się nikło; woskowo blada twarz nieco się ożywiła. – No cóż, na pewno straciliśmy łączność głosową z *Północną*. – Podniósł wzrok z niepokojem. – Ciekawe, co się tam dzieje, na Letę.

– Może starają się nas wezwać.

Mark wzruszył ramionami.

– A może nie. – Spojrzał na nią. – Lieserl, czy czujesz się jakoś inaczej? Według mnie łączy z głównymi komputerami *Północnej* nadal działają – chociaż ja na razie pracuję w trybie odczytu.

Zamknęła oczy i zajrzała w głąb siebie.

– Tak, ze mną jest to samo. – Działanie w tym trybie oznaczało, że nie mogła przekazać swoich wrażeń – nowych wspomnień – komputerom *Północnej*, w których spoczywał teraz rdzeń jej świadomości. Popatrzyła na równomierne, żółte światło wielkiego statku kosmicznego.

– Myślisz, że powinniśmy wrócić?

Zawahał się i obejrzał na kapsułę.

Uvarov wiercił się tam jak owad w szklanym kokonie.

– Tylko mnie grozi prawdziwe niebezpieczeństwo – wyrzeźił. – Wy dwoje jesteście projekcjami. Wirtualnymi fantomami. Na wody Lety, nosicie te cholerne łachy wyłącznie dla lepszego samopoczucia. Nawet gdyby planeta zaraz wybuchła, stracilibyście co najwyżej kilka godzin wprowadzania danych! – Wyrzucił ostatnie słowa jak obelgę.

– O co ci chodzi, Uvarov? – spytał Mark.

– Kontynuujcie poszukiwania – warknął tamten. – Przestańcie marnować czas. Nic nie pomożecie

*Północnej*. Na miłość życia, potraktujcie to w szerszej perspektywie. Wszechświat barionowy się kończy. Co gorszego może się jeszcze wydarzyć?

Mark uśmiechnął się ponuro.

– W porządku, doktorze. Ruszamy, Lieserl. Powlekli się do budowli.

Syrena zamilkła. Nagła cisza była szokująca.

Jutrzejszy Dzień próbował odetkać sobie ucho, myśląc przy tym autoironicznie, że chyba i tak nie uzyska łączności z Louise.

Milpitas opuścił go. Planista opadł zaskakująco zręcznie, powracając do stawu.

Gdzieś wysoko rozległ się zgrzyt metalu.

Następnie rozbrzmiał pojedynczy krzyk – nieziemski odgłos, który odbił się echem od ścian i zmącił ciszę panującą na pokładach. Po nim rozległ się kolejny niesamowity dźwięk ale Jutrzejszy Dzień zdał sobie sprawę, że tym razem nie krzyczał człowiek, to był koszmarny gwizd powietrza uciekającego przez rozpruty kadłub.

Poszukał wzrokiem miejsca rozdarcia.

Tam! Na jednej ze ścian, wzdłuż linii, która rozdzieliła pole karłowatej pszenicy, gromadziła się mgła. Pracowała tam grupa wtórnych analfabetów; teraz ci ludzie miotali się w powietrzu, uciekali z wrzaskiem od kłębiących się oparów.

Jutrzejszy Dzień usłyszał sieknięcie Milpitasa i spojrzał w dół.

Planista zaciskał dłonie na brzuchu, wpatrzony we własne ciało. Na poblížnionej twarzy miał wyraz zaskoczenia i dezaprobaty. W tej ostatniej chwili planisty Jutrzejszemu Dniowi przypomniał się dawny Milpitas: twardy, władczy, naginający świat do swojej woli.

Milpitas zgiął się w pół jak scyzoryk. Przez ułamek sekundy wydawało się, że składa się z bólu, ale ku rosnącej zgrozie Jutrzejszego Dnia tamten nie przestawał się zginać, aż rozległ się trzask łamanych kości i basowy chrzęst druzgotanego kręgosłupa.

W pobliżu nie było niczego; można by pomyśleć, że planista sam zadaje sobie tę niewyobrażalną mękę lub też znalazł się w uścisku ogromnej, przezroczystej dłoni.

A potem ta sama ogromna łapa – potężna, niezwyciężona, niewidzialna – złapała Jutrzejszego Dnia i cisnęła go w dół.

Krzyknął przeraźliwie i osłonił głowę ramionami.

Wpadł do niewielkiego stawu, który z taką miłością budował wraz z Milpitasem. Trzciny i lilie smagnęły go po twarzy i ramionach, a zgnięta woda wcisnęła się do ust i oczu.

Przebił się na drugą stronę stawu. Pokład runął mu na spotkanie, niewyobrażalnie twardy.

Czworościan okrywała gruba warstwa kurzu. Mark wysłał robota i kazał mu na próbę oczyścić powierzchnię. Spod centymetrowego nalotu wynurzył się mlecznobiały, idealnie gładki materiał. Budowla sprawiała wrażenie wiotkiej i tymczasowej niczym płócienny namiot.

Mark zasugerował, aby zbliżyli się do niej w ludzkiej postaci.

– Chcemy dowiedzieć się, czy to ludzie ją zbudowali i dlaczego. Jak pocujemy panującą tu atmosferę, jeśli nie spojrzymy na nią ludzkimi oczami?

Lieserl początkowo nie była pewna, jak postąpić. Ograniczenie do ludzkiej postaci – konieczne podczas łączności z Uvarovem – tu wydawało się mało skuteczne. Ale wpatrując się w czworoboczną strukturę, zdała sobie sprawę ze słuszności pomysłu Marka.

– To czworościan – zauważyła. – Jak interfejs tunelu czasoprzestrzennego.

– No cóż, to charakterystyczny przejaw ludzkiej myśli architektonicznej – mruknął Mark. – Ale sam w sobie nic nie znaczy. Sądząc zaś po grubości kurzu, możemy założyć, że dawno go porzucono.

– Hm. Te drzwi są na pewno wytworem rąk ludzkich.

Za wejście służył zwyczajny właz u podstawy jednej ze ścian, wysoki na dwa metry dwadzieścia i szeroki na sześćdziesiąt centymetrów. Na wysokości bioder przeciętnego człowieka był ekran dotykowy.

Mark wzruszył ramionami.

– Spróbujmy je otworzyć.

Robot przetoczył się cicho do drzwi, podskakując nieco na nierównościach powierzchni, mimo grubych, miękkich opon. Wyciągnął manipulator uzbrojony w niezdarne szczypce i zastukał ostrożnie w drzwi, po czym nacisnął ekran.

Odsunęły się na bok, znikając w szparze. Z cichym szmerem uleciało powietrze. Pojawiło się kilka pyłków kurzu, a kiedy powietrze znikło, kurz opadł łagodną parabolą na powierzchnię.

Za drzwiami znajdował się prostokątny pokój, mogący pomieścić najwyżej pięciu ludzi. Ściany były puste, wykonane z tego samego mlecznego tworzywa, co powłoka. Kolejne drzwi, identyczne jak pierwsze, prowadziły w głąb.

– Przynajmniej wiemy, że nadal jest energia – powiedział Mark.

– To śluza powietrzna stwierdziła Lieserl, zaglądając do małego pomieszczenia. – Zwykła, funkcjonalna. Nic nadzwyczajnego. No, co robimy? Wchodzimy?

Mark wskazał robotowi drogę.

Ten natychmiast wtoczył się do śluzy. Zakołysał się na progu i zatrzymał w jej centrum.

Lieserl i Mark wahali się kilka sekund; robot czekał cierpliwie.

Mark uśmiechnął się szeroko.

– Pewnie, że wchodzimy!

Podał Lieserl ramię. Wmaszerowali razem do śluzy.

W środku zrobiło się trochę ciasno. Lieserl przyłapała się na tym, że unika dotknięcia dużych, zakurzonych kół robota, jakby nie chciała ubrudzić skafandra.

Robot dotknął przycisku otwierającego następne drzwi. Rozległ się syk. Wyrównywało się ciśnienie.

Robot odsłonił zestaw czujników badających skład chemiczny otoczenia, a Mark podniósł osłonę hełmu i manifestacyjnie wciągnął Powietrze nosem.

– Och, przestań się popisywać – rzekła Lieserl.

– Powietrze – oznajmił. – Mniej więcej takie same jak ziemskie. Kilka dziwnych elementów śladowych. Żadnych niezwykłych zapachów – całkiem sterylnie. W razie konieczności moglibyśmy oddychać tą mieszanką gazów.

Wewnętrzne drzwi rozsunęły się na boki, odsłaniając większe pomieszczenie. Robot wsunął do środka lampę. Magnezjowy błysk rozjaśnił ściany. Lieserl dostrzegła konwencjonalne meble: łóżko, fotele, długie biurko. Ściany opadały skośnie; pojedynczy pokój był tak wielki, że pewnie zajmował większą część czworościanu.

Robot wtoczył się do środka. Mark szybko przekroczył próg między śluzą a większym pomieszczeniem; Lieserl poszła w jego ślady.

– Mark Wu? Lieserl? – Chrapliwy głos Uvarova odezwał się przy jej uchu.

– Tak, doktorze – powiedziała Lieserl. – Słyszysz cię. Nie ma potrzeby krzyczeć.

– Ach, doprawdy? W przeciwieństwie do was nie zakładałem naiwnie, że te ściany nie utrudnią nam łączności.

Lieserl uśmiechnęła się do Marka.

– Czyżbyś się o nas martwił, Uvarov?

– Nie. Martwiłem się o robota.

Lieserl przeszła na środek pokoju i rozejrzała się dokoła.

Ściany zbiegały się pięć metrów nad jej głową. W dwóch kątach stały parawany. Co za nimi było? Sypialnie? Łazienki? Może kambuz?

Robot objechał szybko krawędzie pokoju, badając manipulatorami zakamarki i kąty. Zostawiał za sobą szare ślady.

Głównym meblem było długie biurko, zrobione jakby z drewna. W blat wpuszczono monitory. Były wyłączone, ale sprawiały wrażenie konwencjonalnych ekranów dotykowych. Lieserl wyciągnęła dłoń w rękawicy, żałując, że nie może poczuć faktury powierzchni.

Przed biurkiem był rząd czterech foteli. Wyraźnie stworzyli je ludzie i na potrzeby ludzi – miały proste oparcia, wyściełane siedziska, podłokietniki ze sterownikami.

– Mark, spójrz na to – powiedziała. – Te fotele byłyby dobre dla nas.

Mark znalazł dwa przedmioty na brzegu biurka; kazał robotowi sprawdzić znaleziska. Zachwyt pojawił się na twarzy Marka, kiedy pochylił się i przyjrzał dokładniej pierwszemu przedmiotowi trzymanemu w delikatnym uścisku robota.

– To chyba jakieś urządzenie piszące – stwierdził. – Może coś tak prostego jak wieczne pióro... – Robot uniósł drugi przedmiot. – Ale to oczywiście kubek! Spójrz, Lieserl. Wspierając ręce na kolanach, uniósł głowę i popatrzył na nią. – Budowniczo wie tego czworonościanu umarli z pewnością milion lat temu. Ale można by pomyśleć, że wyszli za ledwie przed chwilą.

– Jacy budowniczo wie? – zarzęził Uvarov. – Może byście łaskawie coś mi powiedzieli, do cholery. Co znaleźliście?

Mark i Lieserl popatrzyli na siebie.

– Ludzi – odrzekła Lieserl. – Znaleźliśmy ludzi, Uvarov.

Mark siedział z Louise w wykładanej dębową boazerią sypialni „Wielkiej Brytanii”. Wcześniej przywołał wirtualny schemat ideowy kopuły mieszkalnej *Północnej*. Teraz ten schemat w postaci wysokiego na sześćdziesiąt centymetrów cylindra unosił się nad łóżkiem Louise. Pokazywał migoczącą, szklaną kopułę. Zieleni dżungli jaśniała na szczycie, pod sztucznym nieboskłonem.

Louise poczuła, że serce w niej drgnęło; kopuła wyglądała niezwykle pięknie – i niezwykle bezbronne.

Rozejrzała się po znajomych gładkich ścianach sypialni. Kiedyś były to reprezentacyjne sale statku. Połączono je i przemeblowano. Jeśli gdzieś był środek jej świata, to właśnie tu; tutaj znalazły swoje miejsce jej nieliczne meble, jej ubrania, jej pierwszy antyczny ekran danych, w którym nadal przechowywała rysunki techniczne „Wielkiej Brytanii” zrobione podczas pierwszej wizyty na starym statku, kiedy była nastolatką, pięć milionów lat temu i pół Wszechświata stąd. Ach, gdyby tak można przykryć się tym pokojem jak jakimś wielkim ciepłym pledem i nigdy nie oglądać koszmarów tego świata...

Ale niedaleko był Mark. Siedział grzecznie w rogu łóżka i przyglądał się jej pilnie. Wreszcie

powiedział cicho:

– Nadchodzi, Louise.

Zmusiła się do spojrzenia na wirtual kopuły mieszkalnej.

Mark wskazał środek kopuły. Pojawiła się tam horyzontalna niebiesko-biała linia; migotała złowieszczo na gładkiej powierzchni jak głownia miecza.

– Struna wcięła się w nas z tej strony. Chyba powinniśmy być wdzięczni losowi, że mieliśmy taką małą prędkość relatywistyczną...

Struna z łatwością przecięła kopułę, jak gorący drut przecina kostkę masła.

Przyglądająca się temu w ciszy pokoju Louise czuła się tak, jakby krojono ją samą; wyobrażała sobie, że słyszy gwizd uciekającego powietrza, krzyki bezradnych ludzi, nad którymi sprawowała opiekę.

Mark patrzył na to bez emocji; jego procesory pracowały.

– Strumień nadążający zabrał dziewięciometrowy płat kadłuba. Niech to Leta pochłonie! Tracimy masę powietrza, Louise, ale układy samonaprawcze sprawują się nieźle... Nasza infrastruktura wysiada. Szybko... cholernie szybko. Myślę, że jeśli wyjdziemy z tego obronną ręką, należy znów przyjrzeć się naszym rezerwom.

– A pokłady? Co tam się dzieje?

Zawahał się.

– Nie umiem tego powiedzieć, Louise.

Czuła się bezużyteczna; bezradne pulpity kontrolne naigrywały się z niej. Poczucie winy za ten upiorny wypadek miażdżyło ją swoim ciężarem.

„To ja ponoszę odpowiedzialność za niesprawność programów oceny odległości – myślała – to ja ponoszę odpowiedzialność za niewystarczający stan rezerw i za to, że straciliśmy łączność z Prządką Powrozów właśnie wtedy, kiedy była nam najbardziej potrzebna. Gdybym tylko mogła porozmawiać z Prządką, może zabrałaby nas stąd. Gdybym tylko...”

– Geometria struny pokrywa się z przewidywaniami teoretycznymi – stwierdził Mark. Liczba pi w obszarze wokół struny wynosi, trzy, przecinek, tysiąc czterysta dwie dziesięciotysięczne w porównaniu z wartością w płaskiej przestrzeni, trzy, przecinek, milion czterysta piętnaście tysięcy dziewięćset dwadzieścia sześć dziesięciomilionowych... Przestrzeń stożkowa wykazuje deficyt kątowy cztery minuty. W tej chwili odcinek struny długości czterystu metrów znajduje się w kopule mieszkalnej, Louise. Jego ciężar wynosi miliard miliardów ton! – Mark miał głupią minę. – Na życie, Louise, pomyśl, to masa sporego księżycyca...

Pomyliła się w swoich przewidywaniach. Nagle od zniszczenia kopuły dzieliły ich może – sekundy. I nic nie mogła na to poradzić.

„Jedyne, co mogę zrobić w tych ostatnich, strasznych chwilach, to naciskać ten cholerny klakson...” – myślała.

Światło pajęczej sieci zaszepotało nad Prządką Powrozów. Widziała, jak z powodu struny gwiazdy ślizgały się po niebie nad kopułą. Przyczajona struna sprawiała wrażenie jakiejś ogromnej, nadprzyrodzonej burzy zbierającej się wokół *Północnej*.

*Nie bój się...*

Odwróciła się na fotelu.

– Na Letę, jak mam się nie bać?! – wrzasnęła na Poole’a. – Do cholery, uderzył w nas kawał

kosmicznej struny. To może nas wykończyć. – Położyła ręce na nakładkach. – Ale nie wiem, co mam zrobić. Louise? Louise, słyszysz mnie?

*Wiesz, że nie może.*

– Może już zostaliśmy trafieni i dlatego utraciliśmy łączność – mówiła gorączkowo. – A jeśli wcześniej udało się przesłać program do nakładek sterujących, co wtedy? A co...

*Daj spokój, Prządko. Wiesz, że to nieprawda.*

– Ale ja muszę przeprowadzić statek! – zapłakała. Hełm działał jak wzmacniacz, potęgując łomot pulsu. – Nie rozumiesz tego?

*Tak. Tak, rozumiem.*

– Jednak bez Louise nie wiem, jak to zrobić...

Ręka spoczęła na jej dłoni. Mimo że Prządka Powrozów miała na sobie grube rękawice, poczuła ciepłą, szorstką skórę Michaela Poole'a.

*Pomogę ci. Pokażę ci, co musisz zrobić.*

Niewidzialne palce zacisnęły się na jej dłoni, przeniosły ją na nakładki sterujące. Nocny myśliwiec rozłożył skrzydła.

Jutrzejszy Dzień, wciśnięty w pokład obok zmiażdżonego pianisty Milpitasa, wpatrywał się w strumień nadążający struny kosmicznej.

Konstrukcja środkowych pokładów była delikatna i po prostu zapadły się pod wpływem strumienia. Domy, które stały przez tysiące lat, oderwały się od pokładu, jakby uniesione tornadem; budynki rozleciały się, arkusze blachy fruwały w powietrzu. Nowsze budowle, wirujące teraz nad pokładem, zmięły się błyskawicznie tam, gdzie przeszedł strumień nadążający. Spora część pokładu drugiego kręciła się nad Jutrzejszym Dniem; kawałki metalu z klekotem uderzały o siebie. Jutrzejszy Dzień dostrzegł, jak zarysowują się na nich proste i łuki, oblicza bezdusznej geometrii, która przez stulecia dominowała na pokładach.

Ludzie, porozrzucani w powietrzu jak lalki, zderzali się ze sobą w strumieniu nadążającym. Struna przeszła przez świątynię. Złoty czworościan – najdumniejszy symbol ludzkiej cywilizacji – zapadł się jak pęknięty balon, a odłamki złotobrazowego szkła, długie i zabójcze, sypnęły gradem w powietrze.

Struna przecięła ciało kolejnego człowieka, bezradnej kobiety. Jutrzejszy Dzień słyszał banalne, typowe odgłosy śmierci: nagle urwany krzyk, chlupot, trzask, chrzęst kości przypominający odgłos, z którym ustępuje kęs soczystego jabłka.

Zmasakrowane nie do poznania, wirujące ciało poleciało w bok i spadło na pokład z lekkim plaśnięciem.

„Strumień nadążający struny kosmicznej – pomyślał Jutrzejszy Dzień. – Mechanizm tworzący wielkoskalowe obiekty Wszechświata. Ziarno galaktyk. A my wpuściliśmy go do statku i robi, co chce”.

Kiedy struna przetnie kopułę na wskroś, *Północna* zginie bez ratunku jak zdekapitowane ciało...

Przeniknięty bólem Jutrzejszy Dzień chciał zamknąć oczy, pogrążyć się w otchłani nieświadomości. Czy taki miał być koniec po tysiącu lat?

Ale charakter odgłosów, które docierały do niego z góry, zmienił się. Świsty powietrza i krzyki ustały. Podniósł wzrok. Struna, nadal rozcinająca swobodnie kadłub, zwolniła i zatrzymała się.



– Mark – odezwała się Louise. – Co się dzieje?

Struna wciąła się pełne czterysta metrów w kopułę mieszkalną, przez chwilę wisiała jak skalpel zanurzony w ciele, emitujący niebieskie światło.

Następnie wirtualny obraz ożył. Struna wykonała ostry skręt, wysunęła się z kopuły i zastygła czterysta metrów powyżej miejsca wtargnięcia.

Louise pożałowała, że nie ma boga, któremu mogłaby złożyć podziękowanie.

– Zrobiła więcej szkody, wylatując, ale kopuła mieszkalna się trzyma – powiedział Mark. – Roboty i układy autonomiczne latają rozdarcia kadłuba. – Spojrzał na Louise. – Chyba wyszliśmy z tego.

Unosząca się nad łóżkiem Louise przycisnęła kolana do piersi.

– Ale nie rozumiem jak, Mark.

– Uratowała nas Prządka Powrozów – wytłumaczył zwyczajnie. – Włączyła napęd nieciągłości i odholowała nas z połową prędkości światła. I to dokładnie w odpowiednim kierunku. Widzisz? – wskazał ręką. – Odprowadziła statek od struny.

Zajrzała w dobrze jej znane, zmęczone oczy i pożałowała, że nie może go przytulić.

– To była Prządka Powrozów. Masz rację. To na pewno ona. Ale połączenie z nią straciliśmy zaraz na początku. I na pewno nie zdążyliśmy przygotować programów do nakładek sterujących.

– Więcej, nadal nie mamy z nią łączności – odrzekł Mark.

– No więc, skąd wiedziała, jak to zrobić? – Louise przyjrzała się dokładnie wirtualowi porysowanej kopuły. – Wybrała niemal idealną trajektorię i zabrała nas. Skąd wiedziała, że to właściwy kurs?!

Prządka Powrozów zasłoniła oczy. Nie mogła opanować drżenia, które przenikało całe jej ciało.

*Jest po wszystkim, Prządko. Dobrze się spisalaś. Czas się rozejrzeć.*

– Nie – odpowiedziała. – Struna trafiła w statek. Trupy, rany...

*Nie rozwódź się nad tym. Zrobiłaś wszystko, co się dało.*

– Naprawdę? A ty zrobiłaś wszystko?

*O co ci chodzi?*

– Nie mogłeś nam bardziej pomóc? Nie mogłeś nas ostrzec, co się święci?

Roześmiał się cicho i smutno.

*Wybacz, Prządko. Nie jestem nadcztowikiem. Nie potrafią przewidzieć niebezpieczeństwa sprawniej niż twój lud. W dużej mierze jestem ograniczony prawami fizyki, tak jak ty...*

Opuściła dłonie i uderzyła nimi w bok fotela. Nadal pozbawiona była łączności z Louise i resztą załogi. Była odizolowana – uwięziona w kabine pilota pozagalaktycznego statku, mając za jedynego towarzysza ducha istniejącego pięć milionów lat.

Poczuła, że rośnie w niej śmiech i zapanowała nad nim.

*Prządko Powrozów?*

– Boję się. Boję się nawet ciebie.

*Nie mam o to pretensji. Jak sam się siebie boję.*

– Nie wiem, co robić. A jeśli Louise nie nawiąże ze mną łączności?

*Słuchaj, Prządko, twój lud nie może tu zostać – powiedział po chwili milczenia. – Nie w tych ramach czasowych.*

– Czemu?

*Bo tu dla was nic nie ma. Pierścień, którego szukacie, jest zniszczony. Zrujnowane fragmenty strun do niczego się wam nie przydadzą.*

– W takim razie co mam zrobić?

*Musisz ruszyć dalej, Prządko. Musisz zabrać swój lud tam, gdzie znajdziesz osłonę i ratunek. – Ciepła, mocna dłoń kolejny raz obdarzyła ją niewidzialnym uściskiem. – Pokaż ci kierunek. Zaufasz mi?*

– Dokąd się wybieramy? *Do pierścienia.*

– Ale... ale pierścień jest tu. I został zniszczony. Sam to przyznałeś.

*Tak* – odparł cierpliwie. – *Lecz kiedyś było inaczej...*

## Rozdział 30

Robot pracowicie jeździł po podłodze, miażdżąc grubymi kołami kurz, który przyniósł z zewnątrz. Na ruchomym ramieniu miał pęk czujników. Było tam też źródło białego, oślepiającego światła. Lieserl wydawało się, że gesty robota przypominają zachowanie zasadniczej starej panny, zmuszonej do robienia czegoś, czego nie pochwała.

Robot podjechał do jednego z foteli i obwąchał go ostrożnie.

– Tu jest materia egzotyczna – powiedział nagle Mark.

– Co?

– Robot znalazł materię egzotyczną – powtórzył bezbarwnym tonem Mark. – Gdzieś w tym domu.

– Ale nie napotkaliśmy śladu tunelu czasoprzestrzennego – warknął z kapsuły Uvarov. – Ta budowla zaś jest zbyt mała, aby zmieścić interfejs.

– Zgłaszam tylko to, co robot mi przekazuje – rzekł ostro Mark, nie kryjąc irytacji. – Może powinniśmy zebrać trochę więcej faktów, zanim zaczniemy tracić czas na spekulacje.

Robot nadal kręcił się koło jednego z foteli – drugiego od lewej, jak zauważyła obojętnie Lieserl. Wyciągnął następne manipulatory, wprowadził do akcji kolejne czujniki; zawisły groźnie nad fotelem niczym mechaniczny pająk.

Mark podszedł do niego z twarzą bez wyrazu.

– Jest gdzieś w fotelu. Egzotyczna...

– W fotelu?! – Lieserl ogarnął niemal histeryczny śmiech. – Co się stało? Czyżby komuś wypadł kawałek materii egzotycznej między poduszki fotela, kiedy oglądał wirtualny show?

Przeszył ją wzrokiem.

– Daj spokój, Lieserl. W tym fotelu jest element zbudowany z materii egzotycznej. Ma niewielkie wymiary – zaledwie ułamek centymetra – ale jest tam. – Zwrócił się do robota: – Może udałoby się wirtualnie to powiększyć...

Piksele zawirowały tuż przed Lieserl, pozornie ocierając się o jej twarz; cofnęła się.

Zbiegły się w prosty szkic. Wyglądał jak szlachetny kamień – przejrzysty, pełny, bez skazy. Widać było ślady wewnętrznej budowy, nie dość powiększone przez układy wyobrazeniowe robota.

Poznała ten kształt.

– Na Letę! Znów czworościan – powiedziała.

– Tak. Czworościan... Wygląda na to, że ta figura jest znakiem szczególnym ludzkości, czyż nie? Ale ten ma zaledwie pół milimetra średnicy.

Piksele we wszystkich kolorach zalały środek miniczworościanu, jakby usiłowały utworzyć logiczny kształt. Lieserl dostrzegła niewyraźne zarysy struktury wewnętrznej. W pewnym momencie miała wrażenie, że rozpoznaje kolejny, jeszcze mniejszy czworościan w środku pierwszego. Zastanowiła się, czy to wszystko nie jest zbudowane jak matrioszka mieszcząca w brzuchu swoją mniejszą kopię, a ta znów mniejszą i tak dalej...

Powiększony obraz był całkiem ładny. Przypominał jej zabawkę z okresu, który minął jak

błyskawica: wioseczkę w wodnej kuli, zastygłe ludziki, plastikowy śnieg... Wspominając to, poczuła ukłucie krótkiego, niepojętego żalu za utraconym dzieciństwem, chociaż było tak niesatysfakcjonujące i tak odległe.

– No cóż, moje ziarno materii egzotycznej gdzieś tu jest – powiedział nieco zmieszany Mark. – Ale robot nie może uzyskać większej rozdzielczości. Lieserl, w tym czworościennym pudełeczku jest coś bardzo dziwnego.

Zachowała twarz bez wyrazu; czasami bycie wirtualnym miało swoje plusy – pozwalało zapanować nad sytuacją.

„Dziwnego? – pomyślała. – Zgodna. Ale cóż może być dziwniejsze niż przebywanie na tej planecie gwiazdy neutronowej, ciśniętej z prędkością światła przez pole bitwy na końcu czasu? Co jeszcze dziwniejszego może się objawić?”

– Wewnątrz jest kropla neutronowego superpłynu – kontynuował Mark. Wbijał spojrzenie w środek czworościanu, jakby siłą woli chciał zmusić go do zdradzenia tajemnic. – O ogromnej gęstości, niebywalej temperaturze i ciśnieniu... Lieserl, ten czworościan zawiera materię o takich właściwościach, jakie spodziewaliśmy się napotkać w gwiazdzie neutronowej – w warstwie pod twardą skorupą, zwanej płaszczem. Robot właśnie stara się tam zajrzeć.

Lieserl wpatrywała się w mgłę wirującą wewnątrz czworościanu. Wiedziała, że gwiazda neutronowa ma masę zwykłej gwiazdy, ale uległa kompresji w kulę o średnicy zaledwie kilku kilometrów. Była tak gęsta, że tworzące ją elektrony i protony zlewały się w neutrony; ten superpłyn neutronowy był sto kwadrylionów razy gęstszy od wody.

– Jeśli tak, to co przeciwdziała ciśnieniu tego obiektu? Jest jak mina czekająca na odpalenie.

Pokręcił przecząco głową.

– No cóż, wygląda na to, że ludzie, którzy go stworzyli, znaleźli jakiś sposób. Będzie stabilny przez długi okres. Niewykluczone, że przez miliony lat. Wiesz, żałuję, że nie możemy spędzić tu więcej czasu. Nie wiemy nawet, jak stara jest ta baza, o ile lat poprzedza naszą epokę.

– Ale do czego ma służyć ten obiekt? – Wpatrywała się w czworościan. – Po co napełniać takie pudełeczko rekonstrukcją materiału gwiazdy neutronowej? Mark, uważasz, że to jakiś rodzaj laboratorium do badania właściwości gwiazdy neutronowej?

Usłyszała parodię śmiechu w wykonaniu Uvarova.

– Laboratorium? – zarzęził. – Moja droga kobieto, to teren działań wojennych. Wątpię, żeby badania podstawowe znalazły się w terminarzu działań ludzi, którzy zbudowali tę bazę. Poza tym ta gwiazda neutronowa daleko odbiega od przeciętności. Ludzie, którzy tu przybyli, umieścili silniki napędu nieciągłości na biegunie i wysłali ją w kosmos, nadając prędkość podświetlną. Powiedz mi, Jakim celem badawczym mogło to służyć?!

Mark zignorował go. Przykucnął przed wizerunkiem obiektu i wpatrywał się w niego; piksele krążące wewnątrz czworościanu rzucały cienie na jego twarz i skafander.

– Nie wydaje mi się, żeby to była „rekonstrukcja”, Lieserl.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Zastanów się. Wskazał na wizerunek. – Wiemy, że tu znajduje się materia egzotyczna... a według stanu naszej wiedzy głównym zastosowaniem materii egzotycznej jest tworzenie tuneli czasoprzestrzennych. Przypuszczam, że mamy przed sobą interfejs.

Zmarszczyła brwi.

– Przekrój interfejsów wynosi setki metrów lub całe kilometry.

Wyprostował się.

– To prawda, jeśli chodzi o nasze interfejsy. Kto wie, jakie możliwości tkwią w przyszłości? Lub raczej...

– Wiemy, o co ci chodzi warknął Uvarov z kapsuły.

– Założmy, że wewnątrz tego małego obiektu faktycznie jest interfejs tunelu czasoprzestrzennego – powiedział Mark. – Tunelu tak mikroskopijnego jak nitka... lecz ciągnącego się przez kosmos do środka gwiazdy neutronowej. Lieserl, wydaje mi się, że ten oto superpłyn neutronowy to nie rekonstrukcja – wydaje mi się, że to próbka pobrana z wnętrza gwiazdy.

Lieserl odruchowo rozejrzała się po pomieszczeniu, jakby mogła ujrzeć miniaturowy tunel biegnący w przestrzeni, lśniąca szynę łączącą to mdłe ludzkie środowisko z niewyobrażalnie wrogim sercem gwiazdy neutronowej.

– Ale dlaczego?!

– Czy to nie oczywiste? – mruknął Uvarov.

Mark uśmiechał się do niej. On też najwyraźniej znalazł rozwiązanie zagadki.

Poczuła się jak głupie, pozbawione wyobraźni, zapóźnione w rozwoju dziecko.

– Powiedzże mi po prostu – mruknęła zawstydzona.

– Lieserl, ten link służył budowniczym bazy do penetracji gwiazdy neutronowej. Sądzę, że ładowali do niego wyposażenie: nanomaszyny, jakieś roboty, może nawet analogi ludzkich organizmów. Oni zasiedlili gwiazdę neutronową, Lieserl.

Uvarov mruknięciem potwierdził, że zgadza się z tą hipotezą.

– Więcej – zarzęził. – Oni przekonstruowali to draństwo.

*Zamknięte czasopodobne krzywe, Prządko Powrozów.*

Nocny myśliwiec sunął łukiem przez niewyraźne niebo zniekształcone efektami relatywistycznymi; układ gwiazd neutronowych wirował wokół Prządki jak jaskrawy świetlny panel. Za jej plecami ogromne skrzydła nocnego myśliwca xeelee łopotały z takim wigorem, że Prządce Powrozów wydawało się, iż słyszy szelest niewyobrażalnie wielkich piór.

Poczuła, jak jej szczupłe palce drżą w rękawicy, która nagle okazała się jakby za wielka. Jednakże dłoń Michaela Poole'a spoczywała na jej dłoni, duża i ciepła.

Statek runął przed siebie.

*Zbudujemy zamknięte czasopodobne krzywe...*

Nie przejmując się protestami zmęczonych pleców, Louise wyprostowała się i odepchnęła od pokładu. Pofrunęła w górę i opór powietrza zatrzymał ją niecały metr wyżej.

Kiedyś był tu park. Teraz zamienił się w dolny poziom improwizowanego, trójwymiarowego szpitala i długa trawa znikła pod warstwą ciał, opatrunków i środków medycznych. Rozpięto prostokątną sieć, sięgającą ponad dziesięć metrów w górę. Umieszczano w niej pacjentów. Wyglądali niczym krople krwi i kurzu wiszące w przejrzystym plastrze.

Nieopodal przymocowano do ramy dawnej cieplarni kilka ciał – nieruchomych i owiniętych kocami.

Lieserl nieśmiało zbliżyła się do Louise. Zrobiła gest, jakby chciała wziąć ją za rękę.

– Powinnaś odpocząć – powiedziała.

Louise gniewnie pokręciła głową.

– Nie czas na to. – Wzięła głęboki oddech, czując szpitalny smród krwi i uryny, Zakaszłała i otarła czoło ramieniem, rozmazując Pot i krew.

– Niech to cholera porwie. Niech porwie to wszystko!

– Daj spokój, Louise. Robisz, co możesz.

– Nie. To nie dość. Już nie. Powinam być przygotowana na taką ewentualność, na katastrofę w kopule. Lieserl, nie dajemy sobie rady. Zamieniliśmy wszystkie sale terapii desenektyzacyjnej na izby przyjęć i wciąż nie dajemy sobie rady! Spójrz, to ma być szpital? Toż to wzięte żywcem z mroków średniowiecza!

– Louise, nic więcej nie zdołałaś. Po prostu nie mamy szans sprostania takiej sytuacji.

– Ale powinniśmy ją mieć! Lieserl, lekarze i roboty operują tylko najciężej rannych. Selekcja na moim statku!

A to, że wysłała większość medycznych nanorobotów do prac przy kadłubie jeszcze pogorszyło sytuację! Zamiast pracować tu, przy ludziach, opatrywać zniszczone tkanki, kleić porwane naczynia krwionośne, dusić w zarodku ośrodki infekcji bakteryjnej w rozerwanych jamach brzusznych, zostały wysłane na chybca – i jej rozkazem! – na zewnątrz kadłuba, gdzie zajmowały się zupełnie nowym dla siebie zadaniem: spawały na chybił trafił poszatowane poszycie.

Zacisnęła dłonie, wbijając paznokcie w ciało.

– A co, jeśli xeelee nas oglądają? Co sobie o nas pomyślą? Ciągnęłam tych ludzi przez sto pięćdziesiąt milionów lat świetlnych – i pięć milionów lat – po to tylko, żeby umierali jak zwierzęta...

Lieserl stanęła tuż przed Louise, podparła się pod boki małymi, twardymi pięściami, zacisnęła gniewnie usta i przeszła ją wzrokiem.

– To sentymentalna paplanina – rzekła ostro. – Dziwię ci się, Louise Ye Armonk. Posłuchaj, sprawa twojego samopoczucia nie jest najważniejsza. Masz znaleźć sposób na przeżycie – na przeżycie całego gatunku.

Surowa, pokryta zmarszczkami twarz Lieserl, o wydatnym nosie i głęboko osadzonych oczach, nagle wydała się Louise twarzą władczej matki.

– A co ty wiesz o moim samopoczuciu? – odpowiedziała równie ostro. – Jestem człowiekiem, do cholery. Nie....

– Sztuczną inteligencją? Lieserl nadal patrzyła jej prosto w oczy.

– Och, na Letę, Lieserl. Wybacz.

– W porządku, Louise. Masz całkowitą rację. Jestem sztucznym tworem. Mam wiele atrybutów maszyny. – Uśmiechnęła się. – Na przykład w tej chwili funkcjonują jednocześnie dwa niezależne ośrodki mojej świadomości: jeden tu, drugi na planecie. Ale... – westchnęła. – Kiedyś byłam człowiekiem. Chociaż bardzo krótko. Więc rozumiem, co czujesz.

– Wiem, Lieserl. Wybacz mi. – Wyrażanie uczuć zawsze przychodziło Louise z trudnością. – Prawdę mówiąc, niewielu ludzi, których znam, może się z tobą równać.

Lieserl rozejrzała się po improwizowanym szpitalu.

– Louise, spójrz na problem z dystansu – powiedziała z wolna. – Pomyśl o historii gatunku. Nasza chwila przyszła wtedy, kiedy wyłoniliśmy się z oceanu i przez miliony lat krążyliśmy na Ziemi wokół Słońca. Następnie podczas krótkiego, widowiskowego wybuchu aktywności rozprzestrzeniliśmy się po całym Wszechświecie. Ludzkość była wszędzie. Teraz nasze możliwości uległy redukcji. Louise, cały potencjał gatunku ludzkiego, ta nasza chwila trwająca od istnienia prawiecznych

oceanów przez miliony lat do nieznanej przyszłości, skurczyła się do jednego zdarzenia w czasoprzestrzeni: tu, na tym statku. Do teraz. I to ty je kontrolujesz.

Twarz Lieserl wypełniała niemal całe pole widzenia Louise; ta popatrzyła w łagodne, bezbronne oczy starszej kobiety i po raz pierwszy zajrzała w głąb jej duszy. „Ona jest naprawdę bardzo, bardzo stara i mądra” – pomyślała.

– Louise, ty nie jesteś kobietą... czy raczej nie tylko kobietą. Jesteś mechanizmem przeżycia, najlepszym, jaki nasz gatunek mógł znaleźć w tej krytycznej chwili pośród całego zasobu swoich genów, kultur i umysłów. Gdyby brakowało ci wewnętrznej siły, zdolnej przeprowadzić nas przez wrota ku przyszłości, nie zostałabyś wybrana. Ale masz siłę, by iść dalej. Znajdziesz szlak przeprawy. Wejrzyj w siebie, Louise. Zaczepnij siłę...

Wokół rozległo się prawie niesłyszalne, basowe stęknienie przypominające huk dalekiego gromu. To był odgłos metalu w mękach ogromnego przeciążenia.

Louise odwróciła się od Lieserl i okręciła w powietrzu. Spojrzała na sekcję kadłuba rozciętą łukiem struny. W środku zielonego trawnika była teraz świeża, wypolerowana łąka. Pęknięcie kadłuba zabiłoby wszystkich mieszkańców kopuły. Ale wyglądało na to, że łąka trzyma się nieźle... przynajmniej na oko.

Jakby na zawołanie pojawił się wirtual głowy Marka.

– Louise, przepraszam.

– W czym rzecz?

– Chodź ze mną. Musimy porozmawiać.

– Nie – odparła. Nagle ogarnęło ją nieznośne znużenie. – Koniec z rozmowami, Mark. Dość złego narobiłam.

– Louise... – zaczęła ostrzegawczym tonem Lieserl.

– Słuchałam tego, co mi mówiłaś, Lieserl. – Louise uśmiechnęła się. – Ale to był nadmiar mistyki dla takiego zmęczonego starego inżyniera jak ja. Zostaję tu. Pomogę w szpitalu.

Lieserl spojrzała na nią z naganą.

– Louise, jesteś inżynierem, nie lekarką. Szczerze mówiąc, nie chciałabym, żebyś mnie opatrywała.

Mark uśmiechnął się i dodał:

– Poza tym nie mamy czasu na uzalanie się nad sobą. Są ważniejsze sprawy.

– Jakie? – westchnęła Louise.

– Nie słyszałaś zgrzytu kadłuba? – syknął zaskakująco nierealistycznie. – Prządka znów odholowała statek.

*Wyobraź sobie czasoprzestrzeń jako matrycę – szepnął Michael Poole. – Czterowymiarową siatkę oznaczoną skalami odległości i czasu. Na przecięciach siatki są zdarzenia: punkty w czasie i przestrzeni. One wyznaczają nasze życie. I te zdarzenia są potoczone trajektoriami.*

Poświata równikowa gwiazd poszerzyła się. To znaczyło, że prędkość myśliwca spadła, jako że relatywistyczne zniekształcenie zmalało. Prządka Powrozów rozkazała wyświetlić dane na osłonie hełmu. Tak, prędkość statku zmalała i wynosiła ułamek powyżej połowy szybkości światła.

*Trajektorie to ścieżki w czasoprzestrzeni. Są trajektorie czasopodobne i przestrzennopodobne. Statek poruszający się z prędkością podświetlną leci po ścieżce czasopodobnej. I, Prządko, my – wszyscy ludzie od zarania dziejów – posuwamy się ze ślimaczą prędkością po czasopodobnych*

*trajektoriach w przyszłość. Linie naszego świata skończą się w czasopodobnej nieskończoności – w miejscu oznaczającym nieprawdopodobnie odległy, prawdziwy kres czasu. Ale „przestrzennopodobny” oznacza poruszanie się z prędkością nadświatlną. Każdy tachion – cząsteczka mknąca z szybkością nadświatlną – podąża po ścieżce przestrzennopodobnej jak nocny myśliwiec poruszany napędem superprzestrzennym.*

Wykręciła się na fotelu. Układ gwiazdy neutronowej już znikł w przesunięciu do czerwonej części widma. A dokładnie przed sobą miała chmurę kosmicznej struny, spękaną przestrzeń, pociętą liniami, z których kapały oleiste krople, wizerunki gwiazd przesunięte ku niebieskiej części widma.

Niewidzialna dłoń Poole’a zacisnęła się wokół jej dłoni, gdy statek zanurkował w chmurę struny. *Znamy przynajmniej trzy sposoby poruszania się po ścieżkach przestrzennopodobnych, Prządko, trzy sposoby podróżowania z prędkością nadświatlną. Oczywiście możemy wykorzystać napęd xeelee albo czasoprzestrzenne tunele. Ale możemy też wykorzystać stożkową czasoprzestrzeń wokół odcinków kosmicznej struny... – powiedział wolno. – Wyobraź sobie soczewkowate grawitacyjne tworzące podwójne wizerunki gwiazd wokół strun. Foton przybywający z jednej strony struny może potrzebować dziesięciu tysięcy lat więcej na dotarcie do naszych teleskopów niż foton podążający ścieżką z drugiej strony struny. Tak więc poruszając się przez obszar deficytu stożkowego struny, jak najbardziej możemy prześcignąć promień światła...*

Wokół statku pojawiła się gęsto spleciona struna ginąca w nieskończoności. Para spleciona niemal jak warkocz przemknęła nad głową Prządki. Dziewczyna spojrzała w górę. Za warkoczem włókł się oszałamiająco barwny ogon, wizerunki widm gwiazdowych.

Skrzydła nocnego myśliwca rozciągały się triumfalnie, daleko.

„Ten cholerny myśliwiec w sam raz nadaje się do tego” – pomyślała.

Słuchając wskazówek Poole’a, Prządka zatrzymała statek; skrzydła zwinęły się, rozcinając przestrzeń. Następnie szybko – nieprawdopodobnie szybko – odwróciła maszynę i runęła ku warkoczowi z kawałków strun. Myśliwiec wzbił się w górę i tym razem warkocz znalazł się pod kadłubem statku.

*...A jeżeli umiesz poruszać się przestrzennopodobnymi ścieżkami, Prządko Powrozów, to możesz tworzyć zamknięte czasopodobne krzywe.*

Układ gwiazdy neutronowej był stary.

Kiedyś tworzył widowiskową parę ozdabiającą jakąś galaktykę zagubioną na niebie. Następnie jedna z gwiazd stała się supernową, wybuchła, krótko i wspaniale zaćmiewając swym światłem ojczystą galaktykę. Wybuch zniszczył wszystkie planety oraz uszkodził gwiazdę-towarzyszkę. Pozostałości gwiazdy neutronowej stopniowo się oziębiały, przechodząc krótkotrwałe zmiany wynikające z jej budowy wewnętrznej. Obracała się jak jakiś gigant we śnie, podczas gdy druga gwiazda oddawała jej życiodajny wodór. Równie powoli utworzył się pierścień utraconego gazu i nowy, dziwny spektralny układ planet.

Następnie przybyli tam ludzie.

Osiedlili się na największej planecie gazowego pierścienia. Wrzucili mikroskopijne interfejsy tuneli czasoprzestrzennych do ziębnącego trupa gwiazdy neutronowej, a w tunelach umieścili urządzenia i – być może – analogi ludzi, na tyle odporne na działanie wrogiego środowiska, że zdolne przeżyć w niesłychanie trudnych warunkach.

Urządzenia i analogi ludzi były maleńkie niczym miniaturowe zabawki wykonane z drogich



kamieni.

Miniaturowi eksploratorzy posuwali się ku biegunowi magnetycznemu gwiazdy neutronowej i zbudowali tam wielkie maszyny, silniki nieciągłości, być może zasilane ogromnymi zapasami energii samej gwiazdy.

Początkowo wolno, a następnie z rosnącym przyspieszeniem, neutronowa gwiazda – ciągnąc za sobą towarzyszkę, pierścień i planety – została wytracona z ojczystej galaktyki i wyrzucona w przestrzeń, kula masy gwiazdowej odpalona niemal z prędkością światła.

– Kula. Tak. – Uvarov smakował to określenie. – Dobrze powiedziane.

Lieserl wpatrywała się w piksele wirujące wewnątrz obrazu idealnej czworościennej bryły.

– Ciekawa jestem, czy ludzie nadal tam są – zastanowiła się.

Mark nie zrozumiał pytania.

– Ludzie?

– Analogi ludzi. W środku gwiazdy neutronowej. Ciekawe, czy przeżyły.

Wzruszył ramionami, wyraźnie nie zainteresowany tą kwestią.

– Wątpię. Jeśli nie były potrzebne do konserwacji urządzeń, niewątpliwie zostały wyłączone, kiedy przestały spełniać swoją funkcję. „Wyłączone”.... Ale to przecież byli ludzie! A jeśli ich „nie wyłączono”? Lieserl zamknęła oczy i próbowała sobie to wyobrazić. Jak się żyje pod postacią takiego małego, podobnego do ryby stworzenia, mniejszego niż ludzki włos, zamieszkującego przesycony promieniowaniem magnetycznym płaszcz gwiazdy neutronowej? Jaki wtedy jest świat?

– Kula – znów odezwał się Uvarov. – I to kula wystrzelona przez naszych przodków prosto w serce tej budowli xeelee.

Otworzyła oczy.

– O czym ty mówisz, Uvarov? – spytał Mark, nic nie rozumiejąc.

– Jeszcze tego nie pojęliście? A jak myślisz, Mark, co przyświecało temu wielkiemu przedsięwzięciu? Już wiemy – z danych Superet i cząstkowych informacji Lieserl – że rywalizacja między ludzkością i xeelee ciągnęła się miliony lat. Nie tylko się ciągnęła – z czasem się pogłębiła, stała obsesją, która w końcu pożarła ludzkość.

– I twierdzisz, że to wszystko: napęd nieciągłości, wyrzucenie w przestrzeń gwiazdy neutronowej, wszystko było wymierzone przeciwko xeelee? – spytała retorycznie Lieserl.

– Ależ to szaleństwo – mruknął Mark.

– Oczywiście, że szaleństwo – powiedział lekko Uvarov. – Moi drodzy przyjaciele, mamy wiele dowodów świadczących o tym, że ludzkość nie jest szczególnie inteligentnym gatunkiem, a w każdym razie nie wytrzymuje porównania ze swoim wielkim rywalem; xeelee. Nigdy też nie uważałem, żeby ludzkość, ujmując zagadnienie całościowo, była zdrowa psychicznie.

– W twoim przypadku taka wiara nie dziwi, doktorze – mruknął nieprzyjaźnie Mark.

– Nie rozumiem – mruknęła Lieserl. – Ludzie musieli wiedzieć o fotinowych ptakach. Do cholery, sama im o tym powiedziałam! Musieli rozumieć, jakie są niebezpieczne dla wszystkich barionowych gatunków. I musieli też rozumieć, że xeelee – chociaż dalecy i niepojęci – przynajmniej są barionowi. Więc jeśli działania xeelee były skierowane przeciwko ptakom, musiały zbiegać się z długofalowym interesem ludzkości.

Uvarov roześmiał się.

– Obawiam się, moja droga, że nadal szukasz racjonalnego wytłumaczenia nieracjonalnego zachowania. Lieserl, jestem przekonany, że xeelee z czasem zajęli w ludzkich duszach miejsce

bogów i demonów. Ale oto wreszcie bóg stał się śmiertelny, żyjący w tym samym doczesnym świecie co ludzie. Bóg, którego można było zaatakować. I zaiste, poprowadziliśmy atak! Trwał długie wieki, kiedy my byliśmy ślepi na to, że gwiazdy wokół nas giną.

– I wystrzeliliśmy gwiazdę neutronową w pierścień – stwierdził z goryczą Mark.

– To był spektakularny gest – zauważył Uvarov. – Być może największe inżynierskie osiągnięcie ludzkości... Ale poronione. Jak marna neutronowa gwiazda może zniszczyć pętlę kosmicznej struny? A poza tym, gwiazdołamacz xeelee z łatwością mógł zdruzgotać gwiazdę, zanim...

– Ale gwiazdołamacz nie dał jej rady – rzekła z wolna Lieserl. Mark obserwował robota; przysadzista maszyna zatrzymała się przed fotelem, unosząc manipulatory.

– Jak to? – spytał.

– Zastanów się – powiedziała. – Ta gwiazda neutronowa oddala się od pierścienia. Gwiazdołamacz wyraźnie nie wyrządził jej żadnej szkody.

– Tak. Coś zawiodło – przyznał jej rację Uvarov. – No cóż, dokładna sekwencja wydarzeń nie ma tu wielkiego znaczenia, Lieserl. I...

Katastrofa nastąpiła w mgnieniu oka.

Światło zgasło. Prawieczną budowlę zalał mrok.

Louise i Mark opuścili improwizowany szpital i znaleźli porzucony dom. Był pozbawiony mebli, jego właściciele zamieszkali na niebie, w warunkach nieważkości („Ale, oczywiście, te nowe siedziby przepadły, zmiecione przez kosmiczną strunę” – pomyślała ponuro Louise).

Mark szybko stworzył wirtualny diagram, geometryczny szkic pełen przecinających się linii, podpisany literkami i zaopatrzony w strzałki.

Louise nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

– Na Letę, Mark. Dzieją się takie rzeczy, a ty pokazujesz mi wykres, który Euklides by odczytał.

Spojrzał na nią z powagą.

– Louise, sporządzenie modelu struny kosmicznej w myśl zasad geometrii czasoprzestrzennej to twardy orzech do zgryzienia, przyjmując założenia ogólnej teorii względności. Ale posługując się tą geometrią, można ograniczyć się do twierdzenia Pitagorasa... Oto zamiary Przędki Powrozów, na ile potrafię je przewidzieć. – W powietrzu pojawiła się para rur rozsyłająca niebieskie, elektryczne światło, jak neon. – Lecimy wokół pary kosmicznych strun. Oto są deficyty kątowe ich czasoprzestrzeni. W powietrzu ukazały się bladoniebieskie kliny kojarzące się z długimi kawałkami sera. Każdy z nich sunął za jednym odcinkiem struny. – Dobra, a oto *Północna*. – Statek miał postać czarnego nasienia sykomory, narysowanego w konwencji komiksowej. – Widzisz, okrążamy parę strun w kierunku przeciwnym do wektora ich obrotu.

Nasienie przecięło klinowy deficyt kątowy jednej ze strun i zaraz wyłoniło się po jego drugiej stronie.

Mark pstryknął palcami.

– Widzisz to? Podróż z prędkością nadświatelną; przestrzennoPodobna trajektoria przecina dokładnie deficyt.

Teraz mały model statku kosmicznego wykonał łuk i zamigotał, Przelatując przez deficyt kątowy drugiej struny.

– Louise, tym strunom brak do szybkości podświatlnej kilku tysięcznych kilometra na sekundę. Przędka prowadzi *Północną* z szybkością nieco przekraczającą połowę prędkości światła. Skręty

i przyspieszenia są niewiarygodne... Osłona inercyjna ściany domenowej sprawuje się na medal, chociaż jest mały przeciek.

Louise skinęła głową.

– Zgadza się. Dlatego *Północna* nieco trzeszczy.

– No, Louise, *Północna* nie została zaprojektowana w tym celu ani nie miała być połączona z myśliwcem. Ale nic na to nie poradzimy. Musimy się tylko modlić, żeby ten układ wytrzymał, aż Prządka Powrozów skończy swoją przejażdżkę... W każdym razie dziewczyna bardzo precyzyjnie trzyma się swojej trajektorii... Przechodzimy z jednej strony pary strun na drugą w minutach świetlnych, ale dzięki oszczędności przestrzennopodobnej zarabiamy lata świetlne. Louise, wydaje mi się, że Prządka Powrozów wybiera z przestrzennopodobnych trajektorii zamknięte czasopodobne krzywe.

Louise, wpatrująca się w statek-nasienie, poczuła ochotę, aby wziąć go w rękę.

– Ale dlaczego, Mark? I jakim cudem?

– Wiem, co to jest zamknięta czasopodobna krzywa – powiedziała Prządka Powrozów. Znow wyhamowała i skierowała statek dziobem ku strunie; chociaż nadal była chroniona przed nieprawdopodobnymi przyspieszeniami, zatchnęła, kiedy Wszechświat runął jej na spotkanie. – Pierwotnym celem *Wielkiej Północnej* holującej tunel czasoprzestrzenny było podążyć w ślad za segmentem zamkniętej krzywej czasopodobnej...

*Tak. Zamknięta krzywa czasopodobna jest jak okrąg w czasie. Lecząc jej torem do miejsca startu, napotkałoby się samego siebie... Zamknięte czasopodobne krzywe pozwalają ci podróżować w czasie.*

Nocny myśliwiec znow pomknął ku parze kosmicznych strun; Prządka Powrozów znow pracowała przy nakładkach sterujących, obracając statek. Wielkie skrzydła falowały w czasoprzestrzeni.

– Do cholery, ile razy jeszcze?!

*Prządko, każde okrążenie pary strun cofa nas tysiąc lat w przeszłość. Ale musimy cofnąć się o sto mileniów albo więcej...*

– Setka okrążeń – szepnęła.

*Wytrzymasz to, Prządko? Wystarczy ci sił?*

– Nie – powiedziała. – Ale nie mam wyboru, prawda?

Lieserl rozejrzała się po mrocznym pomieszczeniu, zbita z tropu. Oślepiająca latarka robota zgasła. Nagle ściany nabrały ponurej, szarej barwy, obniżyły się, budząc w niej klaustrofobię.

– Lieserl. – Twarz Marka wyłoniła się przed nią z ciemności. Widziała niebieskie oczy, wyraźnie zarysowane białe zęby. Poruszał się z szybkością mierzoną w nanosekundach, wreszcie pozbywszy się ludzkiej ocieężałości.

Uświadomiła sobie niejasno, że biedny Uvarov tkwi w kapsule. Był zamrożony w ludzkim czasie i niezdolny przemieszczać się jak oni, gdy sunęli w powietrzu z owadzią szybkością.

– Co to znaczy? Co się stało?

– Robot się popsuł, Lieserl. Był kontrolowany przez procesory statku. Pewnie zawiódł link transmisyjny...

Natychmiast poczuła spadek poziomu wspomagania procesorowego. Odniosła wrażenie, jakby

zanurzyła się w mrocznej jaskini rozbrzmiewającej echem; odpływała.

– Porzucili nas.

– Zapewne nie mieli wyboru, Lieserl.

„W takim razie jestem skazana na śmierć – pomyślała. – Ale tak nagle?”

Oczywiście Lieserl, podobnie jak Markowi, było sądzone przeżyć w postaci projekcji na pokładzie *Północnej*. Ale ta jej projekcja – ten ośrodek jej prawiecznej świadomości – nie miała szans przetrwania. Procesory kapsuły były za słabe.

Przeszedł ją spazm żalu. Nigdy nie opowie Louise i Prządce Powrozów o cudownych ludzikach bytujących w gwieździe neutronowej.

Wyciągnęła ramiona ku Markowi. Ich skafandry rozpląły się i rozpaczliwie przytulili się do siebie. Zachłannie, z pasją poszukała wilgotnych ust Marka i...

– Na Letę. I nawet nie możemy z nią porozmawiać! – Louise spoglądała z domu w stronę kabiny nocnego myśliwca. – Mark, Prządka to mądra kobieta, ale nie jest ekspertem od dynamiki strun. I brakuje jej wsparcia procesorów. Nie pojmuję nawet, jak skalkulowała te trajektorie, po których się porusza.

Mark zmarszczył brwi.

– Zaczekaj. – Uniósł rękę i jego twarz straciła wszelki wyraz, co świadczyło o głębokim zastanowieniu.

– Co jest?

– Zatrzymaliśmy się. To znaczy przestaliśmy krążyć wokół strun. – Zamyślił się na chwilę. – Louise, naliczyłem sto siedem pełnych okrążeń...

– Louise? Mark?

Głos dobiegał z miejsca tuż koło ucha Louise.

– Tak, Łowczyni Żab. Słyszę cię. Gdzie jesteś?

– W dżungli. Chyba...

– Tak?

– Chyba będzie lepiej, jak tu przyjdziecie.

Louise spojrzała na Marka; rozważał coś i niewątpliwie jakaś jego subprojekcja była już z Łowczynią.

– Dlaczego? – spytała Louise. – Co się dzieje?

– Nic złego. Nic takiego strasznego. Tylko że jest... inaczej.

Uścisk niewidzialnej ręki Michaela Poole'a ustąpił. Prządka Powrozów zdjęła dłonie z nakładek.

A więc wypełniła zadanie. Skuliła palce i wbiła paznokcie w ciało. Poczowała dreszcz strachu i wyczerpania. Kłůła ją w krzyżu, w łopatkach i tuż poniżej karku; kręciła się na fotelu i poruszała całym ciałem, próbując się rozluźnić.

Po raz pierwszy wyjrzała na zewnątrz, poza materiał konstrukcyjny kabiny pilota.

## Rozdział 31

– Doktorze Uvarov. Doktorze Garry Uvarov.

Głos, płaski i mechaniczny, wyrwał go z niespokojnego snu.

Otworzył usta, by odpowiedzieć, i gęsta ślina pociekła mu na podbródek.

– Co znowu?

– Czy chcesz czegoś? – Głos, generowany przez ograniczone procesory kapsuły, nie przypominał nawet głosu człowieka i dochodził ze wszystkich stron jednocześnie. Można było zwariować!

– Tak – powiedział. Czuł niewyraźne dreszcze, chłód. Czyżby moc kapsuły już siadała?

Ile czasu upłynęło, od kiedy Lieserl i Mark Wu nagle go porzucili?

– Tak – powtórzył. – Chcę jednego. Zabierz mnie na *Północną*.

Kapsuła zamilkła na długie sekundy.

Uvarov poczuł, jak chłód przenika go do kości. Czyżby miał umrzeć, kiedy jakaś głupia maszyna będzie medytować w nieskończoność? Czyżby został zdradzony przez technologię, podczas gdy desenektyzacyjne nanoroboty i tak powoli zabijały go przez lata?

No cóż, jeśli czekała go śmierć, to zabierze ze sobą do grobu jedno wielkie, głębokie, niespełnione pragnienie. Nie doczekał ziszczenia swojego wspaniałego zamierzenia, eksperymentu, którego zwieńczeniem miała być długowieczność gatunku ludzkiego. Wiedział, co inni o nim myślą: że jest maniakiem obsesyjnie pragnącym zrealizować cele eugeniki. Ba! Ale jaka była skala jego zamierzeń! Jak wysoko...

Nadal płonęła w nim ambicja, głęboka, niemal spalająca do trzewi, zdradzona przez słabe ciało.

Zapalczliwość ustąpiła miejsca łagodnemu półsnowi, myśli zagłębiły się w ciepłych, wygodnych pieczarach wspomnień.

– Nie potrafię zrealizować tego polecenia, doktorze – odezwała się kapsuła. Nie mogę ustalić kursu na *Północną*. Wybacz. Czy chciałbyś, żebym...

– W takim razie zabij mnie. – Rzucił głową na boki, rozkoszując się bólem w karku. Zostałem uwięziony. Kiedy zapasy pożywienia ulegną wyczerpaniu, umrę. Zabij mnie od razu. Wyłącz ten cholerny dopływ energii.

– Tego polecenia też nie mogę wykonać, doktorze Uvarov.

Ale Uvarov już nie słuchał mechanicznego głosu. Zapadł w kolejny, niespokojny i być może ostatni sen, z wolna poruszając zniszczonymi wargami.

– Zabij mnie, ty cholerna maszyno...

## Rozdział 32

Torus z poszarpanych pętli strun znikł. Teraz kosmiczna struna przecinała dolinę; wielki, rozszalały triumfujący zwój emanował elektryczną niebieskością na tle ekranu sztucznego nieboskłonu *Północnej*.

Jedna ogromna, złożona wielokrotnie pętla wypełniała dno studni grawitacyjnej. Był to – co niewiarygodne i niepojęte – pojedynczy obiekt, sztuczny twór mający przynajmniej dziesięć milionów lat świetlnych średnicy.

Louise Ye Armonk, Mark, Lieserl i Jutrzejszy Dzień unosili się na skuterach nieważkościowych tuż poniżej kopuły nieboskłonu. Louise niejasno zdawała sobie sprawę, że dżungłę wypełniają uspokajające dźwięki: okrzyki ptaków i małp, ciche skrzeki żab, odgłosy nieustającego życia, które rozwijało się uparcie nawet tu, u krańca czasu...

Za kopułą sztucznego nieboskłonu była tylko struna.

Galaktyki, choć czas cofnął się sto tysięcy lat, nadal wpadały w pułapkę, rozłupane i przesunięte w stronę niebieskiej części widma, pochłaniane przez najgłębszą studnię grawitacyjną Wszechświata. A kiedy *Północna* zakończyła skok przez zaburzenia czasoprzestrzeni, kolejny raz znalazła się w dolinie o gwiazdnych ścianach, na dnie studni Wszechświata.

Na tym kończyło się podobieństwo. Ściany doliny były znacznie gładsze niż w przyszłości, znacznie mniej poszarpane... Louise pomyślała z niepokojem, że są tak równe, iż wydają się niemal sztuczne.

I oczywiście znajdował się tam również pierścień, wspaniały pierścień, obręcz spleciona z kosmicznej struny długości miliarda lat świetlnych. *Północna* zawisała nad jego podstawą. Bliższa ściana struktury tworzyła splątany, nieprzenikniony płot nad kopułą mieszkalną, powykręcany w przesadne łuki i ostre wierzchołki, a przez grzędawisko zaburzeń czasoprzestrzennych prześwitywały odłamki wizerunków galaktyk. Odległa strona obiektu była widoczna jako blada, twarda wstęga na niebie przesuniętym ku niebieskiej części widma.

Nierówny dysk przestrzeni, ograniczony pierścieniem – dysk mający nie mniej niż dziesięć milionów lat świetlnych średnicy – wydawał się pusty. „Być może – rozważała w myślach Louise – w tej erze xeelee na bieżąco oczyszczali centralny region...” Wyteżyła wzrok i dostrzegła jeden wyjątek: płonący punkt, dokładnie w geometrycznym środku pierścienia. Dostrzegła, że Lieserl wpatruje się w niego z lekko rozchylonymi ustami. W wyniku pospiesznego działania Przędki Powrozów cofnęli się do kolejnego ułamka czasu, okresu wojny na niebie... i wyglądało na to, że jest to era, w której pierścień ulegnie ostatecznemu zniszczeniu.

Poczuła, że oczy wszystkich obecnych – Marka, Lieserl, Jutrzejszego Dnia – spoczywają na niej z oczekiwaniem. Na niej!

„Pamiętaj, co powiedziała Lieserl – powtórzyła sobie w myślach. – Jesteś mechanizmem przetrwania. To wszystko. Musisz funkcjonować dalej, przynajmniej jeszcze trochę...”

Nabrała oddechu i klasnęła w dłonie.

– W porządku, panie i panowie – Mark, Lieserl. Bierzmy się do roboty. To chyba oczywiste, że wpakowaliśmy się w sam środek pola bitwy. Wiemy, że w tej chwili fotinowe ptaki na pewno atakują pierścień ze wszystkich stron – za sto tysięcy lat ulegnie on zniszczeniu. To nasuwa mi podejrzenie, że nie minie wiele czasu, a jedna ze stron zauważy naszą obecność...

– Wydaje mi się, że masz rację, Louise – stwierdził Mark.

Oba wirtualne, podłączone do centralnych procesorów szybkimi linkami danych, analizowały różne aspekty sytuacji. – Chyba nie powinniśmy dać się zwieść temu, że większość działań w tej niewiarygodnej wojnie toczy się z prędkością podświetlną, tak że my reagujemy w tempie kolumny mrówek pokonującej Saharę. Nie zapominajmy, że xeelee dysponują napędem superprzestrzennym – który ukradliśmy – i z tego, co wiemy, mają go również fotinowe ptaki. W każdej chwili możemy zostać odkryci.

– Podaj mi sumaryczny opis otoczenia.

Mark skinął głową.

– Przede wszystkim nasza pozycja w czasie. Prządka Powrozów skonstruowała na tyle ciasne ścieżki czasopodobne, że cofnęliśmy się sto tysięcy lat. – Spojrzał w górę i uniósł się w powietrze na niecały metr, w roztargnieniu zapominając o swoim skuterze. – W tej epoce konstrukcja pierścienia została ukończona, na ile potrafimy to ocenić. Ma ogromną masę wywołującą dryf inercyjny *Północnej*. I to spory, szczerze mówiąc... Wygląda na to, że Prządka stara się go wyrównać...

– Lieserl. Powiedz mi, co masz.

Lieserl z trudnością oderwała wzrok od punktu światła w sercu pierścienia. Popatrzyła na Louise.

– Mam informacje o pierścieniu. Znaleźliśmy się w epoce przed jego zniszczeniem. Pierścień Boldera jest pojedynczą pętlą kosmicznej struny... ale o ogromnych rozmiarach. Ma nie mniej niż dziesięć milionów lat świetlnych średnicy i masę dziesięciu tysięcy galaktyk połączonych w jedną spoistą całość. Struna jest powykręcana i zwinięta jak motek wełny. Pierścień składa się, topograficznie biorąc, z łuków strun i wierzchołków. Te pierwsze mkną z prędkością podświetlną, te drugie jeszcze szybciej. Ruch całości jest złożony, ale według nas jego wektory się nie przecinają. Pierścień mógłby przetrwać wieczność. Louise, nie ma sposobu, aby ten gigant powstał w sposób naturalny. Według naszych najdokładniejszych teorii każda naturalna pętla strunowa może mieć zaledwie tysiąc lat świetlnych. – Podniosła głowę i sztuczne niebieskie światło obrazów struny podkreśliło jej profil, uwydatniając zmarszczki wokół oczu. Roześmiała się krótko. – Xeelee znaleźli sposób przeholowania struny kosmicznej i takiego jej splątania, że utworzyła tę monumentalną konstrukcję. Nie można też wykluczyć, że posiadli umiejętność tworzenia jej od podstaw.

Louise wpatrywała się w pierścień, śledząc wzrokiem struny splątane na niebie. Słuchała analizy Lieserl jednym uchem. „A mogłabym umrzeć, nie widząc tego – myślała. – Och, dzięki. Dzięki...”

– Budowa kosmosu jest tu... niebywała – powiedziała Lieserl, uśmiechając się. W zasadzie mamy torus o ekstremalnej masie, wykonujący niesłychanie szybki ruch obrotowy. To powoduje niszczenie struktury czasoprzestrzeni. Sama masa pierścienia generuje tak głęboką studnię grawitacyjną, że materia... składająca się z galaktyk... podąża do tego punktu przez setki milionów lat świetlnych. Nawet nasza Galaktyka, Galaktyka ludzkości, podlega temu przyciąganiu. Wiemy więc, że pierścień był Wielkim Atraktorem, jak nazywali go ziemscy astronomowie. Jego rotacja wywołuje dalekosiężne skutki. Louise, jesteśmy na krawędzi obszaru Kerra – obliczonego na podstawie klasycznego równania pola ratującej masy. Dokładnie biorąc, jest to tak zwany maksymalny obszar

Kerra: ponieważ torus obraca się niezwykle szybko, moment pędu znacznie przekracza masę w jednostkach grawitacyjnych... Jak powiedział Mark, wielki moment obrotowy rolującego pierścienia ma wpływ na statek. Jest to zjawisko dryfu inercyjnego, wykręcenia czasoprzestrzeni wokół rolującego pierścienia.

Jutrzejszy Dzień miał kłopoty z przyswojeniem sobie tego pojęcia.

– Zjawisko dryfu inercyjnego?

– Jutrzejszy Dniu, naiwne poglądy na grawitację przewidywały, że spin obiektu nie wpływa na jego pole grawitacyjne. Bez względu na to, jak szybko obracałaby się gwiazda, przyciągałaby inny obiekt ku swojemu środkowi tak, jakby wcale się nie obracała. Ale ogólna teoria względności mówi nam, że to nieprawda. Są w równaniach składniki nieliniarne, które wiążą rotującą masę z polem zewnętrznym. Innymi słowy, obracający się obiekt ciągnie za sobą przestrzeń. Jest to zjawisko dryfu inercyjnego. I temu właśnie oddziaływaniu momentu obrotowego podlega teraz *Północna*.

– Co jeszcze? – spytała Louise. – Mark?

Skinął głową.

– Po pierwsze, wprost toniemy w fotonach fal radiowych..

Tego nikt się nie spodziewał.

– Co to za bzdura?

– Mówię poważnie – rzekł, odwracając się do niej. – To najbardziej znacząca różnica wielkoskalowych fizycznych czynników środowiskowych w porównaniu z erą, z której przybyliśmy. Jesteśmy pogrążeni w gęstej mieszance fal radiowych. Przez chwilę zamyślił się. – A ich intensywność rośnie. Wzmocnienie jest powolne, ale znaczące w skali czasu tej wojny; co mniej więcej tysiąc lat następuje podwojenie. Louise, nie ma śladu tego zjawiska w przyszłości. Wtedy fotony radiowe znikną.

Louise pokręciła głową.

– Nie potrafię tego pojąć. Co jest źródłem wzmocnienia?

Wzruszył teatralnie ramionami.

– Zabij mnie, nie wiem. – Rozejrzał się po niebie. Ale spójrz wokół. Pierścień spoczywa w muszli materii galaktycznej. Zakres fal radiowych jest niższy niż zakres plazmowy środowiska międzygwiazdowego. Tak więc fale są uwięzione w galaktycznym pudle. Jesteśmy w środku ogromnej rezonującej doliny o szerokości dziesięciu milionów lat świetlnych i ścianach odbijających fale.

Jutrzejszy Dzień spojrzał niepewnie w przestrzeń, poza sztuczny nieboskłon.

– Uwięzieni? Ale co się stanie, kiedy...

– Mark, już wiem – wtrąciła się Lieserl – co jest przyczyną wzmocnienia fal radiowych.

– Co? – spytał.

– Dryf inercyjny. Nadwyżka promieniowania ucieka z pola grawitacyjnego. Foton, wpadając w studnię grawitacyjną pierścienia, łączy się z nim pod wpływem dryfu inercyjnego i następnie jest wyrzucany, pozyskując dodatkową energię...

– Aaach. Zgadza się. – Mark pokiwał głową. Miał nieobecny wyraz twarzy. – W ten sposób z każdym okrążeniem wzmocnienie rosłoby o jakieś kilka dziesiątych procenta... To by się zgadzało z moimi obserwacjami.

Jutrzejszy Dzień zmarszczył brwi.

– Czy dobrze zrozumiałem? To brzmi tak, jakby fotony dokonywały grawitacyjnego obiegu pierścienia.



Louise uśmiechnęła się do niego, wyczuwając strach towarzysza.

– Zgadza się. Dryf inercyjny pozwala każdemu fotonowi zaczerpnąć trochę energii z pierścienia; radiacja ulega wzmocnieniu i pierścień obraca się o ułamek wolniej... Lieserl. Powiedz nam więcej o czasoprzestrzennym obszarze Kerra. – Spojrzała w świetlny punkt zajmujący centrum pierścienia. – Co my tam widzimy, w środku?

Lieserl podniosła wzrok; była opanowana.

– Chyba wiesz, Louise. To osobliwość. Ma kształt obręczy i jest okrągłym zaburzeniem w przestrzeni, rozdarcie spowodowane rotacją ogromnej masy pierścienia. Ta osobliwość ma około trzystu lat świetlnych średnicy – dużo mniej niż średnica materialnego pierścienia... Gdyby pierścień obracał się wolniej, obszar Kerra zachowałby się przyjaźniej. Osobliwość byłaby ograniczona dwoma horyzontami zdarzeń – membranami znajdującymi się w środku i przepuszczalnymi w jedną stronę. Za nimi byłaby ergosfera: rejon, w którym dryf inercyjny byłby tak silny, że żadne ciało niebieskie poruszające się z prędkością podświetlną nie mogłoby mu się oprzeć. Gdybyśmy znaleźli się w ergosferze, musielibyśmy obracać się razem z pierścieniem. Więcej, gdyby pole Kerra wcale się nie obracało, zapadłoby się w zwykłą stacjonarną czarną dziurę, w punkt osobliwości o pojedynczym horyzoncie zdarzeń i bez żadnej ergosfery. Ale pierścień się obraca... i to zbyt szybko, aby pozwolić na stworzenie horyzontu zdarzeń czy ergosfery. W związku z tym..

– Co, Lieserl? – nacisnęła ją Louise.

– W związku z tym ta osobliwość jest nieosłonięta.

Michael Poole siedział wygodnie na barkach nocnego myśliwca. Patrzył prosto, niewzruszenie w oczy Prządki.

*Przeznaczeniem pierścienia jest tworzenie tej nieosłoniętej osobliwości. Nie rozumiesz tego? Xeelee zbudowali wielki pierścień i nadali mu ruch obrotowy, aby zrobić dziurę we wszechświecie.*

Prządka Powrozów wzmocniła nasycenie kolorów centralnej osobliwości na wyświetlaczu hełmu. Osobliwość przypominała pełny dysk – może monetę – nieco przechylony w jej stronę, tak że widziała jego górną powierzchnię,

Po tej powierzchni ślizgało się gwiazdne światło. Wydawało się białe.

– Xeelee zbudowali to wszystko, zmodyfikowali historię, rozerwali czasoprzestrzeń, doprowadzili do zniszczenia galaktyk, ściągając je z odległości milionów lat świetlnych – tylko po to?!

Poole uniósł brwi.

*To największa barionowa konstrukcja, Prządko Powrozów. Największe osiągnięcie xeelee...*

Osobliwość przypominała klejnot otoczony rozwichrzoną płataniną strun pierścienia.

– Jest bardzo piękny – przyznała Prządka. Poole uśmiechnął się.

*Tak, lecz prawdziwe piękno tkwi w jego funkcji...*

Skierował wychudzoną, zmęczoną twarz ku osobliwości.

*Prządko Powrozów, ludzie przypisywali tej konstrukcji wiele zastosowań. Ale pierścień nie jest fortecą ani ostatnią redutą czy pancernikiem lub bazą, z której xeelee mogliby wyruszyć na odzyskanie swojego barionowego Wszechświata – powiedział ze smutkiem. – Prządko, Keelee wiedzą, że przegrali wojnę na niebie. Być może zawsze o tym wiedzieli, od zarania swojej historii.*

– Nie rozumiem.

*Prządka, osobliwość to luk awaryjny.*

Lieserl i Mark odwrócili się do siebie z niehumanitarną prędkością. Patrzyli sobie w oczy, jakby wymieniali dane w sposób niewidzialny dla ludzi. Pozbawione wyrazu twarze były jak lustrzane odbicia.

– O co chodzi? – spytała Louise. – Co się stało?

Piksele zaroiły się na policzku Marka. Wirtualna projekcja uległa zaburzeniu.

– Potrzebujemy Prządki Powrozów – rzucił szybko. – Nie możemy czekać na naprawę linków danych. Staramy się znaleźć obejście. Pracujemy najszybciej, jak się da...

Louise zmarszczyła brwi.

– Dlaczego?

Mark odwrócił się do niej bez śladu emocji na wirtualnym obliczu.

– Jesteśmy w niebezpieczeństwie, Louise. Xeelee siedzą nam na karku.

– Jak można zniszczyć pętlę kosmicznej struny mającą dziesięć milionów lat świetlnych średnicy? – spytała Prządka.

*To nie takie trudne... jeśli ma się zasoby surowca z całego Wszechświata i miliard lat.* – Poole wskazał na grad galaktyk zalewający pobliską sekcję pierścienia. – *Jeśli pierścień się zapętle, jeśli struny kosmiczne się przetną, następuje podział. Powstają przełączenia. Tworzą się podpętla rozkwitające ze starych. I być może te podpętla też się przecinają, dzielą na mniejsze patie... i tak dalej.*

Prządka skinęła głową.

– Chyba rozumiem. Ten proces raz rozpoczęty może narastać wykładniczo. Niebawem pierścień ulegnie degeneracji i zamieni się w pierścień śmieci, jaki znaleźliśmy... jaki znajdziemy... za sto tysięcy lat...

*Tak. Niewątpliwie xeelee tak zaplanowali ruch pierścienia, żeby struny nie przecinały się nawzajem. Ale wystarczy, żeby ktoś rozpoczął wspomniany proces, zakłócając periodycznie zachowanie pierścienia. Tym właśnie najwyraźniej zajęły się fotinowe ptaki, ciskając w niego galaktykami jak kamieniami.*

– To mi wygląda na prymitywną technikę – prychnęła Prządka.

Poole roześmiał się.

*Barionowa szowinistka z ciebie, Prządka. Poza tym ptaki mają inny mechanizm. Ja...*

– ...Prządka. Prządka Powrozów! Słyszysz mnie? Prządka wyprostowała się gwałtownie i ścisnęła dłońmi hełm.

– Lieserl? To ty?

– Słuchaj. Nie mamy dużo czasu.

– Och, Lieserl, a już myślałam, że nigdy...

– Prządka! Zamilcz, do cholery, i słuchaj!

Usłuchała. Lieserl nigdy wcześniej nie użyła wobec niej takiego tonu.

– Włącz nakładki. Musisz nas stąd zabrać. Leć prosto w górę, nad podstawę pierścienia, używając napędu superprzestrzennego. Zrozumiałaś? Zrób możliwie najdłuższy skok. Spróbujemy załadować programy do nakładek, ale...

– Lieserl, mała nie umarłam ze strachu. Nie możesz mi zdradzić, co się stało?

– Nie czas na to. Proszę. Po prostu zrób...

Wszechświat pociemniał!

Przez straszliwą chwilę, podczas której serce zamarło w jej piersiach, Prządce Powrozów myślała, że oślepla. Ale wskaźniki nakładek sterujących nadal płonęły, jasno jak zawsze.

Podniosła wzrok. Ujrzała coś przed statkiem, coś, co zasłaniało fragmenty galaktyk przesunięte ku niebieskiej części widma i sam pierścień.

To były czarne jak noc skrzydła rozpostarte na pełną długość nad kopułą *Północnej*.

Nocne myśliwce!

Odwróciła się na fotelu. Niewiarygodne! Były ich setki, niczym czarne latarnie widniały na niebie.

Przylecieli xeelee. *Północna* została otoczona.

Prządka Powrozów wydała dziki okrzyk i grzmotnęła pięścią w nakładkę sterującą napędu superprzestrzennego.

Myśliwce przemykały między strunami kosmicznymi świecącymi neonowym blaskiem jak ptaki między konarami drzew. W tej epoce była ich nieprzebrana ilość. Chłodne i wspaniałe zapełniały cały kosmos. Lieserl wpatrywała się w szybujące kształty, wyężając wzrok. Czy człowiek znalazł się kiedykolwiek równie blisko xeelee?

Sunęli w ciasnych formacjach, jak stado ptaków albo ławica ryb, dokonując nagłych zwrotów. Skrzydła zbudowane ze ścian domenowych falowały, kiedy eskadry wypełniające przestrzeń na miliony kilometrów leciały w idealnie wyrównanym szyku. Teraz Lieserl zobaczyła, jak niezdarne były usiłowania pocziwej Prządki. To tak należało prowadzić nocne myśliwce! Tworzyły rzeźby w fakturze czasoprzestrzeni, tak smukłe i piękne, że przeszedł ją dreszcz zachwyty i lęku. Były ideałem technologii barionowej osiagającym szczyty perfekcji.

Uderzył ją kontrast między tą erą a epoką zniszczenia – czy wiktorii fotinowych ptaków – do której najpierw zniosła ich *Północna*. Tu pierścień był nieuszkodzony i majestatyczny, a parada xeelee wypełniła kosmos. Chociaż ich ostateczna klęska była nieunikniona i tak naprawdę kulili się w swojej ostatniej reducie, jednak serce biło jej żywiej, kiedy oglądała ten wspaniały pokaz barionowej supremacji.

Długie fragmenty strun przesuwwały się gładko w dół, obok kopuły mieszkalnej, gdy *Północna* podążała w górę. Nocne myśliwce przemykały między strunami i okrężały *Północną* jak szpaki... Nie, Prządka Powrozów nagle zdała sobie sprawę, że nocne myśliwce rozbłyskują i znikają w przestrzeni.

– Lecą na napędzie superprzestrzennym – szepnęła.

*Tak.* – Poole wpatrywał się w myśliwce; pomarszczona twarz była przezroczyta. – *I my używamy napędu superprzestrzennego. Wykorzystujesz całą moc, Prządko; nigdy nie próbowaliśmy skoków takiej długości, nawet podczas oblatywania myśliwca. Wiesz, jak szybko lecisz? Dziesięć ty siacy lat świetlnych na skok... Ale mimo to xeelee łatwo dotrzymują nam kroku.*

„Oczywiście – pomyślała Prządka Powrozów – przecież to xeelee”.

Myśliwce mogły zatrzymać *Północną* w każdej chwili – nawet ją zniszczyć. Ale nie zrobiły tego.

Dlaczego?!

Statek wzbił się wysoko nad pierścień. Kłęb struny odpadł z przodu konstrukcji i Prządka

Powrozów mogła wygodnie przyjrzeć się zakrzywieniu długiemu na milion lat świetlnych. Osobliwość w sercu pierścienia rozkwitała, niemal zapraszając do siebie. Myśliwce xeelee unosiły się ze wszystkich stron jak liście podczas burzy. „Nie stanowimy dla nich zagrożenia – pomyślała. – Tak naprawdę nigdy nie mogliśmy im nic zrobić. Zachowują się tak, jakby nas eskortowali”.

– Lieserl... – odezwała się.

– Słyszę cię, Prządko.

– Na Letę, powiedz mi, co my robimy.

– Zabierasz nas poza obszar pierścienia...

– A potem...

– W dół... – Lieserl zawahała się. – Słuchaj, Prządko, musimy oderwać się od xeelee, zanim zmienią o nas zdanie. W całym Wszechświecie zostało nam tylko jedno miejsce ucieczki.

– I to ma być twój plan?! – Prządka Powrozów wrzasnęła histerycznie, przeniknął ją strach. – Wlecieć w osobliwość?!

Mark uderzył się pięścią w udo.

– Do cholery, miałem rację. Cały czas miałem rację.

Louise czuła pętlę bolesnego napięcia zaciskającą się na gardle.

– Niech to szlag, Mark, mów, w czym rzecz.

Odwrócił się do niej.

– Chodzi o znaczenie przepływu energii radiowej. Nie rozumiesz? Fotinowe ptaki zbudowały tę ogromną dolinę z gwiazd i zniszczonych galaktyk, żeby uwięzić pierścień. – Rozejrzał się po sztucznym nieboskłonie. – To musiało im zająć miliard lat, ale w końcu dopięły swego. Zbudowały wokół pierścienia ogromne zwierciadło z materii gwiazdowej. To osiągnięcie inżynierii kosmicznej równe niemal stworzeniu samego pierścienia.

– Zwierciadło?

– Materia międzygwiazdowa odbija energię radiową. Tak więc każdy foton fali radiowej wraca do doliny. Okrąża pierścień i z każdym okrążeniem jego energia wzrasta, jak opisała to Lieserl; foton wysysa niewielką porcję energii, wykorzystując dryf inercyjny pierścienia. Po czym znów chce się wyrwać... ale jest uwięziony przez zwierciadło galaktyczne! Wraca przeto, ponownie zostaje wzmocniony... Rozumiesz? To klasyczny przykład pozytywnego sprzężenia zwrotnego. Uwięzione fale radiowe rosną w nieskończoność, spijając energię samego pierścienia...

– Ale one nie mogą rosnąć w nieskończoność – stwierdził Jutrzejszy Dzień.

– Nie mogą – przyznał Mark. – Taki proces to bomba z opóźnionym zapłonem, inercyjna bomba. Napór elektromagnetyczny doliny rośnie, aż nie da się go dłużej powstrzymać. I w końcu pewnie za marne kilkadziesiąt tysięcy lat – rozerwie przestrzeń.

Louise rozejrzała się po niebie, kolejny raz oceniając równomierny rozkład galaktyk.

– Zgadza się. I za sto tysięcy lat *Północna* wleci dokładnie w środek gruzów po tym wybuchu.

Statek unosił się wysoko nad obszarem pierścienia. Louise widziała całą strukturę leżącą w dole jak migotliwe zwierciadło, a osobliwość mieniła się w samym środku.

– Louise, już wcześniej dostrzegliśmy nieprzyjazną działalność fotinowych ptaków – powiedziała Lieserl – bezpośredni atak na pierścień kawałkami materii. Jest spektakularna, ale Mark ma rację: dopiero ta sztuczka z bombą radiową zniszczy cały pierścień. Delikatny uśmiech pokazał się na jej ustach. – Cholernie sprytne. Ptaki opróżniają sam pierścień, czerpią energię z pola grawitacyjnego,

wykorzystując dryf inercyjny. Zamierzają spożytkować energię masy pierścienia przeciwko niemu samemu.

Louise zastanowiła się w myślach, ile czasu upłynęło, od kiedy Mark i Lieserl nakazali Prządcę zabrać statek. Niecałe dwadzieścia minut, ale musieli już przebyć osiem milionów lat świetlnych – i niewątpliwie znaleźli się nad osobliwością.

– Mark. Dokąd lecimy?

Poole starał się uspokoić Prządkę Powrozów, tłumacząc jej, co stanie się z nocnym myśliwcem, kiedy dotrze do osobliwości.

Czasopodobna trajektoria dosięgnie górnej powierzchni dysku. Statek zbliży się do obszaru osobliwości, ale – jak przewidywały równania obszaru Kerra – żadna czasopodobna trajektoria nie mogła przekroczyć pętli osobliwości i wynurzyć się po jej drugiej stronie.

– Więc co się wydarzy? Czy statek ulegnie zniszczeniu?

*Nie.*

– Ale jeśli statek nie może pokonać pętli, to dokąd poleci?

*Widzisz, Prządko Powrozów, w obszarze Kerra nie ma mowy o nieciągłości.* – Poole zawahał się. – *Osobliwość to miejsce pocałunku wszechświatów.*

– Na Letę! – zawołała Louise. – Planujesz zabrać nas poza Wszechświat?!

Mark odwrócił ku niej głowę nienaturalnie sztywnym ruchem. Układ wizerunku twarzy – falowanie pikseli, upiorna barwa tęczy – sprawiał, że wirtual nie przypominał już człowieka.

– Nie mamy innego miejsca ucieczki, Louise. Chyba że przychodzi ci do głowy coś lepszego...

Wpatrywała się w osobliwość. Sztuczne inteligencje pracujące z prędkością niedościgłą dla ludzi przewidziały już dalszy scenariusz. Ale czy właściwie? Poczwała, że sytuacja wymyka się jej z rąk; starała się ułożyć jakiś plan, ustosunkować do biegu wydarzeń.

– Oczywiście, najważniejsze będzie zgranie w czasie – powiedziała sucho Lieserl. – Inaczej wylądujemy nie w tym wszechświecie, co trzeba...

Jutrzejszy Dzień wytrzeszczył oczy, zacisnął dłonie na skuterze tak mocno, aż mu kłykcie zbieleły.

– Na Letę, o czym wy mówicie?

Mark zawahał się.

– Konfiguracja struny ciągle się zmienia. To dynamiczny układ. I powoduje zmianę topologii obszaru Kerra – przekształca podstawę analitycznej kontynuacji przestrzeni w obszarze osobliwości...

– Niech cię cholera weźmie – stwierdził Jutrzejszy Dzień. – Może byś tak łaskawie zaczął mówić ludzkim językiem?

– Osobliwość to punkt, w którym ten Wszechświat styka się z innym. Jasne? Ale z powodu oscylacji pierścienia punkt kontaktowy nie jest stały. Ulega zmianie. Co kilka minut – a bywa, że z większą częstotliwością – łącze przemieszcza się w inny rejon kontynuacji – do innego wszechświata.

Jutrzejszy Dzień zmarszczył czoło.

– Czy to dla nas takie ważne?

Mark przeciągnął ręką po włosach.

– Tylko z tego powodu, że zmiany nie są przewidywalne ani w czasie, ani pod względem zasięgu.

Niewykluczone, że mają charakter cykliczny, tak że gdybyśmy zaczekali odpowiednio długo, mielibyśmy drugą szansę.

– Ale nie mamy czasu na czekanie.

– Nie mamy. No cóż, nie planowaliśmy tego... Nie będziemy mogli wybrać wszechświata. A nie każdy nadaje się do zamieszkania...

Louise przycisnęła kłykcie do skroni.

„Słuszna uwaga, Mark – pomyślała. – Postanowiliśmy wyskoczyć z naszego Wszechświata na łeb na szyję. Mamy już na karku połowę nocnych myśliwców stworzonych przez xeelee od początku czasu... a teraz częstujesz mnie tą wiadomością. I co mam z nią począć?”

– Mów, co teraz widzisz – rozkazała. – Opowiedz mi o wszechświecie po drugiej stronie osobliwości.

– Teraz? – Mark zrobił minę pełną niedowierzania. – Louise, prosisz mnie, żebym w kilka sekund dokonał pełnej analizy kosmosu opartej na garści mętnych spostrzeżeń. Ludzkość potrzebowała całej historii, żeby choć częściowo...

– Po prostu zrób, o co cię proszę – ponagliła go ostro.

Przez chwilę przyglądał się jej uważnie i ze spokojem.

– Niektóre z bliźniaczych wszechświatów cechują odstępstwa od naszych praw fizyki. Nic dziwnego; stałe fizyczne to tylko arbitralny opis złamania pierwotnego ujednoczenia z początków czasu... Ale nawet wszechświaty, w których panują identyczne prawa jak nasze, mogą okazać się bardzo różne. Decydują o tym odmienne warunki brzegowe na początku czasu lub po prostu fakt, że znajdują się w innym stadium ewolucji.

– A w tym szczególnym przypadku? – spytała z naciskiem.

Zamknął oczy. Piksele, żółte i purpurowe, znów sunęły po wirtualnych policzkach. Otworzył gwałtownie powieki. Wzdrygnęła się zaskoczona.

– Silna grawitacja – odpowiedział.

– Co?

– Odmienne prawa fizyki. W sąsiednim wszechświecie stała grawitacyjna jest wysoka – niezwykle wysoka – w porównaniu do... hm, tutejszej.

To wprawiło Jutrzejszy Dzień w zdenerwowanie.

– Co to oznacza? Czy zostaniemy zmiażdżeni?

Kolejne zniekształcenia pojawiły się na policzkach wirtualnego Marka.

– Nie. Ale ludzie będą tworzyć wyraźne pola grawitacyjne. Poczujesz masę Louise, Jutrzejszy Dniu, która będzie na ciebie oddziaływać z siłą połowy jednego g.

Jutrzejszy Dzień niemal wpadł w panikę.

– Gwiazdy mogą mieć zaledwie tysiąc pięćset metrów średnicy i będą płonąć tylko przez rok – kontynuował Mark. – Natomiast planety rozmiarów Ziemi będą zapadać się pod własnym ciężarem...

Lieserl zasępiła się.

– Zdołamy tam przeżyć?

Mark wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Kopuła mieszkalna runie pod własnym ciężarem. Będziemy musieli natychmiast znaleźć źródło powietrza. I będziemy musieli stworzyć warunki nieważkości. Każda znacząca masa będzie źródłem niewyobrażalnie silnego pola grawitacyjnego. Ale może zdołamy zbudować jakąś tratwę z wraku *Północnej*...

Louise spojrzała na osobliwość i wyraz jej twarzy złagodniał.

– Wiemy, że ludzie atakowali pierścień, chociażby za pomocą gwiazdy neutronowej. Więc może nie jesteśmy pierwszymi pielgrzymującymi ludźmi, którzy w niego wpadną. Mark, powiedziałeś, że most do innego wszechświata zmienia się cyklicznie. Ciekawe, czy teraz jacyś ludzie po drugiej stronie tego złącza kurczowo trzymają się tratw zbudowanych z wraków innych statków kosmicznych, walczą o przeżycie w świecie o wielkiej grawitacji...

Mark uśmiechnął się. Wyglądał na rozluźnionego.

– No cóż, jeśli tam są, to ich nie spotkamy. Ta kontynuacja została zamknięta; nowa dopiero się otworzy... Bez względu na to, dokąd się udamy, to będzie gdzie indziej.

Louise spojrzała na sztucznie zabarwione niebo.

– ...Wydaje mi się, że czas przekonać się, jak tam naprawdę jest – powiedziała.

*Północna* osiągnęła zenit swojego łuku wysoko nad obszarem osobliwości.

Prządka Powrozów miała wrażenie, że wisi na szczycie jakiegoś ogromnego kosmicznego drzewa, wysokiego na milion lat świetlnych. Statek zatrzymał się nad centralną osobliwością – rozmiętym obszarem przyćmionego światła gwiazd. Daleko widniał sam tytaniczny pierścień.

Eskadra nocnych myśliwców rozłożyło się wokół niej i nad nią, tworząc nieregularną czaszę. Ostre, eleganckie kształty rozpostartych skrzydeł wypełniały przestrzeń.

Prządka Powrozów zamknęła dłonie na nakładce sterującej napędu superprzestrzennego.

Nagle wydało się jej, że spada z drzewa, obracając się w powietrzu.

Nocny myśliwiec runął w dół, pokonując z każdą sekundą dziesięć tysięcy lat świetlnych.

*Osobliwość jest bramą do innych wszechświatów* – powiedział Michael Poole. – *Kto wie, może lepszych niż ten.*

Powiadomił ją wcześniej, że muszą istnieć dalsze bramy, w kolejnych wszechświatach, do następnych kosmosów... Namalował mozaikę wszechświatów złączonych rozjarzonymi wejściami do pozytywnych i negatywnych osobliwości Kerra.

*To cudowne, Prządko.*

Spoglądała na osobliwość.

– Czy o to im chodziło? Czy xeelee po to stworzyli tę osobliwość, aby pełniła rolę bramy?

*Oczywiście. A jak myślisz, czemu nadali jej takie cholernie wielkie rozmiary? Żeby statki kosmiczne mogły się w niej zmieścić i nie ulec zniszczeniu wskutek działania pływów materii osobliwości. Prządko, to najbardziej znaczące osiągnięcie xeelee. Chciałbym opowiedzieć ci któregoś dnia, jak zbudowano ten pierścień... jak xeelee powrócili z przyszłości i przekonstruowali własną ewolucję, aby osiągnąć wiedzę, która umożliwiła im dokonanie tego dzieła.*

– Co to znaczy, że „chciałbyś” mi opowiedzieć?

*To znaczy, że nigdy mi się to nie uda, Prządko...* – W głosie Poole’a zabrzmiał smutek. – *Nie mogą z tobą polecieć.*

– Co...?

Miała wrażenie, że spada ogromnym tunelem, ograniczonym niewyraźnymi galaktykami przesuniętymi ku niebieskiej części widma. Osobliwość gorzała jak gwiazda u jego podstawy...

Jaki był w środku?

Zbite eskadry nocnych myśliwców wirowały wokół statku.

– Wiesz, xeelee mogli zatrzymać nas w każdej chwili i w każdym miejscu – powiedziała. –

Jestem pewna, że mogą zniszczyć nas nawet teraz.

*Na pewno.*

– Ale tego nie robią.

*Być może pomagają nam. Może jednak gatunki barionowe poczuwają się do jakiejś podświadomej lojalności.*

– ...Prządko.

– Tak, Lieserl.

– Słuchaj. Przelot przez osobliwość się komplikuje.

– Och, świetnie – powiedziała sucho.

– Prządko, tutejsza różnorodność brzegowa czasoprzestrzeni nie jest prosta. Osobliwość oddalona działa przyciągająco. Ale w jej pobliżu znajduje się bariera potencjału pola grawitacyjnego.

Westchnęła.

– Co to znaczy?

– ...To oznacza istnienie antygravitacji, Prządko. Ten obszar nas odepchnie. Jeśli podczas zbliżania się do osobliwości nie będziemy mieli wystarczającej energii kinetycznej, zostaniemy odepchnięci. Albo do asymptotycznie płaskich rejonów, to znaczy w nieskończoność, daleko od osobliwości, albo z powrotem do strefy przyciągania. Będziemy oscylować, Prządko, na przemian spadać i odbijać się.

– A co stanie się po drugiej stronie? Czy zostaniemy przyciągnięci z powrotem do osobliwości?

– Nie. – Lieserl zawahała się. – Za granicą osobliwości jej obszar ulega skoordynowanej zmianie znaku... Osobliwość nas odepchnie. Ciśnie nas głęboko w nowy wszechświat.

– Więc co mam zrobić?

– Żeby przebić się przez brzeg potencjału, musimy zwiększyć naszą energię kinetyczną, zanim uderzymy w obszar osobliwości. Będziesz musiała operować napędem nieciągłości równoległe z napędem superprzestrzennym. Ten ułamek sekundy między skokami, kiedy będziemy w normalnej przestrzeni, wystarczy, żebyśmy wykorzystali nasze zwykłe przyspieszenie.

Pot ciekł ciurkiem po twarzy Prządki Powrozów, zbierając się pod oczami. Nagle zdała sobie sprawę, że się boi, lecz nie osobliwości czy tego, co może być dalej, ale spadania!

– To śmieszne, Lieserl. Jak według was dam sobie radę? Co ja jestem, jakiś pajak pracujący wszystkimi kończynami?

Lieserl roześmiała się.

– Hm, wybacz, Prządko. Przecież wiesz, że sami tu improwizujemy...

– Nie dam rady.

– Wiem, że dasz.

– Skąd wiesz?!

Lieserl milczała przez jedną, brzemiennej chwilę. W końcu powiedziała:

– Ponieważ masz pomoc. Prawda, Prządko?

I Prządka Powrozów kolejny raz poczuła, jak silna dłoń Michaela Poole'a zaciska się na jej dłoni, dodając jej pewności siebie.

Skrzydła napędu nieciągłości rozwinęły się za ogromną kopułą mieszkalną, potężne i pełne wdzięku.

– Pociesz się, Prządko, że kiedy uderzymy w obszar osobliwości, będzie niezły widok – rzekła Lieserl. – Nastąpi pojedynczy wybuch fal grawitacyjnych, kiedy wytracimy nasze promieniowanie



wzbudzone nurkowaniem kerrowskim...

Obszar osobliwości poszerzał się; miał wygląd dysku mieniącego się światłem. Otwierał się jak usta.

– Michael, czy w tym nowym wszechświecie będą fotinowe ptaki?

*Nie wiem, Prządko.*

– Czy będą xeelee?

*Nie wiem.*

– Chcę, żebyś poleciał ze mną.

*Nie mogą. Wybacz. Podtrzymujące mnie funkcje falowe nie przechodzą przez obszar osobliwości.*

Myśliwce xeelee uwijały się wokół klatki, wdzięcznie pracując skrzydłami. Wypełniały kosmos do granic nieskończoności, wspaniałe nawet w tym miejscu, w sercu ich ostatecznej klęski. Obszar osobliwości rozkładał się w dole jak morze srebrnego światła.

Materiał konstrukcyjny kabiny i skrzydeł myśliwca zaczął gorzeć, rozżarzony do białości.

Michael Poole odwrócił się i lekko skinął głową. Blask rozżarzonego materiału konstrukcyjnego przenikał jego przezroczystą twarz, tak że mężczyzna wyglądał niczym świetlna *rzeźba*. Otworzył usta, może chciał coś powiedzieć, ale nie usłyszała nic. Światło pochłonęło go całego.

– Leć ze mną! – krzyknęła.

Nagle, w jednej chwili, objęła ją osobliwość. Krawędzie obszaru rozchyliły się gwałtownie i runęła bezwolna w przyćmione gwiazdne światło.

Skulona przyciskała ręce do piersi, a wytarty grot wbił się między nie, otwierając źródło człowieczego bólu.

## Rozdział 33

Ciemność objęła kopułę mieszkalną.

Odgłosy dżungli pod nogami Louise były przytłumione, jakby zapadła noc... lub nastąpiło zaćmienie Słońca.

Kopuła wydała potężny jęk. Można by pomyśleć, że znalazła się w piersi jakiegoś wielkiego cierpiącego zwierzęcia. To było naprężenie kadłuba; zmiana koordynantów, kiedy statek przecinał obszar osobliwości.

„A więc wlecieliśmy w nowy kosmos – pomyślała Louise. – Czy najgorsze za nami?”

Czuła się jak zwierzę, bezradne i nagie pod burzowym niebem.

Lieserl mówiła, że cała historia człowieka zostanie wciśnięta w tę jedną rozedrganą chwilę. Jeśli się nie myliła, być może życie Louise i krwawa epopeja ludzkości skończą się, nim zaczerpnie oddechu.

...Niemniej Louise dojrzała, że niebo poza kopułą nie było całkiem czarne. Pojawiły się tam nieuchwytnie, prawie niedostrzegalne cętki szarości. Kiedy podniosła wzrok ku tej bezbarwnej pomroce, miała wrażenie, że wpatruje się w naczynie krwionośne widziane pod zaciśniętą powieką; ogarnęło ją niepokojące uczucie nierealności, jakby jej ciało – i „północna”, i cała bezradna załoga – zostało pochowane żywcem w jej obrzydliwie rozrośniętej głowie.

Kiedy rozległ się przeraźliwy szelest, jaki zwykle towarzyszy potarciu zapałki, Louise krzyknęła.

Z ciemności wyłoniła się twarz Marka, widowiskowo podświetlona migocącym płomykiem. Rozległ się śmiech Lieserl.

– Na Letę! – odezwała się zde gustowana Louise. – Nawet w takiej chwili nie możesz powstrzymać się od popisów, Mark?

– Wybacz – odparł, uśmiechając się chłopięco. – Hm, dobra wiadomość brzmi, że wszyscy jeszcze żyjemy. I – nieco się zawahał – nie znajduję żadnych odchyleń od stałych fizycznych naszego Wszechświata. Wygląda na to, że może uda się nam tu przeżyć. W każdym razie, przez jakiś czas...

– No tak, ale jeśli ten wszechświat jest tak oszałamiająco podobny do naszego, to gdzie są gwiazdy?! – parsknęła Lieserl.

Kopuła mieszkalna zaczęła się rozjaśniać; Mark włączył programy wzmacniające obraz. Ta chwila przypominała wschód Słońca, tyle że światło nie zabłysło nad żadnym „horyzontem” kopuły; po prostu rozświetliło mętną czerń otaczającą ich ze wszystkich stron.

Po krótkiej chwili obraz się ustabilizował.

Louise natychmiast spostrzegła gwiazdy. Ale to były olbrzymy – ogromne, pełne wigoru, oślepiające ciała niebieskie, z których każde mogło połknąć sto Słońc. W niczym nie przypominały rozdętego trupa gwiazdy ludzkości.

Wypełniały niebo, niemal spychając jedno drugie na bok. Kilka z nich było na tyle blisko, że rozróżniała ich dyski: gładkie, białe plamy światła.

Zdała sobie sprawę, że w całym jej Wszechświecie nie było takich widoków.

Stojąca obok Lieserl westchnęła.

– Oooch! – westchnęła również Louise.

# CZEŚĆ SZÓSTA

## NOWE SŁOŃCE

## Rozdział 34

Światło Nowego Słońca odbijało się od przezroczystego kadłuba kapsuły, stabilne, oślepiające. Louise przyglądała się Markowi, Prządce Powrozów i Jutrzejszemu Dniowi, kiedy zachłannie wpatrywali się w nowy kosmos. Kapsuła powoli wirowała wokół swojej osi, a jarzący się krąg młodych lamp nowego wszechświata zalewał profile ludzi i wirtuala intensywnym brylantowym blaskiem.

Na nowe słońce załoga *Północnej* wybrała typowego członka alternatywnego kosmosu, szczególny OWM, obiekt wielkomasowy, gwiazdę o masie tysiąc razy większej od Słońca. Przesuwała się przez halo galaktyki poza głównym dyskiem. Nowe Słońce otaczały wielkie skorupy materii – wyemitowanej, kiedy gwiazda była jeszcze młodsza – oddalające się od niego z prędkością podświetlną.

Sama „Wielka Północna” wisiała parę kilometrów dalej. W ostrym, bezbarwnym świetle Nowego Słońca Louise widziała obfite zarysy kopuły mieszkalnej i smukły, ciemny kształt nocnego myśliwca xeelee, nadal przyczepionego do podstawy kopuły – dostrzegła również wyraźną rysę na kadłubie, pozostałą po zderzeniu z odcinkiem struny kosmicznej.

Podniszczony statek przesunął się po orbicie Nowego Słońca tak ostrożnie jak niegdyś lodowe komety okrążające Słońce ludzkości. Ta orbita była jednak tak rozległa, że tutejszy „rok” miał ponad milion lat ziemskich. Światłość OWM uległa zmniejszeniu z powodu odległości i była porównywalna ze światłością Słońca. Ale nawet w tych warunkach nie dało się pomylić OWM ze skromną gwiazdą typu G, jaką było Słońce. OWM miał średnicę tylko dziesięć razy większą niż stare Słońce, tak że przy tej ogromnej odległości widniał na niebie pod postacią świetlnego punktu lecz jego fotosfera była sto razy gorętsza od Słońca. Ten oślepiający punkt wisiał w ciemności, a zbyt długa obserwacja nieuzbrojonym okiem groziła uszkodzeniem siatkówki.

Z zewnątrz *Północna* wyglądała zupełnie tak samo jak podczas swojej długiej, niesamowitej historii; światła statku jaśniały wyzywająco, na tle nowego płomienistego kosmosu, a dżungla tworzyła splachetek ziemskiej zieleni, kwitnącej w filtrowanym świetle Nowego Słońca. W środku jednak statek przeszedł głęboką metamorfozę. Rok po przebyciu pierścienia kopuła zamieniła się w fabrykę produkującą materię egzotyczną i zastęp powolnych stateczków czerpaków.

Jutrzejszy Dzień, stojący obok Louise, mrugał oślepiony światłem Nowego Słońca. Kiedy osłaniał dłonią oczy, cienie palców wyraźnie odbijały się na bladej, skrzywionej twarzy. Dostrzegł wzrok Louise.

– Nie ma co, jest inaczej – stwierdził ponuro.

Uśmiechnęła się.

– Jeśli kiedyś zbudujemy sobie tu świat, to bez słońca na niebie. Za dnia będziemy mieli to punktowe źródło światła, jaśniejące niczym wieczna supernowa. Cienie będą długie i czarne... a nocą niebo będzie świecić. Trudno będzie się do tego wszystkiego przyzwyczaić.

Spojrzał na nią ostro.

– Ciężko będzie chyba tym, którzy pamiętają Ziemię – powiedział. – Ale szczerze mówiąc, nie ma was już zbyt wielu...

Obrót kapsuły sprawił, że Nowe Słońce znikło z pola widzenia, skryło się poniżej horyzontu. Nad głowami patrzących powoli, majestatycznie wyłoniły się światła nowej galaktyki.

Tworzyła płaską elipsę, ale wydawała się karlicą w porównaniu z wielkimi galaktykami po drugiej stronie pierścienia; ten układ gwiazd o masie miliarda słońc osiągnął rozmiary jednej setnej Drogi Mlecznej czy Andromedy i był niewiele większy od Obłoku Magellana, niedużej galaktyki towarzyszącej Drodze Mlecznej. A ponieważ przeciętne rozmiary tutejszych gwiazd przekraczały stokrotnie rozmiary obiektów gwiazdowych Drogi Mlecznej, ta galaktyka miała ich tylko sto milionów, podczas gdy Droga Mleczna sto miliardów... Jednakże każda gwiazda nowego wszechświata była oślepiająco białym OWM, przez co galaktyka ta tworzyła dywan białych punktów światła kłujących w oczy. Miało się wrażenie, że ogląda się dziesięć milionów szlachetnych kamieni rozłożonych na aksamitnym płaszczu.

Wszechświat ten był pełen jednobarwnych miniaturowych galaktyk; wypełniały przestrzeń kosmiczną, rozrzucone przypadkowo, ale jednolicie, we wszystkich kierunkach. Kosmos był tu bardzo młody – zbyt młody na to, aby czas zdążył uformować gromady i supergromady galaktyk, ściany i pustki, które pewnego dnia miały zdominować przestrzeń.

Jutrzejszy Dzień niespokojnie wpatrywał się w odległą galaktykę. Bezwiednie przycisnął ręce do brzucha.

– Jutrzejszy Dniu, dobrze się czujesz?

– Świetnie – odparł bez przekonania. – Chyba ta siła odśrodkowa trochę na mnie działa.

Louise poklepała go po dłoniach.

– Prawdę mówiąc, to zapewne siła Coriolisa, odśrodkowa. Ale nie powinieneś przejmować się rotacją kapsuły – powiedziała. – A tak dokładnie, to powinieneś się cieszyć, że masz chorobę lokomocyjną – dodała po chwili namysłu.

Jutrzejszy Dzień uniósł wygolone brwi.

– Czyżby?

– Dzięki temu wiesz, że tu jesteś. W tym nowym wszechświecie...

Louise wyjaśniła mu, że fizyka jest wyrazem podstawowych symetrii. A symetrie między układami odniesień zaliczają się do najpotężniejszych.

Jutrzejszy Dzień miał sceptyczną minę.

– Ale jaki to ma związek z chorobą lokomocyjną w przestrzeni kosmicznej?

– Hm, posłuchaj: tu panuje szczególny rodzaj symetrii. Kapsuła obraca się w środku stacjonarnego wszechświata. Tak więc czujesz siły odśrodkowe proste i Coriolisa, złożone. Przyprawiają cię o mdłości. Ale co z symetrią? Przeprowadź w myślach taki eksperyment: wyobraź sobie, że w środku rotującego wszechświata tkwi stacjonarna kapsuła. – Uniosła dłonie ku galaktyce obracającej się nad nimi. – Jak odkryłbyś różnicę? Gwiazdy wyglądałyby tak samo, poruszając się wokół kapsuły.

– I czulibyśmy ten sam ruch wirowy?

– Tak, jak najbardziej. Też byłoby ci niedobrze.

– A skąd pochodziłyby siły, których działania doświadczalibyśmy?

Uśmiechnęła się.

– Tu kryje się istota sprawy. Byłyby spowodowane dryfem inercyjnym obracającego się

wszechświata; dryfem wywołanym przez opływającą cię wielką rzekę gwiazd i galaktyk. Więc nie powinieneś się martwić ani wstydzić z tego powodu, że masz mdłości. Tak działa na ciebie twój nowy wszechświat, szczypiący palcami dryfu inercyjnego.

Uśmiechnął się słabo i przeciągnął dłonią po nagiej, spoconej czaszce.

– No cóż, dzięki za wyjaśnienie – powiedział. – Ale jakoś wcale nie czuję się lepiej.

Prządka Powrozów i Mark siedzieli na fotelach obok Louise i Jutrzejszego Dnia. Mark pochylił się ku nim.

– A powinieneś. Fakt, że ogólna teoria względności ma tu zastosowanie, więcej, że wszystkie znane nam prawa działają, to zapewne powód, iż wciąż żyjemy.

Prządka prychnęła. Światło OWM odbijało się od grotu, który nadal nosiła między piersiami.

– Może. Ale jeśli ten wszechświat jest tak cholernie podobny, to nie pojmuję, czemu miałby być tak bardzo inny. Rozumiecie, o co mi chodzi?

Mark rozłożył dłonie i odchylił w tył głowę, spoglądając na karłowatą galaktykę.

– Jedyna prawdziwa różnica, Prządko, wynika z punktu widzenia. Wszystko to tylko problem czasu.

Prządka Powrozów zmarszczyła brwi.

– Jakiego znów czasu? – Jej okrągła, przysłonięta okularami twarz wyrażała przejęcie, ale Louise zauważyła, że bez końca wykręcała dłonie splecione na podołku, które wiły się jak para ruchliwych zwierzątek.

„Zbyt wiele dni i nocy w kabinie nocnego myśliwca – pomyślała Louise. – Zbyt wiele bodźców naraz...”

Prządka Powrozów po opuszczeniu kabiny wyglądała całkiem zdrowo i Mark zapewnił Louise, że jej psychika nie uległa zachwianiu. Nawet iluzja, jakoby rozmawiała z Michaeliem Poole'em z którą rozstała się, pokonawszy pierścień – być może miała jakieś niepojęte podłoże w rzeczywistości.

Wszystko to świetnie brzmiało, ale Louise wyczuwała, że Prządka Powrozów nie otrząsnęła się po tamtych przejściach. Nie była w pełni sobą. Potrzebowała czasu – może dziesiątków lat aby uwolnić się od skutków napięć. I Louise postanowiła z determinacją, że Prządka Powrozów dostanie tyle czasu, ile okaże się konieczne.

– Prządko, ten wszechświat jest jak nasz. Z tym wyjątkiem, że ma około dwudziestu miliardów lat mniej – powiedział Mark.

– To kosmos w niemowlęctwie. Wyłonił się z wielkiego wybuchu niecały miliard lat temu. I jest mniejszy. Tu czasoprzestrzeń nie zdążyła rozwinąć się jak nasz stary Wszechświat, tak że ten kosmos jest jakieś sto razy mniejszy. A gwiazdy...

– Tak?

– Prządko, to są pierwsze gwiazdy, jakie tu zaświeciły. Żadna z nich nie ma więcej niż milion lat.

Właśnie tutaj z pierwotnej nukleosyntezy osobliwości wyłoniły się chmury wodoru i helu, z lekka zanieczyszczone cięższymi elementami. Nowe niebo było ciemne, oświetlone jedynie gasnącym promieniowaniem, które wyłoniło się z osobliwości. Następnie chmury gazowe zebrały się w protogalaktyczne skupiska, każda o masie miliarda słońc. Niestabilności termalne doprowadziły do dalszego kolapsu protogalaktyk, z których powstały węzły o masie stu słońc lub więcej.

Niebawem pierwsze z tych jasno świecących gwiazd rozblęły na niebie – jarzące się giganty, niektóre o masie miliona słońc.

Niebo z wolna się rozświetliło.

– Te gwiazdy rodziły się w wyjątkowy sposób, ponieważ były pierwsze – tłumaczył Mark. – Poprzednio nie było gwiazd. Tak więc protogalaktyki były o wiele gładziej – żar i grawitacja wcześniejszych pokoleń gwiazd nie skłębiły chmur gazowych. I gaz nie zawierał ciężkich elementów. Te ostatnie ochładzają młode gwiazdy, przez co zmniejszają ich rozmiary. Dlatego te noworodki są takie ogromne. Nazywamy je gwiazdami populacji trzeciej, Prządka, lub OWM, obiektami wielkomasowymi.

– Jeśli są takie ciężkie, to nie jest im chyba sędzone przetrwać tak długo jak gwiazdom typu naszego Słońca – zauważyła Prządka.

Louise spojrzała na nią z uznaniem.

– Bystre spostrzeżenie, Prządka. Masz rację. OWM szybko zużywają swoje paliwo wodorowe. Każdy pozostanie w głównym ciągu zaledwie kilka milionów lat – w najlepszym razie dwa lub trzy. Natomiast Słońce powinno przetrwać dziesiątki miliardów lat, gdyby nie pasożytnictwo fotonowych ptaków.

– Co wtedy? – spytała Prządka. – Co zrobimy, kiedy Nowe Słońce zgaśnie?

Jutrzejczy Dzień uśmiechnął się.

– Wtedy, jak sądzę, polecimy dalej, do następnej gwiazdy i do następnej, i do następnej... Będzie czas się nad tym zastanowić, Prządka.

Nowe Słońce znów wylaniało się nad kadłubem kapsuły. Cała czwórka instynktownie odwróciła się ku niemu, biel gwiazdy wygładziła starcze zmarszczki i starła zmęczenie z twarzy.

– Prawdę mówiąc, gwiazda, którą wybraliśmy, Nowe Słońce, jest już w mocno zaawansowanym wieku. Wkroczyła w drugą fazę istnienia – powiedział Mark. – Zapewne nie zostało jej więcej niż trzy czwarte miliona lat życia.

Prządka Powrozów zmarszczyła brwi.

– To jakaś głupota. Czemu nie wybrać młodej gwiazdy i nie przenieść się na nią wtedy, kiedy to jeszcze możliwe? Przecież niewykluczone, że kiedy Nowe Słońce umrze, nie będziemy mogli odlecieć.

– Prządka – objaśniał cierpliwie Mark – potrzebujemy starszej gwiazdy.

Gwiazda nazwana Nowym Słońcem zbliżała się do końca drugiej fazy swojej egzystencji. Podczas pierwszej wypaliła wodór, zamieniając go w hel. Teraz z kolei hel wchodził w reakcje termojądrowe i deszcz bardziej złożonych elementów tworzył nowe jądro: głównie tlen, ale także neon, krzem, węgiel, magnez i inne.

A później, w trzeciej fazie, kiedy zaczną płonąć tlen, gwiazda umrze... chociaż nie było wcale pewne, w jaki sposób to się stanie.

– Wspaniale – podsumowała Prządka Powrozów. – A my umrzemy razem z nią.

– Nie – rzekł z powagą Mark. – Prządka Powrozów, my umrzemy bez niej. Nie rozumiesz tego? Nowe Słońce jest pełne tlenu...!

Jutrzejczy Dzień wskazywał na coś ręką, wyraźnie podniecony.

– Spójrz. Spójrz! Oto tunel czasoprzestrzenny... Chyba już czas.

Louise odwróciła się na fotelu.

Nowy obiekt wyłonił się nad obracającym się horyzontem kapsuły, znana forma interfesju tunelu czasoprzestrzennego. Miał zaledwie dziewięćdziesiąt metrów szerokości – o wiele mniej niż szeroki na półtora kilometra gigant, którego *Północna* holowała przez inną czasoprzestrzeń – ale jak ogromny



kuzyn z przeszłości miał klasyczny czworościenny kształt, jego krawędzie z materii egzotycznej lśniły neonowym blaskiem, a ściany jarzyły się barwą starego złota. Kilkanaście stateczków-czerpaków cierpliwie oczekiwało wokół niego.

Louise poczuła piekące łzy; otarła je niecierpliwie. „Już coś tutaj zbudowaliśmy – pomyślała. – Już zmieniamy ten wszechświat”.

– Gdyby tu były planety, moglibyśmy na nich wylądować i spróbować terratransformacji – odezwał się Mark. – Ale nie ma planet. Nigdzie. To bardzo młody wszechświat. Są jedynie śladowe ilości ciężkich pierwiastków, wszędzie poza wnętrzem protogwiazd. Nie ma księżyców, komet, asteroid... Brakuje surowców, z których można coś zbudować. Naszą jedyną kopalnią jest *Północna* i to, co przywieźliśmy sami. Nie możemy nawet odświeżać atmosfery.

– Tak więc eksplorujemy gwiazdę – powiedział Jutrzejszy Dzień, kiwając głową.

Drugi interfejs tunelu spuszczonego do środka Nowego Słońca. Lieserl towarzyszyła mu, tak jak kiedyś innemu interfejsowi zrzuconemu do wnętrza Słońca. Niebawem wzbogacone gazy miały wytrysnąć z serca nowej gwiazdy w przestrzeń kosmiczną – tu, z dala od żaru Nowego Słońca.

Statki-czerpaki wyposażone były w pochłaniacze z pól magnetycznych, zbierające miliony kilometrów sześciennych pyłu gwiazdowego. Kiedy tunel ruszy, pochłaniacze zaczną przesiewać nieliczne bryłki cennych ciężkich związków.

– Najważniejsze dla nas są gazy atmosferyczne – stwierdził Mark. – Podczas zderzenia ze struną utraciliśmy sporo rezerwy recyklingowej. Jeszcze jeden taki upływ i będziemy skończeni.

– Czy w gwieździe są wszystkie potrzebne nam gazy?

– Hm, jest dużo tlenu, Prządko – odparła Louise. – Ale nie dosyć. Zaś atmosfera wypełniona tylko tlenem nie jest zbyt stabilna, grozi zapaleniem. Potrzebujemy neutralnego gazu buforowego, który stworzy ciśnienie rzędu setek milibarów, potrzebne nam do przeżycia.

– Na przykład azotu – powiedziała Prządka Powrozów.

– Tak. Ale w Nowym Słońcu nie ma za wiele azotu. Zamiast niego skorzystamy z neonu...

– Możemy uzupełnić nasze inne zapasy. Wykorzystać tlen do wyrobu wody i pokarmu.

– Stać nas na więcej, Prządko – rzekł Mark. – W dłuższej perspektywie będziemy zdolni pozyskiwać cięższe pierwiastki: magnez, krzem, węgiel – może nawet żelazo. Są obecne tylko śladowo w Nowym Słońcu, ale są. Możemy zbudować flotę „Północnych”, jeśli wystarczy nam cierpliwości. Możemy nawet stworzyć skały.

Prządka Powrozów spojrzała na Nowe Słońce i błysk światła, migocący w jej oczach, sprawił, że wydała się bardzo młoda.

– Mróz przechodzi po kościach, kiedy się pomyśli, że jesteśmy sami w tym wszechświecie – oświadczyła i dodała: – No, może są tu jeszcze xeelee. Kiedyś takie gwiazdy płonęły w naszym Wszechświecie, ale wszystkie wygasły, rozpadły się na długo przed tym, zanim ludzie stali się świadomi. Być może przetrwamy tu miliony lat. Ale w końcu wymrzemy. Nowe Słońce i wszystkie inne gwiazdy ulegną samozagładzie. Kiedyś we wzbogaconych galaktykach powstanie nowe pokolenie gwiazd, takich jak Słońce. I chyba pojawi się gatunek inteligentnych istot... Ale dopiero miliardy lat po wymarciu naszej rasy.

Odwróciła się do Louise. Szeroko otwarte oczy, niespokojny wyraz twarzy świadczyły o niepewnej równowadze psychicznej. Wyłamywała palce i bawiła się nerwowo grotem strzały.

– Louise, nic, co tu zbudujemy, nie przetrwa takiego czasu. Nie zachowa się żaden pomnik naszej działalności, żaden zapis. Zostaniemy zapomniani. Nikt nigdy nawet się nie dowie, że tu byliśmy.

Louise sięgnęła przez oparcie fotela i ujęła dłonie Prządki Powrozów w swoje dłonie uspokajającym ruchem. Kolejny raz poczuła się odpowiedzialna za jej stan.

– To nieprawda – powiedziała łagodnie. – Nadal tu będziemy. Te OWM zostawią ślady energii na tle promieniowania mikrofalowego – szczyty na gładkich falach promieniowania. Podobne ślady znajdowały się w spektrum mikrofalowym naszego Wszechświata – stąd wiemy o istnieniu naszych dawnych OWM. I takie same ślady, pamiątki tej ery, zachowają się w tym kosmosie. Tutejsze protogwiazdy wzbogacą substancję młodych galaktyk ciężkimi pierwiastkami. Bez tych ciężkich elementów gwiazdy w rodzaju starego Słońca nigdy by się nie uformowały... i my będziemy częścią tego wzbogacenia, Prządko Powrozów, drobnym śladem, atomami, które utworzą inny wszechświat.

Prządka zmarszczyła czoło.

– Drgnienie mikrofalowego tła? Tyle po nas zostanie?

– To może wystarczyć, by ludzie przyszłości dowiedzieli się o naszym istnieniu. A poza tym niewykluczone, że mamy przed sobą miliard lat. Dość czasu, żeby coś wymyślić. – Poglądziła dłonie Prządki. – To może potrwać, ale jesteśmy w stanie zbudować sobie planetę na krawędzi tej studni grawitacyjnej Nowego Słońca. – Uśmiechnęła się. – Może uda się stworzyć ocean na tyle rozległy, by *Wielka Brytania* znów wypłynęła na szerokie wody? Co rzekłby na to stary Isambard? I...

– Nie – przerwał jej łagodnie Jutrzejszy Dzień.

Zaskoczona Louise odwróciła się do niego. Wygolona czaszka podkreślała wyraz pewności siebie na ściągniętej gładkiej twarzy, rozświetlonej Nowym Słońcem.

– Co powiedziałeś? – spytała Louise.

– Planety są mało użyteczne, Louise. Owszem, jeśli się już je ma, są wygodnymi platformami. Ale... budować planetę? Po co zakopywać tę całą z takim trudem wydobywaną materię pod zamieszkaną powierzchnią?

Louise nie potrafiła ukryć zdziwienia i irytacji, kiedy spostrzegła, że Mark wpatruje się w nią z szerokim uśmiechem.

– Ale jaką mamy alternatywę?

– Możemy budować konstrukcje w przestrzeni: pierścienie, sfery. Istota sprawy to zmaksymalizowanie powierzchni mieszkalnej przy danej masie. Louise, planeta sferyczna daje maksimum miejsca.

Louise przyjrzała mu się z ciekawością. Blandość wychudzonej twarzy nadal zdradzała, że cierpi na chorobę lokomocyjną, ale przemawiał z wigorem, precyzją, której wcale się po nim nie spodziewała. Czy to możliwe, że po stuleciach ucisku ducha i ciała ten człowiek podniósł w końcu głowę?

Mark nadal uśmiechał się do niej.

– Tak to jest, Louise. Ty i ja wyrosliśmy na obiektach stworzonych z niczego w kosmicznej pustce, toteż nadal myślimy w kategoriach odbudowywania tego, co utraciliśmy. Lepiej usuńmy się na bok i zostawmy przeszłość tej bystrej młodzieży.

Przyłapała się na tym, że też uśmiecha się szeroko.

– W porządku, niech będzie, że masz rację – szepnęła. – Ale Jutrzejszy Dzień w roli bystrego młodzieńca...?

– Może po prostu zbudujemy statki – powiedziała z przejęciem Prządka. Całe armady. Możemy po prostu latać, po co w ogóle lądować? Możemy zająć tę przestrzeń. A jeśli xeelee już tutaj są? W końcu przelecieliśmy ich przejściem. Moglibyśmy ich poszukać...

Mark podrapał się po podbródku.

– To dobry plan, Prządko. Wiesz, myślę, że Garry Uvarov byłby z ciebie dumny.

Spojrzała na niego z oburzeniem. Wysunęła ręce z uścisku Louise i przez chwilę – z tą pręgą szkarłatnej farby na twarzy i w okularach migocących w blasku Nowego Słońca – przypominała dawną małą dzikuskę.

– Może i byłby – parsknęła. – Ale co z tego? Garry Uvarov to nie był bóg, nie stworzył mnie. Był szalonym ciemieżcą.

Louise wzruszyła ramionami.

– Być może masz rację, był szalony... i kapryśny. Ale miał też przenikliwy umysł, nie cofający się przed pomysłami, które wydawały się nam obrazoburcze. Nigdy, w żadnej sytuacji, nie uciekał od prawdy, bez względu na to, jak była niewygodna...

Uvarov nie zasługiwał na to, aby umrzeć, ślepy i samotny, w odległej, opuszczonej przez ludzi przyszłości.

I może za motywami jego wielkiego eugenicznego eksperymentu kryły się jakieś racje. Chociaż samym metodom, oczywiście, trudno było przyklasnąć... Jednak całkiem możliwe, iż naturalna nieśmiertelność, niezależna od technologii, to prawdziwy cel gatunku ludzkiego.

Louise zdawała sobie sprawę, że ona i jej załoga włożyli ogromny wysiłek w to, aby uchronić żywych ludzi. Nie wysłali zapisków historii ani wirtualnego obrazu człowieka; przywieźli ludzi, ze wszystkimi ich błędami, plusami i minusami, i kłopotliwą cielesnością. A teraz, kiedy odnieśli sukces, nadszedł pewnie czas na rozwój gatunku, na przekroczenie granic ducha i ciała, które w końcu doprowadziły do wymarcia ludzkości w starym, porzuconym Wszechświecie.

Zastanawiała się, czy za kilka generacji potomkowie Prządki będą rzeczywiście podróżować przez nowy wszechświat w swoich lśniących statkach. Być może wtedy spotkają się z xeelee, i to jak równy z równym, być może będą silni, nieśmiertelni – i wolni od szaleństw.

– ...Zaczyna się! – powiedział Jutrzejszy Dzień napiętym, wysokim głosem. Wyciągnął dłoń i rękaw zjechał mu z przedramienia. – Patrzcie!

Gaz trysnął ze wszystkich ścian interfejsu nagłą eksplozją światła. Topiąc się w wyniku reakcji termojądrowej, tworzył szybko rosnącą chmurę, która oddawała temperaturę. Interfejs przybrał postać płonącego jądra ożywionej gazowej rzeźby.

Rozszczepione światło skapało kapsułę. Można by pomyśleć, że na krawędzi studni grawitacyjnej Nowego Słońca rozbłysła nowa gwiazda. Bezzałogowce błyskawicznie otworzyły elektromagnetyczne pochłaniacze i wsunęły się w jaśniejącą, coraz szerszą chmurę.

– Na wody Lety – szepnął Jutrzejszy Dzień. – Ale piękny. Jak kwiat.

– Jeszcze piękniejszy – powiedział uśmiechnięty Mark. – Jest cudny, bo, cholera, działa! – Odwrócił się do Louise. Niebieskie oczy mu błyszczały, twarz tryskała energią i młodością. – Louise, wydaje mi się, że jednak uda się nam przetrwać.

Louise dotknęła instrumentów sterujących kapsuły. Niebawem mieli pozyskać pierwsze ładunki gazu atmosferycznego. Domy czekały na zbudowanie. Czas wrócić na *Północną* i zabrać się do pracy.

„Życie potoczy się dalej, jak zawsze skomplikowane, zabałaganione i cudowne” – pomyślała.

Lieserl kolejny raz rozłożyła ramiona i poszybowała wewnątrz gwiazdy. Ale teraz miejscem jej igraszek nie był marny żółty karzeł typu G w rodzaju Słońca; to było Nowe Słońce – nadolbrzym,

uratowany dla niej z brzasku czasu, liczący całe piętnaście milionów kilometrów średnicy.

„Na wody Lety – pomyślała – zapomniałam, co to za cudowne uczucie i jakim więzieniem może być ludzkie ciało... Urodziłam się po to, aby przeżywać takie chwile”.

Wzniosła się ku fotosferze – powierzchnia gwiazdy było gazowym murem, płonącym w temperaturze setek tysięcy stopni a następnie zanurkowała w jądro, krzycząc z uciechy. W Słońcu termojądrowe centrum zajmowało najwyżej kilka procent średnicy. Tu jądro było gwiazdą! Rozciągało się niemal do samej fotosfery. Procesy termojądrowe zachodziły wszędzie. Wszędzie wokół hel przekształcał się w tlen, wyrzucając niesłychane ilości energii cieplnej w nieprzepuszczalne warstwy. Reagowały na to przeogromne komórki konwekcyjne – niektóre z nich tak wielkie, że mogłyby połknąć Słońce – i pędziły przez wnętrze.

Ta gwiazda miała zaledwie kilka milionów lat. Ale już – ku niezmiernemu żalowi Lieserl – przeszła jedną z najbardziej interesujących faz swojej egzystencji.

Poprzednio gwiazda utworzyła kulę spalającego się wodoru, dwa tysiące razy cięższą niż Słońce. Były tam też komórki konwekcyjne, które doprowadzały to wielkie ciało niebieskie do niestabilności; oddychało ono, nabrzmiewało i kurczyło się o całą jedną dziesiątą średnicy w ciągu dnia. Niestabilność rosła, czego rezultatem było w końcu wyrzucenie w przestrzeń ogromnych skorup; przypominało to serię wybuchów gwiazd przechodzących w supernowe; *Północna* przebiła się przez te skorupy, zbliżając do swojej orbity wokół Nowego Słońca.

Tymczasem jądro helowe rosło; stopniowo się kurczyło i rozgrzewało.

Wreszcie osiągnęło połowę pierwotnej masy OWM – tysiąc razy większą niż masa Słońca. I okołojądrowa skorupa wodorowa zapaliła się.

W ciągu paru godzin spłonęła ilość materii równa masie trzech Słońc, oddając przy tym energię, która wystarczyłaby do ogrzania Słońca przez miliard lat. Podmuch eksplozji rozdarł nadal płonącą otoczkę, tworząc kolejną rozszerzającą się skorupę wokół resztek helowej gwiazdy.

Teraz, kiedy Lieserl frunęła przez gwiazdę, hel z kolei przekształcał się w tlen, który nawarstwiał się w jądrze. W końcu tlen się zapali. A wtedy...

Wynik tego procesu nie był oczywisty. Procesory Lieserl opracowywały rozwiązania; zbierały dane, rozwijały scenariusze. Wszystko zależało od krytycznych wartości masy gwiazdy. „Jeśli masa będzie wystarczająco niska, gwiazda może przetrwać przez wiele milionów lat, a jej średnica będzie oscylować powoli... i w sposób bardzo nudny” – pomyślała Lieserl. Ale przy nieco większej masie gwiazda może ulec zniszczeniu podczas eksplozji supernowej a przy jeszcze większej zapaść się, tworząc czarną dziurę.

Lieserl badała napływające dane. Niebawem miała się dowiedzieć, co nastąpi. Poczwała dreszcz podniecenia. Jeśli gwiazda była niestabilna, koniec nastąpi niebawem, za milion lat. A wówczas...

– ...Lieserl.

Głos Louise Ye Armonk wdarł się w jej myśli. „Niech to szlag!” – zakląła w duchu. Uniosła ramiona nad głowę i zanurkowała w wielką konwekcyjną fontannę; topiąca się materia gwiazdowa opływała wirtualne ciało, rozgrzewając je intensywnie.

Ale nie mogła uciec przed głosem Louise, tak jak nie udawało się jej to w przypadku Kevana Scholesa.

– Daj spokój, Lieserl. Wiem, że mnie słyszysz. Monitoruję twoje linki danych, nie zapominaj...

Lieserl westchnęła.

– W porządku, Louise. Tak, słyszę cię.

– Lieserl... – Louise zawałała się.

– Wydaje mi się, że wiem, co chcesz powiedzieć, Louise.

– Tak. Spodziewałam się tego – warknęła Louise. – Lieserl, jesteśmy ci wdzięczni, że poleciałas do Nowego Słońca z nowym interfejsem tunelu. I przysyłasz nam niesamowite dane. Ale...

– Tak, Louise?

– Lieserl, nie zostawiłaś swojej kopii zapasowej.

– Ach. – Lieserl uśmiechnęła się i zamknęła oczy. Strumień neutrin z serca Nowego Słońca otarł się o jej twarz, delikatny jak skrzydła motyla. – Byłam ciekawa, kiedy to zauważycie.

– Do cholery, Lieserl, tam jest twoja jedyna kopia!

– Wiem. Czy to nie cudowne?

– Nie rozumiesz. Co będzie, kiedy ci się coś stanie? – ciągnęła z naciskiem Louise. – Lieserl, do tej pory nigdy nie spuszczałyśmy interfejsu tunelu czasoprzestrzennego do środka OWM. Nie jesteśmy pewni, co się wydarzy.

– Tak. No cóż, zanim nastał mój czas, nikt jeszcze nie wrzucił interfejsu do Słońca. Historia lubi się powtarzać, prawda?

– Do cholery, Lieserl. Zrozumże, możesz tam umrzeć.

– Myślisz, że o tym nie wiem? Nie rozumiesz... że o to właśnie chodzi?

Louise nie odpowiedziała.

– Louise, jestem bardzo stara. Patrzyłam, jak gwiazda, pod którą się urodziłam, starzeje się i umiera. Jestem wam wdzięczna, że wyciągnęliście mnie ze Słońca; oddałabym... oddałabym pół mojej pamięci, żeby nie stracić lotu przez pierścieni. Ale, Louise, nie wydaje mi się, żebym mogła nadal być człowiekiem... nawet w postaci wirtualnej kopii. I nie chcę budować nowych światów... to jest dla Prządki Powrozów, Łowczyni Żab i Zdobicielki Twarzy i ich dzieci z dżungli i z pokładów. To nie dla mnie.

– Lieserl, czy chcesz umrzeć?

– Och, Louise. Już raz umarłam – tak przynajmniej sądzą – i nawet tego nie poczułam. Nie chcę przechodzić przez to jeszcze raz. Chcę być tu, Louise. Tu, w nowej gwieździe. – Uśmiechnęła się. – Nie zapominaj. Po to mnie zaprojektowano.

Louise chwilę milczała.

– Wracaj do domu, Lieserl – odezwała się w końcu.

– Louise, droga Louise, ja jestem w domu.

– Lieserl...

Z zalem wyłączyła link głosowy z *Północną*. Powiedziała sobie, że otworzy go później, kiedy Louise przywyknie do tej myśli, że ona jest tu – tu i nigdzie indziej – i zostanie na zawsze.

Tymczasem z rosnącym podnieceniem zauważyła, że procesory umieszczone w schłodzonym tunelu czasoprzestrzennym ustaliły los jej gwiazdy, Nowego Słońca.

Przywołała wirtualny obraz gwiazdy; obracał się przed nią w postaci zwykłej wielowarstwowej kuli.

Już wiedziała, że tlen płonie lokalnymi ogniskami w całej gwieździe, że odkładają się złożone pierwiastki – węgiel, krzem, neon, magnez – które interfejs miał właśnie zbierać. Z czasem jądro płonącego helu skurczy się, zostawiając schładzający się płaszcz i popiół wokół jeszcze gorętszego centrum.

W końcu – może za pół miliona lat – wodór w jądrze rozpali się na poważnie...

Lieserl z rosnącym podnieceniem obserwowała wirtualną dioramę, gotowa dowiedzieć się, jak umrze.

Kiedy tlen w jądrze zacznie płonąć, gwiazda natychmiast straci stabilność.

Płaszcz eksploduje. Rotująca gwiazda zacznie się asymetrycznie zapadać.

Następnie jądro gwałtownie imploduje.

Wiążące siły energii olbrzymiej gwiazdy przemienia się w strumień neutrin, uchodzący z zapadającego się jądra. Część z nich zostanie zatrzymana pod wpływem implozji. Inne, podczas ostatnich milisekund przed ostatecznym zapadnięciem się OWM w czarną dziurę, uciekną w postaci ogromnej neutrinowej pulsacji...

Przypomniała sobie pierwsze sekundy życia; dłonie matki unoszącej ją ku oknu, oślepiające światło w oczach. „To Słońce, Lieserl. Słońce!”

W ostatnich chwilach jej długiego życia neutrinowy płomień kulisty rzuci blask na jej twarz, Lieserl uśmiechnęła się. To będzie cudowne!

## Rozdział 35

Czas mijał.

Po pewnym okresie nawet jego pomiar stracił znaczenie. Dla Michaela Poole'a ta chwila nadeszła, kiedy nuklearne paliwo uległo wyczerpaniu, a ostatnia gwiazda zamigotała i zgasła.

Wszechświat postarzał się sto tysięcy razy od chwili, w której odeszli xeelee.

Poole ponuro obserwował znikanie gwiazd. Zderzały się ze sobą w malejących skorupach galaktyk lub spadały w czarne dziury. Nastawał coraz głębszy mrok, zapadły się nawet protony, a resztki gwiazdnych trupów zaczęły się rozsypywać.

Poole miał dość rozważań nad sensem wielkich powolnych przedsięwzięć fotinowych ptaków.

Odnalazł niegdysiejszą neutronową gwiazdę. Okryta węglem sfera dryfująca wokół gigantycznej czarnej dziury była ogrzewana – a przynajmniej utrzymywana w temperaturze kilku stopni powyżej zera absolutnego – rozkładem swoich protonów. Poole, jakby w poszukiwaniu pocieszenia, osadził swój ośrodek świadomości w pobliżu tego cienia barionowej chwały.

Może we Wszechświecie pozostały inne ośrodki barionowej inteligencji. Może przebywali w nim nawet ludzie lub ich potomkowie. Poole ich nie szukał. Po zamknięciu pierścienia historia życia barionowego dobiegła kresu.

Samotny Michael Poole skulił się w pobliżu lodowatej powierzchni gwiazdy neutronowej. Jego świadomość zabłysła i zgasła.

Gładka rzeka czasu płynęła ku bezmiernemu morzu czasopodobnej nieskończoności.

## Nota autora

*Pierścień* kończy cykl o xeelee.

Powieść jest samoistną całością, chociaż odwołuje się do trzech już istniejących, jak i planowanych opowiadań.

Odmienny wszechświat o wysokiej grawitacji, wspomniany w rozdziale 32, został omówiony szerzej w *Tratwie*. Kariera Michaela Poole'a, o której mowa w rozdziale 2, jest osnową *Czasopodobnej nieskończoności*. Kolonizację gwiazdy neutronowej, której ślady są omawiane w rozdziale 29, opisuję wyczerpująco w *Pływie*.

Poniżej zamieszczam pełny harmonogram cyklu o xeelee. Wyszczególniam powieści i opowiadania.

Możecie być pewni, że chociaż *Pierścień* jest chronologicznie końcem historii xeelee, wiele zostało do opowiedzenia...



# HARMONOGRAM

## Osobliwość. Wielki wybuch

### Era pierwotna

20 miliardów lat temu: pierwszy kontakt między xeelee i fotinowymi ptakami. Statki czasu xeelee zaczynają modyfikować ewolucję xeelee.

5 miliardów lat temu: początek budowy pierścienia. Narodziny Słońca.

4 miliardy lat temu: fotinowe ptaki atakują pierścień. Pojawia się życie na Ziemi.

miliard lat temu: pierwsza zaraza. Fotinowe ptaki docierają do Słońca.

### Era ekspansji

3000+ n.e.: otworzenie dróg w Układzie Słonecznym dzięki technologii napędu fazowego i tunelom czasoprzestrzennym. Człowiek stawia pierwsze kroki poza Układ.

3621 n.e.: rodzi się Michael Poole.

*Słoneczna osoba*

*Zasób logiczny*

*Czasopodobna nieskończoność*

3717 n.e.: wystrzelenie „Cauchy’ego”, statku o napędzie fazowym. 3829 n.e.: inwazja qaxów, okupacja Układu.

3953 n.e.: wystrzelenie *Wielkiej Północnej*, statku o napędzie fazowym.

*Złota*

*Cilia Lieserl*

### Era okupacji squeemów

*Chirion*

*Kwiat xeelee*

4874 n.e.: squeemowie podbijają planety zamieszkałe przez ludzi. 4924 n.e.: zrzucenie jarzma squeemów. 5000+ n.e.: początek drugiej ekspansji.

*Więcej niż czas czy przestrzeń*

### Era okupacji qaxów

5088 n.e.: qaxowie podbijają planety zamieszkałe przez ludzi. 5274 n.e.: powrót „Cauchy’ego” do Układu.

*Przesunięcie w stronę niebieskiej części widma*

5407 n.e.: obalenie qaxów. Ludzie zdobywają splina i technologię łamaczy gwiazdowych.

5500+ n.e.: zaczyna się trzecia ekspansja.

*Data quagma*  
*Odległość zero*

## **Era asymilacji**

10 000+ n.e.: ludzie stają się dominującym gatunkiem poza xeelee. Szybka ekspansja, przyswojenie pozagalaktycznych technologii i poznanie ich twórców. Wystrzelenie statków czasu xeelee w odległą przeszłość.

*Wykresy pustki*  
*Słoneczniki Godei*

## **Era wojny kończącej wojny**

100 000+ n.e.: zaczynają się ataki ludzi na skupiska xeelee.

*Tyrania nieba*  
*Bohater*  
*Pływ*  
*Tratwa*

1000 000 n.e.: ostatnie oblężenie Układu Słonecznego przez xeelee. Klęska gatunku ludzkiego.

## **Era lotu**

4000 000+ n.e.: migracja xeelee przez pierścień. Słońce opuszcza ciąg główny. Fotinowe ptaki niszczą pierścień.

*Pierścień*

5000 000+ n.e.: ostatni ludzie wracają do Słońca na statku „Wielka Północna” i udają się ku pierścieniowi.

## **Era zwycięstwa gatunku fotinowego**

10 000 000+ n.e.: całkowite wymarcie życia barionowego. Michael Poole ostatnim żywym człowiekiem.

## **Osobliwość. Czasopodobna nieskończoność**